



OGNISK O.

OGNISKO

KSIAŻKA ZBIOROWA

wydana dla uczczenia 25 letniej pracy

T. T. JEŻA.

1882.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23.

1882.



T. T. Jeż
(Zygmunt Miłkowski).

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Января 1883 года.



105498

K.109/80/114/69

Do T. T. Jeża.

Czeigodny Panie!

Przesyłając Ci Ognisko, słaby objaw naszego hołdu i niezupełny wyraz naszych pragnień, prosimy, abyś uwierzył, że za Twą 25 letnią pracę dla polskiego piśmiennictwa więcej wdzięczności pozostawiamy w naszych sercach, niż wypowiadamy w publicznych słowach. Kiedy Ty, Szanowny Panie, już ozdobiłeś swe imię wymownem apostołstwem zasad i godeł postępowych, my zaczęliśmy dopiero ich doniosłość mierzyć i wartość pojmować; z naszych więc rąk szczególnie należy Ci się wieniec, który, zbiorowo wzięty ze skromnych prac w tej książce, wkładamy z daleka na Twe zasłużone czoło. Przyjm go, Panie, nie jako ozdobną koronę, ale jako pamiątkę roku jubileuszowego, w którym grono pokrewnych umysłów część Ci objawiło.

Redakcyja—„Ogniska.“

OBJAŚNIENIE.

Winniśmy uprzedzić czytelników, że książka ta nie jest całkowitem spełnieniem naszych zamiarów. Wychodzi ona bowiem niezupełnie taką, jaką mieć chcieliśmy. Pomijając inne względy, zaznaczymy ten tylko, że pięciu autorów prac swych nam nie dostarczyło, niektórzy musieli swoje zmienić lub z braku czasu innemi zastąpić. Natomiast pomieściliśmy kilka niezapowiedzianych, które, jak mniemamy, zasłużą również na uznanie czytelników.

Nie wyliczamy tu przeszkód, jakie tamowały nasze przedsięwzięcie, gdyż za wszystkie jesteśmy nad zasługę wynagrodzeni podwójnie: możliwością złożenia publicznego hołdu czcigodnemu pisarzowi i sympatyą dla **Ogniska**, które zostało wyczerpanem, zanim opuściło prasę. Jest to dla naszej chorągwi i naszych usiłowań świadectwo zbyt chlubne, ażebyśmy niem poszczycić się nie mogli. Jak zapowiedzieliśmy w odezwie, czysty dochód z rozprzedaży książki przeznaczylimy jako honorarium za powiastkę jubilatowi, którą w oddzielnem odbiciu z osobną paginacją dołączamy na końcu **Ogniska**.

Wizerunek

TEODOR TOMASZ JEŻ.

Przypatrując się wizerunkowi naszego powieściopisarza, rozważając tę kościstą budowę jego twarzy zawiedlej a kanciastej trochę, te brwi nastroszone, ten wąs obfity zawieszony, ten wyraz energii, siły i hartu, jaki z oczu jego bije, mimowoli zrobić musimy spostrzeżenie, że fizygnomia ta wyróżnia się jaskrawo od przeciętnej dzisiejszej twarzy poetów i belletrystów; nasuwa ona raczej pamięci widza wizerunki naszych dawnych ziemian-rycerzy, co to, odpasawszy miecz od boku, zasiadali do spisywania wspomnień ze swego życia i poglądów na sprawy Rzeczypospolitej.

Zapewne, zasadnicze linie rysunku jego twarzy dziedzictwem mu się dostały; zapewne, ziemia, na której się urodził i wychował, to Podole, widowia ustawicznych zapasów o byt, użyźniona krwią i kośćmi licznych obrońców swoich i wrogów, owiała ją technieniem powagi i surowości; najwięcej atoli wyrzeźbiło się na niej samo życie jego jednostkowe, tak odmienne od zwykłego bytu ludzi pióra. Jeż bowiem należy do tego nader nielicznego dzisiaj grona pisarzy, co wiek swój młodzieńczy i męski przepędzili nie wśród tuzinkowego otoczenia lub w zaciszy zajęć literackich, ale żyli życiem szerokim, prawdziwie czynnem, dzielnie borykając się z licznymi przeszkodami przez los i okoliczności stawianymi, nie tylko rozprawiając o obowiązku, ale go wytrwale pełniąc. Wszystko, co jest miękkiego i woskowego w usposobieniu naszym, wytopiło się w ogniu walki, a wszystko, co jest dzielnego i jędrnego, nabrało hartu.

Taki mąż czynu wszedł następnie w szranki piśmiennicze. Słowa jego i pisma stały się dopełnieniem, koniecznym wyrazem jego działania. Nie wybuchały marzenia wyobraźni, ani romantyczne kwilenia serca, lecz wielka, wspinała idea obowiązku, skupiająca w sobie pojęcie cnoty w znaczeniu zarówno rzymskim jak nowoczesnym, dała mu tło, na którym obrazy swoje malował.

To życie i ta działalność zasługują na szczegółowe, dokładne studium; nie czas atoli jeszcze pisać je obecnie; poprzestać więc musimy na zaznaczeniu najważniejszych jedynie momentów tak jednego, jak drugiego.

I.

Ród Miłkowskich, odkąd o nim kroniki wzmiankują, siedział na Podlasin, gdzie tworzył „dom rozrodzony“, jak się Paprocki w swoich *Herbach Rycerstwa* wyraził. Z biegiem atoli czasu w różne przenosił się strony kraju, tak, że ta jego gałąź, z której wyrósł nasz powieściopisarz, rozkwitła w Sanockiem, gdzie i do dziś się utrzymuje.

Miłkowscy pieczętowali się herbem Ślepowron, o którego współkolejnotnikach jeszcze Długosz zauważył, że byli to wszyscy *viri bellicosi*, „mężowie ducha wojowniczego“. Nie odznaczali się oni bogactwami, nie piastowali w Rzeczypospolitej wielkich urzędów, ale służyli krajowi dzielnie, jakby poszczegóło sprawdzić chcieli to, co o Ślepowronach mówiono w ogólności.

Nie zapuszczając się w odleglejszą przeszłość, możemy to widzieć na dwu pokoleniach, poprzedzających urodzenie Teodora Tomasza Jeża.

Dziad jego, Jan Miłkowski brał udział w kampanii roku 1792 w stopniu chorążego; z rozkazu Kościuszki zabrał magazyny wojskowe z Czerchelnika, walczył pod Szepetówką, Lubarem, Dubienką. Żona jego, z paroletnim synkiem Józiem, dzieliła, zwyczajem ówczesnym, trudy życia obozowego wraz z mężem i na Boryszkowieckiej grobli ciężką, niepewności pełną przeżyła chwilę, kiedy została zaskoczona przez nieprzyjaciół u przeprawy przez most zepsuty. Udało się uniknąć niebezpieczeństwa; ale głębokie wrażenie jego bliskości pozostało na długo zarówno we wrażliwym umyśle matki jak i syna.

Po smutnie zakończonej walce przeniósł się chorąży na Podole i osiadł we wsi Saracei nad Dniestrem, w powiecie bałckim. Tu się wychowywał i ów otrząskany już z hukiem dział synek, a doszedłszy lat dwudziestu, nie zaniedbał puścić się w ślady ojca, wstępując w szeregi wojsk Księstwa Warszawskiego. Wraz z tą armią podzielił chwałę roku 1809 i klęski roku 1812. Nad Berezyną dostał się do niewoli, lecz z niej uciekł, by

następnie złączyć się z niedobitkami i walczyć pod Budyszynem i Lipskiem a potem raz jeszcze znaleźć się w liczbie jeńców. Przez ten czas służył w 16-tym pułku ułanów, a po ustanowieniu Królestwa kongresowego w 1815 przeszedł do 4-go pułku strzelców konnych, lecz po trzech latach opuścił armię w stopniu porucznika, ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*. Odtąd osiedlił się w Saracei, zajmując się gospodarstwem i pełniąc obowiązki obywatelskie jako sędziego granicznego. Wtedy też ożenił się z Balbiną Brudzewską, której rodzina, wywodząca się z Wielkopolski, przechowywała wspomnienia świetnej przeszłości, zarówno ze względów politycznych, gdyż byli Brudzewscy wojewodami i kasztelanami, jak i ze względów umysłowych, gdyż i sławny astronom z drugiej połowy XV stulecia Wojciech z Brudzewa liczony był do szeregu jej przodków.

Z małżeństwa tego urodziło się pięciu synów i dwie córki; najstarszym był Zygmunt Fortunat, który przyszedł na świat 23 marca 1824 r. Saraceja była miejscem urodzenia, ale nie wychowania Zygmunta; ojciec bowiem musiał Sarację sprzedać dla podziału spadku pomiędzy czterech braci i dwie siostry. Za schedę swoją, powiększoną niewielkim posagiem, zadzierżawił na Pobereżu wioskę Rybki, gdzie nasz Zygmunt pierwsze lata dziecinne przepędził.

Lata te, tak niesłychanie ważne w rozwoju umysłu, upływały mu wśród otoczenia, które nieczęsto i nieszczęśliwie u nas się zdarzało. Ojciec jako wychowawca czasów napoleońskich, prześlakniętych pewnem wolnomyślicielstwem, rozplomieniał serce i wyobraźnię dzieci świeżymi wspomnieniami walk niedawno przebytych, wpajał w ich dusze poszanowanie ludzkiej godności w każdym człowieku, a więc i w chłopie, w poddanym, religię pojmował i zaszczeptał jako uczucie, ale na ścisłe pełnienie praktyk kościelnych nie robił nacisku. O pierwszym z tych wpływów nie możemy się tu rozszerzać; zrozumieć go zresztą i ocenić bardzo łatwo. O dwu drugich parę charakterystycznych faktów warto przytoczyć.

Raz szlachcic chodacki, procesujący się z wieśniakiem, nie uznał decyzji Józefa Miłkowskiego za sprawiedliwą i wyrzucał mu, że za chłopem ciągnie. — „Szlachcicem u mnie ten, co szlachetnie postępuje“ — odrzekł Miłkowski. Kiedy indziej, w r. 1832, gdy posucha ogólna sprowadziła głód, a w Rybkach, położonych w nizinie, żniwa wypadły nader pomyślnie, nasz niezamożny dzierżawca nie korzystał z podniesienia się cen, nie sprzedawał zboża kupcom, ale je odstępował chłopom okolicznym po cenie dawniej-

szej; a na uwagi sąsiadów, że sprzedaje zbyt tanio, odpowiadał zazwyczaj, iż z ludzkiego nieszczęścia korzystać się nie godzi.

W domu Miłkowskich nie było książek do nabożeństwa, z wyjątkiem jednej bardzo starej, będącej własnością babki, której specjalnem zajęciem było uczenie dzieci pacierza. Na Boże Narodzenie, jak w każdym domu szlacheckim natenczas, śpiewano kolędy; Wigilię i Wielkanoc obchodzono uroczysto; ojciec nucił przy sposobności pobożne pieśni Karpińskiego, czytywał psalterz; ale katechizmu, według rutynicznego zwyczaju, w pamięć dzieci, niemogących go rozumieć, nie wtłaczał. Rodzice i dzieci postów nie obserwowali, w kościele bywali zaledwie parę razy do roku. Książka zaglądali czasami do Rybek, ale się z wolnomyślnym trochę porucznikiem nie przyjaźnili. Wyjątek stanowił ksiądz kanonik Komarnicki, proboszcz z Sawrawia, spokrewniony z rodziną Miłkowskich, kapłan zacny, przekonany liberalnych, zapalony myśliwy i autor wierszy polskich i rusińskich, które w licznych odpisach na Podolu się rozpowszechniały. Bywał on często w Rybkach, bawił po dni kilka, deklamował wiersze, polował.

Zamiłowanie literatury ojczywej w domu porucznika było wielkie; chociaż interesa szły wcale nie świetnie, Józef Miłkowski, lubiąc książki, kupował je, a dzieci czytały i poezji na pamięć się uczyły. Zygmunt z czasów dzieciństwa swojego pamięta nazwiska Kochanowskich, Szymonowicza, Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego, Kniaźnina, Brodzińskiego, Mickiewicza. Mając lat osiem, czytał już Jerozolimę Wyzwoloną w przekładzie Piotra Kochanowskiego i Eneidę w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

Wśród takich wpływów ubiegło Zygmunutowi lat dziewięć; przeszedł rok 1831, nie bez pozostawienia po sobie śladów w duszy dziecka, które wiedziało i rozumiało więcej, aniżeli przeciętne umysły w tym wieku. W roku 1833 ojciec jego przeniósł się do Klebani, wsi dzierżawionej od Mieczysława hr. Potockiego, człowieka przewrotnego z gruntu, znanego i ze swoich brutalnych wybryków i z małżeństwa z Delfiną Komarówką, późniejszą Beatrycą Krasieńskiego. I Miłkowski jako dzierżawca doświadczył na sobie fantazji rozbrykanego magnata, który raz najechał na dom jego i kazał wyrzucić z toku cały zbiór roczny.

Z Klebani - to Zygmunt oddany został do gimnazjum w Niemirowie, zostającego pod dyrekcją Miładowskiego, który wychowanie i wykształcenie odebrał za świetnych czasów wileńskich i wśród zmienionych stosun-

ków starał się przechować piękną tradycję szkolną Śniadeckich i Czackiego. Lubo prędko z natury, umiał się hamować; lubo musiał się trzymać programu nauk, zmienionego po r. 1831, potrafił jednak ubocznie zachęcać do studyów nad temi drogami sercu przedmiotami, które do wykładu szkolnego nie wchodziły. Pod jego kierownictwem przeszedł Zygmunt trzy klasy i dostał się do czwartej. Atoli w r. 1838 z powodu jakiegoś spisku uczniowskiego, do którego wmieszany był i nasz Zygmunt, zaszły zmiany zarówno w losie uczniów, jak i w składzie ciała nauczycielskiego. Miładowski dostał dymisyę, a miejsce jego zajął naprzód Małorusin Kulczyński, a następnie Rosyanin Zimowski. Zygmunt miał zajście z dyrektorem i ukończywszy klasę szóstą, do gimnazjum już nie wrócił, chociaż rok cały w Niemirowie przepędził przy matce, zamieszkałej tu dla edukacyi młodszego rodzeństwa, któremu Zygmunt służył za korepetytora.

Już w Niemirowie zaczął Zygmunt próbować sił swoich w wierszu; było to zresztą zjawiskiem wielce naówczas często wśród młodzieży spotykanem. Wiersze te odczytywał ojcu, matce i cioci Jelenkowskiej. Ciocia była naturalnie największą zwolenniczką i adoratorką prób poetycznych młodego gimnazysty; matka zachwycała się niemi również; ojciec słuchał cierpliwie, ale wierszowanie nazywał głupstwem i bezużyteczną stratą czasu. Młodzieniaszkowi nie w smak szła obojętność ojcowska; to też niejednokrotnie rozwodził się z żalami przed matką, która oczywiście ubolewała także nad tym indyferentyzmem; aż pewnego razu zwierzyła się synowi, wymógłszy od niego słowo, że jej z sekretu nie wyda: „Ojciec nie chwali twoich wierszy — mówiła — ale zdaje mi się, że nie chwali ich dlatego, aby ciebie nie popsuć, bo prosił mię, abym mu dawała do schowania wszystko, co ty napiszesz, ale abym o tem nic a nic tobie nie powiadała“. Ta uwaga matki wydała mu się nadzwyczaj trafną i dodawała mu pewności siebie. Powoli jednak, przechodząc stopniowo do klas wyższych, począł chłódnać w zapale poetyckim i coraz to mniej produkował pieśni, dumek, ód, fantazyj, ballad i t. d. W drugiej klasie napisał najwięcej, w piątej bardzo mało, a w szóstej nic już wierszowanego nie wypłynęło mu z pod pióra. Nie uważał jednak siebie za pozbawionego talentu poetyckiego, tylko za poetę odpoczywającego; przygotowywał się zadziwić świat poematem... Rożen, laureat krzemieniecki, mieszkający w Niemirowie, i Grudziński, nauczyciel języka łacińskiego, dodawali otuchy młodemu wierszopisowi. Zanim jednak zdobył się na jakiś poemat, napisał pierwszą swą powiastkę i przesłał ją do *Athenaeum*, pisma zbiorowego wydawanego wówczas

przez Kraszewskiego; utwór ten atoli gdzieś się zawieruszył i przepadł. Napisanie tej powieści zbiegło się z chwilą pierwszego zakochania się.

Gdy po roku przepędzonym w domu Zygmunt zamierzał udać się do liceum w Odessie dla słuchania wykładów akademickich, radził się ojca, na jaki wydział ma wstąpić. Ojciec nie narzucał mu swej woli, napomynał tylko, że radby go widział na wydziale matematycznym; ale gdyby wybrał wydział inny, nieby przeciwko temu nie miał; błagał go jedynie, ażeby się wstrzymał od pisania wierszy póty, póki kursu nauk nie skończy. Zygmunt dał słowo, że rymować zaprzestanie, i wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny, który w 22-gim roku życia opuścił, mając przyznany dyplom i medal złoty za rozprawę konkursową „O napadach i zdobyczach Normanów w IX i X stuleciu“. Przez cały czas pobytu w liceum „nie wziął — jak sam się wyraża — na sumienie swoje ani jednego zrymowanego dwuwiersza“.

W Odessie powiewał duch pewnej swobody, przebijający się nawet w ustawie licealnej; studenci np. nie byli przymuszani do słuchania wykładów religii, jak w innych uniwersytetach cesarstwa. Tu także mógł się Zygmunt zapoznać szczegółowiej z utworami poetycznymi, wydawanymi na emigracyi.

Ponieważ liceum nie miało prawa dawać stopnia kandydata, tak, że słuchacze kończyli je jako „rzeczywiści studenci“, Zygmunt wróciwszy do domu, zamierzył przysposobić się do egzaminu kandydackiego, który miał złożyć w uniwersytecie kijowskim.

Ojciec przyjął syna jako towarzysza i przyjaciela; rozmawiali o rozlicznych zawodach życia mężczyzny; treścią uwag ojcowskich były myśli, które w lat kilkanaście potem Jez tak sformułował: — „Idź, synu, leć.. na służbę krajowi twemu i braciom twoim... Nie żałuj siebie... Wypatruj, gdzie potrzeba twojej obecności i współpracy, i tam ruszaj! Jest to twoim obowiązkiem. Nie ma żadnej zasługi w pełnieniu obowiązku, ale niepełnienie jest zbrodnią“.

Potem razu pewnego, wśród rozmowy w kółku rodzinnem, zagadnął Zygmunta ojciec: „czy ty pisujesz jeszcze wiersze?“, a syn, zmieszany czegoś, odpowiedział przecząco. Wtedy ojciec poszedł do szafki, wydobyl z niej zwitek starannie mocną nitką obwiązany, rozwiązał, rozwinął papieiry i podał synowi, który poznał w nich swoje twory poetyczne. Zaczął przebiegać je oczyma i czuł, jak krew uderzała mu do głowy. Ojciec stojąc przed nim, patrzył i uśmiechał się.

— No i cóż? — zapytał.

— To głupstwo! — odrzekł Zygmunt.

— Wiedziałem ja o tem oddawna — odparł ojciec — a widzisz, co to ty był kiedyś za dureń.

Zygmunt naturalnie nie miał nic pilniejszego, jak spalić odrazu wszystkie swoje rymy.

To całopalenie nie było naturalnie wyrazem pogardy dla prawdziwej poezji, ale tylko wyrazem trzeźwej oceny takiej poezji, jaką w owych młodzieńczych latach i on i jego rówieśnicy uprawiali. Przejęty miłością i uwielbieniem dla wielkiej, rzetelnej twórczości, musiał stać się wrogiem wszelkiego drapowania się w jej szaty, wszelkiego udawania i pozowania poetycznego, wszelkiego bezmyślnego naśladownictwa.

Z tak zmęźniałem i pod pewnemi przynajmniej względami wyrobionem usposobieniem udał się Zygmunt do Kijowa w r. 1847, aby w charakterze wolnego słuchacza oddać się dalszym studjom na wydziale matematycznym i złożyć egzamin.

Była to chwila silnie ożywiającego się ruchu umysłowego wśród ówczesnej inteligencji na Ukrainie. Dotychczas samowładnie tam nad umysłami panował prąd zachowawczy a raczej wsteczny, który przedstawiciele swoich miał w tak rozgłoszonych naówczas osobistościach jak hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Ignacy Hołowiński, Ludwik Sztyrmer (znany pod kryptonimem Eleonory), a nader wpływowy organ w rozpowszechnionym na całej Litwie i Rusi *Tygodniku Petersburskim*, redagowanym przez Józefa Przeclawskiego, indywiduum lichie moralnie, ale wtedy wielce uwielbiane i podziwiane. Właśnie pomiędzy r. 1841 a 1846 skupiło się i zjednoczyło tych pięciu reprezentantów doktryny, że narodowi naszemu nie wolno rozumować, lecz wierzyć ślepo bez rozbioru należy, bo rozum nie nigdy dobrego nie stworzył, lecz do obłąkania i waryacji ludzi doprowadza; że zamknąć się nam potrzeba w rozpamiętywaniu przeszłości, bo o rozwoju dalszym ani nam marzyć; że uznanie i czczenie powagi, pod wszelkimi jej formami, a więc i pod formą arystokracji, jest jedynym środkiem uchylenia zboczeń i nieporządków społecznych... Wpływ tych pentarchów obskurantyzmu był wielki, tak że choć w młodych wychowankach uniwersytetów budziła się opozycja przeciw tak jaskrawo wypowiedzanym paradoksom, długo jednak nie śmieli z nią wystąpić publicznie. Aż wreszcie miara cierpliwości się przebrała i wstręt do doktryny obskurantyzmu wybuchnął otwarcie. Organem tej opozycji młodzieńczej stała się *Gwiazda* początkowo przez Zenona Fisza w Petersburgu, następnie przez Jakóba

Jurkowskiego (Benedykta Dołęgi) w Kijowie wydawana; a najdzielniejszym jej rzecznikiem był Antoni Marcinkowski (Albert Gryf), który świeżo wtedy ukończył uniwersytet petersburski. Opozycja ta wygłaszała zasady liberalne i demokratyczne, zasady swobodnego, krytycznego rozbioru, zasady miłości bliźniego zastosowanej do „poddanych“, zasady religii ducha zamiast religii formuł; kwestye socyalne zaprzętały ją mocno.

Czas najgwałtowniejszego wybuchu głosów opozycyjnych przypadł właśnie na rok 1847, kiedy drugi tom *Gwiazdy* już w Kijowie wychodził. Tom ten narobił wrzawy niemałej i niewątpliwie silnie musiał na młodzież uniwersytecką oddziaływać. Jeż w *Historji o pra...pra...wnuku* czasy tego przełomu duchowego w uniwersytecie kijowskim charakteryzuje w słowach następnych: „Towarzystwo młodzieży zmieniło się niedopoznania. O... (rozpustnych) pohulankach ani już było słyhać. Pseudoburszostwo wyniosło się; dawna tężyżna znikła. Nawet techniczne wyrazy pozmiały znaczenie. Tę g i m c h ł o p c e m np. nazywał się już ten, co się lepiej uczył, co rozumniej pojmował rzeczy i umiał się z nich jaśniej przed kolegami wytłomaczyć. Nastąpiła moda na książki, które krążyły, a z niemi zdania i zasady. Walka o te ostatnie na zgromadzeniach koleżeńskich zajęła miejsce hazardownych gier i mocnych trunków. Nie bez tego, żeby nie było łotrów; ale ci chodzili samopas, funkcyonowali ukradkiem, jak przedtem pracujące wyjątki. Role ich zmieniły się: praca wystąpiła na biały dzień, na słoneczne światło; próżniactwo do ciemnych wcisnęło się kryjówek“.

Zarówno wrażenia i pojęcia z domu wyniesione, jak zasady postępowców głoszone w Kijowie wyrobiły już wtedy w 24-letnim młodzieńcu głębokie przekonanie o konieczności uwolnienia i uwłaszczenia włościan. W duchu tym napisał on i rozpowszechniał odezwę do współobywateli, chociaż sam jeszcze nie wiedział dokładnie, w jakiby sposób sprawa ta przeprowadzić się dała.

Rewolucya lutowa 1848 r. w Paryżu i wrzenie umysłów jako też ruchy społeczne i narodowe w innych stolicach europejskich wywoływały naturalnie i na Ukrainie silne sympatye, zwłaszcza wśród młodzieży. Zygmunt Miłkowski, podobnie jak bohater *Historji o pra...pra...wnuku* poczuł w sobie żyłkę rycerską, zapragnął, jak jego przodkowie, stać się „vir bellicosus“. Opuścił Kijów, objechał sąsiadów dla wybadania nastroju umysłów, zajrzał do rodziców, pożegnał się z nimi, jeszcze raz odwiedził Kijów i wyruszył ku granicy przez Winnicę, Lityń, Stary Konstantynów, Ra-

dziwiłków. W okolicach tej miejsciny przepędził parę tygodni, zanim mu chłop Fed' całkiem bezinteresownie nie ułatwił dalszej drogi.

Odtąd rozpoczyna się okres szerszych doświadczeń i prób życiowych. Nie cicha bowiem praca literacka przy biurku była przed nim, ale mozolna, gwarna i długoletnia walka, w której nieraz o głodzie i chłodzie trzeba było trwać na stanowisku, pełnić obowiązki. Naukę z książki zastąpić miała nauka, wprost z bezpośredniej obserwacji rzeczywistości czerpana. Szczupły widnokrąg życia szlacheckiego na Rusi miał ustąpić miejsca wielkim horyzontom walk narodowych, ruchów społecznych, polityki europejskiej. Ale zarazem rozpoczął się żywot „włóczęgi“ — jak sam Jeż powiada — który nie dla zadowolenia turystycznych upodobań zwiedza różne kraje europejskie i azyatyckie, ale, ciężką koniecznością zagniony, wszystkich sił użyć musi, ażeby nie zginąć. Fraszka niewygody i kłopoty wszelkiego rodzaju, fraszka podróż piesza, pokarm najgrubszy; ale bywały chwile, w których literalnie z głodu się marło i nie wiedziało się, gdzie będzie można do spoczynku się ułożyć.

Zygmunt przybył do Galicji w chwili wielkich oczekiwań i wielkiej niepewności. Rząd austriacki pod parciem ruchu rewolucyjnego zmiękł wprawdzie, ale nie dawał żadnej gwarancji na przyszłość. Cieszą się z rozluźnienia więzów; mówiono i dysputowano dużo; paradowano w gwardyi narodowej; ale nie miano żadnego ściśle sformułowanego programu postępowania. Zygmunt bawił przez czas jakiś w Złoczowskiem, obeznał się z położeniem rzeczy, a party wspomnieniami wojennymi swojej rodziny, zamiast siedzieć beczynnie, wybrał się w towarzystwie dwunastu ochotników ku Węgrom, gdzie już wrzała walka orężna. 25 listopada 1848 została uroczystie poświęcona chorągiew oddziału, pod którą Miłkowski wraz z trzystu innymi towarzyszami wyruszył do Aradu obleganego przez Węgrów. Oddział przybył pod tę twierdzę w sam dzień pierwszego szturm i zaraz poszedł w ogień. Natarcie odparto, ale młodzi legionści spisywali się dobrze.

Miłkowski wstąpiwszy do legionu prostym żołnierzem, w czasie kampanii węgierskiej dosłużył się tak samo jak jego ojciec stopnia porucznika; znajdował się przy oblężeniu Aradu (do początku lutego 1849), brał udział w bitwach pod Solnokiem, Tapio-Biczke, Isaszeg, Nagy-Szarlo, Komornem, Budą, Szegedynem i Temeswarem. Jakże przeżył trudy, dość będzie jednego wymownego przykładu. Kiedy w Miskolcu wywołano go z szeregów dla odczytania mu nominacji na oficera, to się przedstawił jak strasznydło:

odzież nie okrywała nagości ciała, koszuli nie miał, przez czapkę wyglądały włosy, z butów sterczały wszystkie palce; mundur podarty na strzępy i przy ogniskach obozowych powypalany, pospinany był drewnianymi szpilkami, a za kołnierzem . . . roilo się.

Po bitwie pod Temeswarem, po podpisaniu kapitulacji przez Goergeya, legiony polskie, włoskie i część wojsk węgierskich, które stały w Lugos, przeszły do Karemébesz a stąd do Orsowy, gdzie się przeprawiły przez Dunaj do Serbii: było tam 800 polaków, 400 włosków, garstka Niemców i oddział honwedów. Serbowie nie pozwolili zapuścić się w głąb; pochód więc odbywał się wzdłuż Dunaju na Kladowę ku Widyniowi, gdzie władze tureckie przyjęły rozbitków ze współczuciem. Z Widynia, w październiku, przeprowadzeni zostali do Szumli pod eskortą wojskową, jako jeńcy internowani, o których wydanie nalegano ze strony mocarstw sprzymierzonych.

Miłkowski podzielał losy byłych legionistów. Całą zimę z 1849 na 1850 przepędził w Szumli, bez książek i bez żadnego zajęcia. Żołnierze łatali białe mundury z czerwonymi wyłogami i czerwone czapki w strzępach z Węgier wywiezione, gotowali strawę, gawędzili i .. spali. Nasz porucznik chciał wskrzesić tradycję legionów dawniejszych, chciał za przykładem Cyprjana Godebskiego wydawać gazetę pisaną; próba się jednak nie powiodła. Tu w Szumli zabrał znajomość z Sokulskim i Żarskim, członkami znanego mu już niewątpliwie z wieści „Towarzystwa Demokratycznego“, mającego za hasło uwłaszczenie włościan, a więc ideę, którą Miłkowski od tak dawna gorąco się zajmował; dowiedział się wtedy szczegółów, dotyczących organizacji tego towarzystwa i środków działania.

Na wiosnę 1850 przyjechał do Szumli komisarz turecki Fuad Effendi, wracający z Petersburga, gdzie ostatecznie załatwił kwestję internowanych. Zdjęto z nich dozór, formalny tylko co prawda, i zostawiono im do wyboru: albo zostać w Turcyi, albo wyjechać na Zachód a właściwie do Anglii, gdyż Sardynia Włochów tylko przyjmowała. Większość Polaków osiedliła się w Turcyi; część pewna, półtorasta osób wynosząca, do której należał i Miłkowski, podała się do wyjazdu na Zachód. Odprowadzili ich Turcy do Warny, następnie najęli statek parowy do wyspy Malty i zaopatrzyli w pieniądze na dalszą podróż. Wędrowcy nasi wypłynąwszy z Malty na statku żaglowym włoskim, przeznaczonym do wożenia pszenicy, rozbili się przy wybrzeżu Afryki w bejowstwie tunetańskim. Bej odesłał ich znowu na Malte, z kądem morzem Śródziemnem, Gibraltarem i Atlantykiem (Francya

bowiem nie dozwalała wylądować emigrantom) na statku parowym angielskim dostali się do miasta portowego Southampton. Z Southampton udał się Miłkowski do Londynu. Tu znalazł pomieszknięcie u jednego ze znajomych, który odjeżdżając do Hamburga, zostawił mu lokal opłacony z góry. Mieszkał tedy wygodnie, ale nie miał co jeść. Szukał więc pracy: chodził, pytał, stawał wśród najmujących się robotników. Tak zeszło dni dziewięć, w ciągu których jadł tylko dwa razy u znajomych. Zrozpaczony, mając w perspektywie śmierć głodową, już zamyslał o kąpieli w Tamizie, gdy przypadkowo litograf Nowosielski zamieszkały w Londynie nastreczył mu pracę w fabryce klisz do drukowania obci papierowych Wiliama Hawletta. W zakładzie tym funkcyonował nasz porucznik jako posługacz do zamiatania izb, palenia na kominkach, noszenia wody i rozwożenia na wózku ręcznym roboty; następnie awansował na artystę — komponował i wycinał desenie obci, za co pobierał dwa szylingi dziennie i tantiemę od sprzedanych a przez siebie wykonanych modeli. Pan Hawlett polubił bardzo improwizowanego artystę-dekoratora; a jeden z kolegów w fachu zaprosił Zygmunta na wilię do rodziców swoich, zaprezentował siostrom i zaproponował małżeństwo z jedną z nich — najładniejszą. „Tys pracowity i nie pijak — mówił do Miłkowskiego — masz fach w ręku, jesteś artystą; ona haftuje wspaniale wyłogi do kamizelek, a przytem spokojna jest i łagodna; sformujecie bardzo przykłądne i szczęśliwe stadło małżeńskie“. Miłkowski podziękował swatowi, ale propozycji nie przyjął; całkiem inne myśli zaprętały go wtedy.

Wśród ciężkiej roboty nie zapomniał o sprawach ogólniejszej natury. Wieczory i święta poświęcał pracy nad sobą; zapisał się na członka Towarzystwa Demokratycznego, zapoznał się z członkami tak zwanej „Centralizacji“ t. j. zarządu tego towarzystwa, wygnanego wtenczas z Paryża, a mianowicie ze Stanisławem Worcellem, Wojciechem Daraszem, Janem Kantym Podoleckim. Czytywał wtedy dużo, uczył się ciągle, studyował szczególniej teoryę sztuki wojskowej, z którą praktycznie już się był zapoznał. Za przewodnika w studyach tych służył mu Michał Domagalski „chodząca encyklopedia wiadomości militarnych“, Sztolcman pułkownik i Feliks Nowosielski pułkownik od saperów. Zachęcany przez Worcella zaczął pisywać artykuły do *Demokraty polskiego*, organu Centralizacji, który jako tygodnik wskrzeszony został po paroletniej przerwie i od 12 stycznia 1851 drukował się w Brukselli. W artykułach tych opracowywał te kwestye, o których w sekcji londyńskiej „Towarzystwa Demokratycznego“ roz-

prawiano; głównie wszelako miał na widoku sztukę wojskową. Liczył lat 26, „kiedy się po raz pierwszy w życiu drukowanym ujrzał“.

Stosunki z przedstawicielami wspomnianego towarzystwa wprowadziły Miłkowskiego w związek z wybitnymi osobistościami ruchów owoczesnych. Istniał wtedy w stolicy Anglii „Komitet Centralny Demokracji Europejskiej“, którego kierownikami byli: Ledru-Rollin, Mazzini, Ruge, Darasz i Dymitr Bratiano.

Komitet ten, będący w ścisłym z naszą „Centralizacją“ porozumieniu, przypuszczając, że po upływie terminu prezydentury Ludwika Napoleona duch republikański we Francji zwycięży i nastąpi era polityki demokratycznej czynnej, która potrafi odnowić ruchy rewolucyjne w Niemczech i Włoszech, a wywołane podtrzymać, — zabiegał o dostanie pewnych wiadomości jakoteż o pokrzepienie umysłów i w tym celu rozsyłał w różne strony agentów. Do ich liczby należał także i nasz Miłkowski, wyprawiony na Wschód w jesieni roku 1851. Zasilony skromnymi funduszami komitetu, zebrawszy swoje własne i dostawszy kilkadziesiąt dukatów od rodziców, których potrafił o swem położeniu zawiadomić, wybrał się naprzód nasz porucznik pod obcym nazwiskiem za paszportem angielskim do nieznanego sobie jeszcze Paryża, a ztamtąd przez Marsylię, Malte, Ateny, Smirnę, udał się do Konstantynopola, Galacu i osiadł w Moldawii. Tu zaznajomił się z wybitniejszymi przedstawicielami postępu w Rumunii, uczył się po rumuńsku od gospodarzy swoich w Kotwiczani, i tłumaczył Fausta, mając tę jedną tylko książkę pod ręką.

Zamach stanu dokonany przez Ludwika Napoleona 2 grudnia 1851 r., prześladowanie republikańców, wzmożenie się reakcji pomieszały szyki komitetowi demokratycznemu. Miłkowski pozostawiony został niemal sam sobie. Wtedy to przebrany za chłopą, bywał na Podolu, odwiedził rodziców, komunikował się z przyjaciółmi; a powróciwszy do Moldawii przemieszkiał tam cały rok 1852.

Na wiosnę roku 1853 dwaj bracia Zygmunta, Józef i Szczęsny, zmuszeni byli szukać schronienia i przybyli do Moldawii. Zygmunt, rad wielce z oglądania braci i z wieści o kraju, zamierzał wywieźć ich, dla większego bezpieczeństwa, za Dunaj; niestety, w Galacu zostali schwytani; Zygmunta, jako posiadającego paszport angielski, władze moldawskie odesłały do konsula angielskiego.... Zygmunt wysłany przez konsula angielskiego do Tulczy, był w odwiedzinach w domu polskim, gdy wieść o losie bolesnym braci doszła do jego wiadomości. Dostał silnego ataku nerwowego i padł

bez czucia; w następstwie wywiązał się tyfus, a Milkowski w lichej karczemce nad brzegami Dunaju przeleżał dwa miesiące, z chorobą się pasując; pielęgowali i żywili go chłopci, zbiegli z Podola i Ukrainy z obawy srogich panów lub innych powodów.

Gdy wyzdrowiał, rozpoczęła się wojna wschodnia. Milkowski uczestniczył w niej pośrednio, przeważnie jako spostrzegacz. Przybywszy do Konstantynopola, uzyskał pozwolenie od Omera-Paszy przyłączenia się w charakterze asystenta do sztabu Izmaila-Paszy, wodza naczelnego wojsk egipskich. Z nim tedy udał się na Dobrudżę i przypatrywał się odwrotowi wojsk tureckich od Tulczy i Isakczy do Szumli. Następnie brał udział w fortyfikowaniu Szumli: sypał redutę na drodze do Dżumai. Czynił to (jak sam się wyraża) „nie dla sprawy tureckiej, lecz w celu studyowania rzemiosła wojennego“.

Z Szumli odwołały Milkowskiego sprawy rumuńskie. Patryoci rumuńscy, z którymi już dawniej zapoznał się, pragnęli skorzystać z toczącej się wojny i dla ojczyzny swej wywalczyć niepodległość. Nie chcieli jednak już działać w duchu tego planu, na jaki zgodzono się przed paru laty w „Komitecie Centralnym“, nie chcieli zrywać z Turcją i siłę zbrojną organizowali za pozwoleniem sułtana. Tymczasem nadarzała się wyborna sposobność do stanowczego kroku. Kiedy teatr wojny przeniósł się z porzeczna Dunaju, w Mołdawii i Wołoszczyźnie zapanowało istne bezkrólewie. Szczególniej na Małej Wołoszczyźnie, dogłądanej przez Austrię z boku jedynie, nie było przez czas pewien nietylko siły zbrojnej, ale nawet administracji: nie miał kto podatków legalnie odbierać, władzy sądowej sprawować; bezpieczeństwa zaś życia i mienia swego strzegły gromady chłopów, uzbrojonych, jak się udało. Milkowski sądził, że należało ze sposobności tej korzystać, ale patryoci rumuńscy do ruchu rewolucyjnego nie byli skłonni; zagrożony tedy przez Austriaków musiał schronić się do Serbii, gdzie w Negotynie przebył kilką miesięcy pod opieką majora Jowanowicza. Ale i Serbię opuścić musiał, gdyż po zajęciu Rumunii przez Austriaków, Serbowie zaczęli się lękać wszystkiego, coby się tak groźnemu sąsiadowi nie podobać mogło i wymówili Milkowskiemu gościnność. I on sam zresztą pragnął zbliżyć się do nowej widowni wojny t. j. do Krymu. Ruszył tedy do Bulgarii.

Ale podróżować po Bulgarii można było albo pod silną eskortą wojskową, albo też pieszo w postaci żebraka i obdartusa. Ten drugi sposób podróżowania był nawet bezpieczniejszy od pierwszego. Uszyto więc dla

naszego wędrowca dziadowskie biesagi, naładowano je szmatami i rupieciami bez wartości; wystrojono ich właściciela w odzież podartą, a opatrzono w kij sękaty na obronę przeciw psom i przeciw kolegom we włóczęgowskim rzemiośle. Zapas pieniężny w złocie ukrył nasz improwizowany żebrak jak najstaranniej, pozawijawszy dukaty w płótno i jako guziki poprzyszywawszy do szarawarów. W sakiewce nie pozostawił ani szeląga, gdyż nie wątpił, że mając formalny paszport turecki, był pewny zaopatrzenia swoich potrzeb. Wówczas bowiem posiadacz takiego paszportu był rodzajem figury urzędowej, której należała się gościnność co do pomieszczenia i żywności; wędrowiec przybywszy do wsi, gdzie nocować postanowił, udawał się na plac publiczny i wołał donośnym głosem *c z o r b a d ż e g o* (wójta), który obejrzawszy *t e s k i e r e* (paszport), odprowadzał podróżnego na kwaterę do któregośkolwiek z gospodarzy. Tu wędrowiec mógł spać, jeść za darmo, byle nie dłużej nad dni trzy... W ten sposób przeszedł Milkowski całą Bułgarię wzdłuż od Widynia do Warny, zapoznając się z krajem i obyczajami mieszkańców.

W okolicach Warny stały posterunki angielskie. Zachowywanie ostrożności było już zbyt konieczne; Milkowski odciął parę guzików, dobył z nich po dukacie, oporządził się trochę i przyłączył do kolumny powiatowej wojsk sprzymierzonych. Z kolumną tą przeszedł Balkany i dostał się do Konstantynopola, skąd na wiosnę roku 1855 pojechał znów na Wołoszczyznę i Mołdawię jako agent kompanii handlowo-przemysłowej francusko-greckiej: *D u r a n d e t C o m p.*, ze szczególną misją zbadania krajów tych pod względem sił produkcyjnych. Kraje te zjeździł nasz wędrowiec wzdłuż i wszerz, zdał z obserwacji swoich raport szczegółowy i po zbudowaniu magazynów zbożowych w Kiustendzi skończył służbę w kompanii, która się w jesieni 1855 r. rozwiązała.

Ze szczupłym funduszem pojechał Milkowski do Konstantynopola. Żeby na utrzymanie zarobić, polował, kucharzował, prowadził księgi handlowe, między innymi w magazynie francuza Demilvilla na Perze. Tak doczekał się końca wojny krymskiej i pokoju Paryskiego (30 marca 1856).

W Konstantynopolu albo stale, albo czasowo przebywali natenczas literaci nasi: Karol Brzozowski, Henryk Jabłoński, Ryszard Berwiński, Roman Zmorski. Rozmowy z nimi rozbudziły zapewne nanowo żyłkę pisarską w Milkowskim. Posyłał on wprawdzie kiedyniekiedy korespondencje do *Demokraty Polskiego*, który po kilkoletniej przerwie znów w roku 1854 zaczął się pojawiać w Londynie pod redakcją Antoniego Żabickiego;

lecz za autora bynajmniej się nie miał. Autorstwo „wydusił” na nim — jak sam powiada — Włodzimierz Kozłowski, kolega z wojny węgierskiej. Na jego naleganie napisał: *Udział Polaków w sprawie wschodniej*. W opowiadaniu swoim nie szczędził nikogo, z zupełną swobodą wydawał sąd o zasługach, talentach i czynach ludzi, w jakikolwiek sposób do sprawy owej wmieszanych; najostrzej wszakże krytykował postępowanie hotelu Lambert (Czartoryskich, Wł. Zamojskiego) i Sadyka-Paszy (Michała Czajkowskiego). Rękopism tej pracy krążył w odpisach pomiędzy Polakami i ściągnął na autora mnóstwo nieprzyjemności. Wyzwał go naprzód Zygmunt Jordan, zwolennik hotelu Lambert; pojedynek ten, dzięki sekundantom Miłkowskiego (Türrowi, późniejszemu generałowi węgierskiemu, i Kozłowskiemu), którzy potrafili przekonać sekundantów przeciwnika, nie doszedł. Wyzwało go potem dwunastu naraz, lecz, rzecz bliżej zważywszy, odstąpili od zamiaru. Wyzwał go następnie znów jeden, któremu Miłkowski stanąć odmówił. Zaczęły się odgrazania, czyniące pobyt w Konstantynopolu niemiłym, a nawet niebezpiecznym dla autora *Udziału Polaków*. Nastawiano nań np. Greków najętych, którzy go jeżeli nie zamordować, to okaleczyć mogli. W prześladowaniu tem brały udział nawet osobistości urzędowe, usiłując nakłonić rząd turecki do wytoczenia autorowi procesu o potwarz.

Zanim atoli książka, tyle przykrości na autora sprowadzająca, ukazała się w druku, zaciągnął się Miłkowski pod sztandar publicystyki, którego odtąd miał być jedną z największych chlub i ozdób.

Od 1 maja 1856 roku zaczął wychodzić we Lwowie wskrzeszony po dwuletnim śnie *Dziennik literacki* pod redakcją Jana Dobrzańskiego, autora o niewielkim talencie pisarskim, ale o wielkiej umiejętności korzystania z usposobień chwili i o niemałej zdolności wyszukiwania i zużytkowywania sił młodych a rzutnych. W 44 numerze tego czasopisma (26 sierpnia 1856 roku), trzy razy na tydzień wówczas wychodzącego, pojawił się pierwszy ciąg artykułu p. n. *Wyjutki z pamiętników włóczęgi* podpisany literami T. T. J. Autor w króciutkim wstępie oświadczył, że pamiętniki jego „nie są studjami robionemi przy pomocy źródeł statystycznych, historycznych i instrumentów matematycznych”, lecz że są to „proste spostrzeżenia, opowiadanie o tem, co się widziało i słyszało”. W tych słowach wypowiedział autor mimowoli największą dla swej pracy pochwałę. Toż właśnie literaturze naszej brakło wtedy takich dzieł, wprost z bezpośredniej, naocznej obserwacji pisanych; bo jedni podróżnicy brali swe wrażenia

z książek cudzoziemskich i podawali za swoje, a drudzy patrzeć nie umieli i raczej chcieli sprawdzać to, co już naprzód w głowie swej ułożyli, aniżeli się uczyć za pośrednictwem badania i spostrzegania. A Miłkowski i mógł i umiał patrzeć; w krajach, które miał opisywać, przebywał długo, znał je nie z powozu pocztowego, ale z pieszej i częstokrotnej wędrówki, zmuszającej do obserwacji każdego spostrzegacza, a cóż dopiero tak bystrego, jakim był doświadczony w szkole życia nasz legionista, rysownik, agent, kupiec.

Pierwszym krajem, który w *Pamiętnikach* swoich nasz włóczęga opisał, była Dobrudża, jeden z teatrów wojny krymskiej, mający dla czytelników owoczesnych interes najświeższy. Rozpoczął też autor opis swój od obrazu obozowania tureckiego pod Bazarczykiem (w kwietniu 1854), skreślił ogólny zarys wojny, a dopiero potem przeszedł do oznaczenia niepewnych granic i niepewnego pochodzenia nazwy Dobrudży, co go poprowadziło do wzmianek o podaniach miejscowych, o wale Trajana, o mogiłach, wodach, górach, lasach i ziemi, o rolnictwie i handlu; w końcu podał autor nadzwyczaj zajmujące szczegóły o tej nader różnorodnej ludności, jaka Dobrudżę zamieszkiwała, o Rusinach, Turkach, Tatarach, Mołdo-Wołochach, Bulgarach, Grekach, Ormianach, Cyganach, o różnych sektach rosyjskich w Dobrudży szukających schronienia: o Staroobriadcach, Nekrasowcach, Bezpopowcach, Niemolakach, Mołokanach, Skopcach, Subotnikach.

Po Dobrudży nastąpiła (również w *Dzienniku Literackim*, r. 1857) Bułgaria. Zarys kraju tego jest już obszerniejszy; mówi tu autor naprzód o rolnictwie, ogrodnictwie, uprawie tytoniu, wina i o jedwabnictwie; przedstawia środki komunikacyjne, fabryki, handel, opisuje miasta i fortece. W drugiej części zastanawia się nad charakterem ludowym, podaniami dziejowemi, językiem, szkołami, duchowieństwem; maluje ruch umysłowy nowoczesny, zwyczaje ludowe, przesady i gusła; rozprawia o pieśniach i legendach.

W trzecim, najobszerniejszym ustępie z *Pamiętników włóczęgi* opisuje autor Konstantynopol (*Dziennik Literacki*, r. 1858). W ośmiu rozdziałach kreśli tu z coraz wzrastającą werwą naprzód zewnętrzną stronę miasta i wybrzeży, a następnie stosunki wewnętrzne; opowiada o rządzie, szkołach, dziennikarstwie, bibliotekach, drukarniach, nauce i poezji. Następnie rysuje sylwetki różnych narodowości zamieszkujących Konstantynopol;



mówi o urządzeniu domu tureckiego, o stanowisku kobiety, o wizytach, strojach i t. d.; z zamiłowaniem rozwodzi się o lasach i łowach. Ostatni rozdział poświęca barwnej charakterystyce Henryka Jabłońskiego, Karola Brzozowskiego i innych Polaków, z którymi się spotykał i przyjaźnił.

Dziennik Literacki bardzo mało był znany w Królestwie, na Litwie i Rusi; nowy tedy talent, w nim pierwsze swe prace pomieszczający, mógł być oceniony przez szczupłą stosunkowo część ziomków. Autor *Pamiętników włóczęgi* z własnego już popędu na początku roku 1857 przesłał korespondencyę z Konstantynopola do *Gazety Warszawskiej* nader wtedy poczytnej; zapytując zarazem, czyby dziennik ten nie życzył sobie dalszych tego rodzaju obrazków i sprawozdań po 5 franków za list. Antoni Lesznowski, ówczesny właściciel i redaktor *Gazety Warszawskiej*, przyjął propozycyę; nierychło jednakże wydrukował pierwszą korespondencyę, podpisaną dwiema tylko literami *T. J.* a datowaną 13 stycznia 1857 r., pojawiła się ona bowiem dopiero pierwszego kwietnia tego roku w N. 87. Lesznowski miał widocznie w zapasie dwie inne korespondencye, gdyż je pomieścił w bardzo krótkich odstępach czasu. Odtąd nieregularnie wprowadzie, ale dość często znajdujemy listy z Konstantynopola, które stają się coraz to dłuższe, coraz to większą werwą i swobodą opowiadania się odznaczają. W pierwszych dziesięciu korespondencyach pomieścił autor opis zewnętrznej strony Konstantynopola, od 11-tej począwszy zagląda do wnętrza domów stambulskich, oddając po kolei wizyty Turkom, Grekom, Ormianom, Bulgarom i t. d., zaspokajając ciekawość czytelników. z niecierpliwością oczekujących odsłonięcia tajemnic haremowych. W korespondencyi z 26 czerwca zapowiada *T. J.*, że odtąd myśli trzymać się ściśle faktów zdarzonych w czasie upłynionym od ostatniego listu. W listopadzie pomieszcza długi, przez kilka numerów ciągnący się list, w którym opowiada o swej wycieczce do Azji Mniejszej, opisując podróż morską i jego przygody z wielkim, porywającym talentem.

Tak się ciągnęły korespondencye *T. J.* z Konstantynopola lub Azji Mniejszej aż do połowy roku 1858; czytane były, jak świadczą spółcześni. a między innemi Julian Bartoszewicz, z nadzwyczajną chciwością; numery gazety rozrywano, korespondencye przepisywano i przesyłano sobie pocztą. Najlepszym zaś w czasach dzisiejszych dowodem ich poczytności będzie chyba ta okoliczność, że wydawca *Gazety Warszawskiej* przesyłając autorowi pierwsze honorarium na Nowy Rok 1858 policzył od listu według

umowy po 5 franków a oprócz tego dodał 300 franków „gratyfikacyi“, zapowiadając, że odtąd będzie płacił za list po franków 40.

Rok 1857, w którym *T. J.* stał się naprawdę autorem czytany przez szersze koła publiczności, od którego zatem datować wypada jego stałą a nie dorywczą tylko działalność literacką, upamiętnił się jeszcze i z tego względu, że w nim powstał, a w każdym razie do druku przygotowany został utwór większych rozmiarów, pierwsza powieść literami *T. T. J.* podznaczona, napisana wskutek nalegania Kozłowskiego a osnuta na wrażeniach, odniesionych przez autora podczas bolesnego w Tulczy pobytu r. 1853. Pierwsza ta powieść, wydrukowana na początku roku 1858 w *Dzienniku Literackim*, pozyskała odrazu uznanie i rozgłos wielki, obudziła zainteresowanie się niepospolite. Zachwycony nią Henryk Jabłoński, poeta niemałych zdolności, nie wiedząc, kto się pod kryptonimem *T. T. J.* ukrywa, tak pisał do przyjaciół w Konstantynopolu o wrażeniu, jakiego doznał, i domyslał, jakie mu do głowy przychodziły przy czytaniu tego utworu: „Dziwną czytałem niedawno powieść *Wasyl Holub*. Piękna powieść, bo rzetelna a prawdziwa. Ci, co nie znają naszej Ukrainy, nie zdołają pojąć, ile charaktery w niej są szkicowane z natury; ton, tło i koloryt są swojskie, nasze, podolskie, ukraińskie dziwnie. Powiadają, że mi się zdaje, że przekonany jestem prawie, że powieść tę napisał Zygmunt. Nie myślę mu tu prawie pochlebstw w takim razie; ale serdecznie dziękuję za chwilę błogich marzeń, za kilka obrazków, za parę wspomnień wywołanych z duszy. Skąd mi to przypuszczenie?... Ten, co pisał *Wasyla Holuba*, zna Dobrudżę, więc to ktoś z was, moi mili Turcy; a że między wami win oden kozak prawdy wyj, win oden znaje kozackuju piśniu i tuhu, znaje szczo każe syraja zuzula, znaje szczo hołosyt diweczyna... jak słowo howoryt, to rit roz dewysz a na serdeńku lehkko a hlady w oczach zamajało i slozeńka na usach zawysła — czorty b je ho!“ — Lesznowski znów, niewiedzący, że kryptonimy *T. T. J.* i *T. J.* też samę oznaczają osobę, pisał do swego korespondenta ze Stambułu: „Dowiaduję się, że autor *Wasyla Holuba* przebywa w Konstantynopolu. Czy nie znasz go pan? Jeżeli znasz, zamów u niego w imieniu mojem powieść dla *Gazety Warszawskiej*“. Korespondent odpowiedział, że zna autora dosyć dobrze. Z zamówienia tego powstała *Handzia Zahornicka*, podpisana już pseudonimem *T. T. Jez*, którego jako powieściopisarz stale już odtąd Zygmunt Miłkowski używał. Po niej nastąpił,

również w *Gazecie Warszawskiej* Szandor Kowacz, a dalej *Historja o pra...pra...wnuku i pra...pra...dziadku*. Jeż został znanym i uwielbianym powieściopisarzem ¹⁾.

II.

Było to rzeczą niepospolitej doniosłości, że nasz publicysta i powieściopisarz nie zabrał się natychmiast po skończeniu uniwersytetu do pracy literackiej, ale mógł, choć z trudem i wśród cierpień, zbierać plony doświadczenia, by się niemi następnie ze społeczeństwem podzielić. Wybujałe marzenia młodości miały czas zmierzyć się z rzeczywistością, a absolutne wyroki rozgorączkowanej nowymi poglądami głowy miały możność złagodzić wskutek starcia się z faktami życia codziennego, które wyrokom tym posłuszeństwa odmawiało.

Tym sposobem wytworzyły się w umyśle Jeża dobrze wyrobione przekonania co do najważniejszych stosunków społecznych i politycznych. Czem są takie przekonania, to dosadnie i malowniczo wypowiedział powieściopisarz w *Historji o pra...pra...wnuku*, przedstawiając niebezpieczeństwa, na które narażonym bywa młodzieniec rozpoczynający zawód życiowy. „Jeżeli przekonanie jest nijakiem lub słabem — powiada tu — klejonką z bojaźliwych zasad, z wyobrażeń o pół-cnotach i z pseudo-poczuć poświęcenia — to po nim!... Popłuska się może jeszcze na głębokiem błocie, jak niezręczny pływak, zachłysnie się, naleje się mu w uszy, da nurka, ale nie jak nurek po to, aby gdzieś dalej wypłynął, lecz jak topielec, utopi się w błocie. Jeżeli zaś przekonanie jest silnem i skierowaniem ku szlachetnym, podniosłym celom; jeżeli opiera się na śmiałych zasadach, na istotnej cnotie, na prawdziwym poświęceniu; to, chociaż pływak obryzga się w kałuży, ale koniec końcem wypłynie i oschnie i — ku czemu miał dążyć, podąży, co miał zrobić, zrobi. Nie jest jeszcze młodzieniec zgubionym, póki trzyma się nitki Aryadny, mającej wyprowadzić go z ogromnie w naszych czasach zagmatwanego labiryntu rozmaitych wyobrażeń o złem i dobrem, o brzyd-

¹⁾ Szczegóły biograficzne powyżej podane, są wzięte częścią z listu samego Jeża, 21 lutego 1881, częścią z utworów jego drukowanych, częścią wreszcie z pracy p. Wacława Holwińskiego (w dodatku miesięcznym do *Przeglądu Tygodniowego*, Nr. 3 do 5 włącznie), który korzystał ze źródeł dla mnie nateraz nieprzystępnych.

kiem i pięknem. Rozpędziwszy się po drodze istotnej cnoty, chociaż nieco zboczy, nie zrobi on jednakże na lewo w tył, nie pójdzie wstecz, póki mu przyswieca gwiazda przewodnia silnego, śmiałego i szlachetnego przekonania“....

A trzeba było bardzo silnych i dobrze wyrobionych przekonań, ażeby się oprzeć prądowi ówczesnego usposobienia, jakie panowało wśród społeczeństwa ukształconego i w literaturze.

Po stłumieniu ruchów, wywołanych przez rewolucję lutową w Paryżu, zapanowała na całym zachodzie reakcja. Wpływ jej rozszerzył się i na nasze stosunki. Myśl swobodna, postępową, przejawiającą się dawniej, choć słabo, wśród grona młodzieży, została obwołaną za nieprzyjaciółkę porządku społecznego. Zwolennicy jej albo zamilkli albo też, co ze wstydem wyznać trzeba, przemienili się w jej wrogów. Zaniknięcie tej myśli podziało zgubnie na wszystkie dziedziny życia duchowego.

Wiara korna, bez rozbioru, stała się hasłem i kotwicą zbawienia. Dążność do jej wszczęcia przejawiała się w przekładzie utworów takich, jak księdza Gaume'a, Guillois, Schmidta, a nawet w dziełach oryginalnych Ziemięckiej, Jakubowicza, usiłujących zamiast filozofii niezależnej, postawić filozofią dogmatyczną, chrześcijańską, katolicką. Cywilizację europejską poczytano za rzecz niedającą się pogodzić z wiarą, bez radykalnych zmian. We wszystkich rozumowaniach i poglądach powoływano się na objawienie, na religię; poezja, historia, nauki przyrodzone nawet musiały się zabarwiać jaskrawo odcieniem teologicznym. Ciż sami, co przed r. 1850 śmiało występowali przeciw uzurpacji hierarchicznej, teraz korzyli się potulnie przed cenzurą duchowną, poddając pod jej wyrok wszystkie swoje myśli i uczucia.

Zapewne, w niektórych osobistościach to „nawrócenie“ było przynajmniej szczere; ale wielu i bardzo wielu „napelniali wóz Chrystusem“ tylko dla parady, dla przypochlebiania się kierunkowi idącemu z góry, dla karyery i zysku. Obluda, ta najobrzydliwsza zaraza ducha, zaczęła się szerzyć epidemicznie.

W kwestjach społecznych zaniechano najzupełniej dotykać tak zwanych punktów drażliwych. Wielka sprawa włościańska pozostawała jeszcze na ogromnej przestrzeni kraju niezłatwioną. Stosunki pańszczyźniane w Królestwie, a poddańcze na Litwie i Rusi trwały jeszcze w całej swej groźnej sile. Wobec Europy zachodniej, w której wszędzie już zasada swobody indywidualnej weszła w życie, jako wyraz nowożytnych dążeń do

równości i wolności prawnej, stosunki nasze pod tym względem przedstawiały się jako smutna pozostałość po epoce samolubnego ustroju kastowego. Przed reakcją, zarówno na tularctwie jak i w kraju, rozumiano to doskonale i rozmaitemi sposobami starano się złe usunąć. Ale po zapanowaniu prądu reakcyjnego, głosy literatów za „chłopami“ przemawiających przychylły; co więcej zaczęto nawet rozplýwać się nad pięknosćią i podniosłosćią „patryarchalnego“ stosunku pana do chłopą, a ponieważ cywilizacją zachodnią jako bezbożną i zepsutą gardzono, więc wzór jej stracił wartość, owszem śmiało jej wytykano, że ona była rodzicielką straszliwego potwora, nazwanego proletaryatem i jeszcze straszliwszego, nazwanego socjalizmem.

Podobnemuż losowi uległa kwestya wyższego wykształcenia kobiety. Nauka była niebezpieczna wogóle, cóż dopiero dla słabej niewiasty! Należało sprawę tę zostawić w takim stanie, jak była dotychczas, bo tak było dobrze.

Naturalną drogą takiego pojmowania rzeczy, ugruntowywało się stopniowo przekonanie, że u nas wszystko idzie dobrze, że nie tylko nie potrzebujemy niczego zazdrościć „zmateryalizowanemu zachodowi“, gdzie maszyny i fabryki „zagasiły ducha“, lecz że owszem ten okrzyczany zachód mógłby od nas, z wielkim dla siebie pożytkiem, przejąć wiele rzeczy wybornych: otwartosć serca, szlachetnosć duszy, czystosć obyczajów, patryarchalne stosunki rodzinne i społeczne. Wszystko, co było swojskie, „nasze“, poszło w górę; nawet nasze chatki z wkleśniętem poszyciem słomianem, nawet nasze mostki klawiaturowe, nawet nasze wioski nieregularnie zabudowane z chałupami dowolnie powykrzywianemi, nawet nasze bagna nabrały poetycznego wdzięku, „przemawiały do serca“....

Ten sentymentalny szowinizm przedostał się także i do poglądów na przeszłosć. Co w niej było rozumnego i dzielnego, co świadczyło o wyższym polocie, to nie mogło wtedy być podniesionem i uwielbionem. Ani wiek XVI ze swemi ruchami reformacyjnemi, ani druga połowa wieku XVIII ze swojemi ideami racjonalistycznemi nie przypadaly do smaku tym, co rozum potępiali. Szczególniej „wiek oświecony“, jako najbliższy i najlepiej stosunkowo znany, nie znajdował łaski wobec czcicieli swojszczyzny; nie widziano w nim i nie chciano widzieć rozwoju i podniesienia się myśli, pomijano dążnosć i usiłowania reformatorskie, a uderzano na bezbożnosć, na zepsucie obyczajów, na lekkomyślnosć i rozpustę, wskazując oświatę francuską jako główną przyczynę złego. Voltaire i Encyklopedyści stali się przedmiotem drwin, szyderstwa i obelg.

Natomiast z jakimże to uwielbieniem przedstawiano postaci kontuszowe, perorujące, pijące, bijące i całujące się! Były to zazwyczaj figury bezmyślne, ale jakie „nasze“, jakie malownicze! Krok tylko, aby potępiając „wiek oświecenia“, uwielbić pijacką epokę Sasów — i krok ten zrobiono. Wszystko doskonale było za Sasa: była wiara był animusz, była serdecznosć, była miłosć kraju. Wiara wprawdzie kończyła się na klepaniu pacierzy, animusz służył tylko w zwadach i zajazdach, serdecznosć nie wyłączała obludy, miłosć kraju nie przeszkadzała zrywać sejmów; ale na to wielbiciele przeszłosći zamykali oczy; dla nich wystarczał fakt, że postacie szlachty jaśniały weselem, śmiały się na całe gardło, były zdrowe i zadowolone z siebie. Polska szlachecka stanęła w apoteozie, opromieniona bengalskimi ogniami zachwytu. Co szlachta zrobiła, było wyborne, bo wypływało z przepelnionego serca, nie zaś z „mędrkującego“ rozumu. Tak szczęśliwie żyło społeczeństwo, dopóki prąd obcy, zagraniczny nie zmącił czystego wód zwierciadła.

Literatura belletrystyczna, poezya i powieść, która w tak rozkosznych obrazach przedstawiała „świętą“ przeszłosć, rozrastała się bujnie, podobna do kwiatu wspaniale rozwiniętego, jaśniejącego precudnemi barwami i wydającego zapach odurzający. Pod jej wpływem społeczeństwo drzemało rozkosznie, oddając od czasu do czasu pokłon zabalsamowanej przeszłosći, ale nie poczuwało się do potrzeby popchnięcia dalej życia narodowego, boć naturalnym wnioskiem, jaki się wysnuć dawał z przedstawionego w sposób powyższy ideału dziejowego, był ten, że zmian żadnych w życiu społecznem, gdy politycznego już nie było, wprowadzać nie wolno.

A literatura, obrazując to życie spólczesne, rzadko kiedy napomýkała, że istnieją inne ważne, doniosłe obowiązki, oprócz czci i uwielbienia dla czasów minionych. Środkowym punktem belletrystyki stała się prawie wyłącznie miłosć, na różne wyspiwywana tony. Bohaterowie i bohaterki kochali się, sprzeczali i godzili i na tem schodził im cały czas, przez całe dni, tygodnie, miesiące i lata. Zdawało się, że świat interesów, zajęć, obowiązków, pracy wogóle nie istniał dla nich zupełnie; jedynem ich zatrudnieniem było marzenie, fantazyowanie i kochanie się.

Trzeba przyznać, że miłosć po większej części przedstawiana była ze strony szlachetnej, że charaktery bohaterów, choć słabe i miękkie, były podniosłe, że belletrystyka zatem ta nie mogła sprowadzić bezpośrednio żadnej demoralizacyi. Zapatrując się atoli na jej wpływ z punktu widzenia zadań społecznych, musimy zauważyć, że nie liczyła się ona wcale z powa-

zną grozą życia, w którem miłość gra rolę wprawdzie nadzwyczaj ważną, ale nie pierwszorzędną i, że tak powiem, prywatną; że nie wystawiała ona obrazu obywateli i obywaterek kraju, ale tylko kochanków i kochanki; że całą sferę pracy, trudów i moliw pomijała milczeniem; że pośrednio, wystawiając jako najistotniejsze zajęcie bohaterów miłość, pobudzała czytelników, bardzo różnych pod względem temperamentu i charakteru, do praktykowania tej miłości na sposób różny, częstokroć wcale nie idealny.

Dopiero pod koniec owego reakcyjnego dziesięciolecia ludzie, którzy albo nie zatracili dawniejszej trzeźwości umysłu, albo ją zdobyli ciężkiem, mozolnem doświadczeniem, zaczęli przypominać narodowi sprawy niezłażtwione i obowiązki do spełnienia.

Kwestya włościańska pojawiła się jako najważniejsza dla bytu społeczeństwa. W naukowych wywodach podnosi ją Krzysztopór (1858) i inni, w powieściopisarstwie — Teodor Tomasz Jeż.

Jeż, jak wiemy, już w latach młodości żywo się kwestyą tą zajmował; następnie jako członek „Towarzystwa Demokratycznego“ niejednokrotnie miał sposobność dokładnie się nad nią zastanawiać; w wędrówkach swoich ocierał się zbliska z ludem, poznał jego usposobienie do gruntu, wiedział, do czego on wzdycha, czego pragnie. Pierwszą też powieść swoją, *Wasyła Hołubę*, osnuł na tle życia ludu ruskiego, dotykając naturalnie z konieczności i życia dworu. Jeż nie myślał bynajmniej idealizować ludu, nie myślał zakrywać przed oczyma czytelnika grubych instynktów i prostackich przyzwyczajzeń wieśniaka; chłopci jego — to nie pasterze z sielanki, lub powieści romantycznej, ale ludzie rzeczywisci, tacy, jakich po wsiach istotnie widzimy. W jednym ze swych utworów powiada otwarcie: „Gdybym był salonowym, gładkim pisarzem, strojącym frazesy w czubki a treścią rzeczy usiłującym sprawiać czytelnikom umysłowo-fantastyczną ślizgawkę, za żadne skarby świata nie ośmieliłbym się przedstawiać czytającej publiczności takiego bohatera. Jest to bowiem prosty, najprostszy, jak sobie tylko wyobrazić można, chłop, cham, mud', śmierdzący dziegiem z powodu butów, które sobie dziegiem smaruje, śmierdzący czosnkiem z powodu połudeńców, które sobie czosnkiem przyprawia, obcierający nos palcami a lży kułakiem, drapiący się w łeb, jeżeli mu nie po myśli, rozdziawiający głowę ze zdziwienia, uśmiechający się głupawo, jeżeli co wypadłoby a nie można zganić, i roziskrzający wzrok płomieniem zapалу, jeżeli go co zachwyci“.

Ale ten nieokrzesany chłop ma serce i umysł, tak jak wszyscy inni ludzie, jest naturą prostą, niezepsutą, posiada zdolności, które można rozwijać, posiada uczucia szlachetne, które potrzebują tylko sposobności, ażeby się w piękny czyn zamienić. Wobec takich ludzi, przez proste zestawienie, jakże maleją ci wypolerowani w szkole świata, ale skarleli duchem panowie, którzy nabyli wykształcenia, ale stracili szlachetność!

Porównanie takie samo przez się, bez usiłowania autora, narzuca się w *Wasylu Hołubie*. Wasył był chłopem-sierotą, przytulonym przez leśniczyńkę, a następnie wziętym do posług dworskich przy boku samego pana, człowieka niezłego w gruncie, ale tradycyjnie spędzającego gniew swój i niezadowolenie na poddanych i uważającego ich za niewolników. Wasył, przysłuchując się rozporządzeniom pana, odnoszącym się czy to do plag, jakie ekonom miał wymierzyć, czy to do poboru rekruta, ostrzegał potajemnie interesowanych pod tym względem mieszkańców wioski, którzy też od tego czasu zaczęli znikać. Przez czas jakiś, dzięki niedomyślności pana, rzecz ta uchodziła Wasyłowi na sucho; aż raz ekonom, skrzyzczany za wydłużanie się wioski, rzucił podejrzenie na Wasyła, które się okazało prawdziwem. Zagrożony plagami i oddaniem w rekruty, winowajca ucieka i — za radą doświadczonego w tego rodzaju sprawach kozaka — udaje się na Dobrudżę, zaciąga się do resztek Siczy Zaporoskiej, tam pod dowództwem Hładkiego istniejącej, bierze udział w wojnie tureckiej 1828 r., widzi, jak Hładki zaprzepaszcza Sicz, i wraca po skończonej kampanii do stron rodzinnych.

Podczas lat nieobecności Wasyła w wiosce rodzinnej, stary dziedzic umiera, a syn jego, używający młodości z całych sił i niekrepujący się niczem, zostaje panem nieograniczonym losu poddanych i czi poddanek. Jedna z nich, córka owego doświadczonego kozaka, kochająca Wasyła i przezeń kochana, wpada w oko wyuzdanemu lampartowi, który, gdy go Wasył dobrze raz poczęstował, poprzysięga mu zemstę i gwałtem zabiera dziewczynę do dworu, ażeby po kilku miesiącach odesłać ją ojcu... zhańbioną.

Wasył, uciekły po raz drugi ze wsi, z powodu obawy srogiej zemsty, dostaje się szczęśliwie do Grzybek, majątności Józefa Głowińskiego, na Pobereżu. W opisie wioski i jej właściciela odtworzył Jeż w sposób powieściowy Rybki, w których swe dzieciństwo spędził i postać ojca swego. Stosunki pana do poddanych w tej wiosce stanowią kontrast najzupełniejszy z tem, co się działo we wsi rodzinnej Wasyła i w większej części wsi innych.

Ten pan Głowiński — jak mówi nasz powieściopisarz — był to sobie dziwak trochę, przynajmniej na owe czasy; miał bowiem kilka maksym zasadniczych, sobie tylko właściwych: utrzymywał np., że prawdziwym szlachcicem jest ten jedynie, kto szlachetnie postępuje, że próżniak jest wrzodem w ciele społecznym, wysysającym niepotrzebnie żywotne jego soki i t. p. Ale maksymy te nie tylko wypowiadał, lecz w czyn zamieniał. W majątku swoim był opiekunem poddanych, których za braci uważał, a wystudowywawszy doskonale techniczną stronę gospodarstwa wiejskiego, udzielał „chłopom“ wiadomości swoich w sposób łatwy, przystępny i praktyczny, gdyż sam osobiście robotom przewodniczył... Wieśniacy grzybeccy nie mogli robić źle, bo dziedzic, znając się na wszystkim, umiał sam i zrobić i pokazać... Znał się na pasiecznictwie, na bydłych i końskich chorobach, i wszystkimi temi wiadomościami z zupełną bezinteresownością dzielił się z poddanymi swymi. Nieraz zdarzało się, że obudzony wśród nocy dlatego, że któremuś z poddanych jego zachorowało bydło, wstawał, brał puszcza-dło, lekarstwa i śpieszył na ratunek „chłopskiej“ chudoby. To też gromada grzybecka była niby rodzina jaka, związana węzłem miłości i wzajemnego zaufania... „Chłopi“ kochali i nie bali się „pana“, w którym widzieli starszego brata, ojca, doradcę, opiekuna, nie zaś pijawkę, ssącą krew z ich pracy. Był tam i ekonom, ale chodził bez batoga, i w całym gospodarskim arsenale dziedzica nie było ani jednego narzędzia, przeznaczonego na chłostanie chłopów; do zasadniczych bowiem maksym Głowińskiego należało także i to, że kara cielesna bardziej poniża tego, co ją wymierza, niż poprawia tego, co ją odbiera. Występki, kradzieże stały się w Grzybkach nieznane; próżniactwem pogardzano; pracowal dziedzic, pracowali poddani, a głównym dozorem i całą podniętą pracy była emulacja; w gromadzie wyrobiła się gromadzka opinia publiczna, kontrolująca i chłuszcząca niemilo-siennie tych, którzy się od pracy uchylali. Rozkosznie i lubo było przyjechać i zabawić przez dni kilka w Grzybkach i przypatrzeć się tej harmonii pracowitego ruchu... Wyjeżdżało się stamtąd zdrowszym, lepszym, bo oglądało się żywymi oczyma ideał ludzkości, poprawionej bez użycia ekscentrycznych teoryj, samym jedynie wpływem dobrego przykładu, dawanego przez człowieka, postawionego na wyższym szczeblu drabiny społecznej...

Wasyła przyjął p. Głowiński jak brata, powitał słowem przychylnem, dał zajęcie i pozyskał w nim wiernego sługę, gotowego życie dać za swego dziedzica i za to, co ten dziedzic ukochał. To też gdy nadszedł rok 1831, miał Głowiński w Wasylu wybranego wykonawcę militarnych poleceń

i dzielnego żołnierza. W bitwie pod Daszowem, którą nawiasem mówiąc Jeż świetnie odmalował, Wasylowi ocala życie (zapewne mimowoli) jakiś młodzieniec, tak obojętnie zachowujący się w ogniu bitwy, jakby był na polowaniu. Gdy się skończyła wojna, w której Głowiński wraz z wielu innymi poległ, Wasyl jedzie do swej lubej, zastaje ją na półobląkaną, dowiaduje się bolesnej prawdy. Z zemstą w duszy mknie do dworu, by lubieżnemu paniczowi dać nową, pamiętną naukę. W uskutecznieniu kary uprzedzili go już włościanie, którzy pana związawszy wysłali jako buntownika do najbliższego miasta. Wasyl puszcza się w pogoń i w panu poznaje swego wybawiciela.

Pod wpływem wypadków, lubieżnik przemienił się na rycerza, despota na obywatela, pragnącego widzieć braci we wszystkich mieszkańcach kraju. Wasyl w uznaniu tej przemiany przebacza panu swą krzywdę, bierze kochankę „pokrytkę“ i z nią udaje się na Dobrudżę, gdzie spokojnie uprawia ziemię, wychowując dziecię — swego niegdyś dziedzica.

Jeżeli w sprawie metamorfozy lubieżnika i heroizmu Wasyla jest cokolwiek przesady tendencyjnej, to w szczegółowym kreśleniu charakterów i wypadków niema jej śladu. Jeż nie chciał idealizować chłopą, nie chciał karykaturować pana; jednemu i drugiemu przyznaje przymioty i wady, zależne od natury i wychowania; a wyrażanie uczuć zgodne jest ze stanem tego, kto tych uczuć doznaje. Jego Wasyl nie jest romansowym bohaterem, któryby dokazywał rzeczy nadzwyczajnych, któryby wszędzie i zawsze grał pierwszą rolę; owszem zgodnie z prawdą, jako jednostka mało znacząca, ginie on nieraz w masie, i w niektórych tylko wypadkach, siłą rzeczy wyniesiony, wypływa na wierzch. Jego dziedzic, zarówno starszy jak młodszy, nie jest potworem, ale człowiekiem, mającym, obok zalet pewnych, wielkie wady, nie tyle będące wynikiem indywidualnego charakteru, ile skutkiem historycznie wyrobionych kastowych stosunków. To też ciosy publicysty nie są wymierzone w serce tej lub owej jednostki, lecz w serce samego nie-normalnego, niesprawiedliwego stosunku jednych ludzi do drugich. Domaga się on, ażeby w chłopie uznano przede wszystkim „człowieka“, ażeby mu przyznano prawo rozwijania się i kształcenia, prawo zachowania i bronięcia swojej godności ludzkiej, prawo swobodnego ruchu, swobodnej pracy, prawo zostania obywatelem kraju na równi z innymi. Ażeby przyznać mu te prawa, nie potrzeba litości i filantropii, nie potrzeba sentymentalnie roz-lzawionych popędów serca, potrzeba tylko w sobie i w innych szanować „człowieka“, znać swe obowiązki i mieć wzgląd na cele, ku którym życie

narodowe kierować się winno. Myśli te rozwijał następnie autor w *Handzi Zahornickiej*, ale najszczegółowiej przeprowadził i podał środki ich urzeczywistnienia w *Historji o pra...pra...wnuku i pra...pra...dziadku*. Jest to, można powiedzieć, programowe dzieło Jeża, skupiające w sobie poglądy na różne strony życia społecznego i politycznego. Zobaczmy naprzód, jak się w niem kwestya włościańska przedstawia.

To, co Józef Głowiński na małą skalę, przy szczupłych środkach, w swoich Grzybkach zrobił, znajdujemy udokładnionem, rozwiniętem na szerszy rozmiar w Hrynenkach, majątku Ksawerego Jeża, dawnego Kościuszkowskiego żołnierza, potem legionisty. Dwór i gromada stanowi jedno. Włościanie posiadają kawałki gruntu na własność. We wsi jest szkoła i szpital. Hasłem ogólnem praca: jemu posłuszni są wszyscy i pan i chłop. Pan jest tylko najbogatszym gospodarzem, a jako najbogatszy i najrozumniejszy daje pomoc i radę uboższym i nieukształconym. Wieśniacy kochają i uwielbiają pana, dzieci jego uważają jakby za własne, we wszystkich sprawach dworu biorą udział najserdeczniejszy. Dzieci pańskich nigdy nie przestrzegano, żeby się nie wdawały z dziećmi chłopskimi; to też żyją one z niemi, bawią się i kochają.

Jak Ksawery Jeż rozumiał ten stosunek dworu z gromadą, widzimy z testamentu, którym myśl swoją przekazywał synowi Janowi. Testament ten był — jak mówi autor — projektem spółki rolniczej zawiązanej w Hrynenkach pomiędzy Janem i gromadą. Jan wchodził do niej z warsztatem ziemi i z kapitałem narzędzi rolniczych, inwentarza, pieniędzy i umysłowej pracy. I każdy gospodarz wchodził także z warsztatem ziemi t. j. własnego kawałka i z kapitałem narzędzi, inwentarza, fizycznej (zamiast pieniędzy) i umysłowej pracy. Zasadą tej spółki było połączenie warsztatów i kapitałów w celu wzajemnej pomocy, połączenie, mocą którego nikt ani jednych, ani drugich ze spółki samowolnie wycofać nie mógł. Każdy członek spółki rozporządzał dowolnie owocami swojej pracy, czystym dochodem, ale nie fundamentalnym, wkładowym kapitałem. Ten ostatni nie tracił swego charakteru, ani przy przechodzeniu z rąk do rąk (w razie sprzedaży, spadku na potomstwo, darowizny, wydzierżawienia), ani przy rozdrobnieniu pomiędzy spadkobiercami. W razie rozdrobnienia np. jeden warsztat-ziemia rozpadał się na dwa, trzy, dziesięć i każda z tych części wchodziła jako jednostka do składu całości. To samo działo się i z kapitałem. Ziemi i kapitału oderwać od całości nie można było. Należały one do wszystkich i zależały od wszystkich, związane solidarnością interesów i podległe po-

wszechnej kontroli. Ciężary, jako to: podatki, zsyпки, utrzymanie cerkwi, szkoły, szpitala, apteki, dotyczyły proporcjonalnie wszystkich członków spółki. Skutkiem kontroli, jeżeli które z mniejszych lub większych gospodarstw źle było prowadzonem, to spółnicy naznaczali administracyę. Przy rozdrobnieniu małych części na jeszcze mniejsze, spółce przysługiwało prawo przysądzania wkupna w większe, zaczynając od największych t. j. jeżeli gospodarz umierając zostawił np. dwóch synów, dla których jego udział, podzielony na dwa, nie wystarczał, to jeden z synów zostawał na gospodarstwie ojcowskiem, a drugi wkupywał się w gruncie dworskim i zakładał nowe gospodarstwo. Na ten cel założonem był bank gromadzki, wzrastający co roku procentami od dochodów, którego przeznaczeniem było udzielanie pożyczek, bądź na wkupno, bądź na ulepszenia rolnicze, bądź na ratunek w razie ognia, zarazy na bydło, powodzi, nieurodzaju i innych nieszczęść. W razie bezpotomnej śmierci, wydalenia się lub utraty za złą kondytę prawa władania majątkiem jednego ze spółników, gospodarstwo jego stawało się własnością gromady, która mogła bądź administrować na rzecz ogólną, bądź sprzedąć, dochody z administracyi i sprzedaży wkładając do banku. Zastrzeżonem było, że jeżeliby prawny spadkobierca lub właściciel odnalazł się albo powrócił, to miał prawo żądać zwrotu dochodów i gospodarstwa, jeżeli takowe nie zostało sprzedanem, a w razie sprzedaży, sumy za nie uzyskanej.

Jakkolwiekbyśmy oceniali wartość ogólnego pomysłu tej spółki, czy tego falansteru rolniczego, nie należy zapominać, że w nim jest mowa o własności indywidualnej chłopu, o szkółce, szpitalu, aptece, banku, że szczegóły te, sprawę włościańską rozjaśniające przed uwłaszczeniem, posiadały znaczenie publicystyczne daleko większe, aniżeli projekty, po dokonaniem uwłaszczeniu robione. Były to rzeczy, po raz pierwszy w powieściowej formie traktowane w sposób tak dokładnie określony. Powtóre, nie trzeba także zapominać przy ocenie tego pomysłu, że Jeżowi chodziło o utrzymanie jedności interesów dworskich i chłopskich, o przeprowadzenie idei uobywatelnienia włościan.

Nie mogąc wskazać, jakby dzisiaj ideę tę urzeczywistnić należało, Jeż cofnął się w przeszłość, w same początki wieku XVII i wystawił Kuźmę Jeża, domniemanego pra...pra...dziadka rodziny, dosługującego się prawa obywatelstwa w służbie dla kraju. Wzięty ze wsi bez żadnego ukształcenia przez Lisowskiego, wprawia się w robienie broni, walczy dzielnie w wojnie Polski z Mołdo-Wołochami, dobija się powszechnego

uznania, czyta, uczy się, zapoznaje się z formami życia szlacheckiego, — ale uszlachcenia nie przyjmuje, mówiąc, że choć nieherbowy jest takim dobrym jak i herbowi obywatelem, — i chłopem pozostaje. Nie idzie bowiem o tytuł, ale o pełnienie obowiązku. Chcąc lud mieć za sobą, potrzeba, ażeby on tak, jak Hrynenczanie, kiedy Kuźmę na służbę Rzeczypospolitej wysyłali, poczuł się częścią całości, członkiem wielkiego ciała, ażeby nań zstąpiła „jakaś jasność rozszerzająca koło jego widzenia“.

Obok sprawy włościańskiej podniósł jeszcze Jeż w *Historji o pra...wiku* inną kwestję, dotyczącą sfer wykształconemi zwanych. Panujący jeszcze ciągle naówczas prąd sentymentalno-szowinistyczny nie mógł znaleźć uznania w trzeźwym, jasno patrzeć na rzeczy pragnącym umyśle powieściopisarza. W dwu osobach: Józefie Ambrożym Porońskim i Albinie Skrzybickim odkrył i przedstawił źródło i wpływ tego kierunku.

Józef Ambroży Poroński, autor licznych dzieł pod różnemi pseudonimami wydawanych, entuzjasta na zimno, frazeolog okragło-usty, dbały o swoją powierzchowność i swój żołądek, zachwycał się wszystkim, co „nasze“, który to wyraz wymawiał ze szczególniejszym przyciskiem, piorunował po kaznodziejsku na tych, coby podnieść śmieli „świętokradzką rękę na ten boży spokój, na ten żywot ciszy i rezygnacyi, jaki przechował się jeszcze w naszych wioskach, w naszych dworkach szlacheckich, wśród naszego ludku“, był apostołem „wygodnych zasad i tanich cnót“, apoteozując tak zwaną „cichą cnotę“, odmierzoną łokciem skromnej miary, zwanym „to co można“. Pełniących taką cnotę nazywał „mężami zasługi, bohaterami“, a ich postępowanie — „poświęceniem“. Heroizm takiego „poświęcenia“ zatrzymywał się „na uprawie języka, podtrzymywaniu pism, teatrów, muzeów, kościołów, budowaniu pomników, zaprowadzaniu zakładów, dobroczynnem i gospodarskiem stowarzyszaniu się, na względnem traktowaniu poddanych, na kupowaniu krajowych wyrobów, na wystrzeganiu się cudzoziemczyzny i na tym podobnych bardzo dobrych, pięknych i potrzebnych rzeczach, którym dobroci, piękności i potrzeby żadną miarą zaprzeczyć nie można, ale wielkość których tak wysoko przez pana Porońskiego podniesioną była, że już to, coby ponad nią myśla, chęcią lub uczynkiem wzniesć się próbowało, byłoby chyba szaleństwem“.

Wychowawcem jego, duchowym synem, admiratorem był Albin Skrzybicki, młodzieniec niewielkich zdolności, ale z sercem najlepszym. Skończył tylko trzy klasy, ale zawsze interesował się postępami szkolnemi swoich niegdyś współkolegów, odwiedzał ich bardzo często, dowiadywał się skwapli-

wie o to, czego się uczyli, przysłuchiwał się chętnie ich rozmowom, kupował wszystkie książki polskie, jakie tylko mógł dostać, lubił sztukę, nabywał obrazy malarzy krajowych. Potem usłał sobie bardzo wygodne, bardzo piękne gniazdko, przyjmował gościnnie sąsiadów, miał doskonałego kucharza, który przygotowywał same narodowe potrawy, był przez współobywateli wielce szanowany i został wybrany na marszałka. Porońskiego uważał za wyrocznie, samoistnie nie myślał, z własnem zdaniem nigdy się naprzód nie wyrывał i zawsze szedł za większością. Ostatecznie rozkochał się w estetycznym sybarytyzmie, opasł się, stał się niedołęgą, niezdolnym do poświęcenia swego majątku i swej osoby na ołtarzu jakiejś wielkiej sprawy, zaslaniającym się od takiego poświęcenia przejętami od Porońskiego frazesami o potrzebie ochronienia skarbów narodowych, w domu jego nagromadzonych, od niebezpieczeństwa zraty.

Tą krytyką sentymentalnego szowinizmu zachwiewał równocześnie Jeż i wypieszczony ideał szlachecki tak w terażniejszości jak i w przeszłości. Z wglądnięcia w stan moralny i umysłowy szlachty bohater utworu Jan przyszedł do następnego rezultatu: „Znalazł dużo dobrego: taką pocziwość, którą się dość nazachwycić nie można, ale ślepą, słomianą, owczą, gołębią, bardziej instynktową niż ludzką, która w biernej ślepotcie, często w najlepszej wierze, ani domysłając się tego, w niepocziwość przechodzi. Znalazł pocziwość ambitną, dbającą przedewszystkiem o to, co o niej ludzie mówią, gotową dogodzić ludziom, nawet gdyby dobre ich mówienie trzeba było niesprawiedliwością jakąś kupić. Pocziwców było najwięcej, szczególnie między uboższemi. Większa jednakże, ogromnie większa ich część, w stosunku dziesięciu do dziesięciu, czegoś chciała, ale nie wiedziała czego; reszta zaś wiedziała czego, ale nie wiedziała jak. Niewiedza była ogólnem charakterystycznym znamieniem, które grubą powłoką oblegało serca i rozumy i wprawiało w jakiś rodzaj ospałości, ociężałości, niedeterminacyi, oślego uporu, wołających wielkim, żalosnym głosem: niech się co chce robi, byle mnie nie tykano! mnie niewinnego, jak nowonarodzone jagnię!... Znalazł i niepocziwców. Tych było niewielu; ale oni głośniejsz mówili, byli śmielsi i ruchliwsi i porywali z sobą ogół w wirowy taniec, w którym się biednym pocziwcom głowy zawracały do tego stopnia, że nieraz znienacka zapytani, nie umieli odróżnić dobrego od złego, często cnota wydawała się im występkiem; często coś zwyczajnego, niezłego wynosili pod niebiosa, a niekiedy nawet wyraźny występki mienili cnotą... Najmocniej zirytowała go młodzież. Najpilniej jej szukał i prawie nie zna-

laż. Młodych panów i paniczów nigdzie w domach nie zastawał; albo ich nie było, albo mu się nie pokazywali. A spotykał się tylko z takimi, z których kropki sensu lub uczucia nie można było wycisnąć, pomimo że paradowali i jednym i drugim. Kilku z nich, wielkoświatowych, przez ramię spoglądali na naszego bohatera dlatego, że nie posiadał ułożenia... Najlepiej znalazł kobiety. I byłyby one zupełnie dobremi, gdyby nie próżność, przemieniająca niektóre na istne monstra, na społeczno-moralne karykatury, na salonowe lafiryndy, małodworkowe koczkodany, gęsi, sroki, żaby, jaszczurki, głupie matki, złe żony, bezmyślne siostry, niezdolne córki, interesowane kochanki etc. etc... Pocziwości i rozumu, ożenionych ścisłym, nierozzerwanym węzłem, nie znalazł nigdzie“.

Czy z pocziwością łączył się rozum w przeszłości; czy przodkowie szlachty dzisiejszej uwydatnili ten związek w sprawie wielkiej doniosłości, w tej samej sprawie, z którą potomkowie rady sobie dać jeszcze nie mogli?... Na to odpowiedź daje *Historja o pra...pra...dziadku*. Kiedy w obozie i na dworze szlachta nie wiedziała, że Kuźma Jeź jest chłopem, przyjaźniła się z nim, uwielbiała jego czyny. Ale kiedy tenże publicznie się przyznał do chłopskiego pochodzenia i myśl nobilitacji odrzucił, odsunęła się od niego natychmiast; nawet pacholek wymówił mu służbę, bo go wysmiewano, że chłop jest mu panem. Znalazł się wprawdzie Lisowski, znalazł się Potocki, którzy dłoń chłopca serdecznie uściskali, znalazła się pani Wolska, co mu miłość wyznała i gotowa była losy jego podzielać; ale były to wyjątki; ogół ulegał przemożnemu przesądowi, który nie dozwolił dojrzeć olbrzymiej korzyści dla Rzeczypospolitej z pozyskania takiej masy obywateli, jakimi zostać mogli chłopci. „Klejnotni — jak powiada Jeź — zapomnieli, czem są i czem być powinni... Wielką ojczyznę rozdrobili na tysiące małych, z których każdą uwięzili w ciasnych granicach osobistych, drobnych ambicji. Te małe ojczyzny żyją, prosperują, powiększają się i wzmagają kosztem i ze stratą wielkiej... Rycerstwo-część obróciło naródcałość w poddaństwo. Zrzekłszy się podbojów zewnętrznych, wykonało wewnętrzny, na własnym swoim społeczeństwie... Sprawiedliwe względem obcych, stało się niesprawiedliwym względem swoich... Rodzicielkę zagarnęło w poddaństwo, ojczyznę zabrało dla siebie, w sobie ją ześrodkowało, nazwało ją sobą, a siebie ojczyzną, i zamiast jej służyć, uczyniło ją sługą swoją... Takie obrażające naturę postawienie się stanu rycerskiego nie mogło obejść się bez najgorszych skutków... Wystąpiły one tak w zepsuciu publicznych i prywatnych obyczajów, jakoteż i w tem, że grono rycerskie

jest już za szczupłem, za słabem do zadośćuczynienia przyjętym na siebie dobrowolnie obowiązkiem... Nie jest już w stanie bronić samo siebie, a z sobą i ojczyznę...“¹⁾

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby Jeź potępiał całą przeszłość naszą, „bo jakiegoż trzeba wyrodka, nie syna, aby usta złożyć się mogły do klątwy na ojca i dziadów!“ — ale znaczy tylko, że nie należy usypiać się piosenką o własnej doskonałości, że nie potrzeba mówić, iż wszystko zrobiono i że nam robotę tę przechowywać tylko wypada, nie dorabiając, bo tym sposobem wytwarza się gnuśność i bezmyślność, wiodące do zastoju, do martwoty, a może nawet do czegoś gorszego. Wady wykorzeniać, złe naprawiać, świadomie pojmować swoje położenie i zadanie, dążyć do jego urzeczywistnienia wszelkimi siłami — oto cel, wskazany i zastanawianiem się nad przeszłością i analizą stanu obecnego.

A jak wskazywał Jeź, coby zrobić wypadało we względzie „poddanych“, tak również nie zapominał o uobywateleniu żydów. W *Historji o pra...pra...wnuku* są przesłane sylwetki Szłomy Bera i Ruchli, jego żony, przyjaciół chorążego, czuwających nad jego synem jak nad własnym i rozumiejących obowiązki obywatelskie. Co Szłomę Bera zrobiło obywatelem? Służba pod chorągwami „Naczelnika“. Po latach wielu, na samo przypomnienie tych chwil wielkich rozpromieniała się zwiędła twarz żyda i żywsze

¹⁾ Toż samo wprost, bez żadnych obłonek, jako przekonanie swe, wypowiada Jeź w artykule krytycznym, napisanym z powodu dzieła Kostomarova o Bohdanie Chmielnickim (*Dziennik Literacki* 1861, Nr. 10—17): „My w organizacyi uspołecznienia naszego narodu upatrujemy wielkie jedno złe, które nas o upadek przypawilo, a mianowicie, że utworzył się u nas *status in statu*, że mniejszość wydzieliła się z większości i ubezwładniła politycznie tę ostatnią, słowem że sformował się u nas stan rycerski, szlachecki, który wziął na siebie odpowiedzialność za całość i pomyślność ojczyzny, jako też i za opatrnościowy jej obowiązek pełnienia do ostatka cywilizacyjnego posłannictwa. Wziął i nie dotrzymał, bo wśród otaczających go zewsząd i czyhających na niego wrogów, więcej cenił przywileje stanu jak ojczyznę, więcej mu chodziło o utrzymanie poddaństwa jak o posłannictwo narodowe, którego nie rozumiał, a które jednakże pełnił, póki mu sił starczyło. Naród miał siły: spożywały one w gminnej słowiańskiej zasadzie, czyniącej wszystkich bez różnicy obywatelami; ale stan rycerski w swoim tylko kole na tej zasadzie się uorganizował, a odepchnął od niej lud i upoddanił go sobie. W tem odepchnięciu i upoddaniu tkwi głównie źródło naszych nieszczęść i naszego upadku. Szlachta sama, bez ludu, okazała się za słabą do zadośćuczynienia powołaniu Polski na zewnątrz, a co więcej, postawieniem się swoim, stała się powodem gwałtownych wstrząśnień wewnątrz“.

tętno w sercu budziła. Na wieść o śmierci tego ukochanego „Naczelnika“ cała rodzina Szlomy, jak również niektórzy jego rówieśnicy uroczyste odprawili bosyny. „Pozrzucali patynki i pończochy, posypali głowy popiołem, usiedli na gołej podłodze, a mężczyźni po kilka razy na dzień zarzucali na siebie śmiertelne koszule i napelniali domostwo żalonym, płaczliwym krzykiem majufes“. I nie było takich, wśród żydów — dodaje autor — którychby gorszyło, że starcy ludu wybranego modlą się za duszę goja.

W tej samej wreszcie *Historji o pra...pra...wnuku* dotknął Jeż i wychowania domowego i spraw szkolnych, życia chłopskiego po wsiach i szlacheckiego po dworach, marnowania się młodzieży wśród bezmyślnej „tężyny“ i szczupłego widnokregu działania; przedstawił wyborny obraz prób, niepowodzeń, zboczeń i stopniowego meżnienia bohatera Jana, który z zadatkiem dobrych nawyków domowych i niepospolitych uzdolnień, dostaje się pod najróżniejsze, po większej części ujemne wpływy i dopiero za pośrednictwem walki wewnętrznej i długiej nad sobą pracy wydobywa się z grząskiego błota społecznego i staje się zdolnym do czynów.

Pomijając kilka innych drobniejszej wagi stron w *Historji o pra...pra...wnuku*, niepodobna wszakże pominąć milczeniem postaci Zofii Dolańskiej, przedstawicielki dążności kobiet naszych do wyższego wykształcenia, do zrozumienia wyższych interesów społeczeństwa, do wzięcia czynniejszego a świadomego siebie udziału w pracach narodu. Nie zajmują jej zwykłe błahostki życia salonowego; nie chce tracić czasu na bezmyślną konwersacyą i łatwe podboje; szuka światła, interesuje się wszystkim, co lepszą część młodzieży uniwersyteckiej obchodziło, czyta, uczy się i pragnie stać się propagatorką zdrowych myśli wśród szlachty. Popelnia tylko jeden błąd, ale ważny: przeceniając potęgę sił swoich, idzie za Albina Skrzybickiego i sądzi, że go potrafi przerobić, że dom ich stanie się ogniskiem, którego promienie oświecać i ogrzewać będą ciepłem idei całą okolicę. Przerachowała się: Skrzybicki został niedołęgą, ona zaś zawiedziona w nadziei „wpadła w jakiś rodzaj snu magnetycznego z jasnowidzeniami“.

Bogatą treść *Historji o pra...pra...wnuku* ledwie naszkicować mogliśmy. I z tego jednak szkicu poznać można, jaką masę pomysłów i kwestyj poruszył w niej powieściopisarz, pobudzając czytelników do głębszego wniknięcia w siebie i społeczeństwo.

Starając się skupić myśli wewnętrznym ze sobą połączone węzłem, przerwaliśmy wątek chronologiczny. Nawiązując go obecnie, powiemy, że pomiędzy *Handzią Zahornicką* a *Historją o pra...pra...wnuku* utworzył Jeż

jedno z największych arcydzieł swoich, *Szandora Kowacza*, przedstawiającego trzeci kierunek, w którym następnie powieściopisarz nasz postępował. Na tle wojny węgierskiej 1848 r., w szeregu przepysznych obrazów nakreślił Jeż dzieje budzenia się poczucia narodowego w duszy człowieka prostego, wychowanego wśród warunków, które do śmiertelnego nawet uspienia uczucia tego przyczynić się mogły. Sierota Węgier wychowany w domu serbskim, serdecznymi z nim fibrami zjednoczony, poczuwa swoją odrębność na mocy tych drobnych, nieuchwytnych, minimalnych wpływów, jakie łączą jednostkę z narodem, i staje, wraz ze swymi rodakami, do walki w chwili, gdy zagrziała pobudka wojenna, zdająca się ojczyźnie jego szczęście zapowiadać. Zrywa wtedy pęta przyjaźni z rodziną serbską; nie mógł tylko pokonać namiętnej miłości dla Maryjki i ta go do zguby przywiodła.

Równocześnie prawie w *Asanie*, drukowanym w *Dzienniku Literackim* lwowskim, roztacza dzieje odzywającego się pragnienia niezależności wśród Bułgarów; ciemnionych przez Bizantynów.

Rzecz naturalna, że historia *Szandora Kowacza* i *Asana* nie jest sztuką dla sztuki, opowiadaniem dla opowiadania. Jeż pisząc o Węgrach, Serbach i Bułgarach spożytkowywał własne doświadczenie, dzieje wypadków, w których brał udział, uczucia i myśli, które mu się nasuwały, na korzyść społeczeństwa własnego, ażeby w niem utrzymać, a po części i rozbudzać, samowiedzę narodową, z różnych powodów zamąconą lub nadwątloną.

Zauważyć łatwo, że w przedstawionych tu utworach Jeża miłość indywidualna jest, ale nie odgrywa roli pierwszorzędnej. Autor nie lekceważy bynajmniej znaczenia, jakie miłość ma w życiu jednostkowym i społecznym; owszem ocenia on je bardzo wysoko, ale bądź co bądź nie zasłania mu ono oczu na fakt, że istnienie każdego człowieka posiada, obok miłości, setki pierwiastków ważnych, wchodzących w skład jego i stanowiących zarazem sprężynę działań ludzkich. Jeż stanowczo zerwał z romantycznym pojęciem miłości i to zarówno co do treści jak i co do formy. Miłość nie stanowi u niego osi, około której kręci się całe życie ludzkie, nie jest źródłem wszelkich natchnień, nie jest celem wszystkich dążeń, nie jest zajęciem jedynym i wyłącznym bohaterów. I miłość ta nie wyraża się za pośrednictwem całej kaskady frazesów przesadnych, naciągniętych, wymuszonych, ale wypowiada się krótko a silnie; więcej okazuje się w oku, uśmiechu, ruchu, zachowaniu się całem, aniżeli we frazeologii. „Nie w Arkadyi żyjemy — powiada Jan, bohater *Historji o pra...pra...wnuku*, — Nie gruchania

miłośnych gołębic, nie szczebiotania rozkochanych pasterek głaskać powinny nasz słuch i kołysać nas do rozkosznych marzeń i usypiać.

W tem zdaniu Jana, który szeregiem przykrych doświadczeń osobistych do niego doszedł, przecząco wypowiedziana została zasadnicza, najgłówniejsza, przewodnia myśl utworów Jeża. Nie marzenie choćby genialne, lecz czyn albo przynajmniej dążność do czynu, nie upajanie się jakimikolwiek umiłowaniem, lecz trzeźwe rozpatrywanie się w rzeczywistości; nie zadowolenie osobiste, lecz sprawa ogólna powinny być celem życia każdego, poczuwającego się obywatelem. Zamiast szeroko i długo rozpowie-
dzianych historyj o parach zakochanych; zamiast roztaczania paradoksów i sofizmatów erotycznych przed czytelnikami płci obojej; zamiast zwracania uwagi ich całej na dowcipnie skombinowane sieci intryg, jakby w nich cały interes życia się skupiał; Jeż mówi, że miłość jest uczuciem pięknem i dobrem, czasami bardzo potężnem i wzniosłem, ale obok niej stawia coś nad nią większego, donioślejszego i wspanialszego społecznie — poważny, surowy, wielki o b o w i ą z e k.

III.

Pisząc powyżej wymienione utwory Jeż był w ciągłej podróży. W połowie roku 1858 opuścił Konstantynopol i na Marsylią pojechał do Paryża; pod koniec tegoż roku spotykamy go w Londynie, gdzie do owej pory przebywała jeszcze „Centralizacya“, osierocona śmiercią Worcella, Darasza i Podoleckiego. Jeża wybrano na jej członka; wkrótce jednak pomiędzy nim a kolegami nastąpiło nieporozumienie co do kierunku, w jakim sprawy krajowe pchnąć należało, a skutkiem tej niezgody Jeż z „Centralizacyi“ wystąpił. Z Londynu robił bardzo częste wycieczki do Paryża, a w jednej z nich zapoznał się w Brukseli z Lelewelem i Heltmanem. Następnie w roku 1860 jeździł do Galicyi. W Czortkowie, miasteczku położonem na Podolu galicyjskiem, zabrał znajomość i wszedł w zażyłość z rodziną państwa Wróblewskich, z których córką Zofią miał się następnie w r. 1862 ożenić, wśród okoliczności i powikłań wielce romantycznych.

Sprawy indywidualne musiały atoli ustąpić miejsca ogólnym.

W szczegóły wchodzić nie będziemy. Niepodobna nam wszakże nie zaznaczyć, że pomimo wpływu odurzającej atmosfery duchowej, wśród której przebywał, Jeż nie dał się porwać jednostronnemu prądowi. Awantur-
niczych planów Ludwika Mierosławskiego nie podzielał; natchnieniom nie-

rozważnego uczucia nie pozwalał panować nad kombinacyami chłodnego rozumu, lecz jedno z drugim starał się łączyć jak najściślej, pomimo że odwoływanie się do rozumu i rozwagi nie dawało popularności natenczas; w mistycyzm nie popadł; sił w sobie samych szukać nam kazał. Przemaszając zaś do społeczeństwa za pośrednictwem powieści, nie rozdrażniał namiętności i nie pochlebiał im; wołał nawet podawać gorzkie lekarstwa, byle tylko do zastanowienia się nad sobą, do obliczania się z siłami własnymi, do wzmacniania się i hartowania pobudzić. Nie przedstawiał, jak to zazwyczaj bywa, świetnych stron niedawnej przeszłości, bo nie chciał usypiać ducha w dobrem o sobie rozumieniu; lecz wołał zwracać uwagę na ujemne cechy naszego charakteru, na jego miękkość woskową podatną do wszystkiego, na tę łatwość, z jaką o najdroższych uczuciach zapominamy, z jaką łamiemy się po lada niepowodzeniu, z jaką najświetniejsze zdolności marnujemy.

Dwa większych rozmiarów utwory pochodzą z tego czasu (*Pierwsze boże przykazanie*, *Krwawe dzieje*) i oba tę bolesną myśl uplastyczniają.

W *Pierwszem bożem przykazaniu* opowiedział autor życie jednego z tych ludzi, co to obdarzeni piękną fizyczną i niepospolitą talentami, pomimo dobrych w gruncie skłonności, pomimo wspomnień drogich, któreby im hasłem życia stać się powinny, przetwarzają się na egoistów, szukających tylko własnego szczęścia. Bohaterowi podczas szturm Pragi w 1794 zginęła w okropny sposób matka. Wzięty na wychowanie przez krewnego, wstępuje za czasów pruskich do czarnych huzarów, za czasów księstwa Warszawskiego bierze udział w bitwach, w odwrocie z Moskwy stara się o powierzenie sobie misji dyplomatycznej, ażeby uniknąć niebezpieczeństw, następnie za Królestwa Kongresowego zasługuje się Wielkiemu Księciu... i dobija się stopnia generała...

W *Krwawych dziejach*, osnutych na tle wyprawy Deniski z r. 1796, opowiada autor o innego rodzaju marnieniu sił. Dzielny pod każdym względem wódz i bohater, dopóki jest na polu walki, dopóki czuje zapach prochu i słyszy świst kul koło siebie, staje się naprzód sybarytą, a później umysłowym i fizycznym niedołęgą, kiedy go otoczył zbytek rozkosznego życia i uciechy przez „kokonę“¹⁾ wołoską dostarczane.

¹⁾ Dame.

Nie były to zaiste obrazy, któreby mogły lechtać samochwalstwo narodowe i obudzać pawiającą się dumę; zmuszały natomiast do zastanowienia nad wadami własnymi, wskazywały nieodzowną potrzebę hartowania woli.

Wtedy to pisał Jeż w *Dzienniku Literackim* (r. 1861, Nr. 29): „Piszę, bo nie mam co innego robić. Piszę więc nie dla pisania, ale dla zastąpienia tego c o i n n e g o, czego nie mogę robić. Jestem przeto zastępcą pisarza, ale nie pisarzem, i muszę dodać, że jestem zastępcą tymczasowym; bo robota moja czeka na mnie i ja na nią czekam“.

W dwa lata niespełna Miłkowski przeniósł się do znanej sobie dokładnie Tulczy, gdzie zorganizował oddział mający wkroczyć do Rumunii. Pomimo wielkich i różnorodnych trudności, oddział, liczący 250 ludzi dostał się istotnie za Dunaj, stoczył pomyślnie utarczkę z wojskami rumuńskimi pod Kastangalą, a zdążając ku Prutowi maszerował 18 godzin w rzędu, ale otoczony we wsi Rynzesztach, musiał broń złożyć. Miłkowski udał się naprzód do Bukaresztu, potem do Konstantynopola, dalej do Paryża, skąd znowu wrócił na Multany i do Galicyi się przekradł. We Lwowie przyaresztowały go władze austriackie i po pewnym czasie odstawiły do Bawaryi.

Odtąd aż do maja 1864 roku przebywał Miłkowski Europę w rozmaitych kierunkach, dopóki okoliczności były pomyślne. Wreszcie osiadł wraz z żoną i dziećmi w Belgradzie. Tu zapoznał się ze światem naukowym serbskim i studiował teoretycznie dzieje i etnografię Słowiańszczyzny południowej, którą z praktyki znał już tak dobrze. Przez czas jakiś bieda dokuczała strasznie. W przyszłości — powiada naoczny świadek ¹⁾ — pobyt Miłkowskiego w Belgradzie będzie może poetycznie bardzo wyglądał, lecz dziś, gdy wszystko takie jeszcze świeże, z przykrością prawie przychodzi wspominać owoczesne kłopoty, szamotanie się z biedą, rozpaczliwe nieraz chwile... Razu np. pewnego kasa państwa Miłkowskich składała się z jednego dukata. Pani poszła na miasto po sprawunki i... dukata tego zgubiła. Nie było ani co sprzedać, ani się u kogo zapożyczyć... Najtańszym artykułem żywności był w Belgradzie szpinak; często się więc na stole u pp. Miłkowskich zjawiał, lecz raz dochodzi ich wieść, że od szpinaku jeszcze tańsze są grzyby; kupiono grzybów, ugotowano i... zatrula się niemi cała rodzina... Do innych nieszczęść przyłączyła się jeszcze cholera. Naprzód

¹⁾ Przywiedziony przez p. Wacława Hołewińskiego w pracy już wspomnianej.

zaniemogła żona; mąż chcąc ją ratować a będąc literalnie bez grosza, wyniósł na targ kociołek miedziany, sprzedał go, a gdy z otrzymanymi pieniędzmi wchodził do pokoju, padł i zemdlął. Silne wzruszenie podziało skutecznie na panią Miłkowską; zerwała się, by chorego ratować, i ozdrowiała. Jeż opowiadając o tych wypadkach, dodaje z uśmiechem, że zapewne dlatego cholera zostawiła ich przy życiu, by nie robić konkurencyi śmierci głodowej, która przed ich mieszkaniem ustawicznie odbywała wartę.

W Belgradzie przebył Miłkowski do jesieni r. 1866; wówczas przeniósł się do Brukseli, a stąd do Lozanny w 1872. Roku 1873 utracił rodziców, zamieszkałych w Mohylewie nad Dniestrem, naprzód ojca, a w tydzień potem i matkę. W Lozannie, namówiony przez obywateli poważnych, otworzył zakład naukowy, który go naraził na straty wielkie a tem dotkliwsze, że sam ma do wychowania dzieci sześciorgo. Po zamknięciu zakładu w roku 1877 zamieszkał w Genewie, gdzie też, robiąc dłuższe lub krótsze wycieczki, mianowicie do Paryża w r. 1881 i 1882, dotychczas przebywa.

Pracę literacką, przerwana w roku 1863 i 1864, podjął Jeż nanowo w r. 1865. Głęboko odczuty zawód w sprawie ogólnej kazał mu doszukiwać się jego przyczyn; a skutkiem tego ponownego wglądnięcia w naturę i okoliczności rozwoju duchowego był szereg utworów, któreby patologią społeczną nazwać można. Siła satyryczna spotęgowała się w naszym pisarzu i wydała niejeden obraz pierwszorzędnej wartości zarówno pod względem śmiałości pędzla jak pod względem odwagi obywatelskiej. We *Wrzecionie* raz jeszcze dotyka stosunków włościańskich, przeciwstawiając ciemnotę i biedę wśród ludu bezmyślnemu marnotrawieniu czasu i brakowi zasad moralnych wśród panów. W *Pamiętnikach starającego się* znakomicie opowiedziawszy historią nauczyciela, który poprzednio był złodziejem i zbrodniarzem, hogartowskim pędzlem maluje nicość moralną jego ucznia, szlachetki wprowadzonego do wielkiego świata lwowskiego, lecz uczuwającego więcej pociągu do towarzystwa z szusterbalików, marniejącego następnie wśród pogoni za przygodami romansowemi. W *Edwardzie Klocu* wystawia narodziny i rozrost pasorzytów społecznych, wszelkie uczucia wraz z godnością własną dla kariery i dobrobytu poświęcających. W *Heleńce* kreśli wizerunki dezorganizacyi moralnej wśród życia zacieśnionego do ścian salonu i goniącego za jedynym ideałem, dla pojęcia swego dostępnym — za użyciem zmysłowem.

Obok tych scen ze sfery bytu towarzyskiego, z równą siłą, choć z mniejszym artyzmem, przedstawia nam Jeż nasze wady w sferze bytu

polityczno-społeczny. W *Drugim bożem przykazaniu*, poświęconem „poważnemu obywatelstwu polskiemu“, na tle wypadków z r. 1831 na Litwie, namalował kilka postaci, nakreślił kilka scen, które śmiałością a zarazem trafnością satyry przewyższają wszystko, co w naszej literaturze istnieje. Cóż to za przepyszna figura ten kapitan Kluska, pieczeniarsz i bawiciel dworów i dworków, mający zawsze na ustach frazesy o miłości ojczyzny i dobru ogólnem, przedstawiciel tego wszystkiego, co w jowialności polskiej jest najtrzywniejszego i najgorszego, wspaniałomyślny cudzym kosztem, drwiący z nieprzyjaciół i gotów się spodlić dla ocalenia nędzy swego życia, autor projektu szykowania wojska w koło, jako najdoskonalszego, gdyż — jak powiadał — „oskrzydlić go nieprzyjaciół nie może, bo nie ma skrzydeł, ani zająć mu z tyłu, bo nie ma tyłu, a jeżeliby udało mu się przebić go w jednym punkcie, to wchodzi we środek, w matnię, jak szczupak, i zostaje otoczonym ze wszystkich stron“. On to był promotorem zabawy dla młodzieży spoczywającej po wieczorku imieninowym:

„— Chyba założmy gierkę — rzekł któryś.

„— Do gierki trzeba wstawiać, a wstawiać się nie chce...

„— Niekoniecznie wstawiać — podchwycił łysy szlachcic (kapitan Kluska) Możemy grać leżąc i to na wznak, tak jak ja...

„— A toż ciekawa byłaby gra!... — odezwał się jeden z leżących.

„— Bardzo prosta — odparł szlachcic. Włóż rubla do puli i stawiaj... i pluj na sufit... Dosięgniesz, wygrasz; nie dosięgniesz, stawka przepada i pula się powiększa... Wolno gnać parole, łamać nape, stawiać wabank, przenosić, pasować... W końcu równy podział...

„Jednogłośny okrzyk *bravo!* był odpowiedzią na tę propozycję. Natychmiast rozpoczęła się gra, w której łysy szlachcic był snąc wyewiczony, bo kiedy rzadko któremu udało się stawkę wygrać, on gwałt parole i parę razy zabrał pulę. Radość i śmiechy towarzyszyły tej niewinnej zabawce. Niejeden bowiem sam sobie lub innemu oczy zaplał. Tej gimnastyce piersiowej oddawało się trzydziestu kilku ludzi, poetycznie zwanych kwiatem młodzieży, politycznie — nadzieją narodu“.

Tak się młodzi bawią; a jakże starsi radzą?

U jednego z najpoważniejszych obywateli na Litwie był zjazd szlachty, który spowodowała proklamacja Dębińskiego. Gospodarz przeproszał, że do narad zawiązywał przed „skromnym obiadkiem“, gdyż one wymagają rażnego i trzeźwego umysłu. „Skromny obiadek“ gotował się w olbrzymich kotłach i piekł na ogromnych rożnach, z których woń po całym roz-

chodziła się podwórzu. Po przemowie gospodarza zabrał głos p. Szymkiewicz, pretendent do marszałkowskiego dostojenstwa. Mówił długo. Zaczął od Władysława Łokietka, tego króla co był trzy razy wyzuwany z tronu i trzy razy go odzyskiwał. Do Łokietka przyrównał Polskę i wyciągnął z tego wniosek, że kraj za trzecim razem odzyska, co stracił. Wniosek ten był niepodpadającą najmniejszej wątpliwości pewnością, a to dlatego, że losy kraju spoczywają w rękach szlachty, z której rozumem żaden rozum, cnotami żadna cnota, walecznością żadna waleczność w porównanie iść nie może... Wymieniał zdarzenia i nazwiska i zaręczał, że co szlachta robi, zawsze dobrze robi. Tem zaręczeniem zakończył mowę.

Po nim zabrał głos podkomorzy Puskiewicz. Ten zaczął od generała Dębińskiego a zakończył na archeologii, którą się zabawiał. Mówił, ile to Litwa posiada zabytków, z których dałoby się znakomite sformować muzeum. W niem przysze pokolenia, niby w zwierciadle, oglądałyby dzieje zamierchłej przeszłości.

Gdy któryś z szaraczków zauważył, że podkomorzy odbiega od materii, zaprzeczył temu mówca takim rozumowaniem: — Czemże jest wojna?... Zniszczeniem... Ergo o zawczasu pomyśleć należy o uchronieniu od zniszczenia tych pamiątek naszej przeszłości, tych świadectw naszej wielkości, tych dokumentów naszej starożytności, tego kutego ze stali i kamienia, rzeźbionego z drzewa, lepionego z gliny, pisanego na pergaminach narodowego naszego archiwum.... Mówił jeszcze długo i dowodził jasno, że chwila obecna jest niezmiernie ważną i korzystać z niej należy w celu założenia muzeum starożytności.

Na tę mowę odpowiedział adwokat, pan Puksza. Pochwalił ją i uznał ważność podniesionej przez podkomorzego kwestyi, lecz dowiódł, że szanowny preopinant odstąpił od zagajonego przez gospodarza przedmiotu. Szlachta go poparła wołaniem: do rzeczy! do rzeczy!...

Pan Baltazar zabrał głos w odpowiedzi na mowę pana Szymkiewicza i podniósł tę okoliczność, że pretendent na marszałka, wyliczając zalety szlachty, zapomniał powiedzieć, że jest bogobojną. To zapomnienie wydało mu się urazą. Upomniął się o nią w słowach dosadnych, w imieniu całego zgromadzenia i wszystkich rodaków, tak tych, co zeszli z tego świata, jak tych, co przyjsz mają.

Pan Szymkiewicz chciał na swoją obronę kilka rzec słów, lecz tłum nie dał mu przyjsz do głosu, dopominając się hałaśliwie, żeby od sprawy nie odbiegano. Przemówił w tym sensie i gospodarz.

— Trzeba kwestyą postawić jasno — rzekł zabierając głos sędzia Szymkajło. I wykazał różnicę, jaka zachodzi pomiędzy uzbrojeniem starożytnych Rzymian a nowoczesnych Francuzów, wyrażając żal *primo* nad tem, że nie posiadamy takich hartownych zbroi, którychby kula nie przebiła, *secundo* nad tem, że dotychczas jeszcze nie przybyli Francuzi.

— Do rzeczy! zawołano z tłumu.

— Cóż u pioruna! — odparł sędzia. Czyż odchodzę od rzeczy, mówiąc o uzbrojeniu i Francuzach!...

Zakrzyczano go; usiadł, a powstał kapitan Puszkiewicz.

— Mości panowie! — zawołał donośnie. — Ja stary żołnierz!.. Ja nie umiem mówić tak długo i tak uczenie, jak szanowni mówcy, którzy dotychczas występowali. Będę więc mówić krótko... Oto, mości panowie, od pewnego czasu nie myślałem o niczem innem, tylko o tem, jak pobić wroga.

Zgromadzenie objawiło żywą aprobacją.

— Myślałem i wymyśliłem... Jestto, moi panowie, nowa broń: lanca i zarazem pistolet...

Tu podniósł laskę i trzymając ją w górze, jał na niej palcem pokazywać.

— To lanca! a tu obok grota przytwierdza się pistolet... Od cyngla idzie sznureczek, mocny szpagat, który się przywiązuje do przeciwnego grotowi końca lancy... Idąc do ataku, bierze się lancę tak, pod pachę, i gdy się dochodzi na pięć kroków do nieprzyjaciela, pociąga się za sznurek... Pistolet wypala, wróg ginie; i wpada się na drugi szereg, który zmieszany ogniem i zniszczeniem, jaki taki bliski ogień sprawi w pierwszym szeregu, musi tył podać... Obrachowałem, że tym sposobem jeden szwadron, w dziesięciu szarżach, zabić może przeszło trzy tysiące, a dziesięć szwadronów trzydzieści tysięcy, a trzydzieści szwadronów — dziewięćdziesiąt do stu tysięcy... Ten mój wynalazek składam na ołtarzu ojczyzny, oddając go pod aprobacją waszmoścpanów... Pewny jestem, że gdy przyjmiecie, za trzy miesiące nie będzie ani jednego wroga...

Okrzyk żywej aprobacji był odpowiedzią kapitanowi Puszkiewiczowi, nie tyle zapewne za ten wynalazek, ile za to, że jego mowa dotyczyła przedmiotu bliżej.

Major, żołnierz napoleoński, który był w Egipcie i Hiszpanii, ośmieszony snąc powodzeniem, jakiego doznał wynalazek kapitana, zaproponował swój — owoc doświadczenia i długich rozmyślań — szklane armaty, tańsze, lżejsze i do odlania łatwiejsze niż spiżowe.

— W każdej hucie można je sfabrykować — mówił — grubości takiej, jak okna na okrętowych pokładach... Kto był w Gdańsku, musiał takie okna widzieć... Wszak prawda, że mocne?...

— Prawda! prawda! — odpowiedziało kilkanaście głosów.

— Owoż nadając szklę taką grubość, można z niego lać harmaty... Wynalazek ten składam na ołtarzu ojczyzny...

Ktoś inny zaproponował przyjęcie wiatrówek, dla oszczędzenia prochu. Inny znów radził zaprowadzenie wozów na dwóch kołach, któreby mogły razem służyć jako mosty do przepraw przez rzeki, jako ruchome szalce, jako środek do transportowania żywności, efektów i amunicji i jako ramy do utrzymania w porządku bojowego szyku. Ostatni ten projekt wzbudził niemalą sensacją i podzielił zgromadzonych na dwa stronnictwa, jedno, które nie chciało chować się za wozy, drugie, które dla zbawienia ojczyzny, gotowe było iść w ramy....

Były jeszcze i inne projekta, ale w końcu, choć znakomite, znudziły słuchaczy. Do znużenia zapewne przyczyniać się musiała miniona obiadowa pora. W żołądkach szlacheckich czuć się dawała pewna cikliwość, a powonienie dziwnie czułem stało się na zapachy, wydzielające się z barszczu, bigosu, koldunów i obracającego się powoli nad żarem całego wołu. Szlachta poczęła szemrać i kaszlać...

Narada krótko już trwała; zakończyła się wyborem wodza. Najgłośniej perorował na beczce kapitan Kluska; zniechęcony szmerem, tupnął mocno nogą, dno wybił i do beczki wpadł. Gdy go wydobyto, grzmotnym śmiechem i krzykiem ogłoszono go wodzem. Pierwszy jego rozkaz, który żołądkom i sercom dogodził, brzmiał:

— Marsz!... do obiadu...

Tak gryzł Jeż, ale „sercem gryzł“.

Z biegiem lat gorycz sarkazmu łagodniała; powieściopisarz odczuwał sympatycznie nowy, postępowy ruch na polu pracy organicznej w kraju i swoim współdziałaniem ruchowi temu dopomagał, zawsze wierny obowiązкови obywatelskiemu, który zabrania ręce bezsilnie opuszczać, jakiegokolwiek byłoby położenie. W długim szeregu utworów wytykając różnorodne wady, niedozwalające społeczeństwu rozwinąć wszystkich sił swoich i opóźniające jego rozwój, podawał ubocznie albo wprost wskazówki, jakby życie to urządzić należało. Wszystkie dawniej w *Historji o pra...pra...wnuku* dotknięte kwestye, stały się teraz przedmiotem szczegółowszego rozbioru, staranniejszego przedstawienia, a to po części z powodu odmien-

ných okoliczności, a po części z powodu świeżo wynikłych potrzeb. Złe, czułościowe wychowanie, pociągające za sobą próżniactwo, bezmyślność i nieudolność młodego pokolenia męskiego, scharakteryzował w *Opowiadaniu Stasia*; oburzające obchodzenie się chleboborców z tymi, co kształcą młode pokolenia — w *Nauczycielce*. Zabobony i przesady z braku oświecenia wynikające wystawił w powieści p. n. *Po ciemku*. Falszywie pojęte wyzwolenie kobiet, polegające tylko na zerwaniu pęt życia towarzyskiego, na paleniu papierosów, przyjmowaniu towarzystwa męskiego bez opieki osób starszych i t. p., przeciwstawione dążności do głębszej nauki, do poważniejszego na życie poglądu, do współudziału w pracy społecznej, odmalował w *Emancypowanej*. Potrzebę zaś gruntownej nauki dla kobiety, choćby działalność jej miała się tylko w kole życia rodzinnego zawrzeć, wskazał w powieściach p. n. *Pod szlachecką strzechą*; *Zdarzenie na księżycu*. Kwestyą uobywatelenia żydów podjął już epizodycznie w *Drugim bożem przykazaniu*, gdzie postać Srula, poświęcającego swe życie dla sprawy kraju, góruje ponad ogólną masą szlachecką, bezmyślną i bezradną; — a następnie traktował ją w duchu pojednania w *Uroczej*. Podstawy nowego stosunku pana do dawnego poddanego rozwija na tle dawniejszego pomysłu spółki rolniczej we *Wnuku Chorążego*. Bezmyślność i egoizm drapujące się w szaty bohaterskie, a tak częste wśród sfer bogatych, pięknymi imionami szczycących się, jaskrawo zaznaczył w takich powieściach jak *Ofiary*, *Pod obuchem*. Ludzi z arystokracji wstydzących się nawet imienia Polaka i przejmujących się nawskróś obczyzną całkiem dobrowolnie, naszkicował w opowiadaniu p. n. *Nasi gdzie-niektórzy*.

Ta analiza wad społeczeństwa szlacheckiego wywołała ze strony interesowanych, jakoteż niektórych krytyków, zarzut tendencyjnego, umyślnego wyszukiwania złych stron w klasach uprzywilejowanych. Zarzut ten, mogący wprowadzić w błąd opinią publiczną, sprostował sam Jeż (w *Kłosach* r. 1879) wskazując, że autor, który stworzył postacie takie, jak Chorążego i jego syna w *Pra...pra...wnuku*, Orchowskiego w *Szewckim dziecku*, Kalinowskiego w *Wyśnionej*, księcia w *Siostrzanych duszach*, Jana, Marcina i Michała Zborzeskich w *Hryhorze Serdecznym*, nie może być poma- wiany o systematyczne z pośrodku szlachty wyprowadzanie nieuczciwców i zbrodniarzy. Istotnie Jeż bynajmniej nie należy do rzędu wrzaskliwych demagogów, dla których wszystko, co jest wyżej, wydaje się złem, wartem stracenia i zdruzgotania; nie sądzi też, ażeby te chwasty, jakie na zwierzchniej warstwie pokładu społecznego wyrastają, świadczyły o niezdolności tej

warstwy do wydania roślin pożytecznych. Krytyka klas uprzywilejowanych dlatego może tak jest u niego dotkliwą, że do nich słowo drukowane najprędzej dochodzi, że zatem od nich poprawy, zrozumienia obowiązków obywatelskich najrychlej spodziewaćby się można. Chciałby on do tego je przywieść, ażeby nieoświeconemi i biednemi masami się zajęły i samowiedzę w nich narodową obudziły.

Chętnie cofa się Jeż w przeszłość z tą samą myślą przewodnią, jaką już w *Historji o pra...pra...dziadku* objawił.

Do takich obrazków dziejowych możemy już dzisiaj zaliczyć opowiadania z czasów chronologicznie wcale nieodległych, ale już zupełnie różnych od naszych, jakie odtworzone znajdujemy w *Pani Komisarzowej*, gdzie rozwija się przed nami propaganda demokratyczna w kraju około r. 1846 wśród niezmiernie zajmujących sytuacji, w *Hryhorze Serdecznym*, gdzie na podstawie relacji Zenona Fisza autor nakreślił wrzenie umysłów wśród chłopów ukraińskich podczas wojny krymskiej, wrzenie wcale nie wrogie szlachcie — a dalej w *Ostapku*, w *Starodubowskiej Sprawie*, w *Ojcu Nikonie*.

Sięgając w przeszłość dalszą, zwrócił się najprzód Jeż do wieku XV (*Dersław z Rytwian*, *Za Króla Olbrachta*), następnie przeniósł się do wieku XVII, z którym już w pierwszej swej historycznej powieści nas zapoznał (*Z ciężkich dni*, *Z burzliwej chwili*), wreszcie przeszedł do wieku XVI osnuwając na tle stosunków Polski z Francją opowiadanie, które naprzód dla publiczności francuskiej było przeznaczone (*Karzel-dyplomata*). Jeżeli nie we wszystkich tych utworach koloryt dziejowy należyćie utrafił; jeżeli kompozycji niejedno zarzucićby się dało; to w każdym razie wszędzie jest myśl jakaś zdrowa i dużo artystycznie wykonanych, wspaniałych obrazów.

Najlepiej się one przedstawiają na widowni, tak dokładnie i wszechstronnie znanej Jeżowi, jak Słowiańszczyzna południowa. Położenie narodów słowiańskich, zostających pod panowaniem tureckim, budzi sympatyczne w sercach czytelników echo, a mało u nas rozpowszechnione wiadomości o ich dziejach i bycie wywołują zainteresowanie się wielkie. Seryą powieści tego rodzaju (po dawniejszych: *Asanie* i *Szandorze Kowaczu*) rozpoczął Jeż rzeczywistem arcydziełem p. n. *Uskoki*, a prowadził z powodzeniem w *Narzeczonej Harambaszy*, w *Dalijszczyźnie*, *Rotulowiczach*, *Hercogu słowiańskim*. Wszędzie tu występuje walka, perypetyj dramatycznych pełna, słabych z mocnemi i wszędzie tętni myśl nieprzerwalności życia i praw narodowych; wszędzie odczuwamy wraz z autorem szlachetność wysiłków, ponoszonych przez tych, co mają prawo do życia i wszechstronnego roz-

woju, chociaż chwilowo przemoc praw tych im zaprzecza. Jak w tych powieściach walka orężna głośna, tak znów w *Zarnicy* na tle nowożytnych stosunków bułgarskich przedstawia się walka cicha, powolna na polu pracy organicznej, na polu nauki, którą trzeba zaszczipiać pokryjomu, i oświaty, za rozpowszechnianie której znosić cierpienia wypada.

W tym samym duchu co powieści pisał Jeż swe liczne korespondencje do rozmaitych czasopism, i swe prace historyczno publicystyczne ¹⁾. Idea sprawiedliwości tak dla jednostek, jak dla warstw społecznych i dla narodów całych, gorące pragnienie, żeby masy wzięły rzeczywisty udział w sprawach narodu, żeby oświata rozszerzyła się jaknajgłębiej i jaknajdalej, niezależnie od wpływów takiego lub innego wyznania, żeby klasy społeczne w zgodzie chociaż różnemi środkami, jeśli tego potrzeba, pracowały nad podniesieniem dobra duchowego i materialnego wśród narodu, żeby naród nasz nie zrywał związku z zachodnią Europą, z przodującymi w niej narodami, lecz zgodnie z dobrą, podniosłą tradycją przeszłości naszej ściśle się z jej postępem jednoczył: — oto główne myśli przewodnie, jakie w tych korespondencyach i pracach publicystycznych Jeżowi przyswiecały.

Rozpatrując główne momenta działalności autorskiej Jeża, zwracaliśmy przedewszystkiem uwagę na jej stronę społeczną; w pisarzu wskazywaliśmy publicystę, a mimochodem tylko przypominaliśmy, że jest on i niepospolitym artystą, twórcą dusz w psychologiczno-estetycznem znaczeniu słowa. Otrząsnął on z powieści naszej resztki naleciałości romantycznych, a wzmocnił pierwiastki realizmu w niej już dawniej istniejące. Przedmiotowości zupełnej w kompozycji osiągnąć się nie starał, gdyż miał zawsze na myśli wpojenie jakiejś prawdy ważnej w umysł czytelnika; ale w rysunku postaci, w opowiadaniu wypadków, w malowaniu położań pragnął być zawsze wiernym prawdzie i naturze. A jak w treści, tak i w wyrażeniu, w dykcji, zerwał ze spowszedniałą już frazeologią romantyczną i wyrobił sobie styl własny; może się on komu nie podobać, ale trudno mu odmówić zalety oryginalności.

¹⁾ Oto główniejsze: 1858: Udział Polaków w sprawie wschodniej (Paryż); 1861: Bohdan Chmielnicki (w *Dzien. Lit.*); 1866: Jubileusz serbski (Lwów), O umysłowym życiu w Słowiańszczyźnie zadunajskiej (w *Dzien. Lit.*); 1868 i 1869: Wędrowki po Słowiańszczyźnie południowej (w *Kłosach*); 1870: Ludwik Mierosławski naszkicowany (Paryż); 1872: Belgia i Belgowie (w *Niwie*); 1873: Francya za drugiego cesarstwa (w *Kłosach*); 1875: Bośnia (w *Niwie*); 1877: Słowiańszczyzna południowa (w *Ateneum*); 1879: Sprawa ruska (w *Dzien. Pozn.*)

Zapewne są strony ujemne, może nawet znaczne, w artyzmie Jeża; ale tym wszystkim, coby chcieli zbyt mocno na nie kłaść nacisk, śmiało odpowiedziećby mógł słowy, napisanemi w roku 1861 (*Dziennik Literacki* Nr. 44) na początku *Pierwszego bożego przykazania*: „U nas powieść nie jest artystycznym figlem, wymyślonym na to, aby czytelnikowi tuman w oczy puszczać; nie jest retoryczną sztuką lechtania w piętę wyobraźni i pobudzania czytających łaskawców, tu do uśmiechu, ówdzie do rozczulenia, ówdzie do oburzenia, gdzieniegdzie do ziewania... U nas powieść jest...“ Czem jest powieść Jeża, widzieliśmy.

Piotr Chmielowski.

WSKAZANIA POLITYCZNE.

W naszych uczuciach politycznych objawia się ciągle i na przemiany: bądź potrzeba zwrócenia ich w pewnym oznaczonym kierunku, bądź też niechęć do oświadczania się za jakimkolwiek wskazanym. Błądząc w ciemności, okrywającej życie nasze, upatrujemy bacznie najdrobniejszego światełka, któreby nas z niej na bezpieczną drogę wywiodło, a gdy ono zabłyśnie, cofamy się strwożeni i podejrzewamy w niem zdradziecki ogień, który podstępnie zwabia nas w zasadzkę. Zamiast więc śmiałego pochodu, kręcimy się na jednym miejscu, wydeptujemy ciasne koło a wyglądając zbawczego znaku, nie odzywamy się żadnemu głośniejszemu nawoływaniu i chowamy przyczajone głowy w przeszłość, która olśnić nas umie, ale objaśnić nie może. I, sądząc psychologicznie, objaw to naturalny. Bo niema może w Europie narodu, którego obecne warunki życia przedstawiałyby równie ostrą sprzeczność z utraconymi. Sto lat już wprawdzie trwa przeróbka naszego ustroju politycznego i jego dopasowywanie się do nowych warunków walki o byt; epoka to jednak dla rozległego procesu przewrotów w wyobrażeniach, nadziejach i potrzebach społeczeństwa za krótka. My za bliscy jeszcze jesteśmy tego wpływu, ażeby on nie rozgrzewał naszych uczuć i ażebyśmy bezboleśnie znieść mogli tchnienie zimnego rozumu. Stąd nasza niechęć do wszelkich apostołów zgody z losem, do wszelkich rad i programów „trzeźwych“ — przy jednoczesnej chęci odnalezienia i zatknięcia drogowskazów dla zbiorowego życia.

Wywrócono też a nawet zniesławiono ich już wiele—a wywrócono i zniesławiono zarzutem, że naród nie dał samowładczym rzecznikom pełnomocnictwa do przemawiania w jego imieniu i tłumaczeniu jego woli. O ile zarzut taki bywa skutecznym środkiem zniechęcającym, o tyle brak mu moralnej podstawy.

Bo czyż naród w położeniach trudnych nie ma słusznego prawa wymagać, ażeby jednostki rozumniejsze oświeślały mu drogę szczeremi radami? Gdybyśmy z otworzeniem ust czekać chcieli na formalne upoważnienia ogółu, musielibyśmy zamilknąć we wszystkich tych właśnie sprawach, które tylko najróżnostronniejszymi głosami rozstrzygnąć się dadzą. Teoretycznie każdy to przyznaje, ale praktycznie każdy się lęka — lęka się ostrzejszego starcia z naturalną czułością społeczeństwa, z wiarą w rozkoszne jego sny, ze ścigającą niepochwytne mary nadzieją. Najodważniejsi i w polityce własnego kraju najbardziej zdecydowani ludzie, ile razy jej zagadnień dotkną publicznie, nie umieją lub zaledwie zdobywają się na półsłówka, strwożeni bądź możliwością rozdrażnienia ogółu, bądź widokiem lekkomyślnej, w kamienie uzbrojonej rzeszy, dla której kraj jest stawem a jego śmielsi obywatele żabami, wystawiającemi głowy do góry. Ileż w duszy naszej własnowolnie zapieramy przekonani, które wydobyć się szczerze i w prąd opinii publicznej wpłynąć powinny! Ileż razy płoszy nas ów jak dzwon pusty i jak dzwon hulaśliwy patryotyzm szerokiego gardła a wąskiej piersi, który umie tylko zwoływać ogół do kościoła lub za łada błyskiem nowo skrzesej iskry straszyc go alarmami pożarów!

Nie należy całości tego milczenia odnosić do przyczyn, tkwiących po za naszą wolą, których wpływ jest zresztą niewątpliwy. Chwytałismy nieraz uchem łachotliwe dźwięki gorących uniesień i radosnych prorocत्व, które życzeniom naszym dogadzały; ale nasyciwszy się tymi „psalmami wiary“, uczuwalismy jeszcze cięższy smutek, bo one nie spędzały z przed nas tego sfinksa, który nam zastąpił drogę i pod groźbą strącenia w przepaść każe rozwiązać zagadkę bytu. Dziś nawet już ten środek pobudzający i znieczulający na nasze nerwy w znacznej mierze działać przestał.

Jeżeli—pominąwszy świadome lub nieświadome ludzenie ogółu bajkami o zaklętej królownie, która wkrótce ma się ze snu pozornej śmierci obudzić i złamać czarnoksiężką moc swych prześladowców — zbadamy rozważne i z przymieszek fantastycznych oczyszczone wskazówki polityczne dla naszego społeczeństwa, to w nieobfitym ich splocie dostrzeżemy jedną nie wspólną, która się przez nie przewija—mianowicie zasadę odradzania się

przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rozbracie z tradycją porywów zbrojnych. Jak dalece idea ta jest szeroko odczutym wynikiem naszych doświadczeń, przekonywa jej współczesne ukazanie się na sztandarach obozów wprost sobie przeciwnych. Stronnictwo ultramontańskie, arystokratyczne, przesiąknięte wyrafinowanym legitymizmem, t. z. stańczycy galicyjscy połączyli się w tem godle z żywiołem wolnomyslnym i demokratycznym naszego społeczeństwa. Zachodzi między temi odłamami szereg głębokich różnic w pojmowaniu owej reguły politycznej, niemniej jest ona formalnie w obu jednaka. Nie będziemy tu wykazywali ani owych różnic, ani racyj, któremi partya krakowska usprawiedliwia i podpira swoje stanowisko, gdyż nas tu obchodzą głównie pobudki i względy, z których swoje rady polityczne wywodzi grupa postępową u nas.

Jakkolwiek przykrą i niemilosierzną może być konieczność, w każdym razie jest ona prawem dla woli i czynu ludzi rozumnych. Nic łatwiejszego, jak unieść się wyobraźnią po nad sferę stosunków rzeczywistych i bujać swobodnie w urojonych; ale nic zwodniejszego i niebezpieczniejszego nad wiarę, że równolegle z tym naszym lotem w ostatnich posuwamy się w pierwszych. Prawa bytu są nieublagane, one bynajmniej wzruszyć się nie dadzą naszej serdecznej chęci wyskoku po za ich granice i prędzej czy później ściagną szybujących pod niebem, ażeby ich ukorzyć swą żelazną dłonią na ziemi. Wielu naszym trubadurom politycznym nie brak ciągle natchnień do wyśpiewywania serenad a czułym piastunom pomysłów do nucenia kołysanek rozmarzonej lub sennej społeczności; gdy ona wszakże po nich otrzeźwi się i zbudzi, wyznaje z żalem, że nie dość dla niej „tyle życia, ile w pieśni,“ i „tyle szczęścia, ile prześni“. Pragniemy życia i szczęścia — rzeczywistego. Otóż przekonaliśmy się w bolesnych doświadczeniach, że ani jednego zapewnić, ani drugiego dać nam nie może gra w loteryę wojenną i zagraniczne łaski, lecz ciężka, spokojna i wytrwała praca. Przerażający to wyrok dla narodu, który miał i pamięta długie wieki świetności; a jednakże on wyrokowi temu już dziś się zwolna poddaje. Niema w dziejach naszych chwili, która by wymagała od nas równego bohaterstwa i poświęcenia, nad to, które spełniamy obecnie. Spełniamy zaś je niewątpliwie od czasu, jak w uczuciach społeczeństwa osłabł prąd dawny zbrojnych spisków a zaczął je ożywiać nowy — spokojnych prac. Jest to rzeczywiście proces zaledwie poczęty, niezupełnie świadomy, powrotami przeszłych ideałów przerywany; ale kogo jego powolność niecierpliwi lub gniewa, ten niech zmierzy czystem sumieniem wysokość ofiary. Zaiste nie mają takiego su-

mienia ci z wrogich nam pisarzy obcych, którzy batem, zwiniętym ze złych języków, jeszcze nas ku tej ofierze popędzają.

Nigdzie może owo odcięcie się naszego życia obecnego od tradycji pokuszeń zbrojnych nie uderza widoczniej jak w literaturze politycznej. Bierzemy do ręki jej katechizmy z przed lat kilkadziesiąt i szukamy w nich odpowiedzi na pytania współczesne: rady dla nas nieprzydatne. Nie uczą bowiem już teraźniejszych pokoleń ani masyaniczne proroctwa, ani legendy o posłannictwie, ani przepowiednie o bliskich spełnieniu zamiarach opatrności i sądnym dniu narodów, ani fantastyczne sposoby topienia ścigających lud wybrany wojsk faraonowych w rozwartą przez Boga głębi morskiej. My żądamy wskazówek innych, bardziej realnych. W dawniejszych traktatach politycznych panowała jakaś wrzawa wojenna, brzmiały bębny i trąby bojowe, każde słowo było cięciem pałasza lub świstem kuli: w obecnych, o ile je posiadamy, widzimy tylko głęboko w ugory rodzime zaryty plóg i słyszemy spokojne nawoływania spracowanych oraczów. Tam obrazy przedednia rozstrzygającej bitwy, tu zabiegi około siewów i zbiorów.

Gdyby dla społeczeństwa urzeczywistniły się już te warunki istnienia, o których marzy w daleką przyszłość biegnąca myśl ludzka; gdyby one już mogły złożyć ten rynsztunek wojenny, którym się wzajemnie dotąd przeciw sobie ubezpieczają; gdyby zdołały bez obawy o życie rozwijać swe siły materyalne i duchowe oraz zadawać swe potrzeby — z liberalnego stanowiska sama utrata własnych instytucyj politycznych nie wydawałaby się nam wcale niedolą. Szczęście bowiem ogółu, według nas, nie jest bezwzględnie zależnie od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możliwości uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwania własnej. Znamy wszyscy narody całkiem niepodległe, a jednakże półmartwe, w postępie cofnięte i bynajmniej niewiodące żywota pomysłnego. Jeżeli przed oczyma naszymi świeci jakiś wyczekiwany a dotąd niespełniony ideał społeczeństwa, nie jest on groźnym, zakutym w zbroję państwem, lecz systematem stosunków, pozwalających wszystkim jednostkom rozwijać się naturalnie, pracować spokojnie, ujawniać swe pragnienia wszechstronnie. Bo czegoż żąda z nas każdy, wzięty w odosobnieniu? Czy własnych żołnierzy, bitew, zwycięstw, zaborów, parlamentów, posłów, ministrów, — słowem aparatu politycznego? Nie, każdy marzy o tem tylko, ażeby mógł żyć szczęśliwie, z prawami swej osobistej i zbiorowej natury zgodnie. Ów więc aparat sam przez się olśnić zdolny jedynie umysły, za błyskotliwymi pozorami goniące, i do-prawdy dawnoby społeczeństwa nie ubiegały się o niego, gdyby on im

w walce o byt jako tarcza nie służył. Jest to fatalną właściwością obecnego ustroju Europy, że on stosunki międzynarodowe oparł wyłącznie na potęgę fizycznej i dla ludów słabszych nie wytwarza często warunków bezpiecznego istnienia. Państwa przedstawiają obraz pędzących ku sobie po jednej linii pociągów, które maszyniści wstrzymują hamulcami, nie zapobiegają jednak spotkaniu się ich i rozbiciu. Czy dziwno, że siedzący w wagonach tęsknią do własnej kolei i czy zrzekliby się jej, gdyby nie potrzebowali odbywać niebezpiecznych podróży? Jeżeli więc społeczeństwa drobne, oprawy politycznej pozbawione, żałują lub pożąдают jej, jest to raczej wynikiem ich chęci ocalenia życia wewnętrznego, niż zyskania mocy zewnętrznej. Osłómy dostatecznie to życie, a rojenia polityczne z niego ustąpią.

Nam — jak rzekliśmy — rozwiła je konieczność. Los zamknął wszystkie nasze życzenia i nadzieje w pracy cywilizacyjnej. Czy w tym zakresie skazani jesteśmy na powolne wymarcie, czy też możemy utrzymać się i przynajmniej w pewnym stopniu rozwinąć przyrodzone siły? Wybieramy przypuszczenie ostatnie. Mimo całej przewagi czynników fizycznych, walka społeczeństw o byt nie jest tylko szeregiem starć orężnych, lecz także łańcuchem zapasów duchowych, do których zawsze należy ostateczne zwycięstwo. Widzimy rzeczywiście w Europie państewka samodzielne, cywilizacyjnie prawie nieważkie, które zrodził zbieg przyjaznych okoliczności: ale ten sam przypadek, ten sam kaprys lub fortel dyplomatyczny, który je stworzył, równie łatwo zniszczyć może. Nawet w rachunku politycznym liczą się tylko narody oświecone. Winniśmy zatem nie tylko krzepić się, kształcić rozum, wyrabiać dzielny charakter i pielegnować czyste uczucie miłości dla kraju, ale także — na ile zawisłość naszej pracy zbiorowej od jej warunków pozwala — oddychać ciągle świeżem powietrzem postępu ogólnej myśli ludzkiej. Odrodzoną przezeń krwią zasilać własny organizm i wyteńczyć całą jego energię twórczą. Dotychczas ufamy zwykle atmosferze zużytej, odżywczych pierwiastków pozbawionej — dla tego serce nasze drga zbyt wolno, a umysł porusza się zbyt ciężko. Trzeba przebić więcej okien do Europy i dozwolić jej prądom, ażeby przewiały naszą duszną chatę. Nie w niej tylko zdrowie a po za nią zaraza. Prawda, żeśmy w niej urodzili się, wychowali, doznali radości i smutku, szczęścia i rozpacz, złożyliśmy skarby cywilizacji rodzimej; prawda, że ona nam przez te pamiątki i dorobek droga, ależ nie dśmy się dobrowolnie, jeśli żyć chcemy. Jak ludy pierwotne odstraszały krzykami zaćmienie słońca, tak my nieraz odpędzamy nowe idee, które nam zakrywają blask tradycyi, lub jak dzieci, dla rozjaśnienia

mroku naszej chaty, rozkładamy po kątach świecące próchno. Ze źródeł czystej, żadnymi przesadami niezmąconej wiedzy pijemy niechętnie i przenosimy nad nie swojskie bagienka pod stopami kapliczek. Owszem, nie gardzimy żadną, nawet najbardziej zamuloną krynicą swojską, ale każdą wyszląmujemy. Trud ten wśród gradu zarzutów podjęło właśnie stronnictwo postępowe, które już dziś dostrzega liczne owoce swych usiłowań. Zapewne, nie ono samo pracuje dla dobra ogółu, ale nie będzie to żadną w jego imieniu przechwałką, gdy powiemy, że ono wlało masę energii w społeczeństwo, przeszczepiło doń z Europy wiele idei nowych, zobojeźniło szerokie koła na niszczącą epidemię klerykalną i przyspieszyło ich umysłowe wyzwolenie. Jego też działalność jest w posiewie lat ostatnich ziarnem przyszłości.

Należy do niej również warstwa społeczna, na której ono oparło głównie nadzieje szczęścia ogółu — lud. To ciemna dotąd, nieświadoma masa coraz bardziej występuje w życiu naszym jako potężny czynnik rozwoju narodowego. Byłoby dziecinną przesadą twierdzenie, że postępowcy nasi są jej przedstawicielami, ale to pewna, że są obrońcami jej interesów. Związek ten nie jest wcale przymierzem sztucznym. Myśl swobodna musi być wszędzie demokratyczną, bo przywileje zastępuje równouprawnieniem, szlachectwo — zasługą a zbytek — pracą. Nadto społeczeństwo nasze, które historię swoją przeżyło jednostronnie — w uprzywilejowaniu jednej klasy — które z emancypacją innych spóźniło się znacznie, zawiera w swych stosunkach wiele anachronizmów a w pojęciach — wiele przesądów. Jego nastrój pozostał dotąd szlacheckim, wymagającym panowania dla jednych, a poddaństwa od drugich. Pomijając przedawnioną już słusność i ważność podobnego rozdziału, zauważyć winniśmy, że on zubożyłby siły istniejące i nie wytworzył nowych. Naprzód jesteśmy narodem małym, każdy więc ubieżwładniony lub nierozwinięty czynnik jest w walce o byt stratą dotkliwą; powtóre, gdybyśmy nawet te klasy, które zmonopolizowały dla siebie prawa obywatelskie w przeszłości, uwolnili od winy zgubienia kraju, to jeszcze wyznać musimy, że one same w teraźniejszości nie podolają zadaniu dźwigania narodu. Szlachta polska wypowiedziała już ostatecznie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Mamy nadzieję, że gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na przyszłość kraju. Z tej rudy stronnictwo postępowe u nas spodziewa się wytopić najwięcej szlachetnego kruszcu.

Jeżeli nas nie mogą już nęcić wawrzyny Chrobrych i Batorych, nie znaczy to wcale, ażebyśmy skazani byli tylko na obronę własnego gniazda

i powstrzymani zupełnie w ruchu po za jego granicami. Każdy naród, który nie zamiera, lecz żyje i postępuje, musi być zaborczy — jeśli nie orężnie, to cywilizacyjnie. Dalecy jesteśmy od zamiaru apoteozy naszego losu, winniśmy jednak wskazać pomyslną stronę jego przeznaczeń. Mianowicie otworzył on przed nami szerokie pole podbojów przemysłowo-handlowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym odnieść możemy pewniejsze zwycięstwa, niż te, w których dotąd pokładaliśmy całą naszą ufność. Nie oczekujemy niczego od przewrotów politycznych, wojen, traktatów, przemiennych łask obcych, lecz zawierzmy tylko własnej żywotności. Zajmujmy wszystkie stanowiska opróżnione, wciskajmy się we wszystkie szczeliny, puszczajmy korzenie wszędzie, gdzie grunt podatny ku temu się znajdzie. Klęknąć przy grobie i płakać lub bronić, ażeby go nie rozkopła jakaś hyena — dobre to, jako wylew rozpaczy, ale nie jako objaw energii. Obstawmy ów grób kolebkami nowego życia, zakresłajmy ich promieniami coraz szersze koła wpływu, rozpościerajmy swoją cywilizację szeroko — oto program działań rozumnych i skutecznych, tem bardziej, że państwo, w którego skład weszliśmy, otwiera im w wielu kierunkach szerokie ujścia. Takie są, według nas, główne wskazania polityczne dzisiejszej doby, które mogliśmy tu ledwie zaznaczyć, pozostawiając ich dopełnienie domysłności uważnego czytelnika. Zawierają się one w następujących wnioskach:

Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny staraniom o samodzielność wewnętrzną. Samodzielność ta zaś może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materyalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacji społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki nierozbudzone i niedojrzałe. Taka moc, takie ustawiczne natężanie energii, taki ruch postępowy jedynie może utrzymać żywotność narodu i zapewnić mu rozrost.

A. Świętochowski.

NOTATKA STATYSTYCZNA.

Przeglądając bibliografię polską bieżącego stulecia a nawet i dawniejszą, spostrzegamy, iż pisarze nasi w ogólności większą okazywali i okazują skłonność do zajmowania się najbliższymi sprawami, dotyczącymi kraju i narodu swojego, niż do traktowania kwestyj szerszej natury, nie wyłączając zagadnień abstrakcyjnych i ogólnonaukowych. W tym szerszym zakresie, obok kilku zaledwie genialnych umysłów, których dzieła do historii nauki należą, posiadamy tylko długi szereg kompilacji i przekładów, a współcześni pisarze wolą częstokroć w obcych językach publikować swoje samodzielne studia lub większe dzieła treści naukowej, niż w ojczystej mowie odzywać się do nieprzygotowanego i mało interesującego się głębszą nauką ogółu.

Nieco szczęśliwszy pod tym względem wyjątek stanowi ten dział literatury poważnej, którego przedmiotem rzeczy rodzime, przeszłości i teraźniejszości kraju naszego dotyczące. Dzieła takie, zwłaszcza historyczne, są i dosyć poczytne i przeto w spisach bibliograficznych niemało zajmują miejsca. Jestto fakt uderzający, który na całej umysłowości naszej wyciska swoje piętno i nadaje jej barwę pewnego egoizmu, pewnej wyłączności, niekoniecznie zgodnej ze społecznymi zadaniami naszego życia społecznego. Ta przewaga niekorzystnie nawet oddziaływa na kierunek naukowy, któremu oddajemy takie pierwszeństwo, i nie pozwala wyzyskać wszechstronnie naszego zamięłowania swojskości, niewątpliwie pochwalej godnego; przez

zaniedbanie bowiem niektórych ogólnonaukowych studyów pozbawiamy się i w krajoznawstwie możności stosowania nowych umiejętnych metod badania i kręcimy się najczęściej w błędnym kółku amatorskich szperań i wniosków nawet tam, gdzie nagromadzony materiał mógłby nam już pozwolić na opracowanie ściśle umiejętnie. Przykładów nie cytujemy. Nic łatwiejszego jak sięgnąć po nie i zarówno w zakresie historii, jak fizyografii, statystyki, etnografii przytoczyć długą litanię wydawnictw, nawet wysoką opieką Akademii Umiejętności zaszczyconych, które dla braku metody naukowej skarbcza wiedzy nie pomnażają, nie rzucają tem bardziej nowego światła do przyrównanej bożnicy naszych uprzedzeń, lecz pod pozorem gromadzenia nowych faktów i nieznanych dokumentów zapychają względnie interesującymi szczegółami olbrzymi łamami cyfr, dat i nazwisk, w którym nikt nie potrafi nic znaleźć.

Doskonale pojmujemy ważność tego rodzaju prac i, co zresztą wypada już z naszej własnej pracy około *Słownika geograficznego*, umiemy być wdzięczni gorliwym monografistom, którzy w pewnym zakresie, z fotograficzną wiernością, przekazują nam bądź jakąś okolicę kraju, bądź lud, który ją zamieszkuje, bądź nieznane dokumenta w archiwach historycznych odkryte, bądź nareszcie florę czy faunę danej, choćby najmniejszej miejscowości; ale przy całym uznaniu dla pracowitości i gorliwości osób trudzących się na tem polu, które sami uprawiamy, wolno nam wyrazić żal, że panuje tu po większej części nieprzebaczalne zaniedbanie wszelkiej metody naukowej, a zwłaszcza wolno nam ubolewać, że prawie nie mamy uczonych, którzyby tę przygotowawczą pracę naszą koło krajoznawstwa wyzyskiwali umiejętnie, zgodnie z dzisiejszym stanem różnych nauk; że między innemi nasza geografia fizyczna, nasza etnografia, statystyka i t. p. nie zdobyły się na porządne syntetyczne opracowania. Brakiem materiałów nie możemy się usprawiedliwiać; choć bowiem częściowo ziemie polskie są jeszcze bardzo słabo pod niektórymi względami poznane, częściowo jednak, np. w Prusiech, poznane są dobrze i wszechstronnie; jeżeli więc czem zawiniliśmy, że kraju swego nie znamy, to tylko chyba tem, że zaniedbujemy te nauki, któreby nam powiedziały, jak się to kraj poznaje i któreby nam pozwoliły umiejętnie korzystać z nagromadzonego i gromadzącego się materiału krajoznawczego.

W zakresie właściwego krajoznawstwa czyli geografii piśmiennictwo nasze jest bardzo ubogie w dzieła rzeczywistej naukowej wartości, gdy natomiast niemało wyłożyliśmy pracy i pieniędzy na wydawnictwo cennych

materiałów, takich jak *Starożytna Polska* Balińskiego i Lipińskiego, *Wołyń* Steckiego, *Poznańskie* (wyd. Bobrowicza) i t. p. lub pojedynczych monografij. Wszelkie usiłowania, mające na celu zobrazowanie całości, jak np. *Hydrografia* W. Pola, *Geografia* Tatomira grzeszą albo łatwowiernością względem jednostronnych źródeł, zwłaszcza map, albo bezkrytycznem przyjmowaniem za nieomylną prawdę tendencyjnych i nienaukowych teoryj. Stąd pochodzi, że po dziś dzień fizyczna karta tej części Europy, którą ziemie dawnej Polski zajmują, jest jeszcze do zrobienia. Postarano się w sztabach jeneralnych trzech wielkich mocarstw sąsiadujących tu z sobą o dokładne napozór topograficzne oznaczenia; ale mapy tą drogą powstałe są tylko napozór dokładne i bardzo dalekie od tej ścisłości, jaką się odznaczają takie mapy w innych krajach. Z wyjątkiem pewnych ważniejszych strategicznie punktów inne okolice przedstawiają często białe plamy, stosunkowo do rozmiarów całości niemniejsze od tych, które na mapie Afryki dotąd się spotrzega. To też pomimo znacznej liczby ochotników, którzy się ciągle pod sztandar krajoznawczy zapisują, opracowanie całokształtu naszej geografii jest bardzo trudnem i dlatego, że w badaniach pojedynczych niema planu i nieraz z uszczerbkiem rzeczy najważniejszych podnoszą się i uwydatniają drobnostki bez znaczenia. Nie umiemy dotąd nakreślić ściśle linii rozdziału wód między najważniejszymi porzeciami (np. Odry i Wisły w Królestwie), nie znamy dopływów najznaczniejszych rzek (np. Bugu z prawej strony na Wołyniu), klócimy się w czasopismach specjalnych o położenie źródeł rzek pierwszorzędnych (Dniestr) a jednocześnie z gorliwością godną ważniejszych zadań sondujemy stawy tatrzańskie lub poraż dziesiąty z kolei herboryzujemy w jednych i tych samych jarach galicyjskiego Podola.

Nie lepiej się rzeczy mają ze statystyką a w szczególności ze statystyką ludności. I tu niektóre pojedyncze dzielnice dawnej Polski, bądź skutkiem oddziaływania ogólnych politycznych stosunków państw, do których należą, bądź z powodu prywatnych usiłowań ludzi dobrej woli, posiadają jakąkolwiek świadomość przynajmniej ogólnej cyfry zaludnienia; w innych natomiast dzielnicach panuje system dowolnych przybliżonych oznaczeń, do rubryk ludności wpisuje się cyfry według „zdaje mi się“ tego lub owego urzędnika administracyjnego, a liczby tak wiarogodne przerabiają się ciągle od półwieku i dawniej na wygodnej zasadzie: „tu coś ująć, tam dodać“, żeby tylko rezultat ogólny „prawdopodobnie“ wyglądał. Tak między innemi parafialni dusz pasterze podają do szematyzmów dyecezalnych liczbę swoich owieczek. Dlatego też chcąc porównywać ludność pojedynczych

miejsowości Królestwa, podaną w gminach, z ludnością w parafialnych listach zapisaną, dochodzimy często do takich np. d ziwołagów, że we wsi X żyje dwa razy tylu katolików, ile ona w sobie dusz zawiera.

Wobec takiego stanu rzeczy niełatwą jest odpowiedź na pytanie, ilu nas jest? Wprawdzie idzie nam tylko o cyfrę ogólną, wyrzekamy się już z góry szczegółowych kategorii co do płci, wieku, wyznania, zatrudnienia — jednakże mimoto nie ludzimy się ani na chwilę, że ściśle dokładnej cyfry postawić nie zdołamy.

Statystyka ludności jest podstawą do badania życia społecznego, i bardzo naiwnym byłby ten, ktoby sądził, że do poznania tego życia wystarczy obserwacja. I najbystrzejszy spostrzegacz mylić się może; cyfry tylko, dokładne cyfry — to jedyny fundament nieomyślności. Dokładność ogólnej cyfry zaludnienia pewnego kraju, lub, jak w naszym przypadku, cyfry ludności danego narodu, który do różnych państw należy, jest zależną od ścisłości obliczeń pojedynczych, miejscowych, od porównawczego sprawdzenia stanu ludności w danej chwili ze statystyką ruchu ludności t. j. z cyfrą narodzin, śmierci, emigracji, immigracji i t. p. Jako najlepszy sposób oznaczania stanu ludności uznano powszechnie spisy jednodniowe, ale ponieważ te w Cesarstwie Rosyjskiem nie zostały dotąd ogólnie zaprowadzone, zapewne dlatego, iż dla praktycznych potrzeb zarządu krajowego statystyka wydaje się niekonieczną, przeto o dokładnej cyfrze ludności tego państwa całego (a tem mniej pewnych jej kategorii) mówić nie można. W Austrii i w Prusiech takie jednodniowe oznaczanie ludności odbywa się peryodycznie, jak również prowadzi się dokładniejsza statystyka ruchu ludności, wszelako niezgoda między cyframi podawanymi przez władze administracyjne i wyznaniowe jest i tam mocno rażąca.

Przytem w Niemczech więcej niż gdziekolwiek statystyka jest służą polityki. Na wschodnich okrainach monarchii pruskiej służy ona do uwydatniania ciągłego, stopniowego rozrastania się żywiołu germańskiego kosztem „niższych“ ras słowiańskich, litewskich, łotewskich. W Austrii odnośnie do żywiołu polskiego uwydatnia się podobna tendencja tylko na Szlązku austriackim, ale zato na gruncie galicyjskim miesza się do statystyki sprawa rusińska, która i w innych okolicach Rusi a nawet Królestwa nie pozwala na ściśle rozgraniczenie narodowości polskiej od pokrewnej, ale odmiennej ruskiej. Za podstawę do tego wyodrębnienia narodowości polskiej biorą zwykle, zarówno tu jak w Prusiech, wyznanie; ale jestto zasada bardzo błędna i prowadzi do wielkich omyłek w statystyce (nie mówimy już

o zgubnych skutkach politycznych takiego identyfikowania sprawy narodowej ze sprawą religii); ślepo się jej trzymając, naród nasz musiałby się wyrzec przeszło miliona swych synów w religii ewangelickiej zrodzonych a rozrzuconych w Księstwie cieszyńskim, na Szlązku dolnym, na Pomorzu kaszubskim i na Mazurach pruskich; niemniej stracilibyśmy prawo do wielu spółziomków, mieszkających na wschód Wisły i wyznających religię prawosławną. Jedyną w statystyce decydującą o narodowości cechą jest język używany w życiu potocznym, domowym; lecz, niestety, cyfry statystyczne, które nas obchodzą, częściowo tylko notują ten szczegół. Mógłby ktoś wprawdzie zarzucić, że, przyjmując tę cechę jako stanowczą, wyłączamy z pomiędzy siebie liczną warstwę ludności żydowskiej, posługującej się w domu swoim mieszanym narzeczem a jednak sposobnej do zaasymilowania się językowego; lecz zarzut to daleko mniejszy od innych, które dadzą się postawić teorii wyznaniowo-narodowej lub jej podobnym teoryom. Naród, który wchodzi w skład kilku organizmów państwowych i którego terytorium, zarówno dawne polityczne, jak etnograficzne, było i jest kolkacją kilku narodowości a otwartą gością dla wydziedziczonych z ziemi plemienia żydowskiego — naród nasz nie może być, nawet w najlepszych dla statystyki warunkach, dokładnie w cyfrze ogólnej przedstawiony.

Wszystkie te zastrzeżenia i trudności nie zwalniają nas wszakże od obowiązku podjęcia wszelkich możliwych usiłowań celem zbliżenia się do tego względem do prawdy. Usiłowania te niekoniecznie mają być zależne od statystyki urzędowej. Nauka statystyki w badaniach swoich wybiega dziś daleko poza granice tego, co dla zarządu krajowego jest koniecznym i pożytecznym; chociaż więc z powodu nieudolnego przeprowadzania spisów ma do czynienia z cyframi tylko przybliżonemi, to i w tym zakresie otwiera się przed nią wdzięczne pole do bardzo pożytecznych wnioskowań przez porównywanie cyfr szczegółowych, dotyczących różnicy płci, podziału na pewne peryody wieku, na wiek przeciętny różnych dzielnic, na stan cywilny ludności, na jej oświatę i położenie socyalne, na większą lub mniejszą miejscowości i jej kierunki główne, na gęstsze lub mniej gęste zaludnienie pewnych okolic geograficznych i administracyjnych, zresztą porównywanie cyfr naturalnego przybytku i ubytku ludności przez narodziny i śmierć, oraz cyfr odnoszących się do statystyki moralności. Dopiero taka wyczerpująca statyka i dynamika społeczna daje bezpieczną podwalinę do wniosków socyologicznych i po jej zbudowaniu będziemy mogli odpowiedzieć nietylko na pytanie: ilu nas jest, lecz jeszcze na drugie, ważniej-

sze może: jacy jesteśmy. Tymczasem jako przykład do naśladowania wymienić tu możemy pożyteczną na polu statystyki ludności pracę pp. Wiktolda Załęskiego w Warszawie i Tadeusza Pilata we Lwowie. Przeprowadzony pod kierunkiem pierwszego z nich spis jednodniowy ludności miasta Warszawy powinienby swoim szczegółowym opracowaniem, które jednak opóźnia się nieco, posłużyć za wzór jak się statystykę ludności traktować powinno. Wzorów takich nie brak wprawdzie zagranicą, a zwłaszcza w klasycznej krainie statystyki, w Bawarii; ale społeczeństwo nasze, wychowywane w warunkach niesprzyjających statystyce i nieodczuwające jej potrzeby, musi pierw na własnym gruncie wypróbować ją i na własnej skórze przekonać się o jej pożytku. Dlatego też umiejętne, praktyczne i naukowe, wyzyskanie rezultatów jednodniowego spisu miasta Warszawy uważamy za bardzo ważny krok naprzód i spodziewamy się, że od tego spisu, choćby najpierw za pośrednictwem owego tysiąca osób, które w nim uczestniczyły, ruch na polu statystyki naszej ożywi się i prawidłowiej rozwinie.

Dokładne oznaczenie liczby jednostek naszej narodowości jest trudnem jeszcze i z tego powodu, że z niektórych dzielnic dawnej Polski nie mamy zgola cyfr nowszych i musimy się posilkować dawnymi, nieraz ćwierć wieku w tył sięgającymi. Pochodzi to stąd, że albo spis ludności nie był później wcale dokonywany, albo też choć go robiono, to jednak bez wypełniania rubryki narodowości. Tak się dzieje, między innymi, od lat wielu, w urzędowej statystyce gubernij litewskich i ruskich, ogłaszanej w odpowiednich „Pamiętnych książkach“. Summa więc ogólna i o tyle musi być błędną, o ile powstanie z cyfr reprezentujących różnoczesną nie jednoczesną ludność pojedynczych krajów i prowincyj. Częściowo i w przybliżeniu postaramy się ją doprowadzić do prawdopodobnej normy z r. 1882.

Najwięcej ze znanych nam pisarzy polskich zajmował się statystyką ogólnej ludności polskiej p. Stefan Buszczyński, który przed kilku laty, mieszkając przez lat siedem w Dreźnie, wertował bibliotekę tamtejszą, sprawdzał najnowsze wydawnictwa statystyczne niemieckie i rosyjskie, a w rezultacie, jako ostateczny wynik mozolnych krytycznych porównań, ogłosił w ogólnej tablicy, że summa Polaków, czyli, jak pisze, Polaków-Lechitów (prócz Polano-Rusów i Polaków Rusinów) wynosi 15 milionów. Nie mamy zamiaru ani miejsca po temu, żeby przytaczać pojedyncze cyfry tego obliczenia i roztrząsać ich wiarygodność. Bardzo nieprawdopodobną cyfra ta nie jest. Znakomity statystyk niemiecki Kolb podał w dziele swoim ludność polską na 12 milionów. Prawda, że w następnej

edycji połąknał 3 miliony i bez żadnego usprawiedliwienia liczy nas już tylko 9 milionów. Brachelli wspomina o 9,700,000 t. j.

4,772,000 w Rosyi

2,463,000 w Austrii

2,432,000 w Prusiech.

Autor artykułu „Polska“ w dykcyonarnu Larousse'a liczy w jednym miejscu 30 a w drugim 24 miliony Polaków! P. Budiłowicz, którego bezkrytycznie cytuje Encyklopedia Ogólna, zgadza się na cyfrę 9,492,162, licząc:

4,633,378 w Rosyi

2,404,584 w Niemczech

2,444,200 w Austrii

10,000 w Turcyi (?).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że liczba mieszkańców Polski podczas pierwszego rozbioru dochodziła do 15 milionów a od tej pory upłynęło już z górą sto lat i że na tym obszarze ludność niezawodnie się podwoiła, to cyfra p. Buszczyńskiego nie powinna nikogo razić swoją przesadą, tembardziej, że łatwo wykazać niedokładność owych 9-milionowych cyfr Brachellego, Kolba i Budiłowicza przy szczegółowej analizie danych statystycznych, czerpanych ze źródeł, które nie mogą być podejrzywane o sprzyjanie naszej narodowości.

Królestwo Polskie miało w 1873 r. 6,398,793 mieszk. a w tej cyfrze według pp. Obruczewa i Suworina 65% Polaków. Licząc, że od r. 1873 ludność ta wzrastała tylko o 1% rocznie, dojdziemy, iż w r. 1882 wynosi ona 6,998,260, (pozornie wierna cyfra, niby urzędowa, wskazuje nawet 7,219,077) w niej więc, według cytowanych statystyków, będzie 4,548,869 Polaków. Ponieważ zaś wiadomo, że z pozostałej liczby ludności żydowskiej, b. unickiej, pochodzenia litewskiego oraz wyznania ewangelickiego znaczny procent używa potocznie języka polskiego, przeto z pewnością liczba osób w Królestwie, których język polski jest językiem rodzimym, wynosi co najmniej 5,000,000.

Dodać trzeba na usprawiedliwienie tej cyfry, która jest bezwarunkowo za niską, że statystycy rossyjscy niezmiernie powiększają liczbę narodowości ruskiej w Królestwie. Pp. Obruczew i Suworin liczą ich 1863 r. 640 tysięcy, P. Siemienow 930 tysięcy razem z Wielkorusami — niewiadomo zaiste, skądby te cyfry otrzymali, skoro w r. 1863 b. dyecezya chełmska miała tylko dusz 223 tysięcy a statystyk Czubiński obliczał wtedy ludność rusińską Królestwa na 280,780 (w tem 11,000 mówiących po polsku).

Co do Cesarstwa Rosyjskiego, to p. Siemienow według danych 1864—65 r. pisze, iż w dziewięciu tak zwanych zachodnio-ruskich guberniach było 849 tysięcy Polaków, w innych guberniach Rosyi Europejskiej 69,000; na Syberyi 10,000; na Kaukazie 3,000 — razem więc w Cesarstwie 931,000. Cyfra ta również wzrosnąć musiała a nawet już wtedy była za małą, skoro p. Budiłowicz w r. 1863 zgadza się wspaniałomyślnie na 1 milion Polaków w Cesarstwie. Mimo przesiedlenia się znacznej liczby mieszkańców tej narodowości do Królestwa po r. 1863 cyfra ta zapewne także wzrosła dotąd; w każdym zaś razie nie jest przynajmniej mniejszą. Tak więc w Cesarstwie liczba Polaków wynosi:

1,000,000.

Bądź co bądź licząc tylko 6 milionów Polaków pod rządem rosyjskim, jesteśmy już bardzo dalecy od przytoczonych powyżej liczb a tem dalsi od bezmyślnie podanej przez jedno dzieło polskie (*Podręczna Encyklopedia Powszechna*) cyfry 4,410,000. Wszakże nawet szkolne podręczniki geograficzne rosyjskie, u nas obowiązujące (Lebiediew), podają liczbę Polaków w Państwie Rosyjskiem na 5 milionów. A podręczniki te ściśle wykluczają z tej rubryki wszystkich żydów, ewangelików i prawosławnych, chociażby ci mówili po polsku.

Galicja według ostatniego obliczenia w 1880 r. ma 5,958,907 mieszkańców. Pospolicie dla procentowych wyliczeń narodowości trzymają się tu podziału wyznaniowego, twierdząc, że każdy mieszkaniec obrządku grecko-katolickiego jest Rusinem. Kto tylko zna bliżej życie galicyjskie, ten musi się zgodzić, że to zasada błędna. Ale gdyby nawet tak było, Rusini wynosiliby zaledwie dwie piąte całej ludności. Licząc jeszcze więcej i zgadzając się z p. Załęskim, że tylko 45.9% Polaków w Galicyi liczyć można, otrzymamy cyfrę 2,735,138, którą dopełniwszy garstką Żydów i Rusinów mówiących po polsku otrzymamy, że w tej prowincyi ogół ludności naszego języka wynosi niemniej jak

3,000,000.

Jeżeli dla dopełnienia cyfry tej ludności pod rządem austriackim dodamy w Księstwie Cieszyńskim (według Śliwki i Korzistki)

180,000

na Bukowinie 18,000

na Spizu i w pozostałych częściach monarchii

40,000

to otrzymamy w Austrii ogólną cyfrę 3,240,000 Polaków. Źródła powyżej cytowane mylnie obniżają liczbę Polaków na podstawie tendencyjnych autorów niemieckich, którzy nietylko polskości Szląska zaprzeczają, ale chętnie powiększali narodowość „ruteńską“, w której przez pewien czas widzieli żywioł centralizmowi przychylny. Jeszcze niedawno wydana geografia monarchii austriacko-węgierskiej Umlaufa podaje liczbę Polaków w całej Austrii na 2,463,000.

Tendencja ta uwydatnia się najwyraźniej w Prusiech i słusznie p. Buszczyński na kongresie geograficznym weneckim upominał się o to, żeby rządy wykluczyły politykę z prac wymagających takiej obiektywności jak statystyka. My jednak, zarówno tu jak poprzednio, trzymamy się źródeł urzędowych.

W. Księstwo Poznańskie miało, według tychże, 843,000 Polaków w r. 1871. Licząc że do r. 1882 przybywało tylko po 1% rocznie, mamy dziś 950,000.

Na Szląsku Pruskim Adamy liczył 666,666 w r. 1870. Cyfra bezwarunkowo za niska, bo tenże Adamy podaje na Szląsku średnim 57,209, a przecież już w r. 1865 dr. Triest obliczał na samym Górnym Szląsku 665,865. Według szematyzmu z r. 1869 dyecezya wrocławska (pruska część) tegoż roku miała 810,870 dusz w parafiach, w których kościelny język był polski. W obec tego, licząc jeszcze 57,209 Polaków ewangelików na Szląsku średnim otrzymamy, że cały Szląsk pruski ma w r. 1882 najmniej

900,000

ludności polskiej.

Prusy Zachodnie i Wschodnie razem mają według źródeł niemieckich

800,000

Polaków, a do tej cyfry trzeba jeszcze dodać około

20,000

na Pomorzu i w Brandenburgii.

Z tego wypada, że w Państwie Pruskim liczba ludności polskiej wynosi 2,670,000.

Do otrzymanej w ten sposób ogólnej liczby Polaków

11,910,000

trzeba jeszcze dodać kilkaset tysięcy rozproszonych po Europie i za Oceanem, a tym sposobem wypadnie nasz budżet liczebny, według źródeł „urzędowych“ na 12 milionów z górą.

Komentarze byłyby tu zbyt wiele. Piórem naszym nie kierowała prosta chęć, bo chęć się z liczby śmieszna jest rzeczą, lecz konieczność usunięcia błędów, które bez kontroli powtarzają się w najpopularniejszych i poczytnych wydawnictwach, jak np. Encyklopedye i Podręczniki szkolne. Pragnęlibyśmy także przez tę luźną notatkę zachęcić miłośników statystyki do poważniejszego zajęcia się kwestyą ludności polskiej w szczegółach.

Filip Sulimierski.

INDYWIDUALIZM W ŻYCIU SPOŁECZNYM.

I.

Dotykając któregoś z wielkich zagadnień społecznych, pragnąc wyrozumieć istotę rozwoju każdej ważniejszej społecznej instytucji, spotkać się zawsze musimy na dnie z pytaniem: jakie stanowisko względem ogółu zajmuje jednostka, jakich praw odeń domagać się może i jak daleko nacisk przez społeczeństwo na nią wywierany usprawiedliwić się daje. Czy to razem z socyalistami zastanawiać się będziemy nad prawem własności i organizacją pracy, czy zajmować nas zacznie rola państwa jako wszechstronnej opiekuńczej instytucji, czy znów zapagniemy poznać zasadę kary i wogóle odpowiedzialności jednostek wobec społeczeństwa, bez rozwiązania pytań powyższych obejść się nie będziemy mogli. Od tego rozwiązania zależy musi nasz pogląd na każdą z tych kwestyj, stanowisko, jakie wobec niej zajmujemy.

Odpowiedź na powyższe pytania, jeżeli niema być tylko wyrażeniem indywidualnych marzeń i pragnień, musi się opierać na faktach z dziejów rozwoju ludzkości zaczerpniętych. Chodzi tu mianowicie o wykazanie, jakim był stosunek jednostki do społeczeństwa na różnych stopniach ludzkiej kultury, od czego zależą napotymane w nim różnice, a wreszcie, czy w rozwoju społeczeństw ludzkich można się dopatrzeć pewnej pod tym względem prawidłowości. Innymi słowy, idzie o odpowiedź na pytanie: czy w postępie cywilizacji widzieć się daje stała dążność do przewagi pierwiastku indywidualnego nad społecznym lub naodwrot?

Zdania co do tego są różne a nawet wprost sobie przeciwne. Jedni wskażą nam syna pustyni, nieznoszącego władzy i monotonnych reguł towarzyskiego życia, osłoniętego poetyczną mgłą Farysa, uciekającego w bezludną przestrzeń i żywiołom nawet urągającego i porównać go każą ze spokojnym, potulnym obywatelem porządnie uorganizowanego społeczeństwa, wtłaczającym się co chwila w urobione formy, obawiającym się wszelkiego niezwykłego zjawiska i uśmiechniętym na widok policyanta. Tam powiedzą nam, macie w całej pełni duch jednostkowy, poczucie niczem niekrepowanej swobody, tu— zwierzę społeczne, dobrowolnego niewolnika, w którym cywilizacja zabiła indywidualne popędy.

Drudzy otworzą przed nami księgę dziejów. Karta za kartą przebiegać będą stopnie rozwoju ludzkości, przedstawiać tłumy póldzikich, zginających karki przed tyranem tytuł bóstwa przybierającym i bez słowa, bez myśli nawet oporu pastwiących się nad temi z pomiędzy siebie, na których padł wzrok jego niechętny. Odczytają nam opowieści o niezliczonych zastępach, wznoszących na skinienie dumnego władcy, wśród ofiar tysiącznych, bezcelowe stosy kamienia lub o straszliwych męczarniach, w których, przy odgłosie urągających mas, ginęli ci, co odważyli się myśleć odmiennie od innych. Potem zaś dadzą do ręki dzisiejsze konstytucye i kodeksy, wprowadzą po parlamentach i meetingach oraz wskażą stosy dzieł, broszur i dzienników głoszących zdania różnych, przeciwnych sobie stronnictw. Z tego zestawienia domyśli się już każdy ich słów. Tam, wyrzekną, widzieliście stada owiec, biegnące na oślep na odgłos bata pasterza lub ujadanie jego psów, tu macie ludzi myślących i czujących samodzielnie, o swe osobiste prawa się dopominających. Tam, w czasach barbarzyństwa, jednostka ginęła wśród masy, nie poczuwała się do żadnych praw i tych jej nie przyznawano; tu pod wpływem postępu cywilizacji indywiduum stanęło obok społeczeństwa jako samoistna, nieznana dawniej siła.

Stanawszy w obec tych dwu sprzecznych poglądów, musimy przede wszystkim zaznaczyć, że niepodobna zaprzeczyć prawdziwości faktów przez obie strony do porównania użytych. Przyczyny więc tak jaskrawej różnicy zdań gdzieindziej szukać należy. Mojem zdaniem wynika ona z odmiennego pojęcia samej kwestyi a w znacznej części ze zbyt powierzchownego sądu o zjawiskach społecznych, które, niejednokrotnie na pozór zupełnie podobne, różnią się przecież zasadniczo, jeżeli do ich istoty dotrzemy.

Zwolennicy pierwszego poglądu, t. j. twierdzący, że wyższa kultura tłumi indywidualizm jednostek na rzecz instynktów społecznych, stoją na stanowisku przeważnie psychologicznem, obserwują jednostkę samą w sobie, bez względu na życie społeczne. Prócz tego grzeszą tem, że do porównań swych biorą fakta wyjątkowe, wywołane szczególnymi warunkami a przytem w znacznej części upoetyzowane, które znacznie tracą na swej doniosłości, gdy się im przyjrzymy zbliska i na zimno. Ich zdanie, właściwie mówiąc, stwierdza to zjawisko, że u ludów na niższym stopniu kultury stojących instynkta antyspołeczne w bezporównania wyższym znajdują się stopniu aniżeli obecnie; że jednostki nie czują w sobie silnego dążenia do łączenia się z innemi w stałe związki. To jednakże bynajmniej nie przesądza o stosunku ich względem owych związków, jeżeli do nich w ten lub inny sposób zmuszone zostały.

Dowodzi to tylko niechęci do wspólnego pożycia, skłonności do czynów temu pożyciu szkodliwych, ale nie poczucia swego ja, swych praw względem innych i względem ogółu. Indywiduum takie chętnie wydziera się z pod karbów społecznych, ale zmuszone koniecznością do ulegania im, ulega biernie, bezmyślnie jako sile odeń wyższej, nie czując, że samo jest częścią składową tej siły, że na nią pewien wpływ wywrzeć może.

Z drugiej strony przewaga w pewnej grupie ludzi instynktów antyspołecznych nie jest jeszcze tem, co nazywamy indywidualizmem t. j. poczuciem swej odrębności od innych. Popędy antyspołeczne również mogą być właściwością ogólną całej grupy, jednakową u wszystkich składających ją osobników. Jeżeli jeden Beduin wyrwa się do swobodnego życia na pustyni to i drugi i dziesiąty też samą pałą żądzą. Wszyscy są odbiciem jednego typu, wszyscy mają w sobie jedną i tę samą siłę odśrodkową, która działa w nich nieświadomie i czyni podobnemi do siebie jak dwie krople wody. Siłę tę nazwać poczuciem indywidualności byłoby to samo, co twierdzić, że kaprysne dziecko więcej ma w sobie samodzielności od poważnego męża.

Rozbierając w powyższych ustępach pogląd, głoszący stopniowy upadek indywidualizmu w rozwoju społeczeństw, zwróciłem do tej pory uwagę na jedną tylko grupę faktów, której zwolennicy jego do swych porównań używają t. j. faktów zaczerpniętych z bytu ludów póldzikich, mieszkańców stref gorących, które z natury swej mniej do życia społecznego zmuszają, a zatem wspierają antyspołeczne instynkta. Lecz nie jest to jedyna sfera, do której zwracają się po dowody stronnicy w mowie będącej teorią. Do-

starczą im ich także społeczeństwa klasyczne, greckie i rzymskie oraz wieki średnie. Wśród wolnych mieszkańców drobnych rzeczypospolitych Hellady i dumnych obywateli Romy, wśród średniowiecznego rycerstwa widzą oni przykłady wysoko rozwiniętego indywidualizmu, którychbyśmy napróżno w pośród nas szukali. Lecz i to twierdzenie jest tylko wynikiem jednostronnego i powierzchownego zapatrywania się na charakter owych epok. Nie należy zapominać, że ustrój tych społeczeństw opierał się na przywileju, na przewadze niewielkiej stosunkowo garstki wybranych nad tłumem pogardzanym i poniewieranym. Przywilej zaś klasy panującej polegał w znacznej części na samowoli, na wyłamywaniu się z wszelkich norm w stosunku do pospólstwa, a samowola w tym względzie uważana była za pewnego rodzaju cechę charakterystyczną każdego dobrze urodzonego, wyróżniającą go od przykutego do stałych norm tłumu. Ta właśnie buńczuczność może na pierwszy rzut oka wydawać się objawem silnie rozwiniętego indywidualizmu. Złudzenie jednak zniknie, jeżeli wejrzymy w stosunki klasy panującej, wziętej w oderwaniu od klas upośledzonych. Tu już kończyła się sfera indywidualnej swobody i rzymski *civis*, zarówno jak rycerz średniowieczny stawał się niewolnikiem idei powszechnej, zmuszonym ślepo ulegać zwyczajowi, odwiecznym formułkom i woli ogółu. Starożytni w swych liberalnych na pozór formach państwowych rozumieli tylko jednomysłność. Odstąpienie od niej było zawsze zdradą bez względu na pobudki, a stronnictwa, ten charakterystyczny objaw obecnego życia politycznego, pojawiały się wśród nich dopiero w chwilach upadku. Według nas pierwiastek indywidualny oznacza poczucie i poszanowanie praw każdego pojedynczego człowieka, dla tego, że jest człowiekiem, istotą mającą pewne własne swoje pragnienia i dążenia. Czynów panowania i przewagi jednych nad drugimi nie możemy przeto nazwać objawem pierwiastku indywidualnego, tak jak nim nie nazwiemy władzy człowieka nad zwierzęciem. Doświadczenie nawet uczy, że jednostki i klasy społeczne, manifestujące jaskrawie swą samowolę względem słabszych, odznaczają się wysoką służalczością i pokorą względem wyższych od siebie. Nie szukając daleko przykładów, wskazać tu można choćby tylko typ dawnego polskiego szlachcica, pełnego fantazyi i animuszu, co jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej trzymać się pańskiej klamki, dworować po przedpokojach magnackich, nadstawiać karku dla zachcianki byle błazna mającego czem płacić i z pokorą rozciągać się na kobiercu pod bizuny.

Drugi z dwu rozbieranych poglądów, dopatrujący się stopniowego wzrostu indywidualizmu w rozwoju ludzkości, przenosi kwestyę na grunt czysto społeczny, jedynie właściwy, gdy chodzi o określenie stosunku jednostki do społeczeństwa. Przyjmuje on jako gotowy fakt istnienia społeczeństw, fakt, wywołany potrzebą i niemogący ulegać zaprzeczeniu bez względu na to, czy jednostki ulegają chętnie i z własnego popędu życiu towarzyskiemu, czy też poddają mu się jedynie wskutek nieprzepartej konieczności. Główna zaś kwestya leży w tem, czy ustrój społeczny, ulegając ciągłym, stopniowym zmianom dąży do coraz wszechstronniejszego pochłonięcia jednostek, czy też pozostawia im niezależną sferę działania.

Trzymając się tej drogi, rzućmy okiem w najogólniejszych rysach na przemiany w rozwoju form społecznego bytu.

II.

Powszechne dawniej mniemanie, jakoby rodzina była pierwszym co do czasu związkiem społecznym i pierwowzorem wszystkich innych ludzkich połączeń, wobec badań najnowszych ostać się nie może. Dziś możemy już stanowczo twierdzić, że najpierwotniejsza forma wspólnego pożycia ludzi nie różniła się od takiegoż pożycia zwierząt, że było nią stado albo horda, t. j. grupa bez żadnej wewnętrznej organizacyi, bez podziału władzy i pracy, złączona raczej mechanicznie niż duchowo. Jedynem prawdopodobnie wyróżnieniem wśród jej członków było stanowisko przewodnika, któremu zapewne tylko w pewnych wyjątkowych razach np. wspólnej obrony ulegał ogół. Wobec braku prawidłowych związków małżeńskich o rodzinie mowy być nie mogło; pojęcie ojcostwa nie istniało i co najwyżej macierzyństwo, do pewnego stopnia, rolę odgrywać mogło. Nie ulega zresztą wątpliwości, że stan taki tylko w czasie najniższego okresu ekonomicznego rozwoju mógł mieć miejsce t. j. w epoce, w której myślistwo jedyne stanowiło zajęcie.

Z przejściem do stanu pasterskiego pierwotny ten ustrój uległ musiał zmianie. W peryodzie wyłącznego zajmowania się polowaniem, praca wyjątkowo tylko mogła łączyć członków stada; nie istniał też węzeł, wypływający ze stosunku do bogactwa, bo każdy mógł w zasadzie bez udziału innych wyciągnąć korzyść z owocu swej pracy. Pasterstwo wytworzyło przedewszystkiem pewien stały kapitał, kapitał wspólny, który stanowił nowy, silny węzeł członków grupy. Kapitał ten dalej zmuszał do systema-

tycznej, a nawet po części uorganizowanej pracy. To też u ludów pasterkich spotykamy już pewną wyraźniejszą organizację społeczną. Grupa przestaje być li tylko mechanicznie zjednoczonem stadem, łączy ją już bowiem niejaka solidarność interesów zawiązana koniecznością wspólnego wyzyskiwania środków do życia. O tej formie społecznego bytu, zwanej rodem, z patryarchą na czele, historia daje nam już jakie takie dane. W tej to grupie spotykamy po raz pierwszy ślady cywilizacji we właściwym słowa tego znaczeniu t. j. pewne, przez wspólne pożycie wywołane objawy społecznego życia. Ojciec rodu, patryarcha występuje już jako stały zwierzchnik pozostałej rzeszy, jako jej wódz, kapłan, rozjemca i gospodarz. Taki typ przedstawia nam podanie biblijne w osobie Abrahama i jego synowca Lota. Obaj oni nie mają nad sobą żadnej wyższej władzy, lecz są jedynymi naczelnikami podległych im rzesz a z drugiej strony wszyscy im podwładni wprost i bezpośrednio od nich zależą. Patryarcha z nikim nie dzieli się władzą; ród jego stanowi jednolitą całość i żadnych w jego łonie niema uorganizowanych niższych kół społecznych.

Życie osiadłe, będące koniecznem następstwem zwrócenia się do rolnictwa, jako głównego zajęcia, powołało do życia organizację społeczną, której Rzymianie miano *famili*i nadali, a z której bezpośrednio w skutek różnych przemian cywilizacyjnych wywiązała się *rodzina* w dzisiejszem słowa tego znaczeniu. Powiadam — „z którego wywiązała się dzisiejsza rodzina“, — myliłby się bowiem ten, ktoby rodzinę pierwotną chciał według współczesnych nam pojęć oceniać. Poczucie pokrewieństwa, wynikającego z fizycznego faktu prokreacji, ze związku krwi, nie było zarówno cechą pierwotnej rodziny jak i rodu. Rodzinę pierwotną łączyły inne, bardziej zewnętrzne węzły a mianowicie: wspólne zamieszkanie, wspólna władza ojcowska i wspólna religia. Obcy przybysz, którego przyjęto do rodzinnego ogniska, stawał się tak dobrym członkiem rodziny jak i ten, który wśród niej ujrzał światło dzienne. Wchodził pod władzę ojca rodziny, nabywał praw do wspólnej własności i obrony, a bogowie rodinni rozstaczali nad nim swe opiekuńcze skrzydła. Z drugiej strony wygnany z niej, choćby syn ojca rodziny zostawał sierotą, obcym dla swoich, istotą bez mienia, bez bogów, bez opieki. To też wypędzenie z rodziny u wszystkich ludów dawniejszych za srogą uważane było karę.

Ten ustrój rodziny dochował się najwybitniej w zabytkach starożytnego Rzymu, gdzie wyraz „*familia*“ oznaczał pierwotnie nie krewnych, ale wszystko, co pozostawało pod władzą jednej osoby a zatem także i niewol-

ników, bydło i majątek martwy. Lecz i u innych ludów np. w Indjach, u Słowian, zabytki tego stanu rzeczy aż nadto są wyraźne. Ustrój rodziny pierwotnej i rodu był pod tym względem prawie identyczny. Różnica między nimi wynikała ze sposobu życia. Związek rodowy u ludów koczujących, nieograniczonych zbytecznie miejscem zamieszkania, mógł się licznie znacznie pomnażać i stanowić niejako oddzielne plemię, samoistne i do żadnego obszerniejszego związku nienależące. Natomiast osiadła rodzina z natury rzeczy szczuplejsze grono indywiduów obejmować mogła, a w skutek tego nigdy nie występuje w dziejach jako jedyny, sam w sobie zamknięty związek społeczny.

Opisane powyżej trzy pierwotne formy społecznego bytu przedstawiają pierwszą najniższą fazę pod względem stosunku jednostki do społeczeństwa. Stosunek ten na tem mianowicie polega, że jednostka żadnej nie odgrywa roli w organizacyi społecznej, która ją całkowicie i wszechstronnie pochłania. Jednolitość zajęć i niewielka stosunkowo ilość członków nie jest w stanie wytworzyć wśród nich żadnych wyróżnień; wszyscy są sobie równi i do siebie podobni, wszyscy ślepo ulegają woli naczelnika, jedynej osoby, mającej pewne prawa i wyróżniające się stanowisko. Słusznie też zauważył jeden z najznakomitszych dziś badaczy starodawnych zabytków prawnych (Maine), że pierwotne społeczeństwa wcale nie znały jednostek, że były one połączeniem rodzin a nie indywiduów.

Wytworzenie się państw stanowi w dziejach stosunku jednostki do społeczeństwa ważną erę. Na dnie przyczyn, która przejście od bytu patryarchalnego do życia państwowego wywołały, spoczywają względy ekonomiczne. Dopóki nieliczna ludność znajdowała dla siebie i dla stad swych z łatwością pożywienie i praca nie stała się jeszcze środkiem do życia, drobne grupy mogły istnieć spokojnie obok siebie. Z chwilą gdy dawne zasoby natury wystarczać przestały, zaczyna się walka rodów i plemion o lepsze miejsce, a z czasem i o zdobycz. To już zmuszało oddzielne rody do ściślejszego łączenia się przeciw napastnikom, a następnie do napadów na innych. Z drugiej strony potrzeba zastosowania pracy ludzkiej do wyzyskiwania natury, konieczność ułatwiania sobie tej pracy przez użycie narzędzi, podniosła znacznie potrzeby i wywołała coraz to szczegółowszy podział pracy a co zatem idzie — wymianę. Szczupłe koło rodzinne nie mogło już czynić zadość wymaganiom ekonomicznego bytu; rodziny wchodzić musiały z sobą w stosunki zamienne, co dało nowe pole do nieporozumień i zatargów. Do rozstrzygnięcia wynikłych ztąd sporów, ojcowie rodzin, jako

reprezentujący strony, kompetentnymi być nie mogli. Natura więc rzeczy domagała się władzy wspólnej, wyższej nad ojców pojedynczych familij.

Te przyczyny złożyły się na wytworzenie związku państwowego. Nie należy do rozbieranego tu przedmiotu rozstrzygnięcie pytania, czy trafiały się lub mogły trafiać przykłady pokojowego, polubownego łączenia się rodzin w państwa, czy też te ostatnie zawsze drogą walki i podboju się wytwarzały. Dość, że gdy powstały, stworzyły dla jednostek nową, niezależną od rodziny sferę działania i powołały je do pewnego samodzielnego życia, a obok tego dały początek wyróżnieniom w łonie samego społeczeństwa. Państwo z natury swej opierało się na sile, na panowaniu jednej grupy nad innemi i jeżeli historia nie zachowała nam u kolebki wszystkich państw śladu podboju, to przecież wszędzie wyczytać w niej możemy jego ślady t.j. podział na klasy, na uprzywilejowanych i poddanych. Jednolitość zatem, charakteryzująca pierwotne formy społecznego bytu, ustępuje w państwie miejsca podziałowi ludności na grupy, różniące się prawami i zajęciem.

Z drugiej strony państwo, jako związek obszerniejszy, wymagało już kunsztowniejszej organizacyi władzy. Jeden naczelnik, któryby na wzór ojca rodziny łączył w sobie wszystkie funkcje zarządu, wystarczyć nie mógł, otacza się więc zastępem pomocników, ludźmi zaufania, którym różne sprawy porucza. Otwiera to pole do odznaczeń i wywyższenia się dzielniejszym jednostkom. Dla nich opuszcza niejeden ciasną sferę rodzinnego pożycia i z konieczności usuwa się z pod wszechwładnej powagi ojca rodziny, która zresztą i w obrębie domowego koła przez prawo ograniczaną zostaje. Podczas gdy w czasach bytu patryarchalnego, każdy wydalony z rodziny stawał się istotą bez praw i opieki, teraz ma zawsze nad sobą władzę państwową, która i po za rodziną osłania jego osobiste bezpieczeństwo. Wyjście zatem z rodziny przestaje być karą a w wielu razach staje się korzyścią. Powoli wytworza się pojęcie własności indywidualnej, jako nagrody osobistej pracy i zasług. Majątek, zdobyty na wojnie lub wysłużony na urzędzie publicznym, to pierwszy w dziejach kultury ludzkiej przykład zupełnej, osobistej własności wyróżnianej, przez wszystkie niemal dawniejsze prawodawstwa od własności rodzinnej, do której nikt wyłącznego nie mógł nabyć prawa.

Tym sposobem byt państwowy wpłynął na wybicie się jednostki pod wielu względami. Człowiek przestał już być wszechstronnie pochłaniany przez jedną grupę społeczną, bo należał do kilku, z których każda częściowo tylko indywidualizm jego krępowała. Należał przedewszystkiem do pań-

stwa wraz z innymi współobywatelami. Ale prócz tego miał swą odrębną sferę rodzinną, do której państwowe przepisy i urządzenia w małym tylko stopniu przedzierać się mogły. Miał dalej pewne ściśle określone stanowisko według swej kasty lub stanu, stanowisko odrębne od członków innych kast. Wreszcie jednostki dzielniejsze, energiczniejsze, spełniające funkcje publiczne, wyróżniały się i swem osobistym położeniem i zasługami.

Rzecz jasna, że znaczenie jednostki w związku państwowym nie zawsze i nie wszędzie było jedno i toż samo. Zmiany jednak, jakie z biegiem czasu w stosunku tym spostrzegamy, zawsze stałe na korzyść indywidualizmu wypadają. Pierwotnie państwo, które wybawiło jednostkę od absolutnego zniwelowania w związku rodzinnym, dąży samo do zupełnego nią owdzielenia. Najściślej udało się to przeprowadzić państwom wschodnim, opartym głównie na teokratyzmie. Wszystkie państwa wschodnie urządzone były teokratycznie, czy to miała w nich przewagę kasta kapłanów, czy też zostawały pod despotyczną władzą monarchy, ten bowiem zawsze za bezpośredniego przedstawiciela bóstwa był uważany. Ta przewaga pierwiastku religijnego, nadludzkiego musiała oczywiście gnębić samodzielność jednostek. Rozporządzenia władzy, przybrane w szatę przykazań bóstwa, musiały mieć bezwzględną moc dla wszystkich i nie mogły znosić wyjątków i odstępstw, a były tem cięższe, że wdzierały się w najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia.

Teokratyczny pierwiastek istniał niezawodnie u wszystkich, nawet europejskich państw pierwotnych. Warunki jednak miejscowe nie sprzyjały mu do tego stopnia, że w dziejach ludów naszej części świata, spotykamy głównie formalne tylko jego ślady, dochowane we wróżbach, zapytywaniu o radę bogów i t. p. zjawiskach, które podrzędną w działalności społecznej odgrywały rolę. Granice zatem, w których jednostka swobodnie rozwijać się i działać mogła, rozszerzają się znacznie. U ludów świata starożytnego, Greków i Rzymian, widzimy już formę rządu, w której jednostki, przynajmniej należące do klasy wybranej, znaczny przyjmowały udział. Wysłowienie się z pęt bezwzględnej religijności popchnęło dzielniejsze umysły do badań i wytworzyło nową sferę wyróżnień na polu wiedzy. Swoją drogą przeceniać rozwoju indywidualizmu wśród ludów klasycznych nie należy. Idea ogólna, idea państwa przeważała stanowczo w Grecyi i Rzymie, choć nie zawsze i nie wszędzie w tym stopniu co w instytucjach Sparty lub ideałach Platona, dążono przecież do możliwego ograniczenia indywidualnych dążeń na rzecz istniejącego ustroju społecznego. Pomi-

mo znacznego udziału w rządzie, stronnictwa występują jedynie w formie wojen domowych, które ostatecznie doprowadziły do absolutnej władzy cesarów.

Nowy ważny krok ku indywidualizmowi uczyniła ludzkość przez chrystyanizm. Jak państwo rozdzieliło jedyną pierwotnie władzę patryarchy między różne organy, tak chrystyanizm rozróżnił królestwo tego świata od królestwa bożego, państwo od kościoła. Starły się więc ponad tłumami jednostek dwie władze, a starły się wrogo, w walce o panowanie nad temi jednostkami a co najważniejsza — z ich pomocą. Średniowieczne walki władzy duchownej ze świecką stanowią niezaprzeczenie jedną z najskuteczniejszych lekcji, jakich historia ludom udzieliła. A były to lekcye, które uczyły ściągać do ziemi wystrzelone w nadziemskie sfery pojęcia, nauki, które przyczyn i pobudek działalności społecznej i jej sił na ziemi wśród ludzi szukać kazały. Walki te bezwiednie przyzwyczajały masy ludzką a więc własną miarą oceniać osłaniające się w tajemniczości powagi. Z drugiej strony walczące dwie władze podkopywały się wzajemnie i pragnąc na swą stronę przeciągnąć jak najwięcej stronników, czyniły dobrowolne ustępstwa. Uchylający się z pod praw państwowych chronił się pod skrzydła kościoła; oponujący przeciwko władzy kościelnej znajdował opiekę w państwie.

Ten stan rzeczy powołał do życia krytycyzm, formę badania nieznanej prawie w starożytności. Wielu jego apostołów zginęło w walce o prawdę, ale idea zdobywała sobie pozycje. Od krytyki urządzeń kościelnych, od Waldensów, Wiclefów i Lutrów, przeniósł się krytycyzm do sfery badań politycznych, gdzie w pismach filozofów XVIII wieku doszedł swego szczytu. Przewaga państwa i systemat wszechstronnej opieki w wieku XVII i XVIII nie były bynajmniej trwałym tryumfem idei państwowej, ale raczej dążeniem do utrzymania przemocą tego, co usuwało się coraz bardziej z pojęć, a sławne „l'etat c'est moi“ wyrzeczone przez monarchę, odbiło się wkrótce, jakby echem, w ustach ludu.

Wiek XVIII był wiekiem świadomego przebudzenia się indywidualizmu. Jeżeli do tej pory, począwszy od zaczątków bytu państwowego, jednostka nabierała wobec społeczeństwa coraz większego znaczenia, działało się to bezwiednie, nieświadomie, samą siłą faktów i naturą rzeczy. W wieku XVIII poraz pierwszy wystąpiła świadomie teoria indywidualizmu, głosząca samodzielność jednostki i jej swobodę za główny warunek pomysłowości powszechnej. Zasadę tę podnieśli naprzód fizyokraci, głównie

zaś Adam Smith i jego szkoła. Wystąpienie fizyokratów nie nosiło na sobie jeszcze cech zupełnej świadomości co do znaczenia jednostki w społeczno-ekonomicznym życiu, i korzyści, jakie z ich teorii jednostka odniosła, były raczej przypadkowe niż wyrozumowane. Zato poglądy szkoły Adama Smitha wyraźnie przedstawiły ją jako środek ciężkości ekonomicznego bytu, a jej swobodę — za niezbędny warunek prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Dziś, gdy pod wpływem tych przekonań runęły w znacznej części dawne ograniczenia, jakim i średniowieczny ustrój swobodę jednostek hamował, gdy wolna konkurencja stanowczo zyskała sobie prawo bytu w stosunkach ludzkich, absolutne twierdzenia i postulaty szkoły Adama Smitha znalazły przeciwników. Pominąwszy jednak krańcowe teorie socjalistyczne, które chciałyby oddać znów jednostkę ze wszystkimi jej zdolnościami, myślami i pragnieniami pod absolutne kierownictwo państwa, reszta krytyków zupełnej swobody ekonomicznej i społecznej nie podkopuje bynajmniej w zasadzie założenia szkoły indywidualistycznej. Wszyscy uznają swobodę za podstawę stosunków społecznych, ograniczenie jej zaś przez państwo ma być tylko wyjątkiem, który usprawiedliwić się daje o tyle tylko i tak długo, o ile w danym razie okaże się niezbędnym.

III.

W poprzednich ustępach starałem się przedstawić w ogólnych zarysach rozwój historyczny ustroju społecznego, zaznaczając, o ile na stopniowych jego zmianach zyskiwała jednostka. Wykazał on nam warunki, które z biegiem czasu wpływały na zmianę stosunku osobnika do społeczeństwa. Obecnie należy przejść do szczegółów i rozejrzeć się, w jaki sposób warunki te wprowadzały zwolna pierwiastek indywidualny do różnych zakątków życia społecznego.

Stosunek człowieka do środków materialnych, służących do podtrzymania jego istnienia, jest stanowczo podstawą wszelkiej organizacji społecznej. Z tego powodu forma tego stosunku czyli forma własności należy do najistotniejszych instytucji społecznych. Pierwotny ustrój wszystkich bez wyjątku ludów znał tylko własność wspólną, własność pewnych grup jak: plemienia, rodziny, gminy. Opuszczający rodzinę, wydany z niej, tracił prawo do rodzinnego majątku, przyjęty do niej stawał się przez to samo współwłaścicielem narówni z innymi. Ta wspólność majątkowa istniała po przejściu do bytu państwowego wszędzie, choć czas jej

trwania był różny, stosownie do miejscowych ekonomicznych warunków. Obok niej jednak wcześniej już występuje w państwach własność pojedynczych jednostek. Już wyżej wspomniałem, że służba publiczna pierwsza stworzyła własność indywidualną. Tak było w Rzymie, gdzie początkowo żaden z członków rodziny nie mógł posiadać własności i wszystko, co nabył, stawało się własnością ojca rodziny. Dopiero z czasem majątek, zdobyty na wojnie (*peculium castrense*) a następnie i wysłużony na urzędzie (*peculium quasi-castrense*) przechodził pod wyłączne rozporządzenie tego, który go nabył. Tak było i w wiekach średnich. Wszędzie wyróżniano majątki rodowe, które należały do całej rodziny i bez udziału wszystkich jej członków zbywane być nie mogły, od wysłużonych, nabytych, stanowiących zupełną indywidualną własność.

Rozwój życia państwowego i ekonomicznego sprawił, że wspólna własność coraz bardziej przechodzić zaczęła w indywidualną. Wspólność dogodną była dla wszystkich jej uczestników o tyle tylko, o ile wiodli jednostajne życie, jedno mieli zatrudnienie i nie dążyli do szerszej działalności. Z chwilą, gdy dla jednostek otworzył się szereg różnorodnych zajęć, dających pole do zysków i odznaczeń zależnych od osobistych zalet, wspólność stała się ciężarem. Wszystkie też prawodawstwa zaczęły popierać rozdział majątków między członków rodziny, dążąc powoli do kategorycznego przepisu, że nikt nie może być zmuszony do pozostawania w niepodzielności. W skutek rozdziału każdy członek rodziny stawał się wyłącznym panem swej części i pozostawał nim nawet wtedy, gdy nową stworzył rodzinę, której był ojcem. Dzieci nie nabywały już, jak poprzednio, praw do majątku za życia ojca i dopiero po jego śmierci zyskiwały prawo do spadku po nim. Tylko w niektórych zakątkach, gdzie rozwój ogólnego życia najmniej wywarł wpływu, i gdzie zabytki przeszłości najsilniej się dochowały, wspólna własność utrzymała się do naszych czasów, wymierając powoli pod naciskiem niesprzyjających jej warunków. Tą drogą stosunek człowieka do rzeczy radykalnej uległ zmianie. Pierwotnie służyło mu jedynie użytkowanie z nich na własne bezpośrednie potrzeby; do rozporządzenia niemi, do zmiany ich natury a nawet formy prawa mu nie przyznawano. Do tego ogół jedynie był władny. Obecnie wola jednostki panuje nad przedmiotami zupełnie i ogół tylko w wyjątkowych razach moc jej ogranicza.

W podobny sposób żywioł indywidualizmu wdarł się i do stosunków osób pomiędzy sobą oraz ich położenia społecznego. W epokach dawniejszych stanowisko każdego człowieka zgóry określone było zwyczajem

lub prawem. Każdy, rodząc się, przychodził nie tylko na świat, ale zarazem i do przyszłego swego zajęcia oraz pozycyi, jaką miał zająć. Czego kto od niego mógł wymagać, kto znów i jakie względem niego miał obowiązki, to wszystko szło z wyższego rozkazu, któremu bezwarunkowo ulegać należało. Jak u ludów starożytnego Wschodu kasty, tak później stany wiązały jednostki w pewnej sferze zajęć i praw. Nietylko rolnik przykuty był do roli a rzemieślnik do warsztatu, ale i uprzywilejowany rycerz był niewolnikiem swego zawodu, bo mu go pod groźbą utraty czci i praw ani porzucić, ani na inny zamienić nie było wolno. Ta wszechstronna niewola, różniąca się u różnych stanów li tylko materjałem, z jakiego łańcuch był ukuty, stanowi wybitną cechę dawniejszych form ustroju społecznego, które dopiero od końca zeszłego wieku ustąpiły nowym, na wolności ekonomicznej opartym.

Stanowisko społeczne osoby narzucało jej nietylko zajęcie, nietylko sposób życia ale nadto i stosunki z innemi. Sfera dobrowolnej umowy, na mocy której jednostki przyjmują względem siebie pewne, od ich woli zależne zobowiązania, bardzo szczupłe miała granice na niższych stopniach kultury. Dawne prawodawstwa główny nacisk kładły na otoczenie jednostek całą siecią przepisów, którym ulegać miały w rodzinie, gminie, państwie, życiu ekonomicznem i domowem. O umowach zawierają bardzo nie-liczne i niedokładne przepisy i nawet tam, gdzie pozostawiały woli ludzkiej pewną swobodę, krępują ją różnemi warunkami i ograniczeniami. Stosunki panów do niewolników zastępowały dzisiejszą umowę najmu pracy ludzkiej, a wspólność majątkowa rodzin wyłączała w znacznej części zamianę, najem majątków i oparte na swobodnej umowie spółki i stowarzyszenia. Te ostatnie zwłaszcza, które obecnie tak doniosłego nabierają znaczenia i według zdania wielu, są jakoby powrotem do pierwotnej wspólności, stanowią rzeczywiście jeden z wybitniejszych objawów silnie rozwiniętego indywidualizmu. Dawne formy kooperacyi, czy to oparte na związku pokrewieństwa, czy też na zajęciu (różne korporacje rzemieślnicze, bractwa, cechy) były dziełem przymusu. Jednostki należeć do nich musiały bez względu na swą wolę, bo po za niemi pole do pracy było dla nich zamknięte. Zresztą miały one na celu nie tyle korzyści, wynikające ze zjednoczenia i organizacyi sił, ile ograniczenie jednostek w ich swobodzie, którą za szkodliwą dla innych uważano. Dzisiejszy zwrot do stowarzyszeń wywołany został przez pobudki wprost tamtych przeciwne. Źródłem ich jest dobrowolna zgoda uczestników, mających wszelką możność działania w od-

osobnieniu, celem zaś—wyzyskanie przez każdą jednostkę korzyści, których by sama osiągnąć nie była w stanie. Nadto dawniejsze przymusowe związki pochłaniały każdego ze swych członków różnostronnie, dawały mu stanowisko społeczne i narzucały formy towarzyskiego życia. Współczesne nam stowarzyszenia dotyczą jedynie pewnej, nader szczupłej strony interesów swych członków, najczęściej jednej tylko z tysiącznych ich potrzeb. Każdy może należeć do mnóstwa różnorodnych stowarzyszeń, nie tracąc bynajmniej żadnej z cech swego indywidualizmu. Samo nawet istnienie dowolnych stowarzyszeń byłoby niemożliwe przy dawnych przymusowych formach połączeń, wymaga bowiem zupełnej niezależności jednostek i zupełnego prawa rozporządzania sobą.

Uwzględnienie przez nowsze prawodawstwa jednostki nietylko w dziedzinie ekonomicznej się ujawniło. Wszystkie bez wyjątku części prawa w tym samym rozwijają się kierunku. Gdziekolwiek z konieczności jednostka w bardziej samodzielnej wystąpić musiała roli, starano się dawniej ograniczyć ją najróżnorodniejszymi formułkami, tak, że ideałem było uczynić zeń prostą maszynę do spełniania bezmyślnie prawie przepisanych formalności. Prawodawstwa usiłowały przewidzieć wszystkie możliwe przypadki, jakie w stosunkach ludzkich wydarzyć się mogły, i na każdy stanowiły osobne normy, które sędzia ślepo winien był stosować. Przepisywały dalej z drobiazgową skrupulatnością dowody, które powinny były w każdym wypadku służyć za podstawę wyrokowania, nie wchodząc w to, czy będą one w danym razie odpowiadały istocie rzeczy t. j. czy wzbudzą w osobach powołanych do wymiaru sprawiedliwości przekonanie o winie lub niewinności. Nieufność do ludzi, do ich sądu i zdania, tak daleko posuwano, że wolano powierzyć ślepemu losowi, przypadkowi, rozstrzygnięcie trafić się mogących wątpliwości. Udoskonalenie w tym względzie prawodawstw, stopniowe powoływanie rozumu i sumiennosci ludzkiej do wielkiego dzieła wymiaru sprawiedliwości, pozostawienie jednostkom oceny czynów dochodzonych i ich pobudek—jest niczem innym, jak powolnem zwycięstwem indywidualizmu w życiu społecznem, uznaniem jednostki za samodzielną i rozumną siłę, zdolną do służenia sprawie publicznej.

Z tego również źródła płynie cały szereg reform w tych wszystkich dziedzinach, gdzie interes jednostki stykał się lub wchodził w kolizję z interesem ogółu, jak: dopuszczenie ludu do udziału w zarządzie państwowym i władzy prawodawczej, prawna ochrona jednostek przeciwko samowoli

organów władzy, uwzględnienie indywidualnych warunków w prawie kryminalnem i t. d.

Historia instytucji prawno-społecznych jest najwyraźniejszym obrazem tryumfów, jakie w rozwoju społecznym odnosił stale indywidualizm nad stadowemi instynktami ludów pierwotnych. Prawo bowiem, krystalizując w pewnych odstępach czasu rozwijające się ciągle choć nieznacznie pojęcia społeczeństwa, ujmuje nieokreślone, nurtujące wśród ogółu idee w ścisłe formy i daje tym sposobem, przez porównanie dawnych zasad z nowemi, możność dokładnej oceny zmian, jakie w nich zachodzą. Nie znać to jednak, żebyśmy i w innych dziedzinach życia społecznego nie mogli wykazać stopniowego rozwoju indywidualizmu. Obok praw, przez władzę społeczną usankcjonowanych i obowiązujących wszystkich, co władzy tej ulegają, w społeczeństwie wytwarza się summa pojęć, norm, zwyczajów przez ogół lub pojedyncze jego części milcząco przyjętych i wykonywanych. Te normy czysto moralnej natury, bo stojące pod strażą, nie siły fizycznej, nie przymusu zewnętrznego, ale dobrowolnego poddania się głosowi ogółu, opinii, są również narzędziem, za pomocą którego społeczeństwo nacisk swój na jednostki wywiera.

I z pod tego nacisku usiłują się zwolna wyłamać jednostki a dążenie w tym kierunku nie pozostało bezowocnym móżdżkiem. Wienczy go jedna z najpiękniejszych zdobyczy cywilizacji — tolerancja, pojęcie obce czasom dawniejszym, a uznające prawa jednostek do samodzielności w myśli i czynie. Rozwój tolerancji idzie w parze z upadkiem pierwiastku nadnaturalnego, wiary w cudowność i wyższe siły, którym bezpośrednio kierownictwo machiną społeczną przyznawano. Wszystkie zwyczaje, wszelkie istniejące wśród ogółu pojęcia i mniemania uważano zawsze u ludów niższych za wytwór sił nadprzyrodzonych, za święty dar bóstw opiekuńczych. Jak murzyn każdy swój krok pomyślny lub niepomyślny woli przyznać nędzemu fetyszowi, kawałkowi drzewa lub kamienia, aniżeli swej własnej zasludze lub winie, tak narody całe z bezmyślną czcią korzystały się przed wytworami swych własnych potrzeb i myśli i bałwochwalczo uwielbiały nieraz to, co absurdem nazwałaby logika prostaczka, gdyby jej dostęp do tych tajemniczych przybytków nie był wzbroniony. Rozumie się samo przez się, że wobec takiego nastroju ogółu miejsca dla indywidualnych poglądów być nie mogło. Targnąć się na uznane powszechnie prawdy, zmienić formę stroju lub wprowadzić reformę w sposobie życia, było bluźnierstwem, zbrodnią, na którą surowej kary cały domagał się ogół. Zabytki tej wiary mamy

sposobność wszyscy oglądać na własne oczy, lecz kryje się on z każdym dniem w coraz ciemniejsze zakątki, bo rozwój wiedzy, sprowadzając za sobą przyczynę zjawisk społecznych na ziemię, powołuje ludzi do sądu o tem, co ludzkim jest wytworem i daje każdemu prawo głosu w obchodzących go sprawach. Że tak jest w rzeczywistości, a przynajmniej, że w tym kierunku ludzkość podąża, łatwo się przekonać spojrzawszy na około siebie. Nie spotykamy już bezwzględnych uwielbień, któreby bałwochwalczo ogół rzucały pod stopy jednej powagi, jak z drugiej strony nie masz absolutnych potępień. Najwięksi działacze na polu czy to polityki, czy wiedzy liczyć się muszą z przeciwnikami, z którymi walczyć trzeba równą bronią, bo im milczenia nakazać nie można. Potępiony przez jednych szuka opory u innych i dawne widmo exkommunikacji towarzyskiej nie straszy już tych, którzy chcą zerwać z powszechnem zdaniem i nową drogę czynom swym wytknąć.

Rezultatem całego wyżej powołanego szeregu zmian w instytucjach i życiu społecznem jest reforma w pojęciach o znaczeniu jednostki i jej roli w działalności powszechnej. Przewroty ekonomiczne i wywołane przez nie skomplikowane formy budowy społecznej, postęp wiedzy, burzącej stare przesady i wykazującej potęgę rozumu ludzkiego, wyprowadziły jednostki z biernego wykonywania płynących z góry rozkazów, obudziły poczucie jej własnych sił i dały bodziec do wystąpienia z czynną inicjatywą. Dawna wiara we wszechpotęgę państwa, przyznawanie mu całego istniejącego porządku i pociąganie go do odpowiedzialności za wszystkie braki i klęski, ustąpiły miejsca nawoływaniom do inicjatywy prywatnej, i do ściśnienia granic opiekuńczych instytucji. Jako ilustrację poglądów, jakie pod tym względem panowały wśród ogółu za czasów starego porządku, przytaczają następującą zrezygnację pomyślaną opowieść. Obywatel jednego z miast włoskich, wyszedłszy pewnego poranku na ulicę, dowiedział się, że poumierali wszyscy miejscy dygnitarze i reprezentanci władzy. Z przerażeniem wrócił do domu, zatarasował drzwi i okna, oczekując ze śmiertelną trwogą, rozruchów i grabieży. Po dwu dniach próżnej obawy, ośmielił się wyjść na miasto i ujrzał otwarte sklepy, pracujące warsztaty i spokojnie przechodzących współobywateli. Na ten widok ze zdumieniem zawołał: „Teraz już nie nie rozumiem, więc tedy świat idzie o własnej sile!“ — Naiwny ów obywatel, mający zresztą i dziś jeszcze niejednego współwyznawcę, jest istotnie doskonałym typem pojęć epoki, w której indywidualizm faktycznie tylko i bezwiednie działał w społeczeństwie, zasłonięty przed oczyma ogółu wielką, o niezrozumiałej konstrukcji machiną. Dziś oczy ludzkie przedarły

się już do jej wnętrza, i w niem każdy, patrzeć umiejący, widzi siebie i swych współbraci czyniących cuda, które kiedyś na karb tajemniczego Lewiatana kładziono.

IV.

Że wykazany powyżej rozwój indywidualizmu w życiu społecznem nie jest zjawiskiem przypadkowym, ale stałym, niezmiennym prawem cywilizacyjnem, tego dowodzi nie tylko jego wszechstronność, obejmowanie sobą wszystkich stron życia, ale także i ścisły związek z całym przebiegiem dotychczasowej kultury i psychicznymi właściwościami natury ludzkiej. Powyżej już wskazane zostały te główne przełomy w dziejach ludzkości, które zmusiły stopniowo jednostki do samodzielnej pracy w interesach ogółu a z drugiej strony, stwarzając coraz nowe związki społeczne, podkopywały despotyczny charakter dawniejszych. Jeżeli pierwotne państwo było znakomitą postać w rozwoju indywidualizmu, w porównaniu z poprzedzającym je bytem patryarchalnym, to podobnie dzisiejszy ustrój państwa góruje ponad pierwotnymi jego formami. Prąd do zacieśnienia sfery, na którą rozszerza się działalność władzy politycznej, nie zanika w naszych czasach. Pomimo silnej reakcji w duchu przeciwnym, wywoływanej tu i ówdzie przez gwałtowniejsze ruchy, nie podobna zaprzeczyć dążności, przez same państwa nawet sankcjonowanej, do wytwarzania się nowych, nieznanych dawniej kół, które wciągają w siebie różne sfery potrzeb ludzkich, kiedyś wyłącznie przez państwo regulowanych. Instytucje samorządu miejscowego, stowarzyszenia obywateli w celach wzajemnej pomocy, przyznanie praw narodowości tam, gdzie te z interesami państwowymi stanęły w kolidacji—są to wszystko symptomy coraz bardziej, pomimo różnorodnych przeszkód, ustalające się we współczesnym nam życiu społecznym. A na tem rozczłonkowaniu się społeczeństw zyskuje jednostka. Kto jednego ma pana nad sobą, jest jego niewolnikiem; kto wielu służy, nie zaprzedał się żadnemu i sam sobą rządzi. Ta prawda, którą tak łatwo w życiu potocznym skonstatować, jest niemniej słuszną, gdy pod nią stosunek jednostki do społeczeństwa podciągniemy. Żadna grupa społeczna, choćby najpotężniejsza, choćby nawet pozornie do absolutnego panowania nad swymi członkami dążyła, nie dopnie tego celu, jeżeli obok siebie inne związki uznaje. Dzisiejsze zaś państwo związki te nie tylko uznaje, ale nadto

uznawać musi, bo nie są jego wytworem lecz zdobyczą, którą na niem walczyły ludy.

Prąd, popierający rozwój indywidualizmu w życiu społecznym, znajduje usprawiedliwienie i w samych jednostkach.

Nauka stanowczo już stwierdziła fakt, że cywilizacja potęguje osobnicze wyróżnienia. Dziki, powiada jeden z najznakomitszych obecnych psychologów, tak pod względem duchowym jak i fizycznym ma fizygnomię plemienną albo trzodową, fizygnomię hordy, do której należy. Wśród społeczeństw i klas ucywilizowanych, nawet fizyczne właściwości nabierają coraz więcej cech indywidualnych. Łatwo zauważyć wielkie podobieństwo do siebie dzieci, które niknie następnie pod wpływem fizycznego rozwoju. W bezporównaniu wyższym stopniu da się to powiedzieć o właściwościach duchowych. Niewielka gromada półdzikich nomadów, cała jednemu oddana zajęciu i jeden tylko zakątek ziemi znająca, cała wreszcie na jednym poziomie umysłowości stojąca, czyż może mieścić w swem gronie indywidua o różnych potrzebach, poglądach i dążeniach? Wszyscy jej członkowie widzą i robią jedno i toż samo, jednym ulegają przyjemnościom i przykrościom, więc też jedne mają myśli i pragnienia. U nich o jednomyślność nie trudno, u nich chyba tylko potwór, do ogółu niepodobny, może odmienne mieć przekonania.

Lecz gdy wytworzą się w społeczeństwie różne klasy i zawody z których każdy przywiązuje do siebie cząstkę ogólnej masy, gdy klasy te i zawody staną ze sobą w sprzeczności i swych członków do walki zagrzeją, gdy wiedza, rozszczepiając się na tysiączne promienie, każdego innym blaskiem oświeci, gdy wreszcie wzrok ludzki pada nietylko na swój drobny zakątek, ale obejmie sobą ziemię od bieguna do bieguna, nie można myśleć i marzyć o jednolitości, o jednej owczarni. Każdy urabia zdanie swoje wedle potrzeb, które na swem stanowisku odczuwa a które dla innych obce są i niezrozumiałe, według tego atomu wiedzy, który mu trafem dostał się w udziale. Nakazać mu, ażeby czuł i myślał jak inni, którzy innem żyją życiem, co innego umięją i czego innego pragną, będzie dlań ciężarem, przeciwko któremu wszystkie swe siły wyteżyć musi. Czyż wobec tego może się ostać budowa społeczna, któraby z góry każdemu wyznaczała jego miejsce i zmuszała do potulnego ulegania normom przez innych wynalezionym i na innych wypróbowanym? Tylko ciemnota lub strach może cudów takich dokonać; ale światła nie zdoła zgasić choćby najidealniejsza doktryna, a strach w ciemnościach tylko ma swoje królestwo.

Dawne formy społeczne, krępujące jednostki i usiłujące osnuć je jak najściślejszą siecią przepisów, miały zresztą swoją rację bytu. Podyktował je, choć nieświadomie, instynkt zachowawczy społeczeństwa, który kiedyś nie bezzasadnie widział w jednostkach żywość całości organizmu wrogie. Egoizm mało rozwiniętych jednostek nie jest w stanie godzić się polubownie z interesem innych indywiduów i z celami ogółu. Z tym egoizmem, za bezpośredniemi tylko goniącym korzyściami, walczył ogół swą twardą i przygniatającą organizacją i musiał w interesie samozachowania walczyć wytrwale i bez litości, bo wszelkie ustępstwo groziło ruiną społecznej budowy. Dla dobra całości poświęcano części składowe, bo bez tego niemożliwe było istnienie. Jednocześnie z rozwojem indywidualizmu i jako konieczny jego warunek, wyrabiał się ludzki egoizm. Jednostki, kształcąc się i wnikając w istotę zjawisk, uczyły się patrzeć w przyszłość. Organizacja społeczna przestała być dla nich dziełem sił wyższych, dla dobra nielicznych jednostek kosztem reszty uformowanem; ujrzały w niej korzyść własną i zyski, które tylko poszanowaniem interesów ogólnych osiągnąć się dają. To dobrowolne solidaryzowanie się interesów jednostek z interesem ogółu jest również odwiecznem prawem cywilizacyjnem, które rządzi postępem życia społecznego. Ucisk indywiduów przestaje zezasem być warunkiem pomyślności ogólnej. Z konieczności przeto stał się niesprawiedliwością, przeciwko której powstał duch ludzki i emancypację jednostek wywalczył.

To właśnie dobrowolne poczuwanie się jednostek do solidarności z ogółem dało powód do zdania, na początku wzmiankowanego a upadek indywidualizmu głoszącego. O ile zdanie to jest błędne, przekonują dośadnie dzieje ludzkości, o ile jest szkodliwe ocenić potrafi ten tylko, kto nie czując w sobie popędu do fantastycznych wybryków, ceni swą niezależność i obawia się ją utracić. Dla nas nauka z dziejów płynąca brzmi jasno i wyraźnie. Widząc w nich ciągłą dążność do wyzwalań jednostek z więzów społecznych i rozumiejąc warunki, które prąd ten podsycają, zawsze uważać będziemy każdą teorię, każdą reformę przeciwną, za wsteczną, za krzywdę wyrządzaną cywilizacyi.

Tego przekonania nie zachwieją w nas nawet chwilowe tryumfy sił, do przygnięcia jednostek i ograniczenia ich udziału w życiu społecznym zmierzające. Historia bowiem uczy, że droga postępu nie biegnie po linii prostej. Każdy ważniejszy krok naprzód zawsze wywoływał cofnięcie się, reakcję, która długie nieraz lata tłumila połą swęj sukni płomień, dopóki

ten w popiół jej nie zamienił. Przeżyte, z pola schodzące żywioły mogą na czas jakiś wstrzymać rozwój indywidualizmu w życiu społecznym, mogą go nawet przytłumić, lecz będzie to tylko przyspieszeniem własnego ich końca. Nowe zaś dążenia, pragnące kosztem swobody jednostek odrodzić społeczeństwo, spotkają zawsze tylu przeciwników, ile się znajdzie trzeźwych i niezależnych umysłów.

Karol Dunin.

ROJENIA

socjalistów polskich wobec nauki ich mistrza.

O möchten wir uns selber sehen,
Wie wir vor andern Augen stehen.
Manch' Irrthum würden wir entgegen
Und mancher Thorheit.

Burns.

„Międzynarodowy ruch socjalistyczny prądem swoim ogarnął z kolei i ziemię, w skład dawnej Polski wchodzącą. Dziś już niepodobna zaprzeczyć, że ruch (sic!) ten u nas istnieje, że znalazł grunt odpowiedni (?) i coraz więcej zyskuje zwolenników. (?)“

Temi słowa otwierają swój program „socjaliści galicyjscy.“

Że kilkudziesięciu ludzi umysłowo niedojrzałych zerwało się różnemi czasy do szerzenia nieznanych jeszcze dobrze im samym idei socjalistycznych w ziemiach, do składu dawnej Polski należących; że następnie niektórzy z nich za granicą przetłumaczyli kilka agitacyjnych broszur, zrodzili kilkanaście „programów“ dla rozmaitych nieistniejących partyj robotniczych polskich i kilka do nich odezw; że wydali kilkanaście numerów pism w lichym, a często i bardzo „nieliterackim“ stylu, cieszących się jednym, dwoma lub trzema prenumeratami; że inni, dzięki głębszemu zastanowieniu się nad znikomością wielkich idei i celów wśród „zgangrenowanego materializmem“ świata, wrócili doń i wzięli się do spokojnej pracy według sił dla pożytku własnego i swego społeczeństwa — temu rzeczywiście zaprzeczyć niepodobna, — to fakt!

Żeby jednakże kiedykolwiek aż po dziś w którejkolwiek z dzielnic polskich miał się przejawić jakiś rzeczywisty, poważny ruch, zasługujący

na tę nazwę, a więc zbiorowy, socjalistyczny; żeby dla ruchu takiego istniał dziś u nas, a zwłaszcza w Królestwie, grunt odpowiedni, żeby on miał sobie zjednywać coraz więcej zwolenników, — tego dowieść byłoby trudno, — to świadomy lub nieświadomy wymysł garstki propagandzistów, usprawiedliwiający się celami ich apostołstwa, ale niemający nic wspólnego z rzeczywistością.

Że zaś tak jest, postaramy się dowieść. Naprzód pytanie główne: czy istnieją dziś u nas warunki odpowiednie dla rozwoju socjalizmu? Później pomówimy o tem, jakie, sztucznie zaszczipiony, wydał rezultaty, oraz jakich i ilu pozyskał zwolenników.

Wszyscy bez wyjątku socjaliści polscy za naukowego mistrza swego uznają znakomitego krytyka ekonomii politycznej, Karola Marksa. Przekonajmy się więc, czy twierdzenie ich, że społeczeństwo nasze przedstawia już dziś ¹⁾ materiał odpowiedni do rozniecenia w niem pożaru rewolucyjnej społecznej, zgadza się z odnośnymi poglądami tego uczonego. W tym celu musimy przede wszystkim jak najdokładniej, chociaż w krótkości, poznać czytelników z głównymi wywodami Marksa. Chcąc przytem walczyć z przeciwnikami na jednakiem polu, nie będziemy się tutaj wcale wdawali, w ocenę tych wywodów (choć niektóre z nich, jak tego dowiedli, między innymi, Dühring, F. A. Lange i M. Block, nie wytrzymują ścisłej krytyki) lecz poprzestaniemy na prostem ich streszczeniu.

Osią, około której się obracają dzieje rozwoju ludzkości, są, podług Marksa, stosunki ekonomiczne.

Każdemu okresowi rozwoju odpowiada i co więcej — jego grunt, jego podstawę, jego cechę stanowi właściwy mu system produkcyjny.

Podstawą i cechą obecnego okresu życia narodów cywilizowanych jest kapitał, który w dawniejszych epokach nie istniał, lub przynajmniej istniał tylko wyjątkowo i działał w bardzo ograniczonym zakresie. Główną i ogólną podstawą produkcji stał się on dopiero w końcu XV, lub właściwiej na początku XVI wieku. Pierwszą formą przejawu kapitału wogóle są pienią-

¹⁾ Mówimy tu tylko „już dziś“ z powodu, który zaraz poniżej przytoczymy, jakkolwiek wątpimy, żeby nawet wogóle kiedykolwiek taka gwałtowna, radykalna i powszechna rewolucja społeczna, jaką prorokują socjaliści, wybuchnąć, a tem bardziej powieść się mogła. Przyczyny tego wątpienia, budzącego się we wszystkich praktycznych umysłach, umiających dokładnie badać warunki rzeczywistości, świetnie przedstawił znakomity autor przetłumaczonej na język polski *Historji materializmu*, F. A. Lange, w swojej *Arbeiterfrage*. Winterthur. 1875, wyd. trzecie str. 249 i nast.

dze; pierwszą zaś postacią, w jakiej one objawiły się jako kapitał na początku okresu kapitalistycznego, był kapitał kupiecki i lichwiarski.

Pieniądze, jak wiadomo, istniały i w dawniejszych dobach ekonomicznych, nie były jednakże kapitałem, lecz tylko prostym środkiem wymiany, gdyż zakupywano za nie towary jedynie w celu osobistego ich spożycia. Każdy wytwórca sprzedawał niepotrzebny mu nadmiar produktu własnej pracy dla kupienia za otrzymane pieniądze potrzebnych wytworów pracy innych ludzi, pieniądz więc tutaj był tylko pośrednikiem wymiany. W kapitał zaś zamienia się on dopiero wtenczas, gdy jego posiadacz zakupuje towary nie potrzebne jemu samemu, lecz innym ludziom, i nabywa je w celu sprzedania ich innym z z y s k i e m, czyli w celu otrzymania z tej operacji większej summy pieniędzy, niż w nią pierwotnie włożył. Ten zysk, ten przyrost wartości, otrzymywany ze sprzedaży towaru, zakupionego właśnie w celu tej sprzedaży, nazywa Marks w a r t o ś c i ą d o d a t k o w ą (*Mehrwert*, ¹⁾ surplusvalue).

Jak z tego czytelnicy widzą, pojęciu kapitału nadaje Marks zupełnie inne znaczenie, niż ogół ekonomistów, którzy za kapitał uważają każdy produkt, będący środkiem do dalszej produkcji.

Ponieważ jednakże w społeczeństwie kapitalistycznym wszyscy są zarazem kupcami i sprzedawcami towarów, więc niepodobna zrozumieć, jakim sposobem kapitaliści mogą ze swej pieniężnej operacji odnosić zysk, czyli otrzymywać na niej wartość dodatkową?

Przy wymianie towarów zamienia się zawsze wartości równe, bo nikt by się nie zgodził wziąć mniej, aniżeli daje. Wreszcie chociażbyśmy nawet przypuścili możliwość takiego faktu, to i on nam jeszcze zysku kapitalistów (powstania wartości dodatkowej) nie objaśni. Bo gdyby wszyscy towary swoje sprzedawali, przypuścimy, o 10% drożej, niż one są warte, to każdy, jako kupiec, traciłby to, coby, jako sprzedawca, zyskał. Gdyby wszyscy na-

¹⁾ *Mehrwert* socjaliści polscy tłumaczą przez nadwartość. Termin ten ze względu na swą krótkość byłby dogodniejszy od użytego przez nas za przykładem rosyjskiego tłumacza *Kapitału*, gdyby można było spolszczyć w podobny sposób odpowiadające temu terminowi wyrażenia: *Mehrarbeit*, *Mehrprodukt* i t. p. Ponieważ jednakże wyrazy: *nadpraca*, *nadprodukt* są duchowi języka polskiego przeciwnie, przeto, dla jednolitości nomenklatury, wolimy użyć dłuższego wyrażenia: *wartość dodatkowa*, *praca dodatkowa* i t. p. Zastrzedz tu również winniśmy naszą nieodpowiedzialność za ciężki i niezgrabny styl w przedstawieniu wywodów Marksa, który jest jego właściwością i który my dla ścisłości sprawozdawczej musieliśmy zachować.

bywali taniej od rzeczywistej wartości towaru, to zaszedłby odwrotny stosunek, ale i na tej drodze wartość dodatkowa (zysk) powstać by nie mogła. Gdyby ktoś wyjątkowo oszukiwał swoich klientów, to mógłby się sam bogacić kosztem ubożenia innych, ale bogacenia się ogółu kapitalistów tym sposobem sobie objaśnić nie zdołamy. Pomimo to jednak widzimy, że oni ciągle się bogacą. Gdzie więc szukać źródła zysku kapitalistów, (wartości dodatkowej), kiedy prosty obieg kapitału wyjaśnić nam go nie może?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zbadać źródło wartości towarów.

Każdy towar jest przede wszystkim przedmiotem zewnętrznym, rzeczą, mającą własność czynienia zadość pewnym potrzebom ludzkim. Każda rzecz, posiadająca tę własność, staje się przez to wartością użytkową, lub, używając terminu ogólnie przyjętego — użytecznością.

Pożyteczność przedmiotów nie jest jeszcze źródłem ich wartości¹⁾, która im nadaje zdolność wymiany na inne, czyli czyni z nich towary; istnieją bowiem użyteczności, które wartości nie posiadają, lub, innymi słowy, wartościami nie są, jak np. powietrze, woda, chociaż przeciwnie nie ma wartości, któraby nie była użytecznością.

Źródłem wartości, lub — mówiąc ciężkim, metafizycznym stylem Marksa — wspólną wszystkim wartościom i stanowiącą właśnie przez to jedność wszystkich wartości, różniących się cielesnie między sobą jako użyteczności, substancją społeczną jest praca.

„Rozpatrywane jako wartości, towary są tylko skryształizowaną pracą. Za jednostkę miary samej pracy służy średnia prosta praca, której charakter zmienia się w różnych krajach i w różnych epokach cywilizacji, lecz w danym społeczeństwie jest określony. Praca złożona uważa się jako praca prosta, podniesiona do potęgi, lub dokładniej, pomnożona, tak że np. mniejsza ilość pracy złożonej równa się większej ilości pracy prostej.“

Sprowadzanie pracy złożonej do prostej, przy ich porównaniu, dokonuje się za pomocą „pewnego społecznego procesu“, który Marks przyrzeka wyjaśnić dopiero w drugim, niewydanym dotąd tomie swego dzieła. Że jednakże ta redukcja się odbywa, dowodzi doświadczenie.

¹⁾ Wartość Marks dla odróżnienia od użyteczności, którą nazwał wartością użytkową (*Gebrauchswert*), nazywa wartością wymienną (*Tauschwert*). Uprościwszy, zgodnie z ogólnym zwyczajem pierwszy z tych terminów, nie mamy potrzeby używać i drugiego.

Za miarę wartości towaru służy ilość zawartej w nim „wartościotwórczej substancji“, czyli pracy; ilość zaś samej pracy mierzy się ilością czasu jej trwania, czyli czasu roboczego, wydatkowanego na wytworzenie danego towaru. Nie należy jednakże z tego wnosić, żeby, im leniwszy lub niezręczniejszy jest robotnik, tem cenniejszy miał być jego towar, gdyż za wartościotwórczy uważa się jedynie społecznie konieczny czas roboczy.

„Tym sposobem tylko ilość społecznie koniecznej pracy, albo społecznie konieczny dla wytworzenia jakiejkolwiek użyteczności czas roboczy określa wielkość jej wartości (*Werthgrösse*)“. Lecz ilość czasu roboczego, potrzebnego na wytworzenie danego towaru, zmienia się wraz ze zmianą wytwórczej siły pracy, która z kolei zależy od wielu rozmaitych okoliczności, między innymi od średniego stopnia zdolności robotnika, stopnia rozwoju nauki i jej technicznego zastosowania, od społecznej kombinacji procesu produkcji i warunków naturalnych. Im większa jest wytwórcza siła pracy, tem mniej potrzeba czasu roboczego na wytworzenie pewnego towaru, tem mniejsza jest ilość skryształizowanej w nim pracy, tem mniejsza jego wartość.

Z porównania dwu ostatnich wyników otrzymujemy ostatecznie formułę, że wielkość wartości danego towaru jest wprost proporcjonalna do ilości i odwrotnie proporcjonalna do wytwórczej siły, zawartej w nim pracy.

Sama praca — jako istota wartości — wartości mieć nie może. Mówić o wartości pracy jest takim samym nonsensem, jak mówić o wartości wartości lub o ciężarze ciężkości.

A teraz wróćmy do pozostawionego wyżej bez odpowiedzi pytania: skąd powstaje wartość dodatkowa?

Nie może ona powstać, jak wykazaliśmy, z prostego obiegu pieniędzy, czyli z kupna i następnej sprzedaży towarów. Ponieważ jednakże rzeczywistość dowodzi, że ona przy tym obrocie powstaje, więc źródłem jej musi być jakaś zmiana, zachodząca w którymkolwiek z czynników, wchodzących do tej operacji, czyli w pieniądzech lub w towarze.

W pieniądzech żadna zmiana zajść nie może, gdyż one realizują tylko cenę towaru, która przy zrobionym przez nas przypuszczeniu, że zawsze wymieniają się tylko równoważniki na równoważniki, nie różni się zupełnie od jego wartości. Zmiana więc musi zachodzić w tym towarze, który kupujemy za pieniądze; nie może ona jednak zachodzić w jego wartości,

ponieważ towary wymieniają się w ilościach wartościowo równoważnych, „musi więc ona pochodzić z jego wartości użytkowej (użyteczności), jako takiej, czyli ze spożycia towaru“. Lecz, ażeby stąd otrzymać wartość, potrzeba mieć możność znalezienia na rynku takiego towaru, którego spożycie byłoby ucieleśnieniem (*Vergegenständlichung*) pracy, a więc stworzeniem wartości (*Werthschöpfung*). W społeczeństwie kapitalistycznym towar taki na rynku się znajduje: jest nim zdolność pracy lub siła robocza.

Ażeby jednak siła robocza mogła wystąpić jako towar, potrzeba dwu przedewszystkiem warunków: 1) ażeby właściciel jej mógł nią swobodnie rozporządzać, czyli ażeby był swobodnym właścicielem swojej siły roboczej, swojej własnej osoby i 2) „ażeby zamiast sprzedawać towary, będące produktem jego pracy, był zmuszony sprzedawać samą siłę roboczą, która zawiera się tylko w jego żywym organizmie, a nie w jakichkolwiek przedmiotach materialnych, będących ucieleśnieniem jej użycia czyli pracy“. Innymi słowy: potrzeba, ażeby nie posiadał żadnych środków produkcji, koniecznych dla wprowadzenia w działanie swej siły roboczej i ucieleśnienia swej pracy.

Jak z tego widzimy, dopóki z jednej strony istniało poddaństwo a z drugiej każdy wytwórca był posiadaczem środków produkcji, przy pomocy których mógł wyrabiać potrzebne mu do życia użyteczności, (co właśnie działo się w czasach poprzedzających okres kapitalistycznego sposobu produkcji), dotąd na handlowym rynku nie mogła się pojawić siła robocza w charakterze towaru. Mogło to więc nastąpić i nastąpiło rzeczywiście dopiero z chwilą zniesienia poddaństwa i jednoczesnego wywłaszczenia mnóstwa włóścian przez feodałów, co w zachodniej Europie nastąpiło w początku XVI wieku.

Wtedy to dopiero po raz pierwszy w dziejach na rynku handlowym poczęli się stale i w wielkiej liczbie ¹⁾ pojawiać ludzie, zmuszeni, dla uchronienia się od głodowej śmierci, sprzedać jedyną swą własność, jedyny towar, jaki posiadali — swą siłę roboczą. Co jednakże mogło skłonić posiadaczy pieniędzy do zakupu tego towaru? Oto ta specyficzna jego właściwość, że spożycie jego jest wytworzeniem nowej wartości. Właściciel

¹⁾ Praca najemnicza nie była zupełnie obca i feudalnemu systemowi produkcji, lecz stanowiła tam tylko zajęcie uboczne lub przejściowe, podczas gdy w okresie kapitalistycznym stała się regułą.

pieniędzy zakupuje siłę roboczą w celu otrzymania przez spożycie jej, czyli przez pracę jej właściciela, nowej wartości.

Teraz zachodzi pytanie: czem się określa wartość siły roboczej? Naturalnie tak samo jak i wartość każdego innego towaru — ilością czasu roboczego, potrzebnego dla jej produkcji, a więc i reprodukcji.

„Rozpatrywana jako wartość, sama siła robocza przedstawia tylko pewną ilość średniej społecznej pracy w niej ucieleśnionej. Siła ta istnieje tylko jako własność żywego robotnika, a więc jej produkcja przypuszcza jego istnienie. Skutkiem tego produkcja siły roboczej, polega na odtwarzaniu i zachowaniu osobnika“. Czas więc roboczy, potrzebny dla produkcji siły roboczej, sprowadza się poprostu do czasu roboczego, potrzebnego dla wytworzenia środków utrzymania; lub innymi słowy: „wartość siły roboczej równa się wartości środków utrzymania, koniecznych dla podtrzymania życia właściciela tej siły“. Środki te zmieniają się co do swej jakości i ilości w różnych czasach i miejscach, a odpowiednio i wartość ich, a więc i wartość siły roboczej bywa różna, „lecz dla pewnego danego kraju, w przeciągu pewnego okresu istnieje zawsze pewien określony średni rozmiar koniecznych środków utrzymania“.

Przypuśćmy teraz, że na niezbędne środki utrzymania przez dobę potrzebuje robotnik 6 złp. i że dla wytworzenia wartości równoważnej tej sumie musi pracować 6 godzin. W takim razie posiadacz pieniędzy, nabywszy od robotnika prawo korzystania z jego siły przez dzień jeden, winien mu zapłacić 6 zł. polskich i, ażeby otrzymał równoważnik wartości za wydaną sumę, musi się od niego domagać w zamian 6 godzin pracy.

Gdyby nabywca siły roboczej wytworzoną przez robotnika użyteczność spożył sam, gdyby go wynajął w celu, żeby mu ten wytworzył rzecz osobiste mu potrzebną, wtedy oczywiście, chociażby w zamian za wydaną sumę otrzymał tylko wartość jej równą, wymiana ta przyniosłaby mu pożytek. Nie tak się jednak dzieje, gdy nabywca siły roboczej najmuje robotnika nie w celu, żeby mu on produkował użyteczności dla niego samego, lecz dla innych, — ażeby mu produkował towary na sprzedaż. Wtedy już, gdyby poprzestał na 6 godzinach pracy robotnika w zamian za swoje 6 złp., nie odniósłby stąd żadnej korzyści, bo za wyprodukowaną przez robotnika wartość otrzymałby również tylko 6 złp. Ażeby więc z kupna siły roboczej nabywca jej mógł odnieść korzyść, musi domagać się od robotnika pracy dłuższej, niż przez 6 godzin. — A czy ma do tego prawo?... — Najzupełniejsze: zapłaciwszy robotnikowi sumę równą wartości niezbędnych

środków utrzymania na dzień cały, ma on zupełne prawo żądać od niego pracy również przez dzień cały. Że praca ta większą wytwarza wartość od wartości niezbędnych środków utrzymania, to do robotnika, który za swą siłę otrzymał już wartość równą jej wartości, bynajmniej nie należy; — to tylko szczęście..... kapitalisty! — Tak, już nareszcie kapitalisty, gdyż pieniądze z chwilą, gdy posiadacz ich zdoła tak obracać niemi, że z obrotu tego otrzymuje wartość dodatkową, zamieniają się w kapitał, a posiadacz ich staje się skutkiem tego kapitalistą. Mówimy obracać nie obrócić dlatego, że jednorazowy obrót taki nie czyni jeszcze z posiadacza pieniędzy kapitalisty. Staje się on kapitalistą dopiero wtedy, gdy wartość dodatkowa, wytwarzana przez najętych przez niego robotników, których on tylko dozoruje, stanowi stałe źródło jego dochodów.

Jak widzieliśmy, proces wytwarzania wartości dodatkowej, czyli zamiany pieniędzy na kapitał, polega, według Marksa, na zakupywaniu siły roboczej i przedłużaniu dnia pracy ponad niezbędną potrzebę, czyli po nad ten czas, jaki jest koniecznie potrzebny do wytworzenia przez robotnika wartości, równej pobranej przez niego zapłacie. Czas potrzebny do wytworzenia tej ostatniej wartości nazywa Marks niezbędnym czasem roboczym; jego przewyżkę, czyli czas użyty na wytworzenie wartości dodatkowej — dodatkowym czasem roboczym (*Mehrarbeitszeit*); pracę zużytą w tym czasie pracą dodatkową (*Mehrarbeit*), a jej wytwór — produktem dodatkowym (*Mehrprodukt*).

Ażeby robotnik mógł ucieleśnić w jakiejś użyteczności swoją pracę i wytworzyć tym sposobem wartość nową, musi mu kapitalista dostarczyć nieodzownych do tego celu środków produkcji, czyli surowych materiałów i narzędzi pracy. Te środki w czasie procesu pracy tracą swą użyteczność, bądź w części, bądź w całości; wartość ich jednak nie ginie, lecz przenosi się podczas pracy na nowy produkt, tak że jego wartość równa się sumie wartości, zatraconych na jego wytworzenie, środków produkcji, więcej wartość nowo wytworzona przez robotnika.

Ponieważ wartość zatraconych środków produkcji w nowym wytworze nie zwiększa się, lecz tylko się zachowuje, czyli zostaje niezmienną, przeto tę część kapitału, używanego przez kapitalistę do produkcji, którą przedstawiają narzędzia pracy i surowe materiały, nazywa Marks kapitałem stałym.

Przeciwnie, ponieważ wartość siły roboczej nietylko się zachowuje w wytworzonym przez nią produkcie, lecz w z r a s t a o wielkość

wartości dodatkowej, dlatego tę część kapitału, którą przedstawia pieniężna wartość wszystkich sił roboczych, używanych jednocześnie przez kapitalistę w procesie produkcji, nazywa Marks kapitałem zmiennym.

Stosunek pracy dodatkowej do niezbędnej, lub, co na jedno wychodzi, stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, (który równa się wartości kupionej za niego siły roboczej) określa względną wielkość wartości dodatkowej, czyli jej normę, która wykazuje stopień eksploatacji siły roboczej przez kapitał, czyli robotnika przez kapitalistę.

Ponieważ wysokość zysku kapitalisty zależy wprost od normy, wartości dodatkowej, więc rzecz prosta, że stara się on ją możliwie powiększyć. Dochodzi on do tego celu dwiema drogami: albo przy danej wielkości wytwórczej siły pracy przez absolutne przedłużenie dnia roboczego, albo przy danej wielkości dnia roboczego — przez powiększenie wytwórczej siły pracy.

Przy danym stopniu wytwórczości pracy niezbędny czas roboczy, czyli ta jego ilość, jaką robotnik potrzebuje pracować, ażeby wytworzył wartość, równą wartości, pobranej przez niego, zapłaty, jest wielkością stałą. Przedłużając więc dzień roboczy, czyli ogólny czas trwania pracy robotnika w ciągu dnia jednego, kapitalista przedłuża tym sposobem dodatkowy czas roboczy, przez co powiększa wytwarzaną przez robotnika w ciągu dnia wartość dodatkową.

Naturalną granicą długości dnia roboczego jest naturalna długość dnia wogóle, czyli 24 godzin. Tej granicy jednakże nigdy dzień roboczy dosięgnąć nie może, gdyż robotnik musi koniecznie mieć pewną ilość wolnego czasu na odpoczynek, sen i załatwienie różnych niezbędnych potrzeb życiowych i towarzyskich.

Kapitalista chciałby naturalnie ograniczyć tę ilość wolnego czasu do *minimum*; robotnik, przeciwnie, pragnąłby ją możliwie powiększyć; stąd między pierwszym a drugim wywiązuje się walka, której wynik stanowi właśnie o długości normalnego dnia roboczego w danym czasie i kraju, lub prowincyi.

Ponieważ każdą walkę rozstrzyga siła, przeto długość normalnego dnia roboczego w danym czasie i miejscu tem jest większą, im większą jest przewaga kapitału nad siłą roboczą, czyli władza kapitalisty nad robotnikiem. Władza zaś ta tembardziej się potęguje, im bardziej wzrasta bogactwo kapitalisty i ubóstwo, lub lepiej — trudność zdobycia sobie ka-

walka chleba przez robotnika, co, według Marksa, postępuje równolegle. Dlaczego? Dowiemy się wkrótce. Wreszcie dowodzą tego faktu.

W ciągu XVII i w większej części XVIII jeszcze wieku płaca robotnika przemysłowego w Anglii była na tyle wysoka, że za cztery dni pracy mógł on wyżyć cały tydzień. Bezimienny autor *Essay on Trade and Commerce*, dzieła wydanego w roku 1770, przedstawiając złe skutki tego faktu, a mianowicie, że „fabryczne pospólstwo“ po większej części cztery tylko dni w tygodniu pracuje, a przez pozostałe dwa dni oddaje się próżniactwu, gani surowo to „wykroczenie przeciwko boskiemu przykazaniu“, które nakazuje święcić tylko jeden dzień w tygodniu a radząc zmuszać robotników siłą do wykonywania tego boskiego przykazania, dodaje: „Kuracya dotąd się zupełnie nie powiedzie, dopóki nasi przemysłowi biedni (*industrious poor*)¹⁾ nie zgodzą się pracować 6 dni w tygodniu za tę samą płacę, jaką otrzymują teraz za 4 dni“.

„Dla wykorzenia lenistwa, marnotrawstwa i romantycznych bredni o wolności, jakoteż dla zmniejszenia podatku na korzyść biednych, dla pobudzenia ducha przemysłu i dla zmniejszenia płacy w manufakturach“ radzi dalej autor, ażeby wszyscy biedni byli zamykani w „idealnym domu roboczym“, który „powinien się stać domem strachu *House of Terror*“, i którego mieszkańcy byliby zmuszeni pracować przez całe dwanaście godzin dziennie.

Gdy w wieku XIX wielki przemysł się rozwinął, gdy w ręku szczupłej liczby uprzywilejowanych skoncentrowały się wielkie kapitały, eksploatacja robotnika do tego stopnia się posunęła, że w czwartym, piątym i szóstym dziesiątku lat naszego wieku wszystkie państwa zachodniej Europy po kolei widziały się zmuszonymi wystąpić w obronie dzieci i kobiet pracujących w fabrykach i ograniczyć dla nich prawnie dzień roboczy do... tych samych dwunastu godzin, które w roku 1770 były postrachem dla dorosłych robotników mężczyzn! To też jak świadczy cytowany przez Marksa dr. Aikin „do roku 1690 było (w Anglii) bardzo mało, a może nawet nie było wcale kapitałów od 3,000 do 4,000 funtów szterlingów, zdobytych za pomocą przemysłu“. Jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku przemysłowcy byli tak stosunkowo niebogaci, że gdy na początku tego wieku „pewien manchesterski fabrykant postawił na przyjęcie gości butelkę zagranicznego (?) wina, wy-

¹⁾ Temi słowy ogólnie dawniej w Anglii określano robotników przemysłowych.

wolał tem zdziwienie i rozmaite domysły swoich sąsiadów“, a dopiero w roku 1758 poraz pierwszy zobaczono „pewną osobę, należącą do świata przemysłowego we własnym powozie“.

Jak z tych faktów widzimy, w początkach rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji kapitały wzrastały bardzo powoli. Powodem tego była bardzo niewielka ich przewaga nad siłą roboczą. Niebogaci jeszcze przemysłowcy tak samo nie mogli się obejść przez czas dłuższy bez robotnika, jak ten bez zarobku, a skutkiem tego w walce o przedłużenie dodatkowego czasu roboczego nie mogli odnieść stanowczego zwycięstwa. Uciekali się też z prośbą o protekcję w tym względzie do państwa i otrzymywali ją. Od początku XV, przez cały przeciąg XVI wieku, wszyscy królowie angielscy wydawali statuty, z jednej strony nakazujące bić i piętnować, a w razie recydywy, obcinać nadto pół ucha ludziom „włóczącym się bez zajęcia“, z drugiej — określające *maximum* płacy robotnika.

Winniśmy tu jeszcze dodać, że Anglia nie przedstawiała bynajmniej wyjątku w tym względzie. I wszystkie inne państwa zachodnio-europejskie wydawały podobne statuty w XVI i XVII wieku.

Ażeby zrozumieć, dlaczego z biegiem czasu stosunki tak się zmieniły, że to samo państwo, które w XVI wieku zmuszało robotnika do pracy i oznaczało *maximum* wynagrodzenia roboczego, w XIX ujrzało się zmuszonem do ograniczenia czasu zajęć, a wkrótce może będzie zmuszone do oznaczenia *minimum* płacy, musimy zastanowić się nad drugim sposobem powiększenia normy wartości dodatkowej, czyli przedłużenia dodatkowego czasu roboczego, a mianowicie nad sposobem przedłużenia go przy danej wielkości dnia przez powiększenie wytwórczej siły pracy.

Dzieje rozwoju przemysłu przedstawiają trzy główne sposoby, za pomocą których kapitaliści doszli do takiego niesłychanego dawniej spotęgowania wytwórczej siły pracy, jakie ona przedstawia dzisiaj. Trzema temi sposobami są: kooperacya, podział pracy i produkcya maszynowa, a kolejnemu ich zastosowaniu w dziejach rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji odpowiadają trzy stopnie: rzemiosło, rękodzielnictwo i wielki przemysł.

Kooperacya jest pierwszą, podstawową i nieodłączną od kapitalistycznego systemu formą pracy. Polega ona na zgromadzeniu wielu robotników, pracujących razem w jednym i tym samym, lub w różnych procesach produkcji, podług pewnego ogólnego planu. Wzrost wytwórczości pod tą formą polega w tych gałęziach produkcji, w których praca odbywa się na

wielkiej przestrzeni, (np. przy budowie domów), na tym znanym fakcie, że siła masy jednostek, działających razem, wywołuje potężniejszy skutek, niż suma pojedynczych usiłowań każdej z osobna. W tych gałęziach produkcji, w których takie wspólne działanie, takie zlanie wielu sił w jedną ogólną zastosować się nie daje, „już samo towarzyskie zetknięcie się między robotnikami wywołuje pewną emulację, pewne szczególne pobudzenie ducha (*animal spirit*), które powiększa indywidualną zdolność do pracy każdego pojedynczego robotnika.... Pochodzi to stąd, że człowiek jest z natury swojej, jeżeli nie zwierzęciem politycznym — jak mówi Arystoteles — to w każdym razie — zwierzęciem towarzyskim“.

Kooperacja nie była obcą i dawniejszym dziejowym okresom ekonomicznym, lecz oparta była na innej podstawie, a mianowicie na pracy niewolników, lub pewnej liczby wolnych producentów w celu wspólnego użytkowania z produktu pracy. W kapitalistycznej swej formie, czyli oparta na pracy najemniczej, kooperacja pojawiła się jednocześnie z wystąpieniem kapitału, gdyż kapitalista, najmuja pewną mniej lub więcej znaczną liczbę robotników, gromadził ich razem dla ułatwienia sobie nadzoru nad nimi, oraz w pewnych razach dla zmniejszenia sobie wydatków na narzędzia pracy.

Prosta kooperacja wszakże, jakkolwiek powiększyła wydajność pracy w stosunku do jednostkowej i stała się tym sposobem zyskownym przywilejem kapitału, nie była jeszcze tak potężnym środkiem powiększenia zależności robotnika od kapitalisty, jakim się stał dalszy stopień jej rozwoju: **p o d z i a ł p r a c y**.

Marks odróżnia dwa główne rodzaje tego podziału: społeczny i rękodzielniczy. Pierwszy polega na rozdzieleniu różnych gałęzi, rodzajów i gatunków produkcji między różnych specjalnych producentów; drugi — na rozdzieleniu częściowych czynności, właściwych pewnemu danemu gatunkowi produkcji lub dokładniej: właściwych produkcji pewnego danego towaru między różnych specjalnych robotników, których nazywa *częściowymi* (*Theilarbeiter*). Charakterystyczną cechą, różniącą te dwa rodzaje podziału pracy, jest to, że każdy ze specjalnych producentów, na jakich się dzieli społeczeństwo na zasadzie pierwszego, wytwarza towar, gotowy do właściwego użycia, podczas gdy częściowy robotnik, którego stwarza rękodzielniczy podział pracy, nie wytwarza żadnego towaru, tylko pewne oznaczone jego części, tak że dopiero wspólny produkt wszystkich częściowych robotników za-

mienia się na towar. „Podział pracy wewnątrz społeczeństwa warunkuje się sprzedażą i kupnem produktów różnych jej gałęzi; związek zaś pomiędzy pojedynczymi operacjami w rękodzielnictwie warunkuje się sprzedażą różnych sił roboczych jednemu i temu samemu kapitaliście, używającemu ich jako jednej zbiorowej (kollektywnej) siły roboczej. Podział rękodzielniczy przypuszcza koncentracją środków produkcji w rękach jednego kapitalisty; społeczny przypuszcza rozdział środków produkcji między wielu niezależnych wzajemnie od siebie producentów towarów“.

Spółeczny podział pracy jest wspólny wszystkim ekonomicznym okresom dziejów narodów cywilizowanych. Podział rękodzielniczy jest właściwy wyłącznie tylko systemowi kapitalistycznemu. Zajmiemy się więc nim tutaj bliżej.

Jak podział pracy wogóle, tak też i rękodzielniczy w szczególności opiera się na tym fakcie, że gdy ktoś stale zajmuje się jedną i tą samą czynnością, nabywa w niej daleko większej wprawy, a skutkiem tego odrabia ją daleko lepiej, dokładniej i szybciej, niż ci, co się nią zajmują tylko dorywczo, lub którzy ją przegradzają innemi czynnościami, trwającymi przez czas mniej lub więcej długi.

Podział rękodzielniczy pracy ma jeszcze tę, jemu tylko specjalnie służącą, własność powiększania wytwórczości, że robotnik częściowy zaoszczędza tę stratę czasu, którą producent towarów gotowych ponosić musi na zmianę narzędzi pracy, często bardzo licznych przy większej złożoności produktów. Stosować go mogą w swych warsztatach ci tylko przemysłowcy, którzy wyrabiają towar w tak wielkich ilościach, że produkowanie każdej jednej tylko jego części składowej lub dokonywanie nad nim pewnej tylko oznaczonej czynności (jak np. wybijanie uszek w igłach, zaostrowanie ich końców i t. p.) może dać stałe zajęcie jednemu przynajmniej robotnikowi, a więc ci tylko, którzy w swój przemysł mogą włożyć dość znaczny kapitał, potrzebny zarówno na zakupienie wielkiej ilości środków produkcji, jak i siły roboczej. Ponieważ zaś, im większą ilość danego towaru przemysłowiec wytwarza, na tem większą liczbę częściowych operacji, dokonywanych przez osobnych robotników, może rozdzielić jego produkcją, czyli tem więcej może rozwinać rękodzielniczy podział pracy i tem bardziej powiększyć przez to wytwórczą jej siłę, ponieważ przytem pomnażając tę siłę powiększa on zarazem dostarczaną mu przez nich wartość dodatkową, więc, jak z tego widzimy, podział pracy jest już

potężnym środkiem, sprzyjającym wzrostowi kapitału, a zatem i jego przewadze nad siłą roboczą. Potężniej jeszcze popiera wzrost tej przewagi produkcyjna maszynowa.

Nie mamy tutaj miejsca na zastanawianie się nad przyczynami i warunkami możliwości zastosowania maszyn do przemysłu; powiemy tylko ogólnie, że zastosowanie to umożliwione zostało głównie przez udoskonalenie narzędzi pracy, które wywołał i dokonał wielki rozwój jej podziału, a następnie przez wielki wzrost kapitałów przemysłowych. Jak wiadomo, jeden robotnik z pomocą maszyny może wytworzyć w ciągu danego czasu tyle produktów, ile przy najdoskonalszym nawet podziale pracy zdoła za ledwie wytworzyć 10-ciu, 100-u a nawet, w niektórych gałęziach produkcji, znacznie większą liczbą robotników w tym samym czasie. Maszyny więc są najpotężniejszym ze wszystkich środków powiększenia wytwórczej siły pracy.

Powiedzieliśmy wyżej, że przy danej wielkości dnia roboczego, norma wartości dodatkowej, czyli stosunek dodatkowego do niezbędnego czasu roboczego, zwiększa się w miarę wzrostu owej siły wytwórczej. Rozbierzmy teraz tę kwestyą bliżej.

Przypuśćmy, że w pewnej gałęzi produkcji, skutkiem np. jakiegoś nowego wynalazku, siła ta zwiększyła się dwa razy, tak, że w danej ilości społecznie niezbędnego czasu roboczego produkuje się obecnie danego towaru dwa razy więcej, niż poprzednio. W takim razie wartość tego towaru, która jak wiemy, mierzy się właśnie ilością, wydatkowanego na jego produkcję, społecznie niezbędnego czasu roboczego, zmniejszy się dwa razy. Jaką więc korzyść odniesie z tego kapitalista, że robotnik będzie mu dostarczał dwa razy większą ilość produktu, kiedy przy sprzedaży nie dostanie on za nią większej sumy pieniędzy, aniżeli dostawał poprzednio za dwa razy mniejszą ilość? Otóż korzyść w takim wypadku może odnieść kapitalista tylko wtedy, kiedy dany towar należy do liczby spożywanych przez robotnika, gdyż w takim razie skutkiem zmniejszenia się wartości owego towaru, zmniejszy się odpowiednio wartość niezbędnych środków utrzymania, a więc i wartość siły roboczej. Kapitalista może w takim razie zmniejszyć płacę robotnika i tym sposobem, nie powiększając długości dnia roboczego, otrzymać większą wartość dodatkową.

Doświadczenie jednakże uczy, że przemysłowcy starają się zniżyć cenę nie tylko tych towarów, które wchodzą w zakres spożycia robotników,

lecz wszystkich wogóle. Muszą więc w tem mieć jakiś interes? Rzeczywiście mają!

Gdyby wraz z powiększeniem przez jednego z przemysłowców wytwórczej siły pracy jego robotników lub maszyn, mogli jednocześnie i bezwzględnie i wszyscy inni kapitaliści, produkujący ten sam towar powiększyć odpowiednio wytwórczą siłę pracy swych robotników lub maszyn, w takim razie żaden z kapitalistów korzyści na tem by nie odniósł. Ponieważ jednakże rzeczy się mają inaczej, a wartość towarów określa się ilością czasu roboczego społecznie niezbędnego, a więc wydatkowanego przez większość producentów, przeto kapitaliści, którzy naprzód zastosowują u siebie jakiś nowy sposób powiększenia wytwórczej siły pracy, ponosząc mniejsze koszty produkcji, niż ogół, a sprzedając swoje towary równie drogo lub mało co taniej, odnoszą na tem zysk dotąd, dopóki i inni nie zdołają również zmniejszyć odpowiednio swych kosztów produkcji. Ten to powód skłania kapitalistów do starania się wszelkimi możliwymi sposobami o zwiększenie wytwórczej siły pracy.

W wielkim przemyśle istnieje jeszcze drugi ważny ku temu powód.

Powiększenie wytwórczej siły pracy w wielkim przemyśle polega na zastąpieniu pracy robotników pracą maszyn. Jak już wyżej powiedzieliśmy, jedna maszyna, obsługiwana przez kilku, albo kilkunastu robotników, może zastąpić pracę kilkudziesięciu, a nawet kilkuset. Każda więc nowo wynaleziona lub ulepszona, pozbawia zajęcia pewną mniej lub więcej znaczną liczbę rąk. Pewna część tej liczby znajduje wprawdzie zajęcie przy produkcji maszyn, lecz nigdy cała liczba, bo gdyby wyprodukowanie jakiejś maszyny kosztowało tyle pracy, ile jej ona zastąpić może w innej gałęzi produkcji, w takim razie zastosowanie jej do przemysłu nie przedstawiało by żadnej korzyści. Tak więc ostatecznie każda nowo wynaleziona lub nowo ulepszona maszyna pozbawia zajęcia pewną liczbę robotników i wytwarza nadmiar siły roboczej na rynku. Nadmiar ten, nazwany przez Engelsa rezerwową armią przemysłu, z biegiem czasu nie tylko staje się zjawiskiem stałym, lecz ciągle się zwiększa. Tym sposobem zaofiarowanie siły roboczej ciągle wzrasta, zapotrzebowanie zaś jej zmniejsza się.

Stosunek ów pogorsza jeszcze ta okoliczność, że przy pracy maszynowej od robotnika nie tyle wymaga się siły, ile zręczności. Okoliczność ta wywołuje zastosowanie do przemysłu pracy kobiet i dzieci, które wytwarzają konkurencyą swym własnym ojcom, mężom i dorosłym braciom. W skutek tego cena siły roboczej spada; potęga kapitału i władza jego nad

robotnikiem wzmaga się. Robotnik zmuszony jest zgodzić się na wszelkie warunki, jakie mu postawi kapitalista; zmuszony pracować dłużej za mniejszą zapłatę. Niesłuchanie szybkiemu i wielkiemu wzrostowi bogactwa kapitalistów odpowiada z drugiej strony niesłuchanie szybki i wielki wzrost nędzy proletaryatu. Ten kontrast, ta sprzeczność, to wyzyskiwanie bez granic siły roboczej przez kapitał, jest nieprzełamanym prawem, rządzącym kapitalistycznym systemem produkcji. Źródłem tej sprzeczności jest sprzeczność, na której się opiera kapitalistyczny system produkcji, między sposobem produkcji, a sposobem zawłaszczania. Kapitalistyczny sposób produkcji jest nawskróś społeczny, ponieważ naprzód polega on na wytwarzaniu nie użyteczności osobistych, dla spożycia osobistego przez producenta, lecz towarów, czyli użyteczności społecznych, przeznaczonych dla spożycia społecznego, a następnie dlatego, że z biegiem rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji towary coraz ogólniej przestają być produktami indywidualnymi, produktami indywidualnej pracy pojedynczych robotników, a stają się produktami społecznymi, produktami wspólnej pracy wielu robotników, zorganizowanych podług pewnego planu. Kapitalistyczny zaś sposób zawłaszczania jest indywidualny, gdyż produkt staje się własnością nie ogółu producentów, nie społeczeństwa, lecz tego indywiduum, tego kapitalisty, do którego należały środki produkcji, potrzebne do wytworzenia tego produktu.

Żadnego kapitalisty winić za to nie można, że on we wszelki możliwy sposób stara się eksploatować robotnika, gdyż do tego wyzyskiwania zmusza go konkurencja z innymi kapitalistami, produkującymi ten sam, co i on, towar. Gdy jeden z nich przedłuży dzień roboczy, lub zastosuje nową lub ulepszoną maszynę, i zmniejszywszy sobie tym sposobem koszt produkcji, sprzedaje swój towar taniej w celu pozyskania sobie szerszego koła konsumentów, wszyscy jego współzawodnicy muszą go naśladować pod groźbą utraty nie tylko części dochodów, ale całego majątku. Do jakiegokolwiek gałęzi produkcji rękoźmielniczej zastosowaną zostanie maszyna, nie tylko pozbawia ona chleba robotników, lecz doprowadza zarazem do bankructwa wszystkich tych drobnych przemysłowców, którzy nie posiadają dość znacznego kapitału na to, ażeby mogli zaprowadzić u siebie produkcję maszynową.

Z drugiej znów strony dążąc ciągle do coraz większego spotęgowania wytwórczej siły pracy przy braku wszelkich wskazówek, podług których można by było regulować rozmiary produkcji stosownie do potrzeby konsumentów, system kapitalistyczny wywołuje często przepełnienie rynku towarami, co sprowadza tak zwane przesilenie handlowe. Fabryki stają, dziesiątki, a często i setki tysięcy robotników tracą środki utrzymania, mniej zamożni kapitaliści bankrutują, a kapitały gromadzą się w coraz większych rozmiarach w ręku coraz mniejszej liczby uprzywilejowanych. „Z dojściem kapitalistycznego sposobu produkcji do szczytowego punktu jego rozwoju przesilenia handlowe stają się peryodycznymi. Od roku 1825, w którym nastąpiło pierwsze, tak zwane powszechne przesilenie, powtarza się ono stale mniej więcej co lat dziesięć. Tym sposobem kapitaliści, począwszy od wywłaszczenia robotników, zaczynają w końcu wywłaszczać się sami wzajemnie“. Nareszcie dochodzi do tego, że prowadzenia pewnych gałęzi produkcji żaden już indywidualny kapitał podjąć się nie może; powstają więc towarzystwa akcyjne. W końcu dla niektórych wielkich przedsiębiorstw, jak np. koleje i telegrafy, już i to nie wystarcza. Podjąć się ich może już tylko państwo!

Gdzie się fakta te przejawiają, tam one dowodzą, że siły produkcyjne społeczeństwa rozwinęły się już do tak kolosalnych rozmiarów, że kierownictwo jednostek stało się dla nich za słabym. Gdy siły te były rozdrobione, skoncentrować je i rozwinąć było zadaniem kapitału. Gdy zadanie to zostało spełnione, gdy, pchany potęgą naturalnych praw kapitalistycznego systemu produkcji wytwór działalności kapitalistów przerósł już ich indywidualne siły, gdy nie są już oni zdolni opanować tych sił produkcyjnych, które się pod ich kierownictwem rozwinęły, stają się już zbyt ciężkim meblem w społeczeństwie, tracą rację swego bytu.

Jak już powiedzieliśmy wyżej sprzeczność pomiędzy społecznym sposobem produkcji, a indywidualnym sposobem zawłaszczania, na której się właśnie opiera kapitalistyczny system produkcji, jest podług Marksa, głównym źródłem wszystkich nierówności społecznych, wszystkich wad obecnego ustroju społecznego.

Ciągłe potęgowanie się tych wad wskazuje, że sprzeczność ta wiecznie trwać nie może. Kiedy z jednej strony bogactwo niewielkiej liczby kapitalistów, z drugiej wielkość nędzy i liczba proletaryatu dojdą do swego *maximum*, źródło złego będzie musiało zostać zniesione, czyli między sposobem produkcji, a sposobem zawłaszczania będzie musiała zostać zaprowa-

dzona zgoda, co nastąpi przez uczynienie środków produkcji własnością społeczną. Wywłaszczeni zostaną wywłaszczeni, a na miejsce ich wystąpi społeczeństwo. Rewolucji tej dokonać ma proletaryat.

Przyszły ustroj społeczny przywróci, podług Marksa, zniesioną przez ustroj kapitalistyczny, własność indywidualną, lecz oprze ją na podstawie zdobyczy kapitalistycznej ery, czyli na podstawie kooperacji wolnych robotników i ich wspólnego władania ziemią i środkami produkcji.

Już z tego zdania Marksa, że przyszłej rewolucji społecznej dokona proletaryat, wynika, że przyspieszyć jej sztucznie żaden naród nie może, bo, na krok tak śmiały i ryzykowny, jak bunt przeciwko panującemu porządkowi rzeczy, mógłby ów proletaryat, nawykły do posłuszeństwa i znający potęgę środków, utrzymujących go w jego karbach, odważyć się chyba tylko pod naciskiem rzeczywiście rozpaczliwego położenia i wpływem świadomego poczucia własnej siły. Tam więc, gdzie antagonizmy społeczne nie dosięgły jeszcze swego szczytu, gdzie nędza proletaryatu nie doszła jeszcze do tego stopnia, żeby go do granic ostatecznej rozpacz doprowadziła, gdzie liczba jego nie jest jeszcze tak wielka, żeby weń pewność zwycięstwa wlać mogła, tam żadna agitacja rewolucji wywołać nie zdoła, tam wszelkie poświęcenia, bodajby szlachetnych, lecz nie hamowanych rozumem zapaleńców muszą być zmarnowane; tam żadne ich usiłowania nie nie pomogą, bo nie będą miały realnej podstawy.

Marks niejednokrotnie to powtarza, że rozwojem ekonomicznym narodów i społeczeństw rządzą niewzruszone prawa, że nigdy żaden naród przeskoczyć właściwej mu fazy rozwoju nie może, że zapowiadany przez niego przewrót społeczny nastąpi dopiero wtenczas, gdy system produkcji, stanowiący podstawę dzisiejszego ustroju, spełni już w zupełności swoje zadanie. Dlaczego więc socjaliści nasi nie korzystają z tych nauk swego mistrza? Poco marnują napróżno własne siły, zamiast je obrócić na pracę, któraby społeczeństwu rzeczywistą korzyść przynieść mogła. Poco zwłaszcza odciągają od nauki nieletnią młodzież, ażeby ją popchnąć do nieochybnej zguby?

Twierdzą oni, „że propaganda socjalistyczna jest u nas tak samo uprawnioną, jak na Zachodzie; że i nam już nic innego pomódz nie może, tylko radykalna zmiana ustroju społecznego, której przyspieszenia lud cały życzyć sobie musi, skoro tylko rozpozna istotne swe położenie“. ¹⁾

¹⁾ Program socjalistów galicyjskich, str. 9.

Lecz czyż rzeczywiście położenie naszego ludu jest tak bardzo rozpaczliwe? Czy rzeczywiście od kapitalistycznego systemu produkcji my się już niczego spodziewać nie możemy? Czy dosiagli on już u nas szczytu swego rozwoju i przestarzał się? Czyż proletaryat u nas jest rzeczywiście tak liczny, i w takiej nędzy pogrążony, żeby mógł odważyć się na bunt i dokonać rewolucji? Gdzie u nas szukać bodajby zaczątku tylko tej rezerwowej armii przemysłu, (która w Anglii np. podług świadectw, przytaczanych przez Marksa, do tak kolosalnych rozmiarów doszła) nie mogącej sobie znaleźć zajęcia i zmuszonej żyć kosztem dobroczynności publicznej.

Częściej u nas słychać narzekania na brak robotnika, niż na brak zajęcia dla niego. Dzień roboczy w naszych fabrykach trwa zwykle godzin 11, a najwyżej 12. O takim przeciążaniu nadmierną pracą robotników, o takich nadużyciach nad nimi, jakich się dopuszczali przemysłowcy angielscy do czasu ograniczenia ich samowoli przez prawa fabryczne, u nas dotąd nie słychać. Robotnicy fabryczni, posiadający pewien fach, w stosunku do swego niskiego poziomu umysłowego i niewielkich skutkiem tego wymagań, jak również w stosunku do ogólnej zamożności, lub lepiej — do ogólnego ubóstwa kraju, mają się wcale nieźle. Prości czyli nieposiadający żadnego fachu, nie opływają zapewne w bogactwo, lecz i nie umierają też z głodu, a tak jedni, jak drudzy, w miarę rozwoju naszego przemysłu, mają się coraz lepiej i są dość ze swego losu zadowoleni. Chociażby jednakże nawet tak nie było, to w każdym razie jest ich taka garstka, że nie mogliby ani nawet marzyć o pokonaniu tych potężnych armij, które zachowania dzisiejszego porządku rzeczy strzegą. Z motyką na słońce chyba nie mają zamiaru nasi socjaliści się porywać, bo by go nią nie zgasil, a mogłoby im ono mocno głowy przepalić.

Na dokonanie rewolucji z pomocą robotników rzemieślniczych liczyć nie powinni, bo rzemiosło — to zabytek feudalnego jeszcze okresu, który nie przedstawiał żadnych danych dla rozwoju socjalizmu. Zapewne więc i w dzisiejszych jego szczątkach dane te samorodnie się nie rozwinęły.

Każdy mniej więcej robotnik rzemieślniczy ma nadzieję z czasem zostać majstrem, nie chciałby więc przyłożyć ręki do zaprowadzenia takiego ustroju społecznego, przy którym by na zawsze musiał zostać robotnikiem. Obietnice, że przy nowym ustroju społecznym będzie każdy pracował tylko 8 czy 6 nawet godzin, nie olśnią tych, co żywią nadzieję, że przy dzisiejszym ustroju, nie będą potrzebowali fizycznie pracować wcale, lecz tylko zarządzać pracą swych czeladników. Marks i Engels w swym manifestcie

komunistycznej partii mówią wyraźnie, że: „ze wszystkich klas (społecznych), które w obecnej chwili przeciwstawiają się burżuazji, tylko proletaryat przedstawia rzeczywiście rewolucyjną klasę. Inne giną razem z wielkim przemysłem, proletaryat zaś jest jego własnym wytworem... Stan średni, drobni przemysłowcy, drobne kupiectwo, rzemieślnicy, — wszyscy oni walczą z burżuazją, ażeby zachować swe istnienie, jako średniego stanu... wszyscy są reakcyonistami, ponieważ starają się cofnąć koło historii“.

Na kimże więc socjaliści nasi mają zamiar się oprzeć? Na ludzie wiejskim? I o tem przebąkują. Socjaliści galicyjscy, nazywając się w swym „Programie“ partją robotniczą, dodają w odnośniku: „Naszym stosunkom więcej by może odpowiadała nazwa partii „ludowej“. Podczas gdy bowiem na zachodzie kadry przyszłej armii bojowej proletaryatu tworzą się z robotników fabrycznych, u nas rolę tę obejmie (w przyszłości, a więc jeszcze obejmować nie zaczął, chociaż „niepodobna zaprzeczyć, że ruch socjalistyczny u nas istnieje“), z d a j e się lud wiejski, c h y b a b y rozwój przemysłu szybciej miał postępować, niż stopniowe wywłaszczanie ludu rolniczego (które podług zapewnień w tekście programu dosięgło już u nas niesłychanych rozmiarów). Ruch proletaryatu u nas z a p e w n e będzie przede wszystkim agrarnym. Obraliśmy jednak pierwszą nazwę (partii robotniczej) raz dlatego, aby zaznaczyć identyczność (za pomocą niewłaściwej nazwy) ruchu naszego z ruchem zachodnio-europejskim, dalej zaś dlatego, że radziłyśmy unikać nazw i haseł nietylko z istoty swej niejasnych, ale nawet już skompromitowanych i zdyskredytowanych skutkiem nadużycia ich“.

Tak tedy socjaliści polscy przyznają sami, że ekonomiczne stosunki nasze różnią się od zachodnio-europejskich, że nie wiedzą sami, kto u nas odegra rolę „przyszłej armii bojowej proletaryatu“, — czy robotnicy, czy lud wiejski — i nareszcie, że nazwa, jaką nadali partii, którą mają zamiar u nas utworzyć, nie odpowiada stosunkom naszym. Gdyby się zastanowili głębiej, dostrzegliby niezawodnie, że to nietylko nazwa, ale i rzecz sama, i ten cel, do którego dążyć postanowili „nie odpowiada stosunkom naszym“. Lecz wróćmy do głównie zajmującego nas obecnie pytania: czy socjaliści nasi mogą liczyć na zjednanie dla swych idei ludu wiejskiego. Twierdzą oni, że wywłaszczenie ludu polskiego przez wielkie kapitały postępuje ciągle z niesłychaną szybkością, że „wkrótce drobnej własności u nas już nie stanie“ i że „własność ziemską koncentruje się w ręku wiel-

kiego kapitału“.¹⁾ Że twierdzenia te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, że są tylko naciągnięte do użytku propagandy, przyzna chyba każdy, kto umyślnie nie zatyka uszu na dochodzące ze wszystkich stron, ze wszystkich dzielnic polskich narzekania na upadek większych posiadłości ziemskich. Bezwątpienia i drobna własność w ziemiach polskich, biorąc rzecz wogóle, nie stoi nader świetnie, a szczególnie w Galicyi nawet bardzo niepomysłnie; lecz powodem tego nie jest u nas bynajmniej żadne, wyimaginowane przez socjalistów, wywłaszczanie drobnych posiadaczy przez wielkie kapitały, lecz właśnie zbyt mała ich liczba i zbyt słaba działalność, czyli zbyt mały postęp przemysłu krajowego, bez którego rolnictwo rozwijać się nie może. Prawdy tego twierdzenia dowodzi fakt niezaprzeczony, że we wszystkich miejscowościach, gdzie u nas przemysł się usadowił, a zwłaszcza gdzie się silniej rozwinął, byt ludności wiejskiej wogóle się polepszył, bo naprzód zwiększone zapotrzebowanie robotnika wywołało podniesienie się ceny pracy wogóle, a więc i zapłaty wiejskiego najemnika w szczególności, a następnie zwiększone skutkiem napływu zaludnienia zapotrzebowanie środków żywności spowodowało podniesienie się ceny produktów rolnych, co naturalnie wpłynęło na podniesienie dobrobytu włościan. Tak więc rozwój przemysłu u nas nie złe skutki dla ludu przynosi, lecz dobroczynne, nie wywłaszcza nikogo, lecz tylko uwalnia cały ogół od haraczu płaconego zagranicy. Nie rewolucyi społecznej więc nam dziś potrzeba dla polepszenia bytu tak całego społeczeństwa wogóle, jak klasy robotniczej wszelkich odcieni w szczególności, lecz rozwoju przemysłu.

¹⁾ Zdanie to ma się odnosić głównie do Galicyi, jak ono jednak jest gołosłowne i z rzeczywistością niezgodne, dowiedzie nam najlepiej statystyka. Podług *Statystyki porównawczej Król. Polskiego* opracowanej przez Witolda Załęskiego, przestrzenie urodzajnych gruntów w Galicyi w roku 1875 podzielone były w ten sposób pomiędzy własnością większą i mniejszą, że 27% gruntów ornych było w posiadaniu pierwszej, a 73% w posiadaniu drugiej; łąk, ogrodów i pastwisk 23% posiadała większa, 77% mniejsza własność; lasów 90 1/2% większa, a 9 1/2% mniejsza; z całej nakoniec urodzajnej powierzchni przypadało na własność większą 42%, na mniejszą 58%. Podług stałego kadastru liczone w Galicyi własności większych 7,435, mniejszych 793,970.

Jak ten stosunek przez kilka lat następnych się zmienił i czy się zmienił, nie posiadając statystycznych danych, dokładnie nie wiemy, lecz bardzo zmienił się nie mógł, ponieważ nie było żadnych ku temu powodów. Nie słyszeliśmy, żeby wielkie kapitały w Galicyi tak się rozrosły i tak gwałtownie drobną posiadłość pochłonać miały.

Ale z naszymi socyalistami nic o rozwoju przemysłu mówić nie można, bo oni, źle zrozumiawszy swojego mistrza, którego teorye poznawali z rosyjskich broszur agitacyjnych i programów zagranicznych partyj robotniczych, uważają przemysł za przekleństwo ludzkości, spadające, jak biblijny grzech pierworodny, z pokoleń na pokolenia. Dajmy więc pokój rozprawom o przemyśle, a postarajmy się tylko wytłumaczyć naszym socyalistom, dlaczego nie mogą oni liczyć na dokonanie przewrotu społecznego przez lud wiejski.

Otóż przedewszystkiem dlatego, że, jeżeli nie większość ludu wiejskiego, (wziąwszy ogólnie wszystkie dzelnice polskie) to w każdym razie przynajmniej bardzo znaczną jego część ¹⁾ stanowią włościanie, posiadający mniejszy lub większy obszar gruntu i przywiązani tak do swego kawałka ziemi, że z pewnością bez namysłu conajmniej wydaliby w ręce policyi każdego, ktoby się do nich lub do ich wydziedziczonej braci ośmielił odezwać o zniesieniu prywatnej własności, następnie dlatego, że, jak to zauważył Marks, podczas gdy wielki przemysł koncentruje wielką liczbę robotników w jednym danym miejscu, a przez to wzmacnia ich siłę i, dodamy od siebie, ułatwia propagandę, rolnictwo rozrzuca proletaryat robotniczy na wielkie obszary, a więc osłabia jego siłę i utrudnia jego łączne poruszenia. Dlatego to właśnie w Europie zachodniej socjaliści niewiele liczą na lud wiejski i wszystkie usiłowania swego apostołstwa skierowują do robotników fabrycznych, tej jedynej, podług Marksa, klasy rewolucyjnej; jak również, nakoniec dlatego, że lud wiejski odosobniony od świata, wśród którego poglądy i idee obiegają szybko i zmieniają się prędzej jeszcze, jest wogóle, a nasz w szczególności, bardzo konserwatywny i niepohopny do żadnych rewolucyj, a już najmniej do społecznych i ekonomicznych. Za najlepszy dowód w tym razie może służyć Irlandya, której lud pomimo straszego ucisku, jakiego doznaje od angielskich lordów, właścicieli jego zie-

¹⁾ W Królestwie np. w r. 1859 z ogólnej liczby ludności rolniczej przypadało na włościan posiadających ziemię 55%, na bezrolnych 37%. Stosunek ten po uwłaszczeniu polepszył się jeszcze, jak wnosić można z tego, że podczas gdy w r. 1864 liczono dymów włościańskich 220,943 z 3,718,769 morg. gruntu, w r. 1872 uznano za włościan właścicieli dymów 424,735 z 5,457,250 morg. gruntu (p. *Statystykę* Załęskiego str. 84 i 85). Ponieważ jednakże w Galicyi stosunek był odwrotny, przeto biorąc ogólnie wszystkie ziemie polskie razem, nie chcemy stanowczo twierdzić, że większość ludu naszego ziemię na własność posiada.

mi, pomimo że jest pogrążony w niesłychanej nędzy, jakkolwiek podnosi od czasu do czasu bunt przeciwko swym panom i domaga się już to wolności politycznej (własnego parlamentu narodowego), już pewnych reform ekonomicznych (uwłaszczenia dzierżawców), nigdy jednak jeszcze nie zamarzył nawet o radykalnej zmianie ustroju społecznego, o rewolucyi socyalistycznej. Jak wobec tego faktu socjaliści polscy mogą się ludzi przypuszczeniem, że nasz lud dałby się nakłonić do podniesienia takiej rewolucyi? Pojąć tego niepodobna!

Tak tedy ostatecznie doszliśmy do wniosku, że na żadnej z klas, przeciwstawianych uprzywilejowanym, zwanym ogólnie przez socyalistów „burżuazją“, socyalizm u nas oprzeć się nie może. Może się jednak mylimy? Uspokójmy więc sumienie zbadaniem w rezultatach dotychczasowej działalności naszych socyalistów, która to mianowicie klasa społeczeństwa dostarcza im głównie coraz liczniejszych, jak twierdzą, zwolenników?

Socyalistyczne idee przeszczepione zostały na nasz grunt z zewnątrz, około roku 1876, przez wychowalców wyższych zakładów naukowych. Poczuli oni się krzątać wśród młodzieży i po pewnym czasie potrafili sobie zjednać nader szczupłą garstkę zwolenników¹⁾.

Uważając się za dość już silnych, postanowili zacząć szerzyć propagandę wśród robotników i w tym celu nakreślili sobie plan zamierzanej działalności, który wydrukowany został w Brukselli pod tytułem: *Program socyalistów polskich*, a za miejsce wydania wskazywał Warszawę. Był on oparty na kosmopolitycznej zasadzie łączności wszystkich robotników bez różnicy narodowości i głosił krwawą rewolucyą ekonomiczną, walkę na śmierć z burżuazją i państwem.

¹⁾ Główną przyczyną, która sprawiła, że socyalizm nie ogarnął u nas całego ogółu zapalnej bardzo, jak wiadomo, młodzieży naszej, obok zastanowienia, wyrobionego bolesnymi doświadczeniami narodu, obok wpływu postępowej prasy naszej, nawołującej do spokojnej pracy organicznej i studzącej chłodnymi argumentami niehamowany rozumem zapał, rwący się do słonecznych lotów na skrzydłach z wosku, był — pa try o t y z m. Nie dlatego jednakże, żeby socyalizm nie dał się pogodzić z tem uczuciem, lecz że przyszedł on do nas ze strony obcej i, że pierwsi jego pionierowie u nas, sympatyzujący właśnie z tą stroną, lub przynajmniej z rewolucyjnym jej elementem, zachowywali się wogóle względem idei narodowościowej wrogo. Świadomość też tej przyczyny, ograniczającej ich powodzenie wśród ogółu kolegów, tem bardziej ich jeszcze pobudzała do drwin i lżenia „naszego narodowego pa try o t n i e t w a“. Tym sposobem zdyskredytowali oni poniekąd swe idee. Późniejsi socjaliści starali się, ten błąd swoich poprzedników naprawić. Było już jednak zapóźno.

Program ten został później przedrukowany w Genewie dla użytku Krakowa z tą jedynie różnicą, że czy to z powodu mniejszego zaufania w krawców Krakowian, czy z innych może przyczyn, usunięto z niego przymiotnik „krwawa“ przy wyrazie „rewolucja“.

Mając już drukowany program, propagandiści polscy ożyli się. W celu nawiązania stosunków z robotnikami, niektórzy zamierzali wstąpić do warsztatów; ponieważ jednakże nie znali rzemiosła, a do prostych robót nie mieli ani sił, ani wprawy, więc zamiaru tego musieli zaniechać i postanowili dojść do celu inną drogą. Przebrani w bluzy, lub umyślnie poszarpane i zabrudzone odzienie, poczęli chodzić do szynków i bawaryj, położonych w okolicach fabryk, gdzie się wieczorem zbierali robotnicy. I tu im się jednakże nie wiodło. Nie znając ani zwyczajów i obyczajów, ani języka robotniczego, budzili oni w swych protegowanych nieufność. Tym sposobem, naturalnie, żadnego wpływu na nich wyrzucić nie mogli.

Nie wiem dokładnie, czy tą drogą, czy też za pośrednictwem dawnych swych kolegów, którzy nie skończywszy szkół, oddali się rzemiosłu, zdołali w końcu pozyskać sobie kilku, lub może wreszcie kilkunastu rzemieślników, w każdym jednakże razie bardzo niewielu, gdyż w procesie robotniczy żywioł stanowił bardzo mały zaledwie procent ogólnej liczby podsądnych, złożonej przeważnie z uczącej się młodzieży, w części zaś ze skończonych już wychowanców wyższych zakładów naukowych.

Najlepiej wiedzie się socjalizmowi we Lwowie. Od kilku już lat wychodzi tam pod tytułem: *Praca* „dwutygodnik poświęcony sprawom klas pracujących“ z odcieniem socjalistycznym. W r. 1880 rozchodził się on w 110 egzemplarzach, lecz liczba prenumeratorów była mniejsza, gdyż niektórzy abonowali po kilka egzemplarzy. Jak mu się dziś powodzi, nie wiemy. Był swój zawdzięcza on głównie energii i ofiarom materialnym jednego człowieka, który też głównie, za pośrednictwem kilku oddanych mu robotników, budzi i podtrzymuje ruch wśród rzemieślników. Urządza oni wiece i podają petycje. Lecz wszystko to takie jest skromne w dążeniach i wymaganiach, takie pokorne w działaniu, że właściwie żadnego związku nie ma z tą gwałtowną i radykalną rewolucją społeczną, do jakiej dążą nasi socjaliści. A przytem gdy główny motor tego ruchu rzemieślników lwowskich, przekonawszy się, że usiłowania jego idą ostatecznie na marne, ustąpi, cały ten ruch zamrze.

W Krakowie agitacja socjalistyczna rozbudzona została przez przelotnych propagandystów i najwięcej się ożywiła po ich przybyciu w końcu

1878 roku. Ogólna liczba podsądnych w procesie Krakowskim wynosiła 35, a składała się głównie z uczącej się młodzieży: studentów, uczniów gimnazyów, seminariów nauczycielskich i szkoły sztuk pięknych. Żywioł pseudorobotniczy reprezentowało: 2 fotografów, 2 zecerów, 1 majster szewski (na którego publicznie uskarżał się czeladnik, że go żdzierał bez litości) i 1 cieśla, 15-letni chłopiec. Wreszcie wogóle wśród podsądnych wielu było nieletnich. Tak np. Mikołajski, uczeń 6-tej klasy gimnazjum, miał rok 16-ty, Wąsowicz 17-ty, Zieliński 17-ty i t. d.

Powodem procesu był tajemny druk broszury Liebknechta *Zu Trutz und Schutz*, w polskiem tłumaczeniu zatytułowanej „W obronie prawdy“. Jeden z drukarzy krakowskich chciał broszurę tę wytłoczyć jawnie na własny koszt i własną odpowiedzialność, lecz przywódczom agitacji wydało się to czynem za mało konspiracyjnym i dlatego wydali broszurę u innego drukarza tajemnie i położyli na niej za miejsce wydania — Poznań. Drukarz jednakże, obawiając się odpowiedzialności, spiskowców denuncyował i to spowodowało ich aresztowanie (na początku 1879 r.).

Zachowanie się podsądnych w czasie procesu nie było beznaganne. Chcąc sobie pozyskać sędziów, podawali się za gorących patryotów, podczas gdy na wolności szerzyli idee kosmopolityczne i drwili z „patryotnictwa“. Jeden z podsądnych powiedział podczas badania w imieniu wszystkich kolegów, między którymi było kilku zaciętych wrogów idei narodowościowej: „Gdybyśmy nie byli patryotami, nie bylibyśmy socjalistami“, a nikt przeciwko temu nie zaprotestował. Wypierali się też aresztowani wszelkimi siłami, wbrew oczywistym dowodom, wszelkich stosunków z socjalistami rosyjskimi. Proces trwał rok przeszło, lecz w końcu sędziowie przysięgli wszystkim podsądnym uniewinnili.

Po wyroku, główni naczelnicy propagandy udali się do Genewy i agitacja przycichła, a może nawet zagasła zupełnie, bo już oddawna o żadnym procesie socjalistycznym, ani o aresztowaniu nawet, w Krakowie nie slychac.

W Poznańskim, na gruncie polskim idee socjalistyczne dotychczas, o ile wiemy, nawet nie zakiełkowały. O wycieczce, jaką do księstwa zrobili socjaliści z Genewy, oraz o jej celu i rezultacie, pomówimy później. Tak tedy przegląd sześciolletniej działalności socjalistów naszych w kraju nauczył nas, że czerpali oni swych zwolenników wyłącznie prawie z młodzieży, należącej do uprzywilejowanych klas społeczeństwa, wśród warstw zaś upośledzonych nie znaleźli odgłosu. Podług Fr. Engelsa, przyjaciela ucznia i współpracownika K. Marksa, fakt taki dowodzi, że istniejący spo-

sób produkcji w danym społeczeństwie jeszcze się należycie nie rozwinał, jeszcze nie spełnił swego zadania i nie przeżył się, a dlatego na rewolucyjną społeczną jeszcze nie czas ¹⁾. Wartoby było, żeby zapaleni zwolennicy społecznego przewrotu u nas o tem się poinformowali i nie wyciągali z dzieł swych mistrzów tych tylko nauk i wniosków, które ich życzeniom odpowiadają, bo nikomu tem pożytku nie przyniosą, a sobie samym niewątpliwą szkodę.

Jak dalece żadnego wpływu nie wywarła kilkoletnia działalność socjalistów naszych na naszą klasę robotniczą, dowiodły najlepiej zaburzenia antisemickie, w końcu zeszłego roku, i niedawne awantury w warsztatach drogi żelaznej W. Wiedeńskiej, w których ani jeden głos nie zdradził najmniejszego nawet śladu tego wpływu. Jeżeli więc agitacja socjalistyczna wśród naszej klasy robotniczej, czyli wśród najrewolucyjniejszej klasy społeczeństwa, nie wzbudziła żadnego oddźwięku, to jakże ludzię się można, żeby jej się lepiej wiodło wśród ludu wiejskiego, który widocznie sami nawet socjaliści nasi, pomimo swych programowych marzeń, uważali w rzeczywistości za nieusposobiony do dobrego przyjęcia ich idei, kiedy w praktyce nawet nie próbowali prowadzić wśród niego propagandy. Któż więc u nas przewrotu społecznego dokona? Burżuazya? — Kiedy jej interes własny każe strzedz zachowania dzisiejszego porządku rzeczy, który jej korzyści zapewnia. — Zapal młodzieży? Lecz on coraz bardziej słabnie i z czasem ostygnąć zupełnie musi pod zimnym podmuchem nieubłaganej rzeczywistości. Niema więc u nas chyba odpowiedniego gruntu dla przewrotu społecznego!

Mógłbym już na tem skończyć swój artykuł, ponieważ właściwie wyczerpałem już temat. Lecz czytelnik ciekawy jest zapewne dowiedzieć się, co porabiają rewolucyoniści nasi za granicą; postarajmy się więc w krótkości go o tem objaśnić.

Kilku wodzów pierwszej partii socjalistów polskich osiadło, w Krakowie, w celu prowadzenia tam propagandy, której rezultat już znamy; kilku zaś innych udało się wprost do Genewy. Połączywszy się tam z wy-

¹⁾ P. Herrn Eugen Dührings Umwälzung der Wissenschaft von Friedrich Engels, Leipzig 1877. Str. 123 i 124, a także ważną dla naszych marzycieli naukę na str. 131.

gnanym ze Lwowa p. Bolesławem L.¹⁾, poczęli oni wydawać pismo pod tyt.: *Równość*, w pierwszym roku zeszytami, w drugim, — nieskładanymi arkuszami. Zeszytów wyszło niby 12, lecz końcowe nosiły po 2 numera na okładce, chociaż były szczuplejsze od początkowych. W arkuszach nieskładanych wyszło 6 numerów i na tem skończyło się istnienie pisma, które w początkach miało trzech prenumeratorów, później dwóch.

Na pierwszych zeszytach *Równości* figurowali, jako redaktorowie pp. Bolesław L. i Kazimierz D. Pierwszy z nich jednakże, spostrzegłszy wkrótce, że redagowanie tego pisma nie przynosi mu zaszczytu, wystąpił ostentacyjnie z redakcyi, jakkolwiek nie zerwał jeszcze stanowczo z partya.

Na miejsce *Równości* w sierpniu r. 1881 począł wychodzić *Przedświt*, w formacie warszawskiego *Kuryera Porannego*, z początku co dwa tygodnie, później co miesiąc i rzadziej, tak, że do maja r. b. wyszło go tylko numerów 11. Miał podobno jednego prenumeratora, nie jestem jednakże tego zupełnie pewny. Po za tem rozsyłany był darmo wszystkim, kto tylko go przyjmować zechciał, ale pomimo to bardzo niewielu zyskał czytelników.

Oprócz tych pism wydali socjaliści w Genewie kilkanaście broszur, tak tłumaczonych, jak oryginalnych, oraz kilkanaście programów i odezw. Na niektórych drukach podawali za miejsce wydania rozmaite miasta polskie, a między innemi Warszawę, żeby przekonać świat, że istnieją u nas tajne drukarnie.

Zaraz od początku swego istnienia przejawiała *Równość* dążenia antypatryotyczne i wogóle narodowości naszej wrogie. Objawiała to zarówno w okolicznościowych wycieczkach, jak w osobnych artykułach. Tak np. w nrze 2-gim grzmiał przeciwko patryotyzmowi p. Kazimierz D., w artykule zatytułowanym „Patryotyzm i socjalizm“. W nrze 4-tym wymyślał ktoś inny „Naszym patryotom“. — *Przedświt* w kierunku tym poszedł jeszcze dalej, jeżeli to było możebne.

W chwili, gdy cały nasz naród składał Kraszewskiemu hołd uznania jego zasług, *Równość* go zwymyślała. Gdy Jeż w korespondencji do jednego z pism galicyjskich, nazwał naszych bohaterów dziećmi, odpowiedzieli mu

¹⁾ Znany u nas z nazwiska autorem słabej bardzo rozprawki, zatytułowanej *Socjologia Augusta Comte'a*, pisarzem sumiennym i dość odcytanym, lecz pozbawionym wszelkiej krytyczności sądu, pomimo to jednakże bezsprzecznie najpoważniejszym przedstawicielem socjalizmu polskiego.

gburowato. Wreszcie na wszelkie, chociażby czysto przedmiotowe, wystąpienia krytyki odpowiadali zawsze obelgami. W taki sposób np. mieszała z błotem Świętochowskiego i Maciejowskiego (Sewera) za ich wystąpienie przeciwko socjalizmowi, później, jeżeli mnie pamięć nie myli, Lubowskiego i Orzeszkową za ich powieściowe utwory.

Oburzeni na naszą prasę za to, że ona ich czyny ignorowała i twierdziła, że u nas socjalizmu niema, pomawiali ją ciągle o denuncyacje, jakkolwiek nie mieli ani jednego dowodu na poparcie tego oszczerstwa.

W programach, pismach i postępowaniu swoim, popełniali ciągle niekonsekwencje: to głosili krwawą rewolucję, to postanawiali dojść do celu na drodze czysto parlamentarnej; jednocześnie oklaskiwali na wspólną z *Czornym pieredielem* (z którym żyli w najbliższych stosunkach ze wszystkich rosyjskich pism socjalistycznych) anarchistę Mosta, kiedy ten na publicznym zebraniu lajał Liebknechta i Bebla, i — posłali telegram z oświadczeniem swej solidarności na kongres socjal-demokratów niemieckich w Zurychu (w jesieni roku 1881), którzy właśnie na tym kongresie wykleli Mosta i wykluczyli go z partii. W r. 1881 posłali znów podobny telegram na kongres anarchistów w Londynie, zwołany przez Krapotkina i Ludwikę Michel, a w październiku tegoż roku na kongres socjal-demokratów w Chur (Szwajcarya, kanton Graubinden) wysłali delegatów, którzy przyjęli orzeczenie kongresu, że najwięcej socjalizmowi szkodzą anarchiści, grożący ciągle krwią i rewolucją, i że socjaliści nie chcą dokonywać żadnych gwałtów, lecz spokojnie zdobywać prawa na drodze parlamentarnej.

Widząc jednakże, że wszystkie te rzucania się nie robią jakoś hałasu, co głównym było ich celem, postanowili socjaliści nasi wyrobić sobie herostratową sławę ogłoszeniem zaguby dla własnej narodowości. — Było to w r. 1880. Polacy za granicą obchodzili uroczystość pamiątkową.

Socjaliści nscenizowali również w Genewie swoją „uroczystość“, porozsełali zaproszenia na wszystkie strony świata i porozlepiali na rogach ulic czerwone afisze, na których, wielkimi literami wydrukowane, uderzało wszystkich w oczy wstrętne hasło, którego powtórzyć tu nie możemy.

Z pomiędzy zaproszonych, Karol Marks, Fryderyk Engels, Paweł Lafargne i F. Lessner w zbiorowej odpowiedzi na zaproszenie dali naszym bohaterom delikatną nauczkę, zaczynając i kończąc swój list tym właśnie okrzykiem, przeciwko któremu miała się odbyć manifestacja i wykładając w treści listu zasługi, jakie ten okrzyk dla dobra ludzkości położył. Wszystko to jednakże nic nie pomogło. Manifestacja odbyła się. Główny

udział w niej, jako inicjatorowie i mówcy przyjmowali panowie: Kazimierz D., Ludwik W., Stanisław M. i Szymon D.

Dziki ten wybryk skłonił kilku rozsądniejszych członków partii do zerwania z nią i utworzenia oddzielnej grupy pod nazwą „Lud polski“. Inicjatywę w tym względzie podał Bolesław L. Grupa ta postanowiła oprzeć socjalizm w Polsce na gruncie narodowym. Działalność jej jednakże ograniczyła się dotychczas na wydaniu trzech dwukarteczkowych odezw (jednej programowej i dwóch okolicznościowych) i jednego równie krótkiego „Przemówienia w rocznicę listopadowej rewolucji na obchodzie w Paryżu 1881 r.“, które to przemówienie w rzeczywistości na obchodzie miejsca nie miało, ponieważ go nie dopuszczono, lecz tylko w „Stowarzyszeniu robotników polskich“ wśród hałasów, krzyków, pogroźek i gwizdania ze strony słuchaczy.

Główna partya straszliwie się oburzyła na „Lud polski“ i naprzód uroczystość zaprotestowała przeciwko jego programowi, a następnie poddała go w *Przedświcie* krytyce, którą zaczerpnęła ze dwadzieścia razy więcej papieru, aniżeli zmarnował go sam przedmiot oceny.

Nie będziemy tutaj opowiadali wszystkich niedorzeczności jakie po sławetnej swej manifestacji popełnili lub napisali socjaliści z grupy *Przedświtu*, lecz winniśmy jeszcze wspomnieć o jednym ich bohaterским czynie.

Jak już wzmiankowaliśmy, w Poznańskim na gruncie polskim socjalizm swego istnienia wcale nie przejawiał. Gniewało to bardzo rewolucjonistów naszych, którzy głosili ciągle światu, że istnieje tam aż 5 „zorganizowanych kół robotniczych“. Postanowili więc w końcu zeszłego roku, korzystając z wyborów do parlamentu, zarządzić między robotnikami poznańskimi agitację i skłonić ich do głosowania nie za kandydatem polskim, lecz za socjalistą — niemcem. Niegodziwą stroną tego przedsięwzięcia było to, że agitatorowie wiedzieli dobrze, jak trudno jest Polakom w Poznańskim przeprowadzić wybór rodaka i jak jest na rękę rządowi niemieckiemu wszelkie wśród polskich wyborców rozdwojenie, a pomimo to starali się je pomiędzy nich wprowadzić. Śmieszną — to, że zamiast już popierać kandydata, postawionego przez socjalistów niemieckich, zuchowie nasi przedstawili ze swej strony na kandydata kogo innego, a mianowicie niemieckiego socjal-demokratę, Bebla.

Po kilku tygodniach bezowocnej agitacji propagandyści zostali za-
denuncjowani ¹⁾ i aresztowani. Pomiędzy uwięzionymi było trzech „pa-
tryotów“ z krakowskiego procesu. Lecz w Poznaniu sędziami byli Niem-
cy! Otóż dwu z tych patryotów (a szczególnie M., który w Krakowie
zapewniał świat cały, że jest Polakiem-patryotą), gardłowali, ile siły star-
czyło, przeciwko wszelkiej idei narodowej. Przeszła ich jednakże w tem
jeszcze ich współwinowajczyni, pewna podstarzała piękność ukraińska,
której nazwiska nie wymieniam przez współczucie dla jej męża, opuszczo-
nego przez nią dla młodych propagandyistów. To też pani ta skazana zo-
stała tylko na 1 miesiąc aresztu, podczas gdy nie więcej od niej winny
T-ski, który się wstydził naśladować swych kolegów, poniósł najcięższą
karę — 3 lata więzienia!

Na zakończenie sprawozdania z tej śmiesznej i wstrętnej zarazem
awantury winniśmy jeszcze dodać, że niewinny jej zupełnie Bebel nie otrzy-
mał w Poznańskim ani jednego głosu, i że, jak to proces wykazał, „5 zor-
ganizowanych kół robotniczych“ było czystą fikcją.

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.

Krok ten socjaliści nasi niejednokrotnie zrobili, to też zaczawszy swą
działalność, jako apostołowie, jakkolwiek nie p r a w d y, w ścisłem zna-
czeniu tego wyrazu, to w każdym razie przynajmniej — idei, która na
śmiech nie zasługuje, stali się w końcu śmiesznymi junakami, nie wolnymi
od zarzutu o wybryki niegodziwe.

Władysław Wścieklica.

¹⁾ Według zapewnień *Przedświtu*, przez dwa pisma polskie *Kuryera Poznańskiego*
i *Orędownika*.

Sprawa włościańska i służebności.

Upływa już 18 lat od czasu przeprowadzenia ostatniej reformy wło-
ściańskiej w kraju naszym. Ten napozór drobny okres zawiera takie bo-
gactwo materiału do charakterystyki obecnych stosunków agrarnych, że
chcąc zbadać warunki naszego rolnictwa, wykazać tamy, stojące na dro-
dze do ich rozwoju i obmyśleć środki do usunięcia tych przeszkód, musimy
koniecznie cofnąć się wstecz — do chwili prawodawstwa 1864 r., by przejr-
zeć wszelkie zmiany następne w ukształtowaniu naszych gospodarstw.

Dziś pisze się bardzo dużo bądź w sprawie upadających folwarków,
bądź w sprawie podniesienia wytwórczości drobnych warsztatów przemysłu
rolniczego. Zdawać by się mogło, żeśmy już przedmiot ten wyczerpali,
żeśmy przedyskutowali wszystkie możliwe projekty reform, żeśmy wre-
szcie wskazali naszemu rolnictwu najwłaściwszą dla niego drogę postępu.
Sądząc z ilościowego bogactwa, w istocie można by tak myśleć. Gdyby
jednak ktokolwiek, nieobeznany z miejscowymi stosunkami, usiłował wyro-
bić sobie o nich zdanie na podstawie dziennikarskich artykułów i wiado-
mości, przyszedłby do zdania wręcz sprzecznego z rzeczywistością.

Prasa nasza stanęła w sprawie włościańskiej po stronie interesów
większej własności, zapoznając i lekceważąc zupełnie interesy drobnej,
których nawet nie starała się dotąd zbadać dokładnie.

Bądźmy otwarci. Kwestya włościańska posiada w kraju naszym zbyt
doniosłe znaczenie ekonomiczne, ażebyśmy mieli traktować ją w sposób

dotychczasowy. Powszechnie uważają ją za *drażliwą*; występujących szczerze w obronie własności włościańskiej posadzają o tendencje i ukryte plany. Ta parcjalność, to wzajemne posadzanie się, spowodowały właśnie jednostronność w traktowaniu najpoważniejszej sprawy kraju. Dzięki temu, sprawa ta dotąd nie została należycie wyjaśniona. Obracamy się w zaczerpnięciu kole — i to od lat 18-tu, nie chcąc raz zerwać jego ogniów.

Na usprawiedliwienie jednak prasy możnaby przytoczyć argument, że w kwestyi włościańskiej jest ona wiernym odgłosem panującej opinii.

Reforma włościańska wywołała zupełny prawie separatyzm pomiędzy folwarkiem a wsią. Więksi właściciele, *dziedzice* odosobnili się, zamknęli w sferze własnych interesów, pozostawiając włościan samym sobie. Po uwłaszczeniu aż do tej pory stosunki układają się coraz wyraźniej — wbrew kardynalnej zasadzie wzajemności i solidarności interesów wszystkich sił produkcyjnych kraju. Względem włościan zajęliśmy stanowisko, jak względem klasy społecznie i ekonomicznie wyrobionej, a więc zupełnie samodzielnej. Słowem, zachowujemy się tak, jak gdyby w 1864 r. kwestya włościańska została ostatecznie rozstrzygnięta.

Sądzimy, że życie nasze dostarcza zbyt dużo przykładów na poparcie powyższego zdania, ażebyśmy mieli je argumentować. Słaby, minimalny udział naszej inteligencji w sprawach gminnych, jej nieobecność na tylu ważnych stanowiskach, jak: pełnomocników gminnych, wójtów lub kasyerów, usuwanie się od urzędu sędziego gminnego — wszystko to świadczy, że więksi właściciele uważają świeżą emancypację włościan za ostateczny dyplom ich społecznego wykształcenia. Z drugiej znowu strony stosunki wiejskie świadczą najwymowniej o separatyzmie dworu i lekceważeniu interesów drobnej własności. Ileż to nie nasluchaliśmy się i nie naczytali narzekania na służebności! Lecz za to głuchym milczeniem pokryto sprawę niemniej ważną, sprawę szachowniczych gruntów. Większa własność domaga się stanowczej regulacji serwitutów włościańskich; głos ten, w zasadzie słuszny, dochodzi nas. Lecz jednocześnie nie możemy słyszeć wymagań i potrzeb własności drobnej, jej żądań usunięcia szachownicy. Często się zdarza, że właściciel usiłuje uregulować swoje stosunki służebnościowe z włościanami, lecz rzadkie są wypadki, by jednocześnie przeprowadził regulację gruntową. Postaramy się nawet wykazać poniżej na cyfrach, że więksi właściciele ziemscy, uwolniwszy majątki swe od służebności, zupełnie nie dbają o losy sąsiedniej własności włościańskiej.

Ten separatyzm, to pozostawianie włościan samym sobie objaśnia wiele objawów naszego życia wiejskiego, tłumaczy liczne zajścia pomiędzy dworem a wsią, protesty i skargi wzajemne, które z przed kratki sądowych dostają się na szpalty dzienników. W ten sposób urabia się opinia publiczna o stosunkach włościańskich. A opinia to dziś już bardzo stanowcza. Uważa ona gospodarstwo włościańskie za pijawkę, ssącą żywotną krew większej własności i uzbrojoną ku temu w liczne kategorie służebności, obciążających i tamujących produkcję folwarczną.

Opinia ta jest o tyle niebezpieczniejsza, że nie jest szczerą. Słuchając jej głosu, zdawało by się, że z całą świadomością celu dąży ona do pochłonięcia drobnej własności przez większą. Jeżeli bowiem dziś pisze się o folwarkach, jako o *upadającej* własności ziemskiej, jeżeli występuje się przeciw służebnościom, jako przeciw jednemu z głównych warunków tego upadku, jeżeli — powtarzamy — odzywają się takie zdania dziś, gdy wartość ziemi podniosła się o 3—6 razy w stosunku do cen w początkach szóstego dziesięciolecia, gdy produkcya rolnicza robi ustawicznie znaczne postępy — jakież mogą być pobudki i cele podobnej opinii, która sprawą mniejszej wagi usiłuje zamaskować stokroć donioslejszą kwestyę? Opinia ta jednak nie wskazuje otwarcie celu, do jakiego dąży. Możemy się go tylko domyslać, choć wolimy nie domyslać się niczego, ażeby nie powiększać tego nieporozumienia, jakie już dziś panuje. Konstatujemy więc tylko, że sprawę włościańską, dotąd zapoznaną, sprowadzono na drugi plan, wysuwając naprzód sprawę służebnościową, zamiast szukać rozwiązania ostatecznej, przez rozstrzygnięcie pierwszej.

A sprawa to pierwszorzędną dla całego naszego gospodarstwa krajowego. Niepodobna zaprzeczyć, że kraj nasz, w którym 80% ludności poświęca się rolnictwu, jest i musi być przeważnie rolniczym. W kraju zaś, gdzie włościanie stanowią 75—76% ludności i gdzie własność włościańska zajmuje przestrzeń 8,600,996 morg., a drobna własność wogóle (t. j. z dodaniem 704,154 morg. ziemi drobnej szlachty) wynosi 51% całej rolniczej przestrzeni kraju, spór o przewagę większych lub drobnych gospodarstw jest co najmniej bezcelowy. Interesy obu posiadają jednakową wagę na szali ekonomicznych potrzeb kraju. Lekceważyć więc interesy całej połowy sił wytwórczych, skupiać uwagę jedynie na drugiej, jej tylko sprawę forytować, nie starać się nawet poznać głębiej warunków obecnego bytu drobnej własności — to znaczy przeoczać naturalną drogę naszego materialnego rozwoju. Przeszło 8½ mil. morg. — to potęga, z którą się liczyć

wypada, która może stanowczo oddziaływać na ogólne gospodarstwo. Jej ugruntowanie na trwałych podstawach racjonalnego rozwoju może być kiedyś obronną tarczą przeciwko niejednemu przesileniu ekonomicznemu.

Drobna własność zajmuje połowę powierzchni rolnej Królestwa. Lecz czy własność ta przez czas 18-to letniego istnienia zdołała stanąć na tak silnym gruncie, by w razie ekonomicznego przesilenia można było w niej skutecznie szukać tamy bezpieczeństwa, czy zdołała dojść do tej siły ekonomicznej, która z niej robi najprodukcyjniejszy warsztat rolniczy?

Oto pytanie pierwszorzędnej wagi, na które nie wahamy się z góry dać przeczącą odpowiedź. W kraju rolniczym połowa jego sił wytwórczych dotąd nie została uruchomiona, i to sił najbardziej energicznych i najbardziej wpływowych w sprawie produkcji. Ekonomia bowiem rolnictwa ostatecznie dowiodła, że drobna własność, na odpowiednim stopniu rozwoju, produkcją swą przewyższa nie tylko własność większą, lecz nawet i średnią. Sumienne poszukiwania przekonały nas stanowczo — pisze w tej mierze Passy — że na równych przestrzeniach i w tych samych warunkach, gospodarstwa drobne przynoszą największy dochód czysty. Że tak jest w Holandii lub Francji — to nie ulega wątpliwości, zarówno jak nie jest wątpliwem, że nasze gospodarstwa drobne bardzo jeszcze są oddalone od podobnego ideału.

Że jednak ideał ten jest u nas możliwy, przekonywają o tem pojedyncze wypadki, jakich nielicznie dotąd dostarcza gospodarstwo włościańskie. W opisach drobnej własności w Enc. Roln. spotykamy kilka takich przykładów, które dają wymowne świadectwo, że i u nas są warunki do rozwoju drobnych warsztatów rolniczych. Tak np. 38-morgowa osada Kalinowce w pow. zamojskiej gub. lubelskiej przynosi rocznie 1014 rs. dochodu brutto, a 680.77 rs. czystego dochodu, kapitał zaś zakładowy przynosi 23%. Podobnie osada stumorgowa, Topola Królewska w łęczyckim, daje rocznie 2,000 dochodu brutto, netto zaś 1,033 rs., kapitał zakładowy przynosi 13%. O uprawie gruntu w obu osadach można sądzić z plonów. Gdy bowiem w całym Królestwie otrzymuje się średnio: dla oziminy 4.36 ziarna z jednego i dla jarki 4.74 ziarna, w badanych dwóch osadach plenność zbioru zboża jest znacznie wyższą — w Kalinowicach ozimina daje 7.66 ziarn, w Topoli 8.3 ziarn, jarzyna 9.8 i 7.1 ziarn.¹⁾

¹⁾ Bloch J. G., Wpływ, II. Rolnictwo str. 17. — Łapicki Jul., Wielka i mała własność. Sten. t. I. 1877, tab. I.

Do rozwoju takich osad w kraju powinniśmy dążyć wszelkimi siłami, bo to jest własność gruntowa najtrwalsza i najprodukcyjniejsza. Lecz właśnie takie osady dziś są jeszcze i na długo pozostaną — wyjątkami.

Obecnie, własność włościańska jest dopiero materiałem, z którego możnaby wyrobić maszynę wytwórczą.

Podług najświeższych danych (w początkach 1881 r.) w Królestwie znajduje się 685,605 osad z przestrzenią 8,600,996 morg., na jedną więc osadę wypada średnio 12.5 morg. W podziale na pojedyncze gubernie cyfry powyższe układają się w następujący sposób: ¹⁾

Nazwa gubernii	Liczba osad	Przestrzeń		Średnio na osadę morgów
		morgów	prętów	
Warszawska	76.490	954.104	164	12.4
Kaliska	79.675	739.774	52	9.2
Kielecka	81.141	715.871	220	8.8
Łomżyńska	43.708	600.396	211	13.7
Lubelska	85.590	1.183.617	216	13.8
Piotrkowska	75.993	904.575	290	11.9
Płocka	49.471	527.696	69½	10.6
Radomska	76.616	839.805	48	10.9
Siedlecka	56.887	886.918	273	15.5
Suwańska	59.852	1.246.227	134	20.9
Przybyło	182	2.007	131	11.
Wogóle w d. 1. Stycz. 1881 r.	685.605	8.600.996	8½	12.5

Tabelka powyższa wskazuje, że tylko w czterech guberniach drobna własność posiada średnio większy obszar gruntowy — t. j. w gub. suwańskiej, siedleckiej, lubelskiej i łomżyńskiej, w pozostałych zaś przeważa liczba osad drobnogruntowych, t. j. z obszarem niżej przeciętnej 12½ morg.

¹⁾ Tabelkę tę ułożyliśmy na podstawie urzędowego Wykazu wsi i miast, znajdujących się w nich osad i przestrzeni gruntów włośc.; wykaz ten mieliśmy w kopii urzędowej z Minist. spr. wew.

Z dotychczasowego doświadczenia wiadomo, że gospodarstwa włościańskie na 8—15 morg. są w stanie przynosić znaczny dochód, byleby znajdowały się w odpowiednich warunkach. Są przykłady, że osady takie dają już do 13% (Enc. Roln.) Większość jednak gospodarstw włościańskich znajduje się dziś w stanie skrepowanej produkcji. — W kraju naszym spotykamy dość wysoki procent osad z minimalnym obszarem gruntowym. Z drugiej znowu strony, przeważna większość zasobniejszych gospodarstw posiada grunta podzielone na drobne działki, porozrzucane na przestrzeni gruntów sąsiednich, bądź folwarcznych, bądź włościańskich. Przyjrzyjmy się bliżej tym interesującym i tak mało dotąd badanym stosunkom.

Ile może być w kraju naszym osad drobnogruntowych, t. j. liczących do 6 morg. przestrzeni — ściśle określić nie możemy. Odnosna statystyka urzędowa posiada rubrykę osad włościańskich w podziale na trzy kategorie: osad z przestrzenią do 3 morg., osad od 3—15 morg. i od 15 morg. Możemy więc mieć ścisłą tylko cyfrę osad pierwszej kategorii. Takich osad w chwili ostatecznego sprawdzania tabel likwidacyjnych, było w Królestwie 108,246. Że zaś od tego czasu do dziś stosunki włościańskie uległy znacznej zmianie, statystyka bowiem notuje zwiększenie się liczby osad wogóle i podział pewnej części osad na drobniejsze części, więc bez obawy błędu możemy przyjąć, że dziś cyfra powyższa podniosła się najmniej do 150,000. Jeżeli do tej cyfry osad do 3 morg. przestrzeni, dodamy liczbę osad z przestrzenią od 3—6 morg., którą w przybliżeniu możemy obliczyć na 100,000, otrzymamy 250,000 osad drobnogruntowych w Królestwie, które w stosunku do ogółu osad — 685,605, wyniesie 36.5%.

Cyfrы te wcale nie są wygórowane¹⁾. Jeżeli nadto zwrócimy uwagę, że wiele z tych maleńkich gospodarstw posiada grunta także nie w komplecie, lecz w szachownicy, łatwo zrozumiemy, w jak trudnem położeniu znajduje się dziś przeszło trzecia część drobnej własności włościańskiej.

Na teraz jednak, kwestya rozdrobnienia gospodarstw włościańskich, będąca np. w Galicyi kwestyą bytu dla tychże gospodarstw, w Królestwie nie przedstawia się jeszcze tak groźnie. Powoli rozwijający się dobrobyt włościan i co za tem idzie silne dążenie ich do skupu drobnych parceli i odpadków folwarcznych, neutralizują wpływ naturalnego podziału własności na części. Postęp zaś w produkcji większych gospodarstw wspólnie z ro-

¹⁾ Jeden z członków zjazdu leśnego w Warszawie podawał liczbę osad tej kategorii na 300,000.

snącym dobrobytem drobnych, przy silnym popycie sił roboczych, zawsze zapewniają bezrolnym łatwość korzystnego zarobku. To też w tem miejscu pomijamy nasuwające się pytanie, o ile interesy drobnej własności mogą być zaatakowane ze strony naturalnego jej rozdrobnienia. Poprzestajemy tylko na obiektywnem skonstatowaniu faktu, że dziś 36½% gospodarstw włościańskich posiada mniej niż 6 morg. przestrzeni.

Ta masa drobnogruntowych osad, posiadających ziemie częstokroć w szachownicy, a więc zależna ekonomicznie od sąsiednich obszarów folwarcznych, pozostaje dotąd — śmiało powiedzieć możemy — nieprodukcyjną. Uprawa czterech stupretowych kawałków gruntu, leżących jeden od drugiego w odległości 1—2 wiorst, a jednak stanowiących jedną własność, nie może zapewnić już nie minimalnej hyperprodukcji, lecz nawet skromnego utrzymania właścicielowi. Ztąd też osadnicy ci nie mogą być uważani za gospodarzy — są to folwarczni lub włościanscy robotnicy, posiadający tytuły własności.

Przyjmując ostatecznie 3 morg. gruntu za średni obszar każdej z tych 250,000 osad, otrzymamy ogółem 750,000 morg. przestrzeni w Królestwie, która wskutek niekorzystnej konfiguracji nie może brać udziału w ogólnej produkcji rolniczej.

Rzecz znowu inna z większymi osadami włościańskimi, które nie przestają być produkcyjnymi, lecz których wytwórczość nie może się rozwijać. Mówimy tu o osadach, których grunta są pomieszczone bądź z folwarczniemi, bądź z włościańskimi obszarami. Takie osady stanowią dziś bezwątpienia najważniejszą stronę kwestyi włościańskiej.

Dotąd mało, prawie wcale nie zwracano na nią uwagi. Chcąc więc dać o ile można najwierniejszą charakterystyki drobnej własności, uciekamy się znowu do pomocy statystyki, z której w tem miejscu podamy tylko ogólne dane.

W ostatnich latach przed uwłaszczeniem, spotykamy częściowe usiłowania regulacji. Między innemi w 1860 r. z inicjatywy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wydane zostało prawo, przyzwalające na emisję nowej seryi listów zastawnych na cele regulacyjne. W 1862 r. znowu nadano właścicielom dóbr prawo żądania obowiązkowego urządzenia włościan. Lecz z obu tych praw właściciele nie korzystali, tak iż ukazy 1864 r. zastały w dobrach prywatnych większość włościan zupełnie nieuregulowanych.

Wkrótce po reformie włościańskiej, stosunki te nie tylko się nie polepszyły, lecz nawet dla wielu przyczyn jeszcze więcej się pogorszyły.

Najpierw, włościanom we wsiach prywatnych zwrócono ich dawne działki gruntowe, o ile działki te zostały nieprawnie wcielone do obszarów folwarcznych. Wypadki podobnego zwrotu miały miejsce w 1190 wsiach¹⁾ przyczyniając się do powiększenia już istniejącej szachownicy.

Taki sam skutek wywarło odjęcie własności większej gruntów włościańskich, które wbrew prawu z 1846 r. zostały przyłączone do folwarków. Dotyczyło to 20,000 osad z obszarem gruntowym 266,000 morgów, t. j. 8—9% wszystkich gruntów, będących w posiadaniu włościan dóbr prywatnych przed 1864 r.²⁾ Osady zaś te pozostawały w szachownicy, przy przejściu zaś w posiadanie włościan, uległy podziałowi na drobne części, który stosunki szachownicze jeszcze bardziej skomplikował.

Wreszcie, od czasu wydania ukazów 1864 r., szachownica pomiędzy gruntami dworskimi i włościańskimi rozwinęła się też wskutek utworzenia wielu nowych osad drobnogruntowych z obszarów dawniej dworskich, a które przeszły następnie na własność robotników folwarcznych i innych. Osady te znajdowały się w takim samym stosunku do gruntów dworskich, jak i działki dawnych włościan pańszczyźnianych.

Powyższe okoliczności, będące pojedynczymi punktami procedury uwłaszczenia, przyczyniły się niewątpliwie do rozwoju stosunków szachowniczych, jakie istniały u nas w chwili stosowania reformy włościańskiej. Przekonywa o tem liczny wzrost osad w tych wsiach, w których osady włościańskie nie zostały rozseparowane.

W 1863 r. na jedną wieś prywatną wypadło średnio $13\frac{1}{4}$ osad włościańskich. Powiększenie się liczby osad po 1864 r., dotyczy głównie tych wsi, które są położone przy folwarkach dóbr prywatnych. W tych to właśnie wsiach badane powiększenie dosięgło 32 osad na jedną wieś średnio. Dziś więc w każdej wsi jest przeszło $2\frac{1}{2}$ razy więcej osad włościańskich, w porównaniu z 1863 r. Tak znaczny wzrost liczby osad w dawnych wsiach pańszczyźnianych da się z łatwością wytłumaczyć ogólnym wzrostem cyfry osad włościańskich od 1864 r. W 1863 r. w dobrach prywatnych znajdowało się 244,000 osad, w 1874 r. już o 80% więcej, mianowicie 440,000 osad. W tej zaś liczbie pozostawało w szachownicy co najmniej 300,000 osad. Do takich bowiem osad należy zaliczyć 144,000 osad pańszczyźnianych, będących w posiadaniu włościan w 1864 r., 55,000 osad po-

¹⁾ Postan. kom. len. T. XII, str. 13. Zap. sprawozd.

²⁾ Postan. kom. len. T. XVII, str. 26. Zap. sprawozd.

wstałych z pustek i 100,000 osad drobnogruntowych, przeszłych na własność robotników folwarcznych, komorników i t. d. Osady dwóch ostatnich kategorii powstały po reformie i przeważnie we wsiach dawniej pańszczyźnianych, z kąd wynika, że liczba 144,000 osad w 1864 r. powiększyła się w przeciągu ośmiu lat o 155,000 czyli o 107%.

Wiadomą jest rzeczą, że nowe osady włościańskie powstały bądź wskutek podziału dawnych osad włościańskich, bądź z drobnych części gruntów dworskich, pomieszczanych tak z gruntami folwarcznymi, jak i włościańskimi. Można więc przypuszczać, że w większości wsi, których dotyczy zaznaczony wyżej wzrost osad, jednocześnie powiększyła się i szachownica gruntowa. Bez obawy błędu można twierdzić, że 68% osad włościańskich w dobrach prywatnych pozostaje dotąd w stosunkach szachowniczych.

Obliczenia te, oparte na liczbie osad pańszczyźnianych nie są kompletne. Przed reformą, były wypadki czynszowego urządzania włościan bez gruntowej separacji. Osady takich włościan pozostały nieurządzonymi do czasu uwłaszczenia. Po uwłaszczeniu zaś sprawa regulacji gruntowej nie była przez długi czas podnoszona. Zajęło się nią dopiero prawo z 1875 r., choć w przepisach odnosnych nie możemy dopatrzeć się środków stanowczych. Prawo z 1875 r. jest skierowane tylko przeciwko szachownicy w gruntach włościańskich z dworskimi, a pomija zupełnie grunta wyłącznie włościańskie, które też dotąd pozostają w wielu miejscowościach nieuregulowane.

Ponieważ jednak posiadamy wiele wsi dawniej skarbowych, w których włościanie byli mniej więcej wcześniej urządzani, a stąd i ich osady rozseparowane, powyższe stosunki cyfrowe przy uwzględnieniu tej kategorii osad przedstawiają się nam nieco łagodniej. Faktem jest, że największa szachownica panuje we wsiach, przytykających do folwarków. Wogóle zaś, w całym kraju na 700,000 istniejących dziś osad włościańskich najmniej 200,000 osad, t. j. 30% posiada grunta szachownicze.

Liczyby te malują dostatecznie obecny stan drobnej własności. Komuż nie są znane trudności gospodarskie, pochodzące z szachowniczego rozkładu gruntów i te stosunki między dworem a wsią, jakie uznać musimy za bezpośredni tego rozkładu skutek.

Jeżeli sprawa dostatecznego gruntowego zabezpieczenia większej części ludności rolniczej posiada pierwszorzędne znaczenie dla bytu włościan, to niewątpliwie takie same znaczenie posiada sprawa racjonalnego

urządzenia gruntowej własności. Nie możemy myśleć o jednej, nie biorąc pod uwagę drugiej. A jednak dotąd, sprawa racjonalnego urządzenia gruntów drobnej własności stała zawsze na uboczu, jak gdyby drugorzędna, przedłużając termin ostatecznego rozwiązania kwestyi włościańskiej.

Stosunki szachownicze stanowią ważną przyczynę słabych postępów gospodarstwa włościańskiego. Włościanin nie jest w stanie ani dokładnie uprawić takich gruntów, ani zebrać plonów. Na każdym kroku jest on zależnym od sąsiada — w zasiewach musi się stosować do zasiewów na gruntach sąsiednich, w samej nawet eksploatacji gleby nie może uwzględniać własnych potrzeb, lecz co chwila oglądać się na innych.

Dotyczy to nietylko włościan, lecz i dworów. Włościanie niejednokrotnie korzystają z szachownicy w ten sposób, że utrudniają gospodarstwo folwarczne. Szachownica więc jest tamą tak dla większych jak i dla małych własności i śmiało twierdzić możemy, że ona też przyczynia się jeżeli nie do zupełnego unieruchomienia znacznego obszaru gruntów w kraju naszym, to co najmniej do zmniejszenia ich produktywności. Z usunięciem szachownicy, zyskujemy prawie nowe grunta.

Lecz szachownica posiada nietylko wpływy czysto ekonomiczne. W niej też szukać należy przyczyny stosunków między dworem a wsią, nie zawsze dziś harmonijnych, — przyczyny częstych sporów i wzajemnych pretensyj. Kura przeskoczyła z gruntów wiejskich na folwarczne, owca, źrebak lub trzoda wlaźła w grunta dworskie — co się zdarza często w skutek bliskiego sąsiedztwa pomieszanych gruntów — i oto początek dowolnych kar, obciążających włościan; stosunki się zaostrzają, przechodzą w niechęć wzajemną i nienawiść, które częstokroć wybuchają pożarem, wzniesionym w stodole lub zabudowaniach folwarcznych.

Wiele się mówi i pisze o potrzebie lepszeń w gospodarstwie włościańskim, lecz wszak najmniejsze ulepszenia stają się niemożliwe, dopóki istnieją grunta szachownicze. Regulacja tych gruntów powinna poprzedzać wszelkie reformy, jako pierwszy ich warunek.

Taka jest ogólna charakterystyka obecnego stanu drobnej własności w kraju naszym. Na zakończenie, winniśmy dodać jeszcze kilka rysów do powyższego obrazu, korzystając z materiału statystycznego, jaki dotąd opublikowany nie został.

Materiałem tym są wykazy nieruchomości, przyjętych do wzajemnego gubernialnego ubezpieczenia od ognia, składane peryodycznie przez zarządy gubernialne minist. spraw wewn. Wykazy te podają liczbę nieruchomości

ści ubezpieczonych i sumę ich ubezpieczenia, w podziale na dwie kategorie budowli włościańskich — położonych kolonialnie i niekolonialnie. Zważywszy, że z mocy ustawy o wzajemnem ubezpieczeniu gubernialnem, każdy budynek musi być zaasekurowany i że zaznaczona klasyfikacya budowli włościańskich daje miarę ich ekonomicznego stanu, wykazy statystyczne wydziału asekuracyi uznać możemy za bardzo cenne źródło charakterystyki drobnej własności.

Na podstawie tego materiału, ułożyliśmy następującą tabelkę, co do której musimy objaśnić, że w rubryce drugiej oddział I dotyczy budowli

Nazwa gubernii	Oddział	Liczba budowli ubezpie- czonych	Suma ubezpieczenia			Wogóle
			k l a s y			
			1	2	3	
r u b l e						
Siedlecka . . .	I	11.575	2.422	13.000	2.155.672	2.171.112
	II	34.274	100.368	69.828	6.078.578	6.260.774
Łubelska . . .	I	19.191	75.808	39.980	3.750.654	3.866.442
	II	43.904	94.432	160.766	7.425.182	7.680.380
Płocka	I	71.998	70.574	304.286	1.370.158	1.745.018
	II		176.128	345.708	3.517.182	4.027.018
Łomżyńska . . .	I	9.974	2.200	116.714	1.665.920	1.784.854
	II	19.603	70.562	198.080	3.290.450	3.359.092
Kielecka . . .	I	22.521	9.070	126.794	3.142.994	3.278.858
	II	42.261	17.818	319.322	4.567.254	4.804.194
Kaliska	I	26.101	136.026	1.108.816	4.417.658	5.660.480
	II	25.847	572.034	951.998	3.529.604	5.253.636
Warszawska . .	I	29.164	131.298	826.850	7.207.210	8.165.358
	II	25.787	297.954	587.400	6.739.086	7.624.402
Radomska . . .	I	30.836	45.300	135.218	5.546.938	5.727.456
	II	25.393	88.490	208.420	4.636.358	4.933.268
Piotrkowska . .	I	86.558	147.456	515.208	5.185.838	5.776.702
	II		122.224	235.010	3.115.918	3.473.152
Suwalska	I	28.429	36.444	89.976	9.314.946	9.441.364
	II	19.068	47.006	62.348	4.590.480	4.699.794
W Król. Pol. . .	I	225.343	656.798	3.276.840	43.757.968	47.619.644
	II	317.139	1.585.018	3.138.880	47.390.092	52.115.710
W obu oddział.		572.483	2.241.816	6.415.720	91.148.060	99.735.354

włościańskich położonych kolonialnie, zaś oddział II — budowli położonych niekolonialnie; wreszcie w rubryce 4-tej, klasa 1 dotyczy budowli z materiału niepalnego, klasa 2 — budowli z materiału mieszanego, i 3 — z materiału palnego.

Tabelka ta zawiera przeciętną dla okresu pięciu lat — od 1874 do 1878 roku ¹⁾.

Z danych powyższych można wyprowadzić następujące wnioski, które wprawdzie nie wypowiadają nic nowego, lecz ze ścisłością statystyczną potwierdzają ogólnikowe wiadomości, jakie opinia o drobnej własności bez sprawdzenia podaje.

Najpierw, ponieważ ustawa wzajemnego ubezpieczenia gubernialnego, uważa za całą posesyę wszystkie budowle, stanowiące jedną osadę włościańską, kolonię i t. p. (p. 2 art. 22, D. P. t. 70, st. 375), przeto podział budowli na położone kolonialnie i niekolonialnie może być w części uważany za taki sam podział osad włościańskich. Odnośna zaś statystyka wykazuje, że w kraju naszym jest dziś znacznie więcej budowli drugiej kategorii, niż pierwszej: budowle położone niekolonialnie stanowią 55.3% wszystkich budowli włościańskich. Cyfra ta jednak i ten stosunek procentowy niewątpliwie ulega powolnej lecz stałej zmianie na korzyść powiększania się budowli położonych kolonialnie, ponieważ wszelkie nowopowstające gospodarstwa budują się przeważnie w ten sposób, podczas gdy stare, dawniej pourządzane wsie włościańskie przedstawiają zazwyczaj szereg sąsiadujących domostw. Powszechnem jest zdanie, że nasz włościanin nie jest zwolennikiem kolonialnej organizacji gospodarstw, że woli raczej poprzestać na małym, byleby być razem z sąsiadami, niż otrzymać więcej, lecz w odosobnieniu, zdala od innych. Jest to jeden z licznych rysów charakteru, jakie usiłują dopatrywać w naszym wiesniaku rzekomi znawcy ludu. Dążność do powiększania własności i mienia, pewnego rodzaju materializm, jest bezzaprzeczenia głównym bodźcem i zasadniczą cechą wyemancypowanego ekonomicznie włościanina. Dziś, na każdym kroku kieruje się on zasadą utylitarną, a ta wskazuje mu kolonialne urządzenie nie tylko budowli, lecz i gruntów.

Wszystkie budowle włościańskie, tak mieszkalne, jakoteż i przeznaczone na użytek gospodarstwa, należące bądź do gromad wiejskich, bądź

¹⁾ W liczbie budynków pominięto wiatraki, które pomieszczone są w oddzielnym oddziale budowli przemysłowych, sądźmy jednak, że ich liczba nie wpływa na ogólne stosunki tabelą objęte.

do osób prywatnych, w skład tych gromad wchodzących, — wszystkie są ubezpieczone na sumę blisko 100 milionów rubli. Że zaś budowle są przyjmowane do wzajemnego ubezpieczenia gubernialnego w całkowitej i nie niżej od $\frac{3}{4}$ ich wartości, możemy więc przyjąć, że powyższa suma ubezpieczenia jest zarazem sumą szacunku zabudowań włościańskich. Tu wyłączamy z obliczeń tylko budynki przemysłowe, do których głównie należą wiatraki. Wartość jednak tych ostatnich nie jest tak znaczną, a szacunek w stosunku $\frac{3}{4}$ wartości jest tak rzadki, że przy obrachunku średniej wartości budowli włościańskich śmiało możemy za jej wyraz przyjąć wskazaną sumę z góry 100 milionów rubli.

Podług tych obliczeń, jedna budowla włościańska przedstawia wartość średnio 170 $\frac{1}{2}$ rs. Tu zachodzi lekka różnica pomiędzy budowlami położonymi kolonialnie i niekolonialnie: w pierwszych jedna budowla przedstawia wartość średnio 164.3 rs., w drugich — 186.4 rs. Różnicy tej nie można tłumaczyć niższą wartością budowli położonych kolonialnie. Pochodzi ona raczej ztąd, że w przeważającej liczbie budowli niekolonialnych więcej się znajdzie droższych zabudowań, niż w mniejszej liczbie budowli kolonialnych.

Jak lichy i słabo zabezpieczony od wypadków ognia są budynki włościańskie, sądzić można z tego, że na ogólną sumę 100 milionów rs. ubezpieczenia, wypada aż 91,148,060 rs. na ubezpieczenie samych tylko budowli klasy 3-ciej, t. j. zbudowanych z materiału palnego, jak drzewo i słoma. Wartość szacunkowa tych budowli wynosi prawie 91 $\frac{1}{2}$ % ogólnej wartości budowli włościańskich. Zważywszy, że budowle tej kategorii dużo mniej warte, niż zabudowania dwóch pierwszych klas, przekonywamy się o ich przeważającej jeszcze dziś liczbie. Budowle, postawione z materiału niepalnego, jak cegła, kamień, żelazo, są prawdziwą rzadkością — wykazują zaledwie 2.2% ogólnego szacunku. Budowle zaś mieszane, t. j. zbudowane częścią z materiału niepalnego, częścią z palnego, również jeszcze nie są rozpowszechnione, stanowiąc 6.2% wartości ogólnej.

Uogólniając dotychczasowe wnioski, widzimy, że budowle włościańskie są przeważnie drewniane, słomą kryte, a więc wystawione na ciągłe klęski i zniszczenie; zabudowania, więcej z tej strony zabezpieczone, są jeszcze tak wyjątkowe, że nie można się spodziewać rychłych na tem polu ulepszeń; obecne zasoby materialne włościan, a głównie szachownica w gruntach wiejskich krepują wszelki postęp, zmuszając drobnych gospodarzy do opędzania najpilniejszych potrzeb. Podejmowanie trwalszych re-

form i ulepszeń w dzisiejszych warunkach ekonomicznych drobnej własności jest prawie niemożliwym.

Dotąd, w charakterystyce gospodarstw włościańskich zajmowaliśmy się podstawą ich gospodarstwa — ziemią. Przyjrzyjmy się teraz głównemu czynnikowi eksploatacji tej ziemi — inwentarzowi.

Pozornie zdawać by się mogło, że pod względem inwentarza, stanowiącego ważny czynnik wytwórczy w każdym gospodarstwie, drobna własność zajmuje w kraju naszym uprzywilejowane stanowisko. Do podobnego wniosku mogła by upoważniać masa koni i bydła, przez włościan trzymanego.

Liczba koni, podług danych urzędowych, wynosi w Królestwie ogółem do 753,000 sztuk. Jeżeli wyłączymy z tego około 100,000 koni w posiadaniu osób, niemogących trudnić się hodowlą, pozostanie nam do hodowli właściwie koni sztuk 653,000, w tem 211,000 sztuk na folwarkach i przeszło dwa razy tyle, t. j. 442,000 sztuk w posiadaniu mniejszej własności, a więc włościan i drobnej szlachty.

Taką samą przewagę na korzyść drobnej własności widzimy i w dziale drugim inwentarza — w bydłe. Na całej przestrzeni Królestwa znajduje się ogółem 2,835,000 sztuk bydła, że zaś w folwarkach znajduje się 617,900 sztuk, najznaczniejsza więc ilość bydła — 2,217,000 sztuk znajduje się znowu w rękach małych właścicieli po wsiach i w części w posiadaniu mieszkańców miast.

Liczyby te, wątpimy, by mogły kogo w błąd wprowadzić. Prawdą jest, że włościanie posiadają masę inwentarza, lecz zarazem jest prawdą, że inwentarz to lichy, w całym słowa znaczeniu. Rzecz bardzo prosta: włościanie trzymają dużo inwentarza dla nawozu, tak dużo, że nie mogą mu dać odpowiedniej paszy, której częstokroć, pomimo służebności pastwiskowej, brak dla wyżywienia tego inwentarza. Nędzne karmienie wpływa też ciągle na upadek koni i bydła włościańskiego. Z drugiej znowu strony, brak w kraju stacyj rozplodowych i brak wogóle dobrych reproduktorów silnie oddziałują na rasę krajową, przez włościan głównie hodowaną. Reproduktry przez włościan używane, to prawdziwe karykatury koni. Włościanie nie dbają o dobór ogierów, a choćby i dbali, to i wówczas nie zawsze mogliby zadość uczynić swej chęci, bo sprowadzenie rozplodnika jest jeszcze zbyt kosztowne nawet dla średnich gospodarzy.

A jednak bydło i konie włościańskie przedstawiają materiał, z którego mógłby powstać dobry inwentarz roboczy. Lecz na to potrzeba przekształcenia obecnych stosunków ekonomicznych drobnej własności i roz-

powszechnienia głównych czynników, niezbędnych w racjonalnej hodowli. Dopóki włościanie będą skrupowani w swych przedsięwzięciach melioracyjnych konfiguracją własności gruntowej, t. j. dopóki nie zostanie usunięta główna przeszkoda rozwoju drobnych gospodarstw, dopóty też wszelkie próby drugorzędnych ulepszeń muszą pozostać bezowocnymi.

Wobec tak słabego rozwoju gospodarstw włościańskich, każdy przyznać musi, że w dzisiejszych warunkach nie tyle ważną jest sprawa zapewnienia wszystkim własności i zabezpieczenia bytu bezrolnych, ile sprawa zapewnienia trwałych podstaw rozwoju drobnych gospodarstw.

Na zubożenie i liczebny rozrost klasy bezrolnych łatwo znaleźć skuteczne lekarstwo. Podniesienie kultury zapewni zawsze znaczny tej klasie zarobek, a z drugiej znowu strony, rozwijający się przemysł domowy złagodzi wszelkie trudności, jakie nastręczyć może gospodarstwu włościańskiemu zbytne rozdrobnienie gruntowe. Zawsze więc na pierwszym planie nierozstrzygniętej dotąd kwestyi włościańskiej stać będzie potrzeba usunięcia tych wszystkich przeszkód, jakie stają obecnie na drodze do racjonalnego rozwoju drobnej własności.

Dziś kwestya włościańska polega na potrzebie segregacyi gruntów szachowniczych i organizacyi kredytu, dostępnego dla drobnych gospodarzy.

Z kolei wypada nam się zastanowić, jakie znaczenie posiada dla mniejszej własności sprawa służebności. sprawa, od rozstrzygnięcia której spodziewają się ekonomicznego wyzwolenia folwarków. Powszechną jest jeszcze skarga, że regulacya służebności napotyka przeszkody głównie ze strony włościan, że posuwa się bardzo powoli i że obecny jej stan bynajmniej nie rokuje szybkiego ukończenia sprawy. Doniosłość tej skargi znacznie się zredukuje, jeżeli w roztrząsaniu serwitutów staniemy na gruncie interesów drobnej własności i jej obecnego stanu ekonomicznego.

W zasadzie służebności uznane zostały przez samo prawo jedynie za czasową pomoc dla gospodarstw włościańskich. Regulacyi zaś służebności prawo to nie podjęło, pozostawiając ją wzajemnej, dobrowolnej umowie stron interesowanych. Ten brak reglamentacyi i pozostawienie rozstrzygnięcia kwestyi samym stronom zmusza nas do szukania przyczyn powolnego przebiegu sprawy nie w przeszkodach prawnych, formalnych, lecz w ogólnie-ekonomicznych warunkach kraju i drobnej własności.

Do czasów uwłaszczenia praca włościan była przez długi szereg wieków wyzyskiwana przez folwarki, które swoje obszary gruntowe powiększały kosztem obszarów włościańskich. W ekonomicznym jednak intere-

sie większej własności leżało podtrzymywanie choćby średniego dobrobytu robotników. To też w zamian za utratę ziemi, oraz powiększenie dni roboczych i rozmaitych kategorii robocizny, dziedzice nadawali włościanom na niektórych gruntach swoich dogodności w formie prawa użytkowania. Historyczny rozwój służebności przekonywa nas, że są one spuścizną z czasów pańszczyźnianych. Przed uwłaszczeniem służebności występowały zawsze w charakterze dobrowolnej ofiary ze strony większej własności, jako usprawiedliwienie wysokiej pańszczyzny. W miarę tego, jak włościanie coraz mniej posiadali gruntów, jednocześnie otrzymywali coraz więcej praw służebnościowych. Proces ten trwał od chwili pierwszego wypadku wywłaszczenia włościan i powstałej jednocześnie potrzeby wynagrodzenia ofiary w inny sposób.

Taki stan rzeczy istniał do szóstego dziesiątka lat bież. st., t. j. do chwili, gdy istniejące podówczas Towarzystwo Rolnicze podjęło kwestję włościańską. Towarzystwo to było przekonane, że zamiana służebności powinna być dokonana jednocześnie z regulacją gruntów szachowniczych. Częściowe usiłowania pojedynczych członków, sporadyczne wypadki regulacji i urządzenia włościan w dobrach prywatnych, wreszcie urządzenia włościan w majątkach skarbowych — świadczą o tem dostatecznie. Wreszcie, w Tow. Roln. przyjęto ogólny wniosek, że urządzenie gruntowe włościan ma poprzedzać zamianę służebności ¹⁾, że samo zniesienie służebności, bez regulacji gruntów szachowniczych jest zgubne ²⁾, jako nieprowadzące do ostatecznego rozwiązania kwestyi włościańskiej i podające tylko środki paljatywne. W myśl tych wniosków, Towarzystwo Rolnicze uznaje potrzebę utrzymania służebności ³⁾, przynajmniej do czasu zupełnego zniesienia szachownicy.

Racjonalny pogląd Tow. Roln., jego uzasadnione wnioski, do których dziś nawet nie dodawać nie potrzeba, poszły obecnie w niepamięć. A chociaż większość osad z gruntami szachowniczymi posiada dotąd prawo do służebności, większa własność w słabym stopniu interesuje się sprawą regulacji gruntowej. Gdyby przeprowadzić zamianę służebności bez zniesienia szachownicy, powstała by większa niż dotąd zależność osad włościańskich od folwarków, wstrzymanoby zupełnie ekonomiczne wyzwolenie dro-

¹⁾ Roczn. Tow. Roln., T. XIV. str. 461.

²⁾ Tamże, str. 490 i 679, p. wyborny w tej mierze głos p. L. Górskiego.

³⁾ Tamże, str. 490.

bnej własności, zatomowanoby wytwórczość drobnych warsztatów rolniczych. Słowem, otrzymalibyśmy ten rezultat, na jaki w swoim czasie wskazywało już Towarzystwo Rolnicze.

Roztrząsanie służebności ze stanowiska interesów drobnej własności jest jedynie racjonalne i jako takie prowadzi do wytłumaczenia, dla czego przez szereg 18-tu lat sprawa serwitutowa rozstrzygniętą nie została.

Jeżeli zwrócimy uwagę na obecny stan ekonomiczny włościan, na ich pierwsze potrzeby i z tego punktu będziemy oceniali dotychczasowe rezultaty umów dobrowolnych względem zamiany służebności, przekonamy się, że sprawa ta nie posuwa się tak żółwim krokiem, na jaki ustawicznie skarżą się przedstawiciele większej własności. Pomimo licznych trudności, sprawa regulacji serwitutów posunęła się już o tyle, że dziś uwolniono 31% obszaru, obciążonego w 1864 r. służebnościami.

Oto rezultat umów dobrowolnych o zamianę służebności w okresie od 1864 do 1881 r.

Nazwa gubernii	Obszar obciążony służebnościami w 1864 r.	Od 1864 do 1881 r. uwolniono	Pozostaje
Lubelska	56.960	18.652	38.308
Siedlecka	38.507	12.819	25.688
Kaliska	38.500	9.764	28.736
Kielecka	36.815	7.354	29.461
Warszawska	35.172	13.050	22.122
Radomska	33.146	15.033	18.113
Piotrkowska	32.648	8.842	23.806
Płocka	31.452	10.277	21.175
Łomżyńska	19.053	5.034	14.019
Suwalska	8.069	2.523	5.546
W Królestwie	330.322	103.348	226.974

Tak więc na 330,322 włók, obciążonych służebnościami w chwili uwłaszczenia, do 1881 r. uwolniono 103.348 włók. Jeżeli sprawa zamiany serwitutów i nadal będzie rozwijała się w tym samym jak dotąd stosunku,

moglibyśmy przypuszczać, że ostateczne jej rozwiązanie nastąpi dopiero za 40 lat. Podobne jednak przypuszczenie uważać należy za błędne. Naszem zdaniem, dobrowolne umowy o zamianę służebności osiągną ostateczny swój cel daleko wcześniej, raz dla tego, że w miarę zmniejszania się obszaru, obciążonego tytułami serwitutowymi, zamiana ich będzie się stawała coraz łatwiejszą, powtórę zaś, nie tracimy nadziei, że wreszcie przedstawiciele większej własności raz przekonają się, że dla uwolnienia się od służebności pozostaje im tylko umowa dobrowolna.

Silnie rozwinięta wśród włościan dążność do skupu ziemi, do powiększania gruntowych obszarów zdaje się coraz więcej sprzyjać zamianie służebności na grunta z zupełnem prawem własności. W lubelskiem np., gdzie w ostatnich czasach dążność ta wystąpiła jaskrawiej niż gdziekolwiekby indziej, gdzie dokonano parcelacyi znaczniejszych obszarów, jednocześnie też zawarto stosunkowo więcej umów o zamianę służebności.

Dopóki jednak właściciele folwarczni będą marzyli o innych sposobach uwolnienia się od służebności i dopóki nie przestaną oskarżać włościan o wygórowane żądania w zamian za używalności pastwiskowe i leśne, dopóty sprawa serwitutowa w rozwiązaniu swem będzie się ciągle odwlekała.

Winę wszelkiej zwłoki w ostatecznem rozwiązaniu kwestyi serwitutowej dziedzice folwarczni przypisać powinni sami sobie. Zamiast bowiem wyzyskać przyjazne na razie okoliczności i w chwili uwłaszczenia przeprowadzić zamianę służebności, dziedzice z niechęcią odwrócili się od prawa o umowach dobrowolnych. Ztąd powstał skutek nieprzewidziany, choć do przewidzenia łatwy, bo zupełnie naturalny. W pierwszej chwili po uwłaszczeniu, włościanie świeżo obdarowani nie mogli i nie umieli jeszcze tak cenić swej własności jak dzisiaj i niewątpliwie zrzekliby się swoich praw służebnościowych za stosunkowo nieznaczne wynagrodzenie gruntowe. Dziś jednak stosunki się zmieniły. Dziś włościanin wie, co to jest własność gruntowa i dla tego też nadaje służebnościom częstokroć przesadne znaczenie, w nadziei, że ich kosztem znakomicie powiększy kiedyś swoje uposażenie gruntowe. Pamiętać nadto należy, że podwyższenie ceny ziemi nie mogło pozostać bez wpływu na jednoczesne podwyższenie się wartości służebności, że im szybciej będzie wzrastała cena majątków, tem większą cenę będą żądali włościanie za służebności.

O tej prostej konsekwencji w warunkach ekonomicznych zapomnieli nasi dziedzice. Więcej nawet, dziś jeszcze bowiem przedstawiciele więk-

szej własności noszą się z projektem wykupu służebności podług normy wynagrodzenia likwidacyjnego, tak jak gdyby od tego czasu do dziś warunki ekonomiczne pozostały bez zmiany. Jeżeli myśl podobna nie jest nieszczerą, to w zasadzie jest zupełnie nielogiczna.

Przypuszczenie nasze, że w miarę szybszego zawierania umów rozstrzygnięcie kwestyi służebnościowej również szybko dobiegać będzie swego kresu, nie jest bez podstawy. Przekonywa nas o tem statystyka dóbr w Tow. Kred. Ziemsk. stowarzyszonych¹⁾. Podczas gdy w 1865 r. ułożyło się o zniesienie służebności pastwiskowych 115 osad, a leśnych 110 osad, w 1869 r. zawarło umowy już 2,179 i 2,449 osad, w 1875 r. zaś, t. j. w dziesięć lat po uwłaszczeniu jeszcze więcej, bo o służebności pastwiskowe 5,409 osad, a leśne 5,291 osad. Ponieważ w warunkach ogólnie-ekonomicznych, nie zaszła żadna zmiana, mogąca w tej sprawie wpływać ujemnie, należy się więc spodziewać, że postęp powyższy przerwany nie zostanie. W interesie przeto większej własności leży przyspieszyć zawieranie umów, dopóki służebności pozostają jeszcze w przystępnej cenie. Nie nie rokuje, ażeby ich wartość miała spaść kiedyś. Przeciwnie, przypuszczalna kryzys, która prędzej lub później musi dotknąć większą własność ziemską, jako skutek anormalnej wyżki cen ziemi, podtrzymywanej spekulacją, jeżeli nie pozostanie bez wpływu i na mniejszą własność, zawsze wywoła podwyższenie wartości serwitutów, ponieważ zagrożeni przesileniem włościanie szukać będą punktu wyjścia i ratunku w pozostałych im jeszcze prawach służebnościowych.

Rozbiór pytania, o ile słusznem było pozostawienie rozstrzygnięcia kwestyi służebnościowej na drodze umów dobrowolnych — uważamy za spóźniony i bezcelowy; 18-letnia praktyka powinna przekonać strony interesowane, że dziś wszelka w tej mierze reforma napotkałaby zbyt wiele trudności. Kilka projektów skapitalizowania wartości serwitutów, jakie po uwłaszczeniu wyszły od sfer administracyjnych i osób prywatnych²⁾, pozostało bez skutku, obecnie zaś, sądząc z panującej opinii — której wyrazem

¹⁾ Zbiór wiad. stat., str. 87, tab. F.

²⁾ Mowa tu z jednej strony o Projekcie obowiązkowej segregacyi gruntów włościańskich i folwarcznych oraz wynagrodzenia włościan za służebności, opracowanym przez b. władzę centralną do spraw włośc. w Król. Polsk. i o podobnym projekcie jednej z komisji do spraw włośc., z drugiej zaś strony o projekcie p. Wojzbuna, opracowanym z całą ścisłością techniczną i gruntową znajomością przedmiotu.

jest poniekąd odpowiedź na znany wniosek dzisiejszego generał-gubernatorstwa — najmniej można się spodziewać podjęcia na nowo tej sprawy.

Dotychczas słyszeliśmy o jednej głównie przyczynie, dla której sprawa zamiany służebności tak daleką jest jeszcze od ostatecznego rozstrzygnięcia, mianowicie — o wygórowanych żądaniach włościan. O ile zdanie to ma słuszość, po tem, cośmy wyżej powiedzieli, pytanie to pozostawimy bez odpowiedzi. Natomiast, w ogólnych warunkach materialnego bytu włościan szukać będziemy przyczyn bardziej podstawowych, które wytłomaczą nam więcej szczegółowo i przekonywająco zwłokę w rozwiązaniu kwestyi serwitutowej.

Zwracając się przedewszystkiem do tych przeszkód, jakie następcza drobna własność ziemską, winniśmy zatrzymać się na szachownicy, jako warunku pierwszorzędym obecnego stanu ekonomicznego tej własności.

W istocie, z danych statystycznych, dotyczących regulacyi serwitutów, przekonywamy się, że szachownica jest jednym z główniejszych powodów zwłoki w ostatecznem rozstrzygnięciu kwestyi służebności. Gdyby dziedzice, podejmując układy o serwituty, nie pomijali sprawy regulacyi gruntów szachowniczych, niewątpliwie zamiana służebności dałaby daleko szybsze rezultaty. Lecz właśnie w rzeczywistości dzieje się wprost przeciwnie. Baczni przedewszystkiem na własny interes, właściciele folwarków lekceważą potrzeby gospodarstw włościańskich i głoszą o wygórowanych żądaniach przy zamianie serwitutów.

Tymczasem żądania te mniej są wysokie, jeżeli tylko sprawa zamiany służebności jest połączona ze sprawą regulacyi szachownicy. Dotąd za samą regulację gruntów szachowniczych w osadzie wynagrodzenie ze strony dziedziców wynosiło średnio 1 morg. 149 prętów, t. j. w stosunku do średniego obszaru osady — $11\frac{1}{2}\%$; za samą zamianę służebności wynagrodzenie dochodziło w przecięciu do 2 morg. 108 prętów, t. j. 19% , wreszcie, za zamianę służebności i za regulację gruntów szachowniczych włościanie otrzymywali 2 morg. 243 pr., t. j. $21\frac{2}{3}\%$. Słowem, przy dokonywaniu pojedynczo zamiany służebności i regulacyi, włościanie otrzymywali razem $30\frac{1}{2}\%$ w stosunku do normy uwłaszczenia, zaś przy przeprowadzeniu regulacyi razem z zamianą otrzymywali tylko $21\frac{2}{3}\%$, t. j. o 30% mniej.

Dane powyższe, dotyczące 9-ciu gubernij Królestwa, jeszcze wyraźniej stwierdzają nasz wniosek, jeżeli będziemy je roztrząsali w podziale gubernij na dwie grupy: z większym i mniejszym obszarem gruntowym

osad. W 4 guberniach o średnim obszarze osad 15 morg., włościanie otrzymali za zamianę służebności $18\frac{1}{3}\%$ w stosunku do uwłaszczenia, i 15% za zamianę, przeprowadzoną jednocześnie z regulacją. Stosunek ten świadczy, że włościanie chętnie zgadzają się na niższe wynagrodzenie, jeżeli w ustępstwie tem widzą środek szybszej regulacyi swoich gruntów szachowniczych.

Wyjątek stanowią osady drobnogruntowe, których właściciele otrzymują większe wynagrodzenie za zamianę służebności i regulację gruntów, niż za samą zamianę.

Ażeby więc przyspieszyć rozwiązanie kwestyi serwitutowej, należy pamiętać o potrzebie regulacyi gruntów szachowniczych. Tak tu, jak w wielu innych stosunkach agrarnych w naszym kraju, skutecznym środkiem może być parcelacya. Sprzedaż folwarcznych odpadków, o ile z jednej strony jest w stanie przyczynić się do zmniejszenia obciążeń hipotecznych na majątkach, o tyle z drugiej strony może wpłynąć na uregulowanie obszarów włościańskich, których grunta pozostają w szachownicy z folwarcznymi.

Lecz czy oprócz szachownicy niema już innych przyczyn, tamujących normalne rozwiązanie sprawy serwitutowej? Niestety, są i są dość liczne.

Dotąd nie postawiliśmy pytania: czy służebności są potrzebne gospodarstwu włościańskiem lub nie. Przedstawiciele większej własności rozstrzygnęli tę kwestyę przecząco. Więcej nawet, — niektórzy z nich usiłowali dowieść, że wszystkie kategorie służebności są ciężarem tak samo dla małej własności ziemskiej jak i dla większej. Bliższe jednak zbadanie stosunków ekonomicznych w sferze drobnych gospodarstw włościańskich przekonywa nas o bezzasadności podobnego twierdzenia: dla wielu z tych gospodarstw służebności są nie tylko pożyteczne, lecz nawet stanowią niezbędny warunek ich bytu.

Dotyczy to przedewszystkiem tych licznych jeszcze w kraju osad, które posiadają niedostateczną ilość pastwisk. Podług danych urzędowych, doprowadzonych do 1875 r., w Królestwie przeszło 51% wszystkich gmin wiejskich posiada osady włościańskie, którym brak dostatecznej ilości łąk. W osadach tych łąki stanowią zaledwo 10% ogólnej ich przestrzeni gruntowej. W tej jednak liczbie gmin znajdują się i takie, których uposażenie pastwiskowe nie wynosi nawet połowy cyfry powyższej. Te bowiem

51% zawierają w sobie 314 gmin, t.j. 24% wszystkich gmin w Królestwie, których łąki wynoszą mniej niż 5% ogólnej przestrzeni gruntowej ¹⁾.

Cyfry te obejmują okres do 1875 r. Od tego zaś czasu ilość łąk, lasów i pastwisk w całym kraju zmniejszyła się, z kąd należy wnioskować, że i stan rzeczy w roztrząsanych tu 51% gmin nie polepszył się wcale ²⁾.

Tak dziś więc, jak i przed 17-tu laty, znaczna zawsze liczba osad zaspakaja swoje potrzeby pastwiskowe za pomocą służebności.

Wobec nizkiego stanu rozwoju gospodarstw włościańskich w naszym kraju — pisze jeden z obrońców obowiązkowej zamiany służebności ³⁾, — tudzież wobec niedostatecznego wogóle uposażenia włościan w łąki i pastwiska, pasza bydła w lasach stanowi i długo jeszcze stanowić będzie warunek *sine qua non* istnienia włościan.... Wobec takich okoliczności pozostawałoby tylko pogodzić się z koniecznością dozwolania włościanom użytkowania z pastwiska leśnego.

Jeżeli zwrócimy uwagę na statystykę umów o zamianę służebności i umów o jednoczesną zamianę gruntów i służebności, przekonamy się, że do końca 1873 r. średnio w każdym powiecie przystąpiło do umów o zamianę służebności 429, osad a do umów o zamianę gruntów i służebności — 186 osad. Od tej przeciętnej spotykamy znaczne wyjątki, mianowicie w powiatach, gdzie cyfra ta dochodzi do minimum. Tak w powiecie łomżyńskim w tym czasie zawarło umów pierwszej kategorii 20 osad, drugiej kategorii — 0, w pow. kolneńskim 7 i 0 osad, mazowieckim 24 i 0, ostrołęckim 0 i 0, mariampolskim 3 i 0, kaliskim 19 i 19. Te powiaty należą właśnie do miejscowości z osadami małorolnymi.

Wnioski powyższe znajdują zupełne usprawiedliwienie w statystyce dóbr stowarzyszonych w Tow. Kred. Ziemsk.

Po koniec 1879 r. ułożyło się o zniesienie wszelkich służebności średnio w gubernii każdej 62 dóbr i 2,697 osad, a w każdym powiecie średnio 7 dóbr i 317 osad. Zwrot od tej przeciętnej ku minimum spotykamy właśnie w tych powiatach, w których przeważają osady małorolne.

Następująca tabelka da nam bliższe w tej mierze objaśnienie ⁴⁾.

¹⁾ Dane wyjęte z Anuety: Zarysy stanu ekonomiczn. włościan w Król. Polsk. 1875.

²⁾ Bibl. Warsz. Zesz. IX, T. III, 1882 r. Nasza własność ziemska.

³⁾ Józef K (rasuski). Lasy rządowe w Kr. Pol., Przegląd leśniczy zesz. z paźdz. 1877 r.

⁴⁾ Tabelkę tę ułożyliśmy na podstawie wykazu 2 w Zbiorze na str. 228 i nast. oraz cytowanego wyżej Wykazu sprawozdawczego.

Liczba powiatowa	Nazwa powiatów	Liczba osad			Ilość ogólna	
		ogólna	z obszarem 15 morg. i więcej	z obszarem do 3-ch morg.	dóbr	osad
1	Lipnowski	5.613	1.391	2.996	3	88
2	Rypiński	6.013	1.096	2.786	1	21
3	Sierpecki	3.030	884	1.501	3	83
4	Ciechanowski	4.795	1.060	2.064	3	136
5	Przasnyski	3.029	737	1.201	1	12
6	Łomżyński	2.916	723	1.259	—	—
7	Szczuczynski	2.407	453	731	3	77
8	Kolneński	1.960	759	620	—	—
9	Ostrołęcki	1.811	347	753	—	—
10	Mazowiecki	1.818	688	679	4	64
11	Makowski	2.543	702	906	4	90
12	Suwalski	1.206	724	277	1	68
13	Sejneński	3.560	2.037	998	1	14
14	Augustowski	3.098	1.465	572	—	—
15	Kalwaryjski	3.336	1.776	1.034	2	144
16	Maryampolski	2.923	1.269	1.235	—	—
17	Wylkowyski	2.185	1.020	939	4	66
18	Władysławowski	2.691	1.954	632	—	—
19	Koniński	6.966	1.486	1.827	—	—
20	Kaliski	7.953	1.718	3.576	1	22
21	Sieradzki	8.239	970	2.295	4	99
22	Turecki	8.556	1.178	3.439	2	39
23	Ślupecki	6.376	1.304	2.077	1	22
24	Łęczycki	6.210	1.319	2.895	3	82
25	Kielecki	3.417	757	488	1	23
26	Miechowski	7.207	590	1.685	—	—
27	Włoszczowski	4.906	895	1.427	—	—
	W 27 powiatach	114.424	29.302	40.592	42	1.150

Podana w tabelce tej liczba osad — ogólna i osad większych i drobnych — została wyjęta z Wykazów sprawozdawczych, ułożona po ostatecznem sprawdzeniu tabel likw. Naturalnie w liczbach tych zaszły dziś znaczne zmiany. Chcąc jednak przedstawić stan sprawy służebnościowej, nie mogliśmy uwzględniać tych zmian, jako często pochodzących właśnie od uregulowania tej sprawy i dla tego też wzięliśmy stosunek osad małopolskich do ogółu osad włośc. taki, jaki istniał w chwili zatwierdzenia tabel likw. i zestawiliśmy go z rezultatami umów do końca 1879 r.

W 27 powiatach wskazanych, liczba osad z przestrzenią niżej 3 morg. wynosiła w chwili zatwierdzenia tab. likw. 40,592. Powiększając tę liczbę w takim stosunku, jak to wyżej uczyniliśmy przy obliczaniu ogółu osad małopolskich w Królestwie, t. j. przez dodanie naturalnego rozdrobnienia i osad od 3—6 morg. gruntu liczących, otrzymamy w przybliżeniu 160,000 osad, czyli, że w 27 powiatach badanych, osady małopolskie stanowią 64% wszystkich drobnych osad. Mamy więc przed sobą powiaty z przewagą osad małopolskich.

Tabela powyższa wskazuje dalej, że w powiatach tych w okresie od 1864 do 1879 r. włącznie, zawarto znacznie mniej umów, niż w każdym innym powiecie. Gdy bowiem w całym kraju w czasie tym przystąpiło do ostatecznego uregulowania służebności 623 dóbr i 26,979 osad, w badanych zaś 27 powiatach, stanowiących blisko $\frac{1}{3}$ część kraju — tylko 42 dóbr (6%) i 1,150 osad (4%).

Wprawdzie cyfry powyższe dotyczą jedynie służebności na dobrach ziemskich, w Tow. Kred. stowarzyszonych, że jednak dobra te stanowią w Królestwie 76% własności większej, sądzymy więc, że uogólnienie wniosków powyższych nie będzie się sprzeciwiało istotnemu stanowi rzeczy.

Jakkolwiek na układ stosunków taki, jaki przedstawia powyższy wykaz, mogły wpływać i bezwątpienia wpływały rozmaite względy bądź czysto ekonomiczne, bądź znaczenia technicznego, w każdym jednak razie w ich liczbie wyróżnić należy przede wszystkim fakt, że w niektórych miejscowościach sami właściciele folwarków niechętnie przystępowali do umów, prowadzących za sobą zawsze powiększenie gruntów drobnych rolników.

Ujmując powyższe uwagi w ostateczne wnioski, widzimy, że sprawa służebności pozostaje w ścisłym związku z kwestią włościańską, że rozwiązanie pierwszej może nastąpić przy jednoczesnem rozstrzygnięciu ostatniej.

Ogólny stan ekonomiczny włościan, szachownica gruntowa — oto główne przyczyny powolnego rozwoju umów dobrowolnych. Pomijamy w ich rzędzie liczne fakty nietylne ekonomicznej natury, jak raczej wynikające z moralnego stanu gmin naszych, t. j. przede wszystkim pokątne doradztwo, którego wpływ dominujący oddziaływa też i na sprawę służebności. Że podobne wpływy istnieją, że mogły się one utrwalić, czyjaż w tem wina, jeżeli w części nie większej własności i jej separatyzmu?

Z pośród środków, jakie byłyby w stanie przyspieszyć rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej i służebnościowej na drodze dobrowolnych umów, wyróżnić należy dwa głównie — parcelację i kredyt.

Przedewszystkiem zaś pierwszy z tych środków, gdyby tylko mógł trafić do przekonania „upadających właścicieli ziemskich“, dokonałby pożądanego unormowania naszych stosunków agrarnych.

Do parcelacji kwalifikują się w kraju naszym te wszystkie obszary folwarczne, których budżet gospodarczy nie może osiągnąć niezbędnego przy prawidłowym zarządzie bilansu. Uszczuplenie ich granic, zmniejszając środki nakładowe i dostarczając kapitału na zniesienie ciężarów hipotecznych, podniosłoby gospodarstwo folwarczne. Z drugiej zaś strony, parcelacja, prowadzona w majątkach, obciążonych służebnościami, powiększając liczbę zamożniejszych gospodarstw włościańskich, mogłaby choć w części przyczynić się do zmniejszenia szachownicy gruntowej, ponieważ na parcelację można by wystawić właśnie te grunta, które pozostają w szachownicy.

Co się wreszcie tyczy drugiego środka — kredytu, to ten jest niezbędnym dla szybszego zastosowania parcelacji. Ażeby bowiem sprzedaż odpadków i działów folwarcznych mogła znaleźć łatwych nabywców w szeregu drobnych właścicieli, a zarazem zapewnić dziedzicom pewien zysk z tej operacji, należy udostępnić włościanom kapitał przez zorganizowanie kredytu, który w dzisiejszych urządzeniach jest dla nich prawie niedostępny. Dotychczasowe rezultaty parcelacji są skutkiem nietylne środków kredytowych, jakimi rozporządza drobna własność, ile raczej zasobów materialnych, jakie też drobna własność w przeciągu 18-tu lat skapitalizować umiała. Pomimo braku kredytu, parcelacja posuwa się szybko naprzód; w jednej tylko gubernii kaliskiej, włościanie od 1864—1882 r. wykupili gruntów dworskich 50,000 morg. na sumę 3 mil. rs. Łatwo zrozumieć, o ile szybsze byłyby rezultaty, gdyby tendencje parcelacyjne znajdowały skuteczną pomoc w kredycie.

To też wobec niezaprzeczonej doniosłości parcelacji, musimy zwrócić się do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które jedno tylko w obecnych warunkach kredytu ziemskiego pomoc taką zapewnić jest w stanie. Nasuwa się tu pozorna trudność, ponieważ minimum obszaru, na jaki Towarzystwo udziela pożyczki, wynosi 90 morg., a takiego właśnie obszaru rzadko kiedy dosięgają gospodarstwa włościańskie. Trudność tę możnaby jednak pokonać. Wskazówkę w tej mierze daje nam poruszona w Petersburgu sprawa kredytu dla drobnej własności w instytucjach wzajemnego kredytu. Kwestyę tę postawiono w ten sposób, iż pożyczki mogą brać całe gminy, nie należące do Towarzystwa, a więc i nieodpowiadające za jego straty. Sądzymy, że przeszczepienie tej zasady na nasz grunt, zależy tylko od inicjatywy właściwych sfer, t. j. przedewszystkiem Tow. Kred. Ziemsk.

Nie mogąc udzielać pożyczek na osady pojedyncze, Towarzystwo Kred. Ziemskie mogłoby udzielać je na grunta gminne, będące własnością gmin całych, lub na grunta, należące do grupy gospodarzy.

Nie przedstawiałoby to wielkiej trudności, ile że podobna forma własności istnieje u nas od czasu uwłaszczenia.

W chwili ostatecznego zatwierdzania tabel likwidacyjnych, 424,727 osad posiadało $5\frac{1}{2}$ milionów morg. ziemi. W tej liczbie znajdowało się wówczas 434,367 morg. gruntów gminnych, które tym sposobem stanowiły prawie 8% całej przestrzeni własności włościańskiej. Dziś nie wiemy, o ile zmieniły się te stosunki. Że jednak obecnie liczba osad powiększyła się do 685,605, a przestrzeń ich przeszła do $8\frac{1}{2}$ mil. morg., możemy więc przypuszczać, że i cyfra gruntów gminnych również się powiększyła. Zresztą choćby nawet powiększenie to nie wpłynęło na zmianę powyższego stosunku procentowego, zawsze będziemy mieli 8% gruntów gminnych. Z czasem jednak procent ten znacznie się powiększy, mianowicie od chwili, gdy uzyska zatwierdzenie roztrząsany dziś w sferach rządowych projekt o dozwoleniu zarządom gminnym ziemie sprzedawane za długi i niedobory skarbowe przez licytacje, w razie gdyby suma zaofiarowana przez licytujących nie dosięgała sumy należności, pozostawiać jako własność gmin.

Przestrzeń w mowie będącą właśnie kwalifikujemy do pożyczek w Tow. Kred. Ziemsk. Grunta gminne ulegają kontroli całej gminy i są przez nią administrowane, co daje dobrą rękojmię produkcyjnego użycia pożyczek.

Wreszcie, nie tylko grunta gminne mogą ułatwić Tow. Kred. Ziemsk. udzielanie pożyczek włościanom. Obecna trudność kredytu włościańskiego

z powodu wysokiego dla osad minimum gruntów, mogłaby też być pokonana przez otwieranie kredytu grupie gospodarzy. W jaki zaś sposób ukształtują się stosunki włościan, zaciągających w ten sposób pożyczki, jest to już sprawa drugorzędna. Rozwiązanie jej przeprowadzą bezwątpienia najskuteczniej sami włościanie.

Myśl tę rzucamy pod adresem władz Tow. Kred. Ziemsk. w nadziei, że takowa zostanie należycie przez nie roztrząśniona.

Wyzyskanie bowiem środków, mogących przyspieszyć rozstrzygnięcie podniesionej przez nas kwestyi włościańskiej i serwitutowej, dotąd podjęte nie zostało, pomimo oczywistych korzyści nie tylko dla jednej strony — włościan, lecz i dla drugiej — folwarków. Wyszukiwanie projektów obowiązkowej zamiany służebności, wobec nieprzyjaznej tendencji w sferach kierujących, nie doprowadzi nigdy do celu, lecz przeciwnie, narazi sprawę na zwłokę. Projekty takie należy porzucić raz stanowczo, ile że i na drodze umów dobrowolnych można dojść do praktycznych rezultatów. Z losem tym większa własność zgodzić się powinna.

Warszawa, 10 września 1882 r.

Franciszek Olszewski.

PRÓBA CHARAKTERYSTYKI SZLACHTY POLSKIEJ.

Niezlomne prawa rządzą światem, a więc i losami ludzkiemi. Pewnik ten dzisiaj za ustalony, zdaje się, uważać już wolno. Widoczniejszym jest on, o ile dotyczy przyrody; mniej oczywistym w stosunku do ludzkości, a szczególnie do jej dziejów. Dla czego? Dla tego jedynie, że nauki przyrodnicze dalej i pewniej postąpiły od socyologicznych. Gdy przyrodnik twierdzi śmiało, iż od pewnych wykrytych już praw niema w naturze wyjątków i prawa te umie dokładnie i stanowczo wyrazić, historyzof i socyolog przez analogię przeczuwa dopiero nienublagane władztwo ich nad ludzkością, lecz nie może usystematyzować ich ostatecznie i wszechstronnie. Powodem tego nieustalenia jest naprzód niezmierne skomplikowanie i niesłychana zawilość przeczuwanych praw tych, a powtóre brak obrobienia niezbędnych ku temu zasobów.

Gdyby prawa te niewątpliwie i jasno były już wyrozumiane, zadanie moje niezmiernieby się ułatwiło. Należałoby tylko wskazać warunki geograficzne i plemienne narodu, dodać do nich szkielet rozwoju wewnętrznego i zewnętrznego, a fizyognomija moralna czy całego ogółu, czy jednej warstwy wystąpiłaby tak jasno, jak w oczach botanika ukazuje się natura danej rośliny, gdy zdołał określić należenie jej do pewnej uprzednio już dobrze znanej rodziny. Lecz przy nieobecności ustalenia praw historyzofii wogóle, a nadto przy braku opracowania praw tych w stosunku do dziejów naszego narodu w szczególności, zadanie utrudnia się, nie mówiąc już

o konieczności wykonania jego w nader szczupłych rozmiarach i o skromności zasobów piszącego. Dlatego też próbą rozprawkę moją nazwałem i proszę pobłażliwego czytelnika, aby za takową ją uważał.

Bez genezy, wyjaśnienie czegokolwiek w przyrodzie jest niepodobniestwem. Bez przyjrzenia się rozwojowi i jego warunkom, nie zdołamy zrozumieć obecnego stanu duszy szlachcica polskiego. Przedewszystkiem więc należy rzucić okiem na warunki etnograficzne, geograficzne i historyczne, wśród których ta warstwa narodu naszego wzrosła i wybujała. W pierwszej przeto części przypatrzymy się przeszłości szlachty, bo tylko tą drogą wyjaśnić zdołamy jej obecną fizyognomję duchową, której drugą, obszerniejszą część poświęcić zamierzamy. Łańcuch konieczności dziejowej musiał i tu, jak wszędzie, wycisnąć swe ślady; teraźniejszość tłumaczy się tylko przeszłością i jest sumą warunków krwi, miejsca, oraz okoliczności, wypadków, wpływów historycznych; każdy rys oblicza dzisiejszego jest wynikiem wpływów wczorajszych. A jeżeli ma być mowa o wnioskach praktycznych, to nie zapominajmy, że poznanie genezy czynników społecznych prowadzi nietylko, według przysłowia, do przebaczenia złego, ale i do zaradzenia złemu. Można bowiem powiedzieć, że *tout comprendre, c'est tout pardonner et tout reparer*.

I.

WPŁYWY PRZESZŁOŚCI.

a) Etnograficzne.

Polacy należą do szczepu słowiańskiego, a ten do wielkiego plemienia aryjskiego. Jakie zarodki życia umysłowego wynieśli Słowianie ze swej kolebki aryjskiej? Jaki posąg moralny dano Polakom z rodzinnego domu słowiańskiego? Na pierwsze pytanie odpowiadano mało i domysłowo; na drugie więcej, ale, zdaniem mojem, z bardzo małą pewnością. Usiłowano nieraz określić ogólny charakter pierwotnych Słowian i Polaków, ale przekonywającego, pewnego nic nikt nie powiedział. Prawiono o specjalnej bierności jużto Słowian, już Polaków, o szczególnej u nich przewadze serca nad rozumem; komentowano owo sławne przezwisko *sclavus saltans*, owo pojawienie się wędrownych lutnistów Słowian w obozie greckim; rozprawiano o czaszkach słowiańskich i wyciągano z nich wnioski o umy-

słowości Słowian. Zdaje się jednak, że i ta bierność, i ta przewaga uczuć, i skłonność do tańca i muzyki, i te wnioski z czaszek nie tyle samych Słowian, ile wogóle ludy pierwotniejsze charakteryzują.

Nie rozwodzę się tedy nad ciemnem dotąd zagadnieniem, jaki był charakter Słowian wogóle, a Polaków w szczególności, gdy na arenę dziejów wystąpili. Tak mało o tem wiemy, iż najbezpieczniej jest tymczasem przyjąć wpływ etnograficzny za jakies x przypuszczalne i zwrócić raczej uwagę na lepiej znane inne warunki ukształtowania charakteru szlachty naszej. Zobaczymy niżej, że cechujące ją przymioty i wady, jak gościnność, odwaga, lekkomyślność, próżność, próżniactwo i t. d. znamionują wszelki lud pierwotny, jakakolwiek krew w żyłach jego płynie. Specyficznie zaś słowiańskich, czy polskich przymiotów lub przywar, zdolności lub nieudolności doprawdy dotychczas nikt dowodnie nie okazał.

Zwrócić chyba należy uwagę na drobne wpływy, wynikające z obcego pochodzenia niektórych rodzin szlacheckich od Niemców, Ormian i t. d., oraz ze zmieszania krwi z innymi plemionami, a także na ludowe lub żydowskie pochodzenie wielu rodów; lecz i w tych razach wpływ żywiołów obcych tak zdaje się maluczkim, że w tej zwięzłej rozprawce mojej nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad nim: ogólny typ szlachcica tak jest u nas jednolity, tak jednorodny, że chyba mikroskop etnograficzny jakiegś odcieni w nim dopatrzy.

b) Wpływy geograficzne.

Polska leży w północno-wschodniej Europie, o paręset mil od Rzymu i Paryża; graniczyła z nawpół-dzikimi niegdyś plemionami; z cywilizacją rzymską nigdy nie stykała się bezpośrednio, więc z drugich i z trzecich rąk ją otrzymywała. Rozległe puszcze i pola zachęcały do myśliwstwa i rolnictwa. Brak gór zmuszał ludność do walczenia w polu i utrudniał obronę słabszych warstw od silniejszych. Brak bogactw przyrodzonych (kopali, rzadszych roślin i zwierząt) usposabiał prawie wyłącznie do uprawy ziemi, którą silniejsi z biegiem czasu w ręce swe zagarnęli.

Takie są mniej więcej dane geograficzne, na których tle rozgrywały się dzieje nasze i rozrastała się uprzywilejowana klasa narodu.

Wyniknęły z tych danych następne warunki: opóźnienie cywilizacji i kultury, owa „młodszość“ Polski, albo, jak ja ją nazywam, długo przechowana jej pierwotność; rozwój ducha wojowniczego w narodzie i ułatwienie

przez to utworzenia się i umocowania warstwy uprzywilejowanej, oraz ciągle odrywanie obywateli od pracy organicznej; odbieranie cywilizacji przez różne pośrednictwa; ogólny charakter narodu sielsko-myśliwski; rozrzucenie jego po obszernych łąkach, brak miast i łatwych komunikacji; napół wojskowa organizacja, nie tylko szlachty, ale prawie całego narodu; łatwe i ustawiczne porywanie się do broni, jako do *ultima ratio*, nie tylko względem wroga, ale i względem każdego współobywatela; zupełne poddanie się warstw uboższych i słabszych bogatszym i silniejszym; bezbronność miast i miasteczek (nie tyle z przyczyn geograficznych, ile z dziejowych, o czem niżej); przeważne oddanie się rolnictwu i skupienie gruntów w rękach szlachty i panów.

Jakie wpływy wywarły powyższe warunki na szlachtę, postaram się wskazać dalej; lecz już pobieżny rzut oka wskazuje na konieczne zarodki silnej zachowawczości, wspierającej się na podstawie bardzo stosunkowo późnej i pośredniej cywilizacji.

c) Wpływy dziejowe.

Jakiegokolwiek mieliśmy zaczątki cywilizacji własnej, w X wieku były one tak słabe, że dały się bezpowrotnie i do szczytu przygniść starej, wytrawnej, imponującej cywilizacji rzymskiej.

Chociaż nam ją podawały napół barbarzyńskie ręce niemieckie, po części czeskie, chociaż otrzymaliśmy właściwie kopię kopii, prawie karykaturę urzędów, pojęć i wierzeń klasyczno-rzymskich, imponowały one jednak przodkom naszym, bo nieskończenie wyższymi były, duchowo i materalnie, od pierwocin rodzimej naszej cywilizacji. A przedewszystkiem urok kościoła dodawał wiejącym z zachodu i południa techniciom nieprzeartej, wszystko pochłaniającej siły.

Kościół katolicki w X wieku już był instytucją starą, wytrawną; już miał po za sobą tysiąc lat walk, doświadczeń, tryumfów i poniżeń; już był wsiąknął mnóstwo żywiołów kosmopolitycznych i nauczył się przemawiać do wszelkich poziomów cywilizacji, do wszystkich temperamentów; umiał się stosować do warunków wszelkich stref i epok; już posiadał cudowną rutynę, porywającą i unoszącą wszystkie świeże ludy. Obietnicami szczęścia wiekuistego, świetnymi hasłami równości, moralności, sprawiedliwości, współczucia dla biednych i poniżonych, a obok tego starorzymską okazałością obrzędów, szat, czarem wszystkich sztuk pięknych, usługują-

cych uroczystościom, dyscypliną sług swoich, urokiem majestatu dalekiego a nigdy nieogładanego arcykapłana, praktycznem urządzeniem władzy nad sumieniami i mieniem wiernych, — całą tą potęgą władzy świeckiej, duchownej i tradycyi starorzymskich przemówił do wyobraźni praojców naszych i przykuł serca ich na długie, bardzo długie wieki. Spostrzegli się oni z czasem, że słudzy tego kościoła często postępowali wbrew jego pięknym przepisom; ale to składano na karb ułomności ludzkiej a idealna gmina katolicka trwała w umysłach bez skazy, bo wierzone, że kościół to instytucja boska, ale nie ludzka. W XVI wieku zaleciały i do nas odgłosy buntu przeciwko niej i znalazły chętny u wielu posłuch. Ale za mało było światła wogóle, za mało ufności w zdrowy, ludzki rozsądek reformatorów; zabrakło wodza-proroka nowej idei; nie było stanu średniego, ruchawszego zwykle od wieśniaków: tymczasem w Europie zapanowała groźna reakcja przeciw nowinkom i odbiła się u nas stokroć głośniejszym echem, niż same nowinki; najzdolniejsi ludzie wstąpili do szeregów reagujących kongregacyj i zwyciężyła wieś, zwyciężył twardy konserwatyzm, a zwyciężył znowu na długo, bo wszelki powrót do starej wiary, po chwilowem oczarowaniu i rozczarowaniu, odbywa się zwykle z niesłychaną energią i wróży długie trwanie.

Nie trzeba zapominać jednak, iż ów X-go wieku katolicyzm otrzymaliśmy, jak i całą cywilizację zachodnią, z drugiej i trzeciej ręki, i że wszczepił się u nas na gruncie pierwotnym. To poniekąd objaśnia trwałość i moc tak pierwszego sojuszu, jak i drugiego pojednania, zawartego po chwilowem zawahaniu się; tłumaczy to również pewną specyficzną postać naszego katolicyzmu, który, choć na całym świecie bardziej na powierzchownych obrzędach, niż na uszlachetnieniu duszy oparty, u nas jeszcze wybitniej temi znamionami się odznacza, co szczególnie na kobietach naszych widzieć się daje.

Jednocześnie z religią przybyły do Polski rzymskie pojęcia o bezwarunkowej własności ziemi; o wyższości ziemianstwa nad wszystkimi innemi zatrudnieniami; o równości obywateli i ich nieograniczonych prawach nad niewolnikami; o świętości i nietykalności małżeństwa i rodziny, co i kościół sakramentem stwierdzał; o zacności odwagi wojennej; o tem, że *virtus*, męstwo, to cnota *per excellentiam*; o niższości handlarzy od wolnych obywateli, bo przecie w Rzymie tylko byli niewolnicy i barbarzyńcy kupcyli; o despotycznej władzy ojca rodziny nad żoną, dziećmi i domownikami. Nowe te pojęcia krzewiły się u nas z tem większą łatwością, że, jak

to już wspomnieliśmy, kraj sam przez się usposabiał do rolnictwa, drapieżni sąsiedzi zmuszali do ciągłej wojaczki, a oprócz przybyszów Niemców i Żydów nie było warstwy, któraby pomiędzy panem a niewolnikiem stanąć mogła.

Brak stanu średniego, jak wiadomo, wywarł stanowczy wpływ na upadek Polski; ale odcisnął też głębokie piętno i na charakterze szlachcica. Z początku nieliczna garść mieszczan Niemców ustąpić musiała przed szablami wojowników; później miejsce ich zajęli Żydzi; i ci nie mogli ani na chwilę pomyśleć o oporze; przybывая do nas, uciekali od krwawego prześladowania z zachodu; radzi byli, że Polska darowała im życie i pozwoliła zamieszkać; oddali za to w ofierze nie tylko godność swą obywatelską, ale i ludzką: stali się jak chłop pokornymi sługami wojowniczej szlachty i nigdy z tej roli nie wyszli. Zobaczmy później, jak ten brak hardzego a silnego mieszczaństwa oddziałał niepomyślnie na charakter szlachecki.

Zachodni sąsiedzi nasi, pośrednicząc nam w udzielaniu cywilizacji, nie zdołali zaszczerpić u nas czystego feudalizmu; ale nie obyło się bez silnych jego wpływów: pojęcie o bezwarunkowem prawie panowania silniejszego nad słabszym, rycerza nad chłopem, pewne romantyczne rozmarzenie wyobraźni, pewne rozkołysanie miłosne, dużo rycerskości w lepszym tego wyrazu znaczeniu, czystsze wyobrażenia o szlachetności, — wszystko to nie pozostało bez wpływu na praojców naszych. Rozbierając niżej składowe części duszy szlacheckiej, nie zapomnimy i o tych czynnikach.

Później, od XVI już wieku, wpływy włoskie i francuskie silnie na Polskę działały: ogląda form, grzeczne słowa, pozorna atencja dla dam, dużo rozpusty i lekkości zawdzięczamy tym romańskim wpływom; i o tem w dalszym ciągu pomówimy.

Tymczasem nie spuszczaamy z oka najważniejszej okoliczności: z lekomyślnością i dobrą wiarą wszystkich ludów pierwotnych braliśmy masami dary zachodu; nie rozwijaliśmy kielków własnej cywilizacji, bo jeśli i posiadaliśmy takowe, to apostołowie duchowni i cywilni zachodu staranie i energicznie je deptali; więc naśladowaliśmy ciągle, a kto naśladowuje, ten zwykle robi gorzej i przesadza; grunt umysłów naszych nie był przygotowany do przyjęcia w krótkim stosunkowo czasie wielowiekowego dorobku zachodniego; otóż przyjmowaliśmy bez różnicy i złe i dobre, nie mieliśmy czasu przetrwać nabytków, chwytaliśmy mnóstwo rzeczy powierzchownie tylko, przesadzaliśmy w gorliwości, jak wszyscy niedostatecznie przygotowani neofici; przebieraliśmy miarę w służalstwie Rzymo-

wi, szliśmy na skinienie jego w ogień, zapominając o własnych interesach; przedrzeźniając później Francuzów, paplaliśmy (i paplamy) ich językiem, zaniedbując własny; przyjmując za ewangelię zasadę rzymską o panach i niewolnikach, rodzonemu bratu naszemu, chłopu polskiemu, odmówiliśmy praw nie tylko do ziemi, ale i do człowieczeństwa, a przesadzając Cycerońskie *nihil agricultura honestius*, obrzydiliśmy sobie i zohydziliśmy handel i przemysł, poniżyliśmy mieszczanina z jego łokciem i miarką — a sobie... grób polityczny wykopaliliśmy, a co gorsza, skazaliśmy i skrzywili charakter.

II.

T E R A Ż N I E J S Z O Ś Ć.

Pod działaniem wyżej naszkicowanych wpływów rozwinęła się, prawem konieczności, moralna fizyognomia dzisiejszej szlachty naszej. Przypatrzmy się jej ile możliwości wszechstronnie, jaką się okazuje w życiu publicznem i domowem.

Życie publiczne wyraża się działalnością społeczną, polityczną, religijną i naukową; domowe — działalnością w rodzinie i najbliższem otoczeniu.

Przejdźmy kolejno wszystkie te strony działalności szlachcica i starajmy się odkryć jego usposobienia, pojęcia, zdolności, zalety i wady, które się składają na zabarwienie i kierunek tej działalności.

a) *Pojęcia i działanie społeczne.*

Rozrzucona na obszernej przestrzeni równin polskich, poddana wpływom, które nieuchronnie wywiera mieszkanie na wsi, w roli prawie samowładnych panów w domu i okolicy, nieposiadająca żadnej prawie własnej cywilizacji, poskramiająca pierwotność swej natury słabym hamulcem świecko-duchownej cywilizacji rzymskiej, podawanej przez ręce obcych pośredników; wiecznie stykająca się z poddańczymi warstwami narodu, oddanymi bez żadnych zastrzeżeń pod jej panowanie; niekrępowana, lub prawie niekrępowana władzą krajową; pojoną maksymami obywatelsko-rzymskimi, a później rycersko-feudalnymi i szlachecko-francuskimi — szlachta nasza znalazła się na fatalnej pochyłości, na której, aby się nie pośliznąć, trzeba mieć chyba nadludzką moc charakteru, a przynajmniej wielką powściągliwość, wyrabiającą się jedynie pracą długowiecznej cywilizacji.

Że zaś tego hamulca nie było, wyrobił się więc i skrytykował ku końcowi XVIII wieku pewien zasób pojęć o szlactwie i pewien typ odrębny, odmalowany świeżo przez p. Smoleńskiego, który używał doń farb, przez samą szlachtę na paletę mu nałożonych.

Jednakże w ciągu ostatnich lat stu pojęcia te znacznie się zmieniły i to, wogóle rzecz biorąc, na korzyść szlachty. Starły się rażące ostrości, przybyło dużo nowych żywiołów; ale dawne tło pozostało.

Pojęcie kasty, narodu w narodzie, pozostało prawie bez zmiany. Pod nowszym polem nie występuje ono tak otwarcie i naiwnie, jak niegdyś; ale dziś jeszcze szlachcic nasz wierzy w bezwzględną wyższość swą nad innemi klasami narodu i niechętnie łączy się z niemi związkiem towarzyskim lub rodzinnym. Wierząc w lepszość krwi i tradycyi szlacheckiej, gotów jest odmówić polskości takim nawet jednostkom, które, choć z innego plemienia i stanu pochodząc, miały się same za Polaków i jawne dowody uczuć obywatelskich złożyły. Wszak niedawno jeden z koryfeuszów szlacheckich, mówiąc o zmarłym L. Kronenbergu, użył wyrażenia: „choć nie był Polakiem”. Jakże dziwnie brzmiały te wyrazy w ustach człowieka, któremu jego wujaszek zarzucał pochodzenie ormiańskie, czy żydowskie.

Kto wierzy w moc przywileju, urodzenia i bogactwa, ten z konieczności nie wierzy w potęgę pracy i pracowitości. Sygurd Wiśniowski opowiada, że pewien dziki Australczyk otwarcie wyznał, że siebie tylko ma za wolnego człowieka, bo nie pracuje, a Anglika ma za bydłę, bo tylko bydłę pracuje. Jaskrawy to przykład pierwotnego pojęcia; nie stosuję go do szlachty naszej; chcę tylko nadmienić, ile tkwi pierwotności w nieposzanowaniu pracy. Zresztą wpływ dziejowy nie przyzwyczaił szlachty polskiej do niej: pracował za pana w polu chłop, w przemyśle i handlu Niemiec, Żyd, a czasem i mieszczanin polski. Pracowała zresztą i szlachta, ale dorywczo, wybuchowo; poświęcała mienie i życie, ale najczęściej doraźnie, a od pracy wytrwałej i nieprzerwanej odwykła, a raczej do niej nie nawykła. Ztąd też, obok pychy herbowej, drugi rys charakteru społecznego szlachty: skłonność do próżniactwa, brak wytrwałości w pracy i, co za tem idzie, lekceważenie pracy innych, albo lekceważenie innych, g d y pracują, lub nawet dla tego, że pracują.

Niewiara w pracę wytwarza pesymizm; nie ten filozoficzny, który jest pewną oderwaną formą myślenia, ale prosty, gruby pesymizm, który można streścić słowami: nic nie było, nic nie będzie. Kto nie umie pracować i cenić pracowitości, ten oczywiście nie wierzy w cuda pracy i wy-

trwania, ten nie wierzy, aby samopomocą mógł goić klęski prywatne i ogólne; całą ufność pokłada w odziedziczonych tylko zasobach: położeniu towarzyskiem, koligacjach i majątku. Ztąd też, gdy ten ostatni runie, szlachcic z rozpaczą najczęściej marnie ginie. Pessimizm znowu prowadzi do fatalizmu, który stanowi jeden z wybitnych rysów duszy szlacheckiej. Wierzy ona w różne swoje i swojej ojczyzny posłannictwa, w pomoc nadprzyrodzoną, jutro lub pojutrze oczekiwaną, a w braku wiary mesyanicznej, czepia się złudnej mary przyszłych konjunktur politycznych, które upragniony cel marzeń naszych ziścić zapowiadają. Przyczyniają się do tego fatalizmem zabarwione wyobrażenia religijne, oparte na wierze w cuda i łaskę boską. Wszak przez lat dwadzieścia (1830—1850) ostatniem słowem poezji naszej było: „czekam cudu“, a i dziś nadzieje te nie przebrzmiały...

Człowiek pierwotny dąży do panowania nad otoczeniem: chce wszystko poddać swej władzy, rozszerzyć ile można działanie swej jednostki. Ta żądza władzy przeradza się z czasem, pod wpływem starć społecznych, w ambicję, czyli nieposkromioną żądzę władzy. U szlachty naszej wysokie pojęcie o swem położeniu i urodzeniu podsyca ambicję i chęć odznaczenia się. Gdy głębsze zasady skłaniają ambicję do nasycenia się na drogach prawdziwie obywatelskich i gdy te drogi istnieją, wtedy staje się ona bodźcem do najszlachetniejszych i najpożyteczniejszych wysiłów. Ale przy braku wyższego ukształcenia i zacniejszego pola do zużytkowania ambicji, przeradza się ona w próżność. Chce się odznaczyć, ale niema czem i niema gdzie: więc się pragnie zaimponować choćby zaletami ciała, choćby urokiem fortuny i wykwićtości, choćby okruszynami pożyczanej mowy i oglady.

Na wybujały rozwój próżności pomiędzy szlachtą naszą wpływa jeszcze okoliczność, o której tu po raz pierwszy i ostatni wspominam: istnienie wśród niej klasy magnatów. Nie mówię o tej klasie oddzielnie i łączę ją w obrazie ogólnoszlacheckim, naprzód dla tego, że muszę być zwięzłym, a powtóre, że klasa ta na ogół nie wiele się różni od rzeszy szlacheckiej i stanowi poniekąd, w złem i dobrem, jej kwintesencję, i wogóle muszę pominąć dokładniejsze wycieniowanie różnic, które niezaprzeczenie istnieją wśród samej szlachty. Ograniczam się ogólnikową wzmianką, że poczynając od najuboższej, zaledwie nad lud prosty wznoszącej się, a kończąc na arystokracji, oświecenie idzie z początku wzrastając, a potem znowu słabnie, przechodząc w blichtry; pracowitość zaś wzmacnia się w odwrotnym kierunku.

Jednem z marzeń próżności szlacheckiej jest: dorównać panom. Źródło popędu tego leży w ogólnoludzkiej naturze i charakteryzuje wszystkie plemiona i czasy; ale nigdzie może w tak naiwnej i pierwotnej postaci nie występuje jak u nas. Ile zabawnych a smutnych komplikacyj pociąga za sobą to pięcie się do arystokracji, ile fortun szlacheckich rujnuje a serce wykrzywia, to głoszą ciągle powieści nasze, które bardzo często ten temat obierają.

Próżność, objawiająca się czasami w dziecinnej, prawie pierwotnej formie, należy do wydatniejszych rysów szlachcica naszego. Większe ukształcenie moralne i naukowe sprowadziłyby ją mogło na tor szlachetnej ambicji, a gdyby ta się znalazła, toby się odkryły i sposoby jej nasycenia. Lecz, że nie chodzi tu mnie o prostowanie, lecz tylko o malowanie charakteru szlachty, więc przechodzę do dalszych uwag.

Próżność nasza odbija się we wszystkich prawie stronach działalności i charakteru naszego, ogarniając jak zaraza wszystkie klasy narodu i mącąc pojęcia i postępowanie ogółu. W wychowaniu, w drażliwości na cudze zdanie o nas, w dobroczynności, gościnności i t. d., wszędzie sporą jej dozę odkryć i wskazać można. Każdy nierad jest ze swej pozycji, pragnie ją ukryć i wzdycha do wyższej. Wszyscy poniekąd jesteśmy jak owi pasażerowie wagonu trzeciej klasy, z których każdy czuje się w obowiązku uniewinnić się, że tylko przypadkiem i skutkiem niezwykłych okoliczności nie jedzie drugą klasą...

Brak zamięłowania i wdrożenia do wytrwałej a systematycznej pracy, odwieczne tradycje rycerskie i wojenne, wszczepione w niedbającą o jutro płochość pierwotnego człowieka, przyzwyczajenie do działalności porywczej i do jednorazowych poświęceń, łatwowieczne przejmowanie się mistycznymi nadziejami, a w znacznej części wpływ dawniejszej daty ideałów i narowów francuskich, wytworzyły naszą lekkomyślność narodową, która najwybitniej w duszy szlachcica naszego się ujawnia. Z dziwną łatwością rzucamy się na awantury polityczne, z niesłychanym brakiem pomiarkowania tracimy fortuny, zapominamy o zobowiązaniach, uczynionych w najlepszej zresztą wierze, zmieniamy postanowienia, zawody, przedmioty uwielbienia, zamięłowania, nawet dobre nałogi. W ostatnich latach jednakże, jak i w wielu innych względach, dostrzegać się daje znaczne spowężnienie, okupione kosztem strasznych ofiar i strat, publicznych i prywatnych. Lekkomyslność nasza doprowadziła jednak do tego, że podobno suma długów na dobrach szlacheckich, jeżeli nie przewyższa, to dorównywa

ich wartości; a ileż to ziemi przeszło już bezpowrotnie w ręce Niemców, szczególnie w Poznańskim!

Pozostawiając dalszym studyom uchwycenie drobniejszych odcieni tej strony charakteru szlachty, która się ujawnia w stosunkach społecznych, zamieszczam tu na zakończenie parę przygodnych uwag, które mi nasuwają najświeższe gazety.

Dużo piszemy i mówimy teraz o Żydach. Zarzucamy im brak patriotyzmu, dążność do tworzenia narodu w narodzie, używania odrębnego szwargotu, zabobonne trzymanie się przestarzałych przepisów przestarzałej religii i t. p. Otóż zapytuję nieuprzedzonych braci szlachty, czy nie byłoby rzeczą właściwą ku nam skierować tych samych zarzutów? Czy rzeczywiście rozumna ofiarność tak dalece szlachtę odznacza? Czy nie stanowi ona i czy nie usiłuje stanowić narodu w narodzie? Czy nie szwargocze z kiepska po francusku? Czy nie ulega pewnym przestarzałym zabobonom średniowiecznym, według których odbywanie pewnych praktyk wyżej się ceni od czystości serca i zapanowania nad sobą? Rzuć kamień, kto bez grzechu...

A oto jedna z wielu korespondencya z prowincyi, wydrukowana w nie-podejrzanem o antypatyę dla szlachty *Słowie* (1882 nr. 112).

„Zapytujesz mnie o ...ską szlachtę. Jest tutaj kilku ludzi dobrej woli i wyższego ukształcenia, — reszta, pożałuj Boże! Majątki często kolonizują i wyprzedają Niemcom, lepiej gdy włościanom. Młoda generacya tu i ówdzie żyje nad stan, zaciąga długi u Żydków i urwisuje się. Nazywają ich tutaj dziundziurami. Można ich łatwo rozpoznać: ubierają się w granatowe kolory. Szkoda, że nie w zielone z złotem, byłoby to więcej zgodne z wewnętrzną treścią tych pseudo-panków z pozoru, młodych bankrutów i zdechlaczków. Panny oceniły jak należy takich konkurentów, koszyki idą gęsto. Pytasz o sprawy gminne, o ludową oświatę, o pracę u podstaw. A któż to u nas o takich rzeczach myśli! U nas pożyczka się na trzy procenty na miesiąc i narzeka na ciężkie czasy, wspomina o lepszych i rozprawia o tym bestyi Bismarku! Statystyki żadnej dać Ci nie mogę, bo w tak zwanym Adres-kalendarzu, wydawanym przez miejscowy Rząd gubernialny, cyfr żadnych niema, a zebrać je obecnie nie łatwo... Zresztą o czem tu pisać? Ciemno wszędzie... i kwita! — Szanowni czytelnicy, dodaje sprawozdawca, otrzymać taki list od człowieka, z którym się spędziło młodość, otrzymać taki list od kolegi z ławy szkolnej i uniwersyteckiej

i być najwewnętrzniej przekonany, że ten człowiek nie kłamie i błędnie i stronniczo nie sądzi... to rzecz przykra“.

Nie wymieniam miejscowości, wpisze, jaką chcecie, z każdej korespondencya będzie prawdziwą.

Nie mogę też nie przytoczyć choć kilku trafnych wierszy ze świeżo wydanego obrazka z życia szlachty ukraińskiej p. t. *Wszyscy za jednego*, przez Włodzim. Wysockiego (str. 13). Ileż prawdy i gorzkiej ironii wypowiadają następne słowa:

O dobre chęci nasze, o najlepsze cele!
Któż was, jak my Polacy, posiada tak wiele?
O szczytne chęci polskie, czynami jałowe,
Dziatki nasze rodzone, chwasty narodowe!
Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośnięcie.
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!
Gdyby was, dobre chęci, nie było broń Boże,
Któżby kark nasz opasły ozdobił... w obrozę?...

b) Charakter polityczny.

Ponieważ działalność społeczna ściśle się wiąże z polityczną, więc i rysy pierwszej w znacznej części wspólnemi są z charakterystyką pojęć i czynów politycznych szlachty.

Brak wytrwałości, nawyknienia do pracy i lekkomyślność znamienują i polityczne jej usposobienie. Grałismy dotychczas w politykę, jak w loteryę; stawialismy nieraz wszystko na jedną kartę, licząc na pomoc nadprzyrodzoną, lub sławne „jakoś to będzie“. Gorzkie zawody nie wytrzeźwiły dotąd masy politykantów naszych: większość jeszcze astrologuje po niebie dyplomatycznym, zaniedbując najprostsze i najbliższe obowiązki.

Zresztą o naszej działalności politycznej nie wiele jest do powiedzenia, dla tej prostej przyczyny, że brak nam pola do popisu. Mówić więc można chyba o ideale politycznym, jaki każdy szlachcic w sercu nosi. Ideał ten zaprawdę bardzo trąci średniowieczny. Główną charakterystyką jego jest arystokratyzm i zachowawczość. Tam, gdzie możność pewnego działania politycznego odkryła się dla nas, staramy się ten ideał wcielać. Łączymy się tedy stale z żywiołami zachowawczemi i arystokratycznymi innych narodowości, stajemy w sprzeczności z prądami liberalnymi i demokratycznymi, a tym sposobem zarobiliśmy sobie w całej

Europie na opinie zakutych konserwatystów, ba, wsteczników. Prowodyrowie wmawiają w nas, że tą drogą najpewniej do celu pragnień trafimy. Jeżeli tym celem ma być chwilowe nasycenie średniowiecznych marzeń i popędów, to mają oni słusność, ale czy coś trwałego, zdrowego i dla całego ogółu narodu pożytecznego zdobędziemy, o tem dalej i głębiej patrzący ludzie wątpią.

Lecz znowu schodzę z obranej drogi: unosi mię uczucie, bardzo zresztą zrozumiałe. Wracam do rzeczy i formułuję znów zdanie moje o politycznych usposobieniach szlachty. Nienfność do szerokich zasad liberalnych i postępowych, uparta zachowawczość, chęć przewodzenia nad innemi klasami narodu, oto rysy politycznych aspiracji szlachty naszej. Zdaje się jej, że cała urodziła się na to, aby tworzyła izbę lordów zachowawców.

Zresztą przywykliśmy wiele słyszeć o jej patryotyzmie; sama ona najwięcej o nim rozpowiada i zarzuca innym stanom brak uczuć obywatelskich. Nie śmiem zaprzeczyć gorących uczuć; nie odmawiam zdolności do ofiar i poświęceń w danym razie; ale, jak wszędzie, tak i tu, uczucie, ów pierwotniejszy czynnik duszy, bierze u szlachty górę nad rozumem, a chwilowe porywy przeszkadzają wytrwałości, i w rezultacie bywa *minus*. Każdy z nas marzy o wyższym stanowisku; nie umiemy i nie chcemy zadowolnić się pracowitem a wytrwałem wypełnieniem obowiązków skromnego sędziego gminy, albo członka jakiej rady powiatowej. Umiemy czasami w chwilowem uniesieniu całe mienie wraz z życiem poświęcić; ale składać codziennie grosz wdowi na różne zakłady, projekta, pomniki i inne cele publiczne, to jakoś nam trudno idzie. Mnóstwo pięknych zamiarów, głoszonych przez czasopisma, upada dla braku środków; a najwięcej składek płynie nie z kół szlacheckich. Dzienniki rolnicze upadają, albo zaledwie tleją; najpożyteczniejsze książki rozchodzą się w małej liczbie i to wśród warstw nieherbowych. A czemże, w naszym położeniu, mamy dowodzić patryotyzmu, jeżeli nie łożeniem na to, co cieniem jest działania politycznego? Pozbywamy się ziemi z niesłychaną lekkomyślnością; czy to także dowód patryotyzmu? Paplamy, czytamy, nawet myślimy po francusku; czy i to przez patryotyzm? Osłabia i to moją wiarę w wielką miłość kraju u naszej szlachty, że tam, gdzie może, nie stara się zbliżyć do ludu, ażeby go bliżej poznać i nań wpłynąć: kto szczerze kraj kocha, tenby rad podwoić jego siły; a lud przecie, to siła, którą sprzymierzyć nie trudno, a pożytecznie. To samo da się powiedzieć o stosunku do Żydów.

Z drugiej znów strony często, zbyt często widzimy u naszej szlachty zaślepienie patryotyczne, pochodzące nie tyle ze spotęgowania uczucia, ile z niejasnego pojmowania rzeczywistych faktów i korzyści. Należy do dobrego tonu łajać i spotwarzać nieprzyjaciół, a przesadzać w wychwalaniu rzeczy własnych. Zdawałoby się, że sprawiedliwość względem siebie i obcych najbardziej byłaby pożądaną i zaszczytną. Owszem, nieuprzedzone a bliższe poznawanie nieprzyjaznych nam społeczeństw, wynajdywanie w nich życzliwych nam żywiołów i ich wyzyskiwanie przyniosłoby stokroć większy pożytek od szowinizmu. Miesza się też często spora doza obłudy do objawów naszego patryotyzmu: nieraz czujemy słusność zarzutów, ale próżność i nałóg zwalania wszystkich win na cudze barki nie pozwala nam głośno wyznać prawdy; a przytem zdaje się nam, że wyższa dyplomacya wymaga, byśmy ran i wad naszych przed obcymi nie obnażali; kłamiemy więc świadomie, choć z dobrą wiarą, ale kłamiąc, wchodzimy na takie bezdroża i zaprowadzamy taki zamęt w pojęciach, że potem sami nie wiemy, co prawda, a co pobożne kłamstwo.

Obcy zarzucają nam niesforność i niekarność, brak jedności i dyskrety. Są to grzechy dziedziczne, pierwotne; zdaje mi się jednak, iż twarda szkoła doświadczenia wywarła pewien wpływ dodatni na te przywary. Chociaż się nie podziela zasad i dążeń Stańczyków, przyznać im jednak trzeba znaczny postęp w karności, jednomyślności i dyskrety. Metoda się ulepszyła, obyż oczyściły się i ich ciasno-feudalne zasady.

Na zakończenie pozwalam sobie przytoczyć słowa E. Orzeszkowej ze świeżo ogłoszonej broszury jej *O Żydach* (str. 81). Dla braku miejsca cytuję najważniejszy tylko ustęp nas tu obchodzący i proszę, aby czytelnik resztę sam doczytał.

„Patrzmy na Czechów. Kilkadziesiąt lat zaledwie upłynęło, odkąd ocknęli się oni z dwuwiekowej apaty, uczuli w sobie znowu tętna życia narodowego i zapragnęli czynić zadość potrzebom narodu. W chwili ocknięcia się spotkali się oni twarzą w twarz z potężnie rozwiniętym na ziemi ich przemysłem niemieckim. Cóż? Wzięli się z nim za bary i dotąd jeszcze walczą; ale wielki przemysł w połowie, a drobny całkiem prawie znajduje się w ich ręku. Jeżeli zapragniecie statystyki, udowodniającej fakt ten, poproście o nią pierwszego lepszego wykształconego Czecha, który chętnie wam ją ukaże, bo i posiada ją, i słusnie jest z niej dumny. Jeżeli zaś zapytacie: dla czego Czesi w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdolali z jednej z dróg życia i bogactwa swego zsunąć znaczną ilość możnych

i wytrawnych Niemców? Odpowiem wam, że stało się to dzięki rozszerzonemu pomiędzy nimi duchowi demokratyzmu, niosącemu z sobą demokratyczną siłę, prostotę, pracowitość, rachubę i cierpliwość.“

c) *Strona charakteru religijna.*

W drugiej połowie XVII-go wieku pomiędzy reakcją katolicką a szlachtą zawarty został milczący, ale wymowny pakt: szlachta zaprzysięgła trzymać się do upadłego i bronić kościoła, a kościół za to przyrzekł patrzeć przez szpary na pewne wybryki szlacheckie. W pakcie tym interesa kościoła postawiono wyżej, niż dobro i los ojczyzny. Pod działaniem demoralizującego wychowania jezuickiego i wogóle klerykalnego, moralny charakter szlachty naszej obniżył się o dużo stopni, a jednocześnie i pojęcia jej religijne zmateryalizowały się i zgrubiały. Tą drogą doszliśmy do obecnego stanu kościoła u nas i do dzisiejszych o nim pojęć szlacheckich. Mówię tu głównie o mężczyznach, bo kobiety nieco inaczej stanęły, o czym parę słów niżej powiem.

Dzisiaj szlachcic nasz nie ma wysokiego wyobrażenia o duchowieństwie swoim, bo się przekonał, że umie ono wchodzić i ze swoimi i z obcymi w niezbyt zaszczytne kompromisy. Uszanowanie, które okazuje księżom, opiera się raczej na konwencyonalnem przekonaniu, że polityka wymaga, ażeby szlachta trzymała się z duchowieństwem. Na dnie serca jednakże szlachcic nasz jest sceptykiem i bardzo skłonnym, jeżeli nie do zerwania z kościołem, to przynajmniej do oczyszczenia i poskromienia jego ambitnych popędów. Dość wspomnieć, jak sympatycznie przyjęto u nas zapowiedź Wielopolskiego o zamiarze jego niedopuszczenia państwa w państwie.

Zresztą już wspomniałem, że jak katolicyzm wogóle, tak i w stopniu spotęgowanym nasz polski, odwołuje się przeważnie do praktycznego zachowania się wyznawców, niezbyt się troszcząc o moralne ich podnoszenie; więc i pobożniejsi wśród szlachty raczej powierzchownie i formalnie są takimi.

Nie tyle przeto skutkiem głębokich przekonań religijnych, ile raczej przez źle zrozumianą dyplomację patryotyczną szlachcic nasz głośno i dużo gada o jakimś opatrnościowym ślubie Polski z Rzymem, o Polsce możebnej tylko z katolicyzmem i przez katolicyzm; tyle zresztą posiada zdrowego rozsądku, że w gruncie w to nie bardzo wierzy, ale że tak prowodyrowie dyplomatyczni twierdzą, a usiłuje być karnym, gdyż mu ciągle zarzucano niesforność — więc: *jurat in verba magistri*.

Na ogół szlachcic nasz pod względem religijnym daleko bliżej stoi ideału człowieka nowożytnego, niżeli pod społecznym; tolerancya przeważa w nim stanowczo nad jednostronnością, a tępy konserwatyzm religijny przeradza się coraz to silniej w postępowe poglądy.

Znane są przyczyny innego kierunku na tej drodze kobiet szlacheckich. Oprócz wpływów, z natury rzeczy wynikających, wychowanie i mniejszy udział w działalności politycznej i społecznej usposobiły je bardziej klerykalnie; mnóstwo jest pomiędzy nimi bigotek i dewotek; ale też, prawem konieczności, w ostatnich czasach nie mało z pomiędzy nich wpadło w drugą ostateczność. Brak gruntowniejszego ukształcenia w obu razach wybitnie się okazuje: wsteczne i postępowe popędy, tocząc się na gruncie nie tyle rozumu, ile uczuć, wytwarzają pewien zamęt w ich sercach i pojęciach; emancypacya szuka sobie jeszcze drogi i trafić na nią nie może. Jednakże i w tym chaosie, pod łagodzącym wpływem oświaty i lepszych mężczyzn, zapowiadać się zdaje zwrot ku lepszemu.

d) *Inteligencya.*

„Straciwszy ojczyznę, największe dobro dusz szlachetnych i zajętych interesem powszechnym, jesteśmy pod twardym wyrokiem, potępiającym nas na stłumienie i uduszenie w sobie tych poruszeń, które w nas wlały wychowanie, nałóg i żądza szczęśliwości publicznej, które ożywiały i podnosiły wszystkie nasze władze umysłu, sposobności i talenta. Trzeba dziś Polakowi przeżyć samego siebie, stworzyć sobie inną duszę i zamknąć uczucia swoje w ciasnych granicach osobistego bytu. Jest to prawda okrutne przeznaczenie, ale jest prawem niczem nie mogącej się pokonać konieczności, której uledez potrzeba. Użyjmy pożytków oświecenia na zrobienie nam znośnym tak srogo nas dojmującego losu“.

Tak pisał Jan Śniadecki na początku 1803 roku. Upłynęło lat ośmdziesiąt od owego czasu, a jednakże brak gruntu naukowego, to najsłabsza i dziś jeszcze strona umysłowości szlacheckiej. Pojęcia społeczne, polityczne i religijne od razu podniosłyby się znakomicie, gdyby światło obfitemi promieniami ją rozjaśniło.

Wprawdzie po straszliwym upadku oświaty w ciągu XVII-go i XVIII-go wieku wiele zmian ku lepszemu zaszło; ale daleko jeszcze do tego, aby się zatarł zgubny wpływ reakcyjny tych stuleci na inteligencyę krajową.

Jakże dziwna zachodzi sprzeczność pomiędzy wygórowanymi roszczeniami szlachty do panowania i przewodzenia na drodze społecznej i politycznej, a tym szczupłym zasobem wiedzy, którym rozporządza!

Wychowanie domowe opiera się przeważnie na bałwochwalczej czci dla francuzczyzny; w piątym lub szóstym roku życia królewicza nasze przechodzą zwykle pod opiekę bony Francuski. Rodzice bardzo mało sami zajmują się dziećmi: sługi i bony, to prawie jedyni ich wychowawcy; matka poświęca im jedną, najwyżej dwie godziny na dobę: resztę jej czasu pochłaniają tak zwane obowiązki towarzyskie.

Są to rzeczy tak dobrze nam znane z życia i powieści, że nie warto ich tu opisywać, dość potrącić wspomnieniem. Młody nasz szlachcic rzadko kiedy kończy gimnazjum, bardzo rzadko odbywa uniwersytet. Nie mamy odpowiedniej statystyki, lecz zdaje mi się, że przeciętnie na dwudziestu szlachty nie znajdzie się jeden, któryby porządnie wyższy zakład naukowy przebył. W dalszym żywocie szlachta mało czyta, a jeżeli czyta, to takie książki, których wolałaby nie czytać. Czasopisma i książki naukowe polskie rozchodzą się przeważnie w kołach nieszlacheckich.

Jak dalece szlachta nasza mało ceni oświatę, ztąd widzieć można, że mimo nawoływania, dotychczas nie pomyślała o założeniu ani wyższej szkoły technicznej, ani wyższej szkoły dla kobiet.

Te ostatnie, owczym torem tradycyi, kształcą się przeważnie w sztukach pięknych, przyjemnych, a kształcą się szybko i powierzchownie, sposobem cieplarnianym. W obu płciach ogląda towarzyska i pozory wyżej są cenione i rozwinięte od gruntowności.

Zaufanie w przywilej urodzenia i majątku, brak nawyknienia do pracy, lekceważenie mowy ojczystej, wdrażanie małych dzieci do rozmowy w kilku naraz językach i wynikające ztąd przytępienie umysłu: wszystko to razem wytwarza stosunkowo bardzo niski poziom wykształcenia wśród naszej szlachty. A niższość ta sprowadza konieczne i liczne następstwa. Któż nie wie, że zabobony społeczne, zakuty konserwatyzm, niedołęztwo polityczne, fanatyzm religijny, skrzywienie całego charakteru moralnego, głównie i jedynie, wszędzie i zawsze z ciemnoty pochodzą.

Tu więc, w niedostatku naukowego ukształcenia szlachty, leży klucz do odgadnięcia całej skomplikowanej jej natury. Wszystkie rysy jej charakteru zabarwiają się tem pierwotnym znamieniem, które nazwiemy pierwotnością, czy średniowiecznością, czy „młodszością“, zawsze na jedno wyjdzie.

e) *Charakter prywatny i domowy.*

Wogóle rzecz biorąc, szlachcic nasz korzystniej się przedstawia w życiu prywatnym i domowym, niżeli w publicznym. Przyczyną tu jest zawsze ta sama młodszość cywilizacyi jego: łatwiejszy jest postęp w stosunkach mniej skomplikowanych, więc też prędzej dojrzewa.

Cechą charakterystyczną szlachty naszej jest przenoszenie pojęć życia prywatnego na arenę publiczną; ową serdeczność i tak zwaną „poczciwość“, ów ciasniejszy punkt widzenia, cnoty niższego rzędu i węższej doniosłości szlachcic nasz wnosi do działań swoich publicznych, gdzie nie zawsze są one na miejscu, a często szkodzą zamiast pomagać. Zbyt często unosi się on polityką uczuć i namiętności, świadcząc o przewadze w duszy swej serca nad rozumem, pierwotności nad cywilizacją.

Oto dosadne słowa, wyjęte ze świeżo ogłoszonego drugiego ciągu *Szkiców* Klina (str. 27), tak zgodne z moim poglądem:

„Czułości i czułościowości wszędzie wprawdzie możesz napotkać, lecz w takim komplecie jak u nas na pewno nigdzie nie znajdziesz. Uczucia zawsze są źródłem wszelkich przykrości i niepowodzeń; dla nas są one nieszczęściem. Gdybyśmy chcieli choć połowę ich wyrzucić z siebie, a drugą podlać nieco rozumem, jak na początek; gdybyśmy raz wreszcie przyszli do tego przekonania, że nie czule, ale rozumne tylko narody mają prawo bytu na tej ziemi i pojawiwszy na koniec tę prawdę dziejową, tak w życiu prywatnym, jak publicznym rozumowi tylko i tylko jemu powierzyli władzę nad sobą...”

Tłem stosunków prywatnych naszego szlachcica jest niewątpliwie uczciwość. Bardzo rzadko popełnia on czyn nieuczciwy z namysłem; najczęściej bywa nierzetelnym przez lekkomyślność, lub brak wytrwania w dopełnieniu zobowiązań.

Jest tu jednak odcień, który należy uwzględnić. Szlachcic nasz czuje się obowiązany do uczciwego obchodzenia się głównie z równymi sobie; względem innych warstw nie powiem, żeby z zasady był nierzetelnym, ale zwykle nie robi sobi tyle skrupułów w interesie z chłopem lub żydem, ile z bracią szlachtą.

Gościnność, ludzkość, uczynność niezawodnie też należą do zalet naszej szlachty, chociaż i tu bywa ona często skłonniejszą do świadczenia swoim. Chciwym rzadziej bywa szlachcic, niż rozrzutnym; przyjacieli

z niego wierny i poświęcający się; zapala się łatwo gniewem, ale urazy nie chowa i łatwo ją przebacza; szczery jest, czasami do zbytku i nie w miejscu; wogóle jako człowiek prywatny, bardzo piękne ma zalety, którym brakuje tylko wyrobienia i pomiarkowania rozumem.

Trudno uwierzyć, ale tak jest w istocie: życie rodowe u nas nie wygasło. Każdy prawie szlachcic umie na pamięć rodowód swój i koligacje i względem najdalszych powinowatych czuje się więcej obowiązany, niż względem pierwszego lepszego rodaka lub bliźniego. Dziś jeszcze podupadły szlachcic znajdzie pewny przytułek w domu najdalszego powinowatego i nie wstydzi się go przyjąć, uważając jałmużnę dalekiego krewniaka za rodzaj powinności.

Rodowość ta daje się we znaki Galicyanom, jeżeli wierzyć ich niedyskrecyom: nepotyzm kwitnie podobno w tak zwanej partyi krakowskiej, jak za dobrych starych czasów.

Francuzka ogląda nie przeszkadza naszemu szlachcicowi dać uczyć nieszlachcie jej mniemaną niższość; mówiliśmy już o wysokiem pojęciu, które żywi o swym klejnocie; nic dziwnego, że przy takowem trudno mu się przewyciężyć i uznać zasługę w nieherbowym człowieku. Żarciki ze śmiesznych nieraz naprawdę dorobkiewiczów uprzyjemniają zabawy szlacheckie; powtarzają się wprawdzie po cichu, ale się powtarzają.

Te same znamiona, któreśmy w charakterze społecznym i umysłowym szlachty zauważyli, odbijają się i w stosunkach prywatnych: ta sama próżność, lekkomyślność i brak naukowego wykształcenia główny ton ich wystąpieniom towarzyskim nadają.

W stosunkach domowych przeważa serdeczność. Dawny despotyzm ojca rodziny prawie przeminął i tylko wybuchowo, atawistycznie się czasem ujawnia; nieraz z pod francuskiego poloru zawarczy szorstki wybryk staropolski, ale to na krótko i bez konsekwencji.

Stosunek męża do żony, ojca do dzieci i pana do sług na ogół wcale bywa znośny. Czasami unosi szlachcica pierwotna żywość i krewkość względem rodziny i domowników, ale kończy się zwykle na chwilowem zapomnieniu się.

Dziwnie niesprawiedliwym bywa mąż szlachcic względem swej żony w następnym względzie. Sam spędza zwykle młodość dość rozpustnie i hulaszczo; nie ma wytrwałości do ukończenia szkół, wcześniej puszcza się w świat uciech i zabaw, i czy to na wsi, czy w mieście, nie poskramia swych lowelasowskich popędów. Złe te nałogi wnosi potem do pożycia

małżeńskiego; ale od żony wymaga bezwarunkowej wierności i gotów jest strasznych czynów się dopuścić w razie zawodu. Rys ten dowodzi zupełnie pierwotnego poglądu: co mężczyźnie wolno, to kobiecie wara.

Brak możności odznaczenia się w zawodach publicznych i społecznych, połączony z niskim stopniem ukształcenia, zmusza szlachtę naszą zużywać swe siły fizyczne i majątkowe w ciasnem kole uciech i zabaw towarzyskich. Nieprzyzwyczajenie do pracy umysłowej lub fachowej, brak wiary w jej godność i skuteczność sprawiają, iż szlachcic nasz tyle ma wolnego czasu, że nie wie, co z nim począć. Ztąd mowa u nas o „przepędzaniu“ i o „zabijaniu“ jego! A przepędzamy go i zabijamy, jak możemy, aby się sprawdziły słowa poety, że „czas płynie, gdyby woda“. Bawić się i bawić, to główna podstawa życia towarzyskiego szlachty. Ciągłe odwiedzanie się wzajemne, zjazdy imieninowe, urodzinowe, śluby, pogrzeby, podróże do daleko zamieszkałych krewnych, na jarmarki, wystawy, za granicę, polowania, jazdy do Warszawy, kosztowne karnawały w stolicy — wszystkim tem „zabija się“ czas, którego jest „jak wody“.

Życie szlachty wiejskiej robi wrażenie ciągłych godów, ciągłej uroczystości. Kobiety tańczą, stroją się, kokietują, mężczyźni grają w karty, popisują się psami i końmi, strzelają do celu, paplają o wielkiej polityce, wszyscy z próżniactwa ogadują się wzajemnie, jedzą tego, piją wcale nieźle, dowcipkują, a weseli są i swobodni, jakby nie nigdy nie stracili i jakby wszystko najlepiej i najpomysłniej działo się na świecie.

Tymczasem w domu dzieci są na łasce sług i obcych dozorców, gospodarstwo wlecze się leniwie, również na łasce sług, nie zawsze sumiennych i pracowitych. Wielkie potem zdziwienie, że dzieci się hoduują źle i głupie, a interesa podupadają. To też połowę rozmów szlacheckich wypełniają narzekania na sługi, guwernerów i guwernantki, zostawione bez dozoru i wskazówki.

Czyż mam dalej prowadzić ten obraz naszego żywota wiejskiego, tyle razy malowany w mnóstwie powieści zdolnych naszych autorów?

Ale nie tylko w naszych, lecz i w obcych utworach znajdziesz, czytelniku, żywy konterfekt braci szlachty naszej. Jeżeli pragniesz szczegółów portretu, czytaj *Nunę Roumestana* i dziw się, jak podobnym jest ten Gaskon do naszego typowego szlachcica. Czytaj *Oblomowa*, czytaj charakterystyki szlachty hiszpańskiej i plantatorów w południowych Stanach Zjednoczonych: znajdziesz tam, *mutatis mutandis*, te same znane postacie,

gdyż wszędzie na świecie jednostajne przyczyny sprowadzają jednostajne skutki.

Nie świetny zaprawdę obraz musiałem namalować. Staralem się jednak nie przesadzać i być bezstronnym; jeżeli się pomylił, to winy pewno szukać należy nie w złej chęci, lecz w nieudolności mojej.

Zresztą czyż wolno oczekiwać świetnego wizerunku tej warstwy narodu, która, zuchwale wzięwszy na swe barki całą władzę krajową, a z nią i całą odpowiedzialność za losy narodu, doprowadziła go do bankructwa?

A jednak, powtarzam, zrozumienie i poznanie prowadzi do przebaczenia i naprawy wszystkiego.

Jan Karłowicz.

PIERWSZA KARTA HISTORYI RELIGII.

Upadek metafizyki, której zadaniem między innemi było odkrycie przedmiotu wierzeń religijnych; zaniechanie przez psychologów poszukiwań w duszy ludzkiej specyficznych uczuć religijnych wprowadziło studia nad religią na zupełnie nowe drogi. Wykluczona z dziedziny filozofii zwróciła religia baczniejszą uwagę na siebie, jako wybitne zjawisko historyczne, wszystkich badaczy życia społecznego; jako potężny czynnik cywilizacyjny stała się przedmiotem gorliwych poszukiwań tych, którzy dla dokładniejszego poznania współczesnego stanu ludzkości badają wszechstronnie jej przeszłość.

Początki religii sięgają początków życia dziejowego i jak one kryją się w pomroce bardzo odległej przeszłości. Wszystko to więc, co tylko wyjaśnia przeszłość ową, rzuca w skutek tego światło i na religię, bądź to tłumacząc wierzenia różne, bądź też odsłaniając instytucje na tych wierzeniach oparte. Każda przeto nauka, której tylko przedmiotem jest przeszłość, zarówno etnografia jak i archeologia, zarówno lingwistyka jak i mitologia, zaczęły dostarczać materiału dla poznania religii. W miarę starodawności tego materiału wzrasta znaczenie jego. Im bardziej bowiem cofamy się w przeszłość, tem większy znajdujemy wpływ religii na życie społeczne i umysłowe. I dochodzimy nakoniec do takiej epoki, w której wyobrażenia religijne stanowiły, rzecz można, jedyny zasób wiedzy, poznawanie tych wyobrażeń jedyną funkcję umysłową, w której jedyną in-

stytucją społeczną była korporacja kapłańska, jedynem prawem—przepis obrzędowy.

Zastosowanie metody porównawczej do materiału, dla odtworzenia wyobrażeń religijnych czerpanego ze źródeł różnorodnych, wydało świetne rezultaty. Posługując się nią, badacze objęli w jedną całość wszystkie religie, odkryli prawa zasadnicze ich rozwoju, uporządkowali je w pewne systematy. Miejsce filozofii religii zajęła w piśmiennictwie narodów przodujących w oświacie umiejętność religii. E. Burnouf, znany archeolog francuski, wydał w 1872 r. *La Science des Religions*. Znako- mity lingwista Max Müller, twórca umiejętności języków, napisał wspólnie z Burnoufem *Introduction to the science of Religion*. Uczony etnograf angielski E. Tylor w dziele poświęconem pierwotnej kulturze ludzkości (*Primitive culture*, 2 r. 1872) rzuca podwaliny teorii animizmu; na niej wznosi gmach religij dziejowych.

Lecz żyjemy w epoce, w której nietylko sfera technicznych wynalaz- ków przynosi co dzień niemal zdobycze nowe. Owszem, rozbudzona działalność na polu technicznym ułatwia badania naukowe, przyspiesza rozpowszechnienie rezultatów tych badań. Dzieła Burnoufa i Müllera, chociaż dopiero przed laty dziesięciu wyszły, nie obejmują wszystkich, obe- cnie już znanych religij. Również i Tylorowi, gdy traktował on o pier- wotnej kulturze i podawał teorię religij pierwotnych, nie były jeszcze znane materiały, które podstawę główną teoryom owym dostarczyć mogły.

W przeciągu ostatnich czterech dziesięcioleci archeologowie odnaleźli w Mezopotamii rozmaite zabytki starożytnej kultury miejscowej, od dwóch przeszło tysięcy lat w ziemi leżące; paleografowie odczytali znaki pi- śmienne na owych zabytkach, chociaż do żadnego znanego im dawniej pi- sma nie były one podobne; lingwiści odtworzyli nowe dla siebie języki; hi- storycy odkryli nieznaną epokę w dziejach Azji przedniej, posuwającą te dzieje wstecz o wieków kilkadziesiąt.

Wśród narodów występujących w tej epoce istniał był jeden, o któ- rym jeszcze w dziejach nie do czasów obecnych nie wiadano, którego imienia nawet nie przechowały tradycje późniejsze. O istnieniu narodu tego zaświadczyły pomniki piśmiennictwa, w oryginalnym jego przecho- wane języku. Znaczną część tych pomników stanowią *Księgi Świete*. Księgi te objawiają nam religię dotychczas nieznaną. Nosi ona na sobie wszelkie cechy oryginalności zupełnej i przedstawia czysty, pełny, zam- knięty w sobie systemat religij pierwotnej, jaka powstać mogła w natural-

nym rozwoju społeczeństwa. Już te względy zapewnić jej mogły wyjąt- kowe miejsce w umiejętności religii. Znaczenie jej atoli jeszcze bardziej wzrosło, skoro poznano okoliczności, które wpłynęły na przecho- wanie ksiąg świętych tego narodu i obroniły je od wszelkich tych przeró- bek i uzupełnień, jakim podległy z biegiem czasu wszystkie bez wyjątku księgi tego rodzaju innych; gdy zbadanie faktów historycznych wykazało głęboką starożytność narodu samego, a specjalniejsze studia nad językiem i pomnikami wykryły pochodzenie jego; наконец, gdy odkryte pochodzenie kazało w narodzie tym uznać dawniejszą od wszystkich znanych w cza- sach historycznych ludność tej ziemi.¹⁾

Tak więc historia religii zyskała pierwszą kartę, autentyczną i oryginalną.

Nim atoli przeczytamy tę kartę, wypada nam poznać sam naród, rozpatrzyć owe księgi jego święte.

I.

Jak uprzywilejowany stan w narodzie, jak jeden naród w państwie, a w każdej danej epoce dziejowej jedno zwykle państwo stają na czele wszystkich i mają się za przedstawicieli całości; tak też w naszym dziejo- wym okresie dwa szczepy, aryjski i semicki, stanęły na czele innych i ucho- dzą we własnym przekonaniu za jedynych przedstawicieli ludzkości. Przeto doba dziejowa rozpoczyna się od chwili, gdy należące do tych dwóch szczepów plemiona, opuściwszy pierwotne siedliska, rozeszły się szukać innych obszerniejszych. Przeto świat historyczny zamknięty został w obrębie zajętych przez nie posiadłości. A pracy ich przypisano wszel- kie dorobki cywilizacyjne; jedynie ich uzdolnieniu—podniesienie i uszla- chetnienie rodzaju ludzkiego.

Lecz czem jest minuta w dobie, tem tylko bezwątpienia nasz okres dziejowy w okresie człowieka na ziemi.

Aryowie i Semici, nie stanowiąc pierwotnej ludności ziemi, nie są wyłącznymi twórcami cywilizacji obecnej: będą oni raczej szczęśliwymi spadkobiercami i uzdolnionymi kontynuatorami pracy cywilizacyjnej ludów

¹⁾ Do tej pracy służą mi głównie dzieła następujące:

Fr. Lenormant: *La Magie chez les Chaldéens et les origines Accadiennes*. 1874.

Tegoż: *La divination et la science des présages chez les Chaldéens*. 1875.

Tegoż: *La langue primitive de la Chaldée et les idiomes touraniens*. 1875.

Tegoż: *Etudes Accadiennes*, tome III. 1879 (zawiera tekst).

starożytniejszych od siebie. Nim bowiem ovladnęli w Azji temi krajami, w których następnie znane z dziejów pozakładali państwa, kraje te już były zamieszkałe przez rozmaite ludy, które tylko ustąpiły przewadze przybyszów. Okres więc dziejowy, objęty naszymi tablicami chronologicznymi, nie jest pierwszym w dziejach ludzkości. Poprzedzał go inny, w którym inna rasa odgrywała rolę w naszym przez kaukaską podjętą.

Rasą tą była turańska.

Że okres nasz był poprzedzony przez czasy znane pod ogólną nazwą scytyjskich, od nadawanego przez historyków greckich niektórym bliżej im znanym plemionom turańskim miana; że turańczycy zajmowali wszystkie kraje historyczne i stanowili dawniejszą w nich niż aryowie i semici ludność, przypuszczali już i historycy pierwszych wieków ery naszej. Lecz o tych scytach sami oni nie wiele co wiedzieli, a jeszcze mniej znajdowali w historykach poprzednich.

Przyczyny tego szukać należy w stosunkach, w jakich odrazu stanęli aryowie i semici do plemion turańskich, zamieszkujących kraje, do których wtargnęli. Stosunki te maluje dokładnie jeden wyraz: walka. Walka to była długa, gdyż przechodziła z pokolenia na pokolenie; zaciętą, gdyż obu walczącym stronom szło o podstawy do życia; nieustanną, gdyż prowadził ją sąsiad z sąsiadem o miedzę. Gdy zwycięstwo przechyliło się ostatecznie na stronę przybyszów, pamięć walki zatarła wszelkie inne we zwycięzcach wspomnienia. Dawniejsi mieszkańcy w wyobraźni nowych stawali tylko jako wrogowie, których imię samo było już groźbą, istnienie — wiszącą ciągle niebezpieczeństwem. I jeśli niewdzięczność jest własnością wszystkich spadkobierców, przechodzi ona w nienawiść do tych, którzy istnieć przestali, gdy do spadku po nich doszło się przez mordy i rabunek. W tradycjach i mytach ludów późniejszych obraz turańczyków dawnych przechował się jedynie tylko taki, jak go wspomnienia owych wielewiekowych walk i grozy z nimi związanej wytworzyły; jak go nienawiść szczepowa i uprzedzenie zabarwiły.

Odtworzona na podstawie zabytków odnalezionych w Mezopotamii, nieznana dotychczas epoka dziejów starożytnych, właśnie wskutek tego dla ogólnego dziejoznawstwa ma tak doniosłe znaczenie, że w jej obrębie spotykają się i z sobą się zlewają dwa okresy wspomniane, że w niej występują jednocześnie na scenie dziejowej dwie rasy różne, z których jedna miała za sobą przeszłość niezgłębioną, druga przyszłość zagadkową przed sobą. Przedstawicielami nowego porządku rzeczy stają się w niej dwa

ludy semickie, znane następnie w historii jako Babilończycy i Asyryjczycy. Przedstawicielami dawniejszej Azji Mniejszej ludności, przedstawicielami rasy skazanej w tym kraju na zaturę — nieznani dotychczas nawet z imienia Akkado-Sumirówie.¹⁾

Oni to mianowicie są owym odkrytym przed laty dziesięciu, a w dziejach starożytnych zapomnianym narodem. Oni jedyni turańczycy starożytni, których poznać możemy bliżej na podstawie autentycznych pomników piśmiennych.

Pomniki te, aczkolwiek ich autentyczność nie może podlegać żadnej wątpliwości, nie wszystkie doszły do nas bezpośrednio od Akkado-Sumirów. Znaczną ich część, i to najważniejszych, przechowali i nam przekazali późniejsi mieszkańcy Mezopotamii, Babilończycy i Asyryjczycy.

Nie będzie to jednakże zasługą wyjątkową zwyciężkich Semitów, jeżeli w kraju przez nich zajętym nie zostały całkowicie zniszczone zabytki piśmienne dawniejszych jego mieszkańców. Nie będzie to w rzeczy samej nawet hołdem złożonym pamięci tych mieszkańców, jeżeli Semici pomniki piśmiennictwa ich wydarli grożącemu im zatraceniu. Do tego czynu zmusiła ich konieczność. Przechowywanie staranne owych pomników leżało w ich interesie. Nie przeto wymowniej nie zaświadczy o wartości odkrytego narodu, jak ta okoliczność, że, ginąc, potrafił wycisnąć na zwycięzcach nigdy niezatarte znamię swej kultury oryginalnej. I nie innego nie wydobyło obecnie tego narodu z zapomnienia, nie innego nie wskrzesiło go w dziejach, jak to, że pomimo najfatalniejszych warunków, skazujących go na zagubę, pomimo przewrotów politycznych, przeistaczających rdzennie stosunki etnograficzne, zdążył ślady istnienia swego wyrzeć na kartach historii cywilizacji.

Przybywszy do Mezopotamii, Semici zastali Akkado-Sumirów, stojących na bardzo wysokim stosunkowo do siebie stopniu kultury technicznej i umysłowej.

¹⁾ W napisach pamiątkowych starożytnych monarchów chaldejskich, a następnie asyryjskich, czytamy, że panowali oni nad dwoma ludami Akkadami i Sumirami. Jedni uczeni, jak Lenormant, w Akkadach widzieli turańczyków, drudzy, jak Oppert, Menant, w Sumirach. Dopiero na 5-tym (1881 r.) kongresie orientalistów dr. Haupt udowodnił, że zarówno pod Akkadami jak i Sumirami należy rozumieć plemiona rasy turańskiej. Powstała ztąd konieczność nazywania turańczyków mezopotamskich obu wzmiankowanymi nazwami.

Akkado-Sumirowie posiadali pismo własne. Pismo to było zgłoskowem. Jak każde zgłoskowe powstało i ono, wskutek bardzo długiego procesu, z obrazowego. Przeto było ono ściśle związane z językiem wynalazców i zachowało znaczną ilość ideogramów. Semici przyjęli to pismo. Lecz ponieważ nie potrafili poradzić sobie tak, jak inna ich gałąź (kanańska) poradziła następnie z pismem egipskiem, przeto, przyjąwszy pismo Akkado-Sumirów, utrzymali wartość zgłoskową, nadaną postaciom przez wynalazców pisma, i tylko w pewnych wypadkach znaczenie brzmienia pojęciowe tłumaczyli na własny język. Wynikło z tego takie położenie rzeczy, że babilończycy i asyryjczycy chcąc osiąść należycie sztukę pisaną we własnym języku musieli poznać poprzednio pismo Akkado-Sumirów, czego bez znajomości ich języka dokazać nie mogli. Elementarze układane przez semitów dla nauki czytania stanowiły zarazem dla nich słowniki języka Akado-Sumirów i takie znaczenie przechowały i dla nas.

Akkado-Sumirowie pisma swego nie używali tylko wyłącznie na napisy pamiątkowe, mieszczące po pałacach i świątyniach. Doszli oni do piśmiennictwa rozległego i, co stanowi główną jego cechę, zupełnie oryginalnego. Piśmiennictwo to było wynikiem naturalnym długiego rozwoju kulturowego, produktem pracy umysłowej nieprzeliczonych pokoleń, obejmowało podstawy główne cywilizacji pierwotnej i zaspakajało jej wszystkie potrzeby. Zawarło przeto w sobie sumę spostrzeżeń dokonanych na polu praktycznych zajęć, jako to: w rolnictwie, ogrodnictwie, administracji, rzemiosłach; pierwsze próby kodyfikacji prawa obyczajowego, pierwsze próby odtwarzania życia w opowieściach, na koniec *Księgi Święte*.

Chociaż Semici stali znacznie niżej pod względem kultury od Akkado-Sumirów, jednakże różnica pomiędzy nimi nigdy nie dochodziła do rozmiarów tej, która dzieliła ludy celtyckie, lub germańskie na początku ery naszej od Greków i Rzymian. Przywłaszczenie sobie piśmiennictwa greckiego wymagało odpowiedniego ukształcenia estetycznego i filozoficznego; piśmiennictwa Akkado-Sumirów tylko odpowiedniego uobyczajania, pozbycia się mianowicie pierwotnej dzikości, wyrobienia w sobie upodobania do zajęć umysłowych. Poznanie literatury klasycznej, przypuściwszy możebność tego, wynosiło odrazu Celtów i Germanów na szczyt rozwoju umysłowego; poznanie literatury akkado-sumirskiej otwierało Semitom tylko drogę do pracy umysłowej, ułatwiało zajęcia techniczne.

Semici mezopotamscy przywłaszczyli sobie piśmiennictwo Akkado-Sumirów, a przywłaszczyli drogą nam znaną, za pomocą przekładów.

W skutek jednakże specjalnych trudności, wynikających z rodzaju pisma, nie mogli poprzestać na przekładach wyłącznie i zadowolnić się jedynie niemi. Przechowywali więc starannie oryginały, które tylko opatrywali przekładami, mieszczonemi tuż obok tekstu, jak idą one w naszych wydaniach, zwanych *pagina fracta*.

Wraz z pismem przyjęli Semici od Akkado-Sumirów również i materiał do pisania, oraz sposoby techniczne postępowania. Pisali bowiem jak i tamci na wyrobionych z gliny cegielkach, które, po wytłoczeniu na nich znaków piśmiennych, umiejętnie zasuszali. Zbiory takich cegiełek stanowiły ich biblioteki i archiwa. A ponieważ materiał był trwały, pismo na nim niby rzeźbione, księgozbiory takie przechowywać się mogły bardzo długo i nie podlegać tym uszkodzeniom, które grożą naszym.¹⁾

W taki sposób sami semici, jak to widzimy, uratowali od zatracenia pomniki starożytniejszego od swego piśmiennictwa, w którym mamy wszelkie prawo poszukiwać ostatnich śladów cywilizacji okresu dziejowego, nasz okres poprzedzającego. Pomniki te przechowywane w księgozbiorach babilońskich i asyryjskich, po zniknięciu w Mezopotamii Akkado-Sumirów, podtrzymywały znajomość ich języka, a przez to i pamięć istnienia wśród późniejszych mieszkańców własnej ich niegdyś ojczyzny. Wykopywane zaś obecnie ze zwałisk miast mezopotamskich wskrzeszają dla wiedzy historycznej naród, stanowiący resztki pierwotnej ludności Mezopotamii, w której możemy upatrywać pracą umysłową podniesionych, uobyczajaniem wyższym uszlachetnionych potomków człowieka kopalnego.²⁾

Większą część tych pomników, co zresztą znając charakter kultury starożytnej wogóle łatwo jest przewidzieć, stanowią utwory, których treścią są wierzenia religijne, których forma wykazuje, że były używane przy rozmaitych obrzędach religijnych. Te to właśnie pomniki stanowią *Księgi Święte Akkado-Sumirów*.

¹⁾ Zainteresowany temi odkryciami naukowemi czytelnik i w ojcystem swem piśmiennictwie znajdzie w tym przedmiocie prace, z których zacerpnąć będzie mógł informacji obszerniejszych i wskazówek bliższych. One są: *Król Assur-pani-pal i jego biblioteka* (Bibl. Warsz. za r. 1877). *Pomniki piśmiennictwa babilońsko-asyryjskiego* (Ateneum, za 1881 r., nr. styczniowy, za 1882, nr. lipcowy). Nakoniec *Dzieje literatury powszechnej*, wydawane przez Lewentala, zawierają *literaturę babilońsko-asyryjską*.

²⁾ Jak wiadomo, w budowie czaszek ludzkich, pochodzących z czwartorzędowej epoki geologicznej, antropologowie znajdują podobieństwo do czaszek współczesnych nam plemion turańskich, zamieszkujących północne części Azji i Europy.

Podzielić pomniki te możemy na dwie grupy. Grupa pierwsza obejmuje utwory mniejszych rozmiarów, zbliżone do siebie treścią czarodziejską. Będą to więc głównie zaklęcia, zamawiania rozmaite i hymny przy czarach używane. Utwory te przechowywane były nie pojedynczo, lecz, jak to wnosić należy z numeracyi cegiełek oraz powtarzanego na każdej tytułu jednego, zbierano je w większe, odrębne całości. Obecnie już dwa znane są takie zbiory. Pierwszy zawiera 28 zaklęć na rozmaite duchy, zastosowanych do wszelakich przygód życiowych. Drugi, rozmiarami znacznie przewyższający poprzedni, składa się z pięćdziesięciu przeszło cegiełek, wśród których nieuszkodzone zawierają od 300 do 400 wierszy pisma. Wskutek tak znacznych rozmiarów znajdujemy w nim większą już różnorodność co do utworów i podział na części.

Część pierwsza nosi osobny tytuł „Złe duchy“. Już sam tytuł ten wskazuje specjalny użytek pomieszczonych tam zaklęć. Część druga składa się z zamawiań chorób. Część trzecia mieści hymny do bóstw.

Ponieważ i one miały również jak zaklęcia i zamawiania odwracać zło, wpływać na bieg chorób, odpędzać duchy, czary i uroki, przeto nazywać je możemy czarodziejskimi. Jednakże i do nich zaczyna już wchodzić żywioł mityczny. Niektóre z tych hymnów wyliczają w formie litanii duchy dobre, bóstwa opiekuńcze, mające pospieszyć na pomoc, dopełnić czynów wymaganych. Kilka znowu opiewa wartość cudowną i wpływ nieprzewidywany talizmanów różnych.

Grupę drugą tworzą wyłącznie hymny, których zadaniem nie było już dokonywanie czarów, lecz sławienie bóstw rozmaitych, do których bywały zwracane. Przeto różnią się one od hymnów wchodzących do grupy pierwszej tem, że żywioł mityczny, zaledwie w tamtych uwzględniany, stanowi w nich tło główne, a przytem występują w nich przeróżne już uczucia, uwydatniają się pojęcia rozleglejsze. Ponieważ śpiewano je przy obrzędach publicznych, czego widoczny ślad pozostał w formie, więc mianować je w celu odróżnienia od tamtych możemy o b r z ę d o w e m i, lub, uwzględniając treść — m i t y c z n e m i.

Również i co do formy znajdujemy w nich ważną różnicę. Wszystkie wybitne cechy stylowe hymnów czarodziejskich, a mianowicie, krótkie ustępy, zdania urywane, ozdobne porównywaniami, dobór przeciwstawień i w nich zwraca na siebie uwagę czytelnika. Lecz co w tamtych było rzeczą rzadką, niby przypadkową, tu stało się regułą ogólną. Myśl wyrażoną w zdaniu jednym, drugie, tuż za nim idące, uzupełnia za pomocą bądź to innego

porównania, bądź też innego określenia — co stanowi różnicę pomiędzy językiem miarowym, mową używaną w poezyi, a prozą. Jestto parallelizm, spotykany następnie jako forma utworów poetyckich w piśmiennictwie kilku ludów późniejszych (Egipcyan, Hebreów, Semitów mezopotamskich).

Sam fakt przechowywania przez Babilończyków i Asyryjczyków ksiąg religijnych Akkado-Sumirów świadczy wymownie, że i Semici owi, pomimo odrębności wierzeń, wyniesionych z pierwotnej swej ojczyzny, również za święte księgi te uważali i jako święte do swego piśmiennictwa wprowadzili; że, pomimo odrębnego kultu narodowego, do którego niechybnie przed wtargnięciem do Mezopotamii byli już doszli, nakazywane przez te księgi święte obrzędy praktykowali. Jednakże pomimo tak żywego zainteresowania się niemi, uniknęły one losu wszystkich ksiąg tego rodzaju. Ponieważ były napisane w języku zupełnie różnym od języka semickiego, przeto uzupełniać je i przerabiać, jakby to zrobili ze swemi, semici nie mogli. Pozostały więc one wyjątkowo w pierwotnej swej formie i oryginalnej postaci. Nie podległy zaś żadnym zmianom, przechowały wierzenia wszystkie w zupełnej czystości, mity w pierwotnym kształcie i całości.

Księgi te przeto odkrywają nam obraz prawdziwy religii pierwotnej, a przytem mogą wykazać, jak się w rzeczywistości pojęcia religijne rozwijały, uczucia kształciły i komplikowały.

II.

Religia wyjątkowe, pochłaniające wszystkie inne sfery działalności ludzkiej stanowisko swoje w czasach starożytnych zawdzięcza temu, że wówczas była jedynym produktem umysłowości człowieka. Religie starożytne przedstawiają się nam jako jedyne na swe czasy systematy wiedzy, jako encyklopedye ogólne, zawierające w zarodku wszystkie nauki i oznajmujące zarazem z praktycznymi czynnościami. Każda z nich zaspakajała w zupełności powstającą w miarę rozwoju umysłowego w człowieku ciekawość; każda stanowczo a stosownie do stanu umysłów rozwiązywała wszystkie te kwestye, których rozwiązania podejmowały się następnie różne nauki.

Stanowczość w rozwiązywaniu kwestyi wszelakich wpływała z metody dogmatycznej. I chociaż posługując się nią religia bardziej uspakajała umysły, niż je zadawała, prędzej je wzbogacała wpajaniem pewnych

wiadomości, niż rozwijała roztrząsaniem podawanych faktów, zawsze atoli budziła myśl i, odrywając ją od wyłącznego zaprzątania się potrzebami chwili, unosiła w sfery abstrakcyi. Dla tego właśnie w każdej religii znajdujemy własną a właściwą jej kosmogonię, zastępującą w całości kosmologię, znajdujemy własną fizykę, astronomię. A nawet z postępem czasu religia objęła etykę i politykę, gdy człowiek zaczął zdawać sam sobie sprawę ze swych czynności, rozważać pobudki postępów, zastanawiać się nad skutkami każdego kroku swego; gdy zaczął badać losy społeczeństwa, pojmować jego ustrój i potrzeby.

I dalej. Religia będąc pierwszym przejawem w człowieku zastanawiania się nad sobą i otaczającym go światem, przedstawiała zarazem pierwsze pole dla wyobraźni jego. Ztąd pochodzi zespolenie się jej w czasach pierwotnych ze sztuką. Ztąd piętno religijności na pierwszych płodach fantazyi twórczej.

Nim człowiek uzdolnił umysł swój do pojmowania i formułowania abstrakcyjnych praw bytu; nim obserwacya dostarczyła mu owych tysięcy faktów, z których o istnieniu tych praw mógł wywnioskować; nim doszedł na koniec do zrozumienia swej roli i znaczenia w tej nieskończonej zarówno w czasie jak i w przestrzeni całości, którą my wszechświatem zwiemy, pomiędzy nim a sobą pomieścił nieznane potęgi, po nad niego i po nad siebie je wyniósł, jego i siebie poddał ich władzy; a to wszystko dla wytłomaczenia sobie zagadki bytu, dla wyjaśnienia celu własnego istnienia.

Lecz czy to myślą zagłębiał się człowiek w początek wszechrzeczy i rozważał jaki koniec ma spotkać wszystko to, co istnieje tylko, czy też w wyobraźni powstałymi istotami zaludniał wyobraźnią stwarzane światy, zawsze punktem środkowym badań stanowiących tło systematów religijnych pozostawał on sam dla siebie, jedynie sam. Pojęcia, do jakich człowiek w danej chwili dochodził o sobie i o stosunku swym do otaczających go przedmiotów i istot, służyły tym badaniom za punkt wyjścia. Poziom wiedzy ogólnej skierowywał je ku tej lub owej stronie. Stopień wykształcenia estetycznego wyobraźni tak lub inaczej je zabarwiał. Historia przeto religii będzie pod pewnym względem historią pojęć, do jakich człowiek dochodził w rozwoju swym dziejowym o sobie i o świecie i na jakich w pewnych okresach dłużej lub krócej się zatrzymywał.

Politeizm antropomorficzny, jaki prawie wyłącznie panował w kilkunastu wiekach poprzedzających erę naszą, powstać i rozwinąć się mógł wtedy dopiero, gdy człowiek odkrył był w sobie te własności, które prze-

niósł następnie na bogów, gdy z poznania stanu rozmaitego swego umysłu, swych uczuć i dążeń utkał tło dla mitologii.

Nie postać atoli i uczucia własne uderzać człowieka w sobie przede wszystkim mogły, skoro poczynął zastanawiać się nad sobą, lecz sam fakt istnienia, przejawiający się w ruchu, czynie. Przedtem nim obdarzył bogów postacią swą i uczuciami, musiał on dojść do przedstawienia sobie czegoś zewnątrz siebie istniejącego, różnego od tego wszystkiego, co zmysłami dosięga a niezależnego od siebie. Nim pozwolił bogom historycznym, uosabiającym ich tysiące, zamieszkać we własnych światach, w otoczeniu tysięcy, czuł się człowiek pierwotny okrażonym ze wszech stron istnościami niewidzialnymi na ziemi. Nim bogowie ze szczytu Olimpu, z gwiazd wzniesionych nad firmamentem, z przestrzeni nadpowietrznych lub głębi ziemi rządzić człowiekiem a następnie i światem zaczęli, rządzili już człowiekiem z sąsiedztwa najbliższego, z góry tuż obok leżącej, z dna rzeki przyległej, rządzili nim kryjąc się po kątach mieszkania, zaczajeni w sprzętach rozmaitych domowych.

Bogów o ludzkich lub zwierzęco-ludzkich postaciach poprzedzały w czasie tłumi duchów bezpostaciowych. Politeizm jako systemat religijny był wynikiem *p o l i d e m o n i z m u* ¹⁾.

Lecz czy pierwsze duchy, będące w porządku rzeczy rodzicami bogów, istnienie swoje w pojęciach człowieka pierwotnego zawdzięczają logicznemu rozumowaniu, opartemu na stosownych, chociaż błędnych spostrzeżeniach? Czy też są one wynikiem wyobraźni pobudzonej pewnem uczuciem? Poznanie stanu umysłu i warunków bytu ludzi pierwotnych tylko na drugie pytanie pozwala odpowiedzieć twierdząco. A nadto wykazuje ono, jakie to było uczucie, które pobudziło w tym wypadku wyobraźnię.

Najsilniejszym uczuciem ze wszystkich, którym podlegał człowiek w czasach pierwotnych istnienia swojego, było uczucie strachu. Trwożył go sąsiad współlubiegający się z nim o kęs mięsa; trwożył dziki zwierzę mogący go rozszarpać; drżał on przed każdym groźniejszym zjawiskiem przyrody; uciekał obawę, gdy spostrzegł zmianę w swoim usposobieniu, gdy poczuł ból lub niemoc w swoim ciele; wśród cichości przerażał go każdy

¹⁾ Przekładam nazwę *p o l i d e m o n i z m*, wprowadzoną przez Tiele'go (*Manuel de l'histoire des Religions*, 1880) do historii religii dla oznaczenia pierwotnej epoki, nad nazwę nadawaną tej epoce przez Tyllora. Przytem czytelnik znający teorię *a n i m i z m u* Tyllora znajdzie, że nawet i w genezie swej jest on różny od *p o l i d e m o n i z m u*.

dźwięk wybitniejszy, głos donioślejszy, a nawet głuchy szmer, skoro niewiedział, z kąd one pochodzą; wśród ciemności — każdy ogień, którego on sam nie rozniecił, każda światłość niespodziewana. Wzniewały przeto strach w człowieku zarówno istoty znane mu dokładnie, przedmioty różne, o których istnieniu przekonywały go zmysły, jak też zjawiska atmosferyczne i geologiczne, których istoty wytłumaczyć sobie nie umiał. Przerażały jednakowo złudzenia własnych zmysłów, jak i zmiany doświadczane we własnym organizmie. Uczucie strachu ciągle go gnębiące kazało mu wszędzie dopatrywać się sideł na siebie zastawionych, wszędzie widzieć nieprzyjaciół nań czyhających; kazało czuć się bezustannie otoczonym znanymi i nieznanymi niebezpieczeństwami, widzialnymi i niewidzialnymi wrogami. Otóż owym nieznanym niebezpieczeństwom przypisywał on przyczynę taką, jaką spostrzegał w znanych; niewidzialnym wrogom przyznawał to istnienie, jakie czuł sam w sobie. Zjawiska przyrody, skutek nieznanomości jej, poczytywał za objawy istnienia istot tak samo żyjących jak on sam. Złudzeniom zmysłowym, zmianom doświadczanym we własnym organizmie przyznawał byt realny. W taki sposób powstały duchy złe.

W życiu atoli obok przygód złych człowiek spotyka i dobre, obok zjawisk przyrody niszczących, zjawiska dobroczynne, obok przedmiotów szkodliwych, przedmioty pożyteczne. Te same warunki, które wytworzyły złych duchów, powinny były następnie wytworzyć i dobrych. Wówczas to wszystkie objawy życia stały się wynikiem walki pomiędzy duchami złymi i dobrymi. Los człowieka, owej ofiary i przedmiotu tej walki, zależał od równowagi sił walczących.

Lecz wprowadzenie na świat dobrych duchów nie nie zmieniło położenia rzeczy. Jeżeli sprawek duchów złych unikać należało, pomoc dobrych zapewniać sobie potrzeba było. A któż kiedy mógł być pewnym, że wszystko już zrobił, co tylko mógł zrobić, by tę pomoc sobie zapewnić, że nie opuścił, niczego nie zaniedbał? Tak więc wiara w istnienie duchów wogóle ciężkim legła brzemieniem na umyśle i usposobieniu ludzi wierzących. Każdy bowiem swój postęp, swoje mienie, zdrowie, powodzenie, życie, uczynił człowiek zupełnie zależnym od duchów kapryśnych a swawolnych. One otaczając go nieustannie, utrzymywały w wiecznej niepewności i trwodze. Panowanie duchów było uciążliwszem od najdokuczliwszej niewoli.

Religia Akkado-Sumirów, jak ją przedstawiają znane nam już z pochodzenia i treści księgi święte dwóch warstw historycznej ludności Mezopotamii, jest właśnie owym pierwotnym *polidemonizmem*. W utwo-

rach składających te księgi spotykamy, w jeden systemat zebrane, te wszystkie pojęcia, które należało przedtem dla odtworzenia obrazu pierwotnej religii zbierać rozpryskane po rozmaitych religiach późniejszych, lub odzukiwać w wyobrażeniach religijnych, współczesnych nam ludów dzikich.

Przeglądając atoli te utwory, nie należy zapominać o jednym. Chociaż one wszystkie są zebrane obecnie w jedną całość, owej całości nie stanowiły zawsze, pochodzą bowiem z rozmaitych czasów. Jeśli te rozpoczynają epokę polidemonizmu, tamte ją kończyć muszą. Przeto gdy w tych dojrzymy brząsk pierwotnych idei religijnych, tamte przedstawiają rozkwit tych idei, inne znowu ostatnie ich przekształcenie się na schyłku epoki, w chwili gdy ona przechodziła już w inną.

Pierwotny mieszkaniec Mezopotamii wszystkim duchom nadawał jedną, gatunkową nazwę *Zi*. Nazwa ta miała oznaczać to co żyje, istnieje, jak to wnioskować można ze znaczenia tego pierwiastku. Takie *Zi* przebywały w każdym miejscu i w każdym przedmiocie. Były więc *Zi* mieszkające na słońcu, na niebie, na ziemi, pojmowanej jako całość, w górach, lasach, wodzie, ogniu i t. d. Od miejsca zamieszkania zależała ich potęga i znaczenie. Duch słońca potężniejszym był od ducha drzewa lub kamienia. Duch ziemi z natury rzeczy miał władzę nad duchami znajdujących się na ziemi przedmiotów. Były więc duchy starsze i młodsze, ważniejsze i mniej ważne. Najpotężniejsze te, które z czasem w bogów się przekształciły, nosiły nazwę *an*, *dimer*. Po nich szły *mas*, *lamma*, *utuk*. Nakoniec, *alad* (niszczyciel), *maskim* (czyhający), *gigun*. *Zi* wyższego rodzaju, dobre, od *Zi* złych nie nazwą osobną, lecz stosownymi tylko przymiotnikami były odróżniane. Tylko ostatnie, jak o tem świadczy nazwa dwóch, były wyłącznie złe duchy. Jakkolwiek wszystkie *Zi* owe miały specjalne miejsca zamieszkania, mogły jednakże odbywać wędrówki, oddziaływać na siebie, walczyć z sobą.

Z natury rzeczy człowiek więcej doznaje w życiu przeciwności niż powodzenia; bardziej pamięta o chwilach przykrych niż pomyślnych; wtedy tylko czuje, że był zdrow, kiedy przyciska go choroba; niebezpieczeństwa, którym podlega, wstrząsają nim silniej niż nęcą przyjemności. Akkad i Sumir, przypisując wszystko zło spotykane w życiu sprawom złych duchów, ich tylko bać się byli zmuszeni. Bojaźń przed nimi pochłaniała wszystkie inne uczucia. Dla tego więcej było rodzajów złych duchów. Dla tego one prawie wyłącznie zaprzętały jego umysł. Sprawki ich bywały przedmiotem

gawęd i opowiadań. Parę urywków przechowanych z takiego opowiadania wtajemniczą nas w nie. Oto jeden z takich urywków:

„Z kraju do kraju przebiegają.
Niewolnicy odbierają możność zostania matką.
Kobietę wolną z domu, gdzie dzieci porodziła, wydają.
Dziecię z domu ojca wypędzają.
Gołębiom trafić do gniazda przeszkadzają.
Ptakom w locie skrzydła płaczą.
Jaskółki zewnątrz gniazda w przepaść topią.
Wołu zabijają, jagnię zabijają.
Z domu do domu wciskają się.
Żadne drzwi ich nie zatrzymają.
Żadna zasława nie odeprze.
Jak żmija w szpary się wzołgują.
Pod dachem niby wiatry dmą.
Małżonkę uścisku męża pozbawiają.
Dziecko z kolan ojca spędzają.“

Ten zaś istotę ich opiewa, głównych wylicza:

„Jest ich siedem, jest ich siedem.
W głębiach oceanu jest ich siedem.
Niebios burzycieli jest ich siedem.
W głębiach oceanu, w miejscach ukrytych wznoszą one...
Nie są to mężczyźni, nie są to kobiety...
Żon nie znają, dzieci nie mają.
Nie wiedzą, co jest porządek dobry, dobry czyn.
Ni prośb, ni modłów nie słuchają.
Są jakoby robactwo mnożące się po górach.“

Nieograniczone środki, niedająca się wyczerpać pomysłowość w rozbiciu złego wszystkim istotom nie zadawała złych duchów ostatecznie. Pospieszały one z pomocą, skoro tylko człowiek chciał jeden szkodzić drugiemu. Skutkiem tej pomocy człowiek rzucał uroki.

Wobec tylu i tak groźnych niebezpieczeństw gdzież należało człowiekowi szukać ratunku? Co mogło mu dostarczyć broni do walki z tylu jałwnymi i skrytymi wrogami. Oto sło w o. Człowiek sam jeden wśród tylu istot, będąc obdarzony mową, właśnie w mowie widział moc swoją, w niej potęgę swą mieścił. Wymawianie słów znanych, przy ścisłym wykonywaniu przepisane obrzędu, mogło pomódz złej ludzkiej doli, mogło oddalić zgubne skutki działalności złych duchów, lub przez nie działających ludzi,

chroniło od niebezpieczeństw i chorób, odwlekło śmierć, ratowało w niedoli. Słowa te były bądź to zaklęcia, bądź to zamawiania.

Oto jedno z takich zamawiań przeciw urokom.

„Jako daktyl ten jest rozerwany na części, tak niech będzie urokowi. Ogień płonący spali daktyl. Od gałęzi oderwany nie powróci już do niej. Na pokarm podany nie zostanie. Człowiek, który rzucił uroki, syn jego starszy, żona, czary rzucone... niech wszystko razem będzie rozerwane jak oto ten daktyl na części i niech ogień to wszystko pochłonie. Urok niech odejdzie. Niech ja ujrzę światło.“

Treść tego zamawiania każe przypuszczać stosowną akcję z daktylem i ogniem. Przy odmawianiu kilku innych zamiast daktyla były używane: cebula, węzeł rozwiązywany, wełna, kawał tkaniny.

Zaklęcia służyły przeciw duchom złym. W tym atoli razie człowiek działał nie bezpośrednio, lecz przez ducha dobrego. Wzywał pomocy dobrego. Skuteczną pomoc mógł tylko udzielić duch potężniejszy. Dwa z takich uroczystości; *Zi anna*, duch nieba, *Zi kia* duch ziemi. Poznanie kilku takich zaklęć da pojęcie o wszystkich.

„Zaklęcie. Ducha (*ana*) złego, ducha (*utuk*) złego, ducha (*utuk*) pustyni, ducha góry, ducha morza, ducha błót, ducha (*alad*) złego posiadającego siłę potężną, napelniającego strachem wielkim, ducha złego władającego ciałem, ducha wstrząsającego wszystkim, duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

„Ducha mieszkającego w człowieku, ducha władającego człowiekiem, ducha (*gikim*) zło czyniącego, ducha złego, duchu niebios, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

„Chorobę wewnętrzną, niemoc, rznięcie w żołądku, chorobę, która nie opuszcza, chorobę żył, chorobę, która nie ustępuje, chorobę złą, duchu niebios, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

W hymnach zwracanych do duchów (*ana*), przebywających w ciałach niebieskich lub żywiołach, autorowie rozpatrywali czynności tych duchów. Malowało to ich potęgę. Obrazowe zaś przedstawienie rzeczy dawało początek mitom.

Oto jest urywek z hymnu do ognia:

„Ogniu, władco potężny, który się wznosisz na ziemi,
Wojowniku, synu oceanu, który się wznosisz na ziemi!
Ogniu, płomieniami swymi błyszczącymi
niecisz światło w przybytku ciemności,

ustanawiasz losy wszystkiego, co nosi imię
Kto mięsza ołów i miedź? To ty!
Kto czyści srebro i złoto? To ty!
Kto towarzyszy niewieście o licu z rogami? To ty!
Kto napawa w noey przestachem pierś zbrodniarza? To ty!

Jak niewiele potrzeba było, by z wyrażenia „towarzyszy niewieście o licu z rogami (księżycowi)“, lub „napawa pierś zbrodniarza przestachem“, fantazyja ludowa, przyjąwszy je za realne fakty, wytworzyć mogła opowiadania o kochanku lub opiekunie księżyca, i o istocie jakiejś wszechwidzącej i wszechobecnej, która niedozwoliła zbrodniarzowi spełnić jego zamiary w danej okolicy.

Oto znowu urywek z hymnu do księżyca:

„Panie, władco duchów, który na niebie i na ziemi sam jesteś najwyższy, ojcze, oświecicielu, duchu obfitości, królu duchów, którego światło potężnieje, rogi nabierają siły, członki się kształtują, broda jaśnieje wspaniale, gdy obejdziesz swój krag... Litościwy, który wszystko rodzisz, po nad istotami żyjącymi twój przybytek jaśniejący wznosisz; ojcze litościwy, odnowicielu, którego ręka podtrzymuje życie na ziemi“...

I znowu mamy gotowy obraz do mitu, o istocie, która przebiega kręgi rosnąc, potężniejąc, która żywi wszystko na ziemi, a więc rządzi nią. Dalszy ciąg tego hymnu przybiera wspaniały polot myśli i znajdujemy w nim nawet ową obrazowość i siłę wyrażen, któremi hymny religijne hebrajskie wślawiły się z czasem.

„Na niebie kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!
Na ziemi kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!
Twa wola ogłoszona na niebie i duchy nieba padają na twarz przed nią!
Twa wola ogłoszona na ziemi i duchy ziemi padają na twarz przed nią!
Twój rozkaz zabrzmiał w górze jako wiatr w ciemnościach, i oto ziemia
rodzić zaczyna.
Twój rozkaz zaledwo doszedł do ziemi, i oto roślinność już się pokazała.
Twój rozkaz unosi się nad miejscami zamieszkałymi i wierzchołkami gór
i wszędzie istoty żywe rozmnaża.
Twój rozkaz rodzi prawdę i sprawiedliwość i prawdę pomiędzy ludźmi
utrzymuje.
Kto może poznać twą wolę?
Kto ci dorównać zdoła?“

W tym ustępie światłu przypisana już jest moc utrzymywania życia i utożsamiono je z prawdą i sprawiedliwością. Również ten zwrot potężde materialnej ducha księżyca nadaje własności etyczne.

Im bardziej wzrastała potęga duchów i szlachetniała ich istota, tem większy przedział powstawał pomiędzy nimi i człowiekiem. Nakoniec okazała się potrzeba pośrednika. Najodpowiedniejszym pośrednikiem mógł być syn. Oto jeden z hymnów czarodziejskich, w którym widzimy występującego już syna ducha ziemi.

„Zakłęcie. Złorzeczenie złego jak duch zły na człowieku ciąży. Głos przeklinającego ciągle wisi nad nim. Głos nie dobry na nim spoczywa. Złorzeczenia złego są przyczynami czaru, obłędu.

Oto człowiek. Złorzeczenia złego duszą go. Duch dobry jego oddalił się z ciała jego... Głos złorzeczącego jako zasłona pokrywa go i obarcza.

Silik-mulu-ki udzielił mu swej opieki, do ojca swego, do domu pana ziemi, wszedł i rzekł: ojcze mój, złorzeczenie złego jako duch zły na człowieku ciąży. Dwa razy przemówił następnie: co zrobił ten człowiek, nie wie, ani też wie czemu podlega.

Pan ziemi synowi swojemu Silik-mulu-ki odpowiedział: Synu mój, jak to ty nie wiesz? Czyż potrzeba bym Cię nauczył? Co ja wiem, to i ty wiesz.

Pójdź mój synu, Silik-mulu-ki, z miejsc wspaniałych wysłuchaj go, los zły jego oddal, od złego go losu uwolń“...

Silik-mulu-ki, występujący w tym hymnie w roli pośrednika, w innym sam staje się przedmiotem uwielbienia. Jest to rodzaj dialogu pomiędzy Silik-mulu-ki i jego czcicielem. Czciiciel wypowiada:

„Przed strachem, który rozsiewasz, któż ujdzie?
Twa władza jest jako oręż potężny, który się rozpościera nad niebem
i ziemią“.

Na to Silik-mulu-ki:

„Rozkazuję morzu, i morze się wygładza;
Rozkazuję burzy, i burza milknie.
Rozkazuję łożysku rzeki Sippary (Eufrates).
Wola Silik-mulu-ki podnosi wody jej“.

Zdumiony czciiciel wykrzykuje:

„Panie, tyś wielki, któż ci dorówna?“

Lecz nie tylko w kierunku mitologicznym spotykamy rozwój pojęć religijnych. Parę utworów dowodzi dość głębokiego wnikięcia w stan wewnętrzny duszy, maluje umiejętnie usposobienie człowieka zostającego

pod wpływem wspomnień zbrodniczych lub przygód nieszczęsnych, wykazuje znajomość istotnych warunków istnienia.

„Panie, gniew serca twego niech się uspokoi.
Duch (*dimer*), którego nie znam, niech się uspokoi.
Duch (*dimer*), który zna rzeczy nieznanne, niech się uspokoi.
Robiłem źle i tego nie wiedziałem.
Dopuszczałem się przestępstw i tego nie wiedziałem...
Pan w gniewie serca swojego poczerwieniał na mnie.
Duch (*dimer*) w zapaleczywości swej przywalił mię...
Upadłem i nikt ręki mi nie podał.
Od płaczu zaniemiałem i za rękę mię nie schwymano.
Prośbę moją powtarzałem głośno, nikt mię nie wysłuchał.
Jestem powalony, w omdleniu, nikt mię nie ratuje...
Losy ludzi ¹⁾ są wyryte w piśmie a nikt nie zna pisma tego...

„...Usiadł w płaczu, w słowach bolesnych serca jego się rozrywa.
W płaczu srogim, jękach strasznych jako synogarlica zamilkł.
Wzywał on ducha (*ana*) swojego jako dziecko, boleść wszelako nie opuściła go...
Przed duchem (*ana*) swoim w płaczu nieutulonym leży on z twarzą ku ziemi zwróconą...”

Stan zgnębienia, w jakim w tym utworze znajdujemy człowieka, przedstawiany jest jako wynik złych czynów jego. Lecz przytem brzmi straszna skarga na obojętność duchów wyższych, przyszłych bogów, na cierpienia ludzkie, skarga, którą z czasem miał Prometeusz powtórzyć; a ponad wpływy tych duchów wzniesiono przeznaczenie, napisane, lecz nikomu nieznanne, któremu w religiach późniejszych mieli uleść i sami bogowie.

Jakkolwiek nieznanem nam jest obecnie, i prawdopodobnie nigdy znanem nie będzie, ile wieków, czy też tysiącleci, upłynęło pomiędzy pierwszym zaklęciem a najpóźniejszym hymnem, wchodzącym do ksiąg świętych Akkado-Sumirów, w każdym razie epoka objęta utworami w tych księgach zawartemi ciągnęła się bardzo długo, skoro widzimy w niej taki postęp pojęć religijnych.

Polidemonizm pierwotny przechodzi w tej epoce wszystkie stopnie prawidłowego rozwoju i dochodzi do politeizmu, który tak konsekwentnie

¹⁾ Dosłownie: ludzie (wyraz oznaczający pojęcie zbiorowe)... jest zapisane i nikt nie zna tego (pisma?).

i wspaniale został rozwinięty następnie przez rozmaite ludy semickie i aryjskie.

Lecz nie tylko prawidłowy rozwój pierwotnych pojęć religijnych może zwrócić naszą uwagę w księgach świętych Akkado-Sumirów. Oto księga ta świadczy wymownie, że i turańczycy przyjęli udział w wytworzeniu religii historycznych. Pomijając już bowiem tę okoliczność, że polidemonizm Akkado-Sumirów bezpośrednio się łączy w czasie z politeizmem Assyryjczyków, Greków, Rzymian, w każdej, co jest ważniejszą rzeczą, z późniejszych religii, znajdujemy wyraźne ślady wyobrażeń ich religijnych i nawet ich obrzędy.

Z wprowadzeniem do umiejętności religii polidemonizmu Akkado-Sumirów dzieje historycznych religii przekraczają naszą epokę dziejową i wchodzą do epoki *s c y t y j s k i e j*. Pierwsza przeto karta historii religii, utworzona z ksiąg świętych Akkado-Sumirów, może rozszerzyć ramy historyczne naszej cywilizacji i stanowić ogniwo, łączące bezpośrednio na gruncie realnym nasze wyobrażenia religijne z wyobrażeniami ludzi pierwotnych.

I. Radliński.

ECHA

z epoki kamiennej.

Cofając się myślą w głąb wieków, widzimy światła dziejowe słabnące i gasnące. Gdzie pisane źródła ustają, tam się historia kończy; i dalej spotykamy już tylko ciemną otchłań niepochwytłych przemian, których ani treści, ani nawet zakresu historyk ocenić nie może i przez których mglistą zasłonę daremnie usiłowałby dotrzeć wzrokiem do pierwszej jutrzeńki społeczeństw.

Co było przedtem? Jak powstały te, względnie wysokie cywilizacje, które nas u progu dziejów zdumiewają? O tem historia milczy, jeżeli nie chce nadnaturalnych legend brać za dobrą monetę.

Tak było przez długie wieki, i zdawało się, iż już nigdy nauka dziejów poza źródła pisane nie sięgnie.

Tymczasem, dzięki wytrwałości pewnej liczby dziwaków, zbierających skorupy, kości i kamienie, światło poczęło się przedzierać przez tajemniczą zasłonę wieków.

Stosy tych marnych resztek, zrazu bezmyślne i nieciekawe — przemówiły. Przemówiły potężnym głosem oczywistości, który zdawał się na to tylko tak długo drzemać w głębi ziemi, żeby z tem większą siłą zbudzić i oświecić jednych, wstrząsnąć i zachwiać drugich.

Śmiało indukcyę Schmerlinga i Boucher de Perthes'a o głębokiej starożytności rodu ludzkiego, o współczesności zaginionych ras ludzkich z wygasłymi już w pierwszych wiekach historii zwierzętami, o pierwotnej

dzikiej kulturze, stawały się z każdym dniem oczywistsze i wkorzeniały się zwolna w oporne mózgi ortodoksów.

Wielki reformator geologii, Karol Lyell, który w r. 1833 przypuszczenia Schmerlinga uważał za mrzonki, w lat dwadzieścia dwa potem oświadczył publicznie, że, ulegając faktom, „człowieka przedhistorycznego“ uznaje.

Od tej chwili w obozie niedowiarków poczęły się mnożyć dezercye; w r. 1860 nawróciła się angielska *Royal Society*, po niej inne Akademie i — obóz zwinięto. W nauce człowiek przedhistoryczny nie ma już dziś przeciwników.

* * *

Pierwotną epokę ludzkości nazywamy kamienną, a nazywamy ją tak dlatego, że obejmuje ona te wieki, w których nie znając użytku metali, człowiek przedhistoryczny do wyrobów swoich posługiwał się prawie wyłącznie kamieniem.

Krzemienie, dyoryty, serpentyny, jaspisy i t. p. twarde minerały, służyły mu za jedyny materiał do wyrobu narzędzi i orężów, o ile takowych nie mógł przyrządzać z drzewa, rogu lub kości. Z kamienia wyrabiał on nie tylko młotki i maczugi, ale także siekierki, groty, noże, strzały do łuków a nawet piłki do rznięcia drzewa i kości.

W najdawniejszych pokładach geologicznych wyroby te są bardzo niedołężne, tak dalece, iż nieraz wahać się można, czy je uznać za istotne narzędzia, czy też tylko za przypadkowo foremne odłamki. Ale obok nich spotykamy inne, bardziej wykonane i do celu zastosowane, niekiedy nawet gładko i zręcznie szlifowane.

Dziesiątki tysięcy takich zabytków widzieć można w gabinetach europejskich. Znajdywano je w głębi ziemi, w pokładach tak zwanych czwarto- a nawet i trzeciorzędowych, obok kości mamuta i innych zwierząt zaginionych, w Europie, Azji, Afryce i Ameryce.

Epoka więc kamienna ukazuje się nam w głębi wieków, jako okres pierwszej najniższej kultury, nie tylko bardzo długotrwałej ale i bardzo rozległej. Były to primitywne cywilizacyjne, przez które wszystkie ludy przejść musiały. Był to ów prolog do dramatu dziejów, którego historycy w kronikach odszukać nie mogli — prolog, wcale nie według reguł sztuki napisany, bo i zanadto jednostajny i zbyt długi.

Nie dosyć na tem. Ma on jeszcze jedną wadę, w oczach naszej niewiedomości. Oto: nie wiąże się wcale z pierwszym aktem. Odkryliśmy epokę

kamienną, ale nie wiemy jak ją przylatać do pierwszych wieków historii. Wszystko tam bowiem inne: i ludzie i role. Starożytny Egipt, Indye, Chiny — toż to potężne cywilizacye! Ani ich pytać o strzałki kamienne i o tych biednych przodków, którym wszystko szło jak z kamienia. Piramidy ich nie znały.

Gdzież więc most łączący te dwa światy?

* * *

Dla ludów o wczesnej cywilizacji epoka kamienna minęła tak dawno, że świadome o niej tradycje zaginęły. Historia nie wskazuje nam nawet na pewno, gdzie i kiedy zaczęto przetapiać metale. W legendach mongolskich o raju występuje już metalurgia. Raj miało to być miejsce ukryte między skałami, w którym, gdy raz wielki ogień rozpalono — metale w głązach zawarte topić się poczęły, i tym sposobem, zdobywszy umiejętność przetapiania ich, pierwsi ludzie raj porzucili i poszli w świat na podboje.

Opierając się na tych legendach, możnaby wnosić, że szczep mongolski pierwszy począł obrabiać metale. Lecz z drugiej strony, między dzikimi plemionami Afryki środkowej znajdujemy bardzo wczesny przemysł żelazny, usprawiedliwiony tą okolicznością, że ruda żelazna, tam znajdująca, jest łatwiej od innych topliwą.

Ścisłej historycznych wskazówek jest niewiele. W Chinach, według ostatnich badań Pfizmaiera, okres żelazny zapanował dopiero za czasów Tsin, na 300 lat przed naszą erą, ale sama umiejętność przetapiania żelaza (thie) jest o wiele starszą; wspomina o niej bowiem księga Szuking już na 2200 lat przed Chr., — tylko że wówczas panował przemysł bronzowy. Bronz, będący mieszaniną miedzi i cynku, jako łatwiej topliwy niż żelazo, prawie też wszędzie wcześniej był używany; zwolna tylko ustępując miejsca żelazu, tej wielkiej dźwigni cywilizacyjnej, bez której my dzisiaj z trudnością dalibyśmy sobie radę.

W Egipcie znano je równie dawno jak w Chinach, a obrabiano prawdopodobnie wcześniej — chociaż i tutaj w pierwszych wiekach historii bronz przeważa.

Bronz zaś znany był od czasów niepamiętnych i w Chaldei i w Indjach, a nawet zdaje się, iż on dał nazwę innym metalom. Chaldejskie *ayanah*, sanskryckie *ayas* znaczyło bronz, miedź (łac. *aes*) lub metal w ogólności. Tak, iż gdy pieśni Rig-Vedy chcą nazwać żelazo, rzadko nazywają je osobnem mianem *syama*, częściej: „czarnobłękitną miedzią“.

Jednem słowem, bardzo dawno znanem było żelazo, jeszcze dawniej miedź — a o przemyśle kamiennym księgi milczą.

Nie tylko milczą, ale nie wiedzą co sądzić o znajdowanych w ziemi krzemieniach dziwnego kształtu. Jedne każą wierzyć, że były to spadłe z nieba a przez bogów rzucane skamieniałe gromy; inne niby, domyślniejsze, przypuszczają, że te, które mają kształt siekier, musiały być niegdyś z żelaza, tylko czas zamienił je na kamienne.

Czy podobna jednak, ażeby pamięć epoki kamiennej tak ze szczerem zginęła?

Nie zginęła pamięć — zginęła tylko świadomość.

* * *

Powiedział Schiller, że co ginie w życiu — odżywa w pieśni; w pieśni, to znaczy w religii, w legendach, w mitach.

W tej więc pieśni gminnej, szerzej pojętej, szukać będziemy owego mostu między starym i nowym światem, owej, jak ją nasz wieszcz nazywa, legendowej „arki przymierza między dawnymi i młodszy laty“.

Wspomniałem już, że niektóre stare księgi przypisują bogom rzucanie siekier kamiennych. Dlaczego bogom?

Jest w tem cała epopeja.

Bogowie są zawsze starsi od ludzi. Są zawsze bardziej konserwatywni; powiedziałbym nawet — zacofani. W służbie bogów nie to lepsze co lepsze, ale co starsze. Jeżeli więc gdzie, to tutaj, przeszłość musiała się zasklepić, skryzalizować i bronić do upadłego.

Najdawniejszy, albo jeden z najdawniejszych bogów indyjskich *Indra*, trzymał w ręku *grot kamienny*.

Między symbolami piorunowej władzy Jowisza w Rzymie, przechowywane były *siekierki kamienne*.

Strzały, siekierki i młotki kamienne figurowały w świątyni Cybeli jako kamienie zjedzone niegdyś przez Saturna.

Starogermański bóg gromu, Donar czyli Thor, trzymał w ręku *młot kamienny*.

Nareszcie starosławiański Perun al. Piorun uzbrojony był także *grotem krzemienym*; a w podaniu o stworzeniu świata *czarny bóg* bił takimże młotem w przedwieczny dąb, chcąc go zwalić na złość *białemu bogu*.

Dlaczego lud, który sam już znał użytek metali, przypisywał jednak wyższym od siebie i potężniejszym bogom broń tak marną i niedołężną? Czemu ich nie uzbroił przystojniej?

Bo na to nie pozwalała tradycja. On nie rozumował dlaczego tak wyobrażać trzeba a nie inaczej; wiedział tylko, że tak wyobrażali przodkowie, a ci, jako bliżsi bogów, musieli wiedzieć, co robią.

Według relacji Kirkora, posąg Pioruna wykopany w Kijowie miał być rzeźbiony z drzewa, głowę miał srebrną, brodę i wąsy złote, ale broń — krzemienną. Nie brak więc metali, ale tradycja zmusiła artystę do uposzczenia go w ten sposób.

Tradycja ta, choć już nierozumiana, tkwiła głęboko w życiu, a przede wszystkim w najmniej postępowym jego objawie: w obrzędach.

Egipcjanie, jak widzieliśmy, znali doskonale żelazo, rzeźbili niem piramidy — ale żaden kapłan egipski nie odważyłby się do obrzędów swej wiary, np. przy balsamowaniu ciał, użyć narzędzia żelaznego.

Był to metal nieuświęcony przez tradycję — nieczysty, i używać go nie było można, podobnie jak dziś nie możnaby świec woskowych przy ołtarzu zastąpić lampami Edisona. Kapłani więc egipscy używali nożów krzemiennych.

Za Egipcjanami poszli Żydzi. I u nich np. pewną ceremonię chirurgiczną uskutecziano nożem kamiennym: „Tedy wzięwszy Zefora krzemię ostry, i t. d.“ (2 Mojż. IV, 25).

Żelazo zaś było dla celów religijnych nieczyste. „A jeżeli ołtarz kamienny uczynisz mi — mówi Pan — nie buduj go z ciosanego kamienia; bo jeżeli byś żelazne naczynie twoje podniósł nań, splugawisz go“ (2 Mojż. XX, 25).

Zamiast wyrazów: „żelazne naczynie“ Wujek tłumaczy: „nóż twój“, ale zarazem objaśnia, że chodziło tu o to, ażeby „przy ciosaniu kamieni, żydom nie zachciało się znaki zabobonne na nich wyrabiać“. Tekst jednak o żadnych znakach zabobonnych nie wspomina a w ks. 5, XXVII, 5, czytamy u Wujka: „I zbudujesz tam ołtarz Panu Bogu Twemu, którego się żelazo nie tknęło“. Widocznie więc chodziło o samo żelazo, nie tylko o znaki, któreby niem wyręć można.

I u innych ludów spotykamy jeszcze narzędzia krzemienne używane do celów zabobonnych, odwieczną tradycją uświęconych.

Według Pliniusza, chcąc z drzewa balsamowego szacowny sok wydobyć, trzeba nacinać jego korę małym ostrym krzemieniem, gdyż drzewo umrze, jeśli się użyje żelaza.

U Fenicyan, a jak się zdaje i u innych ludów starożytnych, istniał zwyczaj następujący:

Gdy dwaj ludzie chcieli zawrzeć z sobą przymierze, trzeci obowiązany był ująć ich dłonie jedną ręką, a drugą trzymając ostry nożyk krzemienny, naciąć nim wewnętrzną stronę dłoni; kroplą krwi z tego przecięcia pomazywał siedm kamieni leżących przy drodze, i dopiero wtedy układ był zawarty. Dzisiaj ze zwyczaju tego pozostało tylko, jako objaw szczątkowy, tak zwane „przecinanie zakładu“, które się już bez przelewu krwi obywa.

W Grecyi i w Rzymie używano także toporków krzemiennych do zabijania ofiar poświęconych. Stąd przysłowie łacińskie „*inter sacra et saxum*“ być między ofiarą a kamieniem — co odpowiada naszym: „między młotem i kowadłem“.

Podobno w Albanii dziś jeszcze utrzymuje się sztuka wrócenia z wnętrzości zwierząt, otwieranych zapomocą ostrych krzemiń.

Po za obrzędami kościelnymi, pozostałości epoki kamiennej przybrały inną formę zabobonu.

Znajdując w ziemi siekierki przedhistoryczne, nie wiedzano już, co one znaczą, ale głucha tradycja nadawała im jakieś znaczenie tajemnicze; przypuszczano, że do czegoś służyć muszą i zrobiono z nich — talizmany.

Takie talizmany odnajdujemy tu i owdzie przez cały ciąg historycznych wieków, w oprawie coraz to ciemniejszych legend i teoryj.

W epoce kamiennej dawano zmarłym do grobu siekierki, wraz z wielu innemi przedmiotami. Ten zwyczaj odnajdujemy jeszcze u Chaldejczyków, ale, rzecz godna uwagi, z chwilą gdy przestano rozumieć, że to mogły być istotne siekiery, przeznaczone do obrony nieboszczyka na tamym świecie, zamiast kamiennych, dawano siekierki tej samej formy, ale już z gliny wypalanej!

W Assyrii i w Babilonie, u Etrusków i Germanów, w Grecyi i w Rzymie, nawet dziś jeszcze wśród ludu „strzałki piorunowe“ (litewskie „perku-na kulka“) przechowywane są jako talizmany. Chronią one od piorunu i od pożaru.

Zamiłowani w tradycji Chińczycy, nawet oświeceni, do dziś dnia przechowują je jako szacowne amulety — nie mówiąc już o tem, że na wyspie australskiej Hawaj są jeszcze czczone jako święte.

* * *

I mowa niektórych ludów zachowała szczerbą ślady tej pierwszej kultury.

Według Franciszka Lenormant, w języku chińskim znak ideograficzny, oznaczający siekierę, jest do dziś dnia tym samym, co i dla oznaczenia kamienia.

Coś podobnego spotykamy w Egipcie. Egiptologowie sprzecali się długo między sobą o to, czy pierwiastek *ba* znaczy kamień, czy też żelazo. Nie mam tu zamiaru mieszać się w nieswoje rzeczy, ale kto wie, czy obie partye nie miały słuszności. Pomijam fakt, że pierwiastek *ba* zdaje się być bardzo wieloznacznym, bo miał oznaczać także duszę — ale co do samej identyfikacji żelaza z kamieniem rzecz wyjaśnia się następującą okolicznością. Całkowita nazwa żelaza ma być nie *ba*, lecz *ba-en-pe*, co znaczy dosłownie „kamień z nieba” (spadły). Stąd w mowie Koptów zowią żelazo *benipe*. A jeżeli tak, to możemy przypuścić, że pierwotnie żelazo uważano jako kamień spadły z nieba. Wiadomo, że niektóre meteoryty bardzo są bogate w żelazo — a właśnie w Afryce znajduje się ich wiele. Ponieważ leżały na powierzchni ziemi, można przypuścić, że pierwiej z nich użytkowano niż z właściwych rud żelaznych, których szukać trzeba było w głębi. Powtóre, żelazo takie daje się obrabiać a raczej łupać bez przetopienia, co tem więcej usprawiedliwia wczesne jego użycie w czasach, kiedy wysokiej temperatury otrzymać nie umiano. W Grenlandyi, gdzie żelazo meteoryczne trafia się w blokach cetnarowych, rozbijają je na odłamki i z tych odłamków wybierając ostre, składają noże przez osadzenie ich w drzewcu. Być więc może, iż w ten sam sposób postępowano pierwotnie w Egipcie, zwłaszcza że dzikie plemiona środkowej Afryki i dziś jeszcze, tak jak Grenlandczycy, obrabiają żelazo za pomocą młotów kamiennych bez ognia.

Że zaś pierwotnie żelazo nazywano kamieniem, to równie mało dziwić nas powinno, jak to, że w Indyach nazywano je czarno-błękitną miedzią, a pojęcie miedzi mieszano z pojęciem metalu.

* * *

Szukając dobrze, możemy i między istotnymi narzędziami ludów starożytnych znaleźć jeszcze kamiennne.

Na polach Maratonu znajdowano obok strzał bronzowych strzały krzemienne, pomimo, że już w pieśniach Homera bohaterowie walczą wyłącznie bronzową bronią. Miecze, które Fenicyanie rozwozili po Europie, były także bronzowe. Przemysł żelazny zwolna tylko się przyjmował.

Herodot wspomina nawet, że niektóre nędzniejsze pułki perskie, rodem z Afryki, podczas wojen z Grecyą uzbrojone były w strzały łupane z „czarnego krzemienia”. Takie strzały znajdowano także w szanicach Cezara pod Perigueux, jak i w nierównie starszych obozach egipskich, koło Synai.

Czy jednak na podstawie podobnych faktów można wnosić, że starożytni pamiętali epokę kamienną, że wiedzieli o jej istnieniu? Nie sądzę. Ci, którym metal był za drogi, mogli poprzestawać na krzemieniu, ale nie idzie zatem, żeby wiedzieli o istnieniu epoki, w której wcale metali nie znano. Zbyt wiele wody upłynęło od tego czasu — zbyt wiele młodocianych cywilizacyj wzniosło się i upadło, ażeby czas nie zatęchł jasnych wspomnień, pozostawiając tylko echo legend nierozumianych już i przeobrażonych przez naród.

O ile mi wiadomo, z autorów starożytnych jeden tylko Lukrecyusz, wielki twórca poematu o naturze rzeczy, zdawał się mieć poczucie tych odwiecznych przemian. Twierdzi on, nie mówiąc zresztą na jakiej podstawie, że pierwotnym orężem człowieka były „zęby, gałęzie i kamienie”, że długi czas nie znali ludzie ognia, że pierwiej zaczęli przetapiać bronz a potem dopiero żelazo.

Ale były to raczej domysły niż wspomnienia — inaczej bowiem trudnoby nam było zrozumieć, jakim sposobem wszyscy autorowie starożytni uważali znajdowane lub przechowywane po świątyniach siekierki za kamienie piorunowe, podobne tylko do siekier (similes securibus — *Plinius XXVII, 51*). A przekonanie to było tak upowszechnione w całej Europie, że jeszcze u nas w wieku zeszłym ks. Gaudenty Pikulski pisał o tem „jak się piorun robi”, biorąc strzałki kamienne za skamieniałe pioruny.

* * *

Oprócz właściwego sobie przemysłu, epoka kamienna pozostawiła nam także nieocenioną spuściznę w odkryciu ognia.

Łatwo się domyślić, że wynalazek ten, dalej sięgający w przeszłość niż pierwsze próby metalurgii, jeszcze mniej po sobie pozostawił wspomnień. O świadomej tradycji, któraby wskazywała gdzie, jak i kiedy po raz pierwszy ogień otrzymano, nie może też być mowy — i jeśli Lukre-

cyusz zapewnia nas, iż był czas, kiedy ognia nie znano, to czyni to tylko na podstawie teoretycznego przypuszczenia, że wszystko musiało mieć swój początek.

Lecz czy my i dzisiaj możemy mieć dowód na to, że była w kulturze ludzkiej epoka bez ognia?

Bezpośredniego na to dowodu archeologia dać nie może, ale natomiast daje go, chociaż pośrednio tylko, mitologia. Jest nim fakt istnienia mitów o wynalazcach ognia. Skoro wierzone, że ten czy ów, bóg czy półbóg, ludzi ogniem obdarzył, to tem samem uznawano w tradycji rzeczywistość epoki bez ognia. Ale jak się bez niego obywano? Jak przyrządzano pokarmy, jak się ogrzewano w zimie?

Są to pytania, które nam, pieszczochom cywilizacji, stawiać wolno — ale które brakiem naiwności nie grzeszą.

Trzeba bowiem wiedzieć, że człowiek dziki i dzisiaj jeszcze bardzo mało używa ognia. Mieszkańcy ziemi ognistej, którzy wywołują go krzesząc krzemieniem o piryt żelazny, nie używają go jednak ani do ogrzewania swych chat, ani do gotowania pokarmów. Wielki to już zbytek, jeśli wróciwszy z polowania i zasiadłszy wkoło, grzeją przy nim zziębnięte nogi. Eskimosi, podobnie, używają ognia raczej do oświetlania niż do ogrzewania, a zapomocą swoich lamp z wielorybiego tłuszczu topią tylko śnieg, nie gotując wcale pokarmów.

Nie można do tych pierwotnych stosunków przykładać naszej miary, i gdyby ktoś, powodując się prostą rozumą, sądził, że chyba tylko w krajach ciepłych ludzie mogą się obywać bez ognia — to byłby w błędzie, ponieważ właśnie na północy jest stosunkowo więcej ludów obywających się bez niego, niż pod równikiem. Te fakta nie rozum tłumaczy, tylko tradycja. Ogień łatwo mógł być odkryty pod równikiem — pod biegunem było to prawie niemożliwem. Ludy, które nauczyły się otrzymywać go, przekazywały tę sztukę następcom i ci przyzwyczajali się do używania ognia, chociażby w tym szczupłym zakresie, na który trudność krzesania go pozwalała. Przeciwnie, na północy, całymi wiekami przyzwyczajano się obywać bez niego, tak, że nawet wówczas, gdy sztuka ta przyszła z południa, w konserwatywnych umysłach dzikich nie budziła wielkiej ochoty do usiłowań w tym kierunku. Obywali się bez ognia przodkowie, obędziemy się i my — n a j b u d e j a k b u w a ł o.

Ale bo też zapalanie ognia w warunkach pierwotnej kultury nie należało do rzeczy wygodnych. Trzeba pewnej dozy wytrwałości, ażeby

trzeć o siebie dwa kawałki drzewa, dopóki się płomieniem nie zajmą. A przytem, można przypuszczać, że ludy, które ten wynalazek, dający im przewagę nad innymi, posiadały, nie kwapiły się z popularyzowaniem swojej wiedzy. Owszem, zachowywały ją w tajemnicy. Legendy pozwalają nawet przypuszczać, że długi czas tylko kapłani uprawiali tę sztukę, w tajemnicy przed tłumem.

Nie powinno nas też dziwić, że, obok ludów względnie oświeconych, spotykały się takie, które wcale ognia przyrządzać nie umiały. Do niedawnego jeszcze czasu, Tasmańczycy byli w tym wypadku. Znali wprawdzie użytek ognia, ale chcąc go dostać, musieli go pożyczać od innych, a pożyczwszy, przechowywać starannie. Czynność tę pełniły kobiety, nosząc w ręku wolno płonące pochodnie, które zapalały jedną po drugiej, starając się w koczowniczym życiu plemienia ogień zachować.

O innych też plemionach australskich wiemy, że do niedawna jeszcze, nie umiejac, przynajmniej w porze wilgotnej, przyrządzać sobie ognia, odbywały nieraz długie podróże celem pożyczania go od sąsiadów; podobnie jak u nas jeszcze wiejskie kobiety, od chaty do chaty, pożyczają sobie żarzewia.

Z pierwotnej zaś konieczności utrzymywania ognia, powstało późniejsze obrzędowe przechowywanie.

Zrazu, jak np. w Indjach, było to pół potrzebą, pół zwyczajem.

W każdej rodzinie, kobiety, zajmujące się gospodarstwem, obowiązane były czuwać nad tem, aby ogień całkiem nie wygasł.

Panna młoda, wstępując w progi męża, rozpalala ognisko i za utrzymanie go brała na siebie odpowiedzialność. Była więc, w dosłownym tego zdania znaczeniu, „kapłanką domowego ogniska.“ I ztąd niewątpliwie poszło to wyrażenie, właściwe ludom europejskiej rasy.

Za czasów greckich zwyczaj ten zaczął już upadać. Utrzymywano go tylko przez poszanowanie przeszłości i, nie obciążając już wszystkich rodzin obowiązkiem strzeżenia swego ogniska, pozostawiono go specjalnie temu poświęconym dziewicom, westalkom.

Tę formę, już czysto tradycyjną, religijną, praktycznie bezpożyteczną, przechowywały długi czas jeszcze niektóre ludy (z n i c z l i t e w s k i), aż nareszcie zmarniał całkiem, pozostawiając tylko szczątkowe objawy stałych światła religijnych i retorycznych wyrażań.

Jest to historia, powtarzająca się przy wszelkiej zmianie stopni kultury. Czynność jakaś była konieczną w danych warunkach, te warunki

przestały istnieć, ale przyzwyczajenie do czynności pozostało — pozostało pod formą poszanowania dla zwyczaju przodków.

Przechowywano więc ogień na cześć przodków, na cześć bogów, których ci przodkowie czcili. Zdawało się bowiem ludziom, że się coś zerwie, co ich wiąże ze światem, że prysnie nić dziejowa, łącząca przeszłość z przeszłością, jeśli, broń Boże, ogień wieczny wygaśnie.

* * *

Jeżeli zaś ogień uważano za święty, to miał on do tego nierównie większe prawa niż wiele innych rzeczy za święte uważanych. Wszakże to on ukazywał się człowiekowi jako siła potężna, ożywiająca i niszcząca zarazem. Wszakże to on zstępował z nieba z promieniami słońca i z gromem błyskawicy, albo znów w postaci wznieconego płomienia unosił się ku niebiosom. Wszakże to on wreszcie był tą siłą oczyszczającą i niweczącą zarazem; a jak woda obmywając bieli, tak on wypalał i przetapiał. Był dobroczynnym, ponieważ ogrzewał, ale był groźnym zarazem, ponieważ palił tych, co się poufale doń zbliżyli.

Nie można też odmówić pewnego prawdopodobieństwa przypuszczeniu Caspariego, że dopiero odkrycie ognia dało pohop do rozwoju pojęć religijnych. W samej rzeczy, o ile historia głębiej sięga w przeszłość, wszędzie odkrywa nam pierwszych kapłanów, jak kapłanów ognia.

Cześć ognia była tak naturalną ze stanowiska pierwotnej kultury, że upowszechniła się, czy też powstała odrazu, w najdalszych zakątkach ziemi. U progu dziejów spotykamy ją jeszcze w Indyach, w Chinach, Chaldei i Judei, u Persów i Medów, u Greków i Rzymian, u Scytów i Sarmatów, u Słowian i Litwinów, w Arabii i Egipcie, w Meksyku i w Peru. To też niema chyba religii, nieco starszego pochodzenia, w którejby ogień nie grał jakiejs roli w najgłówniejszych obrzędach, w języku i w wyobrażeniach dogmatycznych. Są to już tylko objawy szczątkowe, a więc poprzemieniane, poskracane ze znaczeniem zmienionem lub bez znaczenia, ale śledząc krok w krok ogniwa przeszłości, widzimy, że sięgają one dalej niż historyczne początki kultu lub zwyczaju, w którego skład wchodzi.

Niegdyś na cześć boga-ognia (w Indyach *Agni: ignis*—ogień), palono stosy ofiarne, około których tłum skupiał się uroczyscie; dziś między ludem naszym pozostał jeszcze zwyczaj *sobótek* czyli ogni świętojańskich, palonych już nie wiadomo na co i dla kogo. Lecz jakby dla stwierdzenia, że zwyczaj ten nietylko naszych bajecznych, ale wogóle przedhistorycznych sięga czasów, tu i owdzie jeszcze przestrzegają wieśniacy,

ażebysy sobótkowe zapalano płomieniem przez tarcie drzewa otrzymanym. Zwyczaj ten nazywamy pogańskim, ale i w czysto kościelnych obrzędach istnieją szczątki dawnego kultu. Do takich należy np. „święcenie nowego ognia“, które jest pierwszą ceremonią wielkiej soboty.

* * *

Palenie swiateł na grobach, miało niegdyś za cel oświecanie drogi duszom, które swe ciała odwiedzić chciały, a zarazem odpędzanie duchów złych, które ognia i wogóle światła znosić nie mogły. Dziś jest to zwyczaj pełen poezji i rzetelności, ale przy naszych dzisiejszych pojęciach, bez znaczenia. Mimo to przechowuje się jeszcze tak gorliwie, że np. w Serbii widzieć można lampy bezustannie płonące na grobach. U nas zapalają je tylko w dzień zaduszny.

Pochodnie i świece noszone przy pogrzebach są także zabytkiem odwiecznym. Niegdyś były to płonące łuczywa, któremi stos zapalano — dziś służą tylko do próżnej ostentacji.

Mimo jednakże tej zatury celów i znaczeń pierwotnych, forma utrzymuje się. Palą się jeszcze lampy przed obrazami świętych, święci się ogień, noszą świece, a żadne nabożeństwo, chrzciny, ślub, czy pogrzeb wystawniejszy obyć się bez nich nie mogą. Nie mówimy już, że światła na pogrzebach noszone mają odstraszać złe duchy, ale, gdy umrze człowiek zasłużony, „oddajemy mu cześć“ ofiarą swiateł.

W Czechach i w Galicyi objaw ten przybrał formę dość oryginalną, niekiedy bowiem dla uczczenia zmarłego zapalają się w biały dzień uliczne latarnie gazowe. Samo pojęcie, wedle którego zapalenie swiateł miało służyć do odpędzania złych duchów, pochodziło prawdopodobnie z czasów życia koczującego, kiedy rozpalano ogniska dla odstraszenia prawdziwych „złych duchów“, t. j. zwierząt dzikich. Później zaginęło, ale i dziś jeszcze krajowcy północnej Australii, zmuszeni do przepędzenia nocy w bliskości grobów, nie zasną inaczej, jak pozapalawszy pochodnie; a zapewne i nie jeden z naszych dziadów kościelnych nie zgodziłby się stróżować przy ciele nieboszczyka, gdyby nie było otoczone świecami.

Podobną rolę odgrywały w pierwotnych czasach grzechotki różnego rodzaju, do których później przyłączyły się bębny i dzwony.

I one odpędzały złe duchy.

Według brahminów „dwie rzeczy są niezbędne przy wszelkich obrzędach: wielka ilość lamp i dzwon“ (Dubois, Lubbock).

W czasach, kiedy sądzono, że wszelkie zło od złych duchów pochodzi, starano się je odpędzać jaknajdzijszym wrzaskiem. Niektóre dzikie plemiona usuwają w ten sposób zaćmienia słońca lub zażegnywają burze. Duch zły, który miał zamiar pożreć słońce lub zniszczyć zasiewy ludziom, zostaje w ten sposób nastraszony, i zło ustaje.

W nowszych jeszcze czasach dzwonek loretański wielokrotnie rozpędzał u nas burze, a zaraza uciekała przed procesyami, które z hałasem i brzękiem przebiegały miasta hiszpańskie.

Oczywiście, przedhistorycznym tym praktykom nadawano już znaczenie bardziej postępowe, chrześcijańskie.

Grzechotki nie odstraszały już złych duchów, ale służyły jeszcze jako symbol smutku, w wielkim tygodniu np., zastępując dzwony. Zresztą zeszły na zabawki.

* * *

Rzecz godna uwagi, że i żelazo służyło do odpędzania złego. Że ono musiało być straszne pod postacią mieczów najeźdźnika, dla ludów pogrążonych jeszcze w kulturze kamiennej, łatwo zrozumieć. Świadczą o tem zresztą dochowane tu i owdzie legendy.

Ludy wojownicze i postępowe ceniły je jako talizman swej potęgi, tchórzliwe i zacofane drżały przed niem jak przed biczem bożym.

Normandowie, plemię dzielne i podbójce, czcili żelazo i mieli szczególny szacunek dla kowali. Do nas, jak przypuszcza Szajnoch, tradycyjne poszanowanie rodowych szabl mogło przejść od Normandów lub Scytów. Scytowie bowiem także czcili żelazną szablę jako symbol Marsa. Herodot świadczy, iż corocznie poświęcano jej tak wiele bydła, że dostawała wogóle więcej ofiar niż wszyscy inni bogowie.

Gdzie przemysł żelazny wcześniej się rozwinął, tam umiano ocenić jego wartość, i jak czczono rzeki lub zwierzęta pożyteczne, tak też podobnym kultem święcono żelazo, przez wdzięczność. Tak np. wojownicze plemię murzyńskie z Irawo, miasta wschodniej Iruby, jak podaje Burton, nie dawno jeszcze ubóstwiała żelazną sztabę, na jej cześć odprawiając kosztowne obrzędy.

Przeciwnie, ludy łagodniejszego temperamentu, lub te, które w skutek pierwotnego zacofania pozwoliły wrogom wypróbować na swych karkach wyższość przemysłu żelaznego, żywiły przed nim zabobonną trwogę.

Strach ten zamienił się z wolna w przesąd dziedziczny, którego już nie dziś nie usprawiedliwia, ale który nie mniej trwa jeszcze. „Dzinnowie

(czarodzieje) wschodu, mówi Tylor, mają taki strach przed żelazem, że sama jego nazwa jest przeciw nim zaklęciem; podobnie, według popularnych w Europie wierzeń, żelazo rozpędza elfy i czarownice, paraliżując ich władzę; skąd można wnosić, że wiara w te fantazyjne istoty należy jeszcze do epoki kamiennej. Dlatego to nowy metal jest tu przedstawiony jako straszny i wstrętny — a dalej dodaje, że z tej samej przyczyny używano żelaza (zwykle zgiętego w podkowę) jako prezerwatywy przeciw czarom. W tym celu połowa stajni, obór i chlewów angielskich jeszcze dziś zaopatrzona jest w podkowy żelazne wbite w próg. I u nas spotkać można toż samo, nawet w domach mieszkalnych. „Gdy wieśniak znajdzie na drodze podkowę, uważa to za traf szczęśliwy: zabiera ją i przybija na progu chaty. Ma to przynosić szczęście“ (Rulikowski). Tenże autor podaje, że gdy topielec przychodzi do żony w nocy, wdowa, dla odpędzenia go, kładzie na progu i na oknach k o s y ż e l a z n e.

Nasze panie nie wierzą już w takie rzeczy, ale rade noszą bransolety złote w kształcie podkowy, z napisem „*porte-bonheur*“.

* * *

Wróćmy do ognia.

I z nim była podobna historia jak z żelazem. W jednych budził podziw tylko i wdzięczność, w drugich strach. W mitach perskich lub indyjskich, będących odbiciem wysokiej cywilizacji, ogień jest raczej światłem i ciepłem dobroczynnym niż płomieniem niszczącym. Przeciwnie u Hebrajczyków, pełnych jeszcze dzikości i barbarzyństwa, resztki czci ognia mają tylko charakter grozy. Pan i Bóg ich był bowiem „ogniem trawiącym, Bogiem zawistnym“ (5 Mojż. IV, 33, 36, 11, 12, 24). To też Żydzi bali się przystępować do tego ognia i woleli rozmawiać z nim przez tłumacza: A wszystek lud widział głosy (według wydania berlińskiego gr o m y) i błyskawice i brzmienia trąby i kurzącą się górę: a przestraszeni i bojaźnią zdjęci stanęli zdaleka, mówiąc: „Mów ty do nas, i słuchać będziemy: niech Pan do nas nie mówi, byśmy snadź nie pomarli.“ (2 Mojż. XX, 18, 19).

Przekonanie, że rozmowa z Bogiem twarzą w twarz zabija, płacze się ciągle z resztkami kultu ognia, wskazując swe pochodzenie, inaczej całkiem niezrozumiałe. „Słyszał li kiedy który naród głos Boga mówiącego z p o ś r o d k u o g n i a, jakoś ty słyszał, a żyw został?“ „Dał ci z nieba usłyszyć głos swój, aby cię wyćwiczył, a na ziemi ukazał ci o g i e Ń s w ó j wielki, a słowa jego słyszałeś z p o ś r o d k u o g n i a.“

Mowa tu poprostu o wybuchach wulkanicznych, które uważano za przemówienie bóstwa, podobnie jak to czyni dziś jeszcze wiele ludów dzikich w Ameryce. Że tak jest, świadczą następujące ustępy: „Tedyście przystąpili, a stanęliście pod górą, a owa góra pałała ogniem aż do samego nieba, a była na niej ciemność, obłok i mgła“. „I mówił Pan do was z pośrodku ognia: słyszeliście głos jego, aleście kształtu żadnego zgoła nie widzieli.“

Chrześcianizm oczyścił Boga miłości z tych ogniowych symbolów, przelewając własności „trawiące i zawistne“ na ducha złego i jego ogień piekielny.

W księgach jednak pozostała pamiątka po wrażeniach, jakich doznawał człowiek pierwotny wobec groźnych a niezrozumiałych dlań zjawisk przyrody.

* * *

W rasie indoeuropejskiej, a także u niektórych ludów amerykańskich pojęcie ognia jako ciepła i światła łączy się z pojęciem powstania istot żywych w sposób dość rubaszny. Asocjacja ta powstała z przekonania, że źródłem zarówno ognia jak i poczęcia jest tarcie, a trwała tak uporczywie, że dzisiaj jeszcze pogląd ludowy, po najrozmaitszych przeobrażeniach, jakim uległ, każe bocianowi jednocześnie podpalać chaty ludzi złych i przynosić dzieci ludziom dobrym.

Prof. Mierzyński wykazał bardzo szczegółowo związek tej asocjacji z najdawniejszymi wierzeniami ludów pierwotnych. Ten, który pierwszy dał poznać ogień, był zawsze ojcem „pierwszych ludzi“, a w rzeźbach staromeksykańskich znajdujemy nawet wprost połączenie obu procesów: tego, który wytwarza ogień i tego, który daje początek ludziom, o czem w specjalnych dziełach można znaleźć wyjaśnienie.

Nie ulega też wątpliwości, że wydobywanie się płomienia wskutek tarcia dwu kawałków drzewa pojmowano jako rodzenie się ognia. Dla ludów pierwotnych nie był on oczywiście procesem chemiczno-fizycznym, przy którym węgiel łączy się z tlenem, lecz był istotą, istotą w drzewie utajoną, mogącą się zeń wydobyć przez pożarcie go. Jeżeli my dzisiaj jeszcze mówimy, że pożar pochłonął np. stodołę, to używamy wyrażenia szczątkowego, które dziś właściwie nie ma sensu, ale które go miało za czasów, gdy palenie pojmowano jako pożeranie drzewa przez boga Agni. Nawiasem mówiąc, Bóg-Agni nie był właściwie bogiem, ale

pośrednikiem między bogami a ludźmi, był, jak się wyrażają wtedy, „najpierwszym kapłanem zanoszącym ofiarę niebu.“

Co to znaczy? Niebo i Ziemia były niegdyś czczone jako dwa bóstwa męskie i żeńskie. Pojęcie to zaginęło już za czasów historycznych, trwając tylko w krajach najbardziej konserwatywnych, np. w Chinach, i pozostawiając tylko na całej kuli ziemskiej liczne objawy szczątkowe w języku. Niebo u większości ludów jest jeszcze rodzaju męskiego, ziemia żeńskiego. Niebo obejmowało ziemię miłośnie i dawało początek wszystkim innym istotom. Za czasów rzymskich niebo nie było już czczone; ale *sub Jove* znaczyło zawsze tyle co: pod niebem. A my dziś mówimy jeszcze: oby ci Niebo poszczęściło, zamiast oby ci Bóg poszczęścił i t. p. Otóż Niebo, jak każdy dawny bóg, potrzebowało pokarmu, żeby żyć.

W hymnach wedyjskich często spotykamy przekonanie, że całe niebo, jak i składające je gwiazdy, karmią się parami, które z ziemi ulatują i jeżeli kiedy nazywają modlitwę „pokarmem bogów“, to dlatego, że wyobrażano ją sobie jako parę z ust wychodzącą i ulatującą ku niebu. Stąd późniejsze wyrażenia przenośne o wznoszeniu się modlitw w obłoki. Jeszcze filozof grecki Thales sądził, że „słońce i gwiazdy czerpią pożywienie z morza“, a Dyogenes z Apolonii dodawał, że jeśli niebo się obraca (pozorny dzienny obrót sklepienia), to dlatego, że potrzebny mu pokarm w danym miejscu wyczerpuje się. Przenosi się więc z miejsca na miejsce, jak to czyni bydło na paszy.

Jeżeli zaś Niebo potrzebowało pokarmu, to któż mu go miał dostarczać?

Rolę tę mógł spełniać tylko ogień, ponieważ ciepło, sprowadzając parowanie, a płomień i dym, przesyłały je w górę. I oto dlaczego ogień był pierwszym kapłanem, pośrednikiem między Niebem a Ziemią.

Ofiara więc w znaczeniu religijnem była pierwotnie karmieniem bogów. Podobnie jak od dzikiego zwierza broniono się rzucaniem mu na pastwę drobniejszej zwierzyny, tak też składano je Niebu, aby gniew jego przebłagać i łaski sobie zaskarbić. Składano mu datki przez pośrednictwo ognia. On pochłaniał ofiarę i w postaci dymu przesyłał ją niebu. Gdy dym szedł prosto w górę, znaczyło to, że ofiara była przyjęta. Opasować ogień i kazać mu służyć ludziom, bądź dla nich samych, bądź dla pośrednictwa z bogami, było też czynem zuchwałym wprawdzie, ale wzniosłym i godnym uwiecznienia w mitach. Wynalazcy ognia są też zawsze pochodzenia boskiego i oni to właściwie dali początek „ludziom.“ Ci,

którzy ognia nie znali, którzy tej iskry niebieskiej nie posiadali, nie byli jeszcze ludźmi. Z nim dopiero dusza ludzka, będąca również natury ognistej, zeszła z nieba na ziemię. Prometeusz jest „ojcem pierwszych ludzi“, a zarazem „dawcą ognia.“ Tak samo w Peloponezie Foroneus. Rola te spełniały także mistyczne ptaki.

Picus, dzięcioł, niby ptak, niby bóg, niby człowiek, opiekuje się nowonarodzonymi, a jednocześnie doradza Numie, jak ma z nieba zwabić ogień na ziemię. Bocian wreszcie powracający z wiosną odradzał naturę i sprowadzał ogień niebieski, Zapalał chaty i znosił dusze. Skąd to uparte w mitologiach przekonanie, że niektóre ptaki: dzięcioł, bocian, orzeł mogą przynosić ogień z nieba?

Jest to proste i rzeczywiste spostrzeżenie. Gdy powietrze jest naładowane elektrycznością, zwłaszcza przed burzami wiosennymi i letnimi, dzioby i szpony ptaków fosforyzują bardzo silnie, i człowiek pierwotny, jak w niczem tak i w tem, nie wysłał z własnego palca przekonania, że bocian może nieść w łapie głowę do podpalenia, a w dziobie płomyki dusz ludzkich. Na tej samej zasadzie orzeł pozostał zawsze ptakiem błyskawic, a jako trzymający w szponach pioruny, był pierwaj bożkiem egipskim (bóg zwycięstwa Horus) zanim stał się herbem rzymskiego cesarstwa.

* * *

A teraz zapytajmy jeszcze, czy z pozostałych legend i innych objawów szczątkowych można się domyslić, w jaki sposób doszedł człowiek do wynalazku ognia?

Prometeusz wykradł ogień niebu, a więc mógł go zapożyczyć poprostu, zapalając gałąź od pożaru wznieconego przez piorun (z nieba). Wykradł go z ogniska Zeusa, a więc mógł go istotnie wykraść z obozowiska jakiegoś wodza, którego lud posiadał już sztukę otrzymywania ognia. Za co, jako za zdradę tak szacownej tajemnicy, został przykuty do skały. Prometeusz miał pochodzić z nad brzegów Czarnego morza, z tych mianowicie okolic, w których istnieją źródła naftowe, wydzielające gazy samozapalne, a więc może to było „ognisko Zeusa.“ Ale wszystkie te szczegóły były prawdopodobnie tylko echem zdarzeń różnych, zlewem odrębnych wspomnień. Zasadnicza wskazówka zdaje się tkwić najgłębiej, bo w samym nazwisku Prometeusza. Jest ów wynalazca ognia niewątpliwie postacią mityczną, której biografię ludy aryjskie przyniosły z Azji, przerabiając ją po drodze. Otóż *math* znaczy po sankrycku *trzeci*, *pra*

tyle co pierwszy, pierwotny, *pramath* więc, zgrecka *Prometheus*, będzie ten, który pierwszy pocierał.

I oto w jaki sposób biografia mniemanego wynalazcy rozplywa się w nieosobisty proces dziejowy. W czasach, kiedy ogień wynajdywano, wynalazcami były tłumy i wieki.

* * *

Ogień pożerał całopalenia. To, co położono na stosie, znikało; musiało więc gdzieś iść niewidzialnie. Szło tam, gdzie szedł sam Agni — do nieba. Szło uduchowione czyli ulotnione. Nie zwierzę, jako zwierzę, dostawało się niebu, ale tylko niezniszczalna jego częśćka, gazowa, lotna dusza. Zachodziło jednak pytanie, czy zniszczona w ten sposób istota traciła byt indywidualny, czy też tylko zmieniała formę.

Na pytanie to różne ludy odpowiadały rozmaicie: o ile jednak sądzić możemy ze składu grobów epoki kamiennej, już wówczas, niektóre przynajmniej plemiona, wierzyły w nieśmiertelność. Skoro do grobów obok popiołów zmarłego kładziono różne jego narzędzia i świeżo zabite zwierzęta, to widocznie przypuszczano, że te mogą mu być przydatne na tamtym świecie, że się wszystko ze śmiercią nie kończy. Być też może, że utrwalanie się tej wiary wpłynęło na zarzucenie pogrzebowego palenia ciała, a wprowadzenie grzebania, które do dziś dnia przetrwało.

Jaskinie grobowe zamykano szczelnie kamieniem, celem niedopuszczenia dzikich zwierząt; później w podobny sposób zabezpieczano ciała w obszernych kamiennych dolmenach; później w pniach dębowych wydrążonych, z których wreszcie powstały nasze trumny. A zawsze chodziło o to, żeby ciało w całości zachować. W dolmenach starano się nadto, aby kamień zwierchni nie cisnął zmarłego; przypuszczano bowiem a wiarę tę dzielali jeszcze najstarsi filozofowie greccy, że trup może uczuć nacisk. Dla tego to podpierano kamień zwierchni dwoma pionowemi, a mowie naszej do dziś dnia pozostała lokucya nekrologowa: *sit ei terra levis*, niech mu ziemia będzie lekka.

Niektóre pogrzebowe obyczaje dzikich przodków przechowało rycerstwo w formie złagodzonej. Tak np. niegdyś koń zmarłego rycerza palony był wraz z nim na stosie, teraz prowadzą go tylko za pogrzebem, żałobnie przybranego, a szablę i kask składają na trumnie, podobnie jak dawniej łuk i siekierę.

Składanie ofiar pogrzebowych „na drogę“ zmarłemu, właściwe epoce nowo-kamiennej, wydało w następnych wiekach całe szeregi form przej-

ściowych od krwawych ofiar przedhistorycznych, aż do poetycznego zwyczaju Rzymian składania kwiatów i wienców. Zamiast zwierząt zabitych na pokarm, przynoszono tylko owoce, potem — tylko kwiaty! Zamiast palenia konia, palono tylko jego wizerunek papierowy, co do dziś dnia ma miejsce w Chinach. Albo też, jak to się praktykuje jeszcze u Tatarów, postępowi kapłani, paląc tylko papierową kopię konia, uważali za właściwsze oryginał zatrzymać sobie.

Zamiast prawdziwych siekierokamiennych składano (jak u Chaldejczyków) gliniane. Zamiast ofiar w naturze—pieniądze; przypuszczano bowiem, że i na tamtym świecie postęp zrobił swoje, że i tam za pieniądze wszystkiego dostać można. Ta forma utrzymuje się jeszcze w Rosyi. Nareszcie z upadkiem dawnej wiary, zamiast pieniędzy prawdziwych dawano tylko marki papierowe, niby złote lub srebrne, które wyrabiają na wielką skalę chińczycy. A przez podobne względy oszczędności, zamiast całkowitego odzienia składano tylko nitki z niego wyciągnięte, co jest dziś jeszcze obyczajem wielu plemion indyjskich. Eskimosi ofiarowywali zmarłemu *m o d e l e* oszczepów; egipcianie i etruskowie *u d a n e* kosztowności.

Mimo jednakże tej dążności do oszukiwania zmarłych, u wielu ludów utrzymało się jeszcze składanie *p o k a r m ó w* (np. ryż nasypywany do trumny w Rosyi), a u pierwotnych chrześcian spotykamy nawet dbałość o przyjemność i wygodę nieboszczyka; w katakumbach bowiem poznajdywano grzebień i zabawki.

Trzeba przyznać, że pod względem poszanowania dla zmarłych nie dorównujemy starożytnym. Niegdyś, kamienni nasi przodkowie, dawali zmarłemu wszystko, co miał i co sami mieli najlepszego: i siekierki pięknie glądzone i prosiatko świeżo zarżnięte, niekiedy i konia i żonę i sługi; później, przynajmniej „psa i sokoła“ i „w usta piastr wybity w Carogrodzie“; a my dziś dajemy obrazek za trzy grosze, i niejeden spadkodawca olbrzymiej fortuny, dzięki oszczędności sukcesorów, będzie musiał pokazać się na tamtym świecie w starych butach i wyszarzanym fraku.

Tak jest, zmieniliśmy się bardzo. Nikomu dziś przez głowę nie przejdzie, żeby religijna cześć dla zmarłego męża miała się posuwać aż do spalania na wspólnym stosie „nientulonej w żalu wdowy.“ A przecież ci pogańscy nasi przodkowie, którym tak często wszelkich szlachetniejszych uczuć odmawiamy, uważaliby sobie za hańbę, gdyby kilku z nich przynajmniej nie poszło dobrowolnie na stos, na którym ginał ukochany ich wódz i dobroczyńca.

W niektórych dolmenach we Francyi znaleziono czaszki ludzkie w oryginalny sposób uszkodzone. Nie były to rany, lecz wycięcia sztuczne czyli tak zwane *t r e p a n a c y e*: na wierzchu głowy wylupany był krążek kości, ale sam krążek znajdował się tuż obok. Z kształtu brzegów tkanki kostnej, widocznie zagojonej, i z samych czaszek, wniósł Broca, że krążki te były wycinane prawie zawsze lub zawsze na człowieku żywym, i że operacyi tej podlegały indywidua młode, niekiedy nawet dzieci.

Co to mogło znaczyć?

Ponieważ na rzeźbie jakiejś bogini przedhistorycznej zauważono krążek bardzo do takiej kości podobny, Broca więc domyśla się, że i owe wycinki składano na ofiarę jakiegoś bożkowi, a samo wycinanie mogło być formą inicjowania młodych ludzi do jakiegoś obrządku kapłańskiego.

Późniejsze odkrycia nadały temu przypuszczeniu wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Przy dzisiejszem złagodzeniu obyczajów są to dla nas rzeczy trudne do pojęcia, ale w owych czasach, kiedy człowiek sam się mniej cenil, skorszym był w ofiarach dla bóstwa i dla tradycyi. Gdy żona mówiła do męża: ja ciebie nie przeżyję, nie było to figurą retoryczną, ale obietnicą samobójstwa; gdy chciano zawrzeć przymierze, nie poprzestawano na podaniu sobie ręki, nacinano je nadto do krwi, by obie krwi zmieszały się na znak przymierza, a gdy przyszedł dzień święcenia bóstwa, tłumy całe rzucały się na pastwę różnorodnych molochów, byle tylko ich łaskę sobie zaskarbić. W Kartaginie jeszcze za czasów historycznych w ten sposób poświęcano corocznie setki dzieci; u różnych ludów zakonnicy kaleczyli się dobrowolnie, a Mojżesz wielokrotnie jeszcze czuł potrzebę zapowiadać kapłanom, synom Aaronowym, żeby „naciele swojem rzezania nie czynili“ (3 M. XXI, 5).

Z chwilą, kiedy złagodnienie obyczajów wytepiło całopalenia i innego rodzaju ofiary z życia, pozostawał jeszcze zwyczaj upuszczania sobie krwi na cześć bóstwa. „Oddać krew swoją w ofierze Panu“ nie było wówczas prostą hiperbolą, ale dosłowną prawdą. Czy choroba dolegała, czy nieszczęście prześladowało, upuszczano sobie krwi, a krew ta była opłatą, za którą bóstwo dawało się ubłagać lub przebłagać. Ogólna metoda terapeutyczna, polegająca na puszczeniu krwi we wszelkich możliwych chorobach, metoda, która jeszcze za niedawnych czasów ułatwiała chorym przejście przez *Styx*, była tylko świeckiem wznowieniem tej religijnej medycyny przedhistorycznej, według której, chcąc się wyleczyć, trzeba było przedewszystkiem przebłagać gniew bóstwa—ofiara. Wówczas wiedziano przynajmniej, co robiono, ale nasz wieśniak, który, ulegając przedwiekowej

tradycji, puszcza sobie krew w każdym zmartwieniu, jest już tylko sam dla siebie ofiarą własnej niewiadomości.

Przepraszam za zboczenie. Zmierzałem do tego, że, jeśli takie istniały niegdyś obyczaje, jeśli różne uszkodzenia cielesne przechowały się do dziś dnia tu i owdzie w obrzędach religijnych, to nie powinno nas dziwić, że młodzieniec z epoki kamiennej, chcący jakimś bożkowi poświęcić swe życie, dawał mu na zadatek krążek ze swej czaszki, który przyozdabiał jego popiersie, podobnie jak dziś jeszcze nogi, ręce i serca odlane ze srebra przyozdabiają nasze ołtarze. Fakt zaś, że po śmierci takiego kapłana składano mu inny krążek, albo może i ten sam dla załatania dziury w głowie, dowodzi tylko wiary w nieśmiertelność i starania, żeby zmarłemu, na tamtym świecie, nie zabrakło jednej klepki w głowie.

Zobaczmy teraz jak ten dziki zwyczaj z wolna się przeobrażał.

Wiadomo, że deformowanie czaszek dzieciennych należy do bardzo pospolitych obyczajów, w Ameryce zwłaszcza i w Australii. W wysokim stopniu odznaczają się sztuczną deformacją czaszki staroperuwiańskie. Ścisano je w wieku niemowlęcym między dwiema deskami w ten sposób, że przód i tył spłaszczyły się, dając głowie, widzianej z góry, kształt rogaty i znaczną szerokość! Są to też najkrótsze ze znanych czaszek. Ale oprócz tych zboczeń ogólnych, można na niektórych z nich zauważyć inną jeszcze osobliwość, a mianowicie szczególnego rodzaju okrągłe zagłębienie na szczycie głowy, w tylnym końcu szwu strzałkowego¹⁾, jak gdyby wielkim palcem wyciśnięte.

Gdym to spostrzeżenie zakomunikował na zjeździe przyrodników we Lwowie w r. 1875, p. Kubary, znany podróżnik z Australii, dodał, że podobne wgłębienia sztuczne spotykał także na starych czaszkach polinezyjskich, lecz znaczenia ich nie mógł sobie objaśnić.

Otóż zupełnie takie same piętna znane już były na niektórych czaszkach przedhistorycznych z epoki mamuta, a mianowicie na sławnej czaszce z Oleno, zdradzającej zresztą rasę dobrze rozwiniętą. Można się więc domyślać, że owe wyciski, trafiające się mniej więcej w tych samych miejscach, co dziury okrągłe dawniejszych czaszek, były już zlagodzoną formą trepanowania. Zamiast wycinać całkiem, poprzestawano na wyciśnięciu dolka. Co miało oznaczać takie piętno? trudno wiedzieć

¹⁾ Szew strzałkowy idzie przez środek głowy wzdłuż, od wierzchołka kości czołowej do wierzchołka kości potylicowej, oddzielając kość ciemieniową lewą od prawej.

ale musiało ono być znamięm jakiejs wyższości, ponieważ groby staroperuwiańskie, z których wspomniane czaszki wydobył p. Jelski, miały być z wielką starannością budowane.

Przejdźmy do trzeciego ogniwa.

Gdy już większa część ofiar na uszkodzeniu ciała opartych zaginęła, pozostał jeszcze zwyczaj ofiary z włosów. Obcinano je i rzucano na pastwę ogniovi. Stąd tradycyjny przesąd, że włosów na ziemię rzucać się niegodzi, lecz że trzeba je spalić w piecu. W nieszczęściu golono także głowę, ażeby ofiarą włosów bóstwo przebłagać. Gdy prawemu Egipcyaninowi kot zdechł, golił brwi na znak żałoby.

Oprócz tego pewien sposób golenia głowy służył za cechę kasty. W Indjach np. istniały szczegółowe pod tym względem przepisy. Kupcy i rolnicy nosili całe głowy ogolone; zakonnicy i pustelnicy (fakirowie) długie włosy; wojownicy z rodów królewskich podginali głowę dookoła, zostawiając czub na wierzchu (podobnie jak u nas dawna szlachta); wreszcie wychowawcy z kasty brahminów, już wcześniej, od chwili poświęcenia się Bogu, ulegali operacyi wygolenia wierzchu głowy z pozostawieniem tylko korony włosów, a operacya ta powtarzała się następnie przy wysławianiu na kapłana.

W chrześcijaństwie wreszcie i owo wygłanianie zlagodzono, dając mu tylko zakres małego krążka, zdobiącego głowy naszych księży.

* * *

Tak tedy między trepanacją z epoki kamiennej a tonsurą dzisiejszą istnieje, według wszelkiego prawdopodobieństwa, związek genealogiczny.

Wszystko się wiąże w historii, i wielkie fakta i drobiazgi. Jak w dziedzinie fizyki, tak i w zakresie socjologii nic nie ginie, wszystko się tylko przeobraża. W starym wykluwa się nowe, w nowym prześwieca stare.

Człowiek, który w danym okresie cywilizacyi obalał dawne przesady, obalał je na to, aby postawić inne, w części nowe, w części jeszcze starsze. A jeśli kiedy posunął się istotnie krok naprzód, to długo przedtem zataczał się w prawo i w lewo, wracał, o drodze zapominał, własnego się zapierał dorobku i nieraz tylko ciężkie „bicz boże“, takie jak nędza, głód i niewola, pchały go naprzód, w pogoni za własnym ideałem.

Już to, przyznać trzeba, że mechanizm dziejowy nie mógłby służyć za wzór wynalazcom ekonomicznych maszyn. Chyba jako przykład objaśniający, w jaki sposób, przy największej sił utracie, najmniejsze skutki w najdłuższym czasie osiągać.

Ale... Nie nam, dorobkowiczom najmłodszej cywilizacji, nie nam spadkobiercom tej niemal syzyfowej pracy długich wieków, naigrawać się z niedołęztwa naszych przodków. Było, jak być musiało. Szło wolno, ale szło ostatecznie naprzód. Czy we wszystkim? Mniejsza o to; dość, że w jednym.

Oświata — wielkie słowo — stała się ciałem. Za oświatą poszło zlagodnienie obyczajów, które jest również faktem niewątpliwym; a za niem — za niem poszła zniewieścialsłość charakterów, charłactwo fizyczne i szwindle giełdowe.

Doprawdy! lękać się trzeba, czy umielibyśmy, w naszej epoce elektrycznej, równie żarliwie bronić swych ideałów, jak niegdyś przedhistoryczni nasi ojcowie żelazną piersią osłaniali swe kamienne bogi.

Julian Ochorowicz.

WIARA

w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej.

STUDYUM HISTORYCZNE.

Nie chodzi nam w studyum niniejszem o wiarę kleru i ludu, lecz tej grupy społecznej, która z pozycyi swojej przodowała w ojczyźnie i przedstawiała część narodu najlepszą. Kler z urzędu i fachu, bez względu na wewnętrzne przekonania, wierzył, czy wierzyć zalecał w stuleciu trzynastem tak samo, jak w epoce jezuickiej lub później i dlatego reprezentować umysłowości narodu nie może; lud znowu, nie z urzędu i fachu, lecz dla braku stosunków z cywilizacją zasklepiony w ściśle zawartem kole poglądów, również, lubo nie tak bezwzględnie, jak duchowieństwo, mandatu do reprezentacji owej wyrzec się musi. W Rzeczypospolitej jedynie szlachta z pewną domieszką mieszczaństwa w poglądach swoich podlegała wpływom różnym i zmianom, więc tylko wierzeń tej grupy społecznej wolno użyć do wymiaru intelektualnego stanu narodu. Zwróciwszy z tego względu baczną uwagę na szlachtę, ku przedstawieniu jej wiary zaczerpnęliśmy z pamiętników, w których człowiek z myśli swoich i uczuć zwykł się wywnętrzać najszczerzej.

I.

Relikwie i przedmioty, mające własność cudowną w kościołach krakowskich. Miejsca cudowne w kraju. Koronacje obrazów i euda. Pielgrzymki do miejsc świętych krajowych i obcych. Praktyki nabożne: obchodzenie stacyi męki Pańskiej, vota, bractwa, modły, umartwienia i wstępowanie do klasztorów. Wpływ duchowieństwa, misye, jubileusze i kary kościelne. Pobożne fundacye i legata, przygotowanie się na śmierć i pogrzeb. Formalizm religijny w niebezpieczeństwach i troskach, przy ocenie faktów i ludzi. Prześladowanie dysydentów i przechodzenie na katolicyzm. Pobożne samochwalstwo i cudotwórstwo ludzi żyjących.

Szczodroblliwość wieków średnich tak hojnie zaopatrzyła kościoły polskie w aparat różnego gatunku relikwii i cudownych obrazów, że zasób owych świętości społeczeństwu, pod względem religijnym rozegzaltowanemu najmocniej, do praktyk nabożnych mógł wystarczyć zupełnie. Poda- rowała wdowa po Krzywoustym mnichom z Zwiefalten takiego rodzaju szczegóły, jak: ułomek krzyża świętego, kawałek kajdan św. Piotra, ząb św. Jana Chrzciciela, Pankracego i św. Cecylii, trochę krwi Zbawiciela, nieco pokarmu Matki boskiej i rękę św. Szczepana ze skórą, paznokciami i mięsem (1); nie zabrakło nam przecież w XVII stuleciu przedmiotów natury tej samej, a wartości niemniejszej lub wyższej. W kościele dominikańskim św. Trójcy w Krakowie pokazywano ozdobny krucyfiks, w którym było „prawdziwe drzewo krzyża świętego i trzy tarny z korony cierniowej, skropione krwią Chrystusa Pana; ziemia kwiatów świętą tegoż Pana polana, oraz cząstka kamienia z grobu jego i cząstka gąbki, którą przytykano do ust jego świętych, octem i żółcią oną napelniwszy“; znajdowała się w tymże kościele „cząstka sukienki Chrystusa Pana, kawałek purpury, którą był przyodziany na pośmiejach u Heroda; cząstka słupa, u którego był biczowany; relikwia znaczna szaty Panny Maryi przenajświętszej z rątnucha jej i z sukienki; mleko z piersi tejże przenajświętszej Panny i Bogarodzice, także ziemia z grobu jej i z miejsca tego, na którym była poczęta bez zmyzy; kamień z góry Oliwnej, kamienia cząstka, na którym Chrystus siedział“ (2) i t. p. W kościele Bożego Ciała w Krakowie przechowywano „palec św. Jana Chrzciciela, którym ukazywał Chrystusa Pana“ (3); u św. Katarzyny i Małgorzaty „rękę św. Szczepana, znaczną relikwię św. Jana Chrzciciela, część odzienia jego, oraz krople mleka i krwi św. Katarzyny“ (4); w kościele zaś Panny Maryi Wniebowzięcia znajdowało się

(1) Hoffmann. Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII. Kraków, 1872. Str. 64 i 67. (2) Pruszez. Klejnoty stołecznego miasta Krakowa, albo kościoły. Kraków, 1650, str. 48. (3) Tamże, str. 68. (4) Tamże, str. 61.

„ciało całe jedno z młodzianków onych, które Herod kazał zabijać“ (1). Relikwii znacznych każdy kościół krakowski posiadał sporo. Ojcowie kamieduli boski w kościele św. Michała Archaniola i Józefa przechowywali „głowy całe św. Flawii, św. Klaudyi i św. Teresy“ (2); kościół Wszystkich Świętych „z towarzyszek św. Urszuli jedną głowę“ (3); w kościele św. Marka znajdowała się „głowa cała zupełna św. Doroty“ (4); u Panny Maryi Wniebowzięcia „głowa cała św. Rozyny panny i druga głowa z jedenastu tysięcy dziewic“ (5); u św. Katarzyny i Małgorzaty „czaszka z głowy św. Ambrożego, św. Rocha i św. Konstantego“ (6); w kościele Panny Maryi Śnieżnej na Gródku „św. Laurencyi panny i męczenniczki cała kość z ręki, a św. Benedykty czelusć cała z zębami“ (7); w kościele Panny Maryi Wniebowzięcia „palec cały z ciałem św. Rozyny“ (8); u św. Barbary „ręka panińska z ciałem i skórą św. Katarzyny męczenniczki aleksandryjskiej“ (9); w kościele zaś św. Mikołaja pokazywano olejek, który z kości tego świętego wyciekał (10).

Relikwie, krucyfiksy, obrazy i naczynia po świętych własność posiadały cudowną. W kościele św. Anny w Krakowie „przy grobie przewielebnego błogosławionego Jana Kantego ślepi, głusi, chromi, wrzodowaci i chorobami różnemi ściśniani u Pana Boga przez przyczynę tego świętego zdrowie upraszają i opętani wolni od dyabelstwa zostają“ (11); u św. Piotra i Pawła na Tyńcu z ciał: Jędrzeja opata, Mesława, Grzegorza i innych „częstokroć wielka wonia wychodzić zwykła, a zwłaszcza *in Augusto*, jak się to trafiło w r. 1636“ (12); trumna bł. Michała Giedrocia, ustawiona w zakrystyi kościoła św. Marka w Krakowie, skuteczną była ludziom na gorączki i febry (13). Gdy w kościele Panny Maryi Wniebowzięcia odświeżyć chciano krucyfiks, — „malarz, który był na odnowienie sporządzony, doznał zaraz, że nie jako kamienia, ale jako człowieczego ciała się dotknął... czego potem doświadcza i drudzy“ (14); w kościele św. Wojciecha Niemiec jeden z krucyfiksu „bardzo żalobliwego“ widywał światłość (15); u św. Marka krucyfiks „rozmawiał częstokroć z bł. Michałem“ (16). W kościele św. Katarzyny i Małgorzaty obraz Panny Maryi „światłość niebieska często oświecała, przy nim głosy anielskie słychane

(1) Tamże, str. 39. (2) Tamże, str. 16. (3) Tamże, str. 17. (4) Tamże, str. 30. (5) Tamże, str. 39. (6) Tamże, str. 62. (7) Tamże, str. 35. (8) Tamże, str. 39. (9) Tamże, str. 40. (10) Tamże, str. 71. (11) Tamże, str. 21. (12) Tamże, str. 84. (13) Tamże, str. 30. (14) Tamże, str. 37. (15) Tamże, str. 41. (16) Tamże, str. 30.

były, śpiewające antyfony“ (1); w tymże kościele obraz Panny Maryi pokazywał się przy śmierci niektórym ludziom pobożnym (2); w katedrze św. Wacława przy drzwiach zakrystyi obraz umęczonego Chrystusa do bł. Jadwigi, królowej polskiej „mawiał i rękę do niej wyciągał, jakoby na błogosławieństwo, gdy się przed nim modliła“ (3). W jednym z kościołów pozwalano ludziom pobożnym, a chorym używać ku wyzdrowieniu szklanki, z której św. Jadwiga podczas postu zażywała napoju (4); przy kościele św. Michała i Stanisława „wodę z tej sadzawki, w którą był wpadł palec św. Stanisława, ludzie nabożni brali i przez przyczynę świętego doznawali rozlicznych pociech“ (5).

Na obszarze Rzeczypospolitej miejsc cudownych liczba była niemała. Pomijając Częstochowę, rozgłosne były Gidle, gdzie „obraz cudowny najświętszej Panny, przez rolnika w ziemi pługiem wyorany“ (6); Sejny, w których klasztor dominikański cudownym obrazem najświętszej Panny słynął (7); Obory, Skepe, Studzianna, Kalwarya, Piekary, Antokol, Żyrowice, Mińsk, Zbirki, Piotrowin, Wiślica, Leśna, Sokal, Poczajów, Łuck, Latyczów, Berdyczów, Wilno, Święta-Lipka, Jarosław, Rzeszów, Podkamień, Kodeń, Troki, Leżajsk, Bochnia, Pajęczna, Tuchów, Krasnobród, Myślenice, Klewań, Kodeń, Zdzierz, Dzierzków i wiele innych. Rozsławiało zwykle daną miejscowość objawienie się Matki boskiej na drzewie lub w ziemi, w rozmaitych rozmiarach i kształtach. Ku uczczeniu cudu wznoszono najprzód figurę, później kaplicę, w końcu kościół lub klasztor. We wsi Szara-Wola, parafii tomaszowskiej, żył Jakób Ruszczyk, włościanin przez lat 24 w opętaniu od szatana będący. Krewni, przyjaciele i sąsiedzi oprowadzali go po różnych miejscach świętych, by od ducha nieczystego mógł być uwolnion, ale zawsze na próżno. W r. 1640, w dzień najświętszej Panny Maryi Śnieżnej dręczony od szatana przybiegł do Krasnobrodu; wracając zaś z miasta do domu, zszedł z drogi i ku odpoczynkowi legł na ziemi pod sosną. Zasnął, a przez sen ten głos usłyszał: postaw tu figurę, albowiem na tem miejscu będzie się odprawiała chwała syna mego, a na znak wiedz, iż jesteś od szatana uwolnion. Ruszczyk podniósł się, głosu jednak żadnego nie słyszał, jasność tylko nad sobą ujrzał niezwykłą, a na siłach czuł się krępkim zupełnie. Stosownie do objawionej woli z nieba, posta-

(1) Tamże, str. 62. (2) Tamże, str. 63. (3) Tamże, str. 6. (4) Tamże, str. 60. (5) Tamże, str. 65. (6) Dyaryusz Chrapowickiego. Warszawa, 1845, str. 53. (7) Pamiętniki Matuszewicza. Warszawa, 1876. I, 256.

wił Ruszczyk figurę drewnianą obok sosny, pod którą spoczywał. Odgłos cudu tłumy ludu na owo miejsce sprowadzał. Chorzy, kulawi, głusi i ślepi, uzdrowieni mocą niebieską, weseli wracali do domu. Około r. 1648 Kozacy figurę z sosną, na której pobożni pozawieszali *vota* w obrazkach i blaszkach, podcięli i wszystko, co kosztowniejsze, zabrali. Po uspokojeniu kraju, mieszkańcy Krasnobrodu przybyli na miejsce, łaskami słynące, by podziękować Bogu za wybawienie ich z rąk wroga, lecz przy figurze i sośnie nie znaleźli, prócz małego obrazka, który był dziwnie wyraźny i świeży, gdy inne zniszczały od słoty. Obrazek ten, wyrażający najświętszą Panne i dzieciątka Jezus, niby na rozrzuconych pieluszkach złożone na ziemi, pobożni ze czcią największą i rozrzewnieniem podnieśli i z uszanowaniem w domu pewnego mieszczanina złożyli. Zbudowano później kaplicę, do której obrazek wprowadzony i pod straż dominikanów oddany został (1). W podobny sposób stał się głośnym obraz w Studziannie (2), w Żyrowicach „wielkością swoją niedochodzący jaja gęsiego“ (3), posążek w Skepem i t. p.

Corocznie niemal powiększała się liczba miejsc świętych; osobliwość jakąś znaleźć było można w każdym prawie kościółku. Remigjan Koniecpolski, biskup chełmski, w r. 1633 kościół bł. Wincentego Kadłubka z grobu podniósł w Jędrzejowie i szczątki świętego w ozdobnym złożył ołtarzu, przy którym „ludzie wielkie swe pociechy odnoszą“ (4); w Olwicie „cudowną najświętszą Panne przeniesiono w r. 1671 do kaplicy, wymurowanej sumptem plebana“ (5); „w r. 1710, dnia 20 marca, na św. Joachima episcop piński *ritus graeci*, Kulczycki, inkwizycją czynił w Wysocku u jezuitów o cuda nowozjawione przez Matkę bożą w Udrycku“ (6); w r. 1712 biskup łucko-brzeski, Aleksander Wyhowski, wysłał do Pińska komisję ku zbadaniu cudów pewnego Świętego jezuitę. „Gdzie ja — pisze Franciszek Szyrma — doznawszy *patrocinio* jego łaski boskiej nad chorującym, a prawie konającym synem moim, musiałem przysiądź *coram officio pastoralis* na te fawory, po dwa kroć doznane

(1) Opis klasztoru dominikanów w Krasnobrodzie (Rękopism). (2) Historya panowania Jana Kazimierza przez nieznanego autora. Wyd. Raczynskiego, Poznań, 1840. II. 314. (3) Dzieła Bartoszewicza. Kraków, 1880, VII, 200. (4) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich. Lwów, 1842, str. 183. (5) Dyaryusz Chrapowickiego. Str. 255. (6) Dyaryusz Franciszka Szyrmy (1691—1732). Rękopism, udzielony nam przez p. Adama Czaplicę z Wilna.

nad tymże synem, który dotąd z instancji jego żyw...“ Takąż komisyę w r. 1719 wyznaczył biskup Prebendowski, w r. 1730 Rupniewski (1). Maryanom z Rasnej radzono, aby się o beatyfikacyę *venerabilis patris Stanislai Papczyński*, fundatora swego zakonu starali (2). W r. 1713 Krzysztof Zawisza „ciała całego relikwie św. Felicyana męczennika“, otrzymane od papieża Klemensa XI w Rzymie, w kościele mińskim jezuitów lokował solennie (3); w Boćkach w r. 1739 uroczyste wprowadzano cieni Chrystusa Pana do kaplicy, zbudowanej na to umyślnie (4). Wizerunki nowo-kanonizowanych świętych umieszczano w kościołach wśród wielkiej wystawy i tłumów ludu. W r. 1671 „z wielką magnificencyą i kosztem“ wprowadzano do bernardynów w Wilnie obraz kanonizowanego niedawno św. Piotra z Alkantary (5); w r. 1727 „introdukcyą (za co *sit Deus benedictus*) św. Stanisława Kostki, *os de ossibus nostris* i św. Alojzego *Societatis Jesu* w Pińsku z wielkim tryumfem, z asystencyą całego powiatu“ (6). Ceremonia ta — powiada Szyrma — przez dni trzy trwała; obrazy na wozie tryumfalnym celebrowane były do wnętrza świątyni.

Obrazy, głośne w Rzeczypospolitej z cudów i łask, wyróżniano od innych przez koronacye, które w pierwszej połowie XVIII wieku powtarzały się często. Po uspokojeniu kraju od Szwedów i Sasów, August II wyprawił poselstwo do papieża Innocentego XI z prośbą o koronacyę wizerunku Matki boskiej częstochowskiej, na skutek czego biskup chełmski Krzysztof Szembek 8 września 1717 r. ceremonii wobec tłumów ludu dokonał. W roku następnym podobną ceremonię odbył w Trokach biskup wileński, Brzostowski; w r. 1723 staraniem Jana Fryderyka Sapiehy koronował obraz kodeński biskup łucki, Rupniewski; w r. 1724 świadkiem uroczystości takiej był Sokal (7). W r. 1727 wobec tłumów i czterech szwadronów wojska złożył na obrazie w Podkamieniu biskup łucki dwie, poświęcone przez Benedykta XIII, a przez kasztelanica wołyńskiego, Cetnera, przywiezione korony (8); jednocześnie odbyć się miała koronacya obrazu żyrowickiego (9), dopiero w r. 1730 dopełniona przez metropolitę kijowskiego, Atanazego Szeptyckiego (10). Za Augusta III odbyło się koronacyi trzy-

(1) Tamże. (2) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 306. (3) Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy. Warszawa, 1862, str. 29. (4) Pamiętniki Matuszewicza. I. 92. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 235. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Dzieła Bartoszewicza, VII. 198—218. (8) Dunin Karwicki. Szkice obyczajowe i historyczne. Warszawa, 1882, str. 136. (9) Dyaryusz Szyrmy. (10) Dzieła Bartoszewicza. VII, 205.

naście (1). W r. 1738 od ziemian chełmskich wyszła do Rzymu prośba o koronacyę cudownego obrazu w Chełmie (2); w r. 1749 zaszczycono tą uroczystością Łuck (3); w r. 1752 odbyto koronacyę w Łąkach Bratyańskich i Leżajsku, w trzy lata potem w Jarosławiu i Skępem, później w Berdyczowie, Wilnie, Lwowie, Przemyślu i Poczajowie (4). Starał się Anastazy, przeor karmelitów w Oberach, o koronacyę Matki boskiej swego klasztoru; wezwał nawet w r. 1747 oficjał plocki, Rokitnicki, księży i lud ziemi dobrzyńskiej do składania zeznań względem doznanych łask, proces jednak do skutku nie przyszedł (5). Koronacyom przypisywano znaczenie duże, towarzyszyły im bowiem łaski i cuda. Od koronacyi obrazu częstochowskiego „nastaly roki dziwnie obfite, że całe dziecię lat kwitnął urodzaj“ (6); nad kościołem podkamienieckim na trzeci dzień po uroczystości ukazała się korona, podobna zupełnie do umieszczonej na cudownym obrazie. Zjawisko owo trwało przeszło godzinę: widziane było przez wojsko, stojące w obozie i przez ludność, tłumnie zgromadzoną na odpust (7).

Rozsławiła się cudami najgłośniej Matka boska częstochowska w czasach najazdów szwedzkich. Żołnierz, zamierzający w miejscu świętem dokonać rabunku, padł za jej sprawą, ugodzony wystrzałem z rusznicy (8); kule ogniste, przez nieprzyjaciela rzucone na klasztor, odbijały się od dachów, niby od skały (9); Szwed bluźnierca poległ pod kościołem św. Barbary od działa (10); drugi, że do obrazu chciał strzelać, zdrętwiał (11); innemu flinta przyrosła do twarzy (12). Straszna Matka boska była dla wrogów, łaskawą na nas. Dziecięciu, leżącemu w kołysce, rozsypane granaty nie czynią szwanku (13); podczas najazdu Karola XII, gdy Szwedowie podpalili wieś Częstochówkę i księżę folwarki, — „obronił Pan Bóg cudownym sposobem za przyczyną Matki jego te miejsca od ognia“ powstał bowiem „wiatr nadnaturalny, który na obiedwie strony od fortocy

(1) Tamże. VII. 209. (2) Rzewuski. Kronika podhorecka. Kraków, 1860, str. 104. (3) Kitowicz. Pamiętniki do panowania Augusta III. Poznań 1840. I. 37. (4) Dzieła Bartoszewicza. VII. 209. (5) Ks. Smoleński. Cztery kościoły w ziemi dobrzyńskiej. Lwów, 1869, str. 40. (6) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II. Poznań, 1838, str. 343. (7) Dunin Karwicki. Szkice obyczajowe i historyczne, str. 143. (8) Kordecki. Nowa gigantomachia. Warszawa, 1859, str. 31. (9) Tamże, str. 4. Historia pan. Jana Kazimierza. I, 261. (10) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 65. (11) Tamże, str. 110. Historia pan. Jana Kazimierza. I. 263. (12) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 111. Historia pan. Jana Kazimierza. I. 263. (13) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 263.

odpędzał straszliwe luny“ (1). W Studziannie „nad proceder natury, mocą wszechmogącego Boga, białogłowa, ślepą będąc, przejrzała nagle w kaplicy“ i z pociechą powróciła do domu; inna palec oderżnięty odzyskała przed cudownym obrazem; szlachcic pewien, „któremu przez podcięcie żyły ręka uschła była i żaden z cerulików onego uleczyć nie mógł, aby palcami władać mógł, za łaską cudownej Matki boskiej“ wyzdrowiał, jakby nigdy nie doznawał kalectwa „i wielu ludzi, przybyłych zdaleka, w utrapieniach i potrzebach swoich jawną pociechę, wspomóżenie odebrali i łaskę, o czem nikt przeczyć nie może“ (2). „Dziwnym sposobem, bez wszelkiej pomocy ludzkiej, chyba za samą anielską asystencją i usługą“ w r. 1617 po dwa razy obraz Matki boskiej uchodził i wracał z Bydgoszczy do Obór (3). Za jego wpływem w r. 1627 chorąży ziemi chełmińskiej odzyskał zdrowie; w r. 1628 mieszczanin golubski uleczył dziecko; w r. 1630 Wawrzyniec Slepowicz wyszedł z puchliny; w r. 1634 przewidziało ślepe trzyletnie dziecko; w r. 1666 niejaka Okońska wyleczyła się z wrzodu. W r. 1678 Nieszawa za sprawą Matki boskiej oborskiej uniknęła morowego powietrza; w r. 1679 Łazarskiemu z Golubia, choremu mocno, gdy się Matce boskiej polecił, zdawało się, jakoby wychodził z łaźni i ozdrowiał zupełnie; w r. 1680 matka uratowała dziecko, dziewczka z Torunia odzyskała wzrok, kulawy oweczarsz paraliżu się pozbył. W r. 1689 Kozłowski z Bobrownik, westchnąwszy do Matki boskiej wraz z córką, uratowany został od utonięcia w Wiśle; w r. 1690 Morski z Kilinowca, ofiarowawszy się Matce boskiej, wyzdrowiał, chociaż już konał. W r. 1722 stracił gorączkę sędzia bobrownicki, Przeciszewski; w r. 1726 Teresa Brzeska siebie od kalectwa, a córkę wyratowała od śmierci; w r. 1746 Magdalena Krasieńska z oka straciła łuszczkę i t. p. Wogóle pomiędzy rokiem 1627 a 1785 zdarzyło się około sześćdziesięciu cudów w Oborach (4). W kościele wiślickim przy niewielkiej kamiennej statui najświętszej Panny, „przed którą Władysław Łokietek nabożnie się modlił i za łaską a pomocą najświętszej Panny przywrócony został do tronu“, nieszczęśliwi doświadczali łask wielu i cudów (5); za przyczyną bł. Jana Kantego „doznał łaski pańskiej w swej ciężkiej chorobie Jakób Zadzik, biskup krakowski, w r. 1638, czego i przedtem inszych wiele, różnemi chorobami złożeni, a z tych 83 od rozumu

(1) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 92. (2) Historia pan. Jana Kazimierza II. 434. (3) Ks. Smoleński. Cztery kościoły w z. dobzyńskiej, str. 22. (4) Tamże, str. 24—39. (5) Pamiętniki Matuszewicza. III. 25.

odchodzących, konających także sześciu, prawdziwie umarłych szesnastu doznali“ (1). Podczas pożaru kościoła św. Floryana w Krakowie widziany był patron owej świątyni na powietrzu z naczyniem wody. Po widzeniu owem pożar zgasł zaraz, „zaco w Poniedziałek przewodni po mszy świętej obywatele z postronnymi ludźmi św. Floryanowi dziękują, uciekają się do niego i ucieszeni bywają“ (2). Niektóre wizerunki przemawiały i klasnęły rękami, z innych lzy ciekły lub krew. Podczas restauracji kolegiaty św. Jerzego w Gnieźnie „słyszano przedziwne, melodyjne śpiewania i głosy przededniem“; to znowu „niby chodzące osoby, rękami poklaskujące, jakie to poklaskiwania zwyczajnym są znakiem radości, wesela i ukontentowania“ (3). W Dzierzkowie „obraz najświętszej Panny podczas zgromadzenia wielkiego tłumu ludzi, na nabożeństwo zebranych, dnia 22 lipca 1664 r. lzy jak perły hojnie wylewał“ (4); krucyfiks w Ilży nad wojną domową, przez Lubomirskiego wznieconą, płakał (5); toż samo uczynił krucyfiks w sali trybunalskiej w Lublinie, gdy źli sędziowie w sprawie ubogiej wdowy niesprawiedliwy wydali wyrok. Bóg, do niego przybity, zesłał szatanów na powtórne roztrząśnienie tej sprawy, poczem nieprawi sędziowie karki połamali na schodach (6). W kościele panien norbertanek w Busku, „przy słupie biczowanego Chrystusa Pana wyobrażenie świeżemi kroplami krwi, jakoby odnowionem biciem wyciśnionemi, spływało“ (7); w kościele katedralnym gnieźnieńskim „dwoma dniami krew ciekła z pasy Chrystusa Pana na ołtarzu ku stronie północnej“ (8). Chrystusowi u dominikanów w Poznaniu wyrzynały się zęby; w Kcyni odrastające mu włosy strzydz musiano corocznie (9).

Do miejsc cudownych zbiegali się ludzie nabożni i często i w liczbie znacznej. Królowie rozpoczynali panowanie swoje od pielgrzymki na Skalkę, „gdzie krew przelał dobry i prawdziwy pasterz, który ganił zbytki królowi Bolesławowi Śmiałemu“ (10). „Ustawnie do Studzianny wielkie

(1) Pruszez. Kleynoty st. m. Krakowa, str. 21. (2) Tamże, str. 74. (3) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, wyd. Raczynskiego. Wrocław, 1844, str. 176. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 312. Kochowski. Liryka polskie, wyd. Turowskiego, str. 115. (5) Szujski. Dzieje Polski. Lwów, 1864. III. 482. (6) Pamiętniki Koźmiana. Poznań, 1858. I. 16 i 331. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 312. (8) Kochowski. Liryka polskie, str. 92. (9) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego. Poznań, 1858, str. 14. (10) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego) Pamiętniki historyczne do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce XVII wieku. Wilno, 1859, str. 23).

tłumy ludzi, ofiarujących się Panu Bogu w swych uciskach, płynęły; czasem jednego dnia więcej 20,000 przybywało“ (1); w lipcu, 1650 r. na 40,000 ludu było w Częstochowie na akcie przeniesienia obrazu i ulokowania go w nowym ołtarzu (2); w r. 1727 wprowadzano do kościoła pińskiego obrazu świeżo kanonizowanych świętych z „asystencją całego powiatu“ (3).

Dla nawiedzenia miejsc świętych i do obcych udawano się krajów. Hieronim Radziwiłł, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski i inni peregrynowali do grobu Chrystusa (4); Chrapowicki dla przyjęcia katolicyzmu jeździł w r. 1637 do grobu św. Antoniego do Padwy (5); Obuchowicz w r. 1675 nawiedza podczas jubileuszu *limina* świętych apostołów *Petri et Pauli* (6). Krzysztof Zawisza, zdążając do Loretu „na cześć najświętszej Pannie“ miłą szedł pieszo. Cieszy się, że go wpuszczono za ołtarz, „gdzie komin najświętszej Panny“; że mu „prezentowano splendory kaplicy“: miseczkę, z której najświętsza Panna jadła; pieluszki, któremi spowijała Pana Jezusa; sukienkę wełnianą, w której wraz z domkiem swoim do Loretu przybyła. „Oto wszystko — powiada — ocieraliśmy rozmaite paciorki i agnuski, także wzięliśmy wody, którą ksiądz opłukiwał miseczkę“ (7). Zauważył Zawisza, „że przez morze i teraz znaczna bieleje droga, którądy aniołowie do Loretu nieśli domek najświętszej Panny“; widział okno, „którądy archanioł Gabriel wchodził, zwiastując“; miejsce, „gdzie ona modliła się natenczas“, i dziwi się, że nie ubywa domku, „który ludzie na relikwie dłubią i biorą.“ W Assyżu ocierał Zawisza paski brackie o pisma, regułę, suknię i t. p. przedmioty, pozostałe po św. Franciszku (8); oglądał w kościele rzymskim stół, na którym św. Grzegorz jadł i u którego aniołowie obiadowali z nim często (9); u św. Pawła widział krucyfiks, „do którego św. Brygida modliła się i święte duchowne miała pieszczoty“; u św. Jana lateraneńskiego przypatrywał się źródłu, jakie wytrysło w miejscu, gdzie padła głowa św. Pawła (10); pokazywano mu dwa miejsca, na których była krew Zbawiciela; słup, u którego przywiązany i biczowany był Chrystus; chustę Weroniki z twarzą

(1) Historia pan. Jana Kazimierza II. 433. (2) Tamże, I 129. (3) Dyaryusz Szyrmy. (4) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 186. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 4. (6) Dyaryusz T. H. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 58). (7) Pamiętniki Zawiszy, str. 86. Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 120. (8) Pamiętniki Zawiszy, str. 87. (9) Tamże, str. 90. (10) Tamże, str. 91.

Pana Jezusa i t. p. (1). „Można było spostrzegać — powiada Moszczyński — pielgrzymów we właściwych im sukniach, idących do Kompostelli, Jerozolimy i Rzymu, a przynoszących w powrocie dostatek relikwiarzy, *agnus Dei*, paciorków i medalików.“ Pielgrzymujący za Augusta III niejaki Wolski, ubrany był w żupan aksamitny czarny, podszyty lamą srebrną i ozdobiony na lewym boku czerwonym krzyżem; krzyże miał haftowane na butach, konchę morską na srebrnym łańcuszku, zawieszoną przy płaśszczu, za pasem czerwonym paciorki, a w ręku wysoką podróżną laskę (2).

Obchodzili pobożni w miejscach cudownych stacye męki Pańskiej, składali *vota*, zapisywali się do bractw i ćwiczyli się w modłach. Stacye męki Pańskiej budowali panowie lub księża na podobieństwo jerozolimskiej Kalwaryi. „W Pakości Działyńscy fundowali kalwaryę męki Chrystusa Pana, miejsca po jerozalemsku reprezentującą“ (3); „Zebrzydowski, wojewoda krakowski, bywszy, w Jerozolimie i wzięwszy należyty dymensyę tamtych stacyi, znalazł we wszystkim podobne miejsca w dobrach swoich zebrzydowskich.“ Pomurował w nich stacye i, bernardynów sprowadziwszy, nazwał Kalwaryą (4). Chrapowicki drogę męki Pańskiej obchodził przez godzin cztery rano, po południu drogę najświętszej Panny przez godzin trzy (5); Matuszewicz na obejście stacyi w Kalwaryi Zebrzydowskiej poświęcił dzień cały. „Zaraz po południu — powiada — wyszedłszy, a po bardzo przykrych górach chodząc i niemal rakiem łażąc, tudzież przez czterdzieści kamiennych schodów kłęcząc i na każdym schodzie po jednym pacierzu mówiąc, ledwośmy to obchodzenie w nocy skończyli“ (6). W Wielki Piątek procesya tak zwanych kapników ze śpiewaniem obchodziła mękę Pańską, biczując się przy każdej stacyi. Jednego z kapników ubierano w komżę i kapę, na głowę kładziono *velum* od kielicha i z ciernia uplecioną koronę. Miał on wyobrażać Zbawiciela, idącego na górę Kalwaryi, wkładano mu przeto na ramiona i krzyż, z dość ciężkiego zrobiony drzewa. Gdy, postępując krok za krokiem, na jedno kolano przyklekał, idący za nim bili go, wołając: „przystępuj Jezule!“ (7).

Król, magnat i nędzarz w różnych okazjach składali w miejscach cudownych *vota* rozlicznych kształtów i rozmaitej wartości. Królewicz Jan

(1) Tamże, str. 92. (2) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 18. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 378. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 31. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 173. (6) Pamiętniki Matuszewicza. III. 31. (7) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 16.

Kazimierz, przypisując wyzdrowienie swoje cudownej opiece Matki boskiej, ofiarował się jej w kościele karmelitów we Lwowie i na obrazie srebrną zawiesił tablicę (1); wywdzięczając się za ratunek w niebezpieczeństwie, złożył przy grobie bł. Jana z Dukli rękę złotą, ważącą siedmset dukatów (2); w r. 1667 składał *votum* w Częstochowie z prośbą o uspokojenie ojczyzny i wyzdrowienie królowej Ludwika (3). Sobieski po zwycięstwie pod Hajeciem „*votum* srebrne Matce boskiej w Studziannie wraz z wojskiem oddał” (4); Marcin Kalinowski het. pol. kor. wywdzięczał się w tenże sposób Matce boskiej częstochowskiej za oswobodzenie z niewoli krymskich Tatarów (5); Chrapowicki składał „tablicę srebrną sporą i sztuczki rubinowe” za małżonkę i siebie „na intencję chorej ręki lewej” (6). W Studziannie „dawali *vota* srebrne, na których wyrażali doznane cuda; zawieszali na ścianach kule i szczudła; powróceni z niewoli kajdani i pęta; ci, którzy wzrok odzyskali w ślepotcie, przybijali do ołtarza oczy, zrobione z kruszców lub wosku” (7).

Dla ćwiczeń duszy zapisywano się do bractw, liczba których w XVII stuleciu wzrosła olbrzymio. Oprócz najstarszych w Krakowie: najświętszej Panny Maryi i Wniebowzięcia najświętszej Panny Maryi, istniały: związane przez jezuitów na cześć i nieustanną adorację najświętszej Maryi Panny stowarzyszenie sodalisów maryjańskich, arcybractwo miłosierdzia i męki Pańskiej, bractwo Trójcy świętej, najświętszego sakramentu, serca Jezusowego, św. krzyża, różańca i szkaplerza, niepokalanego poczęcia Bogarodzicy, siedmiu boleści najświętszej Panny, Opatrzności boskiej, pocieszenia najświętszej Panny, ratunku dusz, św. Anny, św. Antoniego padewskiego, paska św. Franciszka, św. Tekli, imienia Maryi, św. Łazarza, św. Rocha i t. p. W XVII wieku nie było kościoła bez bractw kilku lub przynajmniej jednego; u samych jezuitów w Kaliszu utrzymywało się dwanaście, z których połowa przypadała na cześć Matki boskiej, a reszta pod wezwaniem innych patronów i świętych (8). Wkładały bractwa na członków obowiązki nabożne i przepisywały odpowiedni kościelny uniform. Fundowane przez biskupa Marcina Szyszkowskiego przy kościele św. Franciszka w Krakowie używało kap czarnych z malowanymi trupiami głowami i z na-

(1) Kubala. Szkice historyczne. Lwów, 1881. Serya I, str. 9. (2) Tamże, I. 12. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 416. (4) Tamże, II, 435 i 447. (5) Tamże, I. 129. (6) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 54 i 155. (7) Historia pan. Jana Kazimierza II. 433. (8) Encyklopedia powszechna Orgelbranda. IV, 247 — 250.

pisem: „Pamiętaj człowiecze na śmierć” (1); przy kościele św. Anny używano kap szarych. Należenie do bractwa różne zapewniało korzyści. „Ktokolwiek w bractwie przy kościele Nawiedzenia najświętszej Panny na Piasku jest i szkaplerz, podany od najświętszej Panny Maryi nabożnie i z wielką uczciwością nosi, a według stanu swojego w czystości żyje, — takiego Panna najświętsza w dzień sobotni, pierwszy po śmierci z czyśćca wybawi i do chwały królestwa niebieskiego zaprowadzi. Potrzeba tylko życia i powinności brackie, od Panny Maryi oznaczone, zachować: nosić na sobie szkaplerz z wielkim uszanowaniem; mięsa nie jadać we Środy; pacierze konwierskie, albo laików, albo też *officium* o Pannie najświętszej karmelitańskiej odprawować; koronkę także, siedm pacierzy, a siedmdziesiąt pozdrowienia anielskiego odmawiać”; w dni robocze „przynajmniej po siedm pacierzy, tyleż pozdrowienia anielskiego i *credo*” (2). Inne bractwa obowiązki na członków wkładały mniejsze, ale też i nie tak doniosły przynosiły pożytek. Zawisza, zapisując się do bractwa u panien benedyktynek w Mińsku, obrał sobie cztery tylko godziny do roku na cześć najświętszego sakramentu t. j. 2 sierpnia, 2 listopada, 2 lutego i 2 maja (3). Nie mógł za to korzystać z odpustów tych „co u św. Piotra na Watykanie” i nie miał szansy wyzwolenia się z czyśćca w pierwszy dzień sobotni po śmierci.

Modlono się z zapalem i często. Matuszewicz „nieraz w nocy wstawszy, dyscyplinował się, klęcząc; pacierze zrana i na wieczór zawsze długo i nabożnie mawiał; często do św. Franciszka Ksawerego ze ścisłym postem *decemdia* odprawował i do św. Barbary osobliwie był nabożnym; żywoty świętych co dzień czytał i Tomasza à Kempis” (4). Dowiedziawszy się o śmierci brata, Matuszewicz zaraz do kościoła jezuitów do konfidenta swego się udał i przez dwa dni płakał (5); wojewoda podlaski, Sapieha, z okazji utraty syna „pośzedłszy do kościoła, padł krzyżem przed najświętszym sakramentem” i tak blisko godzinę leżał (6). Niektórzy miewali zwyczaj codziennie trzech mszy słuchać (7); inni w miejscach cudownych, krzyżem leżąc, obecni byli na kilku (8). Podczas Zmartwychwstania Pańskiego „od Wielkiego Czwartku — powiada Zawisza — aż do Niedzieli bawilem się na nabożeństwie; Panu Bogu na cześć i na chwałę klęczeliśmy godzinami po parze aż do jutrzni u grobu Pańskiego” (9); inną

(1) Pruszez. Klejnoty st. m. Krakowa, st. 19. (2) Tamże, str. 77 i 78. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 46. (4) Pamiętniki Matuszewicza. II. 24. (5) Tamże, I. 176. (6) Tamże, I. 8. (7) Dyaryusz Szyrmy. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 257. (9) Pamiętniki Zawiszy, str. 66.

razą „od dwunastej w Piątek godziny kolejno klęczano, nie opuszczając nocy, aż do dwunastej na Niedzielę“ (1). Nie wystarczało podczaszemu koronnemu, Czackiemu, jedno święto Bożego Ciała, wyrobił sobie przeto przywilej na drugie, odbywane w ostatnie dni zapust z czytaniem czterech ewangelii i z procesją przy ołtarzach w Porycku (2). W podróży zwiedzano kościoły i słuchano nabożeństw (3). „Przededniem — powiada Chrapowicki — przybiegłem do Krynek dla rorat; że ich ksiądz nie chciał odprawiać, aż ze mszą zwyczajną niedzielą, — pojechałem do Odelska na one,“ (4).

Ekscentryczniejsi zadawali sobie męczarnie. Przez cały wielki post — powiada Moszezyński — można było widzieć po wszystkich parafialnych kościołach i klasztorach procesje kapników, na czele których szedł niosący ukrzyżowanego Chrystusa, a na końcu postępował dwaj z czarno malowanymi laskami. Wszedłszy do kościoła parami i klękawszy, z dyscypliną w rękach rozkładali się krzyżem. Okryci zaś byli szerokimi, z grubego płótna, otwartymi na plecach worami; głowę osłaniali spiczastym kapturem z dziurami dla oczu i ust. Za uderzeniem lasek, padłszy na ziemię, podnosili zasłony z pleców i zaczęli się biczować. „Jedni mieli dyscypliny rzemieńne z przypiekanymi końcami, drudzy druciane, a niektórzy z metalowymi gwiazdeczkami na końcu, dla rwania ciała. Biczowali się zaś tak mocno, że krwią pluskali klęczących blisko, lub też siedzących w ławkach“ (5). Zmarły w r. 1694 chorąży piński, Bazyli Godebski, przez cały post wielki na gołym ciele nosił łańcuszki i pancierz (6); opasywała się łańcuchami ostremi Anna z Lubomirskich, hetmanowa Rzewuska (7); kasztelan brzeski, Abramowicz, konając „w piersi mocno się bił tak, że aż znaki od sygneta, na palcu będącego, zostały“ (8). Mikołaj Koniecpolski, sędzia sieradzki „*sterilis nonagenarius in coelibatu et quod maximum pura virgo*“ dokonał życia (9); Jan Koniecpolski, spostrzegłszy, że rodzice chcieli go zenić „*a in virginitate żył in longinquum*“, uciekł z domu i po obcych tułał się krajach (10). Skrupulatność w zachowywaniu postów dochodziła do szczytu. Nie chciały wraz z pobożnymi ludźmi przyjąć klasztory wyrobio-

(1) Tamże, str. 74. (2) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 85. (3) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 29. (4) Tamże, str. 182. (5) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 16. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Rzewuski. Kronika podhorecka, str. 34. (8) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 94. (9) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 164 i 428. (10) Tamże, str. 189.

nej przez biskupa Czarotoryskiego i opublikowanej w dyecezyi poznańskiej bulli papieskiej, pozwalającej ze względów higienicznych używać w poście w miejsce oleju nabiału (1). Śmiertelnie chory „w Sobotę, jak był bardzo nabożny do najświętszej Panny, tak dzieciom nakazał pod błogosławieństwem swoim, aby go nie oszukali, a, uchowaj Boże, z mięsną esencją, a nawet z masłem czego nie dali“ (2); dziwi się Krzysztof Zawisza, że „imci panna sędzianka na lutni przygrywała i ta muzyka zgorszenia w post nie czyniła“ (3). Pobożność uwydatniano nawet w ubiorze. Szlachta kolorowe suknie nosiła od Niedzieli do Piątku, w Piątek czarne, w Sobotę popielate (4).

Pobożni rodzice chętnie dzieci swoje widzieli w stanie duchownym, a i sami częstokroć osiadali pod starość w klasztorach. Chrapowicki oddaje córkę do brygidek w Grodnie (5); kasztelan sieradzki, Walewski, ma córkę panną zakonną w Wieluniu (6); Anna Koniecpolska w tymże Wieluniu służbie bożej poświęca dwie córki (7); tyleż marszałek koronny Zygmunt Myszkowski (8); Krzysztofa Koniecpolskiego, wojewody bełzkiego pięć córek (9), Paska tyleż pasierbic „nie z żadnego przymuszenia, albo z jakiej potrzeby (bo dziewczki były urodziwe i z posagiem), ale z samego boskiego natchnienia“ — zakonnicami pomarło (10). Franciszek Szyrma jezuitą miał brata, córkę bazylianą, z synów trzech jezuitów, dwóch franciszkanów (11). Stefan Czarniecki miał pięciu braci w stanie duchownym (12); Józef Wybicki księdzem miał stryja i brata, siostrę zakonnicą, sam również w murach klasztornych pragnął się zamknąć (13). Starościna dobezycka wstąpiła pod starość do teresek w Krakowie (14); hetmanowa Rzewuska zapisuje się w r. 1740 do terecyarek św. Dominika i przybiera imię Kolumby (15); hetman Wacław Rzewuski, za przykładem dziada swojego, Michała, zapisawszy się do terecyarzy św. Franciszka, przywdziewa habit (16).

Przewodniczyli w praktykach nabożnych księża, szczególnie zakonnicy, liczba których w XVII stulecia olbrzymio wzrosła. Do istniejących

(1) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 20. (2) Pamiętniki Matuszewicza. II. 5. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 66. (4) Pamiętniki Koźmiana. I. 336. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 102. (6) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 164. (7) Tamże, str. 184. (8) Tamże, str. 200. (9) Tamże, str. 183. (10) Pamiętniki Paska. Petersburg, 1860, str. 239. (11) Dyaryusz Szyrmy. (12) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 333. (13) Pamiętniki Wybickiego. Wyd. Raczyńskiego. Poznań, 1840, t. I. (14) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 200. (15) Rzewuski. Kronika podhorecka, str. 34. (16) Tamże, str. 129.

w czasach dawniejszych przybyli: reformaci, bonifra trzy, oratoryanie, misyonarze, karmelici bosi i bazylianie; — w ogóle około 600 klasztorów rozrzuconych było po kraju (1). Zakładali mnisi liczne bractwa nabożne; w konfesyonale i z ambony, w celach swoich i w wycieczkach za kwestą zachęcali do pielgrzymek, rekolekcyi i modłów; zaszczepiali w masach pochop do praktyk religijnych i do egzaltowanej dewocyi. Działali za pomocą fundowanych przez panów i hałaśliwie odprawianych misyi (2); wpływali przez liczne, do ołtarzy przywiązane odpusty i tak zwane miłościwe lata, których w XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku naliczyć można немало. Obchodzono jubileusz w r. 1645, nadany „z wielkimi duchownymi łaskami“ (3); w r. 1650 (4), w 1663 na uproszenie ratunku przeciwko nieprzyjacielowi krzyża świętego (5); w r. 1692, w 1694 „na uproszenie zgody *principum christianorum*“; podobnie w r. 1696, 1707, 1724, 1727 i 1731 (6). Zuchwałym grzesznikom grożono niedopuszczeniem do sakramentów, odmówieniem pogrzebu i klątwą (7). „Przeklęty niechaj będzie w domu i na dworze, przeklęty w mieście i na roli; przeklęty niechaj będzie siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, robiąc i śpiąc. Przeklęty niechaj będzie tak, iż w nim zdrowego członka nie będzie od wierzchu głowy aż do stopy nożnej. Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało jego niech robactwo roztoczy. Niechaj będzie przeklęty z Ananiaszem i Zaphirą, niechaj będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niechaj będzie przeklęty z Abironem i Dathanem, których ziemia żywo pożarła. Niechaj będzie przeklęty z Kainem mężobójcą, niechaj mieszkanie jego będzie spustoszone; niechaj będzie wymazany z ksiąg żywiących i ze sprawiedliwymi niechaj nie będzie pisany i pamiątka jego na wieki niechaj zaginie. Niechaj na ostatnim sądzie przeklęty będzie z dyablem i z anioły jego i na wieki niechaj zginie, jeżeli się nie upamięta“. W ten sposób 4 maja 1612 r. w kościele Wszystkich Świętych kłął synod krakowski Aleksandra Koniecpolskiego „ze wszystkimi temi, co mu radę i pomoc jakimkolwiek sposobem dawali, co mu fawowali, którzy się cieszyli z tego; którzy wiedzieli, a nie przestrzegali i nie dali znać“, gdy uwoził z klasztoru dwie panny (8). Przychodziło tu duchow-

(1) Szujski. Dzieje Polski. I I 431. (2) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 184. Pamiętniki Matuszewicza. III, 16 i 17, 37. (3) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 13). (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 136. (5) Tamże, II. 244. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 23 i 24. (8) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 211.

wieństwu z pomocą i państwo. Za przeżycie przez rok i sześć niedziel w klątwie kościelnej, podobnie jak za bluźnierstwo przeciwko religii katolickiej i niewykonywanie przez lat kilka spowiedzi wielkanocnej, pociągano do odpowiedzialności sądowej i karano surowo (1).

Ksiądz umiał pozyskać zaufanie rodziny i wśliznąć się do najskrytszych tajemnic; człowieka, którym pragnął owdładać, nieodstępny był cieniem i niepodzielnie nad sumieniem jego panował. Ludzie bogaci ciągle przy sobie kapłana z jakiegoś zgromadzenia miewali (2); inni drzwi domu dla zakonników otwierali na oścież i przedstawiali z nimi niemal codziennie (3). Bez benedykcyi kapłana szlachcic w dłuższą drogę puścić się nie śmiał (4); w podróży z księżmi jadł obiad, u ojców w klasztorze nocował (5). Konfident godził zwaśnione małżeństwa (6), w nieszczęściu kołł boleści (7); pobudzał do hojności na kościół i redagował testament, którym znaczną część mienia przelewano na cele pobożne.

Matuszewicz „do wystawienia kościoła i klasztoru kamienieckiego najwięcej we wszystkim dopomógł; sprawił siłą aparatów kościelnych i organy, oprócz tego gotowemi pieniędzmi dawał. W dobrach swoich: Szeszowie, Horodyszczu i Rohaczach nowe cerkwie powystawiał i jałmużnami nadał; kościołowi janowskiemu, na reperację jego, kilka tysięcy złotych wysypał; na odnowienie kościoła wilanowskiego tysiąc dał złotych. W Radzanowie, miasteczku swoim, kościół nowy wystawił; na murowanie kościoła bernardyńskiego w Ratowie złożył kilka tysięcy; nareszcie maryanów w Rasnej fundował“ (8). Jerzy Ossoliński, kanclerz w. kor. „ołtarz w Częstochowie wspaniały Panny przeczystej wystawił; w dobrach swoich Klinatowiczach kościół osobliwą strukturą zbudował, ufundowawszy przy nim kapitułę kanoników“ (9); Stanisław Lubomirski za życia swego wystawił dwadzieścia kościołów i onym fundusze opatrzył (10). Kasztelan krakowski, Stanisław Koniecpolski, testamentem z 22 sierpnia 1682 roku zapisuje kościołowi farnemu w Koniecpolu 30.000 złp., kmiecia jednego i dwóch półrolników; do konwentu kościoła na Jasnej Górze częstochowskiej ofiaruje „pierścień brylantowy w rauty wysoko rznęty, w złoto opra-

(1) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. Wyd. Raczyńskiego, Poznań, 1840—41. T. I. 243. (2) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 184. (3) Dyaryusz Chrapowieckiego, str. 71. (4) Tamże, str. 52 i 54. (5) Tamże, str. 173. (6) Pamiętniki Matuszewicza. III. 169. (7) Tamże, I. 176. (8) Tamże, II. 24. (9) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 120. (10) Tamże, I. 96.

wny; do tego perłę gruszkową wielką“ i sumę zł. 5000; klasztorowi w Studziannie 3000 zł.; klasztorom: w Leżajsku, Sokalu, Przyrowie, Gidlach, Podkamieniu i Mstowie po zł. 500; kościołowi brodzkiemu zł. 3000, szpitalowi koniecpolskiemu zł. 2000. Jan Aleksander Koniecpolski klasztorowi w Podkamieniu „dla ozdoby miejsca tamtego“ 4000 zł. testamentem wyznacza; takąż sumę zapisuje dla obrazu w Sokalu, kościołowi w Częstochowie 3000 zł. i pierścień, a oprócz tego funduje dwie misye.

W testamentach wypowiadano swe *credo* i przedsiębrano środki ku zapewnieniu sobie rozkoszy nieba. „Umierać chcę — pisze Stanisław Koniecpolski — w wierze św. katolickiej... Artykuły wszystkie wiary świętej tak trzymam i trzymać będę do skonu życia mego, jako kościół powszechny katolicki trzyma i wyznawa rzymski. Duszę moją, ciężkimi grzechami zmazaną, oddawam w ręce temu, który ją stworzył — najwyższemu Bogu, prosząc płaczliwie majestatu jego przenajświętszego, aby nie pomniał na występki młodości mojej, ale żeby mi one przez wylanie niewinnej krwi Chrystusa Pana, za przyczyną najświętszej Panny Bogarodzicy Maryi i wszystkich świętych z nieogarnionego miłosierdzia swego odpuścić raczył. Ciało, jako z ziemi wzięte, ziemi aby jako najprędzej było oddane, bez wszelkich wytwornych kosztów; kapłanów tylko świeckich i zakonnych z ubogimi żebrakami i szpitalnemi jako najwięcej zgromadzić, których nakarmiwszy, każdemu księdzu, co miał mszę świętą, po zł. sześciu, ubogiemu też po złotych trzy aby dano mieć chcę i oto dla miłości bożej proszę, żeby za tę jałmużnę grzeszna dusza moja przed majestatem najwyższego Boga kapłańskimi i żebrackimi modlitwami ratowana była“. Za legat dla kościoła w Koniecpolu żąda: „trzymać przy nim kapłanów, z których trzech *cum aliis ministris ecclesiae* mają zawsze *curs* albo *officium parvum beatiss. Virginis Mariae* na każdy dzień śpiewać; we Środę każdą i Piątek po jednej mszy świętej *pro animabus defunctis* za moich świątobliwych antecesorów i moją duszę, a w Sobotę mszę świętą śpiewaną *de immaculata conceptione beatissimae Virginis Mariae perpetuo* odprawować mają... Oprócz tych mszy świętych, *tenentur* każdy przełożony kościoła do odprawowania czterech mszy świętych kwartalnych *pro animabus fundatorów et mea*. Czwarty zaś kapłan, *de vita et doctrina probatus*, aby na każdą Niedzielę i święto według kościoła św. katolickiego kazanie na ambonie w kościele farskim miewał“. Ojców dominikanów prosi „aby wszystkie *sacrificia* i *mortificatione* swoje, także jedną mszę śpiewaną na kwartał odprawowali“ za duszę; w klasztorach: częstochowskim i w Studziannie mają zakonniacy po siedm mszy *per totam*

provinciam odprawiać. W tem wszystkim powoduje nim: wdzięczność za „dobrodziejstwa przeczystej Panny Maryi, Matki bożej, za której przyczyną wielokrotnie odbierał błogosławieństwa i łaski“; bojaźń — aby ciężkie grzechy „przed majestatem boskim popełnione“ nie zatrzymały go długo „od oblicza najwyższego Boga“; nadzieja, — że za przyczyną Matki boskiej „po śmierci dostąpi dusznego zbawienia“. „Tak tedy — kończy Koniecpolski — przy miłościwej i nigdy niezbrodzonej łasce bożej rozporządziwszy wszystko, powtóre duszę moją grzeszną w ręce najwyższemu Bogu, stwórcielowi swemu, w obronę i opiekę najświętszej Pannie, Matce syna bożego, odkupiciela i zbawiciela mego i wszystkich świętych polecam“ (1).

Przewidując śmierć bliską, dygnitarze rezygnowali z urzędów i schyłek życia przepędzali w klasztorach. Marszałek w. kor. Opaliński „gotując się na śmierć, abdykował to ministeryum, resztę dni Bogu poświęciwszy w Leżajsku, u bernardynów, przy cudownym obrazie Panny przeczystej“ (2); Jan Kazimierz na radzie senatu w r. 1668, na sejmie i w akcie abdykacyi oświadcza, jako „składa koronę, ażeby miał czasu trocha wolnego przygotowania się na tamten świat“ (3). W ostatnich chwilach baczono pilnie, iżby „ducha swego, *omnibus sacramentis* dobrze uzbrojonego, Panu Bogu oddać“. Kazano się chować w habitach (4), pod ołtarzami lub progami kościołów; na płytach grobowych ascetyczne ryć polecano napisy. Wojewoda sieradzki, Aleksander Koniecpolski, pochować się kazał w sklepie pod ołtarzem wielkim „i tak w to potrafić, aby, gdy kapłan celebrować będzie, stał nogami na głowie“ (5); podsędek piński, Tokarski, złożony został pod bocznym ołtarzem; Szyrma pod progiem kościoła franciszkanów pińskich (6); wojewoda krakowski, Jan Wielopolski, pogrzebać się kazał we drzwiach u reformatów w Warszawie i położyć kamień z napisem: „Tu leży niegodny grzesznik, módlcie się za niego“ (7).

Zalecano w testamentach, żeby pogrzebowi towarzyszyło jak najwięcej księży zakonnych i świeckich; jakoż gromadziła się jednych i drugich liczba ogromna. Za trumną hetmana Stanisława Koniecpolskiego w Brodach w r. 1646 szło karmelitów szarych i franciszkanów par 16, bernardynów par 23, dominikanów par 32 i świeckich księży niemało (8). Na

(1) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 375—389. (2) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 105. (3) Tamże, II. 464, 472., 478. (4) Pamiętniki Matuszewicza. II. 10. (5) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 215. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 461. (8) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 293.

pogrzeb hetmana w. kor. Radziwiłła zakonników, księży świeckich i presbiterów unickich zebrała się liczba tak duża, że się w Nieświeżu pomieścić nie mogła. „Kazał tedy książę wojewoda wileński namioty swoje, których i wielkich i siła jest bardzo, porozbijać dla duchowieństwa za miastem“ (1). Matuszewicz na pogrzeb ojca sprowadził 324 księży *ritus latini*, 150 *ritus graeci uniti* i bractwa (2). Kiedy procesja konduktowa stała przed kościołem, ciało wynoszono dopiero ze dworu (3). Po skonie bogatszych w całej okolicy rozbrzmiewał pogrzebowy głos dzwonów, w kościołach odprawiano egzekwie, prawiono mowy i śpiewano msze liczne. „Rozesłałem — powiada Matuszewicz — do Brześcia do wszystkich kościołów i do innych, w okolicy będących kościołów i cerkwi pieniądze na trzydniowe po ojcu dzwonicie“ (4). Podczas pogrzebu hetmana w. kor. Radziwiłła odprawiano msze po wszystkich świątyniach „od północy aż więcej do południa“ (5). Starano się o ostentację największą. „Wynieśliśmy — powiada Matuszewicz — nieodżałowanego ojca naszego i na katafalk, na saniami zrobiony, wstawiliśmy. Konie w kapach czarnych ubrane były. Gdyśmy stanęli z ciałem przed kościołem, marynary z krzyżem wyszli. Miał jeden z nich przemowę, potem wzięli trumnę na ramiona swoje i postawili na katafalku w kościele. Druga znowu w kościele na ambonie maryjańska przemowa była, a nazajutrz solenne egzekwie, wigilie wszystkich zakonów“ (6). Pierwszego dnia za msze święte płacił Matuszewicz *gratitudinis ergo* po tynfów pięć i za wigilie śpiewane każdemu zakonowi po czerwonym złotym jednym; prałatom świeckim i proboszczom *pro dignitate* każdego jednym mniej, drugim więcej czerwonych złotych, presbiterom ruskim po tynfów trzy. Drugiego dnia księżom łacińskim za mszę świętą po trzy tynfy i za śpiewanie wigilii po czerwonym złotym, a presbiterom ruskim po tynfów dwa (7).

Formalizm religijny nie odstępował człowieka nigdzie i nigdy. Tarczą był wśród niebezpieczeństw i trosk; stanowił miarę do oceny faktów i ludzi; odgrywał rolę bussoli we wszelkich stosunkach życia.

Przekonanie było powszechne że „najpierwszy szlachcic w niebiosach, który swego syna jedyne go wydał na mękę i żydem go zrobił“ — dla narodu polskiego szczególną ma słabość; że Matka boska, proklamowana uroczystości królową polską, skrzydeł opieki swojej nie zwinie nigdy. Dla zła-

(1) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 36. (2) Tamże, II. 90 i 28. (3) Tamże, II. 28. (4) Tamże, II. 28. (5) Tamże, IV. 36. (6) Tamże, II. 28. (7) Tamże, II. 91 i 92.

godzenia gniewu bożego wypada tylko komplementów zażyć i czułościowych grzeczności, praktyk nabożnych i modłów. Każdy ciągle miał imię Boga na ustach; w owych to czasach „Niech będzie pochwalony...“ wprowadzone bullą papieską wraz ze stu dniami odpustu, przyjęło się i zakorzeniło w całym narodzie (1). Na ukrócenie sejmikowych tumultów skuteczną była patyna (2); dla odniesienia zwycięstwa wystarczyło wydanie bitwy w uroczystość Niepokalanego poczęcia najświętszej Maryi Panny (3), pobłogosławienie broni (4) i pocieranie jej świętościami różnemi (5), śpiew: *o gloriosa Domina* (6) i okrzyk: Jezus! (7). Jan Kazimierz, wracając ze Szląska do Polski, „całe noce, u drzwi kościelnych krzyżem leżąc, modlił się, na pomoc Boga wszechmogącego wzywając“ (8); Matuszewicz, konkurując o pannę, jeździł „na Antokol do Pana Jezusa nazareńskiego, cudami sławnego“, przez dwa Piątki odbywał spowiedź i przyjmował komunię (9). W kłopotach procesowych do św. Franciszka Ksawerego *decemdia* odprawiał, modlił się do najświętszej Panny w Mińsku (10), rozsyłał pieniądze na klasztory i na szpitale (11), częste czynił spowiedzie, jałmużny i na trycezy my dawał (12), w kościele bernardynów w Warszawie, „bardzo rzewnie, niemal z ryczeniem przed najświętszą Panną płakał, oddając się jej opiece i prosząc o konkluzję pomyślną“ (13). Pragnąc dla partyi swojej na sejmiku dobry pozyskać sukces „dał na trycezymę na mszę świętą za duszę zmarłych, spowiadał się, wotywy przed św. Antonim ze śpiewaniem: *si quaeris miracula* słuchał i na szpitalu sypał jałmużny“ (14). Inną razą co miał monety posłał franciszkanom do św. Antoniego na msze święte i na *si quaeris miracula* „aby za intencją tego wielkiego świętego patrona... nie przyznał się do tego z bojaźni, w czym nie był winien“ (15); to znowu „przez nabożeństwa, jałmużny i dawanie na trycezymy na ratunek dusz zmarłych“ chciał się dowiedzieć, do jakiego politycznego ma przystąpić stronnictwa (16). Podczas pożaru wzywano protekcyi św. Floryana, przy ciężkich porodach św. Tadeusza, *in desperatis* patrona (17).

Nie zapomniano o formach religijnych nawet przy wymiarze przestrzeni. Głębokość salin wielickich równa się prześpiewaniu godzin o nie-

(1) Kubala. Szkice historyczne. II. 312. (2) Pamiętniki Matuszewicza. III. 160. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 173. (4) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 72. (5) Pamiętniki Paska, str. 41. (6) Tamże, str. 6. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 76. (8) Tamże, I. 278. (9) Pamiętniki Matuszewicza, II. 99. (10) Tamże, II. 148. (11) Tamże, II. 165. (12) Tamże, II. 262. (13) Tamże, II. 274. (14) Tamże, III. 23. (15) Tamże, III. 192. (16) Tamże, IV. 215. (17) Dyaryusz Szyrmy.

pokalanem poczęciu najświętszej Panny (1); głębokość studni lanckorońskiej powolnemu zmówieniu psalmu (2). Tem bardziej ze stanowiska formalizmu religijnego oceniano wartość człowieka. Porządnego dyssydenta charakteryzowano krótko: „człowiek rozumny, ale kalwin obrzydły“ (3); za to August III, choć miał pewne defekta („bez których żaden człowiek nie może być“), — ale był „pan prawowierny, przykładny, rzymski katolik, wcale nabożny, bo codziennie mszy świętej, klęcząc, słuchał, a potomstwo swoje liczne boskiej providencji oddawał“ — no, i na katolicyzm nawracał Bryła (4). Gdy na elekcyi w r. 1764 rozprawiano o wyznaniu przyszłej królowej, — „niechby — mówiono, choć nie nabożną, ale przynajmniej katoliczką była królowa“ (5). Aspiracya powyższa najlepiej może charakteryzuje religijny czasów tamtych formalizm i dobrze tłómaczy pobudki, dla których nieustannie przeciwko dyssydentom toczono wojnę.

Gdy dzisiejszy papież Klemens — pisze Jewłaszewski — będąc jeszcze kardynałem, znajdował się u króla Stefana w Wilnie, — siedziałem u stołu ks. Niedźwieckiego kanonika ze sługami kardynała, Włochami. Ci, gdy się dowiedzieli, że ewangelik, dziwowali się bardzo, jako mnie śmiał ksiądz kanonik na obiad do siebie wzywać; a kiedy on im przełożył, że u nas z tego względu żadnej nienawiści nie bywa i miłujemy się, jako z przyjaciółmi dobreimi, — chwalili to Włosi. Teraz (w początkach XVII stulecia) — ciągnie dalej ów autor — między różnemi wiarą ani już pytać o miłość, szczerłość i prawdziwe dobre zachowanie się... O! — pokrzykuje — dałby Bóg, aby łagodniejsze wieki nastać już mogły (6).

Nim owe łagodniejsze nastały wieki, przez ciężkie dyssydenci musieli przejść bicze.

Zalecali ojcowie w testamentach swym dzieciom wytrwałość w katolicyzmie, dla inowierstwa nienawiść. „Napominam was, dziatki moje — pisze Koniecpolski — najprzód przy wierze świętej katolickiej rzymskiej, w której ja umieram, abyście mocno stojąc, heretyctwa i nowszych nauk, którekolwiek i jakimkolwiek sposobem się wnoszą, strzegli... Każdy masz się cieszyć, iż jest synem tej matki, t. j. kościoła powszechnego, który wszystkich świętych matką wspólną jest i na której łonie umrzeć szczęśliwsza rzecz jest, aniżeli się od początku urodzić, gdyż nigdy się nie uro-

(1) Pamiętniki Matuszewicza. III. 29. (2) Tamże, III. 31. (3) Historia pan. Jana Kazimierza I. 267. (4) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 120. (5) Tamże, IV. 280. (6) Pamiętnik Teodora Jewłaszewskiego (1546—1604). Warszawa, 1860, str. 13.

dzić lepsza jest, aniżeli w tym kościele nie umrzeć“ (1). „Wnuku mój! piśże inny Koniecpolski w rodowodzie swojego domu; to było w pradziadach twoich, że byli, żal się Boże! ewangelikami...“ (2). Dzieci zalecenia ojców spełniały ściśle i nienawiść ku dyssydentom prezentowały rzetelnie. „Wychoź — woła Kochowski w Bando n a r y a n y, sejm em w a r s z a w s k i m z k o r o n y p o l s k i e j wywołane — swacho Babilonu, nierządnicę wszeteczną, sarmackiego mólu tronu, ojczyzny hańbo wieczną! Fora z dwora, precz z korony, atejska bezbożności, któraś przez swój jad szalony matki gryzła wnętrzności“ (3). „Ateistowie, dyabli synowie... psi niecotliwi“ — nuci znowu Potocki (4). Ileż razy na sejmach żądała szlachta, żeby heretykom „dóbr, a n i u r z ę d ó w n i e d a w a ć“ (5), z senatu rugować (6) i wreszcie — „wykorzenieć w ojczyźnie“. Jakoż usuwano niekatolików z urzędów; za namową księży (7) tamowano im na sejmach swobodę głosu, nie pozwalano zasiadać na sądach. W r. 1648 upominali się dyssydenci o krzywdę Niemirycza, że go, jako arianina, niedopuszczono do podkomorstwa w województwie kijowskim (8); w r. 1748 domagano się, żeby generalnego dyrektora poczt w Rzeczypospolitej, jako „dyssydenta *in religione*“ zrzucić z urzędu (9). Na sejmie z r. 1718 krzyknęli Mazurowie i Litwa, jako poseł Piotrowski „nie może mieć głosu w państwie katolickiem, ponieważ jest sektarz“ (10); w r. 1717 siedmiu deputatów dla różnicy w religii opuścić musiał trybunał (11). W punktach ugody z Kozakami w r. 1648 i w umowie hadziackiej zastrzeżono, aby w projektowanych akademiach: kijowskiej i litewskiej „żadnych sekt: a r y a ŋ s k i e j, k a l w i ŋ s k i e j, l u t e r s k i e j profesorów, mistrzów i studentów nie było“ (12). Obawiano się, żeby obecność dyssydentów nie wywołała gniewu bożego i nie naraziła kraju na klęski. Więc Zygmunt III polecał hetmanowi Koniecpolskiemu „aby w obozie polskim nie było protestanckich ministrów, a nawet w mieście, pod którem wojsko blisko leży obozem“. Gdy hetman odpowiedział: „moja rzecz w obozach, a nie w miastach, — zwłaszcza z strony religii, co

(1) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 221. (2) Tamże, str. 188. (3) Kochowski. Liryka polskie, str. 109. (4) Potocki. Wety parnaskie (przy W o j n i e c h o c i m s k i e j, wyd. Lewentala, Warszawa, 1880, str. 418). (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 134. (6) Tamże, str. 163. (7) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, 347. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 16. (9) Pamiętniki Matuszewicza. I. 194. (10) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 347. (11) Pamiętniki Zawiszy, str. 347. (12) Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza. Warszawa, 1853. I. 12 i 21.

mi nie jest do ręki podano“ — rząd czynić — król jegomość niezadowolnienia swego utaić nie mógł (1). Podczas oblężenia w Zbarażu, kalwińskich predykantów, że w namiocie śpiewali, żołnierze katolicy, tumult zrobiwszy, chcieli rozsiekać (2). W r. 1750 Warszawa poraz pierwszy ujrzała pogrzeb luterski, za który oficyał warszawski, Grzegorzewski, za wpływem pobożnej żony Augusta III złożony został z urzędu (3). Wypędzenie z kraju „obrzydłej i szalonej“ sekty arianów (4), proces Łyszczyńskiego, rzeź wileńska z r. 1682 (5), sprawa święto-michalska, toruńska i t. p.; konstytucje z r. 1717 i 1733 — o prawowierności katolickiej, a nienawiści herezy, świadczą wymownie.

Ku wyłącznemu panowaniu katolicyzmu pobożnie wzdychano, jak Otwinowski, który na łonie prawdziwej wiary pragnął mieć Szwedów (6); nęcono do niego dygnitarstwami, jak np. krajczego Ogińskiego (7); byli i tacy — jak sędzia lubelski, Jan Koniecpolski, — którzy teologiczne z herezykami toczyli spory (8). Zabiegi obfity wydały owoc. Katolicyzm pozyskiwał obok pomniejszych rodziny takie, jak: Tomickich, Opalińskich, Chrapowickich, Koniecpolskich, Leszczyńskich i Górków (9).

Ludzie tych czasów o religijnych zasługach swoich przeświadczenie mieli najlepsze i nie taili bynajmniej, że więcej nad powinność czynili niekiedy dla Boga. Koniecpolski nie bez jawnej chępliwości w testamencie powiada: „uczyniłem ja za pomocą najwyższego Boga dosyć, nie z samej tylko powinności, ale z należytej odemnie ku wywyższeniu nierozdzielnej w Bóstwie imienia Trójcy przenaświętszej ochoty“ (10). Nie dziw, że ludziom, którzy woleli „na sto kul flintowych iść, aniżeli na jedną różańcową paciorkę“ (11) i którzy o nadmiarze swych zasług twierdzić mogli tak śmiało, — nie szczędził Pan Bóg dobrodziejstw; niedziw, że ich zdolnością cudotwórstwa obdarzał. Wszakże Stanisław z Bogusławic Sierakowski, opat świętokrzyski, († 1662) „jeszcze żyjący“ modlitwami wielu chorych

(1) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 103 i 104. (2) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 65. (3) Kitowicz. Pamiętniki do panowania Augusta III. T. I, str. 41 i 42. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 349. (5) Pamiętnik Jana Cedrowskiego (Balińskiego Pamiętniki, str. 152). (6) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 316. (7) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 139. (8) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 189. (9) Łukasiewicz. Wiadomość historyczna o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku. Poznań, 1832, str. 106. Dyaryusz Chrapowickiego, str. 4, 27, 51. Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 187. (10) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 378. (11) Pamiętnik Matuszewicza. IV. 5.

uzdrowił (1); pani Pstrokońska, pacierzami karmiona i postem, krzyżem świętym rozpędzała nawałnice i chmury (2).

II.

Tłumaczenie zjawisk. Fakt poprzedza przepowiednia lub prognostyk z zachowania się zwierząt, ptactwa, owadów. Pożary, pioruny i głód. Komety i zaćmienia, astrologia i wróżby. Dni feralne i sny. Teologiczne objaśnianie wypadków politycznych, spraw życia codziennego i zjawisk przyrody. Oprócz Boga na losy człowieka wpływa szatan. Prześladowanie czarów i dyabła. Dziwy z nieboszczykami i okazywanie się duchów.

Cudownością karmiona myśl ojców lekko w nadprzyrodzone unosiła się sfery i ku objaśnieniu otaczających człowieka zjawisk obfite znajdowała tam źródło. Bez analizy, za pomocą kilku teologicznych formuł, potrafili ludzie tych czasów przeniknąć naturę każdego faktu, z łatwością umieli objaśnić wszystko, przewidzieć nawet tajemnicę przyszłości. Ku ich pociesze lub trwodze zjawiały się od czasu do czasu indywidua, duchem obdarzone proroczym; oznajmiały o mającym nastąpić fakcie prognostyki różne i sny; — słowem Pan Bóg o woli swojej, czy to przez zaznaczenie takowej na kartach tajemniczej księgi przyrody, czy za pomocą bezpośrednich objawień i wizyi, najskrupulatniej ludzi uprzedzał.

W Assyżu franciszkanin, Józef de Copertino, po dwakroć Janowi Kazimierzowi przepowiadał przyszłość i pomyłki nie robił (3); niejaki Kobyliński „przewieszczał, że Tatarowie wpadną do Polski, co i skutek pokazał“; w r. 1668 zawsze widywał we śnie „św. Wojciecha w ubiorze kapłańskim, objawiającego, że gdy zgodnie sejm odprawowany nie będzie, — pewna zguba narodu czeka“ (4). Klęskę batowską przepowiadał człek jakiś „czyli też szatan“, w Ledyżynie nad Bohem siedzący w grocie. „Idźcie co prędzej powiedzieć hetmanowi — mówił — aby się z tego kraju umknął, albo też miał się na ostrożności, bo przychodzi szalony pijak, który mu brodę ogolić chce; obawiać się trzeba, żeby ta brzytwę, ostrą bardzo, głowy razem z brodą nie zdjęła“ (5). Włóczył się po kraju za Augusta III

(1) Historia pan. Jana Kazimierza II. 174. (2) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 29. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 487. (4) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 13. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 150.

wózkiem, zaprzężonym w kozy, niejaki Komornicki i, mając się za świętego proroka, przepowiadał pospólstwu i obywatelstwu dopóty, aż mu biskup kamieniecki zagroził więzieniem (1). Zakonnicy częstochowscy wielkanoc z r. 1655, w rubryceli dla dyecezyi krakowskiej nazwaną *Dominica resurrectionis et victoriae*, mieli za wróżbę zwycięstwa nad Szwedem (2); przepowiednią klęsk Karola XII pleban śródzki w archiwum swego kościoła spisana znalazł na kartce: *Frustra petendo Poloniam, recto perdes Livoniam, brevi conculcaberis, amplius non audiet te Pomerania, plorabit super te Suecia; o miser Carole! quo vadis, peribis*. „To wszystko — powiada Otwinowski — spełniło się na królu szwedzkim, bo całkiem stracił, co był Gustaw Adolf, naddział jego, w Niemczech i Inflantach sąsiadom powydzieriał i Pomeranii całej postradał“ (3).

Był to „zły znak“, że przed potrzebą batowską pod chorążym hetmana Kalinowskiego koń się wyrócił, a chorągiew padła na ziemię (4); że na pogrzebie hetmana Koniecpolskiego rumak, na którym rycerz dla kruszenia kopii wjechał, przeląkł się i ludzi potłukł. „Było takich niemało, którzy *curiose* w rzeczy wglądając, owo zamieszanie kościelne, przez strwożonego konia uczynione, *sinistre* tłómaczyli, wróżąc pewną a prędką w ojczyźnie naszej konfuzję“ (5). Padł koń pod Rakoczym, gdy na wojnę wyjeżdżał do Polski (6); miotał się, wierzgał i dół na dziedzińcu wygrzebał, gdy się Tarło na pojedynek z Poniatowskim wybierał. Były to „złe *omina*, a raczej przestrogi boskie“. Mówiono Tarle: „oto koń miotaniem swoim nadzwyczajnem i dołem wykopany przestrzega, że zginiesz“ (7).

W obozie pod Cudnowem „rzecz dziwna stała się: orzeł wielki z pierśmi gołymi i chudy, z obozu moskiewskiego wyrwawszy się, do naszego przyleciał, potem, do tatarskiego kosza odleciawszy, krążył wokoło. Złapani od Tatarów, nogi i szpony długie miał i skrzydła miał do latania silne, ale dużo zgłodniały był. Był to prognostyk, który wnet się odkrył, bo za tym orłem dwóch z obozu moskiewskiego do naszego przybyło o pokój, miłosierdzia upraszając“ (8). Zapowiedzią zwycięstwa Lubomirskiego pod Częstochową w r. 1665 były kruki i wrony, wieszające się śród krakań

(1) Mosczyński. Pamiętnik do Historii polskiej, str. 19. (2) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 125. (3) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 354. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 146. (5) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 299. (6) Pamiętniki Paska, str. 4. (7) Pamiętniki Matuszewicza. I. 150. Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 17. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 104.

nad królewskimi i Litwą (1); gołębicą białą, krążącą nad polem podczas elekcji w r. 1669, wróżyła obiór dobrego, lecz krótko mającego panować monarchę (2). Za znak znamienitego szczęścia uważał Pasek, gdy trznadel, u drzwi namiotu jego usławszy gniazdo, zniósł jaja i wysiedział pisklęta (3); za niedobry Matuszewicz poczytywał prognostyk, że przez jego kolaskę „jastrząb skowronka uganiał, dopędził i porwał“ (4).

Podczas wotowania na króla Michała rój pszczoł, nadciągawszy od wschodu, do jednej chorągwi województwa łęczyckiego przyleciał i upadł. Ksiądz pleban z Woli dobrą zapowiadał ztąd przyszłość, a poeta do nakreślenia takiego wiersza wziął asumpt: „Rój ten szczęśliwą wróżbą potwierdza nasz wybór; wróży dobrego króla, oraz złote czasy; bo gdy lgną skrzętne pszczoły do tego imienia, twój król Michał, Lechijo, miód tobie przynosi“ (5).

Za zły uważano prognostyk pożar zamku w Krakowie w r. 1649 (6) i uderzenie na chorągiew piechoty pioruna, który „nrwawszy drzewa szmat, na warcie stojącego żołnierza zabił“ (7); za przepowiednię śmierci Jana III miano zgorzenie w dzień Młodzianków w r. 1695 pałacu kaźmierskiego, w którym mieszkał królewicz Jakób (8). Były wróżby i klęsk Karola XII, jak: głód w Szwecji w tym roku, w którym zasiadł na tronie, zgorzenie pałacu królewskiego w Sztokholmie, uderzenie gromu w Wismarze i t. p. (9).

Ważniejsze, niż gaśnięcie świec w kościele (10) lub odesłanie przez Jana Kazimierza kapelusza kardynalskiego do Rzymu (11), zapowiadały wypadki komety, „na podmiesiecznych sferach zapalone gniewu bożego pochodnie, nigdy bez uszczerbku nie świecące królestwem“ (12), oraz zaćmienia.

Kometa, która się pokazała d. 3 października 1604 r., a trwała do początku r. 1605, połowę świata wielkiej nabawiła trwogi, w przekonaniu

(1) Tamże, II. 356. (2) Kochowski. Rocznik Polski klimakter IV. Lipsk, 1853, str. 11. (3) Pamiętniki Paska, str. 55. (4) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 241. (5) Kochowski. Klimakter IV, str. 30. Chrapowicki, str. 131 i 132. (6) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 39. (7) Tamże, I. 54. (8) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 2. (9) Tamże, str. 355. (10) Pamiętniki Matuszewicza. I. 150. (11) Dyaryusz K. F. Obuchowicza. (Balińskiego Pamiętniki, str. 17). (12) Kochowski. Psalmodya polska. Wyd. Turowskiego, str. 36.

zaś astrologów krakowskich nieomylnie klęską wróżyła publiczną (1); inna, z r. 1618 „wprzód osmańskiem wtargnięciem a naostatek powietrzem morowem niepomału utrafiła Polaków“ (2). Gdy w r. 1648 Chmielnicki stanął pod Zamościem, ukazał się „nad miastem smok wielki ognisty, który, ogon swój w gębę wzięwszy, po kilku godzinach zgasł“ (3); w tymże roku nad zamkiem krakowskim pomiędzy obłokami wystąpił krzyż, w który niby z łuku godziły dwie strzały. „Jedna mimo poszła, druga w krzyż uderzyła, potem człowiek w zbroi, z dobytym pałaszem czyli orężem wystąpił... Co się tłómaczyło śmierć króla Władysława, a potem zniesienie hetmanów przez Kozaków pod Korsuniem“ (4). Z powodu komety w r. 1654 „przyszłej nieszczęśliwości w ojczyźnie wszystkie były *peragra*“ (5). W roku 1664 „straszny i wielki kometa, przez kilka miesięcy trwając, oczom ludzkim swoją groził srogością i im dłużej trwał, tem bardziej serca struchlałe trwożył, wróżąc skutki niedobre, które nastąpiły niebawem“ (6). W roku następnym d. 9 lipca podczas rokoszu Lubomirskiego „ukazały się na niebie dwa słupy w samo południe, świetne promienie po niebie roznosząc; w pół godziny, zszedłszy się do kupy, chorągiew z dwoma ogonami reprezentowały, pokazując nadchodzącej klęski prognostyk“ (7). Takież wrażenie czyniły zjawiska: w r. 1680 (8), krzyż z mieczem i trzy słupy na powietrzu w r. 1699 (9), trzy księżycy w r. 1701 (10), w r. 1721 trzy kolumny, z hukiem ścierające się z sobą i trzy słońca na niebie (11). W roku 1744 „gwiazda wielka, ogromności księżyca w pełni, z ogonem, nakształt miotły szerokim i długim“ nabawiała niemałej trwogi. „Jedni prawili, iż kto się tej gwiazdzie przypatruje, ten roku nie dożyje; drudzy, że któryś monarcha europejski umrze; inni, że będzie głód; inni, że powietrze; inni, że wojna“. Okazała się w rezultacie zaraza na bydło, przez lat kilkanaście wszczynająca się ciągle (12). Podobną rolę odgrywały zaćmienia: dnia 24 marca 1652 r. księżyca, we dwa tygodnie potem słońca (13); w r. 1666 jedno

słoneczne, a dwa miesięczne (1); d. 23 września 1699 r. słoneczne (2). Zapowiadały one karę bożą, to intencję powstrzymania ludzi od złego, „aby za niezwykłymi obrotów niebieskich praktykami mogła się reflektować zawziętość na krew braterską, niebieskich postrachów przerażona cudami“ (3).

Z komet i zaćmień astrologowie „różne czynili konjektury:“ przepowiadali wojny, zniszczenia i głód, powietrze, drożyznę, pożary, powodzie i burze (4). Podczas wygnania swego na Szląsku kazał Jan Kazimierz wraz z senatorami prognostykować matematykom, jak długo trwać będzie nieszczęście. Astrolog Mikołaj Żórawski „erygował figurę, ale onej nie klarygował“, za usilnem naleganiem dopiero powiedział: „odzyskasz wasza królewska mość państwo, ale nie umrzesz w Polsce, ani królem...“ (5). Sprawdziła się „predykacya z uszykowanej konstelacyi uczyniona“, że Kazimierz, wypędzony od Szwedów, państwo odzyska, ale za granicą zakończy życie (6). Awanturnik włoski, Fornika, przepowiadał Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, że skronie jego ozdobi korona, z powodu czego ambitna matka sposobiła syna prosto do tronu (7). Przy przyjściu na świat każdego dziecka skrupulatnie notowali ojcowie, pod jakim urodziło się znakiem. „Dnia szóstego *Decembris* przededniem godzin dwiema i *pro die Festi s. Nicolai episcopi*, który był niedzielny, pod znakiem barana, pod aspektami czerwonymi wszystkimi, a słońce było *in capri corno*, dał Pan Bóg syna“ (8); drugi syn „o godzinie wtórej z południa, pod znakiem kozierozca, aspektami czerwonymi wszystkimi, a słońce było *in tauro*“ (9). Dnia 26 października, dniem pod wagami“ (10); to znowu „pod kozierozcem w dzień ryb“ (11), albo „pod zodyakiem ryb, a dzień pod strzelcem“ (12).

Oprócz fachowych astrologów i kalendarzy, odsłaniali tajemnice i zwyczajni wróżbici. „Mieszkał w Wilnie — powiada Matuszewicz — jeden pasamanik, Niemiec, wielki chiromancista, który umiał skarby odkrywać i wielkiej był eksperyencyi... Pokojowym Sapięhy z rąk wyczytał, że panu ukradli szkatułkę i przepowiedział, że wprędce obaj obwieszeni będą i że jeden z nich urwie się od szubienicy i żywym zostanie. Miał ten pasa-

(1) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III. Poznań, 1843. T. I. 44.

(2) Latopisiec Jerlicza. I 34. (3) Tamże, I. 71. (4) Tamże, I. 72. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 187. (6) Pamiętniki Paska, str. 169. Latopisiec Jerlicza II. 95. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 349. Latopisiec Jerlicza. II. 99. (8) Koehowski. Psalmodya polska, str. 36. (9) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 188. (10) Pamiętniki Wawrzyńca Rakowskiego (1701—1711). Żytomierz, 1860, str. 150. (11) Pamiętniki Zawiszy, str. 359. (12) Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 7 i 8. Pamiętniki Matuszewicza I. 148. (13) Kubala. Szkice historyczne. II. 168.

(1) Latopisiec Jerlicza. II. 109. (2) Pamiętniki Zawiszy, str. 362. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 312. (4) Tamże, I. 151. (5) Tamże, I. 234. (6) Tamże, II. 488. (7) Materiały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. Lwów, 1857. I. 10. (8) Dyaryusz Szyrmy. (9) Tamże. (10) Pamiętniki Rakowskiego, str. 25. (11) Tamże, str. 43 i 47. (12) Tamże, str. 121.

manik chiromancista *virgam coryli*, t. j. różczkę laskową widelkowatą, z którą chodził, za obadwa końce w obudwu rękach trzymając. Przyszedł na jedno miejsce, nad którym się owa różeczka zaczęła ku ziemi w rękę wykręcać i powiedział, że tam są minerały. Dawał każdemu też różczkę trzymać, każdemu się z rąk wykręcała. Narobił potem świeczek łojowych, które przytykał na temże miejscu do ziemi, a gdy mu gasły, powiedział, że teraz nie można tego skarbu wykopywać, aż trzeba do kilku niedziel czekać planety Saturna. Przytem powiedział, że nie każdy może skarb pod tym planetą wykopać, ale potrzeba, żeby jego planeta albo horoskop był do wykopania skarbów szczęśliwy...“ (1) Szlachta chiromancistę owego do odszukiwania skarbów wzywała, zarówno jak cyganki, które kazały na miejscu wskazanem zabijać dzieci lub kury (2).

Dni feralne czyli „krytyczne“, jak 13, 19 i t. p. wywoływały pomiędzy ludźmi nieporozumienia i kłótnie (3); nie pozwalały nic zabić na łowach (co zapisywano *pro memoria* myśliwym) i na różne narażały przykrości (4); sny znowu uprzedzały o wypadkach dość ważnych, zdefiniowanych i bliskich.

Śpiącemu podczas nabożeństwa Michałowi Wiśniowieckiemu pokazał się wymalowany św. Andrzej męczennik, przepowiadał mu rychłe otrzymanie korony i ku stwierdzeniu wróżby włożył na głowę księcia własny swój wieniec (5). „Śnił mi się ojciec mój — pisze Matuszewicz; dał mi niewielki fascykuł papierów, dokumentów starych i obrazek św. Antoniego, na ćwiartce wielkiego papieru piórkiem rysowany. Dając ojciec te dokumenta, rzekł: naści te papiery, będą ci potrzebne. Wyśnił mi się po roku ten sen, bo gdy mieliśmy sprawę, tedy ja szukałem papierów, imieniowi naszemu służących i, tychże dokumentów szukając, znalazłem obrazek, piórkiem rysowany św. Antoniego takież, jaki mi przez sen dał ojciec“ (6). „Śniło mi się dwiema niedzielami przed przypadnieniem sprawy mojej — pisze tenże Matuszewicz — jakoby na czólnie dobrem płynął jakimś kanałem szerokim i głębokim, wodą bardzo bystrą i jakoby miał pod pachami dwa wiosła. W tem jakoby mi coś obydwu wiosła z pod pach wyrwało i już bez żadnego płynąłem. Potem niby nadpłynęła laska marszałkowska, ale mizerna bardzo, pokrzywiona, sękowata, sosnowa i cienka, którą laskę wzięwszy, zacząłem nią robić, jak wiosłem. Tymczasem ów

(1) Pamiętniki Matuszewicza. II. 14. (2) Tamże II. 15. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 59. (4) Dyaryusz Szyrmy. (5) Koehowski. Klimakter IV, str. 31. (6) Pamiętniki Matuszewicza. II, 32.

mój czólen nowy i dobry zrobił się starym i bardzo ciekącym tak dalece, że zaczął tonąć. Alisci najświętsza Panna porwała mnie za ramię i, wyrwawszy z wody, posadziła na jakiejś łące pięknej, nad brzegiem kanału“. Sen powyższy Matuszewiczowi ze wszystkim się ziścił, jak bowiem z początku szczęśliwie płynął i sprawę w Mińsku wygrał, to w trybunale, za laski księcia miecznika, interes jego stanął najgorzej i tylko dzięki najświętszej Pannie obrót przyjął szczęśliwszy (1). Inną razą śniło mu się, że złapał gołębia bardzo wielkiego, bardzo białego, ale bardzo chudego. Urodził mu się wkrótce „synaczek bardzo mizerny, zaledwo do żyjącego podobny, czarny i żółty. Ofiarowała go matka najświętszej Pannie: dziecko nietylko żyło, ale coraz lepiej mieć się zaczynało, a wielką po sobie pokazywało dobroć.“ Więc się sen ów o złapanym gołębiu wielkim bardzo białym i chudym sprawdził zupełnie (2), podobnie jak inny, że bratowa jego, przez próg przechodząc, dostała krwotoku i zmarła (3). Nawiedzały ludzi i wizye, odzwierciadlające wyłącznie egzaltację religijną, rozwiniętą pod wpływem praktyk nabożnych i modłów. „W sam dzień św. Szczepana — pisze kupiec krakowski z XVII stulecia — miałem sen, jakoby nie w mieszkaniu, ale gdzieś wysoko pod niebem leżał. Patrząc w górę, widzę niebo wypogodzone, ptactwo przelatujące i czuję powietrze wiosniane... Znowu w kilka tygodni śniło mi się, że wszedł do jakiegoś przestronnego gmachu i zobaczyłem za stołem siedzącego starca. — osobę poważną z siwą długą brodą, a obok niego miluchne chłopiętko. Z czegom się bardzo cieszył, alem się zaś frasowałem, że trzeciej osoby, t. j. najświętszej Panny nie widział“ (4).

Sam fakt, czy to natury publicznej, czy posiadający charakter czysto prywatny; doniosły, czy znaczenia małego, — podobnie, jak prognostyk, nadprzyrodzone zawsze miał źródło i teologicznemu tylko objaśnieniu podlegał. Ile razy gromada przystępowała do akcji i zdziałała coś zgodnie, obecny był tam Duch święty. Za jego to sprawą „tak wielu zgromadzonych, a różnych strojem, humorami i wiarą“ okrzykiwało monarchę (5); darem Ducha świętego był obiór marszałka sejmikowego (6), zawarcie z nieprzyjacielem pokoju i t. p. Do tego stopnia nie przypuszczano w tego rodzaju akcyach wpływu czynników innych, że gdy za życia Jana

(1) Tamże. II. 149. (2) Tamże. III, str. 14 i 16. (3) Tamże. IV. 23. (4) Kubala. Szkice historyczne. II. 313. (5) Historia pan. Jana Kazimierza I. 21. (6) Tamże, I. 154.

Kazimierza postanowiono wybrać następcę, poczytywano ten zamiar za niemożliwy zgoła, bo przeciwny naturze. „Na sejmie z r. 1661 wszyscy nadstawiali ucha, jaki to dziw, że król Polakom miał się z głowy urodzić“ (1); „dowcip ludzki chciał wystawić króla, którego sama tylko moc boża daje, zwabiwszy na elekcyę niezliczone gromady i na jednego skłaniając zgodę“ (2). W innych wypadkach działał sam Pan Bóg, Matka boska lub święci. Za Jana Kazimierza „królestwo polskie z tryumfem wypędziło nieprzyjaciół, niosąc prawdziwej Opatrzności boskiej hieroglifikę, iż niesfornych Polaków ona tylko utrzymuje i broni“ (3). Król „na pomocy wszechmocnego Boga i Panny przenaświętszej fundując się bardziej, niż na ludzkich sukcesach, powrót swój do królestwa Opatrzności boskiej przypisywał; wzywając Boga i Panny przeczystej, konfederacyę uczynił z niebem, na upodobanie i dyspozycyę boską poruczając się całkiem“ (4). Podobnie Pan Bóg „eliberował lud swój“ za panowania Augusta II, „bo w takie nieszczęścia uwikłaną była ojczyzna, że się to nie zdało rozumem ludzkim, aby naturalnymi sposobami przyjść miała do swego bytu i zostać w całości“ (5). Widomie Pan Bóg ujawniał swoją dla narodu polskiego sympatyę, gdy podczas bitwy pod Beresteczkiem zasiadł w obłokach na złotym tronie w otoczeniu aniołów z koroną i mieczem, a opodal, w chmurach, ogród i napis w środku złotymi literami umieścił: *salvator mundi*; widomie i Matka boska ojców naszym sprzyjała, skoro obozy polskie nakrywała swym płaszczem (6) i wielokrotnie orężowi naszemu zapewniała zwycięstwo. Najświętszej Pannie zawdzięczał obleżony w Moskwie Gosiewski, że w dniu pewnym stracił ludzi tylko dwudziestu, gdy się spodziewał „tysiącami głową nałożyć“ (7); zwycięstwo pod Zborowem przypisywał Jan Kazimierz obrazowi Panny przeczystej z klasztoru bełskiego bazylianów, „przed którym w nocy, krzyżem leżąc, modlił się, aby obrońciela królestwa polskiego z toni wyprowadziła ojczyznę“ (8); „wiktoryę pod Beresteczkiem otrzymał król przez łaskę bożą i przyczynę Panny przenaświętszej, której obraz cudowny miał przy sobie z Chelma wzięty, z monasteru ojców bazylianów, unitów“ (9); Stanisław Maciej Rzewuski, w bitwie pod Podhajcami otoczony przez Tatarów, oddał się z chorągwią pod opiekę Matki boskiej

(1) Tamże. II. 117. (2) Tamże. II. 110. (3) Tamże. I. 216. (4) Tamże. I. 291. (5) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 339. (6) Kubala. Szkice historyczne. I. 243. (7) Marchocki. Historia wojny moskiewskiej. Poznań, 1841, str. 139. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 87. (9) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 34).

w chełmskim obrazie i szczęśliwie do obozu się przebił (1). Byliśmy ludem wybranym, więc się „prawdziwie owo proroctwo, wyjęte z Judith spełniało: Biada narodowi, powstającemu na lud mój, Bóg bowiem wszechmocny pomści się nad nim“ (2). Gustaw Adolf pewnego razu z pola wojску uchodzić kazał „albowiem z woli bożej hajduk konia pod nim zabił, a potem i samego w prawe ramię postrzelił“ (3). Podczas oblężenia Lwowa w r. 1648 Chmielnicki i Tohajbej, ujrawszy w chmurach wieczornych, nad klasztorem bernardynów bł. Jana z Dukli, klęczącego z wzniesionymi rękami, — przestraszeni, zrobili odwrót (4). Karola XII Pan Bóg „zaslepił, pomieszał rady i zatrwożył łakomą myśl, że przy swoich wielkich wiktoryach do Częstochowy szturmować nie śmiał“ (5).

Teologicznie objaśniano i fakta drobne. Pożar gasnął dla tego, że go księża z najświętszym sakramentem obesзли (6); że go Pan Bóg „wejrzawszy z miłosierdzia swego na wzdychania pobożnych zakonników cudownie uśmierzył“ (7); że strzegł św. Wawrzyniec lub Floryan (8). „Opatrzność boska za przyczyną świętych patronów“ dawała wdowcowi żonę (9); cudownym sposobem uchodzili ludzie z więzienia (10); ojcowie jasnogórscy cudem boskim poznali szpiegów (11); cudownym nawet sposobem zachował Pan Bóg naładowaną żytem, a tonącą wicinę (12). Cudem św. Anzelma, a za modłami żony księżę Wiśniowiecki odzyskał wolność (13); za intercesyą św. Andrzeja znajdują zbiega (14); jubileusz na „obronę honoru boskiego, najświętszej Panny i wszystkich świętych *in perpetuum rei memoriam*“ obdarzył Polskę w r. 1724 sprawą toruńską (15). Udała się Matuszewiczowi mowa trybunałska do króla Augusta III, bo mu „Pan Bóg krzywdę, przez Grabowskiego pijanego w skomatycznych słowach na obiedzie u Sollohuba uczynioną, gdy się pokornie Panu Bogu przez intercesyę św. Jana Nepomucena ofiarował, sownie nagrodzić raczył“ (16). Niekiedy miłosierdzie boskie ująć się dało winem lub wódką. „Chcąc — powiada Matuszewicz — kaptować afekt i łaskę wojewodzanów, kłaniałem i częstowałem,

(1) Rzewuski. Kronika podhorecka, str. 4 w przyp. (2) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 339. (3) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 34. (4) Kubala. Szkice historyczne. I. 88. (5) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 93. (6) Marchocki. Historia wojny moskiewskiej, str. 115. (7) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 360. (8) Dyaryusz Szyrmy. (9) Tamże. (10) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 120. (11) Tamże, str. 91. (12) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 32. (13) Pamiętniki Matuszewicza. I. 25. (14) Tamże, I. 49. (15) Gazeta z Warszawy seymu tamecznego d. 13 *Novembris* 1724 r. (Rękopism). (16) Pamiętniki Matuszewicza. I. 107.

ile możliwości mojej być mogło, a tak za miłosierdziem boskiem zacząłem mieć w województwie afekt i łaskę" (1).

W klęskach publicznych i nieszczęściach prywatnych upatrywano karę za grzechy. „Za grzechy nasze dopuścił Pan Bóg" w r. 1648 śmierć Władysława IV i wojnę z Chmielnickim (2); z powodu grzesznego ożenienia się Jana Kazimierza z wdową po bracie „doznała Polska różnych wojen i plag" (3). Karol XII zagarnął kraj nasz, bo „Pan Bóg chciał skarać Polaków za grzechy, rozum im odjął, że sami leżeli w kajdany" (4). Za jawne cudzołóstwo miał August II 16 marca 1704 r. „wielką klęskę w bogactwach i ludziach przez pożar" (5); że krzywo zaprzysiął na *pacta conventa*, — poniósł klęskę od Szweda i musiał „altransztadzkiem traktem akceptować prawie niepodobne rzeczy z wielkim wstydem i szkodą" (6). Za profanację „świątyni" i naczyń kościelnych skarał Pan Bóg Karola XII, „że sam po bicz poszedł do Moskwy" (7). Skarał Pan Bóg Ogińskiego, że, będąc w podróży, w dzień Bożego Narodzenia nie chciał mszy słuchać (8); Matuszewicz za zaniedbanie nabożeństwa „pisząc dwa listy ważne, w odwrotne je włożył koperty" (9). Ojcowie jezuiti za przymuszanie piwowara do warzenia miodu w „babskie święto", t. j. w dzień św. Anny, nawiedzeni zostali pożarem (10); małżeństwu, przeklinającemu się wzajemnie i nadaremnie wzywającemu imienia Boga, rodzi się potwór (11). Wyśilona w jednym kierunku fantazja intencję boską w najniewinniejszych, przypadkowej czysto natury podejrzewała zdarzeniach. Nic dziwnego, że zastanawiała śmierć Jana III, zaszła w dzień obioru na króla (12); lecz niepospolitej trzeba było inwencji, żeby palec boży dopatrzeć w uwięzieniu wojewody ruskiego Jabłonowskiego z tego pokoju, w którym ojca podczas elekcji namówił na stronę Augusta i w tym dniu, w którym, zapraszając króla do Polski, wyjechał z Warszawy (13); lub żeby w pogromie Karola XII przez cara Piotra widzieć karę za grzechy, popełnione przeciwko Piotrowi rzymskiemu (14). Objasniano wprawdzie te fakta filozoficzną

(1) Tamże. I. 88. (2) Dyaryusz F. K. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 18). Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik (1655—1660), wyd. Wojcieckiego. Warszawa, 1852 r. str. 184. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 40. (4) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 62. (5) Pamiętniki Zawiszy, str. 228. (6) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 339. (7) Tamże, str. 113 i 340. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 202. (9) Tamże, II. 9. (10) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 359. (11) Latopisiec Jerlicza, II. 139. (12) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 1. (13) Tamże, str. 213. (14) Tamże, str. 131.

zasadą: *respondent ultima primis*; właściwie jednak wmawiano w poważnego Boga koncepta, jakie się tylko w głowie bardzo wesołej kabalarki mogły urodzić.

Zresztą, zjawiska przyrodnicze, pozbawione cech prognostyku lub kary i niemające na losy człowieka wpływu, teologicznie również objaśniano, jak wszystko. „Za miłosierdziem boskiem, przy opiece Bogarodzicy, pod której imieniem zbudowany sieciechowski kościół i za przyczyną św. Benedykta „Wisła pod Sieciechowem zmieniła swoje koryto" (1); mogiła Wandy dla tego „jest wpół zielona, a na połowie żadna trawa nie rośnie", bo jako królowa owa „poganką była, tak wpół trawa nie rośnie; a jako dziewictwo konserwując, bogom się ofiarowała i, z mostu w Krakowie w Wisłę wskoczywszy, utopiła się, — tak dla jej dziewictwa ofiary trawa wpół rośnie" (2).

Oprócz królującego nad światem Boga, na losy człowieka wpływały złe duchy, — upadli aniołowie, posiadający siłę olbrzymią i rozum, czyhający na nieszczęście ludzkie na ziemi i męczarnie duszy za grobem. Dla osiągnięcia swych celów chętnie ofiarowali usługi ludziom, gotowym z nimi współdziałać, — czarownikom i czarownicom, siejącym na ziemi utrapienia i klęski. „Czary — według ogłoszonej w r. 1701 broszury p. t. Czarownica powołana — jestto sposób pewny albo nauka, jak broić i dokazować dziwnych rzeczy przez pewne znaki albo hasła z pomocą szatańską, które to znaki albo hasła, jako i wszystka ta nauka bezecna czarostwa, postanowiona i podana od dyabła." Poważnie brano peregrynacje niewiast starych na łopatach lub miotłach; nie wątpiono o umiejętności czarownic przenoszenia nabiálu z miejsca na miejsce; przyrządzania mlecznych trunków, zażegnania i odżegnania uroków (3) i o rozlicznych, zdziałanych przez nie klęskach i figlach. Przez czary nieprzyjacielem chcieli Jewłaszewskiemu zamącić miłe pożycie z żoną (4); czarom przypisywano śmierć hetmana Koniecpolskiego (5), Filona Tyszkiewicza (6) i Samuela Karola księcia Koreckiego, zmarłego w dzień ślubu (7). Szwedzki generał Würz „miał swoje z czarownikami konszachty i wróżby, jako Finom rzecz

(1) Ks. Gaicki. Benedyktyński klasztor w Sieciechowie. Radom. 1872, str. 5. (2) Pamiętniki Matuszewicza. III. 26. (3) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III., T. I, str. 44—46. (4) Pamiętnik Jewłaszewskiego, str. 31. (5) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 303. (6) Pamiętnik Cedrowskiego (Balińskiego Pamiętniki, str. 145). (7) Przylęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 287. Historia pan. Jana Kazimierza, I. 106.

przywrota dyablami orać“ (1); gdy po kapitulacyi opuszczał z wojskami Kraków, — szli za nim: aryanie, zdrajcy, zbiegowie, rabownicy i czarownicy (2). Bohdan Chmielnicki czarowników i czarownic używał, aby mu przyszłe wróżyli rzeczy (3); za czary uważano jedną ze zdobytych pod Beresteczkiem na Kozakach chorągwi, że zamiast wianka miała przyczepioną nad grotem skórę zajęczą (4); w r. 1707 Kozacy w województwie krakowskiem „dziwnym sposobem, podobno czarami rzeczy, zachowanych w ziemi, od kilku lat tam leżących, dobywali“ (5). Podczas powietrza w r. 1667 „ludzi umarłych odkopywali, przypatrując się i doświadczając czarów... Trupy chusty na sobie — powiada Jerlicz — jedzą i krwi pełne: takim ucinają rydlem głowy i krew idzie, jako z żywego. Co na kilkunastu miejscach znaleziono, odkopując trupów w Dubnie, Morawicy i indziej“ (6). Niekiedy miano wątpliwość, czyjemu wpływowi przypisać dany wypadek: „ledwom nie umarł — powiada Zawisza — czy z przepicia, czy też z uroków“ (7).

Autor broszury p. t. Czarownica powołana przeciwko czarom trzy gatunki podaje lekarstw: przyrodzone, duchowne albo kościelne, t. j. nadprzyrodzone i moralne, czyli pospolite. Pierwsze są nieskuteczne, czart bowiem, „będąc dobrym fizykiem, *applicando activa passivis* może snadnie moc i siłę lekarstw stępić“; wypada przeto „zażyć mądrego i bogobojnego egzorcyisty, nie natrętowskiego ale od zwierchności kościelnej wystawionego na to porządnie.“ Rolę egzorcyistów odgrywali zwyczajnie księża, używający kropidła, gromnic i kłatw. Na każdym odpuszczeniu było można opętanych, przeraźliwym krzyczącym głosem i księży, kładących na nawiedzonych przez czarta relikwie lub kropiących święconą wodą (8). Gdy w r. 1652 od czarów ruskich połowa mieszkańców Korczyna, opętana przez dyabła, wrzeszcząc srodze, broiła dziwy, — ojcowie bernardyni „zakleli, aby tak nie wołali i około tych ludzi pracowali, uwalniając ich od czarów i pokus“ (9); podczas oblężenia Częstochowy jeden z paulinów przeciwko gusłom nieprzyjacielskim wezwał potęgi boskiej, zaćmione powietrze egzorcyzmami oczyścił i zabiegi czarodziejskie najeźdźcy usunął (10);

(1) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 313. (2) Tamże, I. 317. (3) Tamże, I. 41. (4) Kubala. Szkice historyczne. I. 290. (5) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 128. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 115. (7) Pamiętniki Zawiszy, str. 66. (8) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 15. (9) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (10) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 72.

żyto zawite ks. Kozielski, ślepy franciszkanin, spalił gromnicą (1). Byli i egzorcyści „niewystawieni od zwierchności kościelnej porządnie“ na kuracyi u takiego umarł w r. 1712 w Borunach w młodym wieku „nikczemnie, jako najędźniejszy mizerak“, oczarowany, nasłanych szatanów pełen, ostatni z domu Karol Chodkiewicz (2).

Podjejranych o czary i stosunek z dyablami pociągano przed sądy, torturowano i skazywano na śmierć, zwyczajnie przez spalenie na rozstajnych drogach. W r. 1625 sąd ławniczy miasta Kozienic wydaje wyrok na siedm czarownic, że były przyczyną ciągłej posuchy (3); w r. 1648 sąd turkowski na spalenie skazuje Annę Jedynaczkę i Annę Bogdanę, że „z szatanami przymierze poczyniły do złych uczynków“; w r. 1664 Agnieszka Podgolankę, że „udała się do złych spraw i czartowskich konwersacyi z innemi towarzyszkami swemi; że na miejscu niezwyčajnem z duchami, majestatowi boskiemu przeciwni, zażywała biesiady i ludziom szkodziła na zdrowiu“ (4). Przyznawały się na torturach niewiasty, jako miksturą z mleka i utartych na proszek grzybków polewały cudze zagony; że przyrządzały dla młodzianów napój miłosny, a z liści, złożonych na krzyż, różnokolorowe robiły myszy (5). Niejakiemu Kaczanowskiemu, że się ożenił bogato, rodzina żony wytoczyła proces „o czary, za którymi się ożenił“ (6); w r. 1728 sądzono w Krakowie Kazimierza Kamińskiego, „że się był *cum anima* oddał czartowi i na to cyrograf krwią własną podpisał“. Ze względu na małoletność, zamiast kary śmierci kazano mu przez rok „*solenniter* nabożeństwa, różańce, spowiedzi odprawiać i siedmkroć pielgrzymować do miejsc świętych“; żeby zaś i ciało bez morderstwa nie było odlano mu przed aktem oczyszczenia pięćdziesiąt batów (7).

„Za dyspozycją boską, czy za sprawą szatana“ z nieboszczykami nadzwyczajne działy się dziwy. Podczas pogrzebu poległego pod Szkołowem pułkownika Złotareńki „trup zaczął się ruszać, powstawać, jęczyć i straszyć... Podniósł z trumny ręce, z których poczęła krew płynąć i wołał: utykajcie!“ Opowiadał o tem w Warszawie w lat kilka Daniel Wyhowski (8), według zaś relacyi Jerlicza „ogień jako słup, z ołtarza pow-

(1) Dyaryusz Szyrmy. (2) Pamiętniki Zawiszy, str. 301. (3) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III. T. I, str. 44—46. (4) Milewski. Pamiętki historyczne krajowe. Warszawa, 1848, str. 352 i 353. (5) Album uczącej się młodzieży polskiej, poświęcone Kraszewskiemu. Lwów, 1879, str. 485—509. (6) Pamiętniki Zawiszy, str. 211. (7) Biblioteka warszawska z r. 1844, t. II. 213. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 204.

stawszy, ogarnął wszystkich, przy nabożeństwie będących i popalił, a cerkiew z trupem zgorzała“ (1). W grób Tymoszka Chmielnickiego piorun uderzył, sklep i kości rozrzucał (2). Jewłaszewski widywał latawca „nie tylko w nocy, ale i we dnie“ (3) i niemiłe miał spotkanie z ognistym człowiekiem. „Porwałem — powiada — zza pasa nóż i uderzyłem w niego, a on, zniknąwszy, znów się w kącie ukazał i znowu szedł do mnie. Jam czapkę na niego rzucił i otwarłem okno; dzień zaczął się robić i widziadło zniknęło“ (4). Podczas powietrza w r. 1652 widywano morową dziewicę, płynącą w rozmaitych postaciach przez uroczyska, cmentarze i bagna; widziano pochód śmierci, otoczonej duchami zmarłych na zarazę ludzi i zwierząt. Wziąwszy na się postać podłego zwierzęcia, trupa ludzkiego lub suchej gałęzi, — odprawiały one tańce wokoło szkieletu śmierci, okrytego czarną płachtą, a jadącego na wozie, zaprzężonym w dwa woły (5). Pokazywały się duchy poległych pod Montwami. Pułkownik kozacki Czop w białych sukniach do króla wołał: „chciałeś mięsa, — otóż go masz, jedz go; a ty, panie Lubomirski i związkowi, nie zabijajcie nas“ (6). Zmarły w r. 1662 Paweł Borzęcki, troje kajdan mając na nogach, pokazał się idącemu na mszę świętą koledze i prosił, iżby za niego psalm pokutny *miserere* odprawił (7). Nie było domu magnata, czy majątnego obywatela — powiada Moszczyński, żeby po śmierci pana lub pani nie pokazywała się dusza sługom lub księżom i nie żądała ku pozyskaniu nieba nabożeństw. Zostawiały częstokroć duchy znaki wypalonej na stołach ręki... (8).

III.

Moralność w stosunku do wiary i stan jej. Interesowność, prywatność, przekupstwo, pijaństwo i rozpusta. Okrucieństwo i serwilizm. Moralność w życiu publicznym. Przyczyny demoralizacji i rozkwitu wiary w Polsce w XVII i w połowie XVIII wieku. Reakcja powszechna, wychowanie szkolne, wpływ duchowieństwa i kłęski krajowe. Najazdy nieprzyjaciół, powietrze, szarańcza, nieurodzaj, głód i trzęsienia ziemi. Zwiększają trwogę komety, zaćmienia i potwory.

Nieoddawna, lecz utarty już pewnik, że dogmatyzm religijny z plagami na grzeszników za życia, z czyszcim i piekłem po śmierci nie urabia

(1) Latopisiec Jerlicza. I. 179. (2) Tamże. I. 179. (3) Pamiętnik Jewłaszewskiego, str. 33. (4) Tamże, str. 14. (5) Kubala. Szkice historyczne. II, str. 155—168. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 111. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 182. (8) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 14.

społeczeństw moralnych, — równie dobrze na gruncie XVII wieku u nas, jak gdzieindziej się stwierdza. Drżący przed Bogiem i czartem, pomimo zatapiania się w modłach, ciągłego zwracania myśli ku niebu i podziwiania na każdym kroku cudów, — ojcowie nasi nie mieli wykształconych w sobie moralnych pobudek, niezbędnych do nadawania dodatniego kierunku czynom. Zapewne, że jednostka pod wpływem dogmatyzmu od popełnienia zbrodni mogła się wstrzymać i pod grozą kar doczesnych czy wiecznych postęпки swoje ubierać w cechy szlachetne; pomimo tego dla braku owych pobudek na wyżynie moralnej utrzymywała się rzadko. Przy płytkości podstawy etycznej do popełnienia niecnoty usposabiał człowieka nawet sam dogmat, według którego można było za grzechy Boga przebłagać przez umartwienia i modły. Dlatego też w życiu społeczeństwa naszego z XVII stulecia i czasów późniejszych wszystkie grzechy główne rysują się ostro obok pobożności i silnie rozwiniętej dewocji. Brojono, gdy jeszcze nie zaschły rany na wyćwiczonym za grzechy grzbiecie, by znowu na gołym ciele ostre nosić łańcuchy. Zdaje się, że ekonomja moralna ludzi ówczesnych miała jedynie na celu nieustanną kompensatę wykroczeń za pomocą religijnego formalizmu i wiary.

Obok hojności i rozrzutności pospolitą była wśród szlachty interesowność i chciwość. „Króla Augusta — powiada Otwinowski — posadzili na tron, bo wielka była sława o jego bogactwach; udawano, że miał mieć w skarbie swoim sztuki srebra tak wielkie, jako młyńskie kamienie“ (1). Synowie z chciwości nie wypełniali testamentowej woli swych ojców: legatu Koniecpolskiego na kościół nie wykonali: syn, wnuk i prawnuk „dla różnych impedimentów i trudności“ — w wymierzeniu pewnego obszaru gruntu i wypłaceniu 30,000 złotych (2). Nie wstydził się szlachcic chwycić rozrzucanych po koronacji przez podskarbiego pieniędzy (3); cofnąć wyzwania na pistolety za porcelanową tabakierkę wartości kilkudziesięciu dukatów (4); pożyczać czerwone złote oberzniete pod warunkiem wypłaty długu ważkami (5); żywić do przyjaciół pretensję, że go nie wiazali na imieniny antałem starego wina (6); skarżyć się, że go pan możny w tes-

(1) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 8. (2) Przyłęcki. Pamiętnik o Koniecpolskich, str. 377, 399. (3) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 157. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 213. (5) Tamże. II. 198. (6) Pamiętniki Zawiszy, str. 144, 116.

tamencie przepomniął (1). Chwilą obecną nie zadawalniano się nigdy. Chrapowicki w r. 1669 został wojewodą i córkę wydawał za męża, a jednak, zamykając dyaryusz, napisał: „skończony rok 1669, daj, Boże, lepszy przyszły“ (2). Interesowność z ram stosunków prywatnych wkraczała i w sferę publiczną. Prymas Szembek „bardziej dom swój kochał, niżeli dobro publiczne“ (3); „mirołom“ Radziejowski, obrażony na króla, że krewniakowi jego nie dał urzędu, — tem większy znajdował pochop do sekretne go służenia Szwedom (4).

Przekupstwo, zwane przez współczesnych „żydowską szablą“, chlebem było powszednim. Szlachcie brał pieniądze od pana, magnat od króla lub dworów, o co nieraz hałasowano na sejmikach i sejmach (5). Deputat Przeciecki wziął od Radziwiłła za sprawę 200 czerwonych złotych, cug koni, karetę i dwie beczki wina; od przeciwników zaś jego 300 czerwonych złotych i cło trzyletnie, drugie tyle czyniące rocznie (6). Dwaj marszałkowie trybunałów: wielkiego i skarbowego „obydwa brali od stron sobie przeciwnych; nareszcie, gdy się im emulacye sprzykrzyły, rzekł jeden do drugiego: czego się mamy klócić: i ty ber i ja ber, a zgodzimy się z sobą“ (7). Zatarło się nawet poczucie złego w tym względzie. Marszałek nadworny kor. Mniszech wyrzucał kasztelanowi brzeskiemu, Abramowiczowi, że na sejmiki i ufundowanie trybunału 4000 dukatów z przyjaciółmi dostał od Francyi: „jakby to był jaki kryminał *status* — powiada Matuszewicz — od króla francuskiego, tak wielkiego, brać z miłosierdzia jego bez żadnych najmniejszych kondycyi suplement... Rezolwowaliśmy się, byleby Francya nas chciała suplementować, brać od niej pieniądze, nie zważając na gniewy“ (8).

Pijaństwo stało się tonem, panującym zarówno pod strzechą ubogiego szlachcica, jak w pałacu milionowego magnata. Hetman Pociej „częstował zawsze z wielkim zbytkiem i sam pił“ (9); oficera saskiego przez dni kilka podejmował tak hojnie, że nieszczęśliwy „wpadłszy w gorączkę, uciekł z resztą zdrowia i wkrótce umarł“ (10). W nocy, w jednej koszuli, przylączał się hetman do pijących pod stodołą szlachciców (11). Hetman polny lit. Radziwiłł, podczas popisu wojska pod Zabłudowem przyjmując

(1) Dyaryusz Szyrmy. (2) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 188. (3) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 225. (4) Tamże, str. 22. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 8, 75, 78 i 118. (6) Pamiętniki Matuszewicza. I. 151. (7) Tamże, II. 220. (8) Tamże, II. 316. (9) Tamże, I. 26. (10) Tamże, I. 27. (11) Tamże, I. 28.

Augusta III „napił się tak mocno, że, gdy króla przeprowadzał do Białego-stoku, nie mógł usiedzieć na koniu“ (1). Książę Karol Radziwiłł „nigdy mizerną szklanką i powoli nie pił, ale miał wielką, więcej niżli kwartową i tę zawsze duszkiem wychylał pełną“. Upiwszy się, szedł do kaplicy, „tam godzin ze dwie albo więcej śpiewał godzinki, różańce i inne pieśni nabożne, że się aż zawrzeszczał i wytrzeźwiał“. (2) Niejaki Bulharyn twierdził „pod sumieniem, że w jego familii ta jest obserwacya, aby koniecznie w wigilię Bożego Narodzenia jak najmocniej się upić“ (3). Oprócz tak głośnych, jak ordynat ostrogski, Janusz książę Sanguszkowski, kasztelan zawichoj-ski Borejko, „zabójca ludzkiego zdrowia“ krajczy kor. Adam Małachowski (4), — dobrze pił Marcin Matuszewicz (5), deputat wileński Czyż (6), mnóstwo pochłaniający wódki marszałek związkowy z czasów Augusta II, Górzynski (7) i wielu innych. Byli mistrzowie, którzy kosz wina szampańskiego przez swywołę i żart wypijali w przeciągu godziny; Komarzewski i Świejkowski poszli z księciem Lubomirskim o zakład, że we dwóch tylko beczkę starego węgryna pochłoną. Napelniali kielichy przez podstawianie ich pod otwór beczki, aż wypróżnili całą (8). Pito na chrzcinach, weselach, imieninach, odpustach i stypach; pojono konkurenta, żeby dobrze go zba-dać (9); stronnika politycznego, czy nie tai jakich skrytości (10). Po pijanemu potwornych dopuszczano się zbytków. Radziwiłł okuć kazał swą siostrę, a z Pacem strzelał do kobiet. „Jak w piekle było — powiada Matuszewicz — kiedy się książę upił i drudzy“ (11). Z pijaństwa ludzie kończyli życie. „Ze zbytniego picia win starych“ zmarł podkomorzy lit. Mniszech i pod-stoli Rzewuski (12), starodubowski starosta Zawisza (13) i inni.

Z pijaństwem w parze szła wyuzdana rozpusta. Nie wierzymy wier-szowi: „w Polsce co wiesz, to zamtuz, a miasto Sodoma“ (14); wątpić jednakże o życiu swywołnem ojców zasady niemamy żadnej. Taki hetman Mikołaj Potocki „więcej radził o kieliszkach i szklankach, niżeli o dobru rzeczypo-spolitej; w nocy — będąc sam w latach podeszłych — radził o pannach... Z powodu pijaństwa ustawicznego i wielkiego wszeteczeństwa zatracił

(1) Tamże, I. 154. (2) Tamże, IV. 81. (3) Tamże, III. 219. (4) Kitowicz. Opis oby-czajów i zwyczajów za panowania Augusta III. T. III. 188 — 202. (5) Pamiętniki Matuszewicza. III. 216. (6) Tamże, I. 144. (7) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II. str. 261. (8) Moszeżyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 5. (9) Pamiętniki Matuszewicza. II. 18. (10) Tamże, I. 26. (11) Tamże, IV. 82. (12) Tamże, III. 50. (13) Tamże, III. 214. (14) Przy dyaryuszu Szyrmy.

wojsko“ (1). Stronnicy Leszczyńskiego, zebrani w r. 1735 w Królewcu, „bardzo hojnie, aż do zbytku żyć poczęli, w inklinacye i rozkosze powdawali się tak dalece, że wielu w nieprzystojne wpadło choroby“ (2). Krajczy lit. Radziwiłł, uwięziwszy żonę i dzieci, trawił życie wśród metres. Harem jego składał się z kobiet uwiedzionych, kradzionych, porwanych gwałtem, zakupionych od rodziców lub księży. Na folwarku chował młode o pięknych twarzyczkach różnego stanu dziewczęta, jako kadetki (3). Książę Karol Radziwiłł lat ośmnastu nie doszedł, a w bezceństwach najwytrawniejszych przewyższył mistrzów (4); komisarz w dobrach Ogińskich, Wieluński, pozwany został do sądów, że za urzędowania swego *violavit* pięćdziesiąt dziewczek (5). Usiłowano nawet rozpuścić nadać organizację; ksiądz kanonik Krasowski założył w tym celu bractwo i odpowiedni napisał statut. Pozywany po grodach, ziemstwach, trybunałach, konsystorzach i nuncyaturze, — usprawiedliwić się potrafił dopiero w Rzymie (6). Kobiety zawiązywały romanse z mnichami (7) lub kornetami od husarów (8); podstarzali mężczyźni wzmacniali stargane siły sztucznych środków użyciem. Zmarł od nich w kilka niedziel po ślubie hetman Stanisław Koniecpolski (9); z tejże przyczyny zgaśł i Stanisław Potocki (10). Najosobliwszym jednak okazem jest marszałek nadworny lit. Janusz Sanguszko, który, porzucając żonę młodą i piękną, do amorów używał mężczyzn. Jednemu za wierne służby siedemnaście wsi i miasto Koźmin darował (11).

Znęcanie się nad słabymi, gorsząca w stosunkach z ludźmi swywola, wzajemne spotwarzanie się i urąganie prawu, — były tak pospolite, jak cięcia „żydowskiej szabli“ lub napelniony węgrzynem kielich. Tortury i takiego rodzaju kary, jak: targanie kleszczami, ucinanie członków, ćwierutowanie, sadzanie na kół, przykładanie do boku szyn rozpalonych, ścieranie popom plesza rozpalonym kamieniem lub cegłą (12), — uprawnione i praktykowane były przez władzę; jurysdykcya patrymonialna śmiercią karała karbowego za niepilność, szubienicą za branie pośladków zboża lub odmie-

(1) Latopisiec Jerlicza I. 64. (2) Pamiętniki Matuszewicza. I. 50. (3) Tamże, I. 201. (4) Kollataj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. Wyd. Raczyńskiego, Poznań, 1841. T. I, 42. (5) Pamiętniki Matuszewicza. I. 165. (6) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 60. (7) Pamiętniki Matuszewicza. I. 102. (8) Tamże, IV, 241. (9) Latopisiec Jerlicza. I. 49. (10) Tamże. II. 115. (11) Pamiętniki Matuszewicza. II. 47, 51. (12) Latopisiec Jerlicza. II. 79, 81, 94.

rzanie go z czubem (1). Za zbiegostwo, połączone z kradzieżą, obrzynano uszy, połowę nosa i wypalano na czole znaki; za nieprawne stosunki parobek wzamian za karę śmierci otrzymywał 200 kijów, kobieta 100miot, a połowę tego mąż za nietrzymanie żony w karności (2). Po zwycięstwie w roku 1702, odniesionem pod Niemirówem nad Kozakami Paleja, 70,000 (?) wziętych w niewolę chłopów nacechowali panowie obcięciem lewego ucha (3); łowczy księcia Radziwiłła po 500 i więcej plag za małe przewinienia polecał odlewać chłopom, a na obławie za niedopilnowanie zwierza kazał ich wieszać (4). Podstarości w dobrach pani Matuszewicz, szlachcic Łastowski, z otrzymanych z polecenia dziedziczki kilkuset razy w dni kilka umarł (5); głośny awanturnik, Wołodkiewicz, świadków przeciwnę w procesie strony kazał do połowy zakopywać w ziemię (6). Krajczy lit. Radziwiłł, bijąc syna pięściami, nabił mu garba (7); matki różgami zmuszały córki do wyjścia za mąż (8). Rałowała szlachta w dzień biały kramy (9) i bezczeszczyła żydowskie świętości. Niejaki Grabowski „poszedł pijany do szkoły żydowskiej w Brześciu i na kontempt żydom siadł w pośrodku *pro opere naturali*“ (10). Znieważanie czynne rzadkością nie było; od bicia w głowę padali szlachcice o ziemię, jak snopy (11). Za wcielenie bezprawia służyć może zmarły w r. 1649 strażnik w. kor. pan Samuel Łaszc. Z kilkuset banitami, rozbójnikami i złodziejami plądrując wszędzie „na Pana Boga nie dbał, ani prawa pospolitego bał się, ani ludzi pocziwych wstydził... Na majątności szlachty najeżdżał, gwałty czynił, mordował, uszy i nosy obrzywał; panny i wdowy, gwałtem biorąc, za oprawce swoje oddawał... Banicy mając na sobie 236, a infamii za różne ekscesa 37, za nic sobie ani książąt, ani panów, ani wojewodów miał“ (12). Ten pan Samuel Łaszc banicyami owemi podszyć sobie kazał ferezyę (13).

Obok tego wszystkiego czołgał się niski serwilizm, tem wstrętniejszy, że się ujawniał w postępach ludzi, którzy w stosunkach z niższymi celowali hardością i dumą. Podczas godzinek o niepokalanem poczęciu najświętszej Panny, gdy w pieśni: *Zawitaj ranna jutrzeńko* przychodziło do słów: „sprawuj senatorskie rady,“ — wszyscy się pijanemu Radziwiłłowi,

(1) Lubomirski. Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVIII w. Warszawa, 1862, str. 35. (2) Tamże, str. 36. (3) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II., str. 48. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 85. (5) Tamże, I. 125. (6) Tamże, IV. 107. (7) Tamże, IV. 22. (8) Tamże, I. 118. (9) Tamże, I. 137. (10) Tamże, I. 73. (11) Tamże, I. 137., II. 170. (12) Latopisiec Jerlicza. I. 49 i 50. (13) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 39.

jako wojewodzie, przez pochlebstwo kłaniali (1). Matuszewicz, mając sprawę w trybunale, objeżdżał deputatów, do nóg ich krzyżem padał i szlochał; takiej zaś biegłości w płakaniu nabrał, że, skoro do którego deputata przyjechał i mówić zaczął, zaraz mu łzy z oczu płynęły (2). Hardy ten w stosunkach z innemi szlacheć Flemingowi, chcąc go dla siebie zjednać, umiał beczelnie schlebiać i całował go ciągle po brzuchu (3).

Niecnotę w sprawach publicznych krzycząco ilustrują zrywane dla widoków prywatnych sejmiki i sejmy, rokosze magnatów i bunt. Nie miały wstydu skonfederowane w r. 1662 wojska, błagane przez stany rzeczpospolitej o ratunek ojczyzny, powiedzieć: „że nieprzyjaciół następuje, — *condolet* wojsko, ale niech mu ci dają odpór, którzy sobie sami, a nie rycerstwu *probatam* przypisują *virtutem*; że i han *urget* w Ukrainę wojnę, — podziękować mu zato, a że on ma dostatek komunika, — posłać mu piechoty i armatę, która *non sentit* z nami, może *reprimere hostem*, mając zwłaszcza *fidem* Kozaków, których już sprobowaliśmy cnoty. Że król jegomość do obcych brać się musi posiłków, rozumiemy, że te darmo na wojnę nie pójda, ale lepiej nam to dać starym doświadczonym sługom, niżeli nowym, których jednak, prosim, niech jego królewska mość nie zaciąga, bo ich na granicach witać będziemy“. Była przecież w tym związku szlachta, trzymająca wójtostwa i spożywająca *panem bene merentium*; nie sromiała się jednak nieszczęsnemu krajowi uragać; tym, którzyby ku jego obronie chcieli pośpieszyć, śmiała nawet grozić orężem (4). Rehabilitowano zbrodniarzy, których należało piętnować hańbą; w politycznych opryszkach upatrywano ofiary niesprawiedliwości ojczyzny. „Przybył ze Szwedami — powiada kronikarz — i Hieronim Radziejowski, któremu podkanclerstwo niesłusznie odebrano, mścić się na nieprzyjaciółach i instygatorach, — bez miłosierdzia z państwa wypędzony niewinny wygnaniec... Cóż miał czynić? rzeczpospolita na niego instygowała; papież, cesarz, król francuski nie nie wskórali, musiał się udać do Szwedów. Kiedy mu przyjaciele nie pomogli, u nieprzyjaciela ojczyzny szukał pomocy“ (5). I niebył to stronniczy na tę sprawę pogląd pisarza, gdy bowiem po śmierci Karola Gustawa Radziejowski do kraju wrócił, — „włos mu z głowy za uczynek zdradziecki nie spadł, a nietylko, żeby go pał miał spotkać, albo katowska ręka nad głową jego być, ale jeszcze mu i wesele z żoną jego sprawowano i tryumfowano“ (6).

(1) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 80. (2) Tamże, II. 150, 166. (3) Tamże, III. 94.

(4) Biblioteka warszawska z r. 1858. T. IV, str. 518. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 220. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 67.

Ludzie tacy przy całej nabożności swojej i westchnieniach ku niebu na bicze satyr Opalińskiego zasługiwali chyba najsluszniej.

* * *

Spółeczeństwo polskie z XVII i połowy XVIII wieku pod względem wiary ze współczesnemi narodami zachodu w pokrewieństwie zostaje bliskiem. W epoce ogólnej reakcyi, jaka ogarnęła Europę po wstrząśnieniach religijnych w wieku XVI, ludy katolickie zachodu tak samo czcily relikwie, wierzyły w cuda, oddawały się praktykom nabożnym i objaśniały zjawiska, jak u nas; tak samo również narody protestanckie teologicznemu dały się unieść prądowi, wierzyły w dyabła i czary, we wpływy komet i gwiazd, w astrologię i wróżby. Myśmy w zapale religijnym wypędzili w tej dobie arianów, a Hiszpania w r. 1610 — 800,000 Maurów, Francya po odwołaniu edyktu nantejskiego pół miliona kalwinów, w r. 1731 Salzburg do 20,000 ludzi, podejrzanych o protestantyzm. Spaliliśmy w r. 1689 oskarżonego o ateizm Łyszczyńskiego; pod topór kata oddaliśmy w r. 1724 dziesięciu mieszczan za znieważenie kolegium jezuickiego w Toruniu; śmiercią karaliśmy bluźnierców; — w Rzymie rzucono na stos Giordano Brunona, więziono Galileusza, w r. 1725 w protestanckich Prusach skazano bluźniercę na wyrwanie języka i stryczek, w Edynburgu za takiż postępek jeszcze w połowie XVIII wieku powieszono studenta. Tak samo, jak nasz Jan Kazimierz, Albert Wallensztejn z układu gwiazd czytał swą przyszłość; podobnie, jak ów małoletni, sądzony w r. 1728 Kazimierz Kamiński, — marszałek francuski Luxembourg wchodził w układy z szatanem. Prześladowaliśmy czary, — nie przebaczał im również i zachód. W jednym z niemieckich hrabstw drobnych od r. 1640 do 1651 spalono około 1000 czarownic, pomiędzy którymi były dzieci od jednego do sześciu lat życia; w biskupstwie bamberskiem na 100,000 ludności pomiędzy r. 1627 a 1630 spłonęło 285, w biskupstwie würtzburgkiem w przeciągu lat trzech (1727—1729) przeszło 200 osób płci różnej i wieku. Chwalił się sędzia z Fuldy, że sam skazał na spalenie około 700 ludzi, a miał nadzieję do tysiąca doprowadzić liczbę swych ofiar.

Wiara, jaką w XVII i w połowie XVIII wieku spostrzegamy u ojców, wykwitła z nasion reakcyi powszechnej; że grunt u nas znalazła dla siebie dobry, że się rozrosła szeroko i bujnie, — niezawodną tego przyczyną wychowanie i tak zewnętrzne, jak wewnętrzne warunki, wśród których nieszczęśliwy naród smutne włócił życie.

Gdy dziecko uczono jeść, przed podaniem pokarmu rączki jego składano w znak krzyża na czole, ramionach i piersiach; gdy pierwsze poczęło wymawiać słowa, — pacierza je uczono natychmiast. Nie dano nic spożyć, dopóki młodsze nie przeżegnało się przynajmniej, a starsze jakiej części pacierza nie powiedziało na pamięć (1). W szkołach jezuickich zakazywano młodzieży myśleć, zacierano w niej żywość dowcipu i łatwość pojęcia, — obciążano za to głowy tajemnicą łaciny (2) i do pobożności wdrażano. Oprócz nabożeństw w kościołach i miesięcznych spowiedzi, których niewolno było zaniedbać pod karą plag (3), — śpiewać kazano codziennie litanie o Pannie najświętszej (4) „słuchać *sacrum, officium B. M. V. i rosarium* odprawiać, nucić pieśni nabożne, w święta prawić oracye, (5). Matuszewicz, mając lat dwanaście, jako uczeń retoryki szkół jezuickich w Brześciu, miał „długą w kościele publiczną oracyę w uroczystość Niepokalanego poczęcia najświętszej Panny Maryi *in laudas immaculatae conceptionis*“ (6). Co miesiąc dawano kartki, z których każda zawierała sentencyę, podaną przez jakiego świętego, a zachęcającą do cnoty. Świętego autora sentencji posiadacz kartki miał za patrona przez miesiąc i ku wykonaniu cnoty wyzywał jego pomocy (7). Odgrywano dyalogi o nawróceniu się jakiej znanej osoby na katolicyzm (8), albo „o jednym bogatym człeku, świat rzucającym i do Jerozolimy pielgrzymującym, gdzie na górze Kalwaryi w osobliwszem nabożeństwie ducha swego Panu Bogu oddał“ (9). Żeby na przyszłych szermierzy katolicyzmu przysposobić swych uczniów, — oprócz dysput zwyczajnych, które w szkołach o różnicach pomiędzy religiami urządzali jezuiti co tydzień, — miewano po dwakroć w roku rozprawy znaczniejsze, a jawne. Jeżeli teolog dyssydencki do dysputy nie stanął, — miejsce jego zastępował uczeń jezuicki klas wyższych (10). Zachęcali też mistrze wychowawców swoich i do czynnego „wykorzeniania heretyków w ojczyźnie“. Z ich to namowy w dniu 13 kwietnia 1606 r. około trzystu uczniów jezuickich, uzbrojonych w strzelbę, napadło w nocy na kościół luterski w Pozna-

(1) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I., str. 13 i 14.

(2) Pamiętniki Józefa Wybiekiego. Wyd. Raczyńskiego. Poznań, 1840, t. I. str. 7. (3) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I., str. 70. (4) Pruszez. Kleynoty. st. m. Krakowa, str. 25. (5) Tamże, str. 27. (6) Pamiętniki Matuszewicza. I. 5. (7) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I. 70. (8) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 245. (9) Pamiętniki Matuszewicza. I. 6. (10) Łukaszewicz. Wiadomość historyczna o dyssydentach w m. Poznaniu, str. 93, 94.

niu, rozpedziło strażę i zniszczyło budowle żelazem i ogniem (1); jednocześnie zburzyli gmachy braci czeskich (2), a w r. 1614 i 1616 ponawiali napadów, aż zbory zrównali z ziemią (3). W r. 1682 studenci wileńscy „nastąpiwszy gwałtownie, zburzyli i rozrzućili zbór; domy, w których księża ewangeliccy mieszkali, zniszczyli. Księgi palili, księży, którzy się pod trumny ludzi umarłych pochowali przed strachem, powyciągali i pastwili się strasznie. Z grobów dobywali trupy, mężczyzny umarłe na białogłowy umarłe kładli, wołając: *crescite et multiplicamini...* A przy nich miał być jakiś jezuita *incognito*, zakrywwszy twarz, żeby go nie poznano“ (4).

Wdrażano w dewocję i zaszczipiano fanatyzm, a dostępu do światła broniono pilnie. Wszakże, gdy w konwikcie pijarskim zaprowadzano wykłady fizyki, — jezuiti na dyalogu w szkole warszawskiej usiłowali nową naukę zohydzić i wysmiać (5); gdy około roku 1749 wydrukowano w kalendaryku opinię, że się ziemia obraca, a słońce stoi, — i własnych przeciwko bezbożnej teorii nie omieszkali zażyć rozumów i inne zakony potrafili podburzyć (6).

Dopełniali mistrzów tak zwani dyrektorowie tyrańscy a dzicy, którym szkoła powierzała swych uczniów (7). Brutalne ich postępowanie z młodzieżą do tragicznych niekiedy doprowadzało następstw. Józef Sapięha wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał, gdy mu dyrektor za konwersacyę z damą „żadnej cenzurze niepodlegającą“ dał plagi (8). Ciż sami dyrektorowie przez życie zdrożne dawali uczniom zły przykład i zaszczipiali w nich najszpetniejsze nałogi. Matuszewicz miał, będąc w szkołach, inspektora, od którego przejął inklinacyę do częstowania i picia (9). Przeniesiony z Drohiczyna do szkół jezuickich warszawskich, — „mając — powiada — dyrektorów niebardzo *morigenes*, którzy napijania się nie wystrzegali i nas na reduty *alias* tańce publiczne i gry w karty z sobą brali, — znacznej odmianie w dobrej ś. p. ojca edukacyi uległem“. Pić do tego nie wystrzegał się stopnia, że przed dyalogiem zapominał o roli (10).

Wychodziła przeto ze szkoły młodzież zdemoralizowana i ciemna; wynosiła z niej nałóg do praktyk nabożnych bez moralnych pobudek; nie

(1) Tamże, str. 142. (2) Tamże, str. 145. (3) Tamże, str. 148, 150. (4) Pamiętnik Cedrowskiego (Balińskiego Pamiętniki, str. 152). (5) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach pan. Augusta III. T. I. 50. (6) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I. 29, 30. (7) Pamiętniki Wybiekiego. I. 7. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 7. (9) Tamże, I. 4. (10) Tamże, I. 6.

umiała racjonalnie najprostszego objaśnić zjawiska i pogardę żywiła dla nowości i nauki. Stąd to najlepsze głowy tych czasów wydają: „Siedm psalmów albo hymnów na pacierza części siedem“; „Hymny i pieśni na różne teksty ewangeliczne“; „Ogród panieński pod sznur pisma świętego i doktorów wysadzony“; stąd wyrzeczenie kasztelana lwowskiego Fredry na sejmie w r. 1661: „wolę przy dawnych prawach oponować się i, tych nienaruszywszy, wolę błdzić, aniżeli, zdeptawszy one, być mądrym“ (1). „Że wszelkie nowe wynalazki są rzeczypospolitej szkodliwe — wygłasza ciało sejmowe w r. 1662 — doświadczenie świadczy ustawne“ (2); „ojczyźnie — głosi znów kronikarz — szkodzą, którzy rozszerzają nauki, albowiem próżniactwo tylko i życie delikatne z nich płynie“ (3).

Dalsze życie rozmodlonego a zepsutego w szkole młodzieńca znowu płynęło pod sterem księży niemoralnych i ciemnych. Strażnicy sumień rekrutowali się często z awanturników lub ludzi z obawy kary za zbrodnię, czy z innego powodu, przytułku szukających w klasztorze. Przyjmuje habit franciszkański awanturnik, ściągany za odprawianie nabożeństwa bez święceń (4); bernardynem zostaje oficer, za zabójstwo i najazdy skazany na śmierć (5); przywdziewa kaptur łowczy, obawiający się pańskiej niełaski z powodu ucieczki charta (6); rewokujący z kalwinizmu, osądzony na ścięcie zdradca (7); wstępuje do zakonów w r. 1730 kilku pińskich studentów, za zabójstwo horodniczego dekretem trybunalskim skazanych na gardło (8). Ludzie tacy „obracali prewenta na lubieżności i nikezemne pieszczoty“ (9), a w pijaństwie rzadko się komu dali wyprzedzić. Znał ich z tej strony głośny Borejko, zapraszał przeto z pobliskich klasztorów po parze i po trzy lub pięć dni pijackie z nimi wyprawiał orgie, — przestrzegając naturalnie, żeby w swoim czasie odśpiewano mszę świętą i odmówiono kapłańskie pacierze (10). Wyzyskiwanie pobożnych ludzi najprzedniejszym było ich celem. Wojewodzinę sandomierską, Firlejową, opanowali jezuici do tego stopnia, że im majątko i wszystkie dochody oddała, szczęśliwa, że bez troski o sprawy doczesne rozmyślać mogła o niebie i obcowaniu z świętymi. Jakoż dwaj nowicyusze, przybrawszy charakter św. Alojzego i św. Stani-

(1) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 125. (2) Tamże, II. 161. (3) Tamże, I. 375, 376. (4) Tamże, I. 141. (5) Pamiętniki Zawiszy, str. 348. (6) Pamiętniki Matuszewicza. I. 97. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 148. (8) Dyaryusz Szyrmy. (9) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 175. (10) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. III. 189, 191.

sława Kostki, poczęli się w sposób mistyczny dewotce objawiać. „Wizye te bardzo się podobały Firlejowej; święci zaś do takiej doszli poufałości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu. Nieraz dała się słyszeć niebieska muzyka; nieraz pobożna Firlejowa tańczyła ze św. Alojzym lub ze św. Stanisławem Kostką. Pewną była, że niebieskie słodycze miała w nagrodę nabożeństw i oddalenia się od świata“ (1). Kanclerzynę kor. Szembekową z Babic namówili znowu na peregrynację do grobu Chrystusa, dla oszczędzenia zaś damie fatygi wyrobili w Rzymie przemianę ślubu na podróż do miejsca, które wskaże konfident i na rozdanie na cele pobożne sum takich, jakieby pociągnęło *votum* pierwotne. Okazało się po wyrachowaniu kroków z Babic do Jeruzalem, że Szembekowa powinna była na podróż poświęcić lat pięć. Oddała przeto na czas taki jezuitom swe dobra, przywdziała suknie pielgrzymie i w towarzystwie czterech ojców duchownych peregrynowała po olszynie babickiej, odbywając przepisane nabożeństwa i biorąc codziennie błogosławieństwo na drogę (2). Księża świeccy byli nielepsi. Pleban gosławicki opowiadał ciemnemu kolatorowi swemu, Łąckiemu, że nieboszczyk Lubrański, dawny dziedzic Gosławic „na koniu ognistym w nocy przez sufit w izbie stanął“ i mówił, że do tego czasu zostaje w czyścisku, albowiem nie wypłacił przeznaczonego na utrzymanie pięciu księży funduszu. Oznajmił przytem dowcipny pleban, że Lubrański obiecał się i Łąckiemu pokazać w takiej samej postaci. Oczywiście, dobroduszny kolator, by siebie od nawiedzin, a Lubrańskiego uwolnić z czyściska, nie omieszkiał sprawy z proboszczem załatwić (3). Nie wstydził się biskup łucki, Kobielski, zażądać pięćdziesięciu dukatów za pozwolenie na wprowadzenie maryanów do nowozałożonego klasztoru w Rasnej (4); nie miał sromu kanonik łucki, surrogat konsystorza janowskiego, proboszcz wysocki „przysłać na wszystko duchowieństwo inhybicyi, aby się nie ważyło eksportować ciała, dopóki mu *quarta pars funeralium pro jure parochiali* wypłaconą nie będzie“ (5); nie wahali się księża nieproszeni dla zarobku zjeżdżać na pogrzeb (6). Pleban dawidgradzki, ukradłszy rodzicom córkę, sprzedał ją krajczemu Radziwiłłowi za 200 dukatów (7); kanonik Krasowski organizował ohydne bractwo.

(1) Kollataj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach pan. Augusta III. T. I. 77—88. (2) Tamże, I. 87—89. Podobny fakt, dotyczący podkomorzyny poznańskiej, Czartoryskiej, przytacza Moszczyński (Pamiętnik do historii polskiej, str. 21). (3) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 14. (4) Pamiętniki Matuszewicza. I. 99. (5) Tamże, II. 28. (6) Tamże, II. 33. (7) Tamże, I. 201.

Jeżeli wychowanie i wpływy księży działały na społeczeństwo w kierunku demoralizacyjno-pobożnym, — to z drugiej strony olbrzymie klęski, jakie przez cały ciąg XVII i połowę XVIII wieku trapiły naród, dla wszechstronnego rozkwitu pietyzmu zrobiły resztę.

Najazdy Szwedów, Moskali, Tatarów i Turków; wojny domowe za Zygmunta III, Jana Kazimierza i Augusta II niszczyły kraj i przejmowały mieszkańców trwogą. Powietrze morowe przez cały wiek XVII grasowało prawie bez przerwy: w r. 1601—1603, 1623—1625, 1627—1632, 1637—1639 (1), w r. 1641 i 1642 (2), od 1652 do 1654, w r. 1661 i 1662 (3), w r. 1667 (4) i 1704 (5). Podczas powietrza, panującego w r. 1624 i 1625 zmarło 2375 osób w samej w Warszawie, w Gdańsku 10,454 padło mieszkańców (6). Najstraszniejszą jednak była tak zwana czarna śmierć (*mors nigra*), która pojawiła się najprzód na Ukrainie po bitwie pod Beresteczkiem, a poszła ze wschodu do Lwowa i Krakowa, następnie dorzeczem Wisły na północ. Po 150 w Krakowie, w okolicach po 250 ludzi padało dziennie. Stracił Kraków podczas tej klęski około 37,000 mieszkańców. W niektórych miejscowościach panowała zaraza aż do r. 1655. W r. 1653 grasowała w Toruniu i Gdańsku, gdzie 11,600, a w Sieradzu w r. 1654 — 2000 umarło ludzi. Po miastach, miasteczkach i wioskach puste domy stały otworem, a w nich trupy leżały, jak snopy; żywi uciekali do lasów szukać schronienia po norach zwierząt (7).

Jednocześnie robak niszczył zasiewy, grasowała szarańcza, panowały nieurodzaje i trapił głód ciężki. W r. 1630 do tego stopnia owad na Rusi zjadł zboża, że chleb pieczono z suszonych liści i ziela (8); ponowiło się to w lat sześć (9), a w r. 1645 szarańcza na Ukrainie i Podolu spadła tak wielka, że ciężarem swoim łamała gaje brzoźowe i wywracała z korzeniem dęby (10). W r. 1651 dla nieurodzaju i głodu, panującego przez lato do żniw, ludzie, karmiąc się liśćmi i zieleń, puchli i na gościńcach padali martwi; kupami z Rusi czerwonej, Podola i Wołynia, opuszczając miasteczka i wioski, przed głodem uciekali na lewy brzeg Dniepru. Matki własne zjadały dzieci, zarzynano na pokarm ludzi (11). W r. 1662 nad Wisłą i Bugiem

(1) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (2) Latopisiec Jerlicza. I. 45 i 46. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 147, 188. Latopisiec Jerlicza. II. 65. (4) Latopisiec Jerlicza. II. 115. (5) Pamiętniki Rakowskiego, str. 28. (6) Biblioteka warszawska z r. 1852, t. III, str. 214. (7) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (8) Latopisiec Jerlicza. I. 38. (9) Tamże, I. 66. (10) Tamże, I. 48. (11) Tamże, I. 113, 120.

mróz zniszczył jarzyny, owoce i żyta, a powódź unosiła inwentarz i chaty (1); w r. 1668 ptactwo dzikie wdierało się dla braku pożywienia do budynków i chałup (2). Drożyzna dochodziła do tego, że w r. 1636 za funt pieprzu płacono na Ukrainie zł. sześć, w r. 1651 za macę mąki żytniej zł. 120 (3). Z powodu fałszowanej za Jana Kazimierza monety cena towarów w Polsce wzrosła w trójnasób, czerwony złoty spadł nisko, a szelągi zupełnie straciły wartość (4). W r. 1650 „w nocy przed kury“ i w r. 1652 trzęsła się ziemia (5); nadomiar zaś trwogi okazywały się na niebie komety w postaci ognistych smoków, krzyżów i słupów; émiło się słońce i księżyc i rodziły się ohydne ludzkie potwory. W r. 1669 urodziło się pod Dubnem dziecko z głową, jak wiadro, z kośćmi pogruchotanymi, z zębami tak dużymi, jak świńskie, bez oczów, z nogami krzywymi, a jelitami i płucami na wierzchu (6); w r. 1699 wydała na świat pani Tymowska zająco-jeża (7); w r. 1710 urodziła niewiasta na Kleparzu niemowlę o dwóch głowach na jednym karku (8).

Dotkliwość klęsk tylu była dla człowieka tem większą, że ich ani rozumiał, ani nie miał sposobu wystąpić z nimi do walki; że go bardziej, niż stroną widomą, tajemniczością swoją torturowały moralnie. Widział, że się grunt pod stopami usuwa; spostrzegał siłę, pchającą w przepaść; lecz ani konsekwencji w działaniu nieszczęścia, ani natury jego pojąć nie umiał. Zawieszonemu w otchłani tajemnic podała rękę nauka o grzechu i karze, o pokucie i ujawnianiu się woli bożej w zjawiskach przyrody. Rozumiejąc, że klęski są karą za grzechy, które znowu kompensuje pokuta, — zapełnił sobą kościoły i stał się dewotą; uwierzywszy, że Pan Bóg zwykł wolę swoją ujawniać, — szukał takowej wszędzie i przy pomocy fantazyi wszędzie umiał ją znaleźć.

Duch prawdy — powiada Lecky — przejawiający się w stopniowym rozroście pogardy dla fałszu i niedowierzania rzeczom wątpliwym, jest jedną z najprzedniejszych cywilizacyjnych zdobyczy, którą głównie wielkim filozofom XVII stulecia trzeba zawdzięczać. Oprócz zastosowania badawczych metod, podkopali oni stare przesady, zohydżając łatwowierność i ucząc, że z fałszem nieubłaganą należy prowadzić walkę, nieufać pewni-

(1) Tamże, II. 67. Historia pan. Jana Kazimierza. II. 189. (2) Latopisiec Jerlicza. II. 130. (3) Tamże, I. 44, 120. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 50, 227, 459, 468. (5) Latopisiec Jerlicza. I. 113. II. 102. (6) Tamże, II. 139. (7) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 28. (8) Tamże, str. 183.

kom przodków i skrupulatnie analizować zasady ich wierzeń. Zalecali ludziom kształcenie w sobie miłości prawdy dla samej prawdy, — uczucia, które wyzwala umysł z pęt różnych wpływów, nie lęka się zrezygnować z ulubionej teorii i zerwać z nałogiem. Każdy z tych mężów z nadzwyczajnem mistrzostwem napadał na błędy, stanowiące rdzeń starych poglądów. Descartes nauczał, że zasadą wiedzy jest zerwanie z przesądem i rozciągnięcie nad wszystkim kontroli własnego rozumu. Locke przedstawiał konieczność określenia granic ludzkich zdolności, a teorią, wymierzoną przeciwko ideom wrodzonym i mistrzowską analizą entuzjazmu cios zadał śmiertelny mniemaniu tych, którzy usiłowali pewną grupę zjawisk duchowych usunąć z pod badań. Bacon zalecał opieranie teorii na doświadczeniu i faktach.

Myśmy filozofów takich nie mieli, a głos obcych do uszu ojców nie doszedł. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, przez zmiany w systemie wychowania, uprawę nauk przyrodniczych i popularyzowanie poglądów pisarzy zachodnich, odważyliśmy się przeciwko wierze niezakończoną dotychczas rozpocząć walkę.

Władysław Smoleński.

Śmielsze błyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej.

(Szkicowe studyum).

I.

Ustrój i charakter zamarłej przy schyłku przeszłego stulecia rzeczypospolitej usposabiał czynnych członków narodu do refleksyj społeczno-państwowych, do krytyki różnych sfer życia publicznego. W ciągu trzystu lat z górą ten ruch dośrodkowy podtrzymuje całą literaturę, wszystkie jej warstwy żywotne przenika. Nie pogłębia się on, nie świeci pierwszorzędnymi potęgami wiedzy, ale ogarnia całą niwę rodzimą i staje się dla ogółu chlebem powszednim. Opopok niewielu cennych pomników, napotyka dzisiejszy badacz, na szlakach zagasłej przeszłości, niezliczoną ilość broszur i świstków politycznych. O złoty owoc tam trudno; bo praca naukowa jest w starej Polsce rośliną egzotyczną, a dążenie za postępem — ideją niepopularną. Naród nasz, na mocy prawa koniecznego, staczając się po linii pochylej w przyszłość, miał oczy w przeszłość zwrócone. Kto chciał kroczyć naprzód, przebierał się w przodków swoich szaty. To też zarówno plan reformy państwowej Konarskiego, jak dzieła prawodawcze wielkiego sejmu, uchodzą za restytucję odwiecznych ustaw.

Duch konserwatyzmu, który odbija się tak wyraźnie na obliczu poważnych robót, spoczął całym swym ciężarem i na negatywnej twórczości narodu, na satyrze polskiej, stanowiącej ukrytą, sekretną, że tak powiem, stronę niejednokrotnie sprzecznych z zamiarami czynów widomych. Otwórzmy którąkolwiek z książek XVI-go, XVII-go, XVIII-go wieku; zajrzyjmy do Kochanowskiego, Klonowicza, Starowolskiego, Opalińskiego,

W. Potockiego, Naruszewicza, Krasickiego — każdy z nich utyskuje na upadek obyczajów, każdy w grobach praojcowskich szukając wzorów do życia, śpiewa oklepaną wrotkę: „Nie tak to *illo tempore* bywało!”

A więc literatura staropolska była wogóle zwierciadłem rozkładającej się stopniowo machiny państwowej, niezdolnem do inicjatywy dzieckiem z posepnymi narowami starca? Trudno zdobyć się na odpowiedź stanowczo przeczącą. W wieku XVII-tym przyświecała nam wprowadzić reformacya, a w XVIII-tym idee rewolucyjne encyklopedystów francuskich; ale dźwignie te, na niwie naszego bytu i piśmiennictwa, wchodziły zazwyczaj w kompromis z dążnościami przeciwnej natury. Postępowcy nasi lubowali się zawsze w półświatłach — półcieniach, a ten ich temperament znajduje swój wyraz nietylko w urzędowej satyrze, ale i w humorystyce polskiej. „O! co to, to nieprawda — krzykną tłumnie czytelnicy — umieliśmy się śmiać całemi ustami — dowodem: *Figliki* Reja, *Fraszki* Kochanowskiego, *Jovialitates* Wacława z Potoka...” Tak jest, żartowaliśmy serdecznie; dowcipy rubaszne sypały się, jak z rękawa, szczególnie, gdy nam „pełną” nalano; dalecy od pruderyi, nie krępowaliśmy się więzami zdawkowej przyzwoitości... Ale były to wyjątkowe chwile, murem chińskim oddzielone od poważnej zadumy. Przekonania zresztą, jakieśmy na ich łono złożyli, nie trąciły bynajmniej radykalizmem: co najwyżej — pozwoliliśmy sobie w nich zdemaskować hipokryzyę celibatu i wyrazić niewiarę w świętość „ojców świętych.” Na co się zdobył szlachcic, na to zdobyć się mógł i bernardyn podochocony. To też gdy zarzucano nam nieprawomyślność, zasłaniał się wygodną tarczą łacińskiego przysłowia. „*Nemo omnibus horis sapit.*” I szydząc z obłudy, byliśmy sami obłudnikami.

Z tem wszystkiem warto przejrzeć typowe plody humoru tendencyjnego z doby reformacyi i encyklopedyzmu. Czuć w nich odrodzenie ducha, czuć zdrowe powietrze wyżyn dziejowych.

Z pomiędzy wyrobów literatury negatywnej XVI-go wieku, najpospolitszym okazem są *Fraszki* Jana z Czarnolasn. Odsłaniają się w nich wszystkie czule strony charakteru poety — lekka myśl pływa po falach życia, namiętności młodzieńcze grają swobodnie. Miejsce maski oficjalnej, okrywającej oblicze dworaka królewskiego, zajęła przejrzysta gaza biesiadnicza, pod którą, na rachunek czarów bachusowych, można bezkarnie płać figle mądrości. Nie dopytasz się tam jednak śladu pokus właściwych olbrzymom — ironia humorysty nie mierzy w niebo, nie nurtuje

głębin społecznych. Wino i „podwika”¹⁾, pobudki Anakreontowe, są dobrymi przewodnikami natchnienia dla muzy wesołej. Szlachcic dworzanin płasza rytmicznie z pucharem w rękę, już to sam, już to w parze, i wśród głośnego śmiechu rzuca kiedy niekiedy błyszczącą barwę z kryjącej się przed światłem obłudy:

„Ja inaczej nie piszę, jeno, jako żyję,
Pijane moje rymy, bo i sam rad piję.
Nie mierzi mię biesiada, nie mierzą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty.
Co po sykofancyey? — Cheesz mię miary w życiu
Nauczyć, a sam, książę, dyabła nosisz w ukryciu?”

Fraszki — to pomnik wystawiony bóstwu życia towarzyskiego: wszystko, co mu nie sprzyja: pycha, zawisć, łakomstwo, hipokryzya — pada, jako trofeum u jego piedestału. Eklezjastycznemu, *vanitas vanitatum!*“ wtórnie biesiadnicze „*gaudeamus!*“ Niekiedy poeta bez względu na godność sztuki zbyt obnaża występłą naturę — jakby chciał dowieść, że człowiek jest tylko „zwierzęciem zepsutem...” Cokolwiek mu jednak zarzucić można, trudno nie dostrzedz, że działa on tu przeważnie w duchu reformacyi, że idzie, śmieiej niż gdziekolwiek, za prądem czasu; świętokradzką bowiem dłonią dotyka szaty kapłańskiej i dzieło Hildebrandowe ze sfer podniebnych na błotnistą ziemię sprowadza. A nie są to bynajmniej wyrazy bezmyślnej fantazyi piwosza. Wierszyk „na posła papieskiego”²⁾ był w swoim czasie objawem powszechnej reakcyi w duchu obywatelskim, inne znów (np. „*O k a z n o d z i e j e*”) sprawdzian swój znajdują nietylko w świadectwach dziejowych, ale i w żywych obrazach epoki bieżącej; w sprośnej nawet fraszce *O k a p ł a n i e* („prawo jest, aby kapłan nie mógł pojąć żony” etc.) tkwi zdrowa krytyka celibatu z niezachwianego, bo naturalistycznego stanowiska.

Co za kontrast z *Fraszkami* przedstawia *Satyr, mąż dziki*, utwór pokrewny, ukuty w tej samej, co i one, pracowni! Zupełny brak dowcipu i chłód urzędowy, połączony ze zgrzybiałością myśli — świadczą wy-

¹⁾ Kwef, zastłona kobieca.

²⁾ „Pośle papieski rzymskiego narodu,
Uczysz nas drogi, a sam chybiasz brodu.
Nawracaj lepiej, niżli twój woźnica,
Strzeż nas tam zawieść, gdzie płacz i tęsknica.”

mownie o dobrowolnem spełnieniu ducha. Poeta, przemawiając do króla i do narodu, pogrąża się tęsknem okiem w toń zapadłej przeszłości; ubolewa on nad degeneracją szlachty, która za Zygmunta Augusta odwykła już nieco od zajęć rycerskich i plugom a komiegom pierwszeństwo przed mieczem dała. Skarga na zbytki, na upadek obyczajów zajmuje znaczną część tej sztywnej, nawskroś prozaicznej ramoty. Niewiele ma ona wspólnego z naszym przedmiotem; zasługuje wszakże na uwagę, jako przeciwieństwo *Fraszek*, jako satyra o d s w i ę t n a, w porównaniu z codzienną. W ulotnych wierszykach biesiadniczych przemawia do nas żywy człowiek, silnie tchnieniem wieku owiany; tu — pedant-kaznodzieja, postać typowa, odarta z wybitnych cech indywidualności; tam widzimy jednostkę, niemal sprzyjającą reformie religijnej; tu — prawowierne szlachcica, który „nie uczył się w Lipsku ani w Pradze wiary, i nie wie, jako każą w Jenowie u fary“, szlachcica anachronicznego, krótkowidza, co się skarży, iż wynikiłe ze zbytków ubóstwo nie pozwala obywatelom budować klasztorów.¹⁾

Na łanach XVII-go wieku spotykamy się z licznymi naśladowaniami *Satyry*, który, jak widać, niesłychane w Polsce miał powodzenie. Sam Andrzej Rysiński (około r. 1640) skreślił dwie próby imitacyjne, o nieco żywszym, niż oryginał, kolorycie: *Satyr na twarz Rzeczypospolitej*, i mało dziś znaną rzadkość bibliograficzną: *Satyr na twarz dworską*. W kilka lat potem (r. 1648) jakiś bezimienny polityk puścił w obieg *Satyrę nowego z chorej głowy* — przeciw smutnym bohaterom potrzeby pilawieckiej. Nie koniec na tem: nad wartość popularna ramota odżyła raz jeszcze w epoce Stanisławowskiej, pod piórem Gracyana Piotrowskiego, pijara, który w r. 1773 ogłosił utwór: *Satyrę przeciw zgorzleniom wieku naszego, za powodem Satyra J. Kochanowskiego, etc.*

Cieszyły się zawsze powodzeniem i *Fraszki* Jana z Czarnolasu. W okresie wszakże jezuicko-makaronicznym ciężką przebywały próbę, spoczął bowiem na nich zarzut nieprawomyślności.

Druga połowa XVII-go w. i pierwsza XVIII-go były to dla umysłów polskich trudne, iście inkwizycyjne czasy. Wespazyan z Kochowa, gorący wielbiciel i naśladowca Jana z Czarnolasu, człowiek serdeczny, ale krótkowidzący, ortodoksyjny szczewacz arianów, poddawał się, jak sam pisze, surowej, teokratyczno-policyjnej krytyce księdza cenzora i z „liry-

¹⁾ „Kto dziś zamek założy, kto klasztor zbuduje?“

kami“ swemi ledwo uszedł oficjalnej kłatwy. *Fraszki* (epigramata) tego pieśniarza nie ustępują swemu pierwowzorowi polskiemu.¹⁾ Mało oryginalne, starają się przedewszystkiem o pieprzną zaprawę. Ze szczególną też predylekcyą biorą na ostrze dowcipu sprawę małżeńską i stosunki płciowe. Oto kilka przykładów:

O p a n n a c h.

„Panna, gdy panną, miewa anielską naturę;
Szedzys za mąż, jeżową wdziewa na się skórę.“

S e k r e t.

„Pigułki nie rozgryźnij, żony nie drażń bracie,
Z obojga niepochybną gorzkość pójdzie na cie.“

O k o r n u t a c h, z a ż o n a m i.

„Często niewinne żony małżonkowie winią,
I że im rogi na łbie, jak satyrom, czynią.
Lecz każdy niech swej spyta, wiem—tak mu odpowie:
Niech będzie róg.“ i t. d.

Niekiedy znaleźć w nich można ciekawe błahostki, wymownie wskazujące na charakterystykę, np.:

N a s t a d ł o j e d n o.

„Ciężki na stan szlachecki wieków naszych czasie!
Mąż się kowalstwa uczy, żona kozy pasie.“

Ze stanowiska zdrowej moralności, tendencja tego epigramatu zasługuje na wzgardę; ale jestto pyłek dziejowy, którym nie godzi się pomiatać. Wiemy, czem był klejnot szlachecki w dawnej Polsce; powinniśmy też wiedzieć, że wartość jego wobec opinii publicznej rosła w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do oświaty społecznej: że więc chwila najwię-

¹⁾ Wyraz pierwowzór użyliśmy tu w znaczeniu względnem. Wiadomo bowiem, że Jan Kochanowski, jako autor epigramatów żartobliwych, pomieszczał z poważnymi pod ogólną nazwą (Anakreonta, Katulla, Marcyalisa i innych), żywcem je często kroc do swego zbioru wcielając. Wespazyan Kochowski, idąc torem, udeptanym przez Jana z Czarnolasu, jeszcze mniej się troszczył o oryginalność. Przerabiał on nie tylko starożytne, ale i współczesne płody dowcipu (korzystał między innymi z epigramatów łacińskich angielskiego wierszopisa, Jana Owena, zmarłego w r. 1622). Kochanowski odtwarza oryginały, Kochowski jest niejednokrotnie naśladowcą z drugiej, nawet z trzeciej ręki.

większej swobody, czy swawoli politycznej, i zarazem największego skrepowania ducha pod strażą duchowieństwa, była kulminacyjnym punktem rozwoju pogodnych wyobrażeń o wpływie herbów na losy świata. Wprawdzie i Jana Kochanowskiego posadzić można o lekceważenie pracy przemysłowej, gdy śpiewa:

„Próżna to, niech mi wierę, jako kto chce, łaje,
Niemasz dziś w Polsce, jedno kupey a rataje.“

Ale „księciu poetów“ Zygmunto夫斯基 idzie tu raczej o wskrzeszenie wieku bohaterskiego, aniżeli o koronację stanu, który już wówczas nie na mieczu, lecz na ziemi potęgę swą gruntował.

W epigramacie *Pares ab Adam* („Równi, od Adama“) Kochowski z innego tonu zanucił:

„Gdy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał,
Kto tam był szlachcie wtenczas i kto komu chto pał?
Tak Adam gdy nam ojeem, Ewa gdy nam macią,
Wszystyśmy sobie równą z tych rodziców bracią.“

Nie upoważnia nas to jednak do przekreślenia wyrażonego dopiero co hipotetycznego sądu o typowych przekonaniach poety Wespazyana. Fraszka bowiem *Na stadło jedno* — jest ze względu na swój przedmiot ściśle konkretna, podczas gdy epigramat *Pares ab Adam* (z napół ukrytą ironią w nagłówku) należy do kategorii pajęczych komunałów.

Cichy drogowskaz innego szlaku dążeń i pojęć moralnych z doby jezuickiej znajdujemy w dwuwierszu: *Kto panem*.

„Wszak Pan poznany od uczniów jest w łamaniu chleba;
Kto daje panem (chleb), panem nazywać go trzeba.“

Gdy w pobieżnej analizie humorystyczno-satyrycznych plodów Kochanowskiego i Kochowskiego — porównamy nawiasem dwie epoki, mimowoli przychodzi tu na myśl przemowa do króla, stanowiąca przedśpiewek „Satyra“:

„Panie mój (to najświętszy tytuł u swobodnych)“ etc.

Satyr jest miernotą, zarówno pod względem artystycznym, jak filozoficznym; ale ten wstęp odsłania w autorze głębokie poczucie godności obywatelskiej. Do wniosków poważnych szczegół dany nie otwierał drogi, nie było wiadome, że okres jezuicki (1650—1750), wobec Zygmunto夫斯基,

i Stanisławowskiego, ma charakter wilgotnej niziny przekonań i czynów, leżącej między dwoma skromnej wielkości pagórkami. Wolno nam tedy powiedzieć, że apostrofa Kochowskiego jest głosem, godnym szlachcica z czasów przedmożnowładczych; żarcik zaś Kochanowskiego, dworskim dowcipem, który zdradza upowszechnienie tytułu pana, równoczesne z rozrodzeniem się plemienia królewiat, karmiących całe stada ogłupiałej szlachty.

Obniżył się więc poziom, zwęził widnokrąg pojęć w dobie jezuickiej. Fraszka tendencyjna nie mogła już być tak, jak dawniej, swobodna. Królewiate, zdeptawszy powagę rządu, same stanęły na piedestale, a bujniejszym umysłem groziła poświęcana maczuga cenzury kościelnej. Z zakonów nie wolno już było żartować. Wymownem świadectwem takiej przymusowej czci dla habitu jest wiersz poety Wespazyana do światowego zakonnika:

„Kto z dobrej woli do tej wnijdzie wieże,
Niechaj się świata całe już obrzeże;
Bo być źle na dwie roztargniony stronie —
Trudno wraz służyć Bogu i mamonie.“

Jestto rzecz dydaktyczna, do tego stopnia prawomyślna, że można by ją śmiało z ambony wygłosić. Ale kto wie, czyby się był w dalszym ciągu biednemu wierszopisowi język nie rozwiązał, gdyby roztropność nie doradziła... przyłożyć w porę plastru milczenia:

„Ale cyt, lutni, prawda tyka w sadno,
Poderznąć ¹⁾ struny, za to będziesz miała,
Co choleryczne serce wzruszy snadno;
Żeś o zakonnych ludziach pisać śmiała.“

W wieku XVIII-tym, dzięki idejom płynącym z Zachodu, rozswitało nowe odrodzenie, wyższe i radykalniejsze od reformacyjnego. Odwieczne powagi silnie zaatakowano. Dowcip, skropiony rosą postępu, wystrzelił w górę. Widzimy to już w satyrach Naruszewicza, stojącego, jak wiadomo, na rozdrożu dwu epok. Ciemnotę, nieuctwo, „szarą pyszkę“ i podłość smaga on niemiłościwie. Drwił z ziemianina, co

„siedząc nad herbarzem z nosem osiodłanym,
Pochycha, że pan przodek jego był hetmanem.“

¹⁾ Poderznąć — poderznąć ci.

Oburza się przeciw nierządowi i stawia pod pręgierz podle dworactwo zaprzedaanej magnatom tłuszczy szlacheckiej:

„Każ nam, panie, rozegnać sejmik, na skinienie
Twoje, wszystko tak pierzełnie, jak przed słońcem cienie.“

Nie śmie bluźnić ideałom przeszłości — w sprawie kościelno-religijnej jest konserwatystą; ale bez wahania zdziera z obludy jedwabną maskę:

„A ówże gryzipacierz, wilk w baraniej skórze,
Co kościanemi galki pobija na sznurze:
Już na wszystkich obrazach polizął pokosty,
Podziurawił łysinę cerkiewne pomosty;
Co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy,
A on sam łgacz, i pieniacz, i zdziera łakomy...“

Nie skarży się, że w Polsce są „jedno kupcy i rataje“; owszem, gardząc uprzywilejowaniem próżniactwem, szanuje pracę przemysłową:

„A z tej lezby zabawnych, można mówić śmieie,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.“

Wytworniejszy od Naruszewicza, Krasicki nie jest w swych satyrach tak surowym, jak on, weredykiem: jaskrawych barw nie lubi, rzadko rumieniec na twarz wywołuje. Miłośnik pół-prawd, arcymistrz półtonów, potrafi zgrozę zbrodni wystawić umiejętnie pod światło kinkietów salonowych. Naruszewicz omija najdrażliwsze kwestye, biskup warmiński dotyka ich czarodziejską różeczką swego dowcipu, i do pewnego stopnia zobojętnione, przeprowadza przez czyszciec słowa pisanego. Ten charakter żartobliwej muzy „księcia poetów“ Stanisławowskich nigdzie się z taką wyrazistością nie odbił, jak w *Monachomachii*, połączonej z *Antymonachomachią*. Wszystkie niemal warunki sprzyjały szczęśliwemu usnuciu epopei humorystycznej, pod nagłówkiem wojny mnichów. Grunt rzeczywistości przedstawiał szeroką do niej podstawę. Polska, jako siedlisko zabobonów, była Hiszpanią północną, gdy w r. 1773 bulla Ganganellego zadała cios najpotężniejszej z korporacji mniszych. Wypadek ten mógł zaprawdę dodać otuchy wolnomysłnemu biskupowi do schłostania biczem satyry tych towarzystw, które z Jezusowem, pod względem władzy nad umysłami, porównywać się nie śmiały. Zatargi też mię-

dzy mnichami należały oddawna do zjawisk najpospolitszych. Akta przeszłości wymownie o tem świadczą. Ręka w habit ubrana, niejednokrotnie wśród klótni domowej gwałtów dokonywa. Kitowicz naprzykład w swym *Opisie zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III* opowiada, jak toruńscy reformaci (należący do t. z. „provincyi polskiej“) po długim procesie z prowincyałem „pruskim“, opanowali „przybytek boży“ drogą zwykłego w starej Polsce zajazdu. Wzorów litewskich dostarczał nietylko *Le lutrin de Boileau*, ale i cały skarbiec encyklopedystyczny, z pismami Woltera w koronie. Fryderyk II, „Salomon północny“, nie szczędził zachęty, a atmosfera ustronia *Sans-Souci* urokiem sławy zagrzewała wenę satyryczną. Talent poety mógł sprostać zadaniu. Stała tylko na przeszkodzie szata arcyskapłańska i charakter polaka, skłonny do kojarzenia sprzeczności. Obaczmy, jaką ma wartość ta najśmielsza i najokazalsza z pośród typowych satyr staropolskich.

* Budowa *Monachomachii* nie przedstawia nic oryginalnego; *Antymonachomachia* jest jej wiernym cieniem. Tu i tam klasyczna sprężynka, pod nazwą „Jędzy“, wprawia w ruch całą maszynę. Jednostajność efektów, rozciągająca się aż do pozornych dowcipów dla rymu, i puste gadulstwo, właściwe naśladowaniom, są niewątpliwie plamami tej perły w koronie biskupa warmińskiego. Ale nie żądamy od wierszopisa, aby, nie będąc tytanem, wyszedł z ram swego wieku. Jest on i tak lepszy od wielu, a *Monachomachia* — to przecie najdowiecniejsze z jego dzieci duchowych. Nie zaleca się ona urokiem pierwszorzędnej twórczości, ale błyszczy tu i owdzie srebrem plastyki mistrzowskiej. Siłacz Gaudenty, co „ręką nie piórem umiał dokazować“, i „skromnie udatny, pokornie wspaniały“ Hiacynt — są to postacie, które z pośród gromady ciemnych a drzemiących opileców wypływają na wierzch, siłą dłuta swego twórcy. Oto sylwetka mnicha, obdarzonego od natury wdziękami uwodziciela:

„Skromnie udatny, pokornie wspaniały,
U sióstr zakonnych pierwszy po doktorze.
Kształtny, wysmukły, hoży, okazały,
Posuwistymi kroki po klasztorze
Płynął — Zefiry z kapturem igrały.“

Hiacynt, wyprawiony wraz z Gaudentym w poselstwie od dominikanów na „górze Karmelu“, z mandatem wyzwania na dysputę mądrych ojców sąsiedniego klasztoru, zręcznie spełnia swą misję; pojawia się on,

dla ozdobienia sceny, i w pogodnym epilogu; ale w gorącej rozprawie nie uczestniczy, skwapliwie unika boju i rozkosznemu Erosowi przed Aresem pierwszeństwo daje:

„Wtenczas, gdy złośliwą uwiedzione mnichy,
Wzięły się nagle do uczonej broni;
Hiacynt miły, łagodny i cichy
Porzucił bitwę i od wojny stroni.
Słodkie rozmowy przerywały śmiechy —
Zegar zbyt prędko bieży, prędko dzwoni:
Płyną w zaciśniętych szczęśliwe momenta —
Wesoły Hiacynt, dewotka kontenta“

Godna swego Abelarda, Heloiza przedstawia doskonały typ umiłującej katolickim derwiszom pełne pobożnych umartwień życie doczesne:

„Postać jej wdzięczna, oazy, choć spuszczone,
Przecież niekiedy błyszcza się jaskrawie:
Choć w świętej mowie słóweczka pieszczone,
Krył się subtelny kunszt w skromnej postawie.
Westchnienie, wolnym jękiem powleczone,
Umiała mieścić w potocznej zabawie.
Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy —
Przy Hipolicie — głos synogarlicy.“

Ruch dramatyczny, pomimo jednostajności położenia, przenika całą satyrę. Nie zachwyca mnie jednak ani dysputa w IV pieśni, gdzie zamiast żywych okazów mniszego krasomówstwa, wchodzi w grę scholastyczne nazwy różnych trybów wnioskowania („*celarent*“, „*baroco*“ i t. p.); ani nawet zręcznie naszkicowana bójka w pieśni V, która prawdopodobnie leżała, między innymi wzorami, na biurku wieszczki Adama, przy pisaniu V-tej a może i IX-tej księgi najświetniejszego poety naszej arcydzieła; daleko wyżej cenię pieśń II-gą — z ojcem Rajmundem, fatalnie gubiącym pantofel, strwożonym złą wróżbą, nieczułym na wołanie przyjaciółki, co czeka u fôrty, — z alarmem, jaki to zdarzenie wśród grona ojców karmelitów nagle wywołało, ze zjawieniem się wreszcie, niby cienia Banka, posłów dominikańskich w osobie Gaudentego i Hiacynta. Jestto najżywsza i najklasycyjnniejsza karta *Monachomachii*. W VI-tej pieśni z konieczności zatrzymuje się akcja — na poboju świci jutrzeńka zgody, pod postacią bachusowego „*palladium*“, z wyrzeźbionym wyobrażeniem

czterech pór roku, olbrzymiego pucharu, który mimowoli przypomina „*arcyserwis*“ z XII księgi *Pana Tadeusza*.

Obok niepospolitej, jak na owe czasy, wartości artystycznej, *Monachomachia* szczyci się potęgą myśli postępowej, tonem śmiałej ironii wolnego człowieka, uderzającej na „*rozkoszne siedliska świętych próżniaków*“, gdzie „*biali i szarzy, czarni i kafowi — w trzewikach i bosi mędry*“ — piją, tyją, bzdurzą, sieją plotki i rozpustę płodzą. Nie koniec na tem. Nasza epopeja żartobliwa rzuca miejscami tak jaskrawe, radykalistyczne światło na całą armię piastunów poświęcanej tradycji, że mimowoli rodzi się pytanie: czyto jest rzeczywiście satyra przeciwko klasztorom tylko wymierzona? Przytoczmy, dla przykładu, jedną, niewinną na pozór wrotkę z księgi I-ej:

„W tej zawołanej ziemiańskiej stolicy
Wielebne głupstwo od wieków siedziało;
Pod starożytnym schronieniem świątyni
Prawych czcicieli swoich utuczalo.
Zbiegał się wierny lud, a w okolicy
Wszystko odgłosem uwielbienia brzmiało.“

Zapomnijmy na chwilę, że owa „*zawołana stolica ziemiańska*“ przedstawia tu skarykaturowany nieco typ miasteczek polskich, graniczących między wsią a miniaturowym grodem; przenieśmy tę świętą osadę nad Tyber i nazwijmy ją *Roma*... Przed logiczną konsekwencją podobnego przypuszczenia cofnąłby się niewątpliwie sam Ignacy Krasicki, który nie tylko dalekim był od radykalizmu, ale co dziwniejsza — występował często w roli szyderycy swego wieku i wielbiciela przeszłości. W tym biskupie modnym, w tym ufryzowanym arcydowcipnisiu z czasów Stanisławowskich dużo jest „*miedzi złoconej*“, dużo sztuczek pseudo-myślicielskich, gdzie filozof „*sianem się wykręca*...“ Urobiona wśród warunków życiowych, dwulicowość umysłu kazała pisarzowi, wykarmionemu mlekiem idei XVIII-go stulecia, bluźnić im częstokroć, a w najlepszym razie zaślubiać figlarnie postęp z zacofaniem i mazać lewą ręką, co się prawą nakreśliło. *Monachomachia* byłaby szczęśliwym okazem jednolitości harmonizujących z duchem czasu przekonań, gdyby nie ta smutna okoliczność, że ma ona bladą siostrę syamską, *Antymonachamię*. W ostatniej pieśni tego poematu, zakrawającego na widmo skruchy pisarskiej, objawia się mnichom na dnie dzbaną czworogarncowego prawda, niebianka alegoryczna niesłychanie uprzejma, która słowiczmi wyrazi komunikuje pija-

nemu gronu oświadczenie sympatyj przyjacielskiej od autora Monachomachii, wraz z odgłosem szczerego, naturalnie, przekonania o świętości... zgromadzeń klasztornych. Nie wiadomo, czyto drwiny „galantoma“, czy skrucza literata. W każdym razie Antymonachomachia wobec Monachomachii jestto lewica, przekreślająca w części dzieło prawej ręki, krok w tył, po dwu krokach naprzód. Krasicki nie przeniewierzył się tu więc odwiecznej metodzie naszych postępówców.

II.

Poza drużyną typowych uprawiaczów humoru satyrycznego, którzy w stosunku do wytrwalszej powagi i warownej strażnicy konserwatyzmu, t. j. do systemu ustalonych wierzeń zachowali się jużto przyjaźnie, jużto dwuznacznie, natrafić możemy na odważne jednostki, co, zgodnie z duchem czasu, szły naprzód z pochodnią ironii, nie zacierając ustępstwami śladów swej drogi. Nie są to zapewne olbrzymy, ale w każdym razie postacie, zasługujące na szacunek: żarty ich w danym zakresie nacechowane śmiałością, nie chwieją się, nie przekreślają wzajem, a za tło i tarczę służy im zawsze stal przekonania postępowych. Takim konsekwentnym działaczem na niwie dowcipu tendencyjnego był w XVI-ym stuleciu Mikołaj Rej, w XVIII-tym Tomasz Kajetan Węgierski. Obaj dziś nie cieszą się poważaniem; oddzieleni od siebie przestrzenią wieków, podobni charakterem i temperamentem, słyną, jako bluźniercy salonowej przyzwoitości: tamten (pomimo naczelnego w porządku czasowym stanowiska) ma opinię nieuka i gbura, ten — lekkomyślnego bezecnika i paszkwilisty. W dalekim echu zdobytej sławy jest bezwątpienia wiele słuszności: Rej rzeczywiście nie był uczonym, a młodziutki szambelan Stanisława Augusta biegał, jak niedoświadczone chłopię, po manowcach żywota, gonił namiętnie za rozkoszą, i co pomyślał, to napisał. Z tem wszystkiem, wobec naszego przedmiotu, nie są to marne gaduły, ni posągi dwulicowego Janusa (o które w Polsce nie trudno); są to dwa umysły z czystszej, niż inne, tworzywa, wierne drogowskazy idei swego czasu, domagające się od nas czci i wyróżnienia.

Satyra Mikołaja z Nagłowic dotyka różnych sfer życia praktycznego; ze szczególną jednak siłą uwydatnia się w obronie dwu zasad: „prawego szlachectwa“ i protestantyzmu.

Za nic skarby i przywileje odziedziczone po przodkach, gdy im nie wtoruje zasługa osobista. „Jeśliżes szlachcie, żywsze pocziwie, jak na

szlachcica przysłusze;“ śmieje się z gawiedzi, co oddaje cześć groszowi i okadza herby:

„Jedni gdy łańcuch użrzą, wnet mu się kłaniają
Już nie pana, lecz złoto za szlachcica mają.
Snadź na sprosnego osła gdyby gi (go) ułożono,
I temuby pocziwość z daleka czyniono

.....
Drudzy się chlubią herby narody staremi —
A wszystko allegując zawždy przodki swemi.
Przodek niewiem jaki był, lecz potomka prawie
Mógłby właśnie z..... zwać na każdej rozprawie.“

Granice stanu uprzywilejowanego są dla Reja brzegami areny czynów i spostrzeżeń. Gdy pisze o człowieku, myśli ciągle o szlachcicu polskim; ale chce go podnieść moralnie, chce ujrzeć w nim „drzewo cedrowe na Libańskich górach“, imponujące „głuchym a prostym drzewom;“ nie zasklepia się zatem w uwielbieniu, i smagając słabe strony życia szczęśliwych karłów, występuje niekiedy w roli trybuna ludu (patrz *Wizerunek* r. XI, p. n. „Solon“). Najwdzięczniejszym wszakże dla naszego utalentowanego samouka polem działalności była walka o reformę religijną, o prawo życia według ewangelii. Tu zbogaciła się jego wiedza i zaostrzył dowcip. W poemacie filozoficznym *Wizerunek żywota człowieka pocziwego*, ułożonym na wzór Palingienesowego *Zodyaku*, szturmuje on do różnych bastyonów rzymsko-katolickiej twierdzy. Drwi niemiłosiernie z wystawnej teatralności obrzędów:

„Tłuką dzwony, śpiewają, kropidły machają,
Kurzą, piszcą w organy, nisko się kłaniają.
Zgola święcą i świece, chodzą po kołędzie
Z wodą świętą i z sobą też biegają wszędzie.
Ognie palą i chodzą pięknie z procesyją,
Na Judasza fukają a Jezusa biją, —
.....
Owa nadobnie patrzeć; jeśliż to miło
Panu Bogu, mnieby się nigdy nie sprzykrzyło...“

Na celibat spogląda, jako na maskę rozpusty i zwierzęcego wielożeństwa, — a klasztory, mianowicie panienskie, uważa za przybytki więzienne — wynalazku szatana — przeznaczone dla ofiar gwałtu i obłąkania:

„Takież i owy czajki, co na głowie piatek
 Noszą z harasu ¹⁾, rzkomo opuściwszy światek.
 Ano bodaj tak zdrowa, by powoli było,
 Jakoby się i z płatkami w tanka nie skoczyło.
 O szaleni rodzicy, którzy tak działają,
 Że pocziwe dziewczeczki do tej klozy dają!
 Zasz nie lepiej chytrego tem szatana zdradzić:
 Wydać za mąż panienkę i przyjaciół nabyć!”

Duszę namiętnego protestanta przenika bezwzględna nienawiść ku starym przedstawicielom i sługom nawy Piotrowej. Gdy wspomina o nich, fantazyja jego wysila się na wynajdywanie coraz to obelżywszych epitetów: nazywa ich wilkami o postawie baranka, kąkolem, „marnem nasieniem, co zawsze w słup roście“, „wodą plugawą“ — słowem, jestto szuderca z pod sztandarów reformacji, daleki od wchodzenia w układy z nieprzyjacielem.

Zauważono niegdyś, że w *Żywocie człowieka pocziwego*, książce napisanej mową niewiązaną, wydanej w dziewięć lat po *Wizerunku*, Rej nie napada już na katolicyzm, że więc dziełko to zdradza większy, niż poprzednie, spokój i harmonię psychiczną. Z tego powodu *Żywot człowieka* urósł niepospolicie wobec opinii narodowej — niegrzeczny dla duchowieństwa, pełen brutalnej ironii, *Wizerunek* strącono pogardliwie do ciemnic Hadesu. Debatowano jednak, co sprawiło w autorze tak cudowną odmianę, i z Trzeciejskim w rękę — odgadnięto (!), że Mikołaj z Nagłowic, mogący mieć wówczas przeszło lat 60, dochodził właśnie, czy doszedł już do właściwej wiekowi męskiemu dojrzałości, i co za tem idzie, wziął rozbrat z polemicznymi zabawkami, któremi się parał w 53 i 55 wiosnie swego życia. Mniemanie to, powtarzane *usque ad nauseam* przez powołanych i niepowołanych, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Prawdopodobniejszą o wiele wydaje się nam hipoteza prof. Szujskiego (*Odrodzenie i reformacja*, str. 91), który zjawisko dane uważa za skutek powszechnego już jakoby, około 1566 r., ostygania namiętności religijnych w Polsce. Ruch protestancki doszedł właśnie wtedy do swego apogeum; ale była to zarazem chwila, poprzedzająca pierwsze brzaski reakcji katolickiej: w Brunsbergu (1564) i w Pułtuskach (1565) stanęły już posterunki Towarzystwa Jezusowego. Trudno się jednak zgodzić z historykiem na to, że *Żywot* czło-

¹⁾ „Gatunek lekkiej materii wełnianej (Linde).“

wieka pocziwego nie nosi na sobie „cechy wyznaniowej.“ Owszem, wyznanie pisarza świeci na kartach wymownym piętnem; z relikwią katolicką łączy je chyba tylko nienawiść do antytrynitarzów (*Capitulum IV*). Autor unika widocznie polemiki z papistami, ale im nie ustępuje. Mówiąc o wyborze zawodu, następcza młodemu ziemianinowi chleb dworski lub żołnierski (o duchownym — ani wzmianki); artykuł zaś: „W jakim jest omierzeniu żywot bezzakonny u Pana“ — mierzy wyraźnie, choć pośrednio, w samo sedno instytucyj katolickich. Słowem, jest to dzieło protestanta, przemawiającego do współwyznawców tak, jakby już cała Polska była opanowanym przez nich krajem, jakby po rozproszeniu bojowników starego obozu, zwycięzka chorągiew reformacji nad nim powiewała. Bezwzględne o wrogach milczenie, gorsze od najzjadliwszej satyry... Któżby śmiał powiedzieć, że jest ono synonimem przyjaźni, lub nawet tolerancji? Jakie powody znagliły Mikołaja z Nagłowic do zawieszenia walki z katolikami, czy, połączona z pogardą, pewność zwycięstwa, czy ustawiczne między protestanckimi wyznaniem rozterki, czy też osobiste znużenie, — trudno rozstrzygnąć; to jednak pewna, że raczej — śmiertelna nienawiść, niż przyjaźń. Do podobnego wniosku doprowadza nas i ten ważny szczegół: że choć na głównej linii wywodów etycznych i społecznych danego dziełka nie zaczepiał autor bezpośrednio księży katolickich, to jednak rzucił na nich jaskrawy promień żartu w przykładach i akcesoryach. W artykule np. charakteryzującym stan rycerski, znajdujemy anegdotkę „o jednym opacie, który stracił był chuć do jedła“, a po trzydniowym głodzie, strzeżony pod kluczem, cudownie odzyskał — opowiedzianą tonem tak komicznym, że czytając ją poraz pierwszy, od serdecznego śmiechu wstrzymać się prawie niepodobna. Poważna ze swego charakteru postać odgrywa tu rolę błazna w kłopotie lub kota z przyczepionym do ogona pęcherzem. Szczegół ten, rozważany jako osobnik, jest bezwątpienia pomysłem niewinnym, wyrazem jowialności typowej w rodzaju opowiadań Paska; ale w połączeniu z całym łańcuchem wywodów danego dziełka wobec rozmyślnych przemilczeń, które bądź cobądź zdradzają zimny rozbrat, po długiej walce z nieprzyjacielem, ma on wartość świadectwa lekceważącej nienawiści.

Żywot człowieka pocziwego, blada podobizna *Wizerunku*, nie przedstawia wyższych tonów satyry społeczno-religijnej. Jeżeliśmy o nim mówili, to jedynie dlatego, aby okazać, że arcypatryarcha naszego piśmiennictwa i w tej próbie autorskiej utrzymał się na stanowisku swych przekonań, podszeptanych przez ducha wieku. Poglądy na „prawie szlache-

ctwo, oraz cała, woniejąca silnie konserwatyzmem, filozofia „środka“ w obu głównych dziełach są zgoła identyczne. Różnostronną wszakże analizę utworów Mikołaja z Nagłowic pozostawiamy dziś na uboczu i kontentujemy się jedynie przeświadczeniem, że Rej, jako satyryk—apostoł reformacyi, jest śmiałym kolorystą, niezacierającym lewą rękę tego, co prawa nakreśliła.

Tomasz Kajetan Węgierski, prawowite dziecko swego wieku, ów meteor, co zabłysł w literaturze na lat kilka (1773—1779), i zgasł, zostawiając po sobie zimne wspomnienie, był jednym z najbystrzejszych i niezawodnie najśmielszym z satyryków polskich. Te pierwszorzędnne zalety umysłu stały się dla poety istną puszką Pandory: spowodowały wczesne, przyspieszające zgon, tułactwo i zjednały mu wielu nieprzyjaciół — nie tylko za życia, ale i po śmierci. Żywy odgłos oburzenia, jakie niegdyś wtórowało sarkastycznym wierszykom nieszczęśliwca, znajdujemy w pseudo portrecie literackim, skreślonym ręką... wiecie przecież, czyją. Naprózno byśmy tam szukali rysów zgasłego przedwcześnie pracownika; choć farby i wzory malarz miał pod ręką. Niech nas to jednak nie dziwi; postaci takie, jak Węgierski, nie odbijają się nigdy w ortodoksyjnym zwierciadle ze strony licowej. Grzbiet, wierzchołek głowy (ozdobiony zazwyczaj rogami), pięty śmiałka—szatana mogą w nim jeszcze znaleźć swój wizerunek; ale nigdy oblicze. Gdyby się był przynajmniej Węgierski p o p r a w i ł, możnaby było pokazać go grzecznym dzieciom; ale cóż—umarł przedwcześnie, i to wtedy, gdy l e p s z e począł rokować nadzieje... Lepsze? Wszakże na księcia Walii, u schyłku życia, na tułactwie złośliwą napisał satyrę... Rozpustnik i gadatliwy dowcipniś miał on chorobliwą skłonność do kłecenia paszkwilów. Jaka szkoda, że przyjaciele od serca nie starali się o wyleczenie z tej gorączki niebezpiecznego pacjenta! Owszem, ordynans lekarski, noszący na sobie cechę posuniętej daleko cywilizacyi, wydano; ale zastosowaniem nikt się nie śmiał zająć: bardzo prosty i zapewne skuteczny środek przeciw złemu proponował czcigodny Trębecki, szambelan o giętym karku i posłusznym języku, poeta z bezdenną skarbnicą natchnień, złożoną w depozycie u chlebowodawcy (zrazu Stanisława Augusta *et consortes*, a potem jego wroga. Szczęsnego), autor wreszcie kilku paszkwilów, gdzie słabych na ząb szyderstwa brano... Musiał to być środek nielada, kiedy mąż, co niedawno ze sławą znakomitości zstąpił do grobu, serdecznym darzy go poklaskiem: „Czego zaś najwięcej żałować, że to, czem mu za warszawskie paszkwile groził Trębecki — to jest b o l e-

s n ą a d m o n i c y ą p o g r z b i e c i e (*sic!*) — pozostało w stanie groźby. Zapewne byłoby go to uleczyło od tej wady charakteru... Spuścmy zasłone... Krew uderza do głowy i duch się zasepia. Lepiej już przestawać z najniebezpieczniejszymi pacjentami, niż czytać recepty naszych psychiatrów.

Drobna wiązka utworów Tomasza Kajetana, ocalonych od zagłady — obrzezanych i pomieszanych z obcymi w edycjach Mostowskiego i Breslauera — przedstawia różnej wartości próby rymotwórcze, tłumaczenia, przeróbki i wiersze oryginalne. Za wzór utalentowanemu młodzieniaszkowi służył z początku Trębecki, potem Wolter; niedługo on wszakże był kopią swoich mistrzów, szybko wyzwał się z pod władzy powag. Nawet przekłady Węgierskiego świadczą zarówno o dobrem zrozumieniu oryginału, jak o samorzutności ducha, niecierpiącej obcego lennictwa. Dowód na to znajduję, między innemi, w próbie, należącej prawdopodobnie do najrańszych pierwocin, mianowicie w swobodnym tłumaczeniu etycznego poematu Woltera *De l'égalité des conditions*, podanem przez wydawców za oryginał:

„Lecz mi kto pewnie powie: co za błąd straszliwy!
Nie jestże nad drugiego stan jeden szczęśliwy?
Pana podsądka bardziej nie radażby żona,
Aby ją, na sprężynach giętkich zawieszona,
Po balach, po asambalach kareta woziła,
Niż żeby do kościoła skarbniczką jeździła?
Mnie, co na jutrznię w zimie wstawać musi rano,
Lub któremu po kweście w mróz chodzić kazano,
Co w piątek bez winy bierze dyscyplinę,
Niechciałbyż być biskupem chociaż na godzinę,
Aby sobie wygodnie, czasem nie sam może,
Zemdlone złożył członki na puchowe łożo“?

Zestawmy to spolszczenie z francuskim pierwowzorem:

„Hé quoi, me dira-t-on, quelle erreur est la vôtre!
N'est-il aucun état plus fortuné qu'un autre?
Le ciel a-t-il rangé les mortels au niveau?
La femme d'un commis courbé sur son bureau.
Vaut-elle une princesse auprès du trône assise?
N'est-il pas plus plaisant pour tout homme d'église
D'orner son front tondu d'un chapeau rouge ou verd
Que d'aller, d'un vil froc obscurément couvert,
Recevoir à genoux, après la u d e o u m a t i n e,

De son prieur cloître vingt coups de discipline?
Sous un triple mortier n'est-on pas plus heureux
Qu'un clerc enseveli dans un greffe poudreux?"

Już stąd widać, że młodziutki rymopis pragnął ideje zachodnie przeszczepić na grunt swojski, a choć nie był rzeźbiarzem słowa, nie zacierał jednak miejsc drażliwych, owszem, starał się chłopięcą żądzą obnażenia prawdy prześcignąć samego mistrza.

Ta sama dążność z nierównie większą siłą wyraża się w *Organach*, bliższej, a słabszej znacznie od *Monachomachii*, podobiznie *Pulpitu*. Samodzielność poety krępują tu jeszcze ciasne karby modnego naśladownictwa, a rodzimy dowcip znajduje swe ujście w pojedynczych tylko wyrażeniach i sylwetkach, rzuconych mimochodem w fałdy pożyczanej szaty. Trudno też, miłując prawdę, nie zrobić jednej uwagi, ku obniżeniu wartości *Organów*: brzęczy w nich szpetny, właściwy wiekowi dysonans. W humorystyczny opis walki między proboszczem a organistą, o prawo wyboru baby do kalkowania, wplótł poeta osobistą skargę na nieopłatność talentu:

"... Czekam ci, zawsze jak goły, tak goły,
Kiedy kto w niedostatku i rozum się cieśni:
Ot niewiem, co wam powiem w tej tu piątej pieśni,
Jak organów przywiódę znowu na plac dzieje?
I kogut, zjadłszy ziarnko, milej trochę pieje."

Nie przynosi to wprawdzie ujmy jego honorowi; bo dopominając się o pomoc materyjalną, nie pochlebiał podłości, pióra swego na targ nie woził, a żył w wieku mecenasów, gdy dwory spełniały obowiązek cywilizacyjny dzisiejszych redakcyj i księgarni wydawniczych. Zbytecznem byłoby przypominać, że wszystkie znakomitości literackie przeszłego stulecia rosły na ciepłym łonie protekcji pańskiej. Była to więc choroba, a raczej organiczna ułomność wieku; nikt wogóle z pisarzy nie był od niej wolny. Ale dzisiaj, gdy wyszlachetniał pogląd na sztukę, a ze zmianą warunków, oczyszcza się atmosfera społeczna, głos żołądka, prośba o datek razi nas w epocę — nawet humorystycznej.

Silniej od wzorów zagranicznych wpłynęły na charakter poety stosunki miejscowe. Podłość i obluda, z ciemnotą w parze, pobudzały do uderzenia w strunę satyry, a naiwny optymizm panegirycznych wierszydeł, powszedniego chleba możnowładców i bogatszej szlachty, brzmiały dokoła w chwili, gdy państwa ościenne tylko co dokonały pierwszego na Rzeczy-

pospolitej rozbioru, oburzał młodziana i przyspieszył, jak sędzę, proces psychiczny, którego owocem było nagie szyderstwo. Dość jasny wykładnik takiego rodowodu pesymistycznych tendencji pisarza znajdujemy w jego charakterystycznej apostrofie „do wierszopisów“:

„Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,
Słowem wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy,
Czyńcie, jak ja, bazgrajcie, drukujcie, co chcecie,
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie.
Gdziekolwiek się obrócę, w które pójde strony,
Wszędzie nudnymi rymy jestem zarzucony.
Ten człeka bez sumienia pocziwam być głosi,
Ten przedawcę ojczyzny w niebiosy wynosi,
Tego, co za pieniądze urzędu nabędzie,
Wielbi i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny
Wiersze piszą, byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byle kto sprzykrzywszy sam w domu,
Ślubował przy ołtarzu kaci wiedzą komu.
Jęczą prasy i biedni drukarze się pocą,
Głupie się mózgownice ledwie nieprzewrócą;
Obiecują ojezyźnie poprawę złej doli —
Dlaczego? — że się żeni jakiś pan podstoli“.

Niezależnie od tego, atmosfera dworska rozgrzała przedwcześnie i zepsuła krew młodą, zachęcając do fabrykowania pryapowych zwierciadełek. Poeta miał dowcip — a bezwstyd był w modzie — posypało się więc na bruk stołeczny mnóstwo sprośnych wierszydeł, w rodzaju takich, jak *Przypadek w piwnicy*, *Żona sen*, i t. p. Nikt już dzisiaj nie śmiały nic podobnego drukować, a ktoby zapragnął skruszyć kopię w obronie tego rodzaju literatury, naraziłby się pewno na jednomyślne — chociaż nie wiem, czy szczerze — „veto“. Wówczas jednak najmniej przeciwko temu powstawano: naturalizm w humorystycznym szkicowaniu stosunków płciowych znalazł całe tłumy wielbicieli.

I gdyby był Węgierski poprzestał na tytule poety przedpokojów i buduarów, a od czasu do czasu powiał w górę kadzielnicą pochlebstwa, nie doznałby nigdy przesładowania, a krytycy potomni usypaliby mu kopiec nieśmiertelnej sławy. Ale nie należał on do rzędu przykładnych dworaków: hipokryzja i niskie pochlebstwo nie znalazły w nim czciciela; zamiast się płaszczyć przed możnymi, cenzurował ich bez ceremonii w genialnych foto-

gramach, niewłaściwie ochrzczonych zelżywą nazwą paskwili¹⁾. Powiadam: niewłaściwie — bo charakterystyczną cechą tego rodzaju utworów jest bezmiennność i potwarcze kłamstwo, a Węgierski pisał, co myślał, nie zapierał się plodów swego pióra. Jaka szkoda, że je tak skwapliwie niszczone, że dotąd jeszcze, pomimo upłynionych stu lat z górą, chowają się gdzieś na dnie kosza tajemnic domowych! Gdyby nie to, że ślepa zemsta skazała poetę na wygnanie, gdyby nie drażliwe samolubstwo i głupota, lubująca się tylko w kadzidlach, mielibyśmy dziś może oryginalną galerię portretów, kreślonych z natury, piórem — namiętnem wprawdzie, ale dziel-nem i nieposzlakowane uczciwem. Byłaby to zaiste jedna z najpiękniejszych pamiątek po zapadłem w grób widmie „złotej wolności“...

Kto ciekawy dowiedzieć się, jakie to cnoty Węgierski w mniemanych swych paszkwilach znieważał, niech odczyta wiersz „Na wjazd do Warszawy senatora w r. 1778“.

„Niespracowany senator, choć w drodze,
Dźwiga na sobie swej godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje, kto taki.

.....
Cała Warszawa byłaby się zbiegła
Z powinszowaniem uciec przyjazd miły,
Lecz pańska skromność w tem była przebiegła,
Że bryki, maże przystęp zawałiły.
Uwielbiaj i ty, muzo, w skromnej mowie,
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie“.

Prawdziwą zasługę umiał on cenić; na stosunki społeczne patrzył poważniej, niż niejeden z ówczesnych statystów. Uprzedzeni arystarchowie nasi sądzą, że do r. 1779 czy 80, był to jedynie płochy młokos, kalający, dla próżnej sławy, dobre imię wielkich mężów i zacnych niewiast, — że podróż dopiero przymusowa na poważniejsze go zwróciła tory. Jestto bezzasadne mniemanie, gładki a napuszony (może tendencyjny) paradoks, nie więcej. Trudno zaprzeczyć, iż doświadczenie życiowe, kilkoletni pobyt za granicą, rozszerzony znacznie obszar stosunków towarzyskich, wpłynęły

¹⁾ Bielawski, biedna ofiara częstych Węgierskiego pocisków, nie należał do „możnych“, ale wystawił nędzną komedijkę pod egidą króla Jegomości. Nie można więc brać za złe satyrykowi, że protegowane niedotęstwo ośmieszał.

dodatkowo na umysł poety; — ale nie wywołały w charakterze przewrotu. Wiersz „do Jędrzeja Zamojskiego“, napisany między r. 1776 a 1778, dowodzi wymownie, że nasz satyryk, jeszcze przed narysowaniem „Portretów pięciu Elżbiet“, nie tylko trzeźwo oceniał ówczesny stan swego społeczeństwa, ale nawet przewidywał konkluzję, jaką w danym zakresie wyprowadzi konieczność dziejowa z przeszłych i bieżących premis¹⁾. Byłemu kanclerzowi składa poeta wyraz czci w tonie, godnym obywatela rzeczypospolitej:

„Komu naród układu praw swoich powierza,
Kto szacunek publiczny zasługą wymierza,
Kto umie złożyć urząd, tak, jak go sprawować,
Temu może Węgierski imieniem wieszować“.

Ale gorzkim zwątpieniem nawskrós przenikniony, nie wróży powodzenia nowemu kodeksowi praw narodowych:

„Nie jestem z tych, co przyszłość malują szczęśliwą.
Przeszłe dzieje boleścią rażą mię dość żywą“...

Satyryk-humorysta, człek z płochości słynący, przeczuł tu niemal smutną chwilę z r. 1780, bezecną scenę deptania w izbie sejmowej dojrzałego projektu, na który całe wieki czekały. Ci, co w pomysłach poety sprosne tylko widzą figle, powinnyby ten akord poważny wpisać do swego albumu i wyuczyć się go na pamięć. Duchownym nie śmiemy tego proponować; bo poeta, wolteryanin, silnie podejrzewany o ateizm, nie zdradził w swych płodach najmniejszego dla nich szacunku. Antypatya pisarza ku uprzywilejowanemu od wieków stanowi wyraziła się jaskrawo w wierszu „do księdza Węgierskiego“, któremu satyryk doradza porzucić niewdzięczny zawód wierszoklety i pójść drogą, przez dostojników kościoła rzymskiego z dawna udeptaną:

„Porzuć Apolina i z większym honorem
Stań się jakiej piękności dusznym dyrektorem;
Albo jeśli się sądzisz jeszcze nader trwałym,
Staraj się wdziękem jakim podobać zdawniałym.
Cięższa trochę powinność, przykrejsza jest praca,
Lecz się rzucione ziarno stokrotnie powraca“.

¹⁾ Utwór ten, próżny ironii, cechuje od początku do końca powaga wieszczą, myśliciela.

Wkrótce zmienisz w fiolet czarną rewerendę,
Porzucisz dla biskupstwa ubogą prebendę;
A codzień w coraz wyższe wynosząc się sfery,
Będziesz zalegał krzeszła i dźwigał ordery;
I na starość w lubieżnym spoczawszy seraju,
Pójdiesz, jak święty biskup, prosto stąd do raju.
Nam świeckim nieuchodzą wcale takie żarty,
Zarazby nas w moc swoją zagarnęły czarty:
Lecz wy, co z panem Bogiem codzień rozmawiacie,
Co go codzień pijecie i codzień zjadacie,
Łacniejsza wam z nim zgoda: Aleksander szósty
Wam wszystkie te pomyślnie wyjednał odpusty.
Gdyby księdza którego Bóg chciał sądzić ostro,
Nie sypiałem z mą córką, rzekłby ani z siostrą,
Ziomków nie zabijał, monarchów nie wadził,
Za cóżbyś mię choć przy nim w niebie nie posadził?
Niemasz co na to mówić, i upewniam ciebie,
Że możesz żyć, jak zechcesz, będziesz pewnie w niebie“.

Szczytem śmiałości satyrycznej w kierunku kościelno-religijnym jest wiersz „do Ogińskiego, hetmana w. l.“ — Pod pozorami płochego żartu brzmi w nim potężny akord śmiechu tytanów, na jaki pewno nie zdobędzie się lada pisarz o pośredniej sile:

„Niewiem prawdziwie, mospanie hetmanie,
Co się na tamtym świecie ze mną stanie.
Książdz Łuski¹⁾ powiada i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
Cóż robić? — kiedy w księgach mego przeznaczenia
Tak stoi: wyrok losu ciężko się odmienia.
Żal mi jednak, że mnie tam zła prowadzi droga,
Bom ciekawy i radbym widzieć Pana Boga,
Jak poważnie na tronie z dyamentów siada,
Jak zręcznie, bez ministrów, tą machiną włada —
Bo jak moim rozumem słabym mogę sądzić,
Trudno kawałkiem ziemi, trudniej światem rządzić“.

Mógłby ktoś zarzucić autorowi rażącą nieproporcjonalność między natchnieniem i celem a środkami logiczno-artystycznymi: aby pochwalić

¹⁾ Jezuita i redaktor, czyli, jak dawniej nazywano, autor *Gazety Warszawskiej* od roku 1774 do 1793.

orkiestrę słonimską, uorganizowaną przez znakomitego protektora sztuki: czyż potrzeba było brać na ząb dowcipu biblijne „Hosanna“, tak zuchwale zaostriąć pociski i miotać je aż ku górnej sferze przedwiecznych tajemnic!? — Zmniejszy się jednak w naszych oczach wina człowieka-poety, jeżeli zauważymy, że celem szyderstwa nie jest tu bynajmniej czyste pojęcie przyczyny przyczyn, wzniosła abstrakcja wszech-ideałów, lecz jedynie parodia tego wszystkiego, co wzniosłe, sklecone dłonią ciemnoty i fałszu..., zmniejszy się i wina satyryka próbującego sił na niwie panegirycznej, gdy przypomnimy sobie poważne zasługi Michała Ogińskiego, nie jako człowieka z piersią stalową, ale jako rozumnego a utalentowanego obywatela, krzewiciela przemysłu i fundatora kanału, który dotąd imię jego nosi.

Na podstawie tego, cośmy dotąd, mając w ręku drobną wiązkę próbek młodocianych, o Węgierskim powiedzieli, nie wahamy się zaliczyć go do drużyny orłat polskich. Obdarzony dowcipem i wielką bystrością umysłu, gorący czciciel prawdy, nieublagany wróg obludy, dzielny pisarz zapowiadający mistrza, mógł on, przy umiarkowanym nastroju etycznym i sprzyjających warunkach, stać się epokową gwiazdą piśmiennictwa. Schodząc z pola miał lat 24, a ileż to razy w szczęśliwszych rzutach pióra, tendencją radykalistyczną i śmiałym polotem dowcipu prześcigał swe wzory. Genialnemu dziecięciu wieku duszno było w atmosferze literatury naśladowniczej. Charakterystyczne, chociaż skąpe światło na wybijającą się z korbów mody żądzę samodzielności w tworzeniu rzuca małeńki wierszyk: „Myśl o poezji“:

„Jeśli do ciężkiej przykuty roboty,
Mam bawić innych wśród mojej tęsknoty,
Jeśli wiersz tylko z pracą wymuszony
Wiecznej pamięci ma być poświęcony,
Jeśli smutnego słuchając prawidła:
Mam bujnej myśli hamować wędzidła,
Zbyt obarezone chętnie kruszę pióra;
Dla mnie świat polem, granicą natura“

Niewola ducha i narzucona sztywność formy były więzami dla młodego poety; mściwa obluda — maczugą dla zuchwałego satyryka, co śmiało ilustrować rysy bogów i bogiń Rzeczypospolitej.

* * *

W powyższej wiązance sylwetek starałem się głównie o scharakteryzowanie ważniejszych zjawisk humoru satyrycznego w literaturze staro-

polskiej i o uwydatnienie kontrastu, jaki zachodzi między chwiejnością typowych jego przedstawicieli (jak Kochanowski, Kochowski, Krasicki), a doniosłym, stanowczym głosem idących za europejskimi prądami, samodzielniejszych jednostek (Rej, Węgierski). Myśl przewodnia i szczupłe ramy pracy kazały się nam ograniczyć na odtworzeniu śmielszych przeważnie tonów tendencyjnego żartu, tonów, gdzie podmiotowa siła dowcipu skojarzyła się z ważnością przedmiotu. Posępny morał bez dowcipu i humor bez satyry, wobec wyrażonego w nagłówku zadania, mogły nas tylko nawiasowo zajmować. To też zarówno pessimista o Katonowem obliczu, w rodzaju K. Opalińskiego, jak Chryzostom Pasek ze swą dobroduszną jowialnością pozostali na uboczu, nietknięci.

Antoni Gustaw Bem.

WYCHOWANIE PRZESZŁE I OBECNE.

(SZKIC).

Niekroć pragniemy sprawiedliwie ocenić to, co jest, zawsze mamy pewien obowiązek zwrócić się ku przeszłości. Geneza bowiem stawania się każdego faktu już sama przez się mówi o nim jak najwymowniej; a na takim rodowodzie oparte ludzkie twierdzenia nabierają dopiero wartości. To też, mając tutaj przedstawić rezultaty wychowania nowoczesnego, mimowolnie sięgamy myślą w dzieje i zapytujemy, jakie to koleje, oraz reformy przechodziła ta edukacja człowieka, jaką obecnie mamy w Europie. Trudno jednakże zaczynać od pierwostanu ludzkości, trudno się zbytecznie rozwodzić i podawać systematyczny obraz historii pedagogiki. Zdołamy tu zaledwie nakreślić szkicowy przegląd, w którym zaznaczone zostaną kroki postępu, uczynione na polu wychowania w przeciągu jakiego tysiąclecia. Owe kroki posłużą nam może do wymierzenia obecnego postępu i do zaznaczenia niektórych dążeń ku lepszemu w przyszłości.

Wiadomo, że bardzo już wcześniej zakładano w chrześcijańskiej Europie tak zwane szkoły parochialne, więc odpowiadające niby dzisiejszym szkołom ludowym. Pamiętać jednak trzeba, iż punkt ciężkości wieków średnich nie mógł tkwić w wykształceniu mas; cele pedagogiczne ówczesne miały na oku głównie wychowanie duchowieństwa. Aby tej potrzebie kościoła zadosyć uczynić, fundowano szkoły przy klasztorach i kościołach katedralnych. Z pomiędzy szkół klasztornych zasłynęły przedewszystkiem benedyktyńskie, których zadaniem było nietylko kształcenie księży, ale

także wychowanie wogóle. Są to — możnaby powiedzieć — embryony dzisiejszego szkolnictwa. Prawie od połowy XII-go wieku szkoły benedyktyńskie zaczęły mocno chylić się do upadku, a to z powodu wielkich bogactw i w ślad za tem idącego sybarytyzmu mnichów. W XIII-tym więc stuleciu łatwo było zasłynąć swemi szkołami franciszkanom, oraz słynnym z prześladowania kacerzy dominikanom. W szkołach klasztornych przeciążano uczniów pamięciową nauką.

Już jakoś w połowie VIII-go wieku biskup w Metz, widząc z jednej strony karność benedyktynów, ich wziętość i znakomite powodzenie, a z drugiej strony powszechne rozprężenie obyczajów kleru świeckiego, zgromadził przy swej katedrze księży i zalecił im wspólne życie w klasztornym rygorze, oraz nauczanie młodzieży. I wtedy to powstały szkoły katedralne, które miały wprowadzić za główny cel kształcenie księży, niemniej wszakże otwarte były i dla ludzi świeckich. Zapewne tą drogą najprzód nauka zaczęła wychodzić w świat poza mury klasztorne i poza zwarte szeregi kasty. Tak w szkołach klasztornych, jako też katedralnych główną figurą był *scholasticus*, ksiądz, który tu pierwotnie nauczał filozofii, teologii, języka i literatury; później zaś — przy znacznym napływie uczniów, był on jedynie głównym kierownikiem i zwierzchnikiem szkoły. Podwładnym jego był *rector*, który pierwotnie nauczał nauk: czytania i pisania, rachunków, gramatyki łacińskiej; później jednak zastępował on w nauczaniu *scholastyka*, kiedy ten obarczony został znaczną pracą zarządu w szkole. Trzecim z rzędu w średniowiecznej hierarchii szkolnej był *cantor*, podlegający władzy *scholastyka* i rektora; on to nauczał głównie śpiewu kościelnego, przygotowywał kalendarz, a — w miarę swego uzdolnienia — nauczał także w szkole różnych przedmiotów.

W późniejszych czasach już i po mniejszych miastach zakładano szkoły z urządzeniem podobnem do katedralnych; ale tu nauczano tylko *trivium*. W miarę tego jak się wzmagaly bogactwa księży, wzrastała jednocześnie ich gnuśność, a w ślad za tem szedł upadek szkół, pod kierunkiem duchowieństwa pozostających. Już w połowie XII-go wieku księża sprzedawali urzędy szkolne ludziom świeckim; i ten właśnie stan rzeczy ma bardzo duże znaczenie dla sprawy postępu, przez to bowiem wystąpiła możność wyrabiania się oddzielnego a niezależnego nauczycielskiego fachu. We wszystkich szkołach, o których powyżej była mowa, rząd wychowawczy polegał na surowych karach: bity i ogładzano uczniów bez litości, a ci swoją drogą byli niezmiernie krnąbrni oraz

zuchwali; nierzadko w szkole średniowiecznej przychodziło pomiędzy zakonnikami do bójek, których rezultatem bywała śmierć albo śmiertelne rany. Podręczniki szkolne z powodu ogromnej drożyzny książek mało kiedy dostawały się uczniom do ręki. Najbardziej rozpowszechnione były gramatyki łacińskie: Pryscyana i Donata; również: *Satyrykon* Capelli, *De septem disciplinis* Kasyodora, *Doctrinale* Aleksandra Döle. Sposób nauczania zupełnie odpowiadał duchowi czasu. Nauczyciel mówił, czytał lub dyktował; uczniowie słuchali, pisali i uczyli się na pamięć. Samodzielność zarówno uczniów jak i nauczycieli była nadzwyczajnie rzadkiem zjawiskiem; dogmaty kościelne krępowały swobodę myślenia oraz badania. Moralny upadek księży pociągnął za sobą podkopanie ich powagi; zaczęto szydzić z ciasnej uczoności, zwanej *scholastyką*, która, poczynawszy od XIV-go wieku, traci coraz więcej uroku; a umiejętność wogóle, sztuka nauczania zaś i wychowywania w szczególe zaczynają torować sobie nowe drogi.

Obok duchowieństwa wieki średnie posiadały jeszcze inny stan uprzywilejowany, mianowicie rycerski, który przeciwstawiał się potężnej władzy kościelnej i pielęgnował kielki późniejszej narodowej świadomości. Rycerze albo panowie mieli odrębny gatunek edukacji. Siedmio, lub ośmioletni szlachecki synek dostawał się na dwór pana i tutaj, jako paź, ćwiczył się we władaniu szablą, w poprawnym, dworskim sposobie mówienia, oraz przyswajał sobie wykwintniejsze maniery, gdy szło o zachowanie się przy stole, podczas rozmowy z damami i t. d. Z czternastym rokiem życia młokos taki — jeśli się chciał kształcić i w naukach, posyłany bywał do szkoły klasztornej; jeżeli zaś nie, to zostawał giermkim rycerza, a po otrzymaniu ostatniego policzka mógł nosić ostrogi i miecz, spełniając obowiązki koniuszego, piwniczego it. d. Polowanie, taniec, służba przy damach należały także do dobrego wychowania rycerskiego. Nareszcie giermek, gdy się tego okazał być godnym, zostawał w 21 roku życia pasowany na rycerza, a przysięga, którą składał, mniej więcej tak brzmiała: „Będę zawsze mówił prawdę; będę bronił religii i jej sług; będę się ujmował za słabymi, uciśnionymi, za wdowami, oraz sierotami; będę walczył w obronie cześci szlachetnych niewiast i z nieprzyjaciółmi chrześcijaństwa.“

Ale dla rozwoju idei pedagogicznej obfitszym w dobre następstwa był stan mieszczański, który się przeciwstawiał księżom i rycerzom. Trudno tu opisywać, jak stan ten zdobywał sobie pozycję i jak się organizował stopniowo, a coraz silniej. Rzemiosła, handel, wynalazki były potężnymi dźwigniami, które zjednały mieszczaństwu nader wysokie znacze-

nie. Nie wojenne i zaborcze, lecz pokojowe, braterskie zjednoczenie się z sobą ludzi wyszło na świat ze stanu mieszczańskiego. Trzeba się było komunikować pomiędzy sobą w ważnych sprawach handlu i rzemiosła, w sprawach niezbędnych życiowych potrzeb. A jakże to uczynić można bez nauki, bez sztuki pisania przedewszystkiem? Początków szkół miejskich środkowej Europy szukać należy w stosunkach handlowych Niemiec z miastami włoskimi, takimi jak Medyolan, Florencyja it.d., gdzie się już młodzież mieszczańska kształciła. A były to czysto świeckie zakłady szkolne. Taki pierwotny nauczyciel szkoły miejskiej wzywał mieszkańców do nauki czytania oraz pisania, wywiesiwszy nad drzwiami domu swego tablicę z silnie reklamującym go napisem. Wieki XIII-ty i XIV-ty odznaczają się już żywą krzątaniną około dzieła wykształcenia kupców i rękodzielników. Rzeczą prostą, iż duchowieństwo usiłowało tu wpływ swój wywierać; bo przecież ono tylko było uprzywilejowane na punkcie szkolnictwa i samo uważało się pod tym względem za jedynie kompetentne. Niejednokrotnie wynikały stąd poważne zatargi i spory, które się obijały aż o papieskie uszy. Mieszczanie, te pracowite mrówki, musieli się okupywać na wszystkie strony i panom i księżom. Tym ostatnim jednakże w rzecznej kwestyi pedagogicznej chodziło wyłącznie o zwierzchnictwo i o dochody, zresztą nie troszczyli się wcale o to, kto, jak i czego nauczał. Nauczyciel przeto szkoły miejskiej był dosyć swobodny i od jego indywidualności całkowicie zależała dobroć tejże szkoły. Musimy tu wszakże dodać, iż po największej części wartość takiego pedagoga, zarówno pod względem inteligencji, jak moralności, była tak niską jak pensya, którą pobierał. Nauczanie odbywało się tutaj podług wspomnianej już metody scholastycznej, a najlepsza szkoła mogła, co najwięcej, włożyć ucznia w biegłe mówienie zepsutą łaciną i układanie lichych wierszy. Na osiągnięcie takich celów zużywano ogromną ilość czasu, tak, że 30-to letni uczeń nie stanowił rzadkich przypadków. Karność polegała na prawie: „Kto żałuje miotelki na swego syna, ten go nienawidzi i gotuje mu złą dolę.“ Kij przeto, czy różga — nauczaly porządku, uwagi, pilności, cnoty i zachowania się dobrego.

Sam nauczyciel częstokroć nie miał nigdzie domu; z łaski go żywiono, dawano nocleg itd.; nie miał on żadnych praw obywatelskich, więc go też i dobro miasta wcale nie obchodziło. Nie dziw tedy, iż chwytal nieraz za kij pielgrzymi i w towarzystwie licznego tłumu chłopaków, oraz młodzieńców przechodził z miasta do miasta, znosząc głód, zimno i wogóle nędzę

ostatniego stopnia. Towarzystwo takie pedagogiczne nadawało sobie samo nazwę braci bachusowych. Młodsze dzieci, przebywające w tem gronie, musiały po drodze kraść i żebrac, ażeby dostarczać środków do życia starszym bachantom, którzy ze swej strony źle odpłacali się malcom, traktując ich biciem i okrutnymi obelgami. Cóż tu mówić o wychowaniu z dzisiejszego punktu widzenia, a wobec najskromniejszych nawet wymagań? Zresztą ktoby się chciał bliżej obznajmić z owym pedagogicznym romantyzmem, temu radzimy odczytać autobiografię Tomasza Plattera, który tego rodzaju żywot przez długi czas prowadził.

Duży wpływ pedagogiczny, zwłaszcza na wychowanie ludu, wywarło tak zwane „bractwo dobrej woli“, założone w XIV-ym wieku przez Gerharda Grote w Deventer. Ponieważ członkowie tego bractwa nie byli mnichami, przeto obcowanie ich z ludem sprowadziło bardzo dobroczynne następstwa dla sprawy wychowania. Z łona też owego towarzystwa wyszedł Tomasz a Kempis, którego dziełko „O naśladowaniu Chrystusa“ liczy parę tysięcy wydań. Zresztą zgromadzenie „braci dobrej woli“ należy zważać jako awangardę reformacyi.

Zakładanie szkół wyższych albo uniwersytetów przypada na wieki XI-ty i XII-ty. Przodowały pod tym względem Włochy, gdzie najprzód powstały szkoły wyższe: w Salerno dla lekarzy i w Bolonii dla prawników. Niemniej także — zupełnie niezależnie od duchowieństwa — powstała i w Paryżu taka wyższa szkoła, w której nauczano teologii oraz filozofii. Ówczesni uczeni niemcy musieli się więc kształcić za granicą, dopóki Karol IV-ty nie założył uniwersytetu w Pradze r. 1348; poczem szybko już powstawały szkoły tego rodzaju w Wiedniu, Heidelbergu, Kolonii it.d. Był to głos o światło, protest przeciw ciemności. Ale księża i na tym punkcie powstrzymywali postęp swoją żelazną ręką.

Widzimy z powyższego, iż Włochy w owych czasach dawały impuls Europie; tutaj to martwy scholastycyzm przeobraził się w odrodzenie klasycyzmu, co znaczy, iż badania starożytności nie stały już na usługach kościoła, ale popierały ogólnoludzkie wykształcenie; stąd też poszła i nazwa humanizmu. Krzewicielami tego kierunku byli całemu światu znani mężowie: Dante Alighieri, Giovanni Boccaccio i Francesco Petrarka, których działalność przypadła na wiek XIV-ty. Ruch ten prędko przeniósł się do Niderlandów oraz Niemiec, gdzie miał licznych reprezentantów, a głównie w XV-ym i XVI-ym wieku Jana Reuchlina oraz Erazma z Rotterdamu, istnych bohaterów humanizmu. Pierwszy z nich powiedział:

„ś-go Hieronima ubóstwiam jak anioła, a Mikołaja z Liry jako nauczyciela, ale prawdę czczę jak Boga.“ Drugiego mniej należy uważać za pedagoga, a więcej jako męża niezmierniej nauki i niepospolitej wymowy. Ci dwaj uczeni podminowali do szczytu starą scholastyczną rutynę nauczania, jakkolwiek na oświatę mas nie mieli oni bezpośredniego wpływu. Pod ich parciem musiały ustąpić z wyższych szkół podręczniki pisane mniszą łaciną, a miejsce ich zajęli rzetelni klasycy rzymscy i greccy. Ogół jednak ludzi, całe narodowe warstwy nie rozumiały tej potrzeby, nie było jeszcze przygotowania dostatecznego, aby stoczyć energiczną walkę z hierarchią duchowną. Wyjątki tylko krzepko stanęły pod nowym sztandarem, jak np. szlachetny Ulrich v. Hutten, którego znane są entuzjastyczne słowa: „Niemcy przejrzały, sztuki się odradzają, umiejętności kwitną, umysły się budzą, uchodzi barbarzyńska ciemnota!“

Wędrowni uczniowie, którzy przechodzili z miejsca na miejsce i rozpraszali się wśród tłumów, powstanie drukarni — oto są dzielne czynniki, które zwolna wprowadziły, ale nieustannie i skutecznie pracowały tu i owdzie dla dobra postępu, zwłaszcza też po miastach. Powoli, bardzo powoli gotowała się gwałtowna burza, która błyskawicami dobroczynnymi dla plonów przyszłości rozświetliła te strasznie ciemne i ponure sklepienia nocy średniowiecznej. Ta burza, to reformacja, która wstrząsnęła potężnie całą budową społeczną, więc i wychowaniem. Widzieliśmy dotychczas, jak się wychowywali duchowni, rycerze, mieszczenie; ale wiekowi reformacji przypadła w udziale najszlachetniejsza część, bo powołanie do oświaty ludu i powszechne skruszenie pęt duchowej niewoli. Odkrycie Ameryki oraz drogi morskiej do Indii Wschodnich, wynalazek druku, Kopernikowski system — wszystko to rozszerzało coraz bardziej widnokrąg myślenia, wszystko to przygotowywało obrzęd pogrzebu wieków średnich. Uroczystość ta przypadła na wiek XVI-ty. Nie będziemy w tem miejscu wspominali dziejów reformacji kościelnej i zasług, jakie na tem polu położył dzielny mnich, Marcin Luter. Obchodzi nas bowiem głównie kwestya wychowania. Reformacja przedewszystkiem sprawiła, iż każdy człowiek bez pośrednictwa księdza mógł się teraz sam odnosić do Boga, a przez to zniknęła owa olbrzymia przepaść, jaka się znajdowała pomiędzy księdzem i nie-księdzem. Każdy człowiek mógł odtąd sądzić i rozbiierać sprawy religii. W tem już tkwi bardzo ważny punkt ulepszenia metody wszelkiej umysłowej pracy, ponieważ podkopaną została zasada powagi, a wolna nauka mogła wznosić swój gmach na gruzach rozbitego dogmatu. Ta okoliczność musiała

bezwzględnie wywrzeć ważny wpływ pedagogiczny i na zasady moralne, albowiem dogmat zmuszony został ustąpić miejsca prawdzie. Reformatorowie tacy, jak Luter, Melancton, Bugenhagen, Zwingli i Kalwin zwrócili też szczególną uwagę na wychowanie ludu, ogłaszając, iż prawdy święte powinny być w narodowym języku wypowiedane. Teraz dopiero wystąpiło na jaw usiłowanie pogodzenia dobra kościoła z dobrem ludzkości. Lud musiał się uczyć własnego języka, aby mógł poznać zasady religii, aby mógł czytać Pismo święte. Zwiększyły się też środki materyalne szkół, gdyż wiele dóbr klasztornych przeszło na ich korzyść. Zreformowane uniwersytety stały się ogniskami niezależnej nauki, a wprowadzone do szkoły nauki przyrodnicze torowały drogę dzisiejszym szkołom realnym. Przytem uznano konieczność nauczycielskiego wykształcenia, a nawet dotkniętą została kwestya przymusu szkolnego. Szczególny nacisk kładziemy na te okoliczności, bo kreśląc ten pobieżny obraz szkolnictwa, widzimy tu pierwsze podwaliny, oraz zasady dążności do emancypacji szkoły. Jednakże pamiętajmy dobrze, iż niełatwy jest postęp tam, gdzie stary porządek głęboko zapuścił swoje korzenie. Zdobyta swoboda wiary i sumienia nie od razu poprowadziła do swobody naukowej, raczej stąpano w dalszym ciągu jeszcze po wydeptanych ścieżkach scholastyizmu. Łacina, greka i hebrajszczyzna były celami głównymi wykształcenia, a nauk przyrodniczych, oraz matematyki nauczano z autorów starożytnych. Tak więc, początek było dużo obiecującym, ale nie wykonano programu i nauka zesłała do wyrazowej uczoności, albo, jak to nazwano, wyrazowego realizmu. Dzisiejsze przecenianie po gimnazyach nauk klasycznych zyskało sobie podstawę w owych czasach jeszcze. Różga znowu wystąpiła i zastępowała brak talentu nauczycielskiego. Mianowany nauczyciel otrzymywał do rąk oficjalnie różgę, jako godło swego zawodu. Nawet Trotzenzendorf, wielka po-reformacyjna powaga pedagogiczna, który uznawał uczucia ambicji, nie usuwał jednakże różgi.

Władza kościelna atoli nie próżnowała wobec świeckich zabiegów protestantyzmu. Występują jezuita w 2-giej połowie XVI-go wieku. I oni nauczają także łaciny, a wszelkie narodowe języki zostają z ich planu szkolnego wyrugowane. Blichtr uczoności pomyślnie tu prosperuje, chodzi bowiem głównie o to, aby uczniowie mówili płynnie językiem Cyserona. Uczniowie jezuita uczyli się także filozofii oraz teologii, ale przytem chodziło głównie o obronę kościoła. Samodzielność była ugniatana w najwyższym stopniu, gdyż ćwiczone głównie pamięć, zaniedbując zupełnie myślenie, jako

też uprawę uczuć. Wszczepiano nienawiść dla kacerzy, a przytępiano rozmyślnie uczucia rodzinne. W „Krytycznej historii zasad edukacji francuskiej” pana Compayré na str. 180 t. I. czytamy, iż młody szlachcic tyrolski, Jan Babtysta Schulthaus, umieszczony w kolegium jezuickim, nie chciał się wcale przywitać z odwiedzającą go matką, a zapytany przez nią, jakaby tego była przyczyna, odrzekł: „mniejś o to, iż jesteś moją matką, dosyć mi na tem, że jesteś kobietą.” Ten sam młodzieniec po śmierci swej rodzicielki nie okazywał najmniejszego smutku. Karność szkolna u jezuitów polegała na ślepej posłuszeństwie, a religijność ich wychowanców była pozorną i obłudną. Za odznaczenie się bowiem w pobożności wynagradzano, za brak zaś religijnych uczuć wymierzano kary. Ambicję podniecano nadmiernie. Szpiegostwo nie tylko wynagradzano, ale nawet donosicielom i denuncyantom za wierne ich zasługi przebaczano duże winy. Kar cielesnych w zakładach jezuickich wymierzano mało i funkcję tę w danym razie spełniał świecki korektor, albowiem członkowie towarzystwa Jezusowego pilnie baczili, ażeby zakon sam nie naraził się w czemś uczniowi, który z czasem mógł zostać znakomitym dygnitarzem. Wychowawcze zasługi jezuitów sprowadzają się do tego, że nauczyciele ich odznaczali się znaczną pilnością i usilnością; że porządek i czystość przestrzegane były w szkole wzorowo; że pielęgnowano troskliwie chorych uczniów, a ze zdrowymi obchodzono się łagodnie; że wreszcie przyzwyczajono dzieci do grzecznego, a nawet wykwiśniętego zachowywania się. Nigdy wszakże powyższe zalety nie zdołają wynagrodzić szwanków, na jakie tu narażone zostało rzetelne wychowanie młodzieży przez poniżenie ludzkich uczuć, przez odwracanie serca uczniów od rodziców i ojczyzny, przez wszczepienie nietolerancji, przez protegowanie donosicieli, przez wychowywanie religijnej obłudy i wogóle przez skażenie charakteru, oraz zabicie samodzielności.

A jakże się miała sprawa edukacji ludowej w czasach po reformacji? Zaprawdę bardzo powolny postęp uwidocznił się na tem polu. Szewc, krawiec, mularz, nawet i szynkarz, lub grabarz spełniali nieraz obowiązki nauczyciela w szkole ludowej, niekiedy zaś zajmował to stanowisko parobek proboszcza, który jednocześnie młócił w stodole, rąbał drwa na podwórzu i t. d. Budynek szkolny stanowiła pierwsza lepsza lichachata, w której razem z uczniami mieściła się i trzoda nauczyciela. Przedmioty nauczania w ówczesnej szkole ludowej były następujące: katechizm i śpiew kościelny, czytanie i pisanie, a od czasu do czasu ćwiczenia rachunkowe. Pa-

mięciowe wyuczanie się katechizmu stanowiło krótko ujętą metodę szkoły ludowej w XVI-tym wieku. A jednak godną uwagi jest okoliczność, iż wtedy już znaną była głosowa metoda czytania, proponowana w Niemczech przez Ickelsamera. Co się tyczy rachunków, te mało któremu nauczycielowi były dostatecznie znane. A choć się i znalazły książki, przedmiot ten traktujące, to gdzieżby je byli w stanie zrozumieć tacy nauczyciele ludowi, jakich właśnie co tylko przedstawiliśmy. Karność i tym razem utrzymywano przy pomocy kija, obelg, obrywania uszu, targania za włosy i t. d.

Szkoły ludowe więc, zarówno protestanckie, jak katolickie, stały jeszcze bardzo nisko, co było naturalnym wynikiem wpływów poprzednich, których reformacja nie zdołała od razu usunąć. Zimny protestantyzm dbał teraz z kolei rzeczy i przedewszystkiem o czystość religii swojej; wytworzył on ortodoksę, która wprowadziła w inny sposób, ale niemniej dokuźliwie ciążyła na edukacji mas. Barbarzyństwo rygoru w połączeniu z oschłym formalizmem religijnym gniotło młodociane umysły i dusiło w zarodzie wszelką samodzielność. Fanatyzm zaś protestancki w niczem nie ustępował katolickiemu. Dosyć postępu, że rozpoczęło się wychowywanie ludu, że odczuto i uznano tę potrzebę; reszta byłaby się wyrobiła, gdyby nie wybuch 30-letniej wojny, która w sto lat po reformacji podkopała i te tak słabe podwaliny.

Już atoli wśród złych stosunków owej epoki występowali dzielni ludzie, którzy umieli zwrócić uwagę na błędy współczesne i użyźniali chwaśtem porośniętą niwę szkolnictwa. Na czele ich stoi Bakon z Werulamu, co, ukazując przyrodę i świat rzeczywisty jako źródło wiedzy, skruszył martwy dogmatyzm kościoła i bezpłodny formalizm szkoły. Teoria naukowa wytknęła tu drogę pedagogice, wykazując dowodnie, że wychowanie człowieka i nauczanie wesprzeć się powinno również na obserwacji oraz doświadczeniu. Tymi też ślady poszedł przedewszystkiem Komeniusz. Ale ten wielki pedagog nie wzniósł się jeszcze do tej wysokości, ażeby badać i obserwować naturę wychowywanej jednostki; on tylko zwrócił uwagę na świat zewnętrzny, stanowiący otoczenie człowieka, co stanowi punkt wyjścia dla nauczania poglądowego. Wyprowadzać prawa oraz zasady wychowania z subiektywnych właściwości rodzaju ludzkiego umieli dopiero Montaigne, Locke i genialny Rousseau. Ale całą tę pracę dotychczasową na polu pedagogiki można nazwać przygotowawczą analizą. Wszędzie tkwił niedostatek, bo wszędzie panowała jednostronność kierunku. Dopiero synteza — że tak powiem — nauki wychowywania potomstwa ludzkiego przy-

padła istnie natchnionemu umysłowi nieśmiertelnej sławy Pestalozzi'ego, wielkiego reformatora i twórcy wszystkiego, co jest najlepsze w nowoczesnej edukacji. Odtąd możemy już mówić o umiejętnej pedagogice i o pedagogach, z których jedni opierają się na starej psychologii, jak Niemeyer, Schwartz, Graser, Schleiermacher itd.; inni trzymają się w wychowaniu poglądów nowej psychologii, jak Herbart, Benecke itd.

Ileż to trudów i wielkich poświęceń trzeba było, aby wśród maołów ciężkich praktycznych zajęć wytworzyć wzniosłe cele dzisiejszej szkoły, mianowicie też szkoły ludowej! Któż nie będzie podziwiał wielkiej postaci takiego Komeniusza, który, przygnieciony srogiemi cierpieniami, wśród niepospolitych własnych nieszczęść przez pół wieku pracował nad uszczęśliwieniem ludzkości za pomocą wychowania? Komu nie zabije żywo serce współczuciem, gdy sobie wspomni zbawcę nieszczęśliwych, ojca sierot, wychowawcę biednego ludu, Pestalozzi'ego? Trudno mu było żyć na świecie, tak zawzięci byli nieprzyjaciele, tak ciężko pracował wśród głodnych, obdartych i przedwcześnie znikczemionych dzieci, tak szczerze żył dla ludu. A jakaż była nagroda? Oto, na mogile wielkiego męża drobna działwa wiejska z nauczycielem swoim odśpiewywała mu pieśń wiecznego spoczynku. Czyż nie mamy oddać hołdu i niezmordowanemu Diesterwegowi, który nas nie tylko słowem, ale czynem swoim nauczał i ciągle naucza, że udziałem pedagoga jest praca nieustająca nigdy, praca gorzka, pełna zawodów, przed którą jednak cofnąć się nie wolno?

Po tym przeglądzie przeszłości zastanówmy się nad obecnością i skreślmy obraz wychowawczych rezultatów, które nie tylko stanowią ważny dział całkowitej bieżącej cywilizacji europejskiej, ale także są już poniekąd punktami wytycznymi i sztafarami, powiewającymi nad przyszłością; bo w świecie — jak mówi wielki poeta — „wszystko jest owocem i wszystko jest nasieniem.“

Całość wychowania obraca się około niewielu punktów, z których najważniejszym jest przedmiot wychowania, t. j. *wychowanie*. Zrozumienie wszechstronne tej kwestyi zaznaczamy jako krok postępu niezmierniej doniosłości na polu pedagogiki. Dla wychowawcy są: szkoła, nauczyciele, środki wychowawcze. Do niego również stosują się metody, formy i cele wychowania. Postęp ten w pedagogice zawisł od powszechnego, wielorakiego i wielostronnego postępu ludzkości, więc także od rozwoju nauk w ogóle, a w szczególności antropologii, — zawisł od postępu moralności i od wyższej dbałości ludzi o przyszłość własnego gatunku, —

od urządzeń społecznych i politycznych, od nieustannie rozwijających się potrzeb ludzkich coraz wyższego rzędu. To, co pod powyższymi względami zostało dokonane, i w miarę, o ile dokonane zostało, oddziaływa współrzędnie w danej miejscowości na edukację narodową, wplecioną w dany ustrój społeczny i nadaje jej charakterystyczny wyraz.

Ale w pedagogice umiejętnej czasów obecnych najbardziej reformującym czynnikiem jest psychologia, której postępy wpłynęły więcej niż cokolwiek bądź na uporządkowanie i zorganizowanie czynności wychowawczych oraz na właściwe ich stosowanie. Trzeba było niejako zajrzeć wewnątrz człowieka, objaśnić sobie liczne procesy duchowe, aby umieć wychowywać młode pokolenie. Dopóki to nie miało miejsca, wychowywano młodzież do celów jakichś panujących w danym czasie idei. I dzisiaj także, o ile pedagogika praktyczna nie jest oparta na zasadach, wziętych z racjonalnej antropologii, o tyle dzieło wychowania jest zacofane tu i owdzie. Gdziekolwiek więc wychowują dzieci do jednego jakiego celu, np. w interesie kościoła, kasty, państwa i t.d., tam według nowszego kryterium wychowanie takie uznane zostaje jako jednostronne i niedostateczne. Zarówno bowiem nauka jak i codzienne doświadczenie życiowe wskazują, że rozwój człowieka związany jest nie z jednym celem, ale z wielością celów. Gdzieby wychowanie zdążyło znowu do wyłącznego uprawiania jedynie duchowych władz młodego człowieka, tam usiłowanie pedagogiczne tego rodzaju byłoby stanowczo daremnem i chybionem, a nowożytny pedagog musiałby je potępić, jako fałszywe i szkodliwe. Logicznie bowiem tylko można mówić i pisać o fizycznej oraz duchowej stronie człowieka, ale w rzeczywistości jest to jeden organizm i nierozzerwana całość, w której ciało stanowi podstawę oraz warunek zjawisk psychicznych. Naturalnie, to samo i tem bardziej daje się powiedzieć o pedagogicznych usiłowaniach rozwinięcia jednej jakiejś duchowej właściwości człowieka, np. uczuć estetycznych, religijnych, pamięci, wprawy językowej i t.d. Nie jedna bowiem władza jakakolwiek lub przymiot, ale wszystkie władze ludzkie dane są człowiekowi w jego pierwotnem uzdolnieniu po to, aby odpowiednio rozwinięte zostały. Żaden kierunek wyłącznie, ani żadna władza przeważnie nie powinny być uwzględniane przez pedagoga, ale wszystkie uprawiane według dobrej normy, której utrafienie decyduje o naukowem przygotowaniu oraz osobistej wartości wychowawcy. Bezprawnie tylko może sobie ktoś na własną rękę pozwalać eksperymentów, ale jednocześnie musi on przyznać, iż nie rozwija człowieka do pełnego ludzkiego życia. Z tego też

punktu widzenia nie można się zgodzić na banalnie oklepany frazes, według którego porównywa się ogrodnika z pedagogiem. Ogrodnik właściwie wychowuje jedną tylko część rośliny, taką, która jest dla niego pożyteczną, np. kwiat w róży, liście w herbacie, bulwę w kartoflu i t. d. Pedagog ma wychowywać całego człowieka. Dla ogrodnika lub dla chowowcy zwierząt pożądane być może, aby osobniki kształcone straciły nawet pewne cechy, które są dla nich pożyteczne, ale tylko nie przedstawiają korzyści dla człowieka. Wiadomo np., iż w chowie trzody chlewnej chodzi o wytworzenie jak największej ilości tłuszczu, co—trudno przypuścić, aby leżało w interesie owych nierogatych czworonogów. Życie tak zwanych egzotycznych roślin jest też bardzo smutne, gdyż lada mroźna noc świadczy, że ogrodnik nie miał na oku odporności tych istot na wpływy zewnętrzne. Krytyka pedagogiczna powinna zatem wykroczyć poza wszelki romantyzm porównań i wyłączyć pojęcie wychowania z rzędu powierzchownie tylko podobnych do niego czynności; bo już niezależnie od tego, że co innego jest organizm ludzki a co innego roślinny lub zwierzęcy, istnieje tu olbrzymia różnica w celach, środkach i sposobach chowu.

W czasach minionych — jak widzieliśmy — nie zadawano sobie trudu i nie badano całej natury dziecka, a jakiś uczony starej daty nie spodziewałby się znaleźć naukowego zadowolenia w badaniu fizjologii i psychologii niemowlęcia. Tymczasem te właśnie obserwacje były niezbędnymi, ażeby pedagogika mogła się przeświadczyć, z jakim to kapitałem człowiek przychodzi na świat i w co się później ten kapitał obraca. Otóż przekonano się, iż człowiek przynosi na świat cały fizyczny swój ustrój, wykonczony anatomicznie, i że temu ustrojowi potrzeba tylko wzrostu, podczas gdy cały wyższy system duchowej organizacji stać się dopiero musi; bo jakżeby bez podnieć świata zewnętrznego mogły być u noworodka wytworzyć się wyobrażenia, pojęcia, sądy i t. d., wogóle ludzkie myślenie. Przy pomocy badań fizjologicznych i psychologicznych określono znaczenie zmysłów i oznaczono szczegółowo ważny ich udział w procesach duchowych. To, co wiemy o zmysłach, o całym aparacie ruchowym, o nerwach, spoczynku i t. d. jest już dostatecznym, abyśmy się gruntownie przeświadczyli o związku naszego ducha z ciałem, o związku tak niesłusznie rozerwanym niegdyś. Z tem zaś jednocześnie dany nam jest punkt wyjścia dla wychowania człowieka. Trzeba bowiem zacząć pracę u podstaw, zacząć ją od fundamentów, kształcić to, od wykształcenia czego dopiero zależy dalszy rozwój. Wszakże człowiek, pozbawiony zmysłów i ruchów, nie mógłby się rozwinać umysłowo ani moral-

nie. Nie jestże to dobrą wskazówką, iż fizyczność właśnie stanowi podstawę życia duchowego, że procesy psychiczne polegają na ustaleniu procesów niższych zwierzęcych i wegetacyjnych? Wychować zwierzę—jak mówi H. Spencer—jest to więc najpierwsza czynność edukacyjna. Należy dziecku zapewnić posiadanie i używanie tego organizmu, którym go przyroda obdarzyła, ale którego samo dziecko bez pomocy starszych utrzymać i rozwinać nie zdoła.

Jesteśmy przeto na gruncie tego działu wychowania, który się zowie wychowaniem fizycznym. Nie istnieje tu żadna wyłączność czynności wychowawczych, ale taki jest ich naturalny porządek, iż się zaczynają od pielęgnowania ciała. Małe dziecko potrzebuje długiego snu, właściwego pokarmu, dobrego powietrza, opieki, troskliwości i ustrzeżenia przed wpływami zewnętrznymi. Jeżeli zaś tylko te czynności wykonywa człowiek i jeśli one mają dla niego duże znaczenie, to muszą być usystematyzowane i wykonywane celowo, jak wszystko, co robi człowiek. Trzeba się więc tego nauczyć, a następnie—naukę pogodzić z praktyką. Jeżeli wychowawca nie wie, dlaczego ma dbać o zdrowie i siły fizyczne dziecka, wtedy praca jego jest nałogową, machinalną czynnością, pozbawioną głębszego interesu, niemogącą się udoskonalać. Znajomość przeto budowy ludzkiego ciała i jego fizjologicznych procesów jest niezbędną dla każdego, kto się zajmuje wychowaniem małej diatwy. Trudno bowiem—jak chcą niektórzy pedagogicy—przy każdej łyzce rosółu, przy każdej zmianie powietrza lub za każdym krzyknięciem niemowlęcia przyzywać zaraz lekarza. Kto sądzi, że te sprawy należą do nianie, ten chce tylko, aby rzetelni wychowawcy mniej od nianie umieli. O ileż zresztą szlachetniejszą czynnością może być zajmowanie się pedagoga wychowaniem umysłowym lub moralnym, a mniej szlachetną dbałość o fizyczny organizm dziecka? Ktoby nam to chciał tłumaczyć na niekorzyść tego ostatniego zajęcia, takiego opinie musielibyśmy zakwalifikować gwoi napiętnowania w książce *O przesądach w wychowaniu*. Dla nas odżywianie dziecka, jego proces trawienia, oddychanie, czystość i pielęgnowanie skóry oraz systemu nerwowego, troska o całość narządów zmysłowych i t. d. są przedmiotami pedagogicznie zupełnie równo-uprawnionymi z wychowaniem umysłowości, moralności, fantazyi, uczuć i t. d. Najwyżej stoi taki pedagog, który rzecz swoją najlepiej wyrozumiał i najlepiej ją wykonywa, nie zaś ten, który za pracę pobiera najwyższe honorarium, lub wypełnia niby to jakieś wyższe zadania.

Zobaczmy, jaka jest fizjologiczna podstawa żywienia człowieka. Działalność organizmu polega na przyswajaniu sobie i wydzielaniu pewnych ma-

teryj. Pokarm przeprowadzony zostaje do krwi, krew zaś oddaje każdej cząstce ciała to, czego jej potrzeba. Jeżeli tak jest, to życie oraz zdrowie polega na dobrem wytworzeniu krwi, na jej obszernem i nietamowanym krążeniu oraz na wydzieleniu zużytego materiału. U człowieka dojrzałego w żywieniu chodzi o utrzymanie równowagi przy wymianie materij. Je się tyle, ile potrzeba, aby wynagrodzić ubytki czyli straty poniesione. Większy jakiś deficyt pociąga potrzebę wyższej dostawy odżywczego materiału. Dziecię jednak je więcej, niż potrzeba do pokrycia strat w organizmie, bo ono musi nie tylko straty takie powetować, ale jeszcze musi i wzrastać. Cele żywienia dziecka oznaczają się więc jako utrzymanie organizmu, popieranie wzrastania oraz uchylenie stanów słabości. Co się tyczy środków odżywiania, nie możemy się tu zbyt rozwodzić nad wartością różnych pokarmów; dodajemy tylko, iż pokarmy zdrowe, naturalne, podane dziecku w dobrej mierze, wspierają trawienie—więc utrzymują zdrowie. Przytem i to ważne, że użycie takich pokarmów wcześniej wpływa na zapobieżenie łakomstwu i nie-wstrzemięźliwości. Znaczenie swoje ma też i metoda odżywiania, to jest zachowywanie pod tym względem punktualności, baczenie na temperaturę pokarmu, jako też jego formę; gdyż żywność łatwo rozpuszczalna, w płynie lub drobno podzielona, jest dla trawienia lepszą, aniżeli pokarm w stanie stałym i twardy. W odżywianiu dzieci tkwią już pierwsze przywyki do przyzwyczajenia, systematyczności oraz porządku. Przy tej okoliczności można malec włożyć do zachowywania czystości, do powolnego spożywania pokarmów i należytego ich żucia. Wogóle w całym wychowaniu fizycznym najmniejszych nawet dzieci chodzi nie tylko o dobrobyt ciała, ale istnieją tu zarodki późniejszych cnót i moralności. I ta okoliczność nie uszła uwagi pedagogów.

W następstwie zwraca się uwagę na oddychanie, w skutek którego tlen, wnikający z powietrza do krwi, czyni tę krew zdolną do tworzenia tkanek. Oddychanie jest bardzo ważnym procesem życiowym, którego zawieszenie sprowadza śmierć. Wychowawca przeto winien dbać troskliwie o organa oddychania i o dostarczanie im dobrego powietrza.

Okrom żywienia i oddychania, należy zwrócić uwagę na skórę, która jest nie tylko ważną powłoką, utrzymującą ciepło, ale także organem wydzielania; ona to bowiem codziennie oddaje na zewnątrz wiele gazów, potu, łoju i łusek. Kąpiele oraz czysta bielizna są więc pożądanymi zarówno w interesie zdrowia, jak i podniesienia zmysłu czystości oraz porządku. Dalej jeszcze—nie powinno ująć bacności dobrego pedagoga znaczenie ruchu

i spoczynku. Dopóki dziecko jest niemowlęciem, śpi ono dużo, gdyż tego domaga się proces vegetacyjny, ale w miarę, jak się proces ów zmniejsza, jak ustaje przewaga życia roślinnego, dziecko ożywia się ruchem, używa swoich mięśni, które wreszcie oddaje pod zarząd woli oraz rozumu. Niekiedy i w późniejszym życiu młodego człowieka może się jeszcze utrzymać ta przewaga funkcji vegetacyjnych, skąd powstaje stosunek nienormalny, zwany lenistwem. Sprzyja temu bezwarunkowo nadmiar pożywienia i zbytek spoczynku. Kształcić ruchowy aparat dziecka jest dziś bardzo ważnym zadaniem wychowawczem. Naturalnie, jest tu mowa o tak zwanych dowolnych ruchach, których właściwe pielęgnowanie decyduje o zdrowiu, sile oraz zręczności wychowanka. Ruch działa także dobroczynnie na podniesienie czynności płuc, wywołuje żywą cyrkulację, jako też pobudza skórę do lepszego wydzielania. Miarowy ruch sprowadza sen spokojny, który pokrzepia cały organizm, a życiu duchowemu użycza pogodnej swobody. Gry, spacer, gimnastyka, pływanie, ślizganie się na łyżwach są to czynności wysoko wychowawcze. Wśród zajęć tych, pełnych życia zyskuje się nie tylko na sile, zdrowiu i zręczności, ale są to wyborne lekcje samodzielności, które wykształcają męskość oraz praktyczną energię. Jeżeli przy tem wszystkim ma miejsce uczeiwy nadzór pedagogiczny, wówczas mały pozyskuje sobie ważne cnoty, uczy się ładu i karności, prawidłowości używania sił, zdobywają sobie ducha towarzyskiego. U nas zarówno dziewczęta, jak chłopcy za dużo w szkole siedzą, za mało mają możliwości swobodnych ruchów, przez co znika niejednokrotnie ich zdrowie i szczęście. Nauka pedagogiki wzywa atoli wychowawcę, aby się wszędzie rządził mądrym umiarkowaniem. Niech więc przypadkiem nie zostanie on entuzystą na punkcie np. gimnastycznych ćwiczeń.

Pielęgnowanie nerwów oraz zmysłów stanowi nowy взгляд ważny, który z naciskiem zaznacza nowożytna nauka o wychowaniu. Bo nerwy i mózg stanowią centralny zarząd ludzkiego ciała. Z nimi zaś organa zmysłów połączone są tak, iż w skutek tego związku występują na jaw psychiczne zjawiska wyobrażeń, pojęć, uczuć, dążeń i t. d. Nie dziw przeto, że tak ważne narządy powinny być przedmiotem nader troskliwego pielęgnowania. Widzieliśmy, iż wychowanie starszej daty nie zwracało uwagi na wszystkie te względy. Szarpało dzieci za uszy, targano za włosy, co—naturalnie—nie mogło być korzystne ani dla mózgu, ani dla słuchu. Nie dawano też bynajmniej baczenia na delikatny zmysł wzroku i na porządek dziennym było złe oświetlenie szkoły oraz przeciążanie uczniów pracą, odbywaną przy

nieustannem wlepianiu oczu. To samo niedbalstwo, pochodzące z braku wiedzy, łatwo można sprawdzić w kwestyi odżywiania, oddychania, pielęgnowania skóry i t. d. Wierząc zaś w stanowczy rozdział ducha a ciała, nikt z średniowiecznych pedagogów nie przeczuwał nawet związku edukacyi fizycznej z wychowaniem umysłowem i moralnem. Dziś są przecież jeszcze tacy, którzy mocno powątpiewają o tych sprawach!

Ten rzut oka na sprawy jednego tylko działu pedagogiki, dotyczące fizyczności wychowawcy, następcza nam parę oderwanych uwag w myśl nowożytniej filozofii. Główne prawo postępu i hasło jego wyraża się przez zdążanie od pojedynczości do złożoności. Wszelka jednostronność znamionuje stany niższe i pierwotniejsze, wielostronność zaś — stany pochodne, wyższe. Im cel człowieka jest wyższy, tem wielostronniejszy być musi, tem liczniejszych środków i sposobów używać trzeba, aby go osiągnąć. Wielostronną jest praca, do wykonania której człowiek musi powołać wszystkie swoje władze oraz siły, poświęcić jej cały swój czas i wolność. Do takiego stanowiska zdaje się dzisiaj aspirować zawód pedagoga, przeciwstawiając się ciasnej jednostronności czasów minionych. Taki punkt widzenia rozwija rozległy widnokrąg dla rzetelnego specjalisty. Człowiek, istota postawiona na tak wysokim szczeblu w rozwojowej drabinie stworzeń, nie może być rozpatrywany i badany w jakimś zacieśnionym zakresie, ani też wychowywany ze względu na jedną jakąś właściwość. Czyż nie jest widocznem, że przewaga po którejkolwiek stronie upośledza człowieka i cofa go wstecz niejako? Rozwój człowieka jest tak wielostronny, jak wielostronną jest nauka wychowania, albo odwrotnie. Ale rozwój ten musi być jednocześnie harmonijnym, to jest takim, ażeby żadna władza nie funkcjonowała kosztem władz innych. Prawo fizyologiczne, poplaczające i w psychologii, brzmi, że nadmierne używanie lub zupełne zaniedbanie jakiejś zdolności w każdym razie naraża człowieka na brak i szwank. To prawo reguluje harmonię władz ciała w stosunku do władz duchowych. Kto przeto pracuje fizycznie jednostronnie, ten musi pracować nieuchronnie na szkodę swoich władz duchowych i na odwrót. Bo w organizmie człowieka, to tak jak w życiu społecznem: kto pracuje najwięcej i najpilniej, ten powinien być najlepiej wynagradzany. Podług tej najwyższej sprawiedliwości mięśnie u ręki kowala biorą największy posiłek ze krwi; jeżeli zaś mniej jest czynny mózg, zostanie on tu odjeżdżony. Ważna to wskazówka dla matek, ojców, pedagogów, — wskazówka, poświadczona przez historję a indukowana przez nową umiejętność, tak że wielostronności, harmonii i dobrej miary w pedagogice

niktby nie powinien negować. Powyższe pobieżne uwagi o wychowaniu fizykiem zdają się mocno przemawiać, iż pedagogika na tej tylko drodze może się nadal rozwijać.

A teraz zwróćmy się do wychowania umysłowego i moralnego, które już poruszyliśmy. Streszczony jego bezstronny przegląd powinienby tylko sprawdzić ogólne nasze twierdzenie.

Wychowanie dzisiejsze nietylko się strzeże szczególnego uwzględniania jednej jakiejś władzy lub właściwości w zmysłowo-duchowej organizacyi człowieka, ale również wszechstronnem ono jest, gdy chodzi o stosowanie metod, form oraz środków nauczania. Obecnie pedagog nie może się posługiwać jedną wyłącznie formą nauczania. Nie wypełnia on godnie roli nauczyciela, jeżeli uczniom swoim zadaje tylko lekcye do wyuczenia się na pamięć i następnie przesłuchuje ich w szkole. Nauczyciel nie powinien się trzymać jakiegoś szematu, który mu się wydaje być najlepszym i najwygodniejszym. Śmiesznym i niepedagogicznym jest np. entuzjazm do tabelaryzowania historycznych faktów, pojęć matematycznych; a niektórzy pedagogzy chcą nawet nauczać języków starożytnych za pomocą kolorowych tablic. Dobry nauczyciel 19-o wieku nie może być ani wyłącznie poglądowym, ani wyłącznie wykładającym w sposób osłuszny czyli akroamatyczny. Również nie powinien on się posługiwać jedynie egzaminującą albo erotematyczną formą nauczania. Użycie bowiem tej czy innej formy zależy zupełnie od rozwojowego stadyum ucznia, nie zaś od dowolności nauczyciela. Wszystko ma tu zdążać do tego, aby uczeń osiągnął pożądaný rezultat, co się nie stanie, jeśli jego umysł nie bierze udziału w sprawie własnego oświecenia. Nauczyciel musi wiedzieć niezbędnie, o co mu chodzi w danej chwili; musi być zupełnie świadomym, czy w umyśle ucznia chce właśnie wywołać jakieś zupełnie nowe procesa i zjawiska, czy też chodzi mu tylko o ich utrwalenie oraz powtórzenie. Gdy chodzi o kształcenie małych dzieci, które dopiero po raz pierwszy mają materiał naukowy, wtedy nauczyciel ma obowiązek używać przeważnie metody analitycznej, stosując do niej różne formy nauczania: już to poglądanie na przedmioty, już objaśnianie ich, już zapytanie i t. d. Tą drogą bowiem uczeń dochodzi do opisu i zwolna przygotowuje sobie coraz szersze oraz uporządkowane pojęcia, co go też usposabia do syntetycznego i genetycznego myślenia. Ale i tu nauczyciel wiedzieć jeszcze jest obowiązany, kiedy, względem kogo i w jakim celu stosuje daną metodę. To samo a z równą słusnością ma się rozumieć, kiedy rzecz idzie o stosowanie indukcji oraz dedukcji. Uważny pedagog musi znać umysł

swojego ucznia, a jako dzielny nauczyciel powinien panować zupełnie nad swoim naukowym materiałem i skojarzywszy ten obowiązek pedagoga z biegłością znawcy, potrafi on w przedmiocie swoim zrobić właściwy wybór oraz zastosować najodpowiedniejszą metodę.

Wszędzie wskazać można wielostronność wychowawczych zadań i celów, wszędzie też można przedstawić wielostronność sposobów nauczania; a wszystko to związane jest jak najściślej z wielostronnością kierunków rozwoju ludzkiego; wszystko wypływa naturalnie, nie apriorycznie i dowolnie, lecz aposteryorycznie oraz prawidłowo. Natura człowieka decyduje o jego wychowaniu, pojętem szeroko w sposób nowożytny. Wszędzie tu chodzi o to tylko, jakie są potrzeby człowieka i o ile one zaspokojone być mają, ażeby jedna władza nie wzrastała kosztem drugiej, wytwarzając przez to człowieka niedołężnego może, a bezwarunkowo jednostronnego. To samo trzeba rozumieć i o różnaitości środków nauczania. Cała przyroda, całe życie ludzkie z jego doświadczeniem oraz produkcjami cywilizacji, umiejętność oraz sztuka kwalifikują się i oddają w ręce pedagoga, który ma to wszystko przekazać wychowującym się pokoleniom.

Ale jesteśmy dotąd w zakresie wychowania umysłowego. Jakkolwiek ono duże ma znaczenie, chociaż się łączy i wplata we wszystkie duchowe zjawiska, biorąc w nich udział, tak, iż możemy z Herbartem powiedzieć, że niema wyobrażeń bez uczuć, a uczuć bez woli i odwrotnie; niemniej jednak teoretycznie wydzielamy zjawiska myślenia z całości zjawisk duchowych. Wstępujemy na grunt psychologiczny, na którym człowiek czuje się szczęśliwym lub nieszczęśliwym i według tego uczucia kieruje swemi czynnościami. Stąd biorą życie i utrzymanie zjawiska woli, a dla pedagogiki jest tu wielce obiecujący dział, zwany wychowaniem moralnem. Ponieważ człowiek nie rodzi się ani złym, ani dobrym, ani moralnym, ani niemoralnym, przeto dobrym oraz moralnym stać się dopiero może przez wychowanie. Teologiczne naciągania i rozprawianie o skłonności do złego nie mają żadnej podstawy; raczej powiedziećby można, iż człowiek, na mocy panującej dążności rodzaju ludzkiego w kierunku moralności, rodzi się dobrym, ale że zaniedbana edukacja i pozostawienie dziecka samemu sobie skłaniają je do powtórzenia niższego moralnego rozwoju starożytnych swoich przodków. Albowiem nowe moralne cechy nie nabrały jeszcze tyle siły, ażeby wobec nich ustąpiły popędy stare. Powszechne cnoty rodzaju ludzkiego w jego cywilizacyjnym stadium muszą być przekazane młodemu wychowawcowi w myśl nowożytnej moralnej normy. Celem wychowania na tem polu nie jest posłuszeństwo lu-

dziom, choćby i wychowawcom, ale posłuszeństwo prawu moralnemu. Jednakże trudno wymagać, aby każdy człowiek uznawał za moralnie dobre lub za moralnie złe to wszystko, co uznaje inny; przeto w wychowaniu chodzi o wykształcenie niezależnego moralnego sądu. A jakże powstaje tego rodzaju proces psychiczny? Oto, należy przedewszystkiem nauczać wychowawca, aby oceniał każdą rzecz i każdy stosunek według istotnej wartości. Wszystko, co służy do zaspokojenia potrzeb ciała, stanowi hierarchię niższych potrzeb człowieka i musi też być oceniane właściwie, to jest nie powinno być przeceniane lub niedoceniane w stosunku do potrzeb wyższych, sprowadzających uzacnienie duchowości naszej.

Zasady etyczne są to przyrodnicze rozkazy, których głos przenika całe stworzenie: wszędzie dobro jednostki jest niższe, niż dobro gromady; wiemy, że ta jednostka „musi zniknąć, aby ocalał jej gatunek”—mówi Paweł Mantegazza. Jeżeli więc młody człowiek wyżej stawia potrzeby ciała aniżeli potrzeby ducha, wtedy złym jest jego sąd moralny; a to samo też ma miejsce, jeśli przekłada dobro osobiste nad dobro ogółu. Hierarchia dóbr moralnych wskazuje również, że dobro ludzkości nie może być poświęcone dla interesów życia rodzinnego. Z przeceniania i niedoceniania, z nieumiejętności oceniania różnych rodzajów dobra oraz zła wypływa przeto brak lub niedostateczność sądu moralnego, co znowu decyduje o niedostatecznym lub zupełnie złym wychowaniu moralnem. Właściwe oceny rzeczy oraz stosunków, a następnie dobre moralne sądy prowadzą do bezpiecznych życiowych maksym i ostatecznie zakładają fundamenta pod budowę charakteru. Cały człowiek ze swoją fizycznością i duchowością odbija się w tym—że tak powiem—najpowszechniejszym rezultacie edukacji. Jednostkowe temperamenta, jakości zewnętrznego otoczenia oraz warunków i jakości pierwotnego posagu, który dziecię na świat z sobą przynosi, odgrywają tu swoją rolę i przyczyniają się do wywołania ogromnej ilości charakterów: silnych i wytrwałych, chwiejnych lub słabych, złych i niskich, wielkich, sympatycznych, małych, niegodziwych, samolubnych, przewrotnych i t. d. Wychować człowieka tak, aby czuł szczęście i doznawał radości ze swoich uczuć oraz czynów, mających na względzie dobro bliźnich,—aby nienawidził zła, ale kochał jednak ludzi,—aby nigdy nie przełożył dóbr niższych nad wyższe,—aby nie stawiał wyżej ludzi stanowiska, fortuny lub wielkiego rodu nad ludzi zasługi,—aby cenił bogactwa jako środek, nie zaś cel życia,—aby postępowanie w tym duchu uważał sobie za wysoki obowiązek, którego niespełnienie przyprawiłoby go o niezadowolnienie z siebie samego,—aby nie czynił dla jakichś nagród lub z oba-

wy kar, ale zarówno nagrody jak i kary uważał jako naturalne następstwa swych czynów, leżące w naturalnym porządku rzeczy, — wychować takiego człowieka — mówimy — znaczy nie mniej ani więcej, jedno obdarzyć społeczeństwo ludzką jednostką moralną, o samodzielnym charakterze i wrażliwym sumieniu. Wielkie jest bogactwo celów i zadań wychowania moralnego, albowiem obowiązki człowieka odnoszą się do przeróżnaitych pól, na których on musi umieć występować i działać: już to jako człowiek, już — obywatel, ojciec, syn, współziomek i t. d. Wysokie zjawisko moralności społecznego człowieka nie może polegać na jakimś jednostronnym a letnim sentymencie dla spraw całej ludzkości albo narodu, — na jakiejś krzykliwej filantropii wyłącznej, która oswabadza ujarzmione ludy całego świata, a nie bacz na własną rodzinę lub rodaków. Musi to być gruntowne, mądre, pełne mękości wykończenie całego hierarchicznego ustroju uczuć moralnych. Pedagog powinien to szeroko rozumieć, że jego wychowaniec ma nie jeden obowiązek spełnić, ale dużo obowiązków, — że nie może on, jako obywatel, antycypować uczuć dla całego świata, sponiewierawszy np. uczucia synowskie, ojcowskie lub inne. Szczerość i prawda muszą towarzyszyć przeprowadzeniu tego dzieła, przyczem, jeśli wychowawca utrzyma dobrą miarę oraz przezorność, okaże się niezawodnie, iż moralność nietylko nie jest dla człowieka obcą, ale że on jest dla niej zrodzony i nieustannie ją udoskonala. Szerokiem jest pole wychowania moralnego oraz bardzo rozległy zakres jego poglądów; my pragniemy jedynie na tej niwie zaznaczyć wielostronność czynności pedagogicznych czasów obecnych w przeciwstawieniu do poprzedniej pod tymże względem jednostronności. Dawniej wystarczało młodzieńcowi, ażeby był ślepo uległy dla kościoła lub starszych; dzisiaj takiej ślepej uległości nie wymagamy, ona bowiem nie jest bynajmniej celem wychowania. Nieposłuszny uczeń nie jest jeszcze złym i przy całym swoim nieposłuszeństwie, zwłaszcza jeśli ono jest jawne i uczeń dopuszcza się go nie za oczami nauczyciela, może on być dzielnym chłopcem. Dawniej, ażeby wpajać moralność, działano przez kary i nagrody, dzisiaj zmienił się już znacznie pogląd na tę sprawę. System nagród uważa się jako stanowczo szkodliwy pod względem wychowawczo-moralnym, ponieważ dobre postępowanie tylko jest naturalne, nie zaś złe. Kary znowu uważają się dzisiaj, jako zło niezbędne w wychowaniu, i bywają tylko w ciężkich ostatecznościach stosowane, ale bynajmniej nie w myśl jakiejś mściwości nad dzieckiem, słabem fizycznie i moralnie nieudolnym. Kara stosuje się w nadziei oraz chęci wsparcia niedostatecznych dążeń wychowawcy. Podobnie jak w umysłowym rozwoju

dziecka zwraca się nieustannie uwagę na stopień uzdolnienia i przygotowania wychowawcy, tak samo rzecz się ma, gdy idzie o rozwój moralny. Reguła powszechna co do tych punktów brzmi: postępować od rzeczy łatwiejszych do coraz trudniejszych. Wymagajmy od dzieci tyle, na ile je stać. Naturalnie, iż to, co nazywamy wolą, musi być uważane jako produkt rozwoju, nie zaś jako przyrodzona władza człowieka. Wola staje się tak samo, jak się staje rozum człowieka — przez wychowanie. Jeżeli tak jest, to nie można mówić o przełamywaniu woli i narzucaniu dziecku woli swojej, bo fakt wychowawczy tego rodzaju jest gwałtem przeciw naturze ludzkiej. Dzisiejszy pedagog, oświecony światłem psychologii, wie dobrze, iż kłamstwo dziecka nie jest jeszcze kłamstwem, ani kradzież nie jest kradzieżą. Bo kto nie zna prawdy i przeważnie rządzi się fantazją, ten prawdy mówić nie może. Kto nie wie, co to jest własność, ponieważ widzi, iż co należy do ojca, matki, należy także do niego, ten nie jest złodziejem. Aby osiągnąć rezultaty w wychowaniu moralnem, pedagog nie ucieka się dzisiaj do długich kaznodziejskich perorowań, ale daje też dziecku właściwą sposobność doświadczania. Bo nic i w nikogo wmówić nie można, jeśli on nie jest przygotowany do przyjęcia nauki. W najlepszym razie nieudolne dziecko chwytą same dźwięki wyrazowe, albo skłania się do wykonywania form zewnętrznych, skąd zarówno oświecenie umysłowe jak i moralne udoskonalenie niewielkie korzyści odnosi.

Wobec tych spostrzeżeń, na polu teraźniejszego wychowania zebranych, możemy chyba śmiało mówić o postępie; możemy twierdzić, iż pedagogika starsza grzeszyła nieustannie jednostronnością. Stawiano sobie bowiem jeden cel i, aby go osiągnąć, poświęcono wszystkie inne cele; używano zawsze jednych i tych samych środków wychowawczych; stosowano jedną metodę. Ten niedostatek był nieuchronnym jednak, zważywszy, iż nauka o człowieku była w pieluchach.

Nie myślimy robić jakichś wyrzutów pedagogom przeszłości; konstatujemy tylko fakt, że prawu postępu stało się zadosyć. Wyrzut zaś i nagana dadzą się stosować do tych, którzy grzeszą nieposłuszeństwem dzisiaj jeszcze względem rzeczonoego prawa. Ci bowiem, którzy popełniali błędy niegdyś, już przez to samo torowali drogę postępowi; ale ci, którzy stary błąd uprawiają i krzewią, czynić to mogą jedynie przez uboczne tendencje, poświęcając wychowawcze interesa dla stronniczych uprzedzeń.

Opierając się na powyższem przedstawieniu rzeczy, możemy poniekąd sprawiedliwie wnosić, jaką będzie bliska przyszłość wychowania, co tu

przedstawiamy aforystycznie i zgodnie z dążeniami nowożytnych pedagogów. (Porównaj: J. M. Guardia *L'éducation dans l'école libre*). Szkoła przede wszystkim stanie się instytucją wolną i niezależną od wszelkich wpływów zewnętrznych. Jej zarząd cały będzie w rękach uzdolnionych pedagogów, którzy swobody tej użyją na korzyść wychowawczych celów i nieustannych reform ku lepszemu. Tylko pod tym warunkiem może być mowa o dobrym wyborze członków ciała wychowującego i nauczającego, o ścisłym przestrzeganiu sposobów oraz metod, o wychowaniu idącym od wewnątrz młodego człowieka, nie zaś polegającym na zewnętrznej rutynie.

Wszelki przymus zostanie usunięty z wychowania, a miejsce kar oraz nagród zastąpi uczucie odpowiedzialności moralnej oraz obowiązku. Jeśli to raz postawione zostanie poważnie, praktyka pedagogiczna znajdzie sobie drogi odpowiednie. W ten bowiem tylko sposób można będzie oddawać ze szkoły społeczeństwu użytecznych i dzielnych obywateli.

Wychowanie pozbędzie się wszelkiego dyletantyzmu. Wychowywać dzieci i pisać o wychowaniu będą tylko ludzie zupełnie przygotowani do zawodu i jedynie temu zawodowi oddani.

Materyalne położenie nauczyciela będzie dostatnie, a praca nie będzie go przeciążała tak, iżby pozbawiony został możności dalszego doskonalenia się.

Nauczanie będzie się rozpoczynało w języku ojczystym, a obce języki będą nauczane wtedy dopiero, kiedy młody człowiek należycie dojrzeje pod względem umysłowym. W ten sposób znikną francuzkie, niemieckie i angielskie papugi, a wykształcą się ludzie rozumni, myślący i mówiący własnym językiem przede wszystkim, a następnie cudzoziemskimi.

Nauka religii reprezentowana będzie nie przez teologa, ale przez pedagoga i nie w kierunku wyznaniowym, t. j. rozszczepiającym ludzi, ale w kierunku bratającym i jednoczącym ich pod hasłem nieustannego moralnego doskonalenia się według ideału, jaki ludzkość pielęgnuje o bóstwie. (Porów. Dr. Dittes *Religiöse Erziehung*). Wiedza przyrodnicza zajmie w szkole godne siebie stanowisko, tak iż w szkole ludowej prawdziwy patriotyzm wesprze się na poznaniu krajowej przyrody. W szkołach średnich wykład nauk przyrodniczych będzie zdążał do dania pojęcia o przyrodzie jako jednej całości ożywionej i kierowanej przez siły wewnętrzne; przyszły wychowanec będzie pojmował stosunek swój do przyrody, jako wspólnej ojczyzny wszystkich ludzi, w której być obcym przynosi człowiekowi wstyd i jest dla niego szkodliwe.

Nauka języków starożytnych ograniczy się do gruntownego rozumienia autorów greckich i rzymskich, zaniechane zaś zostanie nieprodukcyjne marnowanie czasu nad rozmaitemi extemporaliami.

Wykład historii obejmie w sobie naukę o budowie i organizacyi państw, oraz społeczeństw, a prowadzony będzie z uwzględnieniem nieustannem geografii i ziemioznawstwa wogóle; przyczem należyście uwzględniona zostanie historia umiejętności, sztuki i wynalazków.

Przy nauce języków nowożytnych zadawane będą uczniom wypracowania w takich tylko kwestyach, które uczniowie najgruntowniej rozumieją, co stanowczo mocno zredukuje dzisiejszą literacką blagę.

Żadna szkoła nie będzie zaniedbywała ćwiczeń ciała i sanitarnych względów. Zakłady więc gimnastyczne powstaną wszędzie, a gimnastyka będzie figurowała na planach obok innych zajęć szkolnych.

Wychowanie elementarne albo ludowe będzie mniej polegało na nauce czytania oraz pisania, a głównie na rozwinięciu umysłu człowieka, na wytworzeniu charakteru oraz samodzielności.

Podczas wszelkich egzaminów nauczyciele, pragnący wyrozumieć stopień umysłowego rozwoju ucznia, nie będą wyszukiwali tego, czego uczeń nie umie, ale ocenę swoją oprą na tem, czego on się rzeczywiście nauczył.

Serdeczny atoli, szczerzy stosunek wychowawców z wychowanymi, obcowanie, polegające na takcie z jednej strony, a na szacunku z drugiej, odda wychowaniu przyszłych pokoleń największą usługę. Aby się temu zadożyć stało, powstaną liczne, dobrze urządzone i mądrze kierowane nauczycielskie seminaria.

Ale najgłówniej wszyscy pedagogowie, którym honor i szczęście ludzkości leży na sercu, oczekują urzędu elementarnej, powszechnej szkoły, gdzie będzie miało miejsce ostateczne zrównanie ludzi, bez względu na stan, majątek, wyznanie lub płeć.

Adolf Dygasiński.

SPÓR O NAUKI PRZYRODZONE W SZKOLE.

I.

Znana bajeczka o Stańczyku opowiada, że ukazawszy się na rynku krakowskim z twarzą owiazaną, dowiódł, że lekarzy jest więcej, aniżeli ludzi jakiegokolwiek innego zawodu.

Gdyby dziś jeszcze Stańczyk tegoż samego chciał bronić twierdzenia, nie wiem, czyby mu tak łatwo przyszło zakład wygrać, jak przed trzystu laty; nie dla tego bynajmniej, iżby zastęp owych niepowołanych lekarzy miał się zmniejszyć, ale że od owego czasu przybyło obficie polityków i ekonomistów, a radców pedagogicznych, którzy tak łatwo umieją prawić, jak i czego uczyć należy, namnożyło się chyba bez liku.

Byłoby to wszakże istotną niesprawiedliwością, gdybyśmy na bujny ten rozrost niepowołanych pedagogów sarkać chcieli, lub uważali go za jakiś objaw zabawny. Jeżeli po wszystkie czasy tak licznie występował ów ród lekarzy Stańczykowych, to dla tego, że sprawy zdrowia najbliżej człowieka obchodzą i na pierwszym planie warunków bytu jego się mieszczą; namnożenie się tedy pedagogów jest niewątpliwą wskazówką, że społeczeństwo zdołało już ocenić ważność sprawy wychowania i że ją stawia w rzędzie najpilniejszych zadań. Znaczenie jej łatwiej może, niż gdziekolwiek bądź indziej, zrozumieć można było u nas, gdzie rozwój i upadek szkolnictwa szedł zawsze równomiernie z tętnem ogólnej pomyślności kraju.

Nie wzbraniajmyż tedy ludziom i o medycynie i o pedagogice prawić dowoli, pod jednym wszakże warunkiem, — niech rozumieją, o czym chcą

prawić. Każdy lekarz aż nadto wie dobrze, jak męczącą jest rozmowa z człowiekiem, który ani o czynnościach organizmu, ani o istocie chorób pojęcia nie ma żadnego; i dobrze, gdy na rozmowie tylko się kończy: statystyka zaledwie mogłaby powiedzieć, ile zagłady szerzy nieumiejętne leczenie felczerów i szarlatanów.

Choć nie tak wyraźnie, nie lepiej ma się rzecz i z pedagogiką; podobnież nieudolne rozprawy, także same rady, nieoparte zgola na znajomości celów nauczania i wartości pedagogicznej wykładanych nauk.

W krajach nawet, gdzie wychowanie publiczne największej doznaje pieczy i gdzie najlepiej jest uorganizowane, szkolnictwa zgola za doskonałe, za odpowiednie potrzebom obecnym społeczeństwa uważać nie można; okazuje się to już w ciągłych nawoływaniach o reformę szkół i w częściowych usiłowaniach o jej przeprowadzenie.

W obec powszechnego tego prądu nauki przyrodzone, powołując się na wysoki swój rozwój teoretyczny, na doniosłość olbrzymią swych zastosowań praktycznych, na ów górujący wpływ wreszcie, jaki wywierają na wszystkie dążenia czasów naszych, domagają się godnego siebie stanowiska w szkole. I znalazły też zarówno gorących stronników, coby pragnęły cały system nauczania na podstawie ich oprzeć, jak i nieprzyjaciół nieprzejednanych, którzyby radzi zgola im wstępu do szkoły odmówić.

Wprawdzie nie są one w szkole żadną zgola nowością; już ustawa Komisji Edukacyjnej w dosyć obszernym zakresie zamieściła je w rzędzie przedmiotów szkolnych, i dopóki szkoły nasze pod wpływem pamiętnej tej ustawy pozostawały, nauki przyrodzone zawsze w planie ich miejsce znajdowały. Charakterystycznym jest, że ustawa Komisji Edukacyjnej zaleca nauczycielom przy wykładzie odczytywanie odpowiednich ustępów z pisa-rzów starożytnych; wskazuje to, że nauki przyrodzone stopniowo tylko zdobywały sobie niezależność, sprawa ich wszakże traktowaną była spokojnie, obojętnie. Gorączkowość dopiero, która w ostatnich czasach całem życiem społecznem ovladnęła, wdarła się i w dziedzinę pedagogiki i doprowadziła do namiętnego traktowania jej zadań, a pytania, co dawno już wydawały się rozjaśnione i rozstrzygnięte, poruszono na nowo i zamącono. Medycyna wykazuje w pokoleniu naszym nadmierny rozrost chorób nerwowych; możnaby mniemać, że nerwowość ta, drażliwość osobiwa z jednostek przeszła na społeczeństwa całe. Stan ten rozdrażnienia u nas silniej niż gdzie indziej jest posunięty: niehygieniczne warunki bytu, powietrze przytłumione, wzmagają wogóle stan chorobliwy.

Zarzuty stawiane wprowadzeniu nauk przyrodzonych dwojakiej są natury; jedne podnoszą się ze stanowiska właściwie pedagogicznego, inne ze względów, któreby można nazwać względami ocalenia publicznego. Rozpatrzmy je jedno i drugie.

II.

Lat temu kilkanaście zalecano gorąco społeczeństwu naszemu zwrót do nauk przyrodzonych; zachwalano je wszakże niezbyt zręcznie. Przedstawiano je jako naukę faktów, jako wiedzę istotną, w przeciwstawieniu do nauk luźnych, wiotkich, jakby treści pozbawionych. Fakta tylko, głoszone, posiadają cenność, po nie tylko schylać się warto, one tylko umysł nasz bogacą i one tylko praktycznie zastosować się dadzą.

Ale i ci także, co w imię najwালniejszych zasad pedagogicznych wstępu naukom przyrodzonym do szkoły bronią, tenże sam nóż obosieczny przeciw nim zwracają. Nie chcą, nie mogą oni dopuścić do szkoły przedmiotu, który umiejętność całą zasadza na gromadzeniu wiadomości, który ma na celu jedynie obładowywanie umysłu wychowanka faktami, szczegółami, a do myślenia go nie nakłania i władz jego rozumowych nie wyrabia.

Zarzut to ciężki, i byłby niewątpliwie stanowczym, gdyby był słusznym. Fakta bowiem nigdy nie stanowią nauki, choćby zasób ich był najobfitszym; gdyby umiejętność nasza polegać miała jedynie na skrzętnem notowaniu i zaciąganiu do roczników wiedzy szczegółów nowo poznawanych, to najdoskonalszą jej formą byłaby encyklopedia alfabetyczna, bo ta uwalniałaby nawet pamięć od pracy; w razie potrzeby fakt każdy dawałby się bez zmudy odszukać, a stopień wiedzy każdego oceniałby się według rozmiarów posiadanej przezeń encyklopedyi. Istotny wszakże rozwój nauki polega nie na ilościowym jej zasobie, ale na tem, jak ona opanowała swym przedmiotem, jak dalece w wewnętrzną jego istotę wniknęła i ile posunęła się w zdobyciu ogólnych praw, zjawiskami rządzących.

I nauczanie też każde nie może mieć na celu obładowywanie umysłu wychowanka zasobem szczegółów i faktów, ale ma ono na oku właściwe zastosowanie metody nauki do rozbudzenia i rozwinięcia władz umysłowych ucznia; nie o sam materiał tu idzie, ale raczej o gmach z materiału tego zbudowany. Nie to bowiem, co wiemy, ale jak wiemy, stanowi umysłową posiadłość naszą, nad którą nie panuje przygoda, której nie zniszczy czas, nieprzyjaciel srogi naszych skarbów umysłowych.

Nieporozumienie to jest następstwem błędnego pojmowania nazwy metody doświadczalnej, która każe napozór przypuszczać, że praca doświadczalna wypełnia od początku do końca każde badanie umiejętne. Metoda doświadczalna jest rzeczywiście drogą obserwacji i doświadczeń, jest metodą poznawania rzeczy z faktów zbieranych drogą dostrzegania, ale fakta nie wypełniają całego badania; są one podstawą, są i uwieńczeniem gmachu, ale nie jego wiązaniem, są rzeczywiście alfą i omegą, ale nie całym alfabetem, którego do czytania w księdze przyrody używamy.

Początkiem tym doświadczalnym różnią się nauki nowoczesne od nauk znanych w starożytności i wiekach średnich, które się na podstawie dyalektycznego organonu Arystotelesa wyrabiały; zwrót ku doświadczeniu sprowadził nauki na grunt realny, rzetelny, dał im treść istotną. Dawna sylogistyczna metoda Arystotelesowa uczyła łączyć między sobą pojęcia już gotowe, ale nie wskazywała, jak się nowe pojęcia tworzą i odkrywają. Rozwój wszakże istotny polega nie na przedstawianiu w postaci coraz odmiennych wniosków tego, co już wiemy, ale na zdobywaniu wiadomości nowych; tu trzeba było drogi nie dowodzenia rzeczy znanych, ale odkrywania i wynajdywania nieznanych, — a tą właśnie jest metoda doświadczalna, czyli raczej i ogólniej indukcyjna. Była ona jakby zasłoną przed wzrokiem ludzkim zakryta, a po jej zdarciu ukazała się droga otwarta i do pomyślnego celu wiodąca. Odtąd datuje się już ciągły, nieprzerwany postęp wiedzy.

Badanie przyrodnicze przeto rozpoczyna się od rozpatrywania, od zbierania szczegółów drogą dostrzegania i doświadczenia, — dostrzeganie jest więcej bierne, doświadczenie czynne; doświadczenie bowiem jestto wywołanie umysłne zjawiska w warunkach do obserwacji najkorzystniejszych. Zadaniem indukcji jest wyprowadzenie z tak poznanych faktów pojęć, praw ogólnych; doświadczenie przeto jest jedynie początkiem indukcji, która się przy niem zatrzymać nie może, ale wydobyć ma z niego prawa, któremi się zjawiska objaśniają. Indukcyjna jestto droga, za pomocą której przechodzimy od szczegółów do ogółu, od części do całości, od zjawisk do praw, od dostrzeżeń do pojęć. Prosty więc zbiór, zestawienie doświadczeń i faktów nie jest jeszcze indukcyjną, tylko jej początkiem; fakta są znane, ale są jeszcze odosobnione i niepołączone, dopóki nie zostaną związane zasadą uogólniającą; posiadamy perły, ale aby je zesześcić, trzeba je na sznur nawlec.

Pojęcie to ogólne nie mieści się w zjawiskach, lecz winno być przez rozum wyprowadzone; przez liczne przypuszczenia przebiegać musi umysł,

zanim natrafi na pojęcie istotne, a z różnych możliwości wybierze stosowną pomysłowość, ostrożność, troskliwość, gotowość do odrzucenia przypuszczeń, skoro się w czemkolwiek z faktami nie zgadzają. — zaledwie podolać mogą indukcji, wydobyć praw ogólnych ze szczegółów poznanych.

Naukę indukcyjną porównywa Bacon do pracy pszczoły, która z kwiatów pól i ogrodów zbiera materiał, ale przerabia go własną swą siłą; i nauka musi przedewszystkiem materiał swój zbierać, a następnie rozumem go przerobić, abysmy go pojąć mogli.

A nietylko w rozporządzaniu zebrany materiałem zachowuje rozum tak wybitne znaczenie, — prowadzi on i samą obserwację i doświadczeniem kieruje. Zwykle dostrzeganie, doświadczenie pospolite, które jest niejako własnością i dziedzictwem całej ludzkości, wywołało zapewne pierwsze rozbudzenie myśli naukowej, ale to niemoże stanowić podstawy badania indukcyjnego, które wymaga doświadczenia umiejętnego i pewnego; w dawniejszej to filozofii, mówi Bacon, postępowano z doświadczeniem jak w państwie, gdzie działania polityczne przedsiębiorą się nie według listów i rad wiarogodnych posłów, ale według pogłosek miejskich; dostrzeżenia niejasne, zawile, prowadzić mogą jedynie do pojęć rzekomych, błędnych, dla tego też doświadczenia, na których oprzećby się można, winny być pewne. Doświadczenie pospolite jest jedynie macaniem w ciemną noc dla znalezienia drogi, stosowniejsza wszakże czekać dnia lub latarnię zapalić. Wszystkie nasze wrażenia, zmysłowe i duchowe, noszą piętno umysłu obserwatora, a zmysły nasze są chwiejne, słabe i wsparte być muszą rozumem; on to rozpala pochodnię i rozjaśnia noc nas otaczającą. On obmyśla doświadczenia według celu założonego, według pytania, na które mają one dać odpowiedź, wynajduje pomocnicze narzędzia i przyrządy.

Z należycie tylko prowadzonych doświadczeń indukcja wysnuwa prawa natury, a według tego postępowania porównywa Bacon gmach nauki do piramidy, której podstawę stanowi historia i doświadczenie, której wyższe piętra zajmują prawa i przyczyny coraz ogólniejsze, a na której wierzchołku występuje na koniec najwyższe prawo natury. Człowiek nie znajduje się na szczycie tej piramidy, owszem stanowisko jego przypada u jej spodu; lotne skrzydła wyobraźni, zuchwałe skoki spekulacji nie powiodły go na ten szczyt upragniony; pozostała tylko droga powolna i mozolna stopniowego wstępowania przez wszystkie piętra pośrednie, droga skromna, ale bezpieczna i pewna. Trzywiekowe usiłowania wydały plon obfit-

szy zapewne, niż mogli o tem roić wielcy przewodnicy, co pierwsi na nią stąpili.

W istocie, drogi tej naukowej nie można porównać lepiej, jak do takiego wstępowania na górę, na piramidę. Ale posuwając się coraz wyżej, patrzmy nietylko na cel u góry nam przyświecający; nie znajdujemy się na szczycie, na który indukcja ma nas wprowadzić, ale gdziekolwiek się znajdujemy, na ilekolwiek postąpimy, zwracamy się wstecz i obejmujemy wzrokiem drogę przebytą. O ileż obszerniejszy przedstawia się nam wtedy widok!

Wdrapując się mozolnie w górę, nie mogliśmy się rozglądać na strony, już to że okolice te zakryte były przed nami, już że umyślnie odwracaliśmy wzrok, aby nie rozrywać uwagi i nie zbić się z obranej ścieżki.

Z góry dopiero wzrok obejmuje całą okolicę, dostrzega tysiączne szczegóły, które nam uchodziły, poznaje liczne drogi, któremi schodzić można. Zstępujemy niemi już bezpieczniej i śmiej, widzimy, że wszystkie schodzą się u punktu, do któregośmy doszli, i wszystkie z niego wyprowadzają. Jestto droga wręcz przeciwna, przejście od ogółu do szczegółów, od pojęć do faktów, od praw do zjawisk. Jestto metoda filozofów, a umysłowi ludzkiemu tak ponętna, że zespoliwszy się z nią u samego zarania wiedzy, po tysiącoleciach zaledwie usiłowań poznał, że po manowcach błędzi, że, aby z góry zstępować, trzeba się na nią najpierw wdrzeć, że dedukcję winna zawsze indukcja poprzedzać. Nauki przyrodzone bynajmniej się dedukcji nie wyrzekają, posilkują się nią również gorliwie, jak każda inna gałąź wiedzy, ale używają jej wtedy dopiero, gdy indukcja wzniosła je na wysokość, z której już obszar pewien objąć mogą.

A właśnie ta droga powrotna, przejście do szczegółów, stanowi dopiero potwierdzenie indukcji; jeżeli pojęcia i prawa z doświadczeń otrzymane są słuszne, to rzetelnemi też winny być wszystkie wnioski, wysnute z tak zdobytej zasady ogólnej. I tu znowu przybywa w pomoc doświadczenie, ale w charakterze zgoła odmiennym; nie służy ono za punkt wyjścia badaniu, ale ma być potwierdzeniem wniosku wyprowadzonego z osiągniętej już zasady; nie pytamy się tu przyrody, jak przebiega nieznane nam zjawisko, ale pytamy się, czy zachodzi w niej zjawisko, które przewidujemy; jeżeli ono nastąpi, stanowi to o dokładności całej pracy, w przeciwnym razie ciąg rozumowań był błędny i należy go zmienić; tak prowadzone badanie ma przeto samo w sobie źródło oceniania swej rzetelności i dokładności.

Rys ten pobieżny nie może być pełnym obrazem metody przyrodniczej; szło nam tylko o odparcie zarzutu, że nauki przyrodzone są jedynie nagromadzeniem luźnych faktów. Metodę przyrodniczą, doświadczalną, zwykłą indukcyjną nazywać, jest ona wszakże raczej indukcyjno-dedukcyjną, bo istotne badanie postępuje obiema drogami; indukcja prowadzi do zdobycia prawdy, której zakres rozszerza dedukcja, podając zarazem możność jej oceny. Indukcja i dedukcja wiążą się ze sobą na każdym kroku w nauce; nie masz indukcji, któraby nie pragnęła zmienić się w dedukcję, ani nie ma dedukcji, którejby indukcja nie poprzedziła. A skoro dedukcja występuje w nauce wtedy dopiero, gdy ta zdobyła już prawa ogólne, gdy stanęła już na wyższym piętrze piramidy Bakonowej, przeto skalą niejako rozwoju nauki może być stopień używanej przez nią dedukcji. Za pewność zaś dedukcji poręcza pewny, logiczny i ścisły język matematyczny, którym się posługuje, a który już i indukcji potężne oddaje usługi.

Metodzie to swej nauki przyrodzone zawdzięczają i blask swój zewnętrzny, polegający na zastosowaniach praktycznych, które normują sposób życia dzisiejszego pokolenia, i rozkwit swój teoretyczny, którym tak wygórowały nad inne gałęzie wiedzy, że im za wzór służą. Nauczone bowiem tak pomyślnym przykładem, metodę tę przyswoiły, a raczej przyswajają sobie i inne nauki: prawo, historia, lingwistyka, archeologia, etyka poważne na tem polu przedstawiają usiłowania. A lubo nie idzie tu o identyczne stosowanie metod w badaniu natury użytych, to zawsze nauki przyrodzone przedstawiają wzór praktyczny zastosowania ogólnych jej zasad. Dla tego to znajomość ich niezbędną jest obecnie dla każdego, kto się jakimkolwiek badaniom naukowym oddaje, tak jak dawniej wymaganą była znajomość logiki, — i to samo już silnie przemawia za naukami przyrodzonymi w szkole, która sposobić ma do studyów uniwersyteckich.

Przeciw temu pogładowi stronnicy wyłącznego klasycyzmu w gimnazjach znajdują silny napozór argument w zdaniu Liebiga, który żadnego nie przypisywał znaczenia przygotowawczym wiadomościom przyrodniczym, jakie uczniowie jego ze szkół wynosili, byleby dokładnie w językach starożytnych i matematyce wyćwiczni byli. Należy wszakże pamiętać, że za czasów Liebiga metoda szkolna nauk przyrodzonych niedostatecznie jeszcze wyrobioną była, a przy pobieżnem traktowaniu nie mogły one tak korzystnie oddziaływać na umysłowe wyrobienie uczniów, jak przedmioty gruntownie wykładane. Nadto, uwagami powyższymi pragnęliśmy wykazać konieczność oswojenia się z duchem nauk przyrodzonych przez tych, któ-

rzy się innym, a nie przyrodniczym studyom oddać zamierzają. A nawet i co do samychże studentów nauk przyrodzonych niepodobna dziś tak pomiatać owemi wiadomościami przygotowawczymi, któremi Liebig pogardzał; sam rozwój ilościowy tej gałęzi wiedzy stanowi już ciężki dla poczynających szkopał, nieprzygotowany zgoła przyrodnik albo medyk na pierwszych już lekcjach chemii napotyka takie mnóstwo nowych pojęć i wiadomości, że tworzy to w umyśle jego istny chaos, i nie przesadzimy zgoła, jeżeli powiemy, że półrocza przynajmniej potrzeba, aby zrozumiał, jak tej nowej zupełnie dla niego rzeczy uczyć się należy.

Ale na szkołę średnią nie można spoglądać wyłącznie jako na zakład przygotowawczy do uniwersytetu, nauki szkolnej niepodobna rozbierać jedynie jako podstawy dalszych studyów naukowych. Coraz głośniejszym się żądaniem, aby szkoła średnia sama dla siebie cel stanowiła, aby opuszczający ją młodzieniec posiadał należyte wyrobienie umysłowe i zasób wiedzy, odpowiadający wymogom życia społecznego. Rzeczą jest znaną, że zajęcia, a przedewszystkiem nauki, jakim się człowiek oddaje, wybijają piętno i na ogólnym jego sposobie myślenia, a odnosi się to nie tylko do dalszych, wyższych nauk, ale już i zajęcia umysłowe początkowe ślady pewne pozostawiają. Każda zapewne nauka wprawia umysł do ścisłego, logicznego rozumowania, ale tylko nauki przyrodzone nakłonić go mogą do opierania wszelkiego rozumowania na podstawie faktycznej, pewnej i znanej, i nazwyczaj do istotnej rozważi. Człowieka bowiem wtedy tylko rozważym nazwać można, jeżeli przedewszystkiem umie okoliczność daną należyście rozpatrzyć i dane zebrać, jeżeli dalej z danego przypadku wyprowadzić umie prawo ogólne i na koniec wysnuć ztąd należyte wnioski, — a cały ten przebieg przedstawia właśnie trzy te stopnie, któreśmy w badaniu przyrodniczym zaznaczyli, — obserwację, indukcję i dedukcję. Aż na zbyt wszakże pochopni jesteśmy do uciekania się wyłącznie tylko do tej trzeciej czynności umysłowej, do budowania gmachów w powietrzu lub na gruncie chwiejnym, które podmuch najłżejszy wywraca. Ztąd to właśnie ta obfitość lekarzy Stańczykowych, którym ani na myśl nie przyjdzie, że przed udzieleniem porady trzeba przedewszystkiem objawy chorobne zbadać i na ich zasadzie źródło choroby wysledzić. A nie tylko w drobnym tym wypadku kardynalny ten błąd myślenia występuje; napotykamy go w rozprawach i całych książkach, o których powiedzieć można: słowa, nie prócz słów; a za ledwie przypomnieć potrzeba, ile to genialnych nawet systemów filozoficznych dla braku silnej podstawy runęło od słabych pocisków.

Z pośród narodów europejskich u Anglików niewątpliwie występuje najwyżej rozwinięta zdolność myślenia indukcyjnego, a objawia się to zarówno w pracach ich filozofów, jak w czynach ich politycznych i sprawach życia powszedniego, i dla tego to naród ten trzeźwym nazywamy. Niepodobna zaprzeczyć, że do takiego trzeźwego, rozważnego na rzeczy zapatrywania się młodzież wychowywać należy, a najpewniejszą po temu drogę przedstawiają nauki przyrodzone, które tę właśnie metodę najlepiej wyrobiły i z nią się zespoliły. Metoda, nigdy rzeczy z oka niespuszczająca, najskuteczniej walczyć może z matactwem, w którym dużo słów, a mało rzeczy.

III.

Dotąd zajmowała nas jedynie metoda, jakkolwiek bowiem jest ona formą nauki tylko, to wszakże w nauczaniu, gdzie przedewszystkiem o formowanie umysłu, o rozwój władz jego idzie, metoda przeważne ma znaczenie; niemniej jednak i ogólny charakter nauki, którą się zajmujemy, na kierunek nasz myślenia oddziałuje; charakter ten nauki jest wynikiem zarówno jej treści, jak i stopnia jej rozwoju. Najwybitniejszą taką cechą nauk przyrodzonych jest najdokładniejsza prawidłowość, bezpośrednia zależność skutku od przyczyny, najzupełniejsza zgodność zjawisk z prawami. Zasada ta prawidłowości stanowi obecnie podstawę wszystkich poglądów naszych na przyrodę, a ogólne o niej pojęcie przeszło już do świadomości powszechnej, wyrabiała się wszakże ona zwolna i długo, w miarę, jak nauka zdobywała coraz większą liczbę praw, jak coraz lepiej rozpatrywała się w ogólnem życiu przyrody, im więcej umiała wywołać zjawisk w przewidywanych z góry warunkach. Podobnie i umysł każdego człowieka zwolna tylko dochodzi do istotnego zrozumienia tej zasady, do zupełnego oswojenia się z tem pojęciem niezbędnej konieczności, rządzącej wszelkimi objawami świata materialnego. A jak w nauce jest ono źródłem wszelkich badań i dociekań, tak też, skoro się w umysł już wdroży, utrzymuje go w ciągłym zajęciu, pobudza go do pracy, przedstawia mu jasno istotne zadanie nauki: ono to uczy człowieka dopatrywać ładu i składu wśród zawiłości pozornych, staje się potężnym bodźcem rozważań, kierownikiem życia praktycznego.

Uwagi te o wpływie nauk przyrodzonych na kierunek myślenia usprawiedliwiają się i oddziaływaniem ich na inne gałęzie wiedzy ludzkiej. Jeżeli dziś dostrzegamy prawidłowość i konieczność tam, gdzie niedawno

jeszcze widziano działanie przypadku i samowoli, to narozbudzenie poglądu tego wpłynęło niewątpliwie przykład i rozwój nauk przyrodzonych.

A gdybyśmy tu od tego rozpatrywania się w zarysach ogólnych przejść mogli do rozejrzenia się w szczegółach, jawniej jeszcze wystąpiłoby to oddziaływanie przyrodoznawstwa na inne nauki. Dosyć nam wszakże odwołać się do walnego prawa zachowania czyli niezniszczalności materii i siły, do zasady wzajemnego związku i jedności sił przyrody, do owej głośnej nareszcie teorii stopniowego rozwoju i doskonalenia się tworów: ktokolwiek choćby pobieżnie śledzi ruch umysłowy naszych czasów, wie dobrze, jak silnie i ożywczo prawdy te wpłynęły zarówno na filozofię jak i nauki społeczne. Jednakże drogi i wspólne hasła zbliżyły między sobą rozpierchłe gałęzie wiedzy, których, mimo wszelkich usiłowań, filozofia idealistyczna zjednoczyć nie zdołała i które, owszem, pod jej przewodem doszły do rozbratu zupełnego, przypominającego niemal czasy średniowieczne, gdy przyroda uległa potępieniu i stanowiła zaprzeczenie i zagładę ducha, a świat materialny uważano za niegodny badania. Pogląd idealistyczny nie zdołał wytworzyć ogólnej zasady, obejmującej zarówno materialne i duchowe objawy świata; a to już samo okazuje niemoc jego i uczy, dla czego ustąpić musiał zapatrywaniu się przyrodniczemu na wszelkie zjawiska świata. Dlatego też obowiązkowe niegdyś słuchanie kursów filozofii przez wszystkich studentów uniwersytetu coraz mniejszą posiada wagę, a natomiast pracujący w różnych obszarach nauki coraz silniej czują potrzebę przyswojenia sobie wiedzy przyrodniczej.

Niepodobna nam też tu pominąć i innego jeszcze dobroczynnego wpływu, jaki nauki przyrodzone wywierają na rozwijający się umysł wychowanka: więcej, aniżeli jakikolwiek inny przedmiot szkolny, przyczyniają się one do rozbudzenia samodzielności. Zapewne, i napisanie wypracowania stylowego i rozwiązanie zadania matematycznego zmusza ucznia do pokonywania trudności, powoduje zadowolenie i rozbudza wiarę we własne siły; ale zawsze opracowuje on tylko tematy zadane przez nauczyciela, najczęściej wedle udzielonych przez niego wskazówek, wedle formuł przez naukę wskazanych; do samodzielnego stawiania pytań mało tam jeszcze jest miejsca. W naukach przyrodzonych przedmiot badań sam się uwadze ucznia narzuca, po każdej lekcji ma on obszernie pole do stosowania prawd poznanych do świata otaczającego, wciąż następczą mu się rzeczy i zjawiska, które wytłomaczyć sobie pragnie. Dla przykładu przytoczymy tylko zdeterminowanie rośliny lub dokonanie rozbioru chemi-

cznego; to już nie zadanie odrobione, ale rzecz poznana, zbadana. Mniej niż gdziekolwiek indziej uczeń potrzebuje tu przysięgać na słowa nauczyciela.

IV.

Rozpatrywaliśmy dotąd wartość pedagogiczną nauk przyrodzonych jedynie ze stanowiska nauczania formalnego, którego celem jest ćwiczenie, rozwój i doskonalenie władz umysłowych. Zgadza się chętnie na to, że względ ten ma znaczenie pierwszorzędne, że stanowi on naczelne zadanie szkoły, ale nie możemy go uważać za cel jej wyłączny. Obok nauczania formalnego występuje i merytoryczne, dążące do uposażenia umysłu wychowawca pewnym zasobem wiadomości, a drugie to zadanie szkoły coraz większego nabiera znaczenia, coraz się silniej naprzód wysuwa. Z tego względu rozpatrywana sprawa wychowania wyłącznie klasycznego stanowczo jest przegrana, — młodzieniec, opuszczający gimnazjum klasyczne, przedstawia rażąco, uderzająco brak wiadomości najprostszych, najpotrzebniejszych, i choćbyśmy najwyżej cenili znajomość języków starożytnych i korzyść ćwiczeń gramatycznych, to w każdym razie przychodzi zapytać: czego się on po ośmioletnich męczarniach nauczył? Dotkliwemu temu zarzutowi nauki przyrodzone nie ulegają; nie masz tam lekcji, któraby obszaru wiedzy ucznia nie rozszerzyła, któraby nie rozwinęła widnokręgu jego pojęć. Nikt nam tu nie robi zarzutu, iżbyśmy obstawali za ładowaniem umysłu mnóstwem faktów, bo przecież względ ten na drugorzędem stawiamy miejscu, a przedewszystkiem szło nam o wykazanie właściwie pedagogicznego znaczenia nauk przyrodzonych, ich konieczności ze stanowiska nauczania formalnego; a to niewątpliwie tylko podwyższyć może ich wartość, że wypełnione są treścią realną, to jest rzetelną, istotną.

Choćbyśmy nawet, dzieląc pogląd przestarzały, który dziś bezwarunkowo już utrzymać się nie da, uważać chcieli szkołę średnią jedynie za zakład przygotowawczy do studiów dalszych, to ważność w niej nauk przyrodzonych wypływa już z uwag wyżej przywiedzionych. Konieczność ich wszakże w szkole występuje wyraźniej jeszcze, jeżeli ta odpowiadać winna i własnemu swemu celowi, jeżeli opuszczający ją wychowawcy nie tylko być mają rozwinięci umysłowo, ale wychodzić winni zarazem wykształceni i opatrzeni zasobem wiedzy, któryby stanowił pewne przynajmniej przygotowanie do różnych zawodów życia dzisiejszego.

Wykształcenie ogólne cennym niewątpliwie jest nabytkiem: pozwala nam korzystać ze zdobyczy umysłowych człowieka, czyni nas uczestnikami ruchu intelektualnego, całemu życiu powab nadaje; ale również rzeczą jest niewątpliwą, że wykształcenie, o które ogół się ubiega, które ogół ceni, zgola na nazwę ogólnego nie zasługuje. Pomijając już, że najczęściej pozorem jest tylko, czczym blichтром zaledwie, to i tam, gdzie więcej odszukać w niem można treści, dziwnie jest lekkim, powiewnym; sztuka, teatr, lżejsze rodzaje literatury, oto, co je wypełnia i co się pospolicie ceni, co jest potrzebne do rozumienia literatury bieżącej, do prowadzenia rozmowy w warstwach wykształconych; osobliwy niedostatek balastu naukowego wszędzie uderza. Nie chcę twierdzić, iżby się dobrze działo ze znajomością historii, ale brak wiedzy przyrodniczej jest istotnie uderzający. W czasach, które cechują się rozkwitem nauk przyrodzonych, rzadko kto troszczy się o zapoznanie z najprostszymi ich zasadami, z drogami, którymi umysł człowieka dąży do zdobycia prawdy, a obojętność tę rozbudza zaledwie rozgłos o wynalazku, który się do bezpośrednich zastosowań praktycznych nadaje. Przekręcenie jakiegoś wyrazu cudzoziemskiego, nieznaną bohatery jakiegoś utworu poetycznego wystarcza do ośmieszenia człowieka; nieznaną najelementarniejszych objawów i praw przyrody nie razi nikogo.

Przy takim niedostatku wiedzy realnej, przy takim jej lekceważeniu, nie może być mowy o wykształceniu ogólnym, pomimo wszelkich jego kwiecistych i błyskotliwych pozorów, a pod wpływem szkół czysto klasycznych daje się nawet u nas pod tym względem dostrzegać silne obniżanie poziomu.

Obok sprawy wykształcenia ogólnego mieszczą się i względy praktyczne. Niewątpliwie, dla przeważnej liczby tych, co się wprowadzenia nauk przyrodzonych do szkoły domagają, względy te mają główne, najczęściej jedyne tylko znaczenie; ogół bowiem rozumie praktyczne tylko, namacalne rezultaty szkoły, które bezpośrednio zrealizować się dadzą. Ale właśnie te same korzyści praktyczne owych nauk stanowią przedmiot najsilniejszej odrazy dla wielu ich przeciwników, którzy całą chemię np. wyobrażają sobie w formie przepisu na fabrykację szuwaksu. Niestety — nadzieje pierwszych są zawodne, a wstręty drugich nieuzasadnione; natomiast, mówimy, bo, jakkolwiek wychodząc ze stanowiska czysto pedagogicznego, korzyści praktyczne, jakie z nauczania wiedzy przyrodniczej wypłynąć mogą, stawiamy na ostatnim planie, to wszakże niedorzecznością byłoby nimi pogardzać. Ale szkoła ogólna, chociażby w obszernym zakresie uczyła fizyki

i chemii, botaniki i mineralogii, nie może wydać mechanika lub fabrykanta, ogrodnika lub górnika: ani to w celach jej się mieści, ani czasu jej na to starczy. Chociaż tedy nauczanie szkolne nie wytwarza praktyków gotowych, niemniej jednak rzeczą jest niezaprzeczoną, że nauki przyrodzone bliżej się z praktyczną stroną życia wiążą, aniżeli inne przedmioty szkolne, i że rzeczy tej w wykładzie zaniedbywać nie należy. Temu, co bezpośrednio ze szkoły rzuca się na pole techniczne lub rolnicze, choćby szczupły zasób tych wiadomości ułatwi posuwanie się naprzód w nowym zawodzie, pozwoli się oprzeć na podstawie teoretycznej, bez której z podrzędnego stanowiska wybrnąć niesłychanie trudno. A czyż dla przyszłego urzędnika, kupca, adwokata ogólne wiadomości techniczne będą zbyteczne, czyż brak ich każdemu wreszcie człowiekowi nieraz dotkliwie czuć się nie daje? Całe nasze życie upływa wśród zastosowań nauk przyrodzonych, wszystkie udogodnienia, całe polepszenie warunków bytu naszego zawdzięczamy jedynie ich postępowi; a kto jest tak obojętnym, że wszystkie te dobrodziejstwa nauki przyjmuje, nie troszcząc się o ich źródło, to jednak zapomnieć nie może, że on sam prawom przyrody ulega i wszystkie sprawy życiowe wiąże go z otaczającą przyrodą, a higiena, o której tyle się teraz mówi, której znajomość tak się gorąco wszystkim zaleca, jest jedynie jedną ze stosowanych gałęzi ogólnego drzewa wiedzy przyrodniczej.

Niewątpliwe tedy pożytki ze znajomości nauk przyrodzonych płynące przekonywają wielu; ale mówią znów oni: dzieci nasze przeciążone są pracą szkolną, a nadmiar wiedzy, którym umysły ich obciążamy, szkodzi im na zdrowie ich, na rozwój ich fizyczny wpływa; jakim sposobem wpełchnąć tak liczną grupę przedmiotów, które się ogólną nazwą nauk przyrodzonych obejmuje, czyż pod tem przeładowaniem nie pęknie struna i tak już nadmiernie wyprężona? Zarzut ten, zapewne, dotkliwym jest bardzo dla szkoły nowoczesnej, ale nauki przyrodzone razi on najslabiej. Przyroda jakby przemocą narzuca się uwadze ludzkiej od lat najwcześniejszych, ona to budzi pierwsze zaciekawienie dziecka, każdy twór natury, każde zjawisko stanowi zagadkę, której rozwiązanie umysł dziecka posiadać pragnie. Te przeto pierwsze, mimowiedne wrażenia stanowią już materjał, który nauki przyrodzone dalej obrabiać i w umyśle dziecka rozwijać mają. Nasuwają się one tedy uwadze ucznia swobodnie i bez mocołu, nie wymagają sztucznej zachęty i przymusu; jeżeli tylko właściwie są prowadzone, dzieci i dorastająca młodzież słuchają ich chętnie, a nauka ich nie nuży.

Utyskiwania zresztą na nadmiar pracy tyczą się głównie nawału zadań pozaszkolnych, piśmiennych i pamięciowych; tu jednak uczeń już na lekcji korzysta tyle, że w domu niewiele pozostaje do zrobienia; rzecz bowiem sama, okaz, doświadczenie, ożywiające monotonność szkolną, podtrzymują jego uwagę i nie pozwalają jej się rozrywać. Przy wykładach właśnie nauk przyrodzonych uczeń najlepiej nawyka do uwagi i zaczyna pojmować, że winien z każdego wykładu korzystać odnosić, że nauczyciel jest w klasie do nauczania, a nie do zadawania tylko i słuchania lekcji. Uczeń przede wszystkim w samej szkole, a nie po za nią, uczyć się winien; zadanie to najlepiej spełniają właśnie nauki przyrodzone i z tego już choćby względu przypada im prawo obywatelstwa w szkole. Wstęp do niej ułatwia im na koniec osobliwa ich giętkość, w skutek której każda ich gałąź daje się wybornie naginać do każdego wieku, do najrozmaitszego rozwoju umysłowego, zarówno dobrze prowadzić się dają w szkole początkowej jak i w wyższej. Błędnym zgoła jest zwyczaj dawny, uważający historię naturalną za przedmiot właściwy dla klas niższych, a fizykę i chemię ograniczający do klas ostatnich; i jeden i drugi dział nauki równie dobrze wykładanym być może i dzieciom i uczniom starszym i wykładanym być powinien. Wtedy tylko nauki przyrodzone zupełną przyniesić mogą korzystać, gdy podobnie jak inne zasadnicze przedmioty szkolne, nauka języka, matematyka, geografia i historia, przez cały ciąg szkoły traktowane będą. Powiedziano: czegokolwiek uczyć, byleby uczyć dobrze. Zasada ta niewątpliwie słuszną jest o tyle, że czegokolwiek się uczy, należy uczyć dobrze; ale nauki nie są to surogaty, któreby jednakie w pedagogice miały znaczenie. Matematyki nie zastąpi historia, ani geografii gramatyka. I nauki przyrodzone mają właściwe sobie zadanie, którego nie spełni żaden inny przedmiot szkolny; usuwanie ich ze szkoły sprowadza dotkliwe szkody dla wychowanców, a w dalszym ciągu i dla społeczeństwa całego.

V.

Rozbiór wartości pedagogicznej nauk przyrodzonych i ich znaczenia praktycznego wykazuje pożytek i konieczność wprowadzenia ich do szkoły, a społeczeństwa domagają się tego głośno. Sprawa ich wszakże idzie ooporem, zaledwie, że wrót im uchylają, szerokiego wzbraniają im dostępu. Górują nad całym ruchem umysłowym czasów naszych, wybijają na nim swe piętno właściwe, wiążą się z życiem praktycznem, prowadzą za sobą ro-

zwój przemysłu, rozrzutną dłonią sypią dobrodziejstwa, przeobrażają, doskonałą formę życia codziennego; szkoła tylko, która przecież ma być łącznikiem między nauką a życiem, przez którą wiedza z wyżyn swych ma się na ogół przelewać, która ma być rozsądnikiem światłych, pożytecznych obywateli, szkoła tylko usuwa się z pod ich wpływu.

Zdobyły sobie wprawdzie stanowisko przeważne w szkołach realnych, ale tam odgrywają rolę czysto praktyczną, uważane są tam jako źródło chlebobdajne, nie jako materiał pedagogiczny; znajdują tam kryjówkę tylko, nie zaś należyty udział w wychowaniu publicznem, które w pełnym swym blasku w gimnazjum tylko występuje. Szkoła nawet żeńska, w ruchach swych swobodniejsza, dosyć je już szeroko w zakres swój przyjęła, a skutkiem zbiegu okoliczności wytwarza się, u nas przynajmniej, ten dziwaczny stosunek, że w pokoleniu młodem daleko lepszą napotkać można znajomość tych nauk wśród kobiet, aniżeli wśród mężczyzn. Igdyby nie piśmiennictwo popularne, do którego nauki przyrodzone, dzięki nadmienionej już wyżej swej giętkości, szczególnie się nadają, ogół aniby przypuszczał, że tam myśl czyjaś tajniki przyrody przedziera.

Gdy zapytamy o powód tego osobliwego wstępu szkoły do nauk, które świat cały dziś głośno wielbi, to niewątpliwie na pierwszym planie postawić wypadnie — po prostu rutynę.

Dzisiejsze gimnazja nasze sięgają początkiem swym w wieki średnie, w czasy, gdy po długiej, ponurej pomroce umysłowej pragnienie wiedzy zwolna budzić się poczęło. Wiedzy tej trzeba było szukać w ocalonych szczątkach pism greckich i rzymskich; greczyzna i łacina wypełniły tedy szkołę średniowieczną, bo one to tylko powieść mogły do skarbnicy dawnej nauki. Zwrót do języków starożytnych zwiastował epokę rozbudzenia, odrodzenia; łacina i greczyzna stały się znamię postępu. Ale tymczasem życie wartkim rwało się pędem, utorowało sobie nowe szlaki, nauka zerwała krępujące ją więzy starożytne, przyswoiła sobie języki nowe, narodowe, a szkoła, wierna początkowi swemu, zasklepila się w klasycyzmie, nauka języków starożytnych jest dotąd jej głównym przedmiotem, który nawet historję i matematykę jakby z łaski traktuje.

W obronie języków starożytnych pisano bardzo wiele; pomimo to, co do ich znaczenia pedagogicznego taka panuje niejasność, że gdy jedni rządzą nacisk większy kłaść na gramatyczną budowę tych języków, inni za cel główny uważają zapoznanie się z literaturą grecką i rzymską.

Nikt zaprzeczyłby nie chciał zapewne, że gramatyka stanowi bardzo ważny środek kształcący, że oddziaływa silnie na ćwiczenie umysłu. Wielu wprawdzie pedagogów jest zdania, że gramatyka języka ojczystego i innych nowożytnych też same oddać może usługi, co nauczanie języków dawnych; ale przeciw temu znowu da się przytoczyć, że języki żywe nie pozwalają się ująć w formę tak skryzalizowaną, tak ścisłą, jak umarłe; dla nauczania tedy formalnego, dla ćwiczenia, gimnastykowania umysłu przedstawiają wartość znacznie mniejszą. Jakkolwiek tedy zastąpienie łaciny językami nowożytnymi, ze względu na praktyczną tych ostatnich potrzebę, dla ogółu przedstawia powab szczególny, zupełne z nią zerwanie nie byłoby może łatwem, ani pożądanem.

Druga zaleta, z nauczania języków starożytnych wypływająca, polegać ma na korzyści, jaką uczeń odnosi z zapoznawania się z piśmiennictwem dwu najcelniejszych narodów starożytności; poważna ta literatura rozbudza poczucie najwyższych ideałów ludzkości, prowadzi do zrozumienia życia duchowego Greków i Rzymian, którzy byli poprzednikami i mistrzami dzisiejszej naszej kultury; a tem samem umozężnia pojmowanie własnych naszych etycznych i estetycznych poglądów; w tem znaczeniu zwykło się wychowanie klasyczne za jednoznaczne z humanitarnem uważać.

W tym rodzaju wypowiedziano wiele bardzo pięknych słów i wzniosłych myśli; idzie tylko o to, czy rzeczywiście nauczanie greczyzny i łaciny urzeczywistnia nadzieje na niem opierane. Zapewne, że ten tylko nałężycie ocenić zdoła prądy umysłowe własnego swego czasu, komu nie obcem jest życie duchowe pokoleń minionych; prawda i to, że Grecy i Rzymianie byli mistrzami naszymi, ale nie jedynymi mistrzami. Jesteśmy spadkobiercami ich uczuć i myśli, ale i oni byli spadkobiercami narodów, co ich na widowni dziejowej poprzedziły; zajmują oni wspaniałą ustęp dziejów powszechnych, ale ich nie wypełniają całkowicie; tysiącolecia są przed nimi, tysiącolecia nas od nich oddzielają. Dokładne przeto rozumienie przeszłości wymaga znajomości kultury narodów i plemion dawno zamierzonych, których zabytki piśmiennicze dziś dopiero uczymy się wynajdywać i odgadywać, i silniej jeszcze literatury ostatnich kilku stuleci, w ciągu których życie umysłowe mknęło prądem żywszym, jakby dla wynagrodzenia długiego, średniowiecznego uspienia; łacina i greczyzna część tedy tylko wychowania humanitarnego stanowić mogą, ale go nie wypełniają zgoła.

A przytem, zachodzi jeszcze pytanie, czy ściśle, a często przesadnie gramatyczny wykład umozężnia jasne ujęcie treści czytanego ustępu, czy

zwłaszcza pozwala odczuć jego piękno? Czysto wierszy Homera, albo dwieście Wirgila przepracowanych przez rok poprowadzą do istotnego rozumienia tych poetów, czy wreszcie szkolny sposób traktowania literatury starożytnej nie wiedzie do rezultatów wręcz przeciwnych zamierzonemu celowi, i w miejsce zamiłowania niechęć do niej i wstręt budzi? Takby się zdawało z tego, co widzimy wokoło siebie; niewielu zapewne potrafilibyśmy naliczyć takich, co po opuszczeniu szkoły zaglądają jeszcze do książki łacińskiej lub greckiej, a nie wszyscy też, pomimo ośmioletnich bezustannych nad nią mozołów, łatwoby sobie z nią poradzić zdołali. Jeżeli młodzieniec wynosi ze szkoły miłość dla Greków, uwielbienie dla Rzymian, to zawdzięcza to raczej wykładowi ich historyi, aniżeli znajomości ich języków. Jeżeli naprawdę idzie o wzbudzenie zamiłowania do literatury starożytnej, to pewniejszą, zdaje mi się, drogę przedstawiają wzorowe jej przekłady. Słyszymy wprawdzie często, że przekład oryginału nie nastąpi, ale zasada ta ma taką samą wartość, jak mnóstwo innych zdań zdawkowych, któreśmy przywykli od dzieciństwa powtarzać; ci, co je wygłaszają, sądzą chyba, że cała wartość wybitnego pisarza polega tylko na doborze, na grze wyrazów, niepodobnej do oddania w obcym języku.

Gdyby szkoła rzeczywiście umiała w wychowancach swych wzbudzić zamiłowanie do poważnej i pięknej literatury, byłoby to zapewne niemałą jej zasługą w czasach rozwielenia gazetiarstwa, gdy uczniowie pod ławą szkolną czytają już nie romanse zakazane, ale blahe pisemka poranne, co od młodu już przykuwają ich umysł do drobiazgów życia powszedniego, usypiają go zwolna i odstręczają od książek, których czytanie pewnej pracy myśli wymaga.

Rutyna to tedy tylko, powtarzamy, wypełnia plan szkolny łaciną i greczyzną, rutyna rządzi szkołą i tem gorliwiej broni dostępu do niej naukom przyrodzonym, że wprowadzają one żywioł wręcz jej przeciwny, żywioł postępu, ujawniający się w ich szybkim, uderzającym rozwoju. Jeżeli zważymy, jak mało, przynajmniej pod względem pojmowania otaczającego nas świata, postąpiła filozofia abstrakcyjna od Platona i jego poprzedników aż do Hegla i jego następców, dziwić się nie będziemy zastłości wieków minionych, których rozwój umysłowy siedl pod chorągwią tej filozofii. Dzisiejszemu życiu umysłowemu przodują nauki przyrodzone, żywa ich ruchliwość oddziaływa na wszystkie stosunki ludzkie, a pod ich wpływem jeden dziesiątek lat widzi więcej zdobyczy umysłowych i mate-

ryalnych, niż całe wieki poprzednie. Ale żywy ten postęp budzi nieufność, gdzie rutyna włada.

VI.

I inny wzgląd jeszcze wznieca nieprzyjaźń ku naukom przyrodzonym.

Jestto śmiałość, z jaką do celu swego dążą prosto, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo, zuchwałość, z jaką się wdzierają w tajniki przyrody. Zuchwałość ta obraża uczucia tłumu.

Stara to historia. Z pomieszanemi językami rozproszyli się po ziemi potomkowie Noego, gdy dotrzeć zamierzili aż do nieba, by mu tajemnice jego wydrzeć; wieża ich w gruzy runęła. Do skał Kaukazu przykuty, jęczy nieszczęśliwy Prometeusz, rzucony na pastwę sępa, co ciało jego rozdziera; szlachetny dobroczyńca ludzi, sprowadza im ogień z nieba, szerzy między nimi kunszt i umiejętności; ale Jowisz jest mściwy, a grecki nawet lud wyrzeka się mądrości tak niebezpiecznej. A nad polską ziemią zawieszony w przestrzeni pokutuje biedny szlachcic, co własną swą duszę za mądrość zaprzedał dyabelską.

Jak Grek od Prometeusza przyjmuje lud od wiedzy przyrodniczej dary, które mu ona tak sowiec rozrzuca, ale od niej samej trzyma się zdala, broni jej wstępu do skarbu swych pojęć naiwnych.

Pusty nas śmiech porywa, gdy słyszymy, jak to kapłani chińscy brękiem przerażających swych tamtamów odpędzają smoka, co dobroczynne pochłonać chce słońce. Ale tak samo jak bieg ciał niebieskich, tak i ruchy powietrza stałym ulegają prawom, a deszcz i susza nieczułe są na lzy i błagania ludzkie; niestety, i czynności organizmu ludzkiego również niezłomnym i koniecznym ulegają prawom, a wszelkie prośby nasze nie zdolają wrócić zdrowia wycieńczonemu chorobą ciału drogiej nam osoby.

A dokąd światło wiedzy przyrodniczej przenika, pojęcie to prawidłowości objawów natury ustala się w umysłach i ruguje pierwotne, dziecinne poglądy na przyrodę, naiwną wiarę w baśń i cudowność. Ale pojęcia te dawne długo opór idejom stawiają nowym, zanim stanowczo w walce nie ulegną.

VII.

Z innym jednak zastępem nieprzyjaciół sumiennie należy się naukom przyrodzonym porozumieć.

Pokolenie nasze, wołają oni, jest zmateryalizowane, brudny egoizm zagroził w sercach, pogoń za zyskiem przygłusza wszelkie porywy szlachetne, w poniewierkę poszło, co niegdyś wielkiem było i wzniosłem.

Jęki te głoszą wprawdzie często ludzie, co pięknymi słowy kryją myśli swych jałowość i serc swych nędzę; ale są one też często wyrazem boleści nieklamanej.

Prąd ten nazwano zamerykanizowaniem się naszych obyczajów; a choćbyśmy się na nazwę tę nie zgodzili, niemniej jednak istnieniu jego zupełnie zaprzeczyć nie możemy.

Ale wyszukali oni także i przyczynę wszystkiego tego złego, znając źródło tej klęski moralnej.

Nauki to przyrodzone, mówią oni, wygoniły ducha, ubóstwiły materję i siłę, wymyśliły walkę o byt, człowieka od małpy wyprowadziły. Ztąd to wygasła cześć ideału, niski materjalizm w sercach zagroził, siła stanęła przed prawem.

Ludzie ci umieją wszystko tłumaczyć. Anglia gnębi Irlandyę, zagarnęła Indye, chciałaby Wschodem całym zawładnąć. Ale nie znacie może przyczyny tej zaborczości? Oto Newton wymyślił ciążenie powszechne, a zasada ta tak dalece wżarła się w myśl Anglików, że ją w swych działaniach politycznych urzeczywistniają. Nie pojmujemy wprawdzie, dla czego Newton nie mógł urodzić się w Berlinie albo gdzieindziej; ale to zgola nie przeszkadza rozumowaniom jednego z krytyków Darwina.

Możnaby powiedzieć, że we wszystkich tych zestawieniach raczej zbliżenie wyrazów, raczej grę słów, aniżeli głębokość myśli znajdujemy.

Bo przedewszystkiem, czyż w dziejach człowieka dziś poraz pierwszy dopiero napotykamy rozkwit materjalizmu praktycznego, czyż utyskiwań na złość i niegodziwość ludzką nie znajdujemy u pisarzy przeróżnych czasów, gdy o naukach przyrodzonych nie jeszcze nie wiedziano? Czyż powszechniejsze źródło złego nie bije z ogółu naszych stosunków społecznych i ekonomicznych, czemuż tylko nauki przyrodzone przed trybunał swój powołujecie, czyż ekonomia polityczna nie bliżej się wiąże z praktycznym życiem człowieka, czyż nie wykazano błędności wielu jej zasad, co tak długo gospodarstwem społecznem rządziły?

I czyż to od darwinizmu dopiero datuje się walka ta z nauką toczona, czyż nigdy jeszcze zasad jej w imię ocalenia publicznego nie potępiano? Darwinizm to ustęp tylko jeden, to epizod tylko tego długiego sporu, którego początek nad Wisłą się rozegrał. Bo słuchajcie, — ziemia jedynym

była światem w całej przestrzeni, słońce istniało na to, by świeciło jej w dzień, a księżyc z orszakiem gwiazd by cienie rozpraszał; a wszystko jej się kłaniało, dokoła niej się obracało. Bóg ziemię tę umiłował nade wszystko, zstępował na nią osobiście, ulubieńcom swoim się ukazywał. Człowiek pojmował stosunek swój do Stwórcy, był jego dzieckiem ukochanem, nagradzanem lub karanem wedle czynów swoich. I oto jedna książka zepchnęła ziemię z tego stanowiska wyłącznego, wyniosłego; królowa stworzenia stała się drobiazgiem nieznacznym, pyłkiem, którego zatura nie zdołałaby zerwać ogólnej harmonii świata; nie słońce jej służy, ona to sama wraz z szeregiem innych ziem dokoła słońca się toczy, a wśród tych towarzyszek swych nawet do skromniejszych należy. I każda gwiazda jest słońcem i dokoła tych słońc nieprzeliczonych znów krążą zapewne bryły, które o naszej ziemi nic nie wiedzą, jak ona nic o nich nie wie. Co większa, to piękne kryształowe sklepienie nad nami, ta siedziba wybranych, nagroda tych, co tu na dole cierpią, samo to niebo w nic się rozwiało, to efekt optyczny, złudzenie, nie więcej.

Zaiste, nigdy i niczem nie mógł być umysł ludzki silniej wstrząśniętym, ani uczucie jego silniej obrażonem; sądził, że to Bóg się od niego oddala, jakby sieroctwo uczuł w tej niezmierzonej, niepojętej, bezgranicznej przestrzeni. I zdawało się, że pogląd ten zetnie wszelkie moralne podstawy świata ludzkiego, że namiętności rozpasane nie znajdą już tamy, co je dotąd na uwięzi trzymała.

A wszakże sprawy ludzkie dalej poszły zwykłym swym torem, nie przybyło występku, nie ubyło cnoty, taż sama co zawsze pstra gmatwanina barw jasnych i ponurych mroków.

Wobec tych pojęć zasadniczych, poruszonych przez dzieło Kopernika i wielkich jego następców, sama kwestya pochodzenia człowieka wydaje się już sprawą podrzędną. Zdetronizowanie ziemi zepchnęło i jego z naczelnego miejsca, a kto dlań jeszcze odrębne w przyrodzie utrzymać pragnie stanowisko, jest epigonem tylko tych, co ziemię unieruchomić chcieli. Ale jak nauka Kopernika cnoty z ziemi nie wypłoszyła, tak i darwinizm zagłady jej nie sprowadzi. Odwołanie się to do dziejów systematu Kopernikowego jest koniecznem zawsze, gdy idzie o rozproszenie obaw niebezpiecznego wpływu teoryj naukowych.

A czyż nakoniec boleść nasza, czy utyskiwania nasze na materjalizm chwili, na zuchwałość hipotez przyrodniczych zdołają zatrzymać, cofnąć bieg czasu, czyż ocalenia szukać będziemy w pojęciach, co w przeszłości

zatonęły; czyjaż potęga, czyjeż łzy zawrócić je zdołają? Niestety, i poeta nie ma słów pociechy dla biednej dziewczyny, której kochanka zawierucha porwała.

„Wstecz nie płyną wody, rzeki,
„Twój kochanek z Zaporóża
„Nie powróci na wiek wieki.“

Nie pomogą i wątle tamy, któremibyśmy chcieli prąd myśli powstrzymać. Czyż rozprzestrzenianiu się pojęć nowych kres położymy, gdy naukom przyrodzonym wstęp do szkoły zamknijemy, albo gdy krzyknijemy, precz z hipotezą ze szkoły? Hypotezy są celem nauki i bodźcem jej rozwoju. Zrastają się z nauką, w całokształt jej wchodzą. Czyż pomijać będziemy pytania, co to jest światło lub ciepło, jaka to siła rządzi ruchami ciał niebieskich, jak się to buduje cząsteczka związku chemicznego? O ile na drodze tej w szkole posunąć się można, każdy dobry podręcznik nauczy. Gdy hipotezę wytrącimy, zasłonimy cel idealny nauki i pozostawimy jej zaledwie strzępy praktyczne, — na to chyba, aby się młodzież coraz lepiej oswajała z pytaniem, ile jej nauka przyniesie. Ale w tem właśnie streszcza się niebezpieczeństwo materjalizmu. Na błędnej jesteśmy drodze, jeżeli źródło jego w nauce dopatrujemy, boć nauka, dążenie do prawdy, do idealnych, najwyższych celów człowieka należy. Aby być zbawcą ludzkości nie dosyć palcem Darwina wytykać; trzeba mieć odwagę puścić się na wzburzone fale stosunków społecznych i tam przyczyny złego wysondować, tam szukać na nie środków zaradczych.

I sądzę, że rozprzestrzenianie wiedzy przyrodniczej raczej do tych ostatnich, aniżeli do pierwszych zaliczyć wypadnie.

Stanisław Kramsztyk.

O SŁOWIANACH WE WŁOSZECH.

Z nazwą, oznaczającą pewną liczbę ludzi tej samej kategorii, t. j. z nazwą narodu, ludu lub też plemienia, łączymy zwykle wyobrażenia trojakiego gatunku:

1. polityczno-narodowe czyli państwowe.
2. literacko-narodowe czyli narodowe w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.
3. etnograficzne czyli plemienne.

Język mówiony w swych rozmaitych narzeczach i gwarach jest wyrazem oczywistym i naturalnym jedności etnograficznej; język pisany jest przedstawicielem jedności literacko-narodowej; wspólny zaś rząd i jednolity ustrój społeczny, jako też wyrobiony patryotyzm polityczny, nadają pewnej liczbie ludzi cechę tej samej „narodowości“ państwowej.

Tylko co wymienione pojęcia trojakiego gatunku mogą krzyżować się i łączyć się w sposób bardzo rozmaity tak między sobą, jako też z innymi żywiołami większej lub mniejszej doniosłości.

Tak np. wzmiankowaliśmy o uczuciu patryotyzmu, jako o cesze charakterystycznej narodowości państwowej. Ależ uczucie podobne właściwem jest niekiedy jedności literackiej. Co więcej, nawet jedność etnograficzna nie jest pozbawioną pewnego poczucia solidarności gatunku.

Obok patryotyzmu państwowego znajdujemy w niektórych państwach patryotyzmy częściowe różnych narodowości, wchodzących w skład tych

państw. Te patryotyzmy częściowe mogą się doskonale godzić z uczuciem wspólnego patryotyzmu politycznego, a niekiedy nawet go wzmacniać; chociaż z drugiej strony mogą też z nim walczyć mniej lub więcej zacięcie. Podobne wypadki spotykamy w pewnych federacjach ludów, jak np. w Austrii, gdzie uczucie wspólnego patryotyzmu politycznego jest wogóle znacznie słabsze, aniżeli patryotyzmy narodowe różnych ludów, wchodzących w skład tego państwa wielojęzycznego. W Szwajcarii poczucie jedności politycznej przeważa najzupełniej nad patryotyzmami częściowymi różnych narodowości szwajcarskich (narodowości niemieckiej, francuskiej, włoskiej, gryzońskiej).

Niekiedy patryotyzm państwowy chwili obecnej i patryotyzm tradycyjny zburzonej jedności państwowej znajdują się ze sobą w otwartej walce, której mogą położyć koniec albo wzajemne ustępstwa, albo też zasymilowanie słabszej narodowości przez mocniejszą. Nie potrzebujemy szukać daleko przykładów podobnego rodzaju. Tu także należeli np. Grecy, zawojowani przez Turków.

Z powyższego wynika, że we wszystkich kwestiach tego rodzaju należy przedewszystkiem określić, czy pewna liczba indywidualów ludzkich należy do kategorii ogólniejszej dobrowolnie, czy też wbrew własnej woli i wbrew własnym sympatyom. Stosownie do kategorii, można tu odciniować różne stopnie.

1. Co się tyczy jedności politycznej w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, to jest się zmuszonym należeć do niej przez samo urodzenie się w granicach pewnego państwa i tylko przez emigrację można się wyzwolić.

2. Co do „narodowości“ literackiej, znajdującej wyraz dotykający we wspólnym języku piśmiennym, to należenie do niej nie wzbudza w nas wcale uczucia przymusu. Jest to fakt wolnej świadomości narodowej, pod warunkiem naturalnie, ażeby dane indywiduum mogło pod względem moralnym wznieść się aż do poczucia swojej narodowości.

3. Pod względem etnograficznym, sama natura określa należenie do pewnego plemienia. W tym wypadku nie potrzeba wcale poczucia należania do tej lub owej kategorii narodowej, jak również brak zupełnie wszelkiego przymusu. Do całości etnograficznej należy się i nie może się nie należeć po prostu przez samą naturę, bez udziału tak świadomości i wolnej woli, jako też bez udziału przymusu państwowego. Jest się Polakiem, jeżeli się mówi po polsku; jest się Litwinem, jeżeli się mówi po litewsku; jest się Niemcem, jeżeli się mówi po niemiecku, i t. d.

Uczucia polityczne, jako też wyobrażenia o granicach różnych narodowości, nietylko politycznych, ale nawet literackich, mogą się zmieniać w ciągu wieków, stosownie do przypadkowości historycznych, stosownie do wyznań religijnych, do stopnia oświaty i cywilizacji, stosownie nareszcie do środków (centrów) ciężenia politycznego i literackiego (wielkich miast, stolic) i t. d., — gdy tymczasem język mówiony pozostaje zawsze cechą niezmienną i niezaprzeczoną danego plemienia. Można zmienić z biegiem czasu swój język; ale, kiedy się ma język pewnego plemienia, należy się przez to samo do tego plemienia.

Większość mieszkańców Alzacy i Lotaryngii, chociaż należąca do plemienia germańskiego, czuła się pomimo to i zapewne dotychczas się czuje przyciąganą przez Paryż, jako przez wielkie centrum cywilizacji francuskiej. Czuli się oni i czują się dziś jeszcze francuzami, bez względu na właściwości swego narzecza, jako też bez względu na należenie do tego lub owego państwa. A jednakże, przez wzgląd na swój charakter etnograficzny, zachowany niezmiennym w ciągu wieków, byli oni od samego początku Niemcami i są też niemi w chwili obecnej.

Bardziej szczegółowy rozbiór tej nader zawikłanej kwestyi poprowadziłby nas za daleko. Możemy się więc ograniczyć temi kilku uwagami, tem bardziej, że sam tytuł rozprawy ułatwia nasze zadanie, określając z góry, z jakiego stanowiska będziemy mówić „o Słowianach we Włoszech“.

Włochy są państwem jednolitem, znającym pod względem politycznym jedynie tylko Włochów. Językiem szkoły, administracji i literatury jest tam jeden tylko język włoski; pod względem więc narodowo-literackim może być tam mowa także tylko o Włochach, bez względu na to, jakiego narzecza lub też gwary używają oni w życiu potocznym.

Choćby nawet zresztą Włochy były państwem federacyjnym wielojęzycznym z równo uprawnieniem języków literackich, to i tak nie mogłoby być wątpliwości co do stanowiska, z którego mamy mówić o mieszkających we Włoszech Słowianach. Przecież wyraz „Słowianie“ oznacza dotychczas pojęcie czysto naukowe; „panslawizm“ zaś nietylko polityczny, ale nawet literacki jest jeszcze mrzonką, niepodobną do urzeczywistnienia.

Możemy więc mówić o Słowianach we Włoszech jedynie pod względem etnograficznym.

Otóż pod tym właśnie względem państwo włoskie, tak jednolite pod względem politycznym, literackim i artystycznym, przedstawia dość znaczną rozmaitość. Prawda, że i przewaga etnograficzna znajduje się we

Włoszech na stronie Włochów, chociaż zresztą podzielonych na bardzo wiele dialektów, prawie niezrozumiałych jeden dla drugiego. Obok jednak Włochów etnograficznych spotykamy we Włoszech innoplemięnców: z jednej strony inne plemiona romańskie czyli łacińskie, jako to Friulanów czyli Furlanów, oraz Italo-Gallów, pośrednich co do języka między Prowensalczykami i Włochami, z drugiej zaś strony plemiona obce, a mianowicie: Niemców, Albańczyków, Greków, Słowian i t. d.

Słowian spotykamy nie tylko we Włoszech północnych, ale także w południowych. We Włoszech południowych jestto po prostu kolonija serbska (a może serbsko-bułgarska), jak tego dowodzi historia i oczywiście powinowactwo lingwistyczne z Serbami za Adryatykiem. Przeciwnie we Włoszech północnych spotykamy dalszy ciąg Słowian austriackich, których przybycie na ziemię, dziś przez nie zajmowane, gubi się w pomroce wieków ubiegłych.

Rozpocniemy nasz przegląd od Słowian we Włoszech południowych. Stanowią oni, jak już powiedziano, osadę czyli koloniję dość świeżej daty.

Nie odwiedzałem osobiście tych Słowian. W braku więc własnych badań muszę polegać na artykułach p. Makuszewa ¹⁾ i prof. Ascoli ²⁾, którzy byli sami na miejscu i zebrali tam jakie takie dane do charakterystyki tego plemienia. Oprócz drukowanego artykułu prof. Ascoli mogłem także korzystać z jego notat rękopiśmiennych, udzielonych mi przezeń uprzejmie w r. 1873, a zawierających kilka uwag bardzo interesujących i skądinąd nieznanych.

Obaj wzmiankowani uczeni bawili tam tylko poparę dni i zebrane przez nich dane, zwłaszcza co do języków i literatury ludowej, są, zdaje się, bardzo niedokładne.

Kilka mniej więcej obszernych artykułów i wzmianek o Słowianach we Włoszech południowych ogłosił drukiem miejscowi uczeni. Prace ich wylicza p. Makuszew. Do nich mogę dodać znany mi króciutki artykuł Lejeana ³⁾.

¹⁾ О Славянахъ Молизскаго графства въ южной Италиі Викентія Макушева (Записки Императ. Акад. Наукъ. XVIII. 1870).

²⁾ Ascoli, Saggi ed appunti (Politecnico. Milano, marzo 1867).

³⁾ Guillaume Lejean, Les Slaves des Deux-Siciles. (Revue orientale et américaine publiée par L. de Rosny. III. Paris, 1860, pg. 337—340).

Całkiem są nieznane, tak data dokładna przybycia tej kolonii słowiańskiej do Włoch południowych, jako też okoliczności, które mogły spowodować to przesiedlenie się. Jednakże pośrednie wskazówki źródeł historycznych pozwalają robić przypuszczenia mniej lub więcej prawdopodobne.

Zajęcie półwyspu bałkańskiego przez Turków, upadek państwa serbskiego po klęsce na Kosowem Polu w r. 1389 i t. d. zajmowały zapewne ważne miejsce między okolicznościami, które zmusiły pewną część Serbów, a może także Bułgarów, do opuszczenia ziemi rodzinnej i wywędrowania poza Adryatyk.

W r. 1870 było we Włoszech południowych jeszcze około 4500 do 5000 mieszkańców, mówiących narzeczem słowiańskim. Dodawszy jednak do nich mieszkańców wsi sąsiednich, którzy z pewnością pochodzą od przodków Słowian, otrzymamy w przybliżeniu 20,000 mieszkańców pochodzenia słowiańskiego.

Trzy wsie, zamieszkałe obecnie przez Słowian we Włoszech południowych: *Acquaviva Collecroce*, *San Felice Slavo* i *Monte Mitro* leżą około Termoli nad morzem adryatyckim, w powiecie (distretto) Larino, w hrabstwie czyli prowincyi Molise, której stolicą jest Campobasso. Najbliższą rzeką jest Biforno.

Ze zwyczajów, z literatury ludowej i t. d., jednym słowem z tego wszystkiego, co nadaje pewnemu ludowi odrębną cechę i co stanowi jego indywidualność plemienną, u Słowian we Włoszech południowych pozostały tylko nieznaczące szczątki.

Jeden tylko zwyczaj zachowano dość wiernie, a mianowicie obchód uroczystości *Majaja*, w dniu 1-ym maja. Uroczystość ta rozpoczyna się o 6-jej zrana i składa się z następujących obrządków.

Ośmiu mężczyzn, wybranych z pomiędzy najstarszych we wsi, niosą po drzewie, ozdobionem kwiatami, wstążkami i piernikami. Przed nimi kroczy chłopak, przebrany za *Majaja*. Cały jego ubiór od stóp do głowy składa się z gałęzi, liści, kwiatów i wstążek. Jego samego wcale nie widać pod tem przebraniem; pozostawiają mu tylko otwory na oczy. Przy dźwiękach muzyki idą tak do kościoła. *Majaja* zatrzymuje się przed drzwiami kościelnymi. Wychodzi ksiądz, odmawia przed nim modlitwę i udziela mu błogosławieństwa. Wtedy wieśniacy, towarzyszący *Majajowi*, wchodzi do kościoła, ofiarując księdzu co mają najlepszego w tej porze roku, jako to: szparagi, sér, placki, (kołacze) i t. p. Następnie klękają przed ołtarzem, poza którym leżą nasypane dwie kupy prosa i śpiewają modlitwę po włosku (po słowiańsku bo-

wiem nie wolno śpiewać w kościele). Późem wychodzą, mając na czele M a j a, obchodzą z muzyką domy prywatne i życzą tam szczęśliwego lata. Muzykanci siadają na ziemi, inni zaś stają koło nich, na przodzie M a j. Ośmiu starców dzielą się na dwa chóry. Czwerej rozpoczynają śpiew, — po słowiańsku, — a czterej inni im odpowiadają. Śpiewają też wszyscy chórem. Śpiew ten trwa dosyć długo, przy czem M a j od czasu do czasu tańczy. Samo przez się rozumie się, że procesja po domach prywatnych rozpoczyna się od domu s y n d y k a (wójta), jako naczelnika wsi. Obszedłszy wszystkie domy, udają się na poblizki pagórek, gdzie palą m a j (t. j. oryginalny ubiór przebranego za Maja chłopaka), i późnym wieczorem, rozochoceni wracają do domu z pieśniami i z muzyką. Prócz tego ćwiczą się w strzelaniu do celu.

Inny zwyczaj, dosyć interesujący, ma miejsce podczas nocy Bożego Narodzenia. Zapalają wtedy niewielkie wiązki drew przed domami pryncypałów (gospodarzy), narzeczonych, przyjaciół, którzy nawzajem są obowiązani dawać im pić i jeść. Te wiązki drew nazywają smereke (jałowce). Tej samej nocy, w wigilią Bożego Narodzenia, głowa rodziny powinien zapalić tak wielkie polano, jakie tylko może utrzymać i polano to powinno się palić dopóty, dopóki całkiem nie spłonie. Polano to nazywa się b a d n i a k, jak i u innych Serbów. Przez całą tę noc nie gaszą światła i nie sprzątają ze stołów. Wigilia i sam dzień Bożego Narodzenia nazywają się d a n e b o ż j e (dnie boże).

Na Młodzianków (Innocenti), w trzy dni po Bożem Narodzeniu, mężczyźni, starzy i młodzi, mają prawo uderzać dłonią po plecach każdej kobiety, którą spotkają. Jednakże trzeba zauważyć, że włoszianin nie bije pani, t. j. żony szlachcica (galantuomo), gdy tymczasem szlachcie bije swobodnie włosziankę. Mówią tylko, uderzając: „dzisiaj jest dzień Młodzianków“, a kobieta wtedy wcale się nie sprzeciwia. Na Nowy Rok role się zmieniają: kobiety biją, a mężczyźni znoszą rązy bez szemrania. Ten zwyczaj przypomina poniekąd zwyczaj zachowany między innymi w Rosyi. Na Wielkanoc można tu pocałować każdą osobę, byleby tylko przy tym powiedzieć: „Chrystus zmartwychwstał.“

W okolicy, o której mowa, obchodzoną bywa rocznica przybycia Słowian do tego kraju, nie tylko we wsiach pozostałych słowiańskimi do dnia dzisiejszego, ale nawet w S. Giacomo, oddawna zitalianizowanym. S. Giacomo święci ten wypadek w ostatni piątek kwietnia, gdy tymczasem w innych wsiach uroczystość ta ma miejsce w pierwszy piątek maja.

Zupełnie zagiął inny zwyczaj, o którym opowiadał Ascolemu jeden ze starców; starzec zaś ten słyszał o tym zwyczaju od swojej babki, przypominającej go sobie z czasów swej młodości. Na Nowy Rok, w południe, kobiety miejscowe udawały się do źródła (fontana) i napelniwszy każda po wiadrze wody i postawiwszy je na głowie, szły na plac, śpiewając i tańcząc. Poprzedzał je mężczyzna z gitarą albo też mandoliną, oraz kobieta z bębenkami (tamburelli). Po przybyciu ich na plac, mężczyźni tworzyli koło, a kobiety rozpoczynały pośród tego koła taniec, trzymając ciągle wiadra na głowach i oblewając przytem wodą twarze mężczyzn za pomocą czerpaczki miedzianej; czyniły to tak długo, dopóki pozostawała choć jedna kropla wody w wiadrze. Zwyczaj ten zdaje się zdradzać pewne podobieństwo ze znanym dobrze w Polsce d y n g u s e m czyli ś m i g u s e m, w drugi dzień Wielkiej Nocy.

Z tańców Słowianie we Włoszech południowych znają t a r a n t e l l e i s p a l l a t e, podobnie jak ich sąsiedzi Włosi.

Śpiewają ci Słowianie najczęściej pieśni włoskie; z pieśni słowiańskich zaś pozostały przeważnie tylko szczątki, pozbawione zwykle sensu i ciągu.

Najpełniejszymi z tych pieśni słowiańskich są może: 1) serya kupletów, śpiewanych podczas uroczystości M a j a, i 2) pienia pogrzebowe. Żale podobne (n e n i j e), recytowane w czasie pogrzebów albo przez specjalistki-płaczki, albo też przez krewnych zmarłego, spotykamy prawie u wszystkich ludów starożytnych i nowoczesnych.

Niektóre z tych pieni pogrzebowych u Słowian hrabstwa Molise są prawdziwie wzruszające swoją prostotą i głębokiem uczuciem. Tak np. siostra starsza, która straciła naprzód brata, a potem młodszą siostrzyczkę, w następujący sposób oplakuje swoje nieszczęście, idąc za trumną siostry:

„Bracie mój, wyjdź na spotkanie naszej dzieciny: zaprowadź ją przed Boga. Przygotuj dla niej drogę; wszak wiesz, że nasza dziecina jest małą.“

Zapisano także dość wdzięczną piosnkę pasterską; następnie pieśń, śpiewaną przede drzwiami narzeczonej; i nareszcie urywek pieśni epicznej, urywek ballady, opiewającej, jak się zdaje, przygody miłosne pięknej Maryi i wiejskiego uwodziciela, Iwana Karłowicza. Ten ostatni urywek, z którego dziś pozostało zaledwie dwanaście wierszy, przypomina swoim rytmem pieśni epiczne Serbów z za Adryatyku.

Żadna prawie z tych pieśni nie ma osobliwej wartości poetycznej. Jako przykład przytaczam piosnkę, śpiewaną przez młodzieńców przede drzwiami narzeczonej. Oto oryginał:

Ustani sa, newista
su dole mmasziature,
su donile biwe josz postól
— fer kukule fer kukule.

To znaczy:

Wstań, narieczona,
Są tu (u dołu) posłowie (ambasadorowie),
przynieśli pończochy i trzewiki
— fer kukule fer kukule.

Niektóre z przysłówów naszych Słowian są wcale dowcipne. Oto niektóre z nich w polskim przekładzie.

- Pies szczeka, wiatr unosi.
(Zastosowywane do oszczerey).
- Wielka ryba pożera małą.
- Dziś piękny, jutro ślepy (O zmienności losu).
- Kto ma jednego wieprzaka, robi go
tłustym (tuezy go); kto ma jednego
syna (jedynaka), robi go złym (psuje
go przez złe wychowanie).

Słowianie hrabstwa Molise nie mają obecnie własnego ubioru narodowego i ubierają się, jak ich sąsiedzi Włosi. Dziewczyny (t. j. kobiety niezamężne) chodziły dawniej, prawie do ostatnich czasów, z gołą głową. Jeszcze za królestwa Obojga Sycylii ten niewinny zwyczaj, który uważano za wybitnie słowiański, nie miał szczęścia podobania się biskupowi i wogóle duchowieństwu włoskiemu, zgorszonymu jakoby podobną nieprzyzwoitością. Skutkiem tego biskup nakazał odmawiać komunii tym, które chodziły do kościoła z gołą głową. Ten środek jednak wcale nie pomógł; żartowano sobie z niego i na tem się skończyło. Wtedy duchowieństwo włoskie uciekło się do środka skuteczniejszego: oświadczone upartym, że nie będzie im dozwolone wychodzenie za mąż, dopóki nie pokryją głowy. Następnie przy drzwiach kościelnych postawiono żandarmów, poleciwszy im wpuszczać do niego tylko pokryte głowy. W skutek tych prześladowań dziewczyny zaczęły obwiązywać sobie głowę chustką; dla odróżnienia się jednak od kobiet zamężnych przywiązują ją sobie pod brodą za pomocą wstążki.

Język Słowian w hrabstwie Molise jest językiem serbo-chorwackim, silnie zmodyfikowanym przez wpływ cudzoziemski.

Język ten zniknie zapewne w krótkim czasie, ale nie zniknie bez śladu. Nazwy miejscowości, kilka nazwisk, a nawet pewna ilość wyrażeń, które przejdą z pewnością do gwary włoskiej, mającej zastąpić u tych Słowian ich obecną mowę, będą zawsze świadczyć o poprzednim istnieniu tej mowy; jak świadczą zresztą o niej w okolicach sąsiednich, gdzie potomkowie dawnych Słowian mówią od dość dawna po włosku. Tak np. wyraz *did* (dziad, ojciec ojca lub matki) używany jest do dziś w S. Biase i innych wsiach niegdyś słowiańskich.

Formułą pozdrowienia u Słowian we Włoszech południowych jest „*ch w a l a B o g u*.” Innych Słowian, z którymi się spotykają, albo też którzy ich odwiedzają, jako to: Serbów, Bułgarów, Rosyan i t. p., nazywają: *n a s z a k r w* (nasza krew), *n a s z j e z i k* (nasz język), *n a s z a c z e l e d* (nasza rodzina), *b r a t j a n a s z a* i t. p. Wyraz *n a r o d* jest im nieznany.

Każdy cudzoziemiec, a raczej innoplemieniec, jest dla nich Włochem (Vlah). Odróżniają jednak Albańczyków, zwanych przez nich *G r c i* (Grecy).

Italianizacyi wsi słowiańskich sprzyja bardzo konieczność zawierania małżeństw z Włochami; trudno bowiem między samymi Słowianami znaleźć dwie osoby, nie znajdujące się między sobą w związku bliższego lub dalszego pokrewieństwa. Indywidua zaś, które byłyby w stanie opłacić dyspensę, ażeby dostać pozwolenie na zaślubienie krewnej, należą do wyjątków.

Opowiadają, że Nicola Neri, Słowianin z Acquaviva Collecroce, który swój patryotyzm włoski musiał opłacić śmiercią na szafocie w r. 1799, uważany więc za jednego z męczenników wolności włoskiej, nie wyrzekł się pomimo to swego pochodzenia słowiańskiego; przeciwnie, przybywając na ziemię rodzinną dla odwiedzenia krewnych i współrodaków, powtarzał im zawsze: *n e m o j t e z g u b i t n a s z j e z i k* (nie zatracajcie naszego języka).

Istnieli w ostatnich czasach, a może nawet dziś jeszcze istnieją szlachetni patryoci słowiańsko-włoscy, żywiący piękne nadzieje, że język słowiański nigdy nie zniknie w tych okolicach. Co więcej, spodziewali się upoważnienia ze strony rządu na założenie szkoły słowiańskiej, ażeby młodzież, obok języka Dantego, mogła studyować także język Wuka Karadzića i Gundulića. Wątpić można, czy te piękne i szlachetne nadzieje urzeczywistnią się kiedykolwiek i czy będą w stanie powstrzymać potok asymilacyi etnograficznej. Tak mały listek, oderwany od drzewa, na którym wy-

rósł, staje się bezsilnym i nadaremnie walczyłby z wichrem, który go porywa i z sobą unosi.

Przechodzę teraz do Słowian we Włoszech północnych. Tutaj czuję się daleko pewniejszym; mogę się bowiem oprzeć na swoich własnych bardzo drobiazgowych spostrzeżeniach i badaniach.

Słowianie ci zamieszkują na granicy austriackiej Włoch wschodnio-północnych stoki i wyniosłości gór, znanych pod nazwą Alp julijskich, u których stóp rozciąga się żyzna równina friulska, zamieszkała przez Friulanów czyli Furlanów, a nieco dalej przez Włochów. Wogóle można powiedzieć, nie popełniając wielkiej niedokładności, że wszystkie zachodnie stoki poprzeczne Alp julijskich, oddzielonych rzeką Fellą od Alp karnijskich, są zamieszkałe przez Słowian. Znaczna część stoków Alp julijskich znajduje się właśnie w granicach Włoch dzisiejszych.

Pierwotnie terytorium słowiańskie rozciągało się o wiele dalej ku zachodowi. Dowodzą tego nazwy oczywiście słowiańskie miejscowości, dosyć odległych od dzisiejszych siedlisk Słowian Włoch północnych. Tak np., według karty topograficznej sztabu generalnego austriackiego, — posuwając się ku zachodowi, znajdujemy przed rzeką Tagliamento: Pasian Schiavonesco, Sclaunico, S. Maria di Sclaunico, Lestizza, Virko, Lonca, M. del Potocco, Sterpo.

Nad samym Tagliamento, na jego lewym brzegu, ku wschodowi: Gradisca, Gradiscutta, Belgrado, Goricizza, Gorizzo (P. Colloredo), Glaunico, Sella.

Na prawym brzegu tej rzeki, ku zachodowi: Gradisca, Postonizico.

Nareszcie jeszcze dalej ku zachodowi, w sąsiedztwie Pordenone, znajduje się wieś Sclavons.

Najbardziej zasługuje na uwagę nazwa Gradisca (t. j. warownia, cytadela). Około jednej wsi, tak nazwanej, znajdujemy szczątki warowni podobnej ze swej budowy do warowni starożytnych, spotykanych w innych krajach słowiańskich, jako to w Łużycach (Hrodziścio), w Polsce (Grodzisko), w Małorosyi (Horodyszczce) i t. d. Fakt ten dowodzi na pewno, że Słowianie osiedlili się na wybrzeżach Tagliamento w bardzo dawnych czasach.

Zupełnie niewiadomą jest data przybycia Słowian do Włoch półno-

cnych. W żadnym dokumencie historycznym nie znajdujemy o tym najmniejszej wzmianki.

Niektórzy uczeni przypuszczają, że Wenetowie Juliusza Cezara byli właśnie Słowianami. Bądź jak bądź, pierwsza wzmianka kronikarska o Słowianach we Włoszech północnych znajduje ich tam od dawna osiadłymi ¹⁾.

Paulus Diaconus opowiada o wojnie między Friulanami i Słowianami i oznacza nawet ściśle miejsce walnej bitwy. Donosi on także, iż dwa te ludy wogóle nie sympatyzowały wcale ze sobą; to tłumaczyłoby bardzo wybitną nienawiść międzynarodową, istniejącą między nimi jeszcze za dni naszych.

Fakt, że Słowianie zajmują góry i wzgórza, gdy tymczasem żyzne równiny pozostają w wyłącznym posiadaniu plemienia łacińskiego, może być objaśniony dwojako:

albo Słowianie zajmowali pierwotnie część równin i zostali następnie odparci w góry;

albo też chcieli zejść ze swych gór jałowych i nieuprząnych dla zajęcia równin żyznych i zieleniejących się, ale ich wrogowie, lud innoplemienny, oparli im się i powstrzymali ich zagony.

Słowiańskie nazwy miejscowości, rozsiane dosyć daleko, nawet poza Tagliamento, zdają się przemawiać za pierwszym przypuszczeniem.

W każdym razie jest faktem niezaprzeczonym, że dziś Słowianie Włoch północnych są zamknięci w górach i na podgórzach.

Zajmują oni cały powiat S-go Piotra (*distretto di S. Pietro degli Schiavi* albo też *S. Petro al Natissone*), części wzgórzyste powiatów Cividale, Tarcento, Gemona i nareszcie część południowo-wschodnią górzystego powiatu Moggio. Jedynie tylko w powiecie S. Piotra tworzą Słowianie całość administracyjną, oddzieloną od innych. W innych zaś powiatach, poczynając od patryarchów Akwilejskich, następnie za czasów Rzeczypospolitej Weneckiej, w czasie panowania Austriaków za Napoleona I, i nareszcie we Włoszech dzisiejszych, byli oni i są obecnie zmieszani z łacińską (romańską) ludnością Friulanów, nie tylko w tych samych powiatach (*distretti*),

¹⁾ Przyjmowane są zresztą następne „inwazyje Słowian“ do tych krajów:

1) Hunno-Awarowie ze „Selavi“ w r. 611;

2) „Selavi Carantani“ w r. 670;

3) „Selavi Vindi et Crobati“ r. 718.

(Por *Il confine orientale d'Italia* del Prof. Amato A m a t i etc. Milano 1866, pg. 105).

ale nawet w tych samych gminach (komunach). Jedynie tylko w gminie Rezyi, oraz w dwu gminach powiatu Tarcento znajdujemy prawie wyłącznie ludność pochodzenia słowiańskiego. W innych gminach Słowianie są pomieszani z Friulanami. Ten podział administracyjny zależy przedewszystkiem od położenia geograficznego: umieszczone na pochyłościach gór, miejscowości słowiańskie ciążyły, można powiedzieć, ku friulańskim centrom administracyjnym, położonym na równinie, u stóp tych samych gór.

Według spisu ludności z r. 1871, w gminach czysto słowiańskich było tu 26,474 mieszkańców; do tego należy dodać Słowian siedmiu czy też ośmiu gmin z ludnością mieszaną, tak że ogólna liczba Słowian we Włoszech północnych przewyższa zapewne 30,000.

Słowianie ci nie mówią wcale narzeczem jednolitem i wspólnem im wszystkim; przeciwnie, dzielą się oni na kilka gwar, przedstawiających dość znaczne różnice.

Przedewszystkiem trzeba wyłączyć Rezyanów, zajmujących tu część najbardziej posuniętą ku północy terytorium słowiańskiego. Inni Słowianie Włoch północnych nazywają się Slowinami (a nie Slowenami). Ale nawet w obrębie tych Slowinów należy odróżnić dwa dialekty dosyć wybitne, a które możemy nazwać, według głównych odpływów, przecinających ich terytoria: 1) dialektem rzeki Nediży (Natisone), 2) dialektem potoku Teru (Torre).

Wszystkie te dialekty różnią się stanowczo od dialektów słowiańskich z tamtej strony granicy włosko austriackiej, chociaż same ich kraje graniczą bezpośrednio.

Rezyanie tworzą plemię całkiem osobne. Slowiny, co do języka, bliżsi są Serbo-Chorwatom, aniżeli Słoweńcom austriackim (Krajncom, Chorutanom). Trzeba zauważyć, że Słowianie Włoch północnych, z wyjątkiem Rezyanów, sami siebie nazywają „Slowinami“, gdy tymczasem lud słoweński w Austrii aż do ostatnich czasów brał swe nazwy od prowincyj, przez niego zamieszkiwanych. Że zaś główną prowincją ludu słoweńskiego jest Krajna, więc też nazwa „Krajncy“ była między nim najbardziej rozpowszechnioną,

Wyraz „Slowin“ oznacza po prostu „Słowianina“ i niema żadnego znaczenia specjalnego. Nazwa ta, „Słowianin“ nie jest wcale powszechnie znaną u samych Słowian, ale w różnych modyfikacjach (Slowen, Slowin, Slowak i t. d.) używana jest przedewszystkiem tam, gdzie różne plemiona słowiańskie na północy, na zachodzie i na południu, ale nigdy na wscho-

dzie, — stykają się bezpośrednio z ludami innego pochodzenia, bądź to germańskiego, bądź łacińskiego, bądź też na koniec madziarskiego. Nazwa „Słowianin“ dała początek wyrazowi łacińskiemu „sclavus“ (niewolnik, włoskie „schiavo“, franc. „esclave“), który, uległszy rozmaitym przeobrażeniom, stał się w końcu u Włochów północnych, w formie „ciau“, prostym wyrażeniem pozdrowienia, równoważnego z „servus“, „servo“, franc. „serviteur“ niem. „diener“, a nawet jeszcze bardziej poufalego.

Spotykamy też u Słowian inne imiona, które nie oznaczały dawniej żadnego osobnego plemienia, ale służyły po prostu do oznaczenia wogóle Słowian w bezpośrednim zetknięciu się z innymi plemionami czyli rodzinami lingwistycznymi. Tak np. „Serbowie“ lub „Sorbowie“, — skąd chciano wyprowadzać wyraz łaciński *servus* (niewolnik, sługa), — oraz „Wendy“ lub „Windy“, który to wyraz zestawiano ze starożytnym „Veneti“ i którym sąsiedni Niemcy nazywają Słoweńców Karyntyi i Styryi (Winden, windisch), oraz Serbów-Łużyczan w Saksonii i Brandeburgii (Wenden, wendisch).

Kolejny opis oddzielnych plemion słowiańskich we Włoszech północnych rozpoczynam od Rezyanów ¹⁾.

Rezyanie, w liczbie około 3,300, zamieszkują kąć północno-wschodni Włoch, w powiecie (distretto) Moggio, prowincyi Udine. Ich terytorium graniczy z cesarstwem austriackim i składa się z dwóch dolin, z większej doliny rzeki Rezyi (Resia) i z mniejszej doliny rzeki Wilczej (Uccea), gdzie przebywa co najwyżej około 500 mieszkańców.

Góra Canino oddziela dolinę Rezyi od cesarstwa austriackiego, gdy tymczasem dolina Wilczej otwartą jest właśnie ku Austrii. Najbliższą stacją kolei żelaznej jest Resiutta, a stamtąd wygodna droga bita, prowadzi między górami wprost do centrum doliny rezyańskiej.

¹⁾ Bliżej interesujących się tym plemieniem i jego nadzwyczaj oryginalnym językiem odsyłam do następujących swoich dzieł i rozpraw:

Опыт фонетики резыанских говоров, 1875, — Резьянскій катихизис, 1875.

Резья и Резьяне. (Ze zbioropisma Славянскій Сборникъ. III. Petersburg, 1876, — Глоттологическія (лингвистическія) замѣтки, 1877.

Note glottologiche intorno alle lingue slave e questioni di morfologia e fonologia arioeuropea (z „Atti del IV Congresso internazionale degli Orientalisti“, Firenze, 1881).

OGNISCO.

Co do historii gminy Rezyi, nic prawie nie wiemy. Dokumenta, do niej się odnoszące, są stosunkowo dosyć świeżej daty i pochodzą z epoki, kiedy to plemię oddawna już usadowiło się w swojej dolinie. Zresztą, starannie poszukając, może by się dało odnaleźć jakie dane z czasów dawniejszych. Zapewniano mi, że w dawnym archiwum miasteczka Moggio (stolicy powiatu) były niegdyś ciekawe dokumenta, dotyczące się Rezyi, ale archiwum to zostało rozdzielone na trzy części i przeniesione do Wenecyi (do Archiwum państwowego w starożytnym klasztorze *de' Frari*), do Cividale i do S. Daniele. Znanе dotychczas dokumenta opactwa Moggio wspominają o Rezyi i to mianowicie jako już o zamieszkałej przez Słowian, dopiero od r. 1100.

Szczątki ruin zamku, znajdujące się w Rezyi właśnie w miejscowości, zwanej *Grad* (zamek), wskazują dosyć jasno, że musiał tam niegdyś rezydować pan feudalny. Trudno jednak przypuścić, ażeby Rezyanie odrabiali kiedykolwiek pańszczyznę. Przynajmniej nie pozostało wcale śladów epoki pańszczyźnianej ani w ich języku, ani w ich podaniach, ani w ich zwyczajach, ani też zwłaszcza w ich charakterze. Również zdaje się bardzo prawdopodobnem, że nie byli oni nigdy czynszownikami (fermierami), ale że byli zawsze panami małego kawałka ziemi, przez nich posiadanego. Choć biedni, żyli zawsze wolnymi i niezależnymi.

Opuszczając różne osobliwości, charakteryzujące Rezyan pod względem socyalnym i etnograficznym, pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na niektóre jedynie szczegóły.

Kobiety rezyańskie noszą ubiór oryginalny, cały czarny i w miarę możności jedwabny, krojem zaś swoim i kolorem przypominający ubiór mniszek prawosławnych np. w Rosyi. Tylko zamiast kołpaka, właściwego mniszkom, noszą one na głowach czarne, zwykle jedwabne, chusteczki. Dziś ubiór ten zaczyna wychodzić z użycia, ustępując miejsca używanemu w sąsiednich okolicach przez kobiety friulańskie i słowiańskie.

Rezyanie posiadają taniec własny, któremu towarzyszy nuta monotonna, ale dosyć oryginalna i, jeżeli się nie mylę, przypominająca muzykę Sabaudczyków.

Jak Słowianie hrabstwa Molise, Rezyanie obchodzili niegdyś uroczystość *Maja*, *Majnyk*, ze szczególnymi obrzędami. Za naszych dni uroczystość ta przerodziła się w proste święto religijne.

Inne zwyczaje rezyańskie nie są zbyt interesujące.

Pod względem społecznym, Rezyanie są nawskróś demokratami. Choć biedni, poniżają się jednak bardzo rzadko. Tak panów, jak i wieśniaków traktują prawie w ten sam sposób, zwracając się do wszystkich z prostym „wy”, i nie używając wcale innych dodatków, w których wyraża się mniej lub więcej wyrafinowana i arystokratyczna grzeczność innych Słowian włoskich. We wzajemnych stosunkach, t. j. w stosunkach Rezyan z Rezyanami, zachowują zwykle pewną godność. Młode dziewczęta i młodzi chłopcy, jeżeli nie spoufalili ich znajomość z lat dziecińczych, mówią sobie „wy” i nigdy prawie się nie „tykają”.

Gleba Rezyanów nie wystarcza na ich wyżywienie. W skutek tego muszą sobie po większej części szukać zarobku po za granicami zakątka rodzinnego i tylko niewielka liczba może ciągle w nim pozostawać. Ale, chociaż zmuszeni zarabiać na życie zdala od kraju, nie szukają prawie nigdy kariery sługi lub też urzędnika. Praktykują różne rzemiosła i zawody, od gałganiarza do hurtowego handlarza owocami, ale prawdziwą rzadkość stanowi Rezyanin, zostający w służbie u człowieka prywatnego lub też u rządu. Stosuje się to nie tylko do mężczyzn, ale także do kobiet. Dla tego to nie starają się wcale o ukończenie studyów i o otrzymanie bardziej starannego wykształcenia. Ich ukształcenie elementarne, ich doświadczenie i nareszcie ich zdolności, istotnie niepospolite, zupełnie im wystarczają do praktykowanych przez nich rzemiosł i handlu. W każdym pokoleniu znajduje się co najwyżej dwóch lub trzech księży pochodzenia rezyańskiego; prócz tego, jako o prawdziwej rzadkości, opowiadają o jednym nauczycielu gimnazjum, wykładającym niegdyś, zdaje się, w Marburgu, a urodzonym w Rezyi. Oto cały zastęp tak zwanej „inteligencji”, wychodzącej z łona plemienia rezyańskiego.

Następujący zwyczaj może służyć jako rys charakterystyczny Rezyanów. W czasie jedzenia każde indywiduum dostaje osobny talerz, osobne nakrycie i osobną porcję. Pozwalam sobie twierdzić, że w tym zwyczaju, jakkolwiek bardzo nieznaczającym z pozoru, objawia się silnie rozwinięte poczucie indywidualizmu i przywiązanie do własności osobistej. U innych Słowian Włoch północnych, jako też u Słoweńców w Austrii, w wielu domach włościańskich współbiedniacy jadają ze wspólnej misy.

Rezyanie są wystawieni na silny wpływ żywiołu romańskiego. Bardzo jest prawdopodobnem, że w niedalekiej przyszłości zmienią swój własny język na język, zapożyczony od swych zachodnich sąsiadów. Dotychczas jednak trzymają się dość silnie swej indywidualności plemiennej. Przy-

czyną tego są, zdaje się: 1. przedewszystkim ich odosobnienie etnograficzne, 2. jedność administracyjna, gdyż tworzą osobną, wyłącznie rezyańską, gminę, 3. ich stosunkowa niezależność kościelna, sami bowiem wybierają sobie proboszcza, oraz sami zarządzają swoją parafią. 4. Nakoniec narodowość etnograficzną Rezyan podtrzymuje silnie w nich rozwinięte poczucie ich indywidualności plemiennej, w różnicy od innych, bezpośrednio z nimi graniczących, plemion, nie tylko romańskiego, ale nawet słowiańskiego szczepu. Prócz tego wielu Rezyanów czuje się świadomie członkami wielkiej rodziny słowiańskiej.

Jedynym zabytkiem literackim — jeżeli tak wolno nazwać — Rezyan jest „Katechizm rezyański“, wydany przeze mnie jako dodatek do „Zarysu fonetyki rezyańskiej“.

Literatura ludowa Rezyanów jest dosyć biedna. Jednakże jedna seria ich bajek jest dosyć ciekawą, ponieważ możemy w niej widzieć szczątki epopei zwierzęcej (Thierepos), zastosowanej do okoliczności miejscowych i do charakteru plemiennego danego ludu. Oprócz tego znajdujemy tu kilka opowiadań treści mniej więcej mitologicznej, dosyć znaczną ilość zagadek, do których Rezyanie czują szczególną słabość, oraz kilka pieśni, nie mających zresztą żadnego znaczenia.

Sami Rezyanie utrzymują, że są pochodzenia ruskiego, t. j. że ich przodkowie przybyli z Rosyi. Mniemanie to, podzielane także przez ich sąsiadów, musi być bardzo świeżej daty, co najwyżej z końca zeszłego wieku. Zapewne jaki uczonej miejscowy, zwiedziony podobieństwem brzmienia *Resia, Russia*, — wyciągnął z niego podobny wniosek, który rozprzestrzenił się z wielką łatwością i dał początek różnym legendom, mniej więcej ciekawym i dziwnym.

Mniemanie to jest zupełnie fałszywe i znajduje się w sprzeczności z właściwościami zasadniczymi gwar rezyańskich.

Inne właściwości tych gwar naprowadzają nas na przypuszczenie, że musiały one ulegnąć silnemu wpływowi cudzoziemskiemu, obcojęzkiemu. W początku widziałem w nich wpływ „turański“ (fińsko-turski). Petriceicu-Hasden, znakomity lingwista i historyk rumuński, przypuszczał także wpływ „celtycki“. ¹⁾ Naturalnie ani jedna, ani druga nazwa, t. j. ani „turański“, ani też „celtycki“, nie mogą być brane w dosłownem znaczeniu; wskazują

¹⁾ Baudouin de Courtenay si dialectul slavo-turanic din Italia. Cum s'an introdus slavismele in limba romana? Notitsa de B. P. Hasdeu. Bucuresti 1876.

one jedynie na większe lub mniejsze podobieństwo ze szczepami języków, których wpływ się tu przypuszcza.

Co do wpływu „celtyckiego“, bardzo interesującym jest fakt, że obok dziesiątków Rezyanie liczą na dwudziestki: 60 nazywa się „trikradwujsti“ (3 razy 20), 80 — „sztirkradwujsti“ (4 razy 20), 70 — „trikradwujsti nu desat“ (3 razy 20 i 10), 90 — „sztirkradwujsti nu desat“ (4 razy 20 i 10), 95 — „sztirkradwujsti nu petnijst“ (4 razy 20 i 15) i t. p. Z drugiej znów strony 40 zwie się „sztredi“ (t. j. „sztiri redi“, cztery rzędy), 50 — „paterdu“ (pięć rzędów) i t. d.

Fizyonomie rezyańskie mają typ sobie właściwy, a raczej kilka typów sobie właściwych, różniących się zarówno od typów friulańskich czyli furlańskich, jako też od typów innych, sąsiadujących z nimi, Słowian.

Pozostają nam jeszcze do rozpatrzenia inni Słowianie Włoch północnych, niemniej godni uwagi, jak i Rezyanie.

Jakem już wzmiankował, Słowianie ci, ze stanowiska lingwistycznego, dzielą się na dwa główne plemiona, które, według rzek i potoków, przeryzujących ich terytoryum, nazwałem:

1. Słowianami Nediży (Natisone).
2. Słowianami Teru (Torre).

Pierwsze plemię, oprócz całego powiatu S. Piotra (distretto di S. Pietro), zamieszkuje jeszcze kilka gmin powiatu Cividale; drugie zaś plemię zajmuje gminy słowiańskie lub półsłowiańskie powiatów Tarcento i Gemona.

Słowianie powiatu S. Pietro, tworzący osobną całość administracyjną, są mniej więcej zabezpieczeni przeciwko bardzo szybkiemu wynarodowieniu. Przeciwnie zaś, zupełne odosobnienie Słowian w powiatach Tarcento i Gemona jest powodem stopniowego zmniejszania się ich terytoryum i ich rozprzestrzenienia etnograficznego. Wsie, niegdyś słowiańskie, leżące na granicy etnograficznej, stały się dziś całkiem friulańskimi. W innych wsiach jedynie dorośli mówią po słowiańsku, dzieci zaś, choć ich jeszcze rozumieją, mówią między sobą tylko po friulańsku. W większej części wypadków ojcowie rodzin nie żałują wcale, że ich dzieci przestają mówić ich językiem. Pewien dosyć inteligentny włościanin (jeżeli sobie dobrze przypominam, we wsi Sedilis) powiedział mi otwarcie: „chcemy się pozbyć naszego języka i staramy się mówić z naszymi dziećmi tylko po friulańsku“. Rzecz jasna, że w podobnych warunkach friulanizacja zupełna tego kraju

jest tylko kwestią czasu. Ale we wsiach, bardziej oddalonych od Friulanów, t. j. posuniętych bardziej ku granicy austriackiej, żywioł słowiański, nawet w powiatach Tarcento i Gemona, posiada jeszcze dość znaczną siłę odporną.

Ten upadek sławizmu jest tam naturalnym skutkiem położenia geograficznego, oraz warunków historycznych. Małżeństwa mieszane stają się we swych potomkach prawie zawsze rozsądnymi friulanizmem; Słowianie bowiem uczą się z łatwością języków swoich sąsiadów, gdy tymczasem przyswojenie sobie jednego z narzeczy słowiańskich jest dla Friulana lub też Friulanki zwykle zadaniem nieprzewyciężonym.

Naturze i okolicznościom, niezależnym od woli człowieka, pomagali tam i pomagają dotychczas ludzie. Pierwszeństwo pod tym względem należy się duchowieństwu włoskiemu, które od samego początku usiłowało pozbawić tych biedaków ich narodowości etnograficznej. Duchowieństwo parafii słowiańskich, powiatów Tarcento i Gemona, rekrutuje się po największej części spośród księży friulańskich, nie znających wcale języka swych owieczek i nietylko traktujących go z lekceważeniem, ale nawet wprost nim pogardzających. Każą tedy swym owieczkom i rozmawiają z nimi jedynie po friulańsku. Pacierza i modlitw wogóle uczą po łacinie. Zabawny też widok przedstawiają małe dzieci, powtarzające jak papugi *Pater noster*, *Ave Maria* i t. d., nie rozumiejące w nich ani jednego słowa i przekręcające w sposób najrozmaitszy wszystkie prawie wyrazy klepanego w ten sposób pacierza.

W powiatach Tarcento i Gemona narodowość słowiańska ulega podwójnemu prześladowaniu, nietylko ze strony duchowieństwa, ale także ze strony dzisiejszego rządu włoskiego.

W powiecie zaś S. Pietro sam tylko rząd prześladowuje język słowiański z gorliwością wzorową, gdy tymczasem duchowieństwo sprzyja tam dotychczas mniej więcej żywiołowi słowiańskiemu. Słowianie z S. Pietro mieli prawie zawsze księży pochodzenia słowiańskiego, albo przynajmniej znających dobrze ich język.

Natomiast rząd włoski przysyła do gmin czysto słowiańskich nietylko urzędników, ale nawet nauczycieli i nauczycielki elementarne, nie umiejące ani jednego wyrazu po słowiańsku, a pomimo to mające kształcić młodzież miejscową. Rząd włoski prześladowuje urzędników, podejrzanych o „panslawizm“, t. j. takich, którzy, nie wypierając się swego pochodzenia słowiańskiego, zachowują sympatyje do własności narodowych swojego ple-

mienia. Zdawałoby się, że przynajmniej we Włoszech „panslawizm“, ten wyraz ze znaczeniem tak nieokreślonym, nie powinien być uważanym za niebezpieczny i groźny. A jednak nawet tam jestto straszidło dosyć jeszcze silne, ażeby trwożyć rząd bojaźliwy i małoduszny, oraz teroryzować ludzi, pozbawionych charakteru i odwagi cywilnej.

Prześladowanie ze strony rządu, choć szkodliwe, trwa jednak krócej, niż prześladowanie ze strony duchowieństwa, którego wpływ zresztą jest wogóle daleko skuteczniejszy, bo przenikający w najtajniejsze zakątki życia prywatnego i mający w oczach ludu sankcję powagi boskiej. Dlatego to friulanizacja Słowian w powiatach Tarcento i Gemona uczyniła tak wielkie postępy, a jej dokonanie ostateczne jest, o ile się zdaje, tylko kwestią czasu. Tej to przyczynie należy przypisać prawie zupełne zniknięcie tu zwyczajów ludowych, pieśni, tańców itd.; gdyż wszystkie te objawy były prześladowane i tępione przez duchowieństwo, jako wyraz z jednej strony wesołości światowej, z drugiej zaś — słowiańskości, tak antypatycznej miejscowemu plemieniu romańskiemu. Żywioł słowiański stracił tam już swoją żywotność, żywioł zaś romański nie miał jeszcze czasu zawładnięcia tą ludnością na tyle, ażeby ją sobie upodobić (zasymilować) i ożywić ją swoim własnym duchem.

Słowianie powiatu S. Pietro, o wiele niezależniejsi i swobodniejsi od tylko co wzmiankowanych złowrogich wpływów, zachowują dotychczas swoją żywotność; bawią się, śpiewają, tańczą, — jednym słowem, czują zadowolenie z życia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, względna siła odporna tych dwu plemion słowiańskich w ich walce przeciwko narzucanemu im wynaradawianiu, odpowiada różnemu kierunkowi głównych odpływów, przerzynających ich terytoria.

Potok Ter (Torre) dąży ku południowi, a, utworzony przez wody gór słowiańskich, rozlewa się po równinie Friulu, skąd wlewa się nareszcie do morza Adryatyckiego. Tak samo Słowianie, zajmujący wybrzeża tego potoku i sąsiednie im wzgórza, Słowianie Gemony i Tarcenta, gubią się coraz bardziej w wielkim morzu plemienności romańskiej.

Przeciwnie rzeka Nediża (Natisone), przerzynająca krainę Słowian S. Pietro, zwraca się ku północo-wschodowi i wylewa swoje wody w rzekę Soczę (Isonzo), której największa część przebiega terytorium Słowenów austriackich, gdzie żywioł słowiański jest całkiem ubezpieczony w swoim istnieniu. Otóż i Słowianie w S. Pietro al Natisone długo jeszcze będą się

opierać italianizacji, wzmacniani będąc w tej biernej walce przez ciągłe wzajemne stosunki ze swymi współplemioncami z poza granicy politycznej.

Wnosząc jednak z analogicznych procesów, dokonanych gdzie indziej i kiedy indziej, mamy prawo przypuszczać, że, bez względu na większą siłę odporności etnograficznej i Słowianie S. Pietro i Rezyanie stracą z czasem swą odrębność plemienną na korzyść sąsiedniego żywiołu romańskiego. Wtedy nie będzie już można mówić o Słowianach we Włoszech. Będzie to tylko jeden z objawów odbywającej się ciągle integracji etnograficznej, obok której dokonywa się bezustannie wręcz jej przeciwny proces dezintegracji. Jedne odrębności plemienne ścierają się; natomiast z niewielkich różnic między jednoplemioncami rozwijają się powoli różnice coraz większe i wytwarzają się nowe plemiona. Rzym zasymilował sobie wiele bardzo plemion i narodów i narzucił im swój język. W dalszym zaś ciągu z tego nibyto jednolitego języka rozwinęły się tak odrębne dziś języki, narzecza i gwary romańskie.

J. Baudouin de Courtenay.

INTEGRATORY.

Znajduję się w prawdziwie kłopotliwym położeniu. Przez lat kilka pisywałem popularne sprawozdania o różnych wynalazkach, i szła mi ta robota z łatwością. Tymczasem dziś, gdy chcę opisać mój własny wynalazek, który przecież znam, idzie mi to jak po grudzie. Wyprowadzam ztąd wniosek, że łatwiej jest pisać o tem, czego się nie zna dokładnie. Pisząc o gruntownie poznanym i zbadanym przedmiocie, nie zna się tej własności wypowiedzania ogólnych poglądów, która daje nieznaną trudność praktycznych i różnych wątpliwych punktów.

Ale pominąwszy tę trudność, spotykam jeszcze inną. Przyrządy, nazwane przezemnie Integratorami, są wprawdzie proste co do swej budowy, lecz, żeby działanie ich dobrze poznać, trzeba być oznajomionym z zasadami wyższego rachunku. Z tego więc względu rzecz się niebardzo nadaje do popularnego przedstawienia. Starałem się ten szkopuł ominąć, lecz sądzę, że zawsze przeczytanie mego sprawozdania wymagać będzie pilnego natężenia uwagi czytelnika, nie—specjalisty.

Kiedym na początku r. 1880 po raz pierwszy przedstawił mój przyrząd krakowskiej Akademii Umiejętności, nie spodziewałem się wcale—że integratory znajdą przez lat parę tak liczne i tak różnostronne zastosowania. Dziś już nie ja jeden pracuję nad tym przedmiotem, i integratory coraz bardziej wchodzą w praktykę powszednią.

Za pomocą przyrządów zbudowanych na zasadzie przezemnie odkrytej, można obecnie robić różnego rodzaju pomiary, których rodzaj najlepiej zostanie zrozumianym z kilku przykładów.

I tak, jeśli odpowiednio zbudowany integrator połączymy w pewien sposób z maszyną parową i zostawimy go w takiej pozycji, dajmy na to, przez godzinę, to po upływie tego czasu możemy dokładnie odczytać na przyrządzie, wiele ta maszyna pracy wykonała.

Jeśli inny przyrząd, na tejże zasadzie urządzony, ustawimy w obwodzie elektrycznym, po którym prąd przebiega, to znajdziemy wiele elektryczności w danym czasie przez to miejsce przepłynęło. Integrator tworzy w tym wypadku rodzaj „elektromierza,” działającego podobnie jak gazomierz, oznaczający ilość przepływającego przez rurę gazu.

Jako przyrząd matematyczny służyć on może, w formie którą nazwałem *integratorem*, do mierzenia powierzchni ograniczonych dowolnymi krzywymi liniami. Jest on w tym wypadku jednym z najdokładniejszych planimetrów.

Zestawienie kilku integratorów w jednym przyrządzie, daje nam możliwość rozwiązywania równań numerycznych wyższego rzędu.

Inny przyrząd, który nazwałem *integratorem*, kreśli tak zwane *krzywe całkowe*, mające wielkie znaczenie przy obliczeniach z mechaniki stosowanej ¹⁾.

Opis przyrządu.

Zasadniczą część integratorów stanowią: walec i kółko. Gdy integrator jest w działaniu, wtedy albo kółko toczy się po powierzchni walca, albo też walec toczy się pod kółkiem.

Figura 1-sza przedstawia główne części wszystkich przyrządów ²⁾. Ponieważ na tym rysunku nie ma żadnych akcesoriów, więc najłatwiej będzie można z niego poznać działanie integratora.

Po mosiężnych, prostoliniowych i równoległych szynach *RR*, toczy się wózek *H*, umieszczony na czterech kółkach oznaczonych literami *r*. Na wózku umieszczony jest walec *CC*, który z wielką łatwością może się obracać około osi *X*.

¹⁾ Patrz *Inżynieria i Budownictwo* r. 1880 mój artykuł o Integratorze (wyszedł w osobnej odbitej).

²⁾ Rysunek ten wzięty z mojego artykułu, drukowanego w „Comptes rendus de l'Acad. des Sciences de Paris” 20 marca 1882 r.

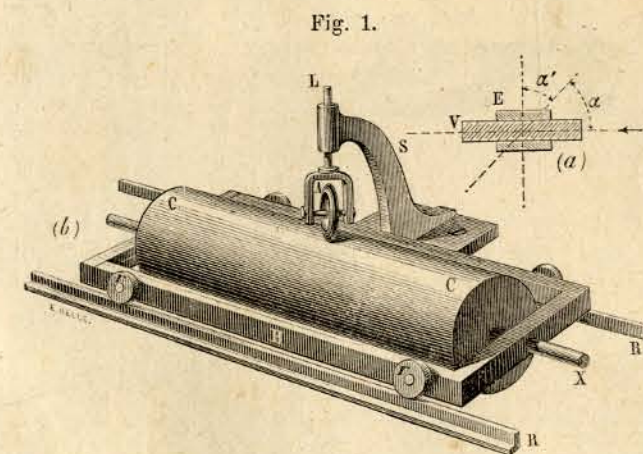
Do tej samej deski, do której przybite są szyny *RR*, przysrubowana jest mosiężna podstawa, z której wychyla się aż po nad oś walca *CC* szyja *S*, jak to widać na rysunku. Szyja ta zakończona jest pionową rurką, w której mieści się oś pionowa *L*, rozszczepiona u dołu jak widelki, w celu umocowania osi kółka również pionowego *A*. Ta część jest podobnie zbudowaną jak nogi na kółkach u fortepianu, albo też (co jeszcze bardziej do rzeczywistości jest podobnem) jak pierwsze koło u welocypedu.

Kółko *A* jest stale przyciskane do powierzchni walca, za pomocą sprężyny cisnącej na oś *L*. Sprężyna ta została dla jasności usunięta z rysunku. Kółko dotyka do walca jednym tylko punktem, i dla tego też tarcie w tem miejscu zetknięcia jest tak małe, że z wielką łatwością, pomimo nacisku sprężyny, można obracać widelki wraz z kółkiem *A*, kręcąc oś *L*.

Ustawmy teraz oś *L* tak, żeby płaszczyzna kółka *A* przechodziła przez oś walca *X*. Jeśli wtedy ręką zaczniemy przesuwając wózek po szynach *RR*, w tył i naprzód, to zobaczymy, że kółko przyciśnięte do walca

obraca się przez tarcie, ale że walec nie wykonywa żadnego obrotu, jeśli tylko kółko *A* było dobrze ustawione, jeśli jego płaszczyzna dokładnie przechodziła przez oś *X*.

Zupełnie inne zobaczymy zjawisko, gdy obróciwszy oś *L*, skreślimy płaszczyznę kółka



ka tak jak na figurze 1, to jest ustawimy je pod kątem. Jeśli wtedy zaczniemy przesuwając wózek, to spostrzeżemy że walec *CC* obraca się podczas przesuwania około osi *X*. Im bardziej odchyliny kółko od pierwotnego położenia, tym obrót stanie się prędszym i to w szybko rosnącym stosunku.

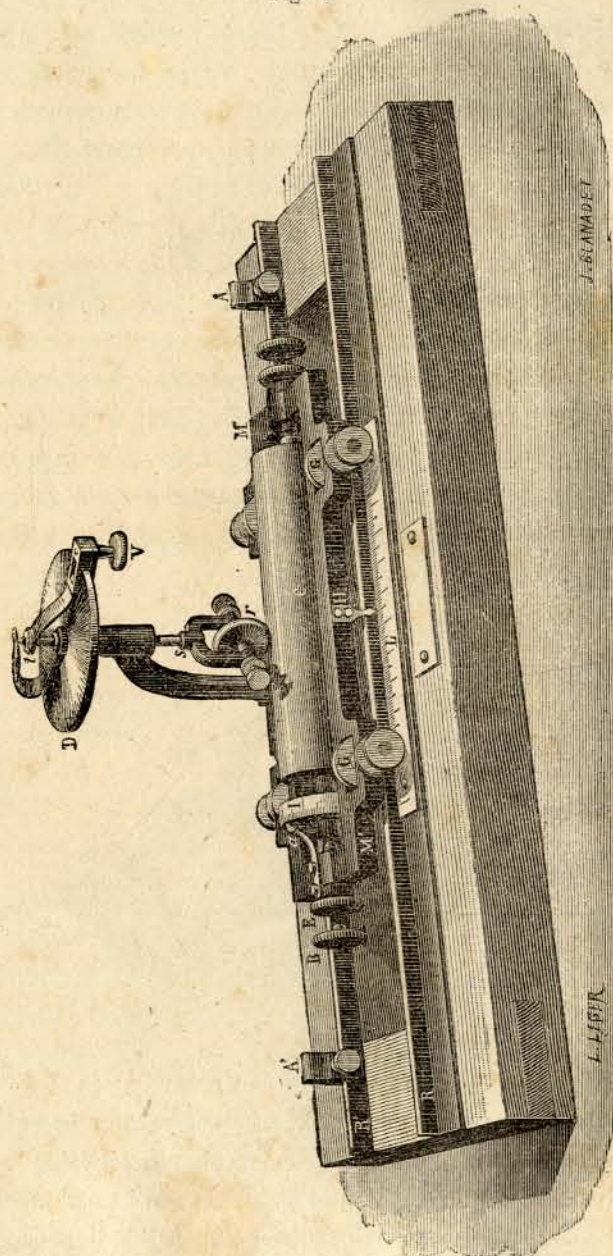
Rozpatrzmy położenie kółka takie, jak ono oznaczonem jest na figurze 1. Przyciśnijmy je w ten sposób, żeby tego położenia nie zmieniało, i przypuśćmy, że brzeg kółka posmarowany jest farbą. Wtedy po przesunięciu wózka w jedną stronę, znajdziemy na powierzchni walca ślad kółka, w kształcie regularnej wężownicy. Gdy jednak podczas przesuwania wózka

zmieniać będziemy odchylenie kółka *A*, wtedy otrzymamy węzownicę nieregularną wprawdzie, lecz taką właśnie ma największe znaczenie dla integratorów ¹⁾.

Z przyrządem takim jak na fig. 1 można jeszcze innego rodzaju zrobić doświadczenie. Dotąd przesuwaliśmy wózek pod kółkiem *A* a wałek *CC* się obracał. Jeżeli teraz zaczniemy obracać wałek, to zobaczymy, że wózek zacznie się w jedną lub drugą stronę przesuwac po szynach *RR*. I w tym drugim wypadku otrzymamy na walcu krzywą odpowiedniej formy.

W integratorach moich największą zaletą ze względu na dokładność rezultatów jest to, że nigdy kółko się nie ślizga po powierzchni walca, a tylko toczy się po niej, jak welocyped po powierzchni drogi, zupełnie inaczej niż łyżwy po lodzie,

Fig. 2.



¹⁾ Jeśli kółko odchyłaniem będzie według pewnego prawa przedstawionego wzorem $y=f(x)$, to nieregularna węzownica rozwinięta na płaszczyźnie przedstawia tak zw. krzywą całkowitą, której równaniem jest: $Y = \int f(x) dx$.

które się przesuwają. Drugą ważną zaletą jest to, że dokładność funkcjonowania tych aparatów zależy jedynie od dokładności kształtu walca i od dokładnego ustawienia płaszczyzny kółka. Wałek utoczyć dokładnie na dobrej tokarni nie jest rzeczą trudną, do ustawienia kółka posiadamy wygodne środki mechaniczne; więc zbudowanie integratora dobrego nie jest zbyt trudną rzeczą.

Z licznych doświadczeń na przyrządach zbudowanych przezemnie i przez pana C. V. Boysa (w Londynie) przekonałem się, że integratory działają zupełnie dokładnie i wygodnie i że je z wielką łatwością można budować.

Figura 2 ¹⁾ jest zrobioną według fotografii z przyrządu przedstawionego paryskiej Akademii Umiejętności. Z łatwością odróżnimy na niej te same zasadnicze części, któreśmy widzieli na fig. 1, mianowicie wałek na wózku i kółko umieszczone między widelkami. Lecz oprócz tego są i inne dodatki. Na os pionową widelkę ciśnie sprężyna *t*. Ilość obrotów walca mierzy się na podzielonym bębnie *I* za pomocą skazówki *a*. Przesunięcie wózka odczytuje się na podziałce *L*. Na podzielonej kole *D* odczytujemy nachylenia płaszczyzny kółka *r* względem osi walca. Całość umocowaną jest na desce.

Sposób działania integratorów.

Integratory mają za zadanie: znajdować sumę nieskończenie wielu nieskończenie małych ilości. W jaki sposób to się dzieje postaram się wytłumaczyć na prostym przykładzie. Zobaczymy jak to należy pojmować takiego rodzaju dodawanie.

Przypuśćmy, że ze zbiornika, przez otwór zrobiony u spodu, wypływa strumieniem woda. Jeśli zdołamy utrzymać ciągle jednakowe ciśnienie, to na sekundę ciągle wypływać będzie jednakowa ilość wody. Jeśli więc wiemy ile wypływa na sekundę (co łatwo zobaczyć, zebrawszy przez ten czas wodę), to z łatwością możemy otrzymać, przez zwykłe mnożenie, wiele wypłynie przez godzinę, dobę i t. d.

Ale jeśli ciśnienie zmienia się ciągle, np. wskutek zniżającego się poziomu lub zmiennego zewnętrznego nacisku, to wtedy obliczenie ilości wody, która w pewnym czasie wypłynie, nie jest tak łatwym. Potrzeba do te-

¹⁾ Wyjęta z artykułu Marcela Deprez o moim integratorze w „Lumière électrique“ Nr. 23 r. 1882.

go osobnych przyrządów „wodomierzów,” albo też trzeba znać stosunek, według którego w tym czasie ciśnienie się zmienia. Doświadczalnie poznaje się ciśnienie w danej chwili za pomocą tak zwanych manometrów, których skazówka odchyła się mniej lub więcej, stosownie do ciśnienia. Ze skali umieszczonej pod skazówką możemy odczytać jakim ono jest w danej chwili.

Przypuśćmy, że skazówka stanęła na pewnej, oznaczonej kresce; gdyby od tej chwili skazówka stała ciągle na jednym miejscu, to znaczyłoby to, że woda przepływa odtąd ciągle w jednakowej ilości, bo ciśnienie jest stałem. Lecz jeśli się skazówka przesuwa ciągle, to rzecz się ma inaczej. Jakże wtedy obliczyć ilość wody z ruchów skazówki manometru?

Żeby dojść do objaśnienia rzeczy, urządzmy w inny sposób nasze doświadczenie. Zmieniajmy ciśnienie nie bez przerwy, ciągle, lecz co sekundę, i postawmy sobie za zadanie znaleźć w tych warunkach ilość wody, która wypłynie przez minutę. Skazówka nie będzie podczas tego doświadczenia w ciągłym ruchu, lecz będzie przeskakiwała z miejsca na miejsce, co sekundę. Z położenia tej skazówki będziemy wiedzieli wiele wody w każdej sekundzie przepływało. Dowiemy się, że w pierwszej przepłynęło a litrów, w drugiej b , w trzeciej c i t. d. Jeśli te ilości dodamy, to otrzymamy całkowitą ilość, która przepłynęła w 60 sekundach, równą $a+b+c+\dots$

Powtórzmy teraz tę samą operacyą, z tą tylko różnicą, że zmieniać będziemy ciśnienie co pół sekundy. Wtedy otrzymamy dwa razy większą ilość, ale dwa razy mniejszych ilości do dodawania.

Następnie możemy to samo powtórzyć co $\frac{1}{10}$ sekundy; wtedy będziemy mieli w przeciągu minuty 600 ilości do dodania, ale każda z nich będzie znacznie mniejszą.

Gdybyśmy taki podział posunęli do praktycznie niemożliwych granic, gdybyśmy obserwowali skazówkę manometru w odstępach czasu nieskończenie od siebie bliskich, to wtedy ilość składników stałaby się nieskończenie wielką, a natomiast ilości wody, którebyśmy mieli z sobą dodać, stałyby się nieskończenie małymi.

Lecz w tym wypadku już nie możemy sumy znaleźć przez bezpośrednią obserwacyą manometru, nie możemy bowiem położenia jego skazówki odczytywać i zapisywać w odstępach czasu nieskończenie małych, a potem dodać nieskończenie wiele rezultatów, aby otrzymać całą ilość wody, która wypłynęła w ciągu minuty. Lecz integrator czyni to zupełnie wygodnie, a to w sposób następujący:

Skazówka manometru łączy się mechanicznie, w pewien sposób, z osią L (fig. 1) integratora, tak, że gdy się skazówka obraca, to i ta oś obraca się z nią razem (ruchy są w pewnym oznaczonym stosunku). Więć kółko A przyjmuje różne odchylenia co chwila się zmieniające, zależne od ruchów skazówki manometru. W ten sposób wprowadza się do instrumentu to, co obserwator w poprzednich przykładach wprowadzał do rachunku wpisując odchylenia.

Jednocześnie wózek z walcem posuwa się jednostajnie po szynach, poruszany za pomocą przyrządu zegarowego, a ponieważ w tym czasie kółko się odchyła, więc walec się obracał.

W rezultacie, jeśli po minucie zmierzmy ilość obrotów tego walca, to otrzymamy liczbę proporcjonalną do ilości wody, która w tej minucie wypłynęła.

Rzecz się tak dzieje, że odchylenie kółka zastępuje obserwowanie manometru, ruch wózka dodaje te obserwacye a obrót walca daje ich sumę.

Dla łatwiejszego przedstawienia wzięliśmy przykład najprostszy: wodę wypływającą przez otwór w naczyniu. Właściwie w tym celu używanie integratorów jest zbyt cennym, bo są daleko prostsze przyrządy, wykonywające tę samą czynność. Integratory moje znalazły natomiast zastosowanie do pomiarów praktycznych, daleko subtelniejszych i trudniejszych. Wyliczyliśmy niektóre z nich na początku niniejszego artykułu.

Dla tych, którym wyższy rachunek nie jest obcym, załączam krótką teorią mego integratora, postawioną przez Marcela Deprez ¹⁾:

Jeśli oznaczymy przez

α kąt utworzony przez oś poziomą kółka A (fig. 1) i oś walca C ;

dx nieskończenie małą drogę przebieżoną przez wózek H po szynach RR , w nieskończenie małym czasie dt ;

dy łuk liniowy opisany przez powierzchnią walca CC w tym czasie;

dz łuk liniowy elementarny, opisany przez punkt obwodu kółka A ;

to łatwo wykazać, że pomiędzy temi czterema ilościami zachodzą dwa następujące stosunki:

$$dy = dx \tan \alpha$$

$$dz = \frac{dx}{\cos \alpha}$$

¹⁾ Patrz: „Lumière électrique” Nr. 23 r. 1882.

Ten ostatni stosunek nie obchodzi nas ze względu na przedmiot, którym się zajmujemy, pierwszy zaś daje

$$y = \int dx \operatorname{tang} \alpha$$

A więc jeżeli x , to jest droga przebieżona poziomo przez wózek H , jest proporcjonalną do czasu t (co się utrzymuje za pomocą przyrządu zegarowego) i jeśli $\operatorname{tang} \alpha$ jest prop. do każdorazowej zmiennej, którą oznaczono przez η (a więc w powyższym przykładzie do ciśnienia wody), to mnożąc przez stałą K , zależną jedynie od budowy integratora, otrzymamy

$$y = K \int \eta dx$$

B. Abakanowicz.

O SZYBKOSCI REAKCYJ CHEMICZNYCH.

Od czasu, w którym rozpocząłem bliższe badanie szybkości przemian chemicznych upłynął już bardzo znaczny przeciąg czasu lat sześciu z górą. Pomimo ustalonych metod poszukiwań liczba zebranych przezemnie faktów jest stosunkowo nader małą, czego, obecnie już usuniętą przyczyną był brak odpowiednich narzędzi, którymi bym mógł posługiwać się przy badaniu. W ciągu jednak tego czasu, w którym obserwacyeswoje byłem zmuszony zawiesić lub zbyt powolnie prowadzić, — obszar naszych wiadomości o szybkości reakcyj chemicznych powiększył się znakomicie, dzięki pracy innych uczonych. Ta właśnie ostatnia okoliczność skłania mnie do krótkiego wyłożenia tego wielce interesującego przedmiotu.

I.

Rozpoczynając pracę nad szybkością reakcyj, określiłem tę ostatnią jako pierwszą pochodną względem czasu (t) funkcji, wyrażającej ilość nowopowstającego ciała w ciągu czasu t ¹⁾. Określenie to przyjęli następnie, lub zgodnie z niem prace swe nad szybkością reakcyj prowadzili Van t'Hoff, Kajander, i Berthelot, ten ostatni niezależnie od prac moich. W celu dokładnego określenia szybkości zważmy, że reakcye chemiczne właśnie ze względu na tę szybkość mogą być podzielone na dwa typy, różniące się wybitnie całym przebiegiem. Jedna część przemian chemicznych dokonywa się momentalnie, chwilowo, w jednym mgnieniu oka,

¹⁾ Kosmos I, 530.
OGNISKO.

jeśli się tak wyrazić wolno, w innych zaś reakcyach nader ważny udział, przyjmuje czas, którego w rozmaitych razach musi bardzo wiele upłynąć, by dana przemiana chemiczna doszła do pewnego stadyum, nazywanego końcem reakcyi. Jako charakterystyczne przykłady pierwszego typu przytoczyć można rozkłady ciał wybuchowych (nitrogliceryna, chlorowce azotu, dwuazotwiązki), podczas gdy drugi typ stanowi olbrzymia większość przemian, odbywających się zarówno w martwej, jak i w żywej przyrodzie.

Każdy z przytoczonych powyżej typów reakcyj w inny i odmienny sposób badać należy. Badanie przemian zachodzących momentalnie z natury rzeczy ograniczyć się musi na poznawaniu dwóch tylko stanów, a mianowicie bezpośrednio poprzedzającego zjawisko i bezpośrednio po niem następującego, — o fazach przejściowych mowy nawet w tym razie być nie może, bo cały proces dokonywa się w czasie nieskończonego małym.

Zupełnie inna jest postać rzeczy, gdy dana reakcja potrzebuje pewnego czasu na dojście do końca. W badaniach tego rodzaju nie dość jest ograniczyć się na poznaniu stanu początkowego i końcowego, lecz należy jeszcze z całą ścisłością zbadać wszystkie fazy oddzielające koniec od początku reakcyi.

Dla jaśniejszego przedstawienia rzeczy przejdziemy do przykładu. Wiemy, że przy zanurzaniu cynku w kwas siarczany — wydziela się wodór i powstaje siarczan cynku, — znamy dokładnie stosunek ilości rozpuszczonego cynku do ilości wydzielonego wodoru i zużytego kwasu, — wiemy, że jeśli kwas użytym będzie w nadmiarze, to część jego zostanie niezmienną, a cynk rozpuści się całkowicie i naodwrot; gdyby jednak zapytano, jak wiele potrzeba czasu na to, by dana ilość cynku rozpuściła się w danej ilości kwasu, — to na tak postawioną kwestyę nauka nie daje nam dziś ani teoretycznej, ani nawet empirycznej odpowiedzi, jak również nie objaśni nas ona, jaka ilość cynku rozpuściła się już w kwasie, skoro od chwili jego zanurzenia upłynął określony przeciąg czasu.

Z uwagi na przytoczone okoliczności bardzo ważnem jest zarówno ze względów teoretycznych jak i praktycznych przeprowadzenie odpowiednich poszukiwań w tym przedmiocie, przyczem całe zadanie można zdefiniować ściśle w sposób następujący:

Oznaczyć szybkość z jaką przy reakcyach chemicznych powstają nowe związki (respective: z jaką nikną związki działające na się) i zbadać zależności jakie istnieją (jeśli istnieją) pomiędzy wielkością tej szybkości, a warunkami przy których odbywa się dana reakcja.

Tak postawione zadanie jest bardzo obszernem, pojedyncze usiłowania mogą zaledwie małą jego część rozwiązać lub na drogę do rozwiązania wprowadzić, niemniej przeto w bliższej lub dalszej przyszłości musi być ono bezwarunkowo poznanem w najdrobniejszych szczegółach, — wątpić o tem nie można ze względu na potrzebę dynamicznego, a nie statycznego sposobu badania zjawisk chemicznych.

Wypada nam obecnie ująć przytoczone zadanie w bardziej ścisłą formę.

Każdej reakcyi chemicznej towarzyszy powstawanie jakiegoś nowego ciała, nie istniejącego uprzednio w tem naczyniu, w którym zachodzi reakcja. Ilość tego ciała, powstająca w pewnym określonym przeciągu czasu, zależy od bardzo wielu warunków, jako to od wag atomowych lub cząstekowych ciał działających na się, od ich ilości, od wielkości powierzchni zetknięcia, od temperatury, od ciśnienia ¹⁾, od obecności obcych ciał niedziałających i t. d., i t. d.; zależy ona nareszcie i od wielkości tego przeciągu czasu w jakim rozpatrujemy zachodzące zmiany.

Oznaczmy przez u ilość nowopowstającego ciała w ciągu czasu t , rozmaite zaś towarzyszące reakcyi warunki oznaczmy przez:

$$a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n.$$

Natura rzeczy jest taką, iż po tego rodzaju oznaczeniu powiedzieć możemy i musimy, że ilość u nowopowstałego ciała jest funkcją $a_1, a_2, a_3, \dots a_n, t$; czyli

$$(1) \quad u = F(a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n, t)$$

w którym to równaniu ilości $a_1, a_2, a_3, \dots a_n$, i t są zmiennymi niezależnymi, a u jest ich funkcją. Wziąwszy z równania (1) pierwszą pochodną względem czasu t , otrzymamy:

$$(2) \quad \frac{du}{dt} = F'(a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n, t)$$

równanie (2), wyrażające szybkość reakcyi.

Znalezienie kształtu funkcji u i $\frac{du}{dt}$ stanowi rozwiązanie wszystkich pytań odnoszących się do szybkości reakcyj chemicznych.

¹⁾ Na wpływ tego warunku wskazują badania nad szybkością rozpuszczania się platyny w wodzie królewskiej, a mianowicie — w miarę powiększania ciśnienia — zwiększa się i szybkość rozpuszczania platyny w mieszaninie kwasów ClH i NO_3H . Faktu tego (Würtz. Dictionnaire-Platine) nie sprawdzałem. Należy przypuszczać, że on powtórzy się przy działaniu kwasów i na inne metale.

Mamy uzasadnione powody, aby przytoczone powyżej ogólne określenie szybkości reakcji objaśnić powszechnie znanym przykładem. Jeżeli cynk zanurzymy w kwasie siarczany, to ilość wodoru wydzielonego w ciągu czasu t zależeć będzie od wielu okoliczności, a mianowicie:

1. od wielkości powierzchni zetknięcia cynku z kwasem . . . a_1
2. od ilości kwasu a_2
3. od stężenia kwasu a_3
4. od temperatury a_4
5. od ilości rozpuszczonego siarczany cynku (?) a_5
6. od ciśnienia a_6
7. od przeciagu czasu t .

Jeżeli w dwóch doświadczeniach wszystkie przytoczone warunki będą zupełnie jednakowe, to i ilości wydzielonego wodoru będą także jednakowe, a więc musimy napisać:

$$[H_2] = F(a_1, a_2, a_3, \dots, a_6, t)$$

jeżeli przez $[H_2]$ oznaczmy ilość wodoru, wydzielonego w ciągu czasu t ¹⁾. Funkcja $[H_2]$ z natury rzeczy może mieć tylko jedną, zawsze dodatnią wartość przy danych wartościach na $t, a_1, a_2, \dots, a_6$.

Wziąwszy pierwszą pochodną względem czasu t otrzymamy

$$(3) \quad \frac{d[H_2]}{dt} = F'(a_1, a_2, \dots, a_6, t) = V_{[H_2]}$$

również (3) wyrażające szybkość wydzielania się wodoru przy danych warunkach $a_1, a_2, a_3, \dots, a_6$. Rzecz prosta, że szybkość wydzielania się wodoru będzie służyła za miarę szybkości całej reakcji między cynkiem i kwasem siarczany, gdyż danej ilości wydzielonego wodoru odpowiadają dane i równoważne ilości rozpuszczonego cynku, zobojętnionego kwasu i powstałego siarczany cynku.

II.

Z tego określenia szybkości reakcji, jakie podaliśmy w poprzedzającym paragrafie — widzimy, że jest ona funkcją bardzo wielu zmiennych,

¹⁾ W dalszym ciągu wypadnie mi bardzo często mówić o danych ilościach rozmaitych związków chemicznych. Ilości te będę oznaczał przez formuły cząstek tychże związków, ujęte w nawiasy. Tak np. H_2 oznacza nieokreślenie wodoru, lub jedną jego cząstkę, zaś $[H_2]$ oznaczać u mnie będzie pewną ściśle określoną ilość wodoru. Podobnie:

CO_2 oznacza nieokreślenie dwutlenku węgla, lub jedną jego cząstkę,

a $[CO_2]$ oznaczać będzie pewną ilość dwutlenku węgla i t. d.

z których każda w rozmaitych doświadczeniach może być zmienną niezależną, stosownie do woli eksperymentatora; pewne jednak warunki w danem doświadczeniu zmieniają się zupełnie prawidłowo i przeważnie w zależności od prędkości przebiegu reakcji. Tak np. stężenie roztworów w rozmaitych doświadczeniach możemy zmieniać dowolnie — będzie więc ono zmienną niezależną, — w pojedynczym jednak, danym akcie chemicznym staje się ono zmienną, zależną od szybkości przebiegu reakcji. Toż samo stosuje się do temperatury: początkowa zależy w zupełności od woli eksperymentatora, na końcową — wpływa natura i szybkość reakcji.

Ilość nowopowstałych przy danej reakcji ciał zależy także między innemi od ilości cząstek (molekuł) działających na się, i jeżeli tylko warunki dla wszystkich cząstek są jednostajne, to ilość powstałego ciała musi być proporcjonalną do ilości cząstek, biorących udział w reakcji w danym momencie. Z tego faktu wynika prosty, lecz zarazem bardzo ważny wniosek, że przy badaniu szybkości reakcji, należy brać pod uwagę ilość działających na się cząstek i takową uwzględniać, w przeciwnym bowiem razie badanie szybkości reakcji nie może być ścisłe.

Lecz określenie bezwzględnej ilości cząstek stykających się w danej mieszaninie, jest jak na dzisiaj rzeczą niemożliwą — lub też wymagającą wyprowadzenia do wyliczeń znacznej liczby niedość uzasadnionych hipotezycznych przypuszczeń, — jeśli więc nie chcemy wyjść w badaniach po za sferę niezaprzeczalnej rzeczywistości, to poprzestać musimy koniecznie na określeniu względnej ilości działających na się cząstek. Lecz i tę ilość określić jest bardzo trudno wówczas, gdy mamy do czynienia z mieszaninami płynów lub gazów. Wprawdzie stężenie roztworów przy płynach — a ciśnienie przy gazach pozwalają na dokładne określenie względnej ilości stykających się cząstek — lecz zapominać nie należy, iż zarówno ciśnienie jak i koncentracja mogą wpływać samodzielnie, jako takie, na szybkość reakcji i wpływ ilości stykających się cząstek maskować.¹⁾

Z tego, mem zdaniem niezmiernie ważnego względu, — wszelkie badania nad szybkością reakcji należy prowadzić w ten sposób, aby ilość działających na się cząstek była albo stałą w ciągu całego doświadczenia — albo

¹⁾ Wpływ stężenia roztworów na ogólny przebieg reakcji dostatecznie wykazały badania Menshutkina dla eterów złożonych, jak niemniej prace Berthollet'a i wielu późniejszych, jako-to Pattison'a Muir'a i Chas. Slater'a dla podwójnych rozkładów soli. Wpływ ciśnienia, jako takiego, wykazuje dwudnie cytowana już wyżej zależność między ciśnieniem i szybkością rozpuszczania się platyny w wodzie królewskiej.

też aby się zmieniała w sposób ściśle określić się dający. Jedynie tylko reakcje pomiędzy płynami z jednej, a ciałami stałymi z drugiej strony odpowiadają temu warunkowi — przy tych reakcjach bowiem ilość oddziaływających na się cząstek jest wprost proporcjonalną do wielkości powierzchni zetknięcia pomiędzy ciałem stałym i płynem. Blacha cynkowa o dwa razy większej powierzchni styka się z kwasem, w który jest zanurzona, dwa razy większą ilością cząstek.

Przytoczone uwagi dostatecznie usprawiedliwiają zwrócenie się najpierw do badań reakcji pomiędzy płynami i ciałami stałymi. Istotnie pierwsze doświadczenia przeprowadzałem nad cynkiem, glinem i kadmem z jednej strony, a rozmaitemi kwasami z drugiej. Też same motywy skłoniły p. M. Kajandera do poszukiwań nad metalicznym magnezem i kwasami. Nie przesądając nic o pracach p. Kajandera — o swoich mogę zanotować tylko to, co już niejednokrotnie miałem sposobność wyrazić, iż nie dały one żadnego zadawalniającego rezultatu, ¹⁾ co niezaprzeczalnie ztąd pochodzi, iż metale, które ja miałem w użyciu nie przedstawiały w swej massie jednolitego utkania, — przez co charakter powierzchni metalicznej zmieniał się w ciągu doświadczeń w rozmaity sposób i różnorodność rezultatów powodował. Liczby wyprowadzone z doświadczeń opisanych już przeze mnie w Kosmosie i w „Berichte der Deutschen Chemischen Gesellschaft“ dostatecznie słuszność tego objaśnienia stwierdzają — zbytecznem więc byłoby przytaczanie ich powtórne, zauważyć jednak tu muszę, że aczkolwiek moje badania nad cynkiem glinem i kadmem dały rezultaty nie zadawalniające i nie dające się ująć wcale w karby rachunku, — to jednak p. Kajander zdołał otrzymać świetne rzecz można wyniki, badając rozpuszczalność metalicznego magnezu w kwasie siarczanym ²⁾, z drugiej zaś strony pan Pawlewski zapewniał mnie, iż sól metaliczny rozpuszczając się w kwasach tłuszczowych nie zmienia wcale charakteru swej powierzchni i wskutek tego do badania szybkości reakcji będzie się prawdopodobnie nadawał.

Otrzymawszy niedające się naukowo spożytkować rezultaty przy badaniach nad metalami zwróciłem się z kolei do poszukiwań nad rozpuszczalnością marmuru w kwasach. Cały szereg specjalnie w tym celu przeprowadzonych poszukiwań ³⁾ wykazał — że powierzchnia marmuru karraryj-

¹⁾ Kosmos I. 539.

²⁾ Kosmos I. 541.

³⁾ Kijewskija Uniwersitetskija Izwiestija — i Żurnał Ruskaho Chimiczeskaho Obszczestwa.

skiego podczas rozpuszczania się jego w kwasach (za wyjątkiem mrówkowego i octowego) nie ulega zmianie — pozostaje jednakowo gładką, wskutek czego można z przebiegu reakcji nad marmurem wnioskować o szybkości reakcji.

Ponieważ w miarę rozpuszczania się marmuru w kwasach stężenie tych ostatnich zmienia się ustawicznie — przeto najpierwej trzeba było zwrócić uwagę na wpływ stężenia kwasów na szybkość rozpuszczania się marmuru. Zbadanie wpływu stężenia musi być przeprowadzone przede wszystkim z tego powodu, że wszystkie inne warunki w ciągu jednego doświadczenia można ustalić, podczas gdy stężenie zmienia się ustawicznie w miarę postępu reakcji.

III.

Zanim zostanie poznany wpływ stężenia roztworów na szybkość reakcji — należy przedewszystkiem określić ściśle samo pojęcie *stężenia*. Otóż stężenie roztworu zazwyczaj określają jego procentowością, nie siląc się wcale na danie naukowej definicji tego pojęcia. Mówimy zazwyczaj: dwudziestoprocentowy roztwór kwasu solnego, piętnastoprocentowy roztwór chlorku wapnia i t. d. Ten sposób określania stężenia jest bardzo wygodny ze względów praktycznych, nie ma jednak najmniejszej naukowej wartości, bo nie daje nam żadnego pojęcia o ilości cząstek ciała rozpuszczonego w jednostce objętości roztworu.

Dla nas, w dalszym ciągu tej pracy, stężeniem czy to roztworu czy też gazu lub ciała stałego — będzie liczba, przedstawiająca ilość cząstek danego ciała w jednostce objętości.

Oznaczywszy przez *V* jednostkę objętości roztworu, przez *P* jego wagę, a przez *D* gęstość możemy napisać, iż

$$P = V D$$

to znaczy, iż objętość roztworu *V* zawiera *V D* wagowych części materii t. j. rozpuszczalnika łącznie z ciałem rozpuszczonym. Rozbiór chemiczny danego roztworu wykazuje nam jego procentowość: *p*%, co znaczy, że na 100 wagowych części roztworu znajduje się *p* części ciała rozpuszczonego, a zatem *V D* wagowych części roztworu zawiera ciała rozpuszczonego.

$$V D \frac{p}{100} \dots (4)$$

Jeżeli objętość *V* przyjmiemy w ciągu badań za jednostkę, to wyrażenie (4) przedstawiać będzie ilość ciała rozpuszczonego, zawartą w jednostce

objętości. Ilość ta, dla jednego i tego samego ciała rozpuszczonego będzie, rzecz prosta, proporcjonalną do liczby cząstek, zawartych w jednostce objętości roztworu, a zatem zgodnie z naszym określeniem będzie przedstawiała jego stężenie. Chcąc porównywać ze sobą stężenia rozmaitych ciał rozpuszczonych — należy liczbę daną przez wyrażenie (4) dzielić przez wagi cząstek ciał rozpuszczonych, przy rozumowaniach nad jednym i tem samem ciałem — nie ma potrzeby tego czynić.

Wyrażenie (4) w dalszym ciągu dla krótkości oznaczać będziemy przez y

$$y = VD \frac{p}{100}$$

pamiętając zawsze, że y jest ilością proporcjonalną do liczby cząstek w jednostce objętości roztworu.

Określiwszy w taki sposób stężenie roztworu możemy się teraz zająć zbadaniem wpływu stężenia na szybkość reakcyi. Rozbierzemy przedewszystkiem tę kwestyę teoretycznie, a następnie przejrzymy odnośne dane doświadczalne.

Wyobraźmy sobie jedną objętość roztworu kwasu solnego i przypuśćmy, że w niej znajduje się y wagowych części gazowego chlorowodoru. Jeśli w ten roztwór zanurzymy kawałek marmuru, którego powierzchnia równa się jednostce, to rzecz prosta, iż będzie się wydzielał kwas węglowy i to tem szybciej im większe będzie y . Chodzi nam o znalezienie zależności pomiędzy wielkością y , a ilością kwasu węglowego $[CO_2]$, wydzielonego w pewnym określonym czasie t .

Gdyby y mogło pozostać niezmiennem w ciągu jednego doświadczenia, to w takim razie należałoby tylko zrobić kilka obserwacyj, by się przekonać w jakiej zależności $[CO_2]$ stoi od y , lecz y nieustannie się zmienia i to w taki sposób, że gdy się wydzieli 44 wag. cz. kwasu węglowego, — to współcześnie obojętnieje 73 w. cz. kwasu solnego, a więc ilość tego ostatniego w danym momencie równa się ilości początkowej mniej ilość wydzielonego kwasu węglowego $[CO_2]$ pomnożona przez $\frac{73}{44}$, to jest ogólnie:

$$y = Y_0 - \frac{73}{44} [CO_2] \dots \dots \dots (5)$$

gdzie Y_0 jest stężeniem na początku doświadczenia.

W ciągu jednak nieskończenie małego czasu dt stężenie y możemy uważać za niezmiennem. Zrobiwszy przypuszczenie, że nieskończenie mała ilość kwasu węglowego, $d[CO_2]$, wydzielonego w ciągu czasu dt jest proporcjonalną do stężenia w tymże czasie, otrzymamy równanie:

$$d[CO_2] = kydt \dots \dots \dots (6)$$

w którym k jest ilością stałą, mającą się wyznaczyć z doświadczeń.

Różniczkując równanie (5) otrzymujemy:

$$d[CO_2] = -\frac{44}{73} dy$$

podsta wiwszy w równanie (6) wartość na $d[CO_2]$, mamy:

$$-\frac{44}{73} dy = kydt$$

albo:

$$\frac{dy}{y} = -\frac{73}{44} kdt$$

Jeżeli po upływie czasu t stężenie zmieniło się z początkowego Y_0 na końcowe Y_t , to całkując w odpowiednich granicach:

$$\int_{Y_0}^{Y_t} \frac{dy}{y} = -\frac{73}{44} k \int_0^t dt$$

otrzymamy:

$$\log. \text{ nat. } \frac{Y_0}{Y_t} = -\frac{73}{44} kt \dots \dots \dots (7)$$

albo:

$$Y_t = Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt}$$

Tę ostatnią wartość na Y_t podstawmy w równaniu (6) zamiast y , — to otrzymamy:

$$d[CO_2] = k Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt} dt$$

całkując w odpowiednich granicach:

$$\int_0^t d[CO_2] = \frac{44}{73} k Y_0 \int_0^t e^{-\frac{73}{44} kt} dt$$

i wypełniając działania otrzymujemy

$$[CO_2] = \frac{44}{73} (Y_0 - Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt}) \dots \dots (8)$$

równanie (8), które już można poddać doświadczalnemu sprawdzaniu. Prostsza jednak ku temu droga jest następująca: Z równania (7) po przekształceniu:

$$\log. \text{ nat. } Yt - \log. \text{ nat. } Y_0 = - \frac{73}{74} kt$$

i zmianie znaków otrzymujemy

$$\frac{73}{74} k M = \frac{\lg. \text{ vulg. } Y_0 - \lg. \text{ vulg. } Yt}{t} \quad (9)$$

równanie (9), którego prawa strona musi być ilością stałą, jeśli przypuszczenie, że szybkość reakcji jest proporcjonalną do stężenia jest słusznem.

W celu sprawdzenia przypuszczenia, którego teoretyczny rozbiór tylko co został przytoczony, przeprowadziłem dość znaczną liczbę badań doświadczalnych, których metodę opisałem już szczegółowo przed kilku laty. Do dzisiaj w samym sposobie prowadzenia i obliczania doświadczeń nie wprowadziłem żadnej znaczniejszej zmiany, rezultaty zaś otrzymane po dziś dzień dadzą się streścić w sposób następujący:

IV.

1. Przy temperaturze wynoszącej około 20° szybkość rozpuszczania się marmuru w kwasie solnym jest proporcjonalną do stężenia tegoż kwasu. Ilość $\frac{73}{44} k M$, która wedle teorii powinna być stałą — wedle doświadczeń zmieniała się bardzo niewiele — niemal, że w granicach błędu obserwacyjnego, a mianowicie:

$$\frac{73}{44} k M \text{ średnio z 53 doświadczeń} \quad 0,01765$$

$$\frac{73}{44} k M \text{ największe z dawnych doświadczeń} \quad 0,0199$$

$$\frac{73}{44} k M \text{ najmniejsze z dawnych doświadczeń} \quad 0,0138$$

Nowsze doświadczenia, których jeszcze nie ogłaszałem wykazały, że gatunek marmuru wpływa bardzo na wielkość iloczynu $\frac{73}{44} k M$, a więc i na szybkość reakcji. Wszystkie opisane w Kosmosie doświadczenia wykonane były na miękkiej odmianie marmuru karraryjskiego, znanej pod nazwą b e-

t u l i o, one to dały przytoczony powyżej rezultat 0,01765 w ostatnich czasach wykonałem kilkanaście doświadczeń z odmianą twardszą, szarawą — z ciemnymi żyłkami, zwaną s e r o w a z z a, dla tej odmiany iloczyn $\frac{73}{44} k M$ jest średnio 0,0201.

2. Wspólnie z p. Mikołajem Kajanderem poddałem badaniu process rozpuszczania się marmuru w kwasach mrówkowym i octowym. Wartości otrzymane przez nas zmieniały się w olbrzymich granicach od 0,000432 do 0,0007411. Doświadczenia te wykonane były przy temperaturze około 21°, co jest bardzo ważną okolicznością, jak to poniżej objaśnię. Tak niezadawalniające rezultaty były wynikiem tego, że oba wspomniane kwasy zgryzują marmur nierówno — czynią jego powierzchnię chropawą — a więc zmieniającą swą wielość w ciągu jednego i tego samego doświadczenia, skutkiem czego działanie ich wymyka się z pod dokładnej obserwacji.

3. Również wspólnie z p. Kajanderem badałem działanie na marmur (betulio) przy temperaturze około 20° kwasów azotnego i bromowodorowego.

$$\text{Dla azotnego znaleziono} \quad \frac{128}{44} k M = 0,0176 \text{ (średnio)}$$

$$\text{Dla bromowodorowego znaleziono} \quad \frac{162}{44} k M = 0,0185 \text{ (średnio)}$$

$$\text{Ponieważ dla solnego} \quad \frac{73}{44} k M = 0,01765 \text{ (średnio)}$$

więc zawnioskowaliśmy, że przy jednakowych stężeniach rozmaitych kwasów, szybkość działania tychże kwasów na marmur jest odwrotnie proporcjonalną do wag ich cząstek (136, 162, 73).

4. Niezależnie od pana Kajandera poddałem w ostatnich czasach marmur (b e t u l i o) działaniu kwasu jodowodorowego. Rezultat przy temperaturze około 20° był równie niezadawalniający, jak dla kwasów mrówkowego i octowego bo ilość $\frac{256}{44} k M$, która w razie słuszności teorii powinna być stałą, zmieniała się w olbrzymich granicach od 0,00849 do 0,002278.

V.

Uważając zbyt pośpiesznie na zasadzie dawnych doświadczeń, że szybkość reakcji między marmurem i kwasami jest proporcjonalną do stężenia kwasów, jak to wyrażone pod 1) — zacząłem w ciągu roku przeszłego i bieżącego badać wpływ temperatury na te same reakcje.

Pragnąc spożytkować w tym celu dawne obserwacje dokonane przy temperaturze 20°, prowadziłem nowe doświadczenia przy 0° i przy 50° a zarazem powtórzyłem 5 razy dawne, dokonywane przy 20°.

Obserwacyi przy 0° zebrałem 22, przy temperaturze zaś 50° 23. Aczkolwiek metodę badań w wielu szczegółach ulepszyłem, szczególnie mierzenie powierzchni uczyniłem bardziej dokładnem — przez zastąpienie blaszek równoległościennych kulami marmurowemi, których średnicę mierzyłem szrubą mikrometryczną (fabryki Sallerona: krok szruby = 1 mm, — główka podzielona na 20 części, czterdzieste więc części milimetra mogłem oceniać z łatwością), aczkolwiek posiadałem bardzo dobre i dokładne termometry — niemniej przeto muszę się wstrzymać od przytaczania liczebnych wyników moich obserwacyj z tego względu, że wagi i odważniki, jakimi się posługiwałem były bardzo niedokładne.

Mimo jednak dużą niedokładność mych wag, ogólny rezultat ostatnich moich obserwacyj — nie może być wcale kwestyonowany. Da się on streścić w czterech następujących punktach:

1. Przy niezbyt mocnych stężeniach i przy temperaturze 0° szybkość reakcyi między CO_2 Ca i ClH wzrasta powolniej niż stężenie kwasu solnego, to znaczy, że powiększając stężenie 2, 3, 4 i t. d. razy powiększamy szybkość mniej niż 2, 3, 4 i t. d. razy.

2. Przy temperaturze 50° i przy niezbyt mocnych stężeniach szybkość reakcyi między CO_2 Ca i ClH wzrasta prędzej niż stężenie kwasu solnego, to znaczy, iż powiększając stężenie 2, 3, 4 i t. d. razy — powiększamy szybkość więcej niż 2, 3, 4 i t. d. razy.

3. Podwyższenie temperatury od 0° do 21° powiększa szybkość reakcyi około 3 razy (2,93 średnio) podwyższenie zaś od 0° do 50° powiększa szybkość reakcyi około 10 razy (9,98 średnio).

4. Przy temperaturach wysokich (50°) powierzchnia marmuru po wyjęciu z kwasu jest gładką, lśniącą, jak gdyby wypolerowaną przy temperaturach niskich (0°) jest matową i szorstką. To pozwala twierdzić, że kula o jednakowej średnicy styka się większą liczbą swych cząstek z kwasem zimnym, aniżeli z ogrzanym i przy porównywaniu rezultatów otrzymanych przy rozmaitych temperaturach nakazuje powiększać liczby otrzymane przy wyższych, a zmniejszać — otrzymane przy niższych temperaturach.

Ponieważ przy 50° szybkość reakcyi wzrasta prędzej, a przy 0° wolniej aniżeli koncentracja, więc rzecz prosta, iż w odstępie pomiędzy 0° i 50°

musi koniecznie istnieć temperatura, przy której szybkość wzrasta zupełnie tak samo jak koncentracja, czyli jest do niej wprost proporcjonalną.

Temperatura ta leży około 20°. Przy tej temperaturze wykonywałem wskutek prostego przypadku pierwsze obserwacje i tem należy objaśniać błąd, jaki popełniłem, biorąc prawo szczegółowe — za prawo ogólne i twierdząc bez żadnych zastrzeżeń, że szybkość reakcyi jest proporcjonalną do koncentracji, gdy tymczasem jest ona taką, ale tylko przy temperaturze około 20°.

P. Br. Pawlewski wkrótce po ogłoszeniu badań moich i Kajanderza nad marmurem, kwasem azotnym i solnym zajął się rozpuszczaniem CO_2 Ca, CO_2 Ba i CO_2 Sr w kwasach. Węglały brał w zawieszeniu, w stanie proszku, w jakim je strącają z roztworów węglany alkaliów. Badając szybkość tego rozpuszczania zauważył, iż jest ona odwrotnie proporcjonalną do wag atomowych Ca, Ba i Sr, a nie do wag cząsteczkowych CO_2 Ca, CO_2 Sr i CO_2 Ba. To dało p. Pawlewskiemu powód do podania w wątpliwość prawa, wyrażonego podliczbą 3) w § 4, i do twierdzenia, że i w tym razie szybkość reakcyi jest proporcjonalną do wag atomowych chloru, bromu i do wagi grupy NO_3 , a nie do wag cząsteczkowych NO_3H , ClH i BrH . Być może, iż przypuszczenie p. Pawlewskiego jest słusznem, jednak sprawdzić, które z rzeczonych praw, czy proponowane przez p. Pawlewskiego, czy też to, któreśmy postavili wspólnie z p. Kajanderem jest istotnem — nie można, dla tego, że ciężary atomowe Cl, Br i ciężar grupy NO_3 zbyt mało się różnią od wag cząsteczkowych ClH , BrH i NO_3H by w tym razie bezpośrednio doświadczenie zdecydować mogło.

Nie przytaczając tu badań, dokonanych niedawno przez p. Kajandera nad szybkością rozpuszczania się magnezu, — gdyż ta praca, aczkolwiek wedle ustalonej przezemnie metody wykonana — z bezpośrednim przedmiotem mych poszukiwań w związku nie stoi — mogę wyrazić uzasadnioną, jak sądzę, nadzieję, że nieza długo dzięki dokładnym narzędziom jakimi rozporządzam obecnie — będę mógł przytoczyć zupełnie ścisłe dane co do wpływu temperatury na szybkość reakcyi, który to wpływ dotychczas tylko w przybliżeniu określić zdołałem.

J. J. Boguski.

O FUNKCYACH CIĄGLYCH

DLA KTÓRYCH ISTNIENIE CAŁEK OGÓLNYCH JEST WĄTPLIWEM.

W buletynach matematycznych p. Darboux (Ser. 2-a, T. IV, Część 2, str. 175, r. 1880) streszczenie pracy p. L. Cohen Stuart, p. t. *O pewnym przypadku nieciągłości*, pomieszczonej w Tomie XI Archiwów niderlandzkich umiejętności ścisłych i naturalnych i zrobione, zdaje się, przez samego autora, brzmieć jak następuje:

„Beaucoup de mathématiciens admettent tacitement, et quelques-uns l'enoncent en termes formels, que si, x variant d'une manière continue, $f(x)$ change subitement de valeur, cela implique toujours, pour la fonction dérivée $f'(x)$, une rupture de continuité, à savoir par le passage à l'infini; en conséquence, que $\int_a^b f'(x) dx$, regardé comme la valeur que prend $\sum f'(x) \Delta x$ lors-que x croît de a à b et que Δx tend indéfiniment vers zéro, pourrait être posé égal à $f(b) - f(a)$ aussi longtemps que $f'(x)$ reste fini.“

„Un exemple propre à montrer que cela n'est pas vrai d'une manière absolument général, et donnant d'ailleurs lieu à des remarques qui méritent quelque attention, est fourni par la discontinuité de

$$f(x) = e^{-\frac{1}{x}}$$

(comme cas particulier de r^{-s}) pour $x=0$.”

Przykład powyższy dowodzi istotnie nieogólności pierwszej części

przytoczonego twierdzenia. Wartość bowiem funkcji $e^{-\frac{1}{x}}$, w miarę jak x

zbliża się do zera, dąży do 1 lub 0, stosownie do tego czy to x jest wciąż

ujemne lub wciąż dodatne, podczas kiedy wartość pochodnej $e^{-\frac{1}{x}}$ dla $x = +0$ jest zawsze zerem i nigdy nieskończonością. Udowodnimy je-

dnak że całką ogólną funkcji $e^{-\frac{1}{x}}$ nie może być funkcja $e^{-\frac{1}{x}}$, przez co okaże się że przykład p. L. Cohen Stuart niczego nie dowodzi przeciwko ogólności twierdzenia zawierającego się w formule

$$(1) \int_a^b f'(x) dx = f(b) - f(a).$$

Jakoż, ponieważ funkcja $e^{-\frac{1}{x}}$ jest w punkcie $x=0$ przerywaną, przeto

pochodna $e^{-\frac{1}{x}}$, jako brana w punkcie innym, odnosi się li tylko do przedziałów określonych nierównościami: $-\infty \leq x \leq -0$ i $+0 \leq x \leq \infty$, lecz do przedziału całkowitego, od $x = -\infty$ do $x = +\infty$, odnosić się

wcale nie może, albowiem funkcji $e^{-\frac{1}{x}}$ w punkcie jej przerwy, $x=0$, różniczkować nie wolno.

Zobaczmy teraz że istnieje funkcja dla której $e^{-\frac{1}{x}}$ jest pochodną w całym przedziale od $x = -\infty$ do $x = +\infty$.

Zalóżmy w tym celu $x = \operatorname{tg} u$ i uważmy że

$$\frac{e^{-\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{\operatorname{tg} u}}}{x^2} = \frac{e^{-\frac{1}{\operatorname{tg} u}} - e^{-\frac{1}{\operatorname{tg} u}}}{\sin^2 u} = \varphi'(u) du.$$

$\varphi'(u)$ jest skończone i ciągłe dla każdej wartości u ; prócz tego mamy $\varphi'(u) = 0$ dla u będących wielokrotnościami π . W całce przeto $\int_{+0}^u \varphi'(x) du$, elementy tym wielokrotnościom odpowiadające można będzie opuścić, to jest położyć:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \int_{+0}^{\pi-0} \varphi'(u) du + \int_{\pi+0}^{2\pi-0} \varphi'(u) du + \dots + \int_{\pi+0}^u \varphi'(u) du,$$

$$E\left(\frac{u}{\pi}\right)\pi + o$$

gdzie $E\left(\frac{u}{\pi}\right)$ oznacza liczbę całkowitą bezpośrednio mniejszą od $\frac{u}{\pi}$.

Po wykonaniu wskazanych całkowań i odpowiedniej zmianie w porządku summowania, znajdziemy:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \left[\frac{1}{e^{tg u}} \right]_{+0}^u - \sum_{n=1}^{n=E\left(\frac{u}{\pi}\right)} \left[\frac{1}{e^{tg u}} \right]_{n\pi-0}^{n\pi+0};$$

a że $\left[\frac{1}{e^{tg u}} \right]_{n\pi-0}^{n\pi+0} = -1$, przeto będzie także:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \left[\frac{1}{e^{tg u}} + E\left(\frac{u}{\pi}\right) \right]_{+0}^u = \left[\frac{1}{e^{tg u}} + E\left(\frac{u}{\pi}\right) \right],$$

gdyż według założenia $E\left(\frac{+0}{\pi}\right) = 0$.

Tym sposobem otrzymaliśmy odpowiedniość następującą:

$$\varphi'(u) = \frac{\frac{1}{e^{tg u}} - \frac{1}{e^{tg u}}}{\sin^2 u}, \quad \varphi(u) = \frac{1}{e^{tg u}} + E\left(\frac{u}{\pi}\right) + C,$$

która ma miejsce dla każdej wartości u zawartej między $-\infty$ i $+\infty$.

Powracając do zmiennej x , znajdziemy oczywiście:

$$f'(x) = \frac{\frac{1}{e^x} - \frac{1}{e^x}}{x^2}, \quad f(x) = \frac{1}{e^x} + E\left(\frac{\arctg x}{\pi}\right) + C,$$

gdzie

$$-\infty \leq x \leq +\infty \text{ i } -\frac{\pi}{2} \leq \arctg x \leq \frac{\pi}{2},$$

a tem samem

$$E\left(\frac{\arctg x}{\pi}\right) = -1, \text{ dla } x < 0,$$

$$E\left(\frac{\arctg x}{\pi}\right) = 0, \text{ dla } x > 0.$$

Ztąd okazuje się, że całką ogólną funkcji $\frac{1}{x^2} - \frac{1}{e^x}$, w przedziale

od $x = -\infty$ aż do $x = +\infty$, jest funkcja $\frac{1}{e^x} + E\left(\frac{\arctg x}{\pi}\right) + C$, skończona i ciągła w całym tym przedziale, a nie, jak to chce mieć p. L. Co-

hen Stuart, funkcja $\frac{1}{e^x} + C$, zrywająca swą ciągłość w punkcie $x = 0$; przez co ogólność twierdzenia zawartego w formule (1) nie została jeszcze przez jego przykład zachwiana.

Lecz damy zaraz przykład inny, który, jeżeli ogólności pomienionego twierdzenia całkiem nie obala, to przynajmniej robi ją bardzo wątpliwą.

Na ten koniec niech będzie

$$f'(x) = -\frac{\pi}{4 \cos^2 x} \frac{\sin(\pi tg x)}{E^6(tg x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} tg x\right)},$$

gdzie $E(tg x)$ oznacza, jak wyżej, liczbę całkowitą bezpośrednio mniejszą od $tg x$, zaś $E^6(tg x) = \{E(tg x)\}^6$. Jeżeli więc nazwiemy przez n liczbę całkowitą a przez α_n łuk taki że $tg \alpha_n = n$, to będzie

$$E[tg(\alpha_n - 0)] = n-1, \quad E[tg(\alpha_n + 0)] = n.$$

Funkcja $f'(x)$, w ten sposób określona, jest skończoną i ciągłą dla każdej wartości x . Ta funkcja bowiem posiada oczywiście wymienione własności dla każdej wartości x różnej od wielokrotności $\frac{\pi}{2}$ i od α_n . Ażeby się przekonać że ona jest taką samą i dla tych ostatnich, dosyć zauważyć, że dla x będących wielokrotnościami parzystymi $\frac{\pi}{2}$ lub dla x równych α_n , licznik jej staje się zerem a mianownik różnym od zera; zaś

dla x będących wielokrotnościami nieparzystymi $\frac{\pi}{2}$ tenże licznik staje się wprawdzie nieoznaczonym, lecz za to mianownik staje się nieskończenie wielkim, i funkcyj przyjmuje wartość zero. To ostatnie twierdzenie łatwo uwidocznili oznaczając przez μ nadmiar $\operatorname{tg} x$ nad $E(\operatorname{tg} x)$ i włączając $\cos x$ pod znak pierwiastka. Wówczas bowiem pod tym znakiem znajdzie się wyraz następujący:

$$\cos^4 E^6(\operatorname{tg} x) = \cos^4(\operatorname{tg} x - \mu)^6 = \frac{(\sin x - \mu \cos x)^6}{\cos^2 x},$$

który, dla x będących wielokrotnościami nieparzystymi $\frac{\pi}{2}$, jest oczywiście nieskończenie wielkim.

Ponieważ $f'(x_n) = 0$, zatem przy szukaniu wyrażenia całki $\int_{+0}^x f'(x) dx$, $x > 0$, elementy odpowiadające wartościom $x = x_n$ można będzie opuścić. Wyrazimy to kładąc:

$$\int_{+0}^x f'(x) dx = \int_{+0}^{x_1-0} f'(x) dx + \int_{x_1+0}^{x_2-0} f'(x) dx + \dots + \int_{x_{n-1}+0}^{x-0} f'(x) dx.$$

W każdej z całek po prawej funkcyj $E(\operatorname{tg} x)$ zachowuje już wartość stałą, całkowania przeto dają się tu wykonać, i będzie np.

$$\int_{x_{n-1}+0}^{x_n-0} f'(x) dx = \left[\sqrt{E^6(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right]_{x_{n-1}+0}^{x_n-0}.$$

Na tej zasadzie, i zmieniając przy tem porządek summowania, znajdziemy łatwo:

$$\int_{+0}^x f'(x) dx = \left[\sqrt{E^6(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right]_{+0}^x - \sum_{n=1}^{n=E(\operatorname{tg} x)} \left[\sqrt{E^6(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right]_{x_n-0}^{x_n+0},$$

a po wykonaniu podstawienia granic:

$$(2) \int_{+0}^x f'(x) dx = \left(\sqrt{E^6(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} - 1 \right) - \sum_{n=1}^{n=E(\operatorname{tg} x)} \left(\sqrt{n^6 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} - \sqrt{(n-1)^6 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} \right).$$

Z uwagi że funkcyj $f'(x)$ jest skończoną i ciągłą dla każdej wartości zmiennej x , całka $\int_{+0}^x f'(x) dx$ powinna mieć wartość także skończoną i ciągłą, dopóki przedział całkowania jest skończony. Tak przynajmniej należałoby sądzić w uważaniu zmiennych x i $f'(x)$ za odciętą i rzędną punktów należących do krzywej ciągłej odniesionej do osi prostokątnych, a całki $\int_{+0}^x f'(x) dx$ za pole powierzchni ograniczonej tą krzywą, osią odciętych i rzędnymi skrajnemi. Lecz formuła (2) znaleziona na pomienionej całce twierdzenie to usprawiedliwia li tylko dla wartości x mniejszych od $\frac{\pi}{2}$, albowiem tylko wówczas składa się ona z liczby skończonej wyrazów oznaczonych. Dla $x = \frac{\pi}{2} - 0$, ta formuła przedstawia się już pod postacią nieoznaczoności $(\infty - \infty)$, gdyż jej wyraz pierwszy, objęty nawiasem, zamienia się na nieskończoność, a wyraz drugi, przedstawiony znakiem summowania, staje się szeregiem nieskończonym, o wyrazach dodatnich, rosnących nieograniczenie, którego summa nie daje się przedstawić w formie skończonej; wiadomo więc tylko o niej że jest nieskończenie wielką. Dla $x > \frac{\pi}{2}$ wyraz pierwszy pomienionej formuły jest skończony; lecz dla otrzymania wyrazu drugiego należałoby, w summie go przedstawiającej, wziąć wyrazów więcej niż nieskończoność, albowiem n przechodzi w tym przypadku przez wszystkie liczby całkowite od $n=1$ aż do $n = E\left[\operatorname{tg}\left(\frac{\pi}{2} - 0\right)\right] = \infty$ i dalej jeszcze od $n = E\left[\operatorname{tg}\left(\frac{\pi}{2} + 0\right)\right] = -\infty$ aż do $n = E(\operatorname{tg} x)$. Całka w tym razie przedstawia się także pod postacią nieoznaczoności

$$\left(\sqrt{E^6(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} - 1 \right) - (\infty - \infty),$$

nie dającej się do formy oznaczonej sprowadzić.

Otóż, $f(x)$, czyli całka ogólna funkcji danej $f'(x)$, otrzymuje się, jak wiadomo, przez dodanie stałej dowolnej do prawej części równości (2); a że $f'(x)$ jest skończone i ciągle, a zatem i oznaczone dla każdej wartości x , przeto $f(x)$ powinno posiadać te same własności i prócz tego jeszcze, pochodna tej funkcji powinna się równać $f'(x)$ dla każdej wartości x . Lecz jak z poprzedniego wiadomo, $f(x)$, dla $x > \frac{\pi}{2}$, staje się nieoznaczonością; dopóki zatem nie potrafimy wyrazić summy

$$\sum_{n=1}^{n=E(tg\ x)} \left(\sqrt[n^6 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}]{} - \sqrt[(n-1)^6 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}]{} \right)$$

pod postacią, pod którąby pomieniona nieoznaczoność zniknęła, dopóty twierdzić nie mamy prawa że $f(x)$ jest całką ogólną $f'(x)$, pomimo oczywistości wynikającej z uważania geometrycznego, od któregośmy rzecz o tej całce rozpoczęli. Uważanie bowiem geometryczne nie stanowi dowodu, ale raczej tylko uzmysłowienie tego co na drodze analitycznej zostanie udowodnionem.

we Wrześniu 1882 r.

Wł. Gosiewski.

DOBRA PANI.

NOWELA.

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło małenstwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej i wylękle i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po śliskiej posadce, gotowe — stosownie do okoliczności — wybuchnąć płaczem, albo i śmiechem. Korallowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącymi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już-już krzyknąć miała w niebogłosey zapewne, lecz nagle, wrażenie trwogi ustąpiło snąc przed uczuciem radości, bo gwałtownie wyrwając rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła — Ciucia! ciucia! — Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pińczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłem i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącą na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej, ogromnej jego sierści dwie malutkie czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajmających się z sobą istot stanęła kobieta około 40-letnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa, schylona we dwoje całowała białą jej rękę.

— Helka! czemuż Wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech Wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej, pełne ognia i czułości, z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzyczce

dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz lzy w szafirowych źrenicach i obydwoma rękami trzymała się spódnicy Janowej.

— Robiliśmy, Wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi, grzeczności nie nauczyła się... Ot teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyla... sierocie!

— Sierota!—ze wzruszeniem powtórzyła p. Ewelina i pochylona nad dzieckiem chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz, nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

— O! biedactwo! Jakże to ubrane!—zawołała—sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

— A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku splata warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... bez pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

— Panny Czernickiej!—rzekła krótko do zjawiającego się w drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka, pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami spiętymi z tyłu głowy wysokim sztykretowym grzebieniem. Od progu, bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko, chmurnem wejrzeniem, lecz, gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wąskich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej.

— Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała rumieńców, możnaby ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi za model do cherubinka przedstawić.. Przytem, sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych pocziwych ludzi.. w takim smutnem domostwie... wilgotnem, ciemnem... Zaświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale, moja Czernisiu! trzeba ją wykąpać, uczesać, ubrać... zmiłuj się! za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechała się rozkosznie, ręce u piersi giętem zachwyceń splotała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wybornym. W wyborny też humor wpadła, chmurna i posepna u wejścia, panna służąca. Jak wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywając pochwyliła Helkę w swe suche, sprężyste ramiona, z nad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącymi pocałunkami okrywając z salonu ją wyniosła. Pani Ewelina, rozpromieniona i od łez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną dobrocią jej ośmielona i także rozrzewniona, płakała i po raz wtóry opowiadała historią Helki, sieroty po krewniaku jej, tak samo jak mąż jej, mularzu, który z rusztowania spadłszy, zabił się na śmierć, poczem prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do łez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Janowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne a takie śliczne dziecko; Janowa, sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe i bez tego czerwone, do krwistej barwy rękawem lustrynowego kaftana natarła. Skończyło się na tem, że mularzowa byłaby na klęczki przed panią Ewelina upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować; lecz pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, poczem prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz, Janowa zaśmiała się przez lzy rubasznie i wesoło.—Dam ja im cukierki!—zawołała—albo to pańskie dzieci żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już Wielmożna pani tak łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Nakoniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napotkanymi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś, po odejściu Janowej, osunęła się na kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czem myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promie-

niem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przez nią przybrana... O jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już-już zastygnać, zestarzeć, w martwą apatyę, lub w ciemną melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli, ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyszcili i ubrała tego aniołka...

Tu, zaduma p. Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które, wspinając się na jej kolana, zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym giestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On, gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snąć był kochanym, aby mózdz łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znowu kosmatemi łapkami darł koronki i drapał atlasową rękę swej pani. Tym razem, poskoczyła z kanapki zadzwoniła.

— Panny Czernickiej!—rzekła do zjawiającego się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

— Moja Czernisiu! weź proszę cię Elfa i niech on tam przy tobie, w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególny. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującymi go, kościstymi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale p. Ewelina usunęła go z lekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie, przez mgnienie oka zatopila w twarzy swej pani.

— Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

— Nieznośny!—powtórzyła p. Ewelina i z giestem niechęci dodała: nie pojmuję już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

— O! on był kiedyś wcale innym!

— Nieprawdaż, Czernisiu, wcale był innym. Był kiedyś prześliczny... Ale teraz...

— Teraz zrobił się nudnym...

— Okropnie nudnym... Weź go do garderoby i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu.

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z naszą małą?

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie Helkę...

— Panienkę!—od niechcenia przerwała p. Ewelina.

— Panienkę... Ja, kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

— Wiem, wiem...

— Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwiem, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko, proszę panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko...

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atlasów, pełno było w szafach i komodach, napelniających sobą kilka pokojów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem, był w garderobie wielki gwar zażartego targowania się i kupowania; potem jeszcze, spora część wyjętych z szaf i komór przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu, znikły w przepaścistym kufrze, stanowiącym osobistą własność panny służącej. Nakoniec, z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem, z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać, na prędkę sporządzaną sukienkę. Nazajutrz dopiero, krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś, panienska ta wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosemi nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieszczot z Elfem, zapominać zdawała się o całym świecie.

O całym świecie też zapomniła utopiona w głębokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i paskowych adamaszków, panowała cisza głęboka. Przez wpółotwarte portyery, widać było kilka większych i mniejszych pokojów, pogrążonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca, wnikać przez

szczeliny zapuszczonych żaluzji, ślizgały się tu i ówdzie po ścianach, ko-biercach i złoconych ramach obrazów. Z za okien, dochodziły wonie rozkwitłych róż i świegoty ptastwa, w głębi domu w sali jadalnej, z cicha po-brzękiwały ustawiane do wieczery naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej, myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bez-dzietna, z sercem gorącym a samotnem, nie była nawet tak bogatą, aby móżdż zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwię-cej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały ją niekiedy i na czas pewien, do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i ob-szernymi dobrami, posiadaniem przez nią w okolicach Ongródu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spła-cenia, jakieś nieuniknione gospodarskie wydatki do poniesienia—a wszystko to odejmowało p. Ewelinie wszelką możność wyjechania za granicę, albo przynajmniej, zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko już dwa lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkim, otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąca do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swemi, fortepianem, Czer-nisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak, spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drga-jących strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzieindziej. Tu nie wiedziała nawet jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie, kiedy niekiedy, tym i owym, dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej, ani wypełniało czasu, ani zadowolnił mogło sumienia. Ona w wielkich miastach, przywy-kła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowni-ków duchownych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychy wysokich kamienic, w ciemne sutereny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami w przedsionkach świątyń umieszczone i t. p. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynno-

ści dręcząc ją, dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle, w Ongródzie, uformowano tak zwane Towarzystwo dam dobroczynnych. Pani Ewelina, jako najmajętniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzię-cia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwaną została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić do-brze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze, rósłacej jej zazwyczaj na widok nędz ludzkich, lzy litości i rozrzewnienia! O ucho jej obiją się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się niby anioł pomocy i pocieszenia! Stanęła na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w któ-rej wyszukiwać miała ubogich. Szukała. Szukając, zaszła wypadkiem do domostwa zamieszkiwanego przez rodzinę mularza i zobaczyła Helkę. Dzie-cko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie. Bawiło się podobno z psem czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty, oblane słoń-cem, które we włosach jej rozpałało ogniste błyski, czy może jeszcze, zdu-mione widokiem powozu, koni i pięknej, strojnej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba, — dość, że od razu wydało się jej niezwykłym, przesłicznym i że, gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co jedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śla-dów tych, serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Ja-nową wyrazu: „sierota!“ Iza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Za-pragnęła dziecka tego, zapagnęła go na wyłączną swą własność, z zapa-lem i mocą duszy namiętnej jak wulkan a samotnej jak łódź, na burzliwych przestworach morza zbłąkana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i, zaprawdę, bez trudności! Teraz, kochając dziecię to, uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je ma-cierzyńskimi skrzydły, zadowolni sumienie swe, rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz, gdzież ona jest, przesłiczna dziecina ta? Gdzie jest ten, zesłany jej przez Opatrzność, anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czer-nisia nie przyprowadza jej dotąd? biedactwo! jeszcze pewnie nie ubrane! Ale że umyte już i wykąpane, to pewna. Trzebaby pójść do pokoju Czer-nickiej, uściskać je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi ze sple-cionymi u piersi rękami, stanęła. W drzwiach przeciwnych ukazała się Czernicka, prowadząca za rękę Helkę, ale jakże zmienioną! Jakaż meta-morfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świę-

tnego kolibra. Różowe wstążki, niby piórka czy skrzydelka, pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki, ociągnięte pończoszkami delikatnymi jak sieć pajęcza, a niknącemi w malutkich błękitnych trzewieczkach; ogniste włosy utrefione, woniejące trzymała w karchach opaska z szyldkretu. Stojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatającą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu z ustami znowu do płaczu skrzywionemi, ze szczupłemi ramionami sztywnie, w obawie zgniecenia sukni rozpostartemi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewieczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny, nieśmiało i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła pochwycając ją w objęcia, teraz dopiero okrywać ją zaczęła gorącemi pocałunkami. Potem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z niem usiadła przy stole zastawionym piękną porcelaną i wybornymi przysmakami. W pół godziny potem, Czernicka wchodząc do jadalni, znalazła Helkę siedzącą na kolanach nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość p. Eweliny prędko bardzo wlały w serce dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonemi, nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nieznanym jej dotąd przedmiotom, o nazwę ich pytając.

— Co to? pani, co to?

— Filiżanka, odpowiadała p. Ewelina.

— Fili—zian—ka... z niejaką trudnością powtarzała Helka.

— A po francuzku, nazywa się to: *la tasse*!

— Tas, tass tas-tas-tas! szebiotowała Helka. Kobieta i dziecko miały pozór istot doskonale szczęśliwych. Czernicka ze swą szklanką herbaty opuszczając jadalnię uśmiechała się w sposób sobie właściwy, trochę sztywny, trochę smutny.—Takim był pierwszy dzień pobytu Helki w domu p. Eweliny, a po nim nastąpił długi, długi szereg dni podobnych, lub może, dla kobiety zarówno jak dla dziecka, jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach, po ładnym ogrodzie, willę otaczającym, od rana do wieczora prawie fruwała dziewczynka do barwnego kolibra podobna. Drobne, wykwiłtne obute jej stópkę obiegały po zwirowanych ścieżkach kłaby napelnione kwiatami; złotemi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwała się nad niskimi grupami zieleni, jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazne sztachety, przedzielające ogród willi od zamiejskiej

ulicy. Pani Ewelina, na obszernym i ozdobnym ganku siedząc, godzinami całemi zapominała o książce trzymanej w ręku, ściagała wzrokiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem łowiła każdy dźwięk szebiotu jej i śmiechu, a czasem zbiegłszy ze wschodów ganku, zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całem sercem oddawać się zdawała, można było spostrzedz najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już jednak niemłodej kobiecie. Policzki jej rumienily się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziewczęcej. Gonitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję p. Eweliny, wzajemnemi pieszczotami i długiem przesiadywaniem na kobiercu murawy, pośród kwiatów, z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznemi sztachtami, na chodniku ulicy, przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tem piękniejszą, że tłem jej był pałacyk, malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tem więcej rozrzucający, iż wiadano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone, najsilniejsze wrażenie wywierały w białe, zimowe dni, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką, całą w atlasach i labędzich puchach, i na tę kobietę w sobolach i aksamicie, zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży wychylającej się ze śniegu, lecz, jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekunki? Nazywano ją po prostu: świętą! Taką opieką i miłością otoczyć dziecię obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Było to istotnie godnem uwielbienia. Uwielbiano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapalem porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wkoło niej tłum, z łoskotem na kolana padała i pocziwe błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego ołtarza, a rękawem świątecznej algierki lę na czerwonej twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

— A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen.

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też z sobą i w nocy. Małe rzeźbione z orzecha łóżko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łóżku p. Eweliny. Na niem, własnymi rękami opiekunki swej rozebrana i w batystową nocną koszulkę przyobleczona, na we-

bowej haftami okrytej pościeli. Helka usypiała codziennie cichym uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. P. Ewelina układając ją do snu, czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, poczem, gdy Czernicka układała kołdrę jej w malownicze draperye, mówiła:

— Jaka ona śliczna, Czernisiu!

— Jak aniołek — odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka nie śpiąca jeszcze rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy, przerywany wołaniem:

— Pani śliczniejsza! śliczniejsza! śliczniejsza!

— Co ona bredzi, Czernisiu! — z głębokiem zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

— Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! — podziwiała Czernicka.

Przytem, przez całe dnie i wieczory, w salonie, w ogrodzie i w sypialni, odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycyi pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło, po roku pobytu w domu swej opiekunki, Helka płynnie już szczebiotała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitełek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka spoglądając na nią, z podziwem do pani swej mawiała:

— Co to za ruchy! jaka gracya! możnaby doprawdy myśleć, że panienka urodziła się w pałacu!...

— Tak już ją pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu — odpowiadała p. Ewelina.

Co jednak p. Ewelinę najbardziej w dziecku tem zachwycalo, to szczególnie zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania z namietnością graniczącego. Najłżejszą dysharmonię kolorów spostrzegała natychmiast, najłżejsza warstewka pyłu na posadzce dostrzeżona wstręt w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne jak te, o jakich marzyła. Pani

Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

— Moja Czernisiu — mówiła — jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata! Mój Boże! żebym ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to małeństwo szczęśliwem było pod tem ślicznem niebem włoskiem, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury....

Marzenie zawiezienia Helki do Włoch wzmogło się w p. Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej ona talent, ale to widoczny i wielki talent do śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat ośm i przebyła w domu p. Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę tak prawie dużą jak ona w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła. Nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo, nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła a Helka, z oczami utkwionemi w niebo, z rękami splecionemi u piersi, donośnie i żałośnie wyspiewywała:

„Le papillon s'envola.

La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la la...

Głosik jej był istotnie czystym i silnym. Istotnie też, w gorąco kochanem i czule pieszczonem dziecku, rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem się i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wznosiła się wysoko a na ciemno złotej rzędzie, błysnęła łza. P. Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu, tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami, w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotennie tętnił nad przepaścistym kufrem, z za firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swemi lub cichutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z salonu, załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszy. Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h, i td; niekiedy gamma dziecinnego

śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych, albo przyciszone odległością dało się słyszeć dziecinne śpiewanie:

„La rose blanche s'effeuilla.
La la la la la la la...“

Na jasnym tle obfitego światła lampy, postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterzącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej, na miękkim, ładnym podnóżku, w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami ociągnięte, i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materyi. Szła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcyi muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go zlekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:—Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś?

Wkrótce potem spełniło się pragnienie p. Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę, powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni willa p. Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znowu. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swemi zwierciadłami i pąsowemi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały z cicha szkła i porcelany, p. Ewelina siedziała w salonie zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka, siedząc na podłodze garderoby, otwierała kufry podróżne, wydobywając z nich niezliczone przedmioty, do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc do koła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Helka dosięgała wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonijnej kształtów ich nadwierzającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasze, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwierzzył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude

i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedzierzgiwać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczce swej a potem, rzeczom jej, wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi, obok Helki, która pokazywała jej i tłumaczyła wszystko.

— Drugi kapelusz...—wykrzykiwała—trzeci.. czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszków?

— Tyle, ciotko, ile sukienek—tłumaczyła Helka — do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

— Co to za pudło?

— To neseser podróżny...

— Na cóż to?

— Jakto na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki a w nich wszystko, co potrzeba do mycia się, czesania się i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

— Jezus Marya! i to wszystko twoje?

— A moje! Pani ma taki sam neseser większy a ja mniejszy...

W tej chwili, Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości; jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam przesliczne ptaki, gdyby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto polyskujące i t. p. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej napęłniły się smutkiem.

— Mój Boże!—szepnęła z westchnieniem—żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzała na nią chwilę, zamyśliła się. potem żywo rzuciła się do swych zabawek i lachmanków, z ferworem wielkim, niektóre z nich Janowej ofiarowując.

— Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonika... do niej tylko dotknąć się trzeba a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha.. Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa, z oczami pełnemi łez, pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz, lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą rękę swą tylko po atlasowej twarzyczce jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi, rzekła:— Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

— Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie, wielkim czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując, jak wesół i zwinna kotka kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

— To dla Marylki—wołała — a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to ciotko... dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

— Tutaj tak zimno!—nadąsanemi usteczkami wymówiła—we Włoszech daleko piękniej i milej... tam ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znowu pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

— Aj!—zawołała—jak ja długo już pani nie widziałam; pójdę do pani! Adieu ciotko!

I rzuciwszy rączką całusa Janowej, pobięła w poskokach, nucąc donośnie:—Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmilszej...

— Jak ona kocha swoją dobrodziejkę!—zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego, p. Ewelina opłynięta zwojami białego penioaru, siedziała przed gotownią, smutna i tęskna. Helka w rzeźbionem łódeczku swem, wpół zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem p. Eweliny stała Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku układając krucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia p. Ewelina ozwała się:

— Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot....

— Jakiż? z czem? — tonem pełnym czulej troskliwości zapytała panna służąca.

Po krótkiej chwili wahania, p. Ewelina słabym głosem odpowiedziała

— Z Helą!

Dość długo potem, milczały obie. Czernicka z wolna, lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej odbijająca się w zwierciadle gotowni, okryta była wyrazem zamyslenia. Po chwili ozwała się:

— Panie ka... rośnie.

— Rośnie, moja Czernisiu... i trzeba już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... nie pojmuję, co uczynię?

Czernicka znowu milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

— Jaka to szkoda, że panienka nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

P. Ewelina westchnęła także.

— To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

— Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienkę...

— Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci...

— To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak taką już dużą dziewczynę pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

— Panience trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

— Doprawdy? rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesło, gdy ją czesałaś, ale, dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz, stać się może niezdolną... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złością...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci—powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem, ozwała się jeszcze:

— Może pani w tych dniach będzie miała gości...

— Gości! jakichże, moja Czernisiu? kogo?

— Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencji i który potem, przez kilka wieczorów tak słicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy p. Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

— Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on przesłicznie! Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przygasłe przedtem oczy błysnęły.

— A jaki piękny! — szepnęła Czernicka.

— Nieprawdaż? o! ci Włosi! jeśli który z nich pięknym jest, to iż pięknym — jak marzenie...

Marzącym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotownię od łóżka, a gdy była już rozebrana i gdy Czernicka układała kołdrę w malownicze fałdy i draperye, marzącym głosem mówić zaczęła:

— Moja Czernisiu! zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżysz... tak jak to ty umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może... wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów, pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowni krótkie i urywane rozmowy.

— Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje.

— Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak zgrabną, jak była...

— Staje się całkiem niezgrabną... Nie pojmuję, skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie...

— Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

— Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak, twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowni leżał woniejący liścik, z Włoch przybyły.

— Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

— Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z za granicy pani ciągle taka smutna...

— O! moja Czernisiu, czegożbym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególniej dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

— Hela naprzykład... Co to było za słiczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

— Od powrotu naszego z za granicy, panienka ciągle nadąsana jakos... czy smutna...

— Gdzie tam smutna! Czegożby ona smucić się miała? Dąsa się na mnie, za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczem innem nie zajmować się jak tylko tem dzieckiem...

— Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy, Hela była smutną, ale zarazem i dąsała się straszliwie. Wypieszczone i oddawna samemi tylko rozkosznymi wrażeniami pojone jej nerwy, rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który, co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz w niebogłosy prawie, tupiała nóżkami, ścisłała piąstki, — ledwie, że nie biła Czernickiej. Kiedy p. Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieścizotliwe jej szczebioty albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu, na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcąc do samej siebie gniewne monologi, zalewała się łzami. Poczem oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały p. Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złością i widocznie szpetnieje. Czasem przychodziło jej na myśl zrobić coś na złość swej zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwrócić na siebie znowu jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionymi w książkę, w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnemi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły, obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia taka, wykonana przez wychowaną jej, wywołałaby wesoły śmiech p. Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecież Helka była daleko mniej zabawną, a p. Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karcila je surowemi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy, Helka rozplakana i drżąca, padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy, wyszeptując długie namiętne litanie najczulszych nazw.

— Moja droga — mówiła — moja złota... moja najmiłsza... proszę... proszę...

I z wzniesionymi oczami, ze splecionymi rękami, klęcząc, milkła. Czula, głęboko i boleśnie czula, że chce o coś prosić, lecz o co i jak? Nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych, dnia pewnego, lokaj zjawiający się w drzwiach salonu oznajmił gościa z włoskiem nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią, rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już-już w objęcia swe pochwycić je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i śpiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku, z ożywieniem wielkiem, z widocznym i zobopólnym pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, p. Ewelina siedząc przy fortepianie, akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków, zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód—być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą, niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz, w tejże chwili, pani Ewelina usunęła się i usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizjonomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej, szafirowych jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia spadającego na nią od fortepianu, wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym, upornie w jeden punkt skierowanym, była żalność i trwoga i prośba... I przez następnych dni parę, p. Ewelina i gość jej, nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle mówiła po włosku.

Po paru dniach, pani Ewelina oczekując miłego gościa swego, siedziała na kanapce, z czołem na dłoni wspartem, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czem myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia, ciepły i jasny

promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej gienialny i śliczny ten człowiek, wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już-już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli, ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko gienialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu, zaduma p. Eweliny przerwana została przez dwie małe rączki, które jak płatki śniegu spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i powściągając zniecierpliwienie, zlekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesół żart. Zbyt długo kochaną była, aby móżdż prędko w odrzucenie uwierzyć. Zaśmiała się z cicha, pieszczotliwie i znowu, nieśmiało rączki topiąc w koronkach, próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem p. Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

— Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej materii w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło, dyrygowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

— Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mię...

— Panienska niegrzeczna!

Z temi słowami, panna służąca schylała się nad dzieckiem a po ustach jej wił się właściwy uśmieszek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; piers zaś ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielełą twarzą, stała nieruchoma jak słupek, przez chwilę, bystro patrzyła w twarz swej pani.

— Panienska zmieniała się... — wymówiła zwolna.

— Zmieniała się — powtórzyła p. Ewelina i wzdychając, z gięstem najwyższego zniechęcenia dodała: nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

— O! było ono kiedyś wcale inne!

— Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne... Była kiedyś przesłiczna... ale teraz...

— Teraz zrobiła się nudna...

— Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka wprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbiełałą Helę, w progu jeszcze usłyszała:

— Czernisiu!

Odwrociła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z moją morową suknią? dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? nie prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani... proszę tylko o klucz do materij i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar wiszący nad ogromnym kufrem wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek osłaniających łóżko panny służącej bielą pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole, obok maszyny do szycia paliła się lampa a na jasnym tle obitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej, na ładnym podnóżku siedziała Hela, piastując na kolanach swych uspiętego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz, gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiała w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny naparstek zlekka jej dotykając, wymówiła:

— Słyszysz? pamiętasz? i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od dni paru pobladłą i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu, oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

— Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? czegoż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła! Nieprędko to nastąpi. Żal mi cię trochę. Chcesz? to opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stolku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek opowiadanych jej przez p. Ewelinę.

— Cicho, Elfku, cicho! no, nie śpij znowu! słuchaj! bajka będzie długa i ładna.

Czernicka, dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, z pod brwi na rozweselone nieco dziecko spo-

glądała. Palce jej drżały trochę i wzrok posepniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc zaczęła.

— Była sobie razu jednego, w szlacheckiej okolicy jednej, młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnem niebem bożem i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesola. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec — sąsiad za żonę sobie upatrzył, gdy, wtem, wypadkiem, zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz, w niedzielę, kiedy w świątecznym ubraniu nosła ona z lasu dzbanek poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Niewiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem, przed chatę jej rodziców i — zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęście... cie!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem i, rzuciwszy na stół jedenastą kokardę, rozpoczęła układanie dwunastej.

— Cóż dalej? co dalej? moja panno Czernicka co dalej? — trzepotało się na stoleczku dziecie. Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka, dwójgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

— Dalej — było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez całuteńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

— Co potem? co potem?

— Potem, zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż nakoniec, raz, wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy, młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i — poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazała ją wyczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczęście... cie... Od lat dwunastu, szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianami i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki a każdego wieczora urządza z koldry jej gustowne draperye... Trzydzieści lat ma dopiero a wygląda na sta-

ra kobietę... Wychudła, zczerniała i na oczy zapadać zaczyna... starość jej prędko przyjdzie i pamiętać o tem musi... o! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nie pamiętała. to dziś czy jutro, kiedy dobra pani kogoś innego zechce na miejsce jej w garderobie posadzić, wróciłyby musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmiewisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długi, szeleszczący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzód a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzęsach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

— Ależ!—zawołała — wytrzeszczyłaś oczy tak, jakbyś mię niemi porzucić chciała. I psisko to także wlepią we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

— Co było potem?—szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy, odpowiedziała:

— Potem,—był hrabia...

— A jaki był—ten hrabia?...

— Ten hrabia był — żonaty. Ksiądz spowiednik wytłómaczył dobrej pani, że żonatego kochać nie trzeba, bo można za to pójść do piekła i — sam po hrabi nastąpił.

— A gdzie był ten ksiądz spowiednik?

— Ten ksiądz spowiednik był w Paryżu—ale wkrótce pani wyjechała z Paryża i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę, bladą różową z czerwonym dziobem...

Hela uczyniła żywe poruszenie.

— W Wiedniu... — zawołała—w jednym ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

— Otóż to;—tamta papuga była jeszcze śliczniejszą od tych, które są w Wiedniu... Pani kupiła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej jak przez rok, nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dzióbek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory, Czernicka pyszną drape-ryę zawiesiła na poręczy krzesła i rozpoczęła mozolne strzepienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły, materya wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przyplnęły

znowu, milczące wprzód przez dobry kwadrans a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się, tony wiolonczeli i fortepianu.

— Co potem? Co było potem? — zaszemrał niecierpliwy i zarazem trwożny szept dziecięcy.

Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

— Potem... nie pamiętam już dlaczego i jakim sposobem, papuga zrobiła się bardzo nudną... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

— Wiem! już wiem! nagle zawołała Hela.

— Co wiesz?

— Koniec bajki.

— No to powiedz.

— I piesek poszedł do garderoby...

— A potem?

— Potem, była dziewczynka...

— I cóż?

— Pani dziewczynkę kochała...

— A potem — wtrąciła Czernicka — spotkała jednego sławnego muzyka...

— I dziewczynka poszła do garderoby!

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy z nad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą, bardzo dziwnie wyglądającą. Była to mała pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwoma strugami cichych, bujnych łez zwolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które z za łez podnosiły się ku niej z niemem, bezdennem, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znowu kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

— No—rzekła — dość już bajek i płaczów i nocnego siedzenia... Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierającą się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające z za łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem, wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne, położyła go na jej kółdrze. Nachyliła się i suchymi wąskimi war-
gami czoła jej dotknęła.

— No — rzekła — cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim, ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znowu przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na świetle białej już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju p. Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy, całonocną pracą zmęczone, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę p. Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobnym gęstym deszczem marcowym bez najlżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świetle dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczora, w malutkim, niskim domostwie malarza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny, dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna, skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi zczerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a wypełniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchłą wilgoć. Zresztą, stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzeseł z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczulka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca, wąskie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki, będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz, w większej izbie zgromadzona rodzina malarza zabierała się do jedzenia wieczery. Jan, krępy, silny człowiek, nastrzępioną twarzą jak siersć a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i, zdjawszy mularski fartuch swój gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie, za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpalila duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą, na tapczanie, siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje:

chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki, od las ośmiu do dziesięciu, bosa, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosemi nogami dokonując, opowiadał im o przygodach swych, doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku już uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpalila ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej, oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświecił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący, oświetlał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku, z podwinętymi nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zięblej. Tuż przy niej, polyskiwały brązowe guziki, przyozdabiające niewielki ale wykwintny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek, ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skureczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej, długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpalaly niekiedy wśród cienia, gorąco złote polyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufereka, w srebro oprawione lusterko...

— Mamo! mamol! — zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek — Hela znowu czesze się i przypatruje się sobie w lusterko...

— Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznogie — wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

— Eleganka! Lala! — dorzucił chłopiec — czy to jej jak nam w konwi myć się... umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... ot! stłukę ja jej to lusterko, zobaczym, co będzie!

I wszystko troje, z wielkim tętentem bosych nóg, rzucili się ku ciemnemu kątowi.

— Daj lusterko! daj! daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki, w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddawały rozswawolonej gromadce lusterko w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz łupem tym jeszcze nie zadowolone, ścigały z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dookoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły zawierające

się w nim grzebień, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudełka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprowadzona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenił się i późno do szkoły poszedł. Potem, niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę, zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było po dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie, obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskakała do stołu uczepiona do spódnicy matki, krającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejrzała się.

— Heła! — zawołała — a tyż? dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej, oświetlona w pełni, w sposób szczególny, jaskrawy, odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu, łabędzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej, długie, chude jej nogi wpół okryte były lachmankami pończoch, pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej, z wielkimi zapadłymi oczami, otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo znać włożoną kosztowną wstążką. W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy temi dziećmi bosem i w grubej odzieży, strój ten jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów, okrywały ją wpół śmiesznem, wpół bolesnem piętnem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słyhać tylko było uderzanie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb z wielkim smakiem zjadających zacierkę ze słoniną, przekąsywaną razowym chlebem. Heła jadła także ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy poniosła do ust chleb i zacierkę i, położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho z rękami splecionymi na kolanach, wyprostowana na stołku swoim tak wysokim, że stopy jej w paryskich podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

— Czemuż nie jesz więcej? — zwróciła się do niej Janowa.

— Dziękuję, już nie chcę — odpowiedziała i drżąc z zimna otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atlasową szubką.

— Czem to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem! — zauważyła Janowa — gdybym jej codzień kawałek mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

— Et — flegmatycznie zauważył Jan — przywyknie kiedyś, przywyknie...

— A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze bose i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tem niby to futerku, febra wciąż trzęsie...

— At — powtórzył Jan — przywyknie kiedyś...

— Pewno! — przytwardziła Janowa — ale ot tymczasem żal bierze patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię a herbatą ją napoję...

— Tak i trzeba — potwierdził mularz — przecież płacą nam za nią...

— Płacą to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

— Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką, Kaśka przekomarzała się z nimi, jeść im przeszkadzając. Jan, otarłszy usta rękawem koszuli począł rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkomiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i półbochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Hełę.

— Idź, pokolysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Heła, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracyi, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę a po chwili, miarowemu stukowi begunów kołyski, wtórować zaczął słaby lecz czysty i rzewnością nabrzmiały śpiew dziecinny. Innych piosenek jak francuskie nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprowadzało w zachwyt rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałem. I teraz także, dzieci umilkły, Jan obu łokciami rozparty na stole i Janowa myjąca naczynie przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce, miarowo stukały beguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny, na przewlekłą melancholijną nutę wyspiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola

La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

— A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię zawołał i oddał mi to...

Janowa grubemi palcami swemi, z widocznem i głębokiem uszanowaniem, wydobywała z koperty banknot dwudziestopięć-rublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im p. Ewelina, na utrzymanie i edukację Heli, aż do jej zupełnego dorostnięcia, wypłacać przyrzekła.

— No—zaczęła Janowa—przysłała jednak... chwala Bogu... myślałam, że..

Urwała, bo obok niej, przy stole, stała Hela. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kołyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącymi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

— Od pani—wołała—to od pani... czy... czy...

Tchu jej brakło.

— Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znowu na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

— Ej ty głupi dzieciaku! gdzieby tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała ot pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znowu pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemała na ławie, z głową złożoną na kolanach ojca. Jan biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

— Możeby to... schować dla niej... na dalsze czasy... Za dwadzieścia pięć rubli wyżyjemy dziecko, a te drugie niechby... składały się..

— Niechby składały się—brodę na rękę w zamyszeniu wspierając odpowiedziała Janowa—tylko że widzisz, Janku, terazby ją oporządzić trochę trzeba....

— Jakto oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć ze sobą...

— Ach! Garderoba! Dobrze to było do pałacu ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne, niemocne... albo to ja mogę prać takie rzeczy

jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same łąchy zostały.

— Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbyt wiele żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

— Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: czego płaczesz? „koszula brudna!“ powiada... a myje się to, czesze się i kurczy się po kątach przez całe dnie... jak kotka.

— At—bębniąc palcami po stole zakonkludował Jan—przywyknie....

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłemi, przygasłemi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyslała się nad czemś głęboko; po chwili, stanowczo jakby postanowienie powziąwszy, odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni, wymknęła się z domostwa. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już zwolna i chłodem przesywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej, brzegami znanych sobie dobrze uliczek a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami, zmęczona bardzo, przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zaniosła się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa p. Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie, furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu, w głębi dziedzińca w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Znać gotowano tam wieczrę. Przed oficyną, stróż rozrębywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą, cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniały w mgle deszczowej, z blaszanej rynny, na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wąska struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo zwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu, stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym p. Ewelina przesiadywała zwykle całe dnie letnie. Teraz, schody, ganek i okrażające go ławki, pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po schodach, woda pluskała z pod jej paryskich podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłośnym gestem wyciągnęła obie ręce. Z pod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli podobny, z zajadłem, piskliwym szczekaniem,

rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu; bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana a skomląc z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

— Elfku mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmiłszy!

Tulili się do siebie i całowali się wzajem.

— Elfku! a gdzie pani? gdzie pani? Niema pani naszej! niema! niema!

Wstała i psa niosąc w objęciu zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

— Popatrzmy przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła z pod jej kolan. Nie uważała na to.

— Patrz, Elfku! patrz!

Podniosła pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

— Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... pąsowe firanki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którym pani ubierała mię czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokój jadalny...

Umilkła, pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzedz mogła.

— Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... jak na nim wygodnie siedzieć... bywało siadę i kołyszę się... kołyszę się... całutką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczył się niewygodną pozycją, wysunął się z pod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

— Oj, Elfku! Elfku! i ty i ja... byliśmy tam niegdyś...

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było przeziębnięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

— Widzisz, Elfku, tam gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układaliśmy bukiety.

— A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abys tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce

tak świeci... świeci... morze takie szafirowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie.. nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna sennaś ogarniać ją zaczynała. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfa, usnęła. Na świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny, gęsty deszcz wciąż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku, z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wąskie strumienie wody.

Około północy, dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz, z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i niewiedzieć dlaczego, grubą rękę swą, z niechcenia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach swych dziewczynkę, która obudziwszy się, senna, splakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę, odrzucił precz śpiącego na piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znowu pod ławkę i ciężko wzdychając zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.

Eliza Orzeszkowa.

POD LASEM.

I.

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,—
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe;
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konia mego poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny, rokieciny:
—Jedźże Jasku, do dziewczyny!

Hej!....

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych borów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po zagonach—jako ziele;
Jeno mokra ona łąka,
Kędy mgła się nocą błaka;
Jeno zgasłe ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące....
Odwieczerm jednym, drugim,
Pług za lanem, ja za plugiem,

Za mną zasię słonko chodzi:
—Dziewczę ci się, Jasku, godzi!

Hej!....

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiąc biał
I te gwiazdy cię swatały;
Nie chodziły tu sąsiady
Na namowy—na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła skądciś mile słowa;
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie ziębiła:
—A gdzie, Jasku, twoja mila?

Hej!....

II.

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W polu dziewczynie,
Wykręcę ja fujareczkę
W tej wodnej trzciniel!
Bo ta trzcina się ugina
Za wiatru wianiem,
Nieinaksza i dziewczyna
Z swoim kochaniem.
Wprawiłaby jasne słonko
W szybkę u chaty,
Wyglądałaby—czy jedzie
Do niej bogaty!

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Na cudzym progu,—
Wykręcę ja fujareczkę
W tym ostrym głogu!

Będzie śpiewać mi przy sercu
Gorzkimi łzami,
I zakrwawiać jasne zorze
Rankiem nad nami!
Chodzi krzywda popod lasem,
Po jarach chodzi;
Nikt nie zgadnie, co zczasem
Złe ziarno zrodzi!
A kiedy mi przyjdzie zagrać
W tym pańskim dworze,
Wykręcę ja fujareczkę
W najgęstszym borze!
Pamiętają stare drzewa
Tę krwawą dolę,
Co tu przeszła przez te chaty,
I przez to pole!
Rozśpiewają się w mej pieśni
Jęki a płacze,
Aż ściemnieją złote stoły,
Białe kołacze!
A kiedy mi przyjdzie zagrać
Tej nocce śniącej,
Wykręcę ja fujareczkę
Z wierzby płaczącej!
Oj polecą z niej piosenki,
Jako ptaszkowie,
I rozbudzą ciche szumy,
W leśnej dąbrowie!
Ni ja roli, ni ja chaty,
—Nędzny koniucha—
Nocka przecie patrzy na mnie—
I słucha—słucha!....

M. Konopnicka.

PAUZANIASZ *)

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

OSOBY:

PAUZANIASZ, wódz spartański
GRIFOS, jego niewolnik
LEJA, kochanka Grifosa
KOROS, dowódca zbuntowanych niewolników
EFOROWIE, matka Pauzanasza, straż i lud.

(Rzecz się dzieje w Sparcie w V-m w. przed Chr.).

(Plac miejski. Z lewej strony front świątyni Pozejdona, z prawej—świątyni Ateny, wprost dom Pauzanasza).

SCENA I

GRIFOS i LEJA

Leja (zbliża się trwożliwie, wpatrzona w Grifosa, siedzącego na schodach świątyni Pozejdona w ubraniu żebraka). On! (przypada szybko do niego). Mruku, tchórze, gawronie, czemuż nie przyszedłeś do mnie lub nie doniosłeś, żeś posłuchał mojej rady? Ja myślę, płaczę, że jego głowa już z karkiem się rozstała, a on tu wlaź w żebraczy łachman i siedzi sobie spokojnie. Czy ty wiesz...

Grifos (przerażony)

Cicho...

*) Główna osnowa tego obrazka jest historyczną. (Przyp. aut.)

Leja

Oszalałeś? Ja jak pies oberwałam się z łańcucha i przyleciałam, ażeby cię zobaczyć, a ty mi gębę zamykasz?

Grifos (*j. w.*)

Cicho...

Leja

Kurczęta wysiadujesz, żeś tak przyrósł do tego miejsca i nawet podnieść się nie chcesz? Głupia jestem, że dla takiego dudka jedno zadraśnięcie skóry poświęcam. Wczoraj za to, żeś nie umyła owiec, bo ciebie szukałam pan kazał przepędzić mnie nago przez krzaki berberysowe. Powiedźże mi, coś zrobił, czemu tu siedzisz?

Grifos

Cicho, odejdz.

Leja

To chodź ze mną, uciekaj do obozu Korosa, który zbiera niewolników. Tu cię Pauzaniusz zadepcze.

Grifos (*szepecząc*)

Bądź spokojna, eforowie zaręczyli, że mi nawet paznokcia nie obetnie.

Leja

Mój pan został także eforem.

Grifos (*podnosząc się*)

Gdyby cię zobaczył... On tu jest, są wszyscy w świątyni... Skryjże się krzykliwa sroko!.. Pauzaniusz idzie. (*Siada, Leja odbiega. Pauzaniusz wychodzi ze swego domu, rozmawiając z Korosem, przebranym za pielgrzymą*).

SCENA II

PAUZANIASZ I KOROS

Pauzaniusz

Jednak ostrożnie! Mimo tych szat pielgrzymich i przyprawionej brody, może cię ktoś poznać, a wtedy będziesz posiekany na tak drobne kawałki, że sikora żadnym się nie udławi.

Koros

Pamiętałem o tem i wyznam ci, Pauzaniuszu, że mniej lękam się wszystkich spartan, niż... ciebie.

Pauzaniusz

Mnie? Dla czego mi to mówisz przy rozstaniu?

Koros

Bo odchodzę z niezem.

Pauzaniusz

Czegóż chcesz?

Koros

Chcę rękojmi, że Pauzaniusz, zasiadłszy na tronie spartańskim przy pomocy sprzysiężonych niewolników, nie zakuje ich w cięższe kajdany od tych, które teraz dźwigają.

Pauzaniusz (*zamyślony*)

Wdzięcznym będę...

Koros (*uśmiechając się gorzko*)

Pauzaniusz będzie wdzięcznym... Przebacz mi prawdę, ale my wdzięczności spartan jeszcze nie kosztowaliśmy i nie znamy jej smaku. Dziś potrzebujesz jako spiskowiec niewolników zbuntowanych, ale jutro, jako władzca, zapragniesz uległych. A za wiele wycierpieliśmy już z przymusu, ażebyśmy jeszcze mieli poświęcać się na ofiarę z własnej woli. Znosić ucisk jest możliwością ludzką, ale walczyć za ciemieźców...

Pauzaniusz

Czyż sądzisz, że doznawszy od was tak wielkiej usługi...

Koros (*j. w.*)

To piękne słówka tylko, Pauzaniuszu, któremi nawet łatwowierna kobieta się nie pożywi. Zresztą przypuszczam, że zechcesz dług spłacić, że mnie, że nas dziesięciu, dwudziestu łaskami obsypiesz; ale za ciebie krew będą przelewały tysiące niewolników, kto ich wynagrodzi i ubezpieczy? Przyszły władzca Sparty nie pójdzie do każdego domu, do każdego warsztatu lub gospodarstwa i nie sprawdzi, czy pan gnębi swych służących jak przedtem, albo nawet, czy, mszcząc się za bunt, nie gnębi ich bardziej? Zwycięzwszy, nie zostaniesz przecie sam w Sparcie, a twoi możni poddani nie będą mieli ani obowiązku, ani chęci złagodzenia naszego losu. Choć Jowisz modłów wysłucha, oliwka nie obrodzi, gdy jej liście robaki zjedzą.

Pauzaniusz

Ja te robaki z drzewa spartańskiego otrzęsę, zgarnę, zmiażdżę, ich gąsiennice wytępię! Jednem kopnięciem rozbiję spruchniały senat, zetnę wszystkie pięć łbów hydrze eforatu, której gardła dotąd napelniałem złotem!..

Koros (*uniesiony odprowadzając Pauzaniusza od świątyni*)

O, tak, Pauzaniuszu, tak, utnij i nie daj im odrosnąć. Niech przed objęciem urzędu nie przysięgają, że nas mordować będą... Spójrz na moje czoło, widzisz na nim te bruzdy, blizny, bąble? Przed pięciu laty kupił mnie jeden z obecnych eforów, jako śpiewaka. Za to tylko, że mu smutną piosenkę zanuciłem, kiedy on chciał być wesółym, kazał mi przez cały dzień tańczyć, dopóki bezprzytomny nie padłem. Gdy nazajutrz uciekłem w góry, zrobił na mnie obławę i złapał. Własną ręką przyłożył mi do czoła rozpalone żelazo, na którym wyryte było jego imię i którym niewolników znać, ażeby ich jako zbiegów wszędzie poznawano. Uciekłem jednak znowu, zdarłem sobie skórę z czoła i dotąd je smaruję gorczycznym sokiem, który mi resztki piętna wyžera. Nie miałem w tych pięciu latach ani jednego dnia spokojnego; jak dzikie zwierzę mieszkalem w jaskiniach, okradając biedne wiewiórki z orzechów a pszczoły z miodu. Czasem tylko przechodzący niewolnik kawałek chleba ułamał lub leśne drzewo dojrzały owoc z liści głodnemu zrzuciło. Karmiła mnie przecież ciągle nadzieja, że kiedyś odetchnę zemstą. Obiegając okolice i porozumiewając się tajemnie z niewolnikami, zbuntowałem tylu, że ich cztery tysiące czeka wezwania do śmiertelnej walki, dwakroć stotysięcy zaś na to hasło zerwać się może. A ty chyba wiesz, Pauzaniuszu, że my strasznie bić się będziemy! Gdy ręce w uderzeniach omdleją, ciała nasze zioną zarazą i nieprzyjaciela zniszczą!

Pauzaniusz (*zachwycony*)

Wybornie! Pioruny mam, tylko mi właśnie takiej burzy potrzeba! Rozpacz jest matką męstwa, a najdzielniej biją się nieszczęśliwi; nie wątpię też, że wam odwagi starczy. Zresztą z lwów termopileńskich wyrodziły się bojaźliwe koty; dzisiejsza armia spartańska nie ta, którą wiodł Leonidas—idzie do boju naprzód piętami. Tak, Korosie, zwyciężymy; zamiast tego dwóplciowego potwora, który niedołęzne królestwo łączy z nierządną rzeszpospolitą, zamiast znikczemniałych eforów i strupieszalego senatu, zamiast tych wszystkich oligarchicznych szczerów, które pod tronem mają swoje nory, ustanowię rząd silny, jedną wolą przeniknięty...

Koros

A dla nas—dla niewolników?

Pauzaniusz

Dla was—łaskawy.

Koros

To jest?

Pauzaniusz (*znieczierpliwiony*)

Ach, mój Korosie, gdyby łuk, który mam naciągnąć przeciw wrogowi, targował się ze mną o wysoką nagrodę i za nią tylko obiecywał wypuścić strzałę, odrzuciłbym go i wolałbym bić się pięściami. Czego ostatecznie chcesz? Przecież zapewne nie tego, ażebym was wszystkich codziennie własną ręką nacierał wonnemi olejkami.

Koros

O, nie tak wiele, żądam tylko...

Pauzaniusz

Śmiało—raz powiedz otwarcie.

Koros

Ażeby każdy niewolnik, który przyjmie udział w walce, otrzymał swobodę.

Pauzaniusz

Każdy?! A jeśli wszyscy powstaną?

Koros

To wszyscy będą wolni!

Pauzaniusz

Oszalałeś! A któż będzie pracował, gdy wyzwolę wszystkich?

Koros

Wolni.

Pauzaniusz (*sztyderezo*)

Jeżeli im się podoba, a jeżeli się raz nie podoba, to nawet nie będzie w Sparcie ani jednego człowieka, któryby jej królowi sandały do nóg przywiązał. O nie, mój Korosie, wspaniałomyślnym być chcę, ale za taką cenę pomocy waszej nie kupię, tem więcej, że bez niej obejść się mogę.

Koros

Wątpię, chociażbyś był Herkulesem...

Pauzaniusz

He, he, wracaj do swojej bosej komendy, bo zaczynasz bredzić. Ty myślisz, że ja mogę tylko rozstawić nogi, a konia między nie wy mnie wsuniecie? Głupi sen cię odurzył. Na mój znak przyjdzie tu tyle wojska, że pod nakryciem jego tarcz Grecya wyglądać będzie jak wielki żółw, pływający na brzegu morza.

Koros (*żartobliwie*)

Piękna bajka.

Pauzaniasz (*mówiąc powoli i z naciskiem*)

Kiedy bajki lubisz, to ci opowiem ładną. Był pewien wódz, który wojując w Azji, tak zasmakował w jej przyprawach, że mu obrzydła czarna ojczyzna polewka. Prosił więc oteźnego króla perskiego, ażeby ten pomógł mu do przekształcenia starej spartańskiej kuchni i ażeby, dla zachowania tajemnicy układów, zabijał każdego niewolnika, przybywającego doń z listem. Dwaj zgładzeni posłańcy schowali sekret do grobu; co się stało z trzecim, który poniósł ostateczne wezwanie, nie wiem, ale może ci bajkę niedługo dokończy. Tymczasem pomyśl nad nią i rozśmiej się... z siebie. Za chwilę wyjdę ze świątyni Pozeidona, który jest moim dobrym bogiem i któremu dziś jeszcze nie złożyłem ofiar. Spotkaj mnie i powiedz, czy jesteście tak koniecznie potrzebni do przerobienia spartańskiej kuchni.

Koros (*udając wesołego*)

Potrzebni jesteśmy, bo wszyscy twoi niewolnicy są w Sparcie.

Pauzaniasz (*zbliżając się do świątyni*)

Przyprowadź mi żywego Gryfosa, a będę twoim śpiewakiem.

Koros

Grifosa? Tego, który tam siedzi na stopniach świątyni i żebrze?

Pauzaniasz (*podbiega przerażony*)

Grifos! co tu robisz? Zbierasz jałmużnę na podróż? Dalem ci dość pieniędzy! Mów, nie poszedłeś jeszcze, czyś już wrócił? (*potrząsując nim*). No mówże, bo cię za język powieszę! Kochany Gryfosie, nie bój się, tylko powiedz słowo. Ty zawsze byłeś dobrym chłopcem, ja cię lubiłem! (*chwytając go za szyję*). Gdzie mój list zbrodniarzu?! Gdzie mój list?

Grifos

Ratunku! (*ze świątyni wychodzi pięciu eforów*).

Koros (*spostrzegłszy ich*)

Koniec bajki! (*oddala się szybko*)

SCENA III

PAUZANIASZ, GRIFOS, EFOROWIE, później LEJA

Pierwszy efor

List twój mamy, Pauzaniasz—nie lękaj się,

Pauzaniasz

Zasadzka!

Drugi efor

Chcieliśmy tylko przekonać się, czy dobrze twoje pismo rozumiemy i czy niewolnik prawdę powiedział.

Pauzaniasz (*z ironią*)

Niedomyślni jesteście, a gdy wam niedawno, jako sędziom, złote krążki w woreczkach rozsyłał, odrazu wiedzieliście, co one znaczą, choć na nich tylko głowa króla perskiego była wytłoczona.

Trzeci efor

Milcz zdrajco!

Pauzaniasz (*j. w.*)

A dlaczegoż to świat ma słyszeć tylko o moich grzechach a nie znać cnót waszych? Nie nadymajcie się uczciwością podłe gady, bo je z was ten wiatr wypuszczę. Dwa razy ręce wasze wznosiły się po moją głowę i dwa razy wpadły w moją kieszeń. List wam dopiero odkrył moje stosunki — a po cóż to ściągaliście mnie z pod Byzancjum i za co płaciłem szlachetnym eferom, jeśli nie za przyjaźń z satrapą Artabazosem i królem perskim? Oburza was zapewne nie moja zdrada, ale przypuszczenie, że zbiedniałem, że już nie będę mógł wam ulać złotego sumienia. Kazaliście mnie milczeć, teraz ja wam każę mówić; powiedzcie, że kłamię, że wasze dusze nie są otchłanią, wiecznie łaknącą zysku, żeście nie sprzedajni, nie podli!

Czwarty efor

Straż! (*występuje pięciu uzbrojonych żołnierzy*)

Pięty efor (*przystępując poważnie do Pauzaniusza*)

Ile i za co mi płaciłeś?

Pauzaniasz

Tobie nie, tyś między tymi krukami był gołębiem i przebaczyć mi nie chciałeś.

Pięty efor

A więc czystym sumieniem przeklinam cię rozpustniku i zdrajco, który na ojczyznę swoją naprowadzić chciałeś barbarzyńskie hordy, ażeby z niemi ją opanować. Zgiń, ażeby twój oddech powietrza nie zakazał, i w piersi dzieci spartańskich nie przenikał, ażeby potomność nie złorzeczyła narodowi, który nie tylko zdrajcę wydał, ale nawet bezkarnie żyć mu pozwolił.

Pierwszy efor *(do straży)*

Bierzcie go !

Pauzaniasz *(wskakując na stopnie świątyni Ateny)*

Bogini Atena nie pozwala tknąć nikogo, kto schronił się pod opiekę jej przybytku. Tu mieszkać będę, stąd uragać wam, którzy w mojej śmierci chcielibyście zabić własną ohydę. Może orzeł w przelocie upuści swój łup, może pies niedogryzioną kość mi przyniesie—tem się pożywię, zanim król perski na waszych karkach tu przyjedzie.

Drugi efor.

Straż—dalej! *(Straż wpada na schody).*

Pauzaniasz *(kryjąc się do świątyni)*

Precz świętokradcy! *(Straż się cofa — przechodnie gromadzą się z ulic)*

Trzeci efor

Co robić? *(chwila milczenia i cichej między eforami narady)*

Piąty efor *(do straży)*

Niech jeden z was uwiadomi matkę Pauzaniusza, że może widzieć syna po raz ostatni. Wy zaś zamknijcie świątynię, zedrzyjcie z niej dach, niech każdy przechodzień rzuci przez otwarte jej sklepienie kamień na zbrodniarza *(Żołnierze przystępują do zerwania dachu).*

Leja *(wyrrywając się z ukrycia do Grifosa)*

Uciekajmy!

Grifos

Cicho...

Leja

Uciekaj ślimaku, bo przyjaciele Pauzaniusza ciebie do tej świątyni cisną *(oddalają się).*

Piąty efor

Kto tam idzie?

Pierwszy efor

Matka Pauzaniusza *(Tłum rozstępuje się, stara kobieta zbliża się powoli ku eforom i staje przed nimi)*

Piąty efor

Wezwaliśmy się, zacno niewiasto, po to, ażebyś pożegnała się z synem, zdrajcą Sparty, który przed prawem schronił się do tej nietykalnej świątyni i który w niej zamurowanym zostanie, a każdemu wolno będzie przez

odkryty dach przybytku Ateny rzucić na więźnia kamieniem. Otwórzcie drzwi *(Straż odmyka świątynię)*

Matka *(przez chwilę stoi ponuro zamyślona, wreszcie podejmuje kamień, ciska go na świątynię i pada)*

Pauzaniasz *(z głębi)*

Litości!

Piąty efor

Można zamurować!

(zasłona spada).

W. Okoński.

NIEPRZEJEDNANI,

Tkanka z dumań przed obrazem Ary-Scheffera.

„KUSZENIE CHRYSYUSA“

Niby lampa wieczności tkwiło nieruchome słońce w lazurze sklepienia i zalewało Judeję potokami żaru letniego. A w Judei od końca w koniec cisza, jakby u progu stały kohorty rzymskie lub o miedzę grasowała zaraza. Cisza taka bywa też nieraz tam, gdzie myśl wielka dojrzeła. Ale ucho Judei oddawna przywykło już do dźwięków mowy i mieczów zdobywcy, zaraza daleko, a mężowie wszystkich pokoleń, niby straż wierna, otaczają rzymskich pretorów, przeszłości niepomni, o przyszłość, choć ciemna, nietrwożni. Dziś sabbat. Cały naród, w cieniu alków szukając schronienia przed palącymi promieniami, dziękczynne modły śle Jehowie. Chyba jednak gorące powietrze, nieruchome jak wody martwego jeziora, nie puszcza dalej tych modłów, nie pcha w górę ku przedwieczności, bo w Jeruzalem duszno, jak w atmosferze bluźnierstwa. Może bluźnierstwem są hymny dziękczynne narodu w niewoli. Po świątyniach doktorowie uczą bojaźni Boga i mądrości życia.

Słońce przygasało, tonąc w purpurowych blaskach zachodu. Wieczór coraz gestszą oponą otaczał miasto, dobroczynnym technieniem łagodząc gorący oddech rozpalonych murów. W ciemniejących przestworach gwiazdy znaczyły swoje istnienie.

Omdlałe powietrze zaczęło drgać odgłosami półcichych szeptów, na ulicach zasnęły się ludzkie postacie, niby białe cienie na szarej oponie. Po cichy śmiertelnej szelest budzącego się życia.

Aż od środka miasta, od progów świątyni, wzniósł się okrzyk wielki i groźny, przekleństwami i szyderstwem nabrzmiał. To tłum pospółstwa, zgraja motłochu głosem i kamieniami ściagała ofiarę — męża, co zdawał się upadać pod ciężarem lat, czy znużenia, czy też bolesnych uderzeń i stokroć boleśniejszych słów.

— Precz, precz stąd! — odbijało się o podnóża gór. On szedł. Z ust nie wyrывało mu się złorzeczenie, ręce nie zaciskały się w mściwym uniesieniu. Z całej postaci tylko jakby wypływała i wznosiła się ku niebu skarga żałosna, niemy jęk: „cierpię!“ Obnażoną głowę pochylił ku ziemi, ręce opuścił bezwładnie, wiatr rozwiewał mu długie włosy, co jak fala spadały na szyję i wily się po twarzy. Szedł wciąż. Zdwojone przekleństwa nie przyspieszały jego kroku. Kamienie, szarpiące jego szaty, nie skłoniły go do obejrzenia się. Prześladowców nie rozbrajało poddanie się ofiary. Nie zaprzestali jej ściagać, dopóki z po za ostatnich domków nie wyjrzała dzikość otaczającego je pustkowie, obleczona tajemniczą ciemnością mroku. On, jak gdyby nie zauważył, że go wszyscy opuścili. Nagie stopy wciąż jednak sunęły po ostrych kamieniach drogi, powoli, omdlewająco... Odgłos złorzeczeń z każdą chwilą przycichał w oddali, stawał się coraz słabszym, przeszedł w szept ledwie dosłyszalny, czasami wionął jeszcze żywszym tonem, niby dogasające ognisko, aż rozplynął się w powietrzu i zniknął.

Teraz była cisza, jak przed stworzeniem; żaden odgłos zewnętrzny nie drażnił ucha, i tylko niezagłuszone w duszy złorzeczenia tłum brzmiały wszystkimi tonami bolesnego odczucia. Z za gór wyjrzał księżyc i rzucił przeciągły cień, co włócił się za wygnańcem nieodstępny, jak palące uczucie doznanej krzywdy.

On szedł wciąż. Oko ani razu nie podniosło się na otaczające przedmioty. Z wzrokiem, wbitym w ziemię, przyspieszał nawet kroku, jak gdyby chciał prędzej uciec od siedzib ludzkich. Księżyc dobiegał najwyższego punktu sklepienia, kiedy stopy męża oparły się o podnóża gór. Obejrzał się. Odległe teraz miasto tonęło niewidzialne w mroczonych przestworach, których wyżyny tylko i najbliższe kręgi migotały, słabo osrebrzone promieniami bladego światła. Przed nim piętrzyła się kamienna ściana gór. Zaczął na nią wstępować. Białą szatą, co dotąd zapomniana włókła się od pasa do ziemi, osłonił się od nocnego chłodu i nie odpoczywając ani chwili, wdarł się na sam szczyt. Księżyc zbiegał ku zachodowi blady, jak gdyby zmęczony nocną wędrówką. Na wschodzie jaśniało. Niewidzialne jeszcze słońce purpurowym rąbkiem znaczyło krawędzie szczytów odległych gór.

Światło wzrastało. Jasne smugi posuwały się wciąż dalej, ogarniając cały obszar widokregu. Wierzchołki gór wyglądały teraz jak gdyby nakryte oponami ze śnieżystego atlasu, którego miękkie zgięcia pozwalały promieniom tworzyć łagodne przejścia od cieni do półcieni światła. Pod czarem uśmiechającej się natury, po posępnej ponurości nocy i jego czoło jak gdyby traciło surowe zmarszczki. Zwrócił się znowu ku miastu, które teraz, przy drganiach niepewnego jeszcze światła, wyglądało jak zalotnica, kończąca resztki balowej toalety. Uniósł nieco do góry wyciągnięte przed siebie ręce, usta szeptały niedosłyszane słowa przebaczenia. Pod stopami roztaczał mu się wspaniały widok, od fal morza Śródziemnego do gór, na których stał. Tyle siedzib ludzkich, tyle ukrytych dla świata zakątków i wszędzie cierpienie, wszędzie niedola, zgryzota, czujna jak sumienie, nieprzewycięzona jak konieczność.... wszędzie rozpacz i wyczekiwanie od niebios lepszej doli... Pod każdym, ledwie teraz dojrzanym dachem kryje się boleść wielka jak świat. Cały zatopiony w dumaniu stał i patrzył... Dusza wybiegła po za granice zakreślone oczyma i objęła świat cały. Wszędzie toż samo. Z każdego kawałka ziemi podnosi się jęk, co się zlewa z innymi w jeden okrzyk szarpiący dusze, co czuć umieją: „cierpię, cierpię, ratunku!“ On słyszał ten głos, rozróżniał w nim każdy bolesny ton, bo mu padał na serce, jak krople żrącego płynu. Dusza jego jak gdyby widziała bezsilne szamotanie się ludzkości całej, widziała miliony rąk, wyciągnięte ku niemu:

„Ratuj nas, ratuj, bo sił nie ma do dalszych cierpień!“

Obejrzał się dokoła, z pod namarszczonych brwi oczy rzuciły błyszczące spojrzenia, jak gdyby wyskoczyć chciały i szukać ratunku; przebiegł wzrokiem wszystko widzialne i wszędzie były tylko martwe siły, nieczułe jak fatalność. Ręce mu opadły, przygasłe oczy zwróciły się ku ziemi, czoło pochyliło. Usiadł na sterczącej krawędzi głazu, oparł łokcie na kolanach, a twarz ukrył w dłonie i dumał. Dumał długo nieruchomy, zapatrzoony i zasluchany w obrazy i dźwięki, jakie mu pamięć podsuwała. Pamięć wrażliwa jak lustrzana powierzchnia na przesuwające się obrazy, czuła jak arfa eolska na każdy podmuch życia. Ale kiedy z lustrzanej powierzchni widziadła zeslizgują się bez śladu żadnego, kiedy struny arfanelona swe nadstawiają dla coraz to nowych pieśczęt, niepomne dźwięków, co przed chwilą jęczały w ich drganiach,—jego dusza na wieczność zwierza w swej istocie wszystkie bóle widziane i słyszane.

Długo przesiedział tak zatopiony w zagadki ludzkiej niedoli, kiedy ciszę górskiego wierzchołka przerwał dochodzący z oddali głos:

— Jezusie, Jezusie!

Nie słyszał tego głosu.

— Jezusie, Jezusie! — rozbrzmiewało coraz donośniej.

Drgnął, podniósł głowę i spojrzał zdziwiony. Nieprzebita dla oka mgła otaczała go ze wszech stron. Z po za kłębiących się tumanów przeciągającej chmury dolatywało wciąż wołanie:

— Jezusie!

— Kto mnie woła? — wyszeptał.

Ostatnie dźwięki głosu ludzkiego, jakie słyszał, brzmiały mu w ustach nieustającym zgrzytem zaciekłości; to też tu, na pustkowiu, wołanie to prze-rażało go.

— Jezusie, Jezusie! — jak grzmot huczał potężny głos, teraz już blisko.

— Kto mnie woła, jestem!

Z gęstych fal mglistej osłony wysuwała się coraz to wyraźniejsza postać olbrzyma.

— Witaj! — rzekł przychodzień, stając przed siedzącym. — Niech będzie błogosławiona pierś matki, co życiem napoiła ciało twoje!

— Czego żądasz? — spytał Jezus, wstając i oprowadzając okiem po postaci nieznanej.

Ciemne, jakby zwęglone, ciało wrywało się nagie z pod strzępów odzieży. Muskularne i silne jak korzenie dębu ręce i nogi świadczyły, że twarda praca była ich żywiołem. Na czarnej twarzy ponuro odbijały białka oczu, chowających się pod nawisem czołem; zaciśnięte usta, kiedy mówił, pozwalały widzieć białe zęby i czerwone, niby krew płynąca, dziąsła.

— Jezusie, synu Józefa — odezwał się głosem trąby jerychońskiej, widziałem ciebie, kiedyś żrenicą, zapaloną ogniem proroków, wodził po tłumach i uczył miłości bliźniego. Widziałem, kiedyś z piersią, drżącą wzruszeniem, dzielił się resztkami chleba czarnego z nędzarzem podłym, od ludzi wzgardzonym. Widziałem, jak potem tłuszcza bezmyślna, uwiedziona fałszem nikczemności, gnała cię z miasta, psom rzucając jadło, co miało twe życie zachować dla narodu judejskiego. Widziałem i przyszedłem tu, aby cię odszukać, aby ci podać rękę i być bratem!

Wyciągnął rękę, ale Jezus nie dał mu swojej; łagodne oczy jego z wyrazem niewiary patrzyły na dzikie kurcze twarzy przychodnia.

— Kto jesteś?

— Jestem jeden z tych, co bunt podnieśli przeciw Bogu za to, że, nakazawszy cześć dla siebie, nauczył ludzi służalstwa. Ja i bracia moi

w imię zgwałconego przyrodzenia, w imię równości, starganej samem jego istnieniem, walczymy z nimi, wykleci, jak ty wczoraj. Przyłącz się do nas...

Jezus milczał.

— Milczysz?... Chodź ze mną do braci mojej.

— Nie.

Zdumienie rozwarło szeroko oczy przychodnia.

— Nie, nie! Jakto, więc ty nieczuły jesteś na naszą niedolę? Więc możesz bezczynny patrzeć, jak rzymski żołnierz zakutą nogą dławi ostatnie tchnienie Judei; jak rozbastwione czerechy faryzeuszów, te hijeny na mogi-
lach ludzkich, sprawiają piekielne orgije i bratają się z ciemnością; jak pod okryciem praw boskich ostatnią kruszynę chleba wydzierają umierającemu nędzarzowi; jak jad nikczemny sączą kropla po kropli w serce narodu!... Patrz, Judeja ginie z piętnem hańby na czole; przechodzi we wspomnienie wieków, jak trup robactwem stoczony; połowa ludu mrze z głodu, a ty nie chcesz się z nami łączyć!? Chodź! Tam włożymy ludowi zemstę w serca, chleb w usta, a żelazo w ręce i pękają prawa boskiego ciemństwa!

Chciał pochwycić dłoń Jezusa, ale ten się usunął, wyciągnął rękę, jak by odepchnąć pragnął natręta, i głowę odwrócił.

— Idź — przemówił — i powiedz braciom twoim, że Jezus Galilejczyk nie przystanie do was, jak myśl boża nie przystanie do czynu ziemskiego. Z oczu twoich, ze słów twoich widzę, że nienawiść i zemsta przepelnia serca wasze. Dla ludzi mam miłość tylko. Miłością chcę goić ich rany, a nie jątrzyć je tchnieniem zawiści trującej. Idź...

Ale czarny człowiek stał nieporuszony i żrenice zdziwienia pełne utkwiał w twarzy Jezusa. Po chwili odezwał się, a głos jego cichszym był teraz.

— Miłość!?. Miłość tam, gdzie wiekowa nienawiść gdzie walka stoczyła wszystkie węzły serdeczne, a coraz to boleśniej zaciskała łańcuch niewoli! Chcesz miłością zespolić drapieżnego wilka i owcę błędną, piasek brzegu i fale rzeki, co łono jego toczą? Chcesz, aby jasność dnia razem z ciemnością nocy istniała? Patrz! Dokoła, na całych tych przestworach grudki ziemi nie znajdziesz, małej jak oko skowronka, co na nią patrzy z wyżyny, aby nie była przesiąknięta potem, krzywdą ludzką... O nie! — nie miłość!...

— Stój — zawołał Jezus, chwytając rękę olbrzymią, a na twarz wystąpiło mu przerażenie wielkie. — Słowa twoje straszniejsze są, niż sama zbrodnia zemsty. W ich sercach rozpalić trzeba ogień miłości większy, niż niedola, ogień miłości bezgranicznej, w którym sploną nieprawości świata,

a wszyscy zleją się w jedno ciało ludzkiej rodziny. Jak wszystkie władze duszy zlewają się w jedną wolę, tak ludzkie życie będzie wtedy jedną wolą bożą.

— Gdybym nie widział łez w oczach twoich, myślałbym, żeś na ten świat uragać przyszedł. Idź, mów umierającemu z głodu o pięknościach cnoty. Miłość to zbytek szczęśliwych. Czy myślisz, że my porodziliśmy się z takimi poszpeconymi zawiścią sercami?... Nam je bolesne jęki braci tak wykrzywiły; serca ludzkie trzeba znieczulić nadzieją zemstą, zahartować w zaciekłości, aby mniej były wrażliwe na boleści. Wtedy i pazur ucisku nie tak będzie mógł głęboko zapuszczać w nie swe ostrza. A potem poznają dobrze przyczynę swej doli i nastanie dzień odrodzenia, dzień straszny, jak sąd biblijny, dzień sprawiedliwości.

Jezus poruszył głową.

— Falszem plamisz usta. Tylko miłość da odrodzenie; tylko miłość zniesie ucisk; tylko miłość każe silnemu kochać słabego brata, dzielić z nim chleb i serce.

Wiatr rozwiał chmury. W górze znowu zarzyło się słońce; na dole, wśród lasów i pustyń stały się siedziby ludzkie: miasta błyszczące, spokojne wioski i smętne przytuliska samotników. Czarny przychodzień pochylił się; ręce wyciągnął w stronę Jerozalem; wzrok utkwiał nieruchomy gdzieś wśród szalałów nędznych, jak gdyby chciał dojrzeć i pokazać Jezusowi wszystko, co mu boleść sączyła w serce. W krwawych oczach jaśniała bezbrzeżna miłość ludu swego, gorzało współczucie dla nędzy.

— Patrz — wołał — patrz na świat! Tam ludzkość cierpi, szarpana wrogimi siłami; ratunek szybki jak myśl byłby jeszcze zbyt powolnym, bo każde mgnienie oka—to nieskończoność mąk, przygniatająca miliony swoim brzemieniem... Gdzie widzisz tam zaród miłości, skąd wykrzeseś choćby małą jej iskierkę? Niedola zrodziła i coraz to więcej wyradza nienawiści... Skąd sprowadzisz tę miłość, skąd przyjdzie ten ratunek na świat?

— Stamtąd? rzekł Jezus, rękę i oczy wznosząc w niebo, a twarz mu jaśniała spokojem nadziemskim.

— Stamtąd? Ja tam widzę tylko kulę świecąca jak złoto, co światem rządzi; pracuje ona na polach bogaczy, a bezlitośnie przepala nieokryte głowy biedaków...

— Nauczę ludzi — przerwał Jezus — wierzyć w Boga miłości, którego wypiaستowało serce moje, a Bóg ten zniesie nieprawości i królestwo swoje sprowadzi na ziemię. A wiara w niego i miłość dla niego każą ludziom zapomnieć zawiści i brudnej chęci zysku. A nadzieja jego ogładania osło-

dzi cierpienia wszelkie i raj będzie na ziemi... Zaprawdę, zaprawdę, tylko to, co z miłości poczęte, owoc pożywny przyniesie, a to, co zemsta wypia-
stowała, brudne i złe jest, jak myśl, co się rodzi w chwili pokusy.

— Boga chcesz ludziom dać, Boga miłości, gdzie on? Czy zestarzały Jehowa, co naród nasz skazał na męki wiekuiste, ludząc, żeśmy wybrani; co surowością swej natury, gniewem kaprysów przez lat tysiące nękał ojczyznę naszą? Czy może rozpustny Jowisz, co żelaznym cielskiem swych legionów, jak wąż opasuje świat dokoła, jak wąż zatruwa go jadem zep-
sucia! A może Moloch, zawsze zbaczony krwi posoką i zawsze krwi cheiwy!.. Weź tę bulkę, com ci przyniósł, mała jest, ale z serca dana, ale od ust półgłodnych odjęta, weź ją, boś ty głodniejszy. Kiedyś oddasz ludowi setnie pomnożoną a lud ci życie zawdzięczy, bo on łaknący umiera.

Jezus odsunął podaną ofiarę.

— Błaznisz! — wymówił głosem surowym — nie samym chlebem człowiek żyje. Weź swój datek.

Czarny przychodził cofnął rękę powoli. Usta okoliły mu się zmarszczkami, jakby od bólu.

— Gardzisz... proroku miłości! Ja, mściciel, nie zapamiętam ci tego!.. Ja i bracia moi, widząc cię wśród ludu, odrazu poznaliśmy, żeś ty taki, co prowadzić zdoła naród do zwycięstwa, że możesz zostać Aronem, Mojżeszem nowego świata....

— Nie kuś mnie napróżno mamiłami obietnic, co mają dla mnie wartość zuchwałych i bezrozumnych pragnień dziecka. Ja jestem królem i będę królem, ale królestwo moje nieprzywiązane do ziemi, ono w przestworach myśli, nieujęte granicami morza i gór, granicami narodu i języka. Miecz—to bezsilny oręż barbarzyńcy, znikomy, doczesny. Myśl moja podbije myśl świata całego i panować tam będzie... da szczęście światu bez kropli krwi rozlanej... wnuknie do serca głębiej, niż wasz nóż bratobójczy, i zamieni go w świątynię czystą, — miłość cuda tworzy!...

Czarny człowiek nie słuchał więcej. Czoło poryło mu się bruzdami cierpienia, oko zamglilo i po ponurej twarzy stoczyła się łza, łza ciężka, gorąca, jak wyrzut skrzywdzonego. Zakrył twarz rękami, a wraz z głębokim westchnieniem wyrwały mu się słowa:

— O Judejo, Judejo, nieszczęścia twoje stają się większe, niż złość wrogów twoich, bo prorocy twoi żyją w mglistych marzeniach pragnień niepochwytłych.

— Umysł twój żądzą zemsty skażony i dla tego zrozumieć słów mych nie możesz.

Oko Jezusa zaczęło drgać błyskami gniewu.

— Nie mogę, bo słowa twoje nie mają ziemskiej nagości, a oczy moje do ziemskiego błota przywykły, bo słowa twoje są dla mnie jak tajemnicze proroctwa kapłanów. Twoje chęci jak błękit niebieski czyste i jasne, ale niedoścignięte dla tych, których niedola przykuła na wieki do padółu płaczu, ale nie nakarmią, nie napoją, nie ulżą w biedzie, nie zagoją ran.

— A zemsta wasza brudna.

— A nasza zemsta! To pochodnia ognista, co rozświeci drogę do sprawiedliwości, co nocne bankiety wyrodných oświeci łuną pożarów!.. Chcesz z przepaści dzisiejszej niedoli zaprowadzić ludzkość do edeńskich rokoszy, nie poszarpawszy nawet nóg!?! Spróbuj skoczyć z tej skały i pozostań nienaruszony, chyba może aniołowie twego Boga cię zniosą.

Na to Jezus głosem wielkim zawołał:

— Po coś przyszedł duchu złości zatruwać mi spokój, kiedy uciekłem dumać samotny! Dziećmi ciemności jesteście i knowaniom waszym przyświeca duma piekielna, a zrodzicie czyny potworne, jak serca wasze. To też myśl moja i uczniowie moi, dopóki istnieć będą, po ostatnie świata krańce — bo słowa moje nie przemina — ścigać was będą. Wypowiadam wam walkę, boście duchy ciemności! Gdziekolwiek założycie piekielną kuźnię waszych szatańskich sił, tam ja będę i myśl moja niszczyć was będzie... Idź i bądź przeklęty!

I poszedł czarny człowiek, ciężko, powoli... Odrącony, ściskając bez myśli chleb w rękę, którym się chciał podzielić. Raz jeden jeszcze odwrócił łzawe oczy, ale ta twarz, co dla całego świata miała uśmiech pociechy serdecznej, dla niego jednego drgała nieprzebragany gniewem; ta ręka, co światu wskazywała Boga nowego zbawienia, pchała jego na potępienie; te usta, co miały światu ogłosić miłość bez granic, dla niego jednego drgały przekleństwem...

Ludwik Straszewicz.

WYKAZ ABONENTÓW
„OGNI SKA”.



	Egz.	rs.	Egz.	rs.
A. O. z Petersburga	1	25	Barbanell A.	1 4
Abczyński Jan adw.	1	4	Barta Marjan z Dublan	1zlr.6
Adamecki, pułkownik z Jarosławia	1	5	Baruch August z Łodzi	1 5
Adamowski Wincenty	1	4	Baruch Maksymilian	1 4
Adolf Władysław z Dziembrowa	1	5	Bauman Henryk	1 4
Ajzenman Gustaw	1zlr.5		Baumanowa Paulina	1 4
Akademia sztuk pięknych z Petersburga			Bażeński Adam z Burbiszek	1 5
patrz Inst. techn.			Bądarzewski T.	1 4
Akko Adam student z Rygi	1	4	Bąkowska Aleksandra ze Słubowa	1 5
Aleksandrowicz apt.	1	4	Bednarzewski W. z Lebedina	1 5
Aleksandrowicz Jerzy	1	4	Bendetson Ignacy	1 4
Aleksandrowicz Włodzim. st. z Kijowa	1	5	Benklewski Cezary	1 6
Altdorfer S. z Odessy	3	18.31	Benni Herman	1 4
Altdorfer Pius inż.	1	4	Bentkowska Antonina ze Słupsk	1 10
Anczewski	1	4	Bentkowski Andrzej	1 4
Andracki Florentyna z Pobjowa	1	5	Berner st. z Rygi	1 4
Andrzejewski dr. z Kobrynia	1	5	Besler Henryk	1 4
Andrzejkowicz Platon z Planty	1	5	Benzeł Adolf	1 4
Andrzejewski Józefat z Kijowa	1	4	Benzeł Juliusz adw.	1 4
Antusiewicz z Użłowej	1	5	Benzeł Leopold	1 4
Apte Ludwik st. z Rygi	1	5	Berezowska Kazimiera z Bereźniak	1 5
Arcimowicz Adam z Rybnicy	1	5	Bergson Ludwik	1 4
Arcimowicz Michał st. z Rygi	1	4	Berlinerblau Nikodem	1 4
Arciszewski	1	4	Bernatowicz Seweryn st. Inst. technol.	1 4
Aret Michał księgarz z Lublina	1	4	Bernard Walenty z Kozienic	1 4
Arczyński z Onufrowa	1	4	Bernstein Adolf	1 4
Arkin	1	4	Bernstein Józef	1 4
„Arkonian” stowarzyszenie z Rygi	1	50	Bernstein Ludwik	1 4
Arkuszewski ze Zborowa	1	5	Białosuknia Bronisława z Brzósł	1 4
Au Juliusz z Dublan	1zlr.6		Białosuknia Stan. senator z Chłaniowa	1 5
Anfszlag Mieczysław z Irkucka	1	5	Białosuknia Wojciech z Małej Wsi	1 4
Auguste Leonard	1	4	Biblioteka stud. z Puław	1 4
Augustowski Zenon z Irkucka	1	5	Biblioteka polska z Jass	1 4
Auspitz Ludwik dr. z Pabianic	1	5	Biegański apt.	1 4
Auspitz M. z Brześcia Litewskiego	1	4	Biele Józef	1 4
Babski apt.	1	4	Bielecki z Dąrzgowa	1 4
Bagiński Seweryn z Dachtalii	1	5	Bielinski Mieczysław	1 4
Bajer Karol	1	4	Bieniecki Józef dr. z Kalisza	1 5
Bajkowski dr. z Kijowa	1	5	Biernacki Waleryan	1 4
Bakszewicz z Wilna	1	4	Biesiadowski Józef z eukr. Olszańskiej	1 5
Baleer Ludwik z Irkucka	1	5	Bieżyński Aleksander	1 4
Bańkowski Władysław z Petersburga	1	4	Billiewicz Konrad st. z Rygi	1 4
Baranowski Ignacy dr.	1	4	Biskupski W. adw.	1 4
Baranowski Ksawery z Symferopola	1	5	Biskupski W. z Piscowa	1 5

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Biszlager Lucyan st. z Rygi	1 4	Butkiewicz Włodzimierz z Kołosów	1 5
Bitner Zdzisław	1 4	Buttler	1 4
Bobinska Joanna z Kijowa	1 5	Byczkowski Władysław z Ryżawki	1 5
Bobrowski z Ozorkowa	1 4	Bzowski Stanisław	1 4
Bobrowski Tadeusz z Lipowca	1 5	Cabert Edw. z Łomży	1 4
Boczowski J., aptek. w Włocławka	1 4	Cederbaum Stan. księg. z Lublina	1 4
Boerner Ignacy z Nowogrodu	1 4	Celichowski Tad.	1 4
Bogacki Feliks z Odessy	1 5	Centnerszwer dr.	1 4
Bogatko Konstanty leśnik	1 4	Centnerszwer księg.	2 8
Bogucki adw. z Lublina	1 4	Certowicz Czesław z Kurska	1 5
Bogdanowicz Jan z Nadrybia	1 5	Certowicz Ewelina z Kurska	1 5
Bogusławski Wiktor z Irkucka	1 5	Ch. J. z Dziewanowa	1 4
Bogusławski Tadeusz	1 4	Chalubiński Tytus dr.	1 4
Bohdanowicz Wł. z Lipowa	1 4	Chaniewski St. st. z Rygi	1 4
Bohuszewicz	1 4	Chadzyński Bronisław z Płocka	1 5
Bojakowski Maksym. z Kijowa	1 4	Chadzyński Marjan z Kijowa	1 4
Bojen Rudolf	1 4	Chelchowski Kaz.	1 4
Boleewicz Helena	1 4	Chelchowski Stanisław	1 4
Borkowski Ant. urzędnik Izby sarbowej z Kiele	1 4	Chelmiecki Jan	1 4
Bormanowa C.	1 5	Chelmiński L. inż. z Wyszniwego Wólczka	1 5
Bornstein księg. z Kola	1 4	Chelmoński A. i Holec Z.	1 4
Borowski Adolf	1 4	Chlewiński Kazimierz z Mariupola	1 5
Borowski Józef z Suwałk	2 8	Chmara Adam z Mińska gub.	1 5
Bortkiewicz Marya z Kiszyniewa	1 5	Chmielewski Aleksander dr. z Makowa	1 5
Bożeniec-Jałowiecki Aleks. z Kirowa	1 5	Chmielewski Edw. z Olkusza	1 4
Bratkowski Michał	1 4	Chmielewski Gaspar ks. z Lueyna	1 5
Bratkowski Władysław z Poninka	1 5	Chmielewski Konrad dr.	1 4
Bretszneider Emilian z Kankaskiej	1 5	Chodyniewicz Adolf	1 4
Brodecki Konst. adw. z Kiszyniewa	1 5	Chojcecka Marya	1 4
Brodowski Zyg. dr.	1 4	Chojcecki M. tow. prok. z Tambowa	1 5
Broniewski Stan. inżynier	1 4	Chołodecki ze Zdobunowa	1 4
Bronikowski Miecz. st. Inst. techn.	1 4	Chomiński Aleks. st.	1 4
Brun Kazimierz st. Politech. z Rygi	1 5	Chomichowski Aleksander z Petersburga	1 4
Brunnow st. z Rygi	1 4	Choński C. z Hrubieszowa	1 5
Brynk Antoni	1 4	Choroszewski z Moskwy	1 4
Brynk Józef	1 4	Chorzewski Maurycy st. Politech. z Rygi	1 5
Brzeski stud. Uniwer. peters.	1 4	Chraniewicz Ignacy pułk. z Ałagiru	1 5
Brzeski Waleryan z Brzezin	1 5	Cdrostowski dr.	1 4
Brzeziecki Bronisław	1 4	Chudeczek Teofil z Irkucka	1 5
Brzozowski dr.	1 4	Chudzyński Ign.	1 4
Brzozowski Aleks. podpułk. art. z Rianiania	1 5	Chyczewski St. adw. z Płocka	1 5
Brzozowski Feliks z Suwałk	1 4	Chylewski Deodat pułkownik z Wielkich Koźliszek	1 5
Buczyński Tomasz	1 4	Chrzanowski z Izdebnia	1 5
Budkowski Jan	1 4	Ciborowski Antoni	1 4
Budny obyw. ziem.	1 4	Ciemnołowski Mateusz z Petersburga	1 5
Bujakowski dr. z Druskienik	1 5	Ciechowski Henryk z Pyszkowa	1 5
Bujnicki Adam st. z Rygi	1 4	Cierpiecki Teodor z Antonówki	1 5
Bujno Adolf z Brzezin	1 5	Cieśliński Stan.	1 4
Bujwid	1 4	Cieszewski Ant.	1 4
Bukowska Zeneida z Irkucka	1 5	Cieszewski Marcelli ad. z Płocka	1 5
Bukowski Andrzej z Irkucka	1 5	Cieszkowska Marya z Rybuszek	1 5
Bukowski Józef z Irkucka	1 5	Ciszkiewicz	1 4
Bukraba Władysław z Żukowca	1 5	Ciundziewicka Marya z Gołoszek	1 5
Buliński Józef z Irkucka	1 5	Cohn dr. z Łodzi	1 4
Bulakowski Wiktor	1 4	Cohn Adolf	1 4
Bulhanowski Stanisław	1 4	Conti Henryk	1 4
Burdziński Józef adw. z Kiele	1 4	Cybulski Fortunat ze Spiczyniec	1 4
Buszyński Aleksander z Wilna	1 4	Cz... Ignacy z Petersburga	1 4
Buszyński Gustaw z Lebedy	1 5	Czajkowski Stanisław z Bućny	1 5
Buszyński Tomasz z Irkucka	1 5	Czajkowski	1 4
Butkiewicz Jan z Kijowa	1 4	Czajkowski Karol inżynier	1 4
		Czaplic Adam z Wilna	1 5

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Czapska Walerya z Janowa kow. gub.	1 5	Dulemba Kazimierz	1 4
Czarkowski Józef st. z Rygi	1 4	Dunin Bolesław	1 4
Czarkowska ze Skali	1 5	Dunin Konstanty z Petersburga	1 4
Czarnecki Stefan z Jampola	1 5	Dunin Tadeusz	1 4
Czarnobaj Jan dr. z Moskwy	1 5	Dyglewicz A. z Mławy	2 8
Czarnota-Bojarski Mich. z Petersburga	1 4	Dymowski z Lublin	1 4
Czarnowski L. st. z Rygi	1 4	Dynowski dr. z Teplika	2 10
Czarnowski Stanisław Czytelnia	1 4	Dynowski Franciszek z Petersburga	1 4
Czech Leopold z Irkucka	1 5	Dziekoński Prosper	1 4
Czechowiczowa Celina z Surwiliszek	1 5	Dzierżawski Franciszek z Piaskowie	1 5
Czechrajski Wit. z Maliszewskiego siola	1 5	Dzierzbicki	1 4
Czerepińska Czytelnia	1 4	Eger Jan chemik	1 4
Czernichowski dr. z Orszy	1 5	Eger Gracyan budowniczy	1 4
Czerski z Węgrowsa	1 4	Ehrenfried H.	1 4
Czosnowski Adam hr. z Kijowa	1 4	Eichler Leonard z Nieszawy	1 5
Czudowski Eustachy z Łasocina	1 5	Eichler Józef z Kijan	1 5
Czykiski Leonard z Ananiewa	1 5	Eiger Jakób	1 4
Czytelnia akademicka z Krakowie	22h.20	Eiger Juliusz st. z Rygi	1 4
Czytelnia z Dobrzelina	1 4	Eisenman Teofila	1 4
Czytelnia Instytutu z Puław	1 30	Eisenman	1 4
Czytelnia prywatna z Łomży	1 4	Ekierkunst Stefan z Irkucka	1 5
Czytelnia stud. polak. z Dorpatu	1 5	Eli	1 4
Czyżewski Antoni z Irkucka	1 5	Eliaszewicz Walery z Irkucka	1 5
Danielewicz st. Inst. Technol.	1 4	Engeman Edmund	1 4
Danilewicz Ignacy z Irkucka	1 5	Engler z Wielunia	1 5
Darowski Zygmunt z Ukrainy	2 8	Epsztajn Oskar ze Starokonstantynowa	1 4
Daszewski Aleksander	1 4	Erlich Jan dr.	1 4
Daszewski Antoni	1 4	Erlich Ant.	1 4
Dauter Leonz Irkucka	1 5	F. W.	1 4
Dawidenko Grzegorz z Irkucka	1 5	Fabjan A. z Nowodworu	1 4
Dawidowski Aleksander i Michałow-ski Adam z Porzecza	1 5	Fedecki J. z Charkowa	1 5
Dąbrowski A. z Sokolowa	1 6	Festenstadt Zenon lek. weter.	1 4
Dąbrowski Alfons urzędnik z Kiele	1 4	Feter Leopold z Irkucka	1 5
Dąbrowski Fr.	1 4	Ficki Aleksander z Sannik	1 5
Dąbrowski Gracyan adw. z Płocka	1 5	Fiedorowicz z Mazowiecka	1 4
Dąbrowski Ludwik z Temnikowa	1 5	Fijałkowski z Ozorkowa	1 4
Dąbrowski Winc. ks. z Poniedziela	1 4	Fileborn Daniel	1 4
Degelman Wład.	1 4	Fileborn Antoni ad. z Płocka	1 5
Degen I. z Czyhiryna	1 4	Finkelsztajn z Lublina	1 4
Delikowski Jordan z Antoniny	1 5	Florkowski Tadeusz ze Skali	1 5
Demby Stefan z Płocka	1 5	Florkowski Józef z Żórawinek	2 10
Deutscher z Dobrzynia nad Drwęcą	1 4	Formińska	1 4
Dębowski Paw. prof.	1 4	Formulewicz Bolesław st. z Puław	1 4
Dickstein	1 4	Frenkel Regina z Wiskitna	1 4
Dietrich Józef st. Akad. Szt. Pięk.	1 4	Frey Bronisław	1 4
Dobiecki St. z Koźanki	1 5	Fröhlich Stanisław	1 5
Dobke Władysław	1 4	Frysz Wilhelm	1 15
Dobrowolski	1 4	Fudalewski Jan z Sandomierza	1 4
Dobrowolski J. z Żytomierza	1 5	Fukier Henryk	1 4
Dobrzański Konrad dr.	1 4	Gabszewicz dr.	1 4
Dobrzański Mirosław	1 4	Gadomski Józef z Ekaterinburga	1 5
Dobrzyjałowski August	1 4	Gajkiewicz dr.	1 4
Dobrzyński st. z Petersburga	1 4	Galberz Mikołaj z Buhajówki	1 5
Dobrzyński Józef	1 4	Garliński A. z Kiszyniewa	1 5
Dokowski Artur z Kijowa	1 5	Garnicki Mikołaj z Pińska	1 5
Dołobowski Jan z Nowosiergiejewka	1 5	Gąsiorowski Julian	1 4
Domański	2 8	Gdowski Wincenty	1 4
Domaniewski Sobiesł. major z Żukowiec	1 5	Gebethner i Spółka księg. w Krakowie	5 20
Domher F. z Hrubieszowa	1 5	Gebethner i Wolff księg.	25 100
Dowojna-Sylwestrowicz Aleks. z Wodźgir	1 5	Gessner Edward	1 4
Drecki Władysł. z Częstocic	1 4	Gervais Franciszek z Petersburga	1 4
Dubowik Ignacy	1 4	Gębarzewski Bron.	1 4
		Giedgowd Franciszek z Gil	1 5

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Giegurzyński Hipolit adw.	1	5	Gruszecki A.	1	4
Giejsler Edw.	1	5	Gruszecki Dyonizy z Rybnic	1	5
Giejsler Karol	1	4	Gryglewski Marcell	1	4
Giejszt r księgarz.	1	4	Grzankowski A.	1	4
Giejsztor I. K.	1	5	Grzebski Witosław z Plocka	1	5
Giejsztorowa Helena	1	4	Grzesiewicz Jan ze Skierniewie	1	4
Gierszyński H. dr. z Quarville	1fr. 20		Grzędzica Ignacy z Brzezina	1	5
Ginsberg Stanisława z Częstochowy	1	4	Grzybowski Michał z Charkowa	1	5
Gliniski Henryk z Petersburga	1	4	Guliński dr. z Kamienieca Podolskiego	1	5
Gliniski Franciszek z Białegostoku	1	4	Gutentag	1	4
Gliniski Kazimierz z Żytomierza	1	5	Gwoździowski Aleks. st. Akad. szt. piek.	1	4
Gliniski Stanisław z Petersburga	1	4	Halicka M. z Omska	1	5
Glinka Wiktor z Gołowaniewska	1	5	Handelsman Bron.	1	4
Glinojewski Ryszard z Petersburga	1	5	Hanneki Włodzimierz z Porzecza	1	5
Gliszczyńska	1	4	Hartung Stanisław z Irkucka	1	5
Glebocka Zofia z Szaryna	1	5	Hartung Mikołaj z Irkucka	1	5
Glebocki Adam z Berezówki	1	5	Heidenreich Seweryn	1	4
Glebocki Euzebiusz z Horodnicy	1	5	Heltman Leon dr. z Petersburga	1	5
Glebocki Zygmunt adw.	1	4	Heltman Leon ze Swisłoczy	1	5
Głuchowski Kazimierz z Symferopola	1	5	Held Juliusz	1	4
Gniewosz Stan. stud. Pol. z Rygi	1	4	Hering T. dr.	1	4
Godecki Teofil	1	4	Hermelin	1	4
Godlewski Emil dr. z Dublan	1zlr. 6		Hertzler Teodor	1	4
Godlewski Jan stud. z Rygi	1	4	Hewelke	1	4
Godlewski Tomasz z Lipska (gubernia radomska)	1	5	Heyman Edward z Petersburga	1	4
Godyński Feliks z Mineralnych Wód	1	5	Heyman Jakób z Kleezewa	1	5
Goetz z Lublina	1	4	Heyman Szymon jun. z Łodzi	1	5
Gole Rudolf z Brzezina	1	5	Higersberger Stefan st. z Rygi	1	5
Gole Stanisław	1	4	Hilsberg Jerzy	1	4
Goldbaum Miecz.	1	4	Hirsband Zygmunt	1	4
Goldflam dr.	1	4	Hirsfeld Bolesław	1	4
Goldman Herman	1	4	Hirsfeld Stanisław	1	4
Goldman Jakób z Łodzi	1	5	Hoene Jan dr.	1	4
Goldman Ignacy	1	4	Hoffman Maurycy ze Lwowa	1	5
Goldman Leon	1	4	Höller Antoni z cukr. Borodockiej	1	5
Goldstein Stanisław	1	4	Horodecki naucz. gimnaz. z Koroczy	1	5
Golebiowska	1	4	Hrebniński st. Inst. technol.	1	4
Góranowski dr.	1	4	Hrynciewiczowa Alina z Ilgoni	1	4
Górecka Bonifacja z Pilichowa	1	4	Hryniewicz Czesław z Łomży	1	4
Górski Czesław dr. z Nowogrodu	1	5	Hryniewicz Jan ze Swisłczowa	1	5
Górski Piotr ze Świacka	1	5	Hryniewska Melania z Żytomierza	1	5
Gorsekowska Monika z Grodna	1	5	Hubicki	1	4
Gośliński Seweryn z Wodzian	1	5	Humiecki Teofil marsz. szlach. z Pieniek	1	5
Gottheiner Maurycy z Kuluszek	1	5	Hurkowski Włodzimierz z Grzebienki	1	5
De la Gourdain Ignacy	1	4	Husarzewski Alfred	1	4
Grabowska Konstancja z Kalisza	1	4	Idzikowska Hersylia z Kijowa	1	4
Grabowski z Gutanowa	1	4	Idzikowski księg. z Kijowa	7	28
Grabski z Borowa	1	4	Ilinski H.	1	4
Graff Jakób z Łodzi	1	5	Instytut technologiczny 1 Instytut komunikacji 1, Instytut górniczy 1, Instytut leśnictwa 1, Szkoła budowlanych 1, Akademia sztuk pięknych 1, Uniwersytet petersburski 1, Kursa żeńskie Bestużewskie 1, Kursa żeńskie pedagogiczne, Kursa medyczne żeńskie 1, razem egz.	10	207.25
Grażewski Jan z Kielm	1	5	Iwanowski Eustachy z Nowosielicy	1	5
Greffkiewicz Apolinary	1	5	Iwański August	1	4
Gregorowicz Jan red. Tygodnika Młod	1	4	Izbiński Konstanty z Kijowa	1	5
Grobicki Piotr	1	4	Izycki A. z Kamienieca Podolskiego	1	5
Grodnicki dr. z Konina	1	5	Jabłkowski	1	4
Grodzicka Teresa z Modliborzyc	1	4	Jablonski	1	4
Grodzki Antoni z Irkucka	1	5	Jablonski Adam z Pniewa	1	4
Groszlik Leon	1	4			
Grossek Henryka z Krzyżanówki	1	5			
Grosstern Wiktor dr.	1	4			
Grotkowski Józef	1	4			
Gruberski Roman	1	4			
Gruszczyński Franciszek z Widawy	1	5			

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Jabłoński Stanisław	1	4	Kaliński inżynier z Krzewina	1	5
Jacubski Antoni z Mierzyc	1	5	Kaliski M.	1	4
Jaczewski Jan z Rzysszczewa	1	4	Kamińska Janina z Grodna	1	4
Jagielłowicz Władysław st. z Puław	1	5	Kamiński Feliks z Irkucka	1	5
Jagmin Kalikst z Czerni	1	5	Kamiński Karol z Berdyczewa	1	4
Jahatkowski Ryszard z Siemienicy	1	5	Kamiński Maksymilian z Brzezina	1	5
Jakubowski Włodzimierz z Fatkowa	1	4	Kanigowski Włodz.	1	4
Jałowicka z Petersburga	1	5	Kalinowski dr. z Plocka	1	4
Janasz z Ozorkowa	1	4	Kalusowski Cezary z Irkucka	1	5
Janczewski Ludwik z Charkowa	1	5	Karaś buchalter	1	4
Janczewski Zygmunt z Petersburga	1	5	Karo aptekarz z Lublina	1	4
Janiszewska Jadwiga z Kijowa	1	5	Karolewski August	1	4
Janiszewski Aleksander z Czyhiryna	1	5	Karpiński Wincenty	1	5
Jankowska Marya z Rosołowie	1	5	Karnicki Tytus z Petersburga	1	5
Jankowski Bolesław z Siestrzan	1	4	Karwowska i Zabłocki księg.	2	8
Jankowski Konstanty z Irkucka	1	5	Karwowski Konstanty dr.	1	4
Jankowski Leonard z Ukrainy	1	4	Kasterski dr. z Rypina	1	5
Janowski Edmund z Harazówki	1	5	Kasnowski Antoni	1	4
Janowski Winc.	1	4	Kernbaum Józef	1	4
Jaroszewski Bolesław z Irkucka	1	5	Kernbaum Maks	1	4
Jaroszewski Jan Julian	1	4	Kibort st. Inst. techn.	1	4
Jasiński Ignacy	1	4	Kieński Mieczysław z Białopola	1	5
Jasiński Ludwik z Bratskiego (g. irk.)	1	5	Kierglewicz Franciszek z Suszewa	1	4
Jasiński z Nieszawy	1	4	Kiernorzycki Konstanty z Irkucka	1	5
Jasinkiewicz z Mitawy	1	5	Kiersnowski Zygmunt z Kijowa	1	5
Jastrzębski z Lublina	1	4	Kiewlicz Stefan z Dublan	1zlr. 6	
Jastrzębski Adam z Irkucka	1	5	Kin Leopold	1	4
Jastrzębski Serafin z Tydlisu	1	5	Kipman Adolf z Rygi	1	4
Jaworowski Aleks dr. z Lublina	1	4	Kirkorowa C.	1	4
Jaworski Andrzej z Brzezina	1	5	Kirszt Jakób adw.	1	4
Jaworowski Antoni	1	4	Kirszt Józef adw.	1	4
Jaworowski Artur	1	4	Kirszt Leon z Modela	1	4
Jaworski Władysław z Teleszówki	1	5	Kislański Władysław	1	4
Jawtok Edward z Petersburga	1	4	Klarnier Jan dr.	1	4
Jelenkowski Juliusz	1	5	Klawer Teodor z Jaltuskowa	1	5
Jeleński Oktawiusz z Carycyna	2	10	Kleindinst Adolf	1	4
Jenike Ludwik, red. Tygodnika. Illustr.	1	4	Kleinerman A. E.	1	4
Jentys Franciszek	1	4	Klepaczko Tomasz z Brzezina	1	5
Jentys Stefan z Dublan	1zlr. 6		Kleszczyński Karol technik	1	4
Jeska Stefan	1	4	Klimontowicz Antoni, sędzia śledczy z Grójca	1	5
Jewniewicz profesor z Petersburga	1	4	Klugman W.	1	4
Jezierski Felks	1	4	Kloczkowski st. Inst. technol.	1	4
Jędrzejewski Bolesław z Porzecza	1	5	Kłodawski Teofil z Irkucka	1	5
Jocher Adam z Petersburga	1	4	Kłopotowski naucz. z Charkowa	1	6.50
Jodko Tomasz z Pukowa	1	4	Klossowski Karol z Zamościa	1	5
John Aleksander	1	4	Klossowski Kaz.	1	4
John Zygmunt	1	4	Knaap Ludwik z Petersburga	1	5
Jordan Romuald z Dublan	1zlr. 6		Kobielski Norbert ze Słobótki	1	5
Jotejko	1	4	Kobierzycka z Witowa	1	5
Jotejko stud. Uniwer. petersb.	1	4	Kobierski M. z Głuska	1	5
Jowkiewicz Franciszek z Petersburga	1	4	Kobyłańska	1	4
Józefowicz Michał rejent	1	4	Kobyłański Mieczysław z Rygi	1	4
Józwicki Stanisław	1	4	Kobyliński Władysław z Narojek	1	5
Jundził Napoleon dyrektor filii banku z Kiele	1	4	Kobyliński Adolf w Ciszewli	1	4
Junger Leon z Irkucka	1	5	Kobyłecki, Gniewosz i Zientarski stud. Inst. technol.	1	4
Junger Szymon z Irkucka	1	5	Koc Włodzimierz z Łomży	1	4
Jurowski Seweryn z Grodna	1	5	Kociubiński	1	4
Jusiecki Leon z Grablina	1	4	Kocowski aptekarz z Lublina	1	4
K. A.	1	4	Koczorowski Wacław z Baroka	1	5
K. J. z Chmielowa	1	5	Koepe Józef	1	4
Kaczkowski dr. z Łowicza	1	4	Kojałowicz Kazimierz z Wilna	1	5
Kalinowski Ant.	1	4			

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Kokeli Józef	1 4	Kotarbiński	1 4
Kolendo Władysław	1 4	Kowalski Jan	1 4
Kolski Józef	1 4	Kownacki K. z Tomaszpola	1 5
Kółko kobiet Polek	1 4	Kozanecka Marya	1 4
Kółko młodzieży	1 4	Kozika Gustaw st. z Rygi	1 4
Kółko młodzieży	1 6	Kozłowski Bolesław st. Inst. techn.	1 4
Kółko młodzieży	1 4	Kozłowski Edmund dr. z Garwolina	1 5
Kółko młodzieży	1 100	Kozłowski Jan st. z Rygi	1 4
Kółko młodzieży gimn.	1 4	Kozłowski Kazimierz st. z Rygi	1 4
Kółko młodzieży polskiej z Kazania	1 5	Kozłowski Leon z Patrykóz	1 5
Kółko młodzieży polskiej z Puław	1 4	Kozłowski Franciszek	1 4
Kółko młodzieży polskiej z Żytomierza	1 5	Krajewski Leon urzędnik z Kiele	1 4
Kółko młodzieży z Białej	1 7	Krakowski Ludwik	1 4
Kółko studentów Uniw. warszaw.	1 4	Kramszyk Jul. dr.	1 4
Kółko studentów warszawskiej Szkoły Weterynaryj	1 9.50	Kramszyk Marcelli	1 4
Kółko studentów Polaków z Wrocławia	1 5	Kramszyk Zygmunt dr.	1 4
Kółko studentów Polaków piotrowskiej Akademii rolniczej z Moskwy	1 15	Krantz Jakób	1 4
Kółko uczniów białostockiej Szkoły real.	1 4	Krassowska Klementyna z Jaltuszkowa	1 5
Kołodny Jankiel z Porzecza	1 5	Krassowski Kazimierz z Jaltuszkowa	1 5
Koludski Lueyan dr. z Sosnowie	1 4	Krasowski Władysław	1 6
Komorowicz Cezary z Kijowa	1 4	Kraszewski J. I. z Dreżna	1 5
Kon Julian	1 4	Kraszewski Julian z Sopówki	1 5
Konitz L. dr.	1 4	Krąkowski K.	1 4
Konitz Józef St.	1 4	Kretkowski Leon z Baruchowa	1 4
Konitz Józef	1 4	Królikowski Wincenty z Opatowa	1 4
Konopczyński Ignacy z Łodzi	1 4	Kronenberg Stan. dr. fil.	2 400
Konoplański podpułkownik	1 4	Krukowski Oton	1 4
Konopski Jan z Juvisy (Francya)	1 5	Krupski Andrzej inżynier z Kuszwyc	1 5
Kontkiewicz z Radomia	1 4	Krupski Lueyan	1 4
Kontkiewicz Marya	1 4	Kruszewska Alina	1 4
Kontkiewicz Stanisław z Krzyw. Rogu	1 5	Kruszewski Roman dr. fil. z Bukowca	1 5
Kopczyński nauczyciel z Łodzi	1 4	Krzeczkowski Bolesław z Odessy	1 5
Kopsteński Jan z Teplika	1 5	Krzemieniecki Julian z Brzezina	1 5
Koprowski	1 4	Krzyżkowski Ludwik rejent z Kiele	1 4
Korbusz z Czechiryna	1 5	Krzyżkowski Kazimierz z Permu	1 5
Korngold Jakób	1 4	Krzyszkievicz Tom.	1 4
Kórowicki Michał sędzia z Kiszyniewa	1 5	Krzyżanowska Halina z fermi Step	2 10
Korsak Jadwiga z Semienicy	1 5	Krzyżanowski Romuald z Kijowa	1 5
Korsak Jan z Kuplina	1 5	Krzyżanowski Wiktor ze Stawiszcz	2 10
Korybut-Daszkiewicz z Tewli	1 5	Kucharzewski z Mazowiecka	1 4
Korybut-Daszkiewicz Gustaw	1 4	Kuczeńska Ludwika z Carycyna	1 5
Koryciński z Wirowa	1 5	Kuczyński z Chmielowa	1 5
Korycki Lueyan z Irkucka	1 5	Kuksiński z Aleksandrowa (włodz. gub.)	1 5
Korycki Z. st. z Rygi	1 4	Kulesza Edward z Samary	1 4
Korwin-Krukowski z Nowogrodu	1 5	Kulkowska K. J. Czytelnia	1 4
Korzeniowski Józefat z Irkucka	1 5	Kulikowska Ewelina z Kijowa	1 4
Korzon Władysław z Paduna	1 5	Kunke Tadeusz	1 4
Kosacki Aleksander z Żytomierza	1 4	Kunkel	1 4
Kosiński dr. z Łomży	1 4	Kuńczyk Henryk z Miechowa	1 5
Koźmiński Wład.	1 4	Kureyusz Ludwik	1 4
Kosmowski	1 4	Kurnatowski Stan.	1 4
Kossowska Emilia z Kijowa	1 5	Kuroczycki Stan. aptek. z Międzyrzecza	1 4
Kossowski st. Akad. sztuk pięk.	1 4	Kursa żeńskie Bestużewskie patiz Instytut technologiczny	
Kossowski Antoni	1 4	Kursa żeńskie medyczne p. In. technol.	
Kossowski Kazimierz st. Polit. z Rygi	1 5	Kursa żeńskie pedagogiczne p. Ins. tech.	
Kossowski Michał z Irkucka	1 5	Kwasieberski Jan	1 4
Kościełkowski Karol z Poniedziela	2 10	Kwasieberski Władysław	1 4
Kościełkowski Stefan z Fiodyrzysek	1 5	Kwaskowski Zygmunt	1 4
Kościuszko-Waluzynicz z Nowozybkowa	1 5	Kwiatkowski Piotr	1 4
Kościuszko Stanisław dyr. fabr. Parafjówki	1 5	Kwiecińska	1 4
		Lampe Henryk	1 4
		Lampe Ludwik	1 4

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Landau Michał	1 4	Łabanowski Jan z Nowogrodu	1 5
Landau S. inżynier	1 4	Łabęcki Gustaw z Kłembówki	1 5
Lande Szymon	2 8	Łabuński Stanisław z Permu	1 5
Langfür Leon	1 4	Łada Bazyli dr. z Siedlee	1 4
Laskowicz Marya	1 4	Łada Bolesław z Jabłonowa	2 10
Laskowski Remigiusz dr. z Siedlee	1 5	Łamiński Franciszek adwokat z Kiszyniewa	1 5
Lasocki Michał	1 4	Łaniewski Adam	1 4
Lebiedziński Witalis z Suwałk	1 4	Łaski stud. Inst. technol.	1 4
Lechia T.	1 4	Łaski Seweryn	1 4
Lechowski K. st. z Rygi	1 4	Łasnkowski Henryk z Krasnosiołki	2 10
Lenkiewicz Ignacy	1 4	Łaskiewicz Adolf z Czerepina	1 5
Leo Edward jr. st. z Rygi	1 4	Ławcewicz z Charkowa	1 5
Leopold Józef z Rzepiszowa	1 4	Ławicki Adam st. Politechn. z Rygi	1 5
Leśkiewicz Kaz.	1 4	Łazarew Karol	1 4
Leśniewski ks. prob. parafii Błogie	1 4	Łażniewski	1 4
Leszczyński Stan. adw.	1 4	Łęczyński Aleksander z Irkucka	1 5
Letki Edward z Irkucka	1 5	Łęcki Stanisław z Sandomierza	1 4
Leutnecker Emil z Orenburga	1 5	Łobaczewski Antoni z Irkucka	1 5
Lewandowski inżynier z Bytógory	1 5	Łopatto Stefan kapit. z Tyflisu	1 5
Lewandowski Walenty	1 4	Łopuszański Emil z Pinezowa	1 5
Lewiński Kazim.	1 4	Łopuszyński E.	1 4
Lewenstan L. st. z Rygi	1 5	Łopuszyński Wacław z Śmiely	1 5
Lewental S.	1 5	Łoś Kazimierz z Suchedniowa	1 5
Lewicki Karol adw. z Kiszyniewa	1 5	Łotocki Leon z Kijowa	1 5
Lewinsohn Benjamin adw. z Płocka	1 5	Łukaszewski dr. z Jass	1 4
Lewinsohn Ludwik adw. z Płocka	1 5	Łubiński st. Inst. technol.	1 4
Lewy dr.	1 4	Łuniewski Stefan	1 4
Lewy Gustaw adw. z Piotrkowa	1 4	Ługowska Z. Żychlina	1 4
Liajmanowa Henryetta z Rowna	1 5	Łuszczeńska Jadwiga z Kociołków	1 4
Lichtenbaum N.	1 4	Łuszczeńska L.	1 4
Liebke stud. Inst. technol.	1 4	M. Wanda z Wilna	1 4
Liedtke Czesław st. z Rygi	1 4	M. S. z M.	1 5
Ligowski Jan z Płocka	1 5	Maas Adolf	1 4
Likiernik Leon	1 4	Maciejewski Władysław st. z Rygi	1 4
Lielensztern Leon	1 6	Mackiewicz Błażej z Irkucka	1 5
Lilpopowa Franc.	1 5	Magnuszewski, ksiądz z Lasocina	1 5
Lilpopowa Joanna	1 10	Majewska Halina z Permu	1 5
Lilpop M.	1 5	Majewski adw. z Lublina	1 4
Lilpop Stan.	1 5	Majewski A. z Malitewskiej	1 5
Linda W. z Płocka	1 zlr. 6	Majewski R. F. inżynier z Tychwina	1 5
Lingenau z Siedlee	2 8	Majewski Stanisław st. Instytut technologicznego	1 4
Lipczyński Jan z Witkowa	1 5	Makowiecki Fryderyk	1 4
Lipiński St. st. z Rygi	1 5	Maliniak E.	1 4
Lipke Paweł z Łodzi	1 5	Malinowska Wanda	1 4
Lipko E. inżynier z Janowa lub.	1 5	Malinowski st. Akad. sztuk pięknych	1 4
Lipkowski Józef z Ładyszynki	1 5	Malinowski Czesł.	1 4
Lippa Antoni	1 4	Malinowski Włodzimierz z Rygi	1 4
Lippa Michał	1 4	Malinowski M. z Bejnarowa	1 5
Lisiecki Stan.	1 5	Małachowski st. Akad. sztuk pięknych z Petersburga	1 4
Lohman Helena z Opatowa	1 5	Małachowski z Mozyra	1 4
Lohman Stefan st. Politech. z Rygi	1 5	Małachowski z Łyszczyce	2 8
Lubański stud. Uniw. petersb.	1 4	Małagowski Stan.	1 4
Lubański Ludwik	1 4	Małczyński Witold	1 4
Lubomirska księżna z Kijowa	1 4	Małowieski Józef, prezes Dyrek. Szez. T. K. Z. z Łomży	1 4
Lubomski Wład. dyrektor z Dublan	1 zlr. 6	Małowieski Kazimierz z Dobk	1 4
Lubecki H. z Petersburga	1 4	Mann Leon	1 4
Ludkiewicz Norbert z Żońcie	1 5	Mareński Wilhelm z Porzecza	1 5
Lukree Józefa	1 4	Markiewicz K. z Siedlee	1 4
Luksemburg Julian	1 4	Markiewicz z Woronecowski	1 4
Luksemburg Maurycy	1 4		
Lutosławski W. z Drozdowa	1 5		
Lutz z Mazowiecka	1 4		
Lutz Karol z Irkucka	1 5		

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Markiewicz Aleksander z Opatowa	1 4	Modzelewski Leon z Ukrainy	1 4
Markiewicz Ignacy budow. z Piotrkowa	1 4	Mokrowicki Bolesław st. z Kijowa	1 5
Markiewicz Michał z Cmielowa	1 4	Modrzewski Franc. z Siedlec	1 4
Markowski Stefan ob. ziem.	1 4	Molsdorffer Bronisław adw. z Płocka	1 5
Marks E. adw.	1 4	Monkiewicz Ludwik z Petersburga	1 4
Marrené Walerya	1 5	Morozewicz Józef	1 4
Martini Leonard inżynier z Kuszwy	1 5	Mościeki Julian	1 4
Marynowski Witalis z Sandomierza	1 4	Mostowicz Czesław dr. z Gori (Kaukaz)	1 5
Matecki	1 4	Moszezeński T. kasyer	1 4
Matlakowski z Leonowa	1 4	Moszczyce	1 4
Matusiewicz Jan ks. z Żytomierza	1 5	Moszczyński Stanisław z Pińska	1 5
Matuszewska Marya	1 4	Moszyński Cezary z Dziunkowa	1 5
Matuszyński Bolesław	1 4	Moszyński Józef z Nowej Sienawy	1 5
Mauchs Jan	1 4	Moszyński Stefan inżynier z cukrowni	1 5
Mayer Herman	1 4	Jeziorna	1 5
Mazurowski Stefan z Makowa	1 5	Możdżyński inżynier z Kielc	1 4
Mazurowski Wiktor st. Akad. szt. p.	1 4	Możdżyński Lucyan dr. z Kaźmierz Wiel.	1 4
Mączewski Tytus	1 4	Muczyński Karol z Sopoćkin	1 10
Mendelsohn I.	1 50	Murzynowski Jan z Nieborowa	1 4
Metahl Szymon	1 4	Muszkat	1 4
Mewus Bogusław	1 5	Mutermileh Julia	1 4
Meyet Leopold adwokat	1 4	Mysłowski Antoni z Wierchnieudyńska	1 5
Meyszutowicz Władysław st. z Rygi	1 4	N. N. z Irkucka	1 5
Meyzner Izidor, księgarnia ludowa z Raciąży	10 40	Nagórski inżynier technik z Lublina	1 4
Majzner Naftal	5 25	Nagórski Adam	1 4
Męczyński Bronisław z Kijowa	6 24	Nagrodzka Benigna z Dubna	1 5
Michalczewski Roman	1 4	Nahorski Stanisław z Grodna	1 10
Michalewicz Konstancya	1 4	Nakęski Adam Ant.	1 4
Michalska Emilia z Mohilewa	1 5	Nakowski Wacław	1 4
Michałowski dr. z Radzyna	1 5	Narkiewicz Jodko z Onufrowa	1 4
Michałowski Ant. dr. z Żelechowa	1 4	Narolski z Petersburga	1 4
Mickiewicz Leon i Kołodny Zandel z Porzecha	1 5	Nassius Maksy.	1 4
Mieczynski Stan.	1 4	Natanson Edward st. Inst. technol.	1 4
Mielecki Stan. z Dublan	1 4	Natanson Henryk	1 4
Mielnik Konst. z Porzecha	1 5	Natanson Kaz.	1 4
Mierzejewski Z.	1 4	Nathansohn H. z Dobrzelina	1 4
Mikulewicz z Petersburga	1 5.50	Nawrocki Jan apt. z Nowej Pragi	1 4
Mikuliński	1 4	Neronowicz z Luboczy	1 4
Mikulski ze Stawiszcz	1 4	Neuding Edward	1 4
Milewska Aniela	1 4	Neufeld Bronisława	1 4
Milewski Nestor naucz. z Astrachania	1 10	Neugebauer dr.	1 4
Milowicz Aleksander z Wilna	1 5	Neumark Izaak z Płocka	1 4
Milowicz Edmund z Dymitrówki	1 5	Neumark Izidor stud. Politechn. z Rygi	1 5
Milowicz Stanisław z Bereścia	1 5	Niedzielska	1 4
Miller z Telechan	1 4	Niedzielski Józef z Irkucka	1 5
Milżeczki Iwo z Dublan	1 zlr. 6	Niedzielski Wacław dr. z Georgiewska	1 5
Milkowski Józef dr. z Ostroga	1 5	Niedźwiecki Kazimierz	1 4
Minkiewicz Józef z Irkucka	1 5	Niedźwiedzki Piotr dr. z Serdobska	1 5
Miński Albert z Irkucka	1 5	Niewiarowski Floryan ze Stefanowa	1 5
Mioduszewski Bolesław z Irkucka	1 5	Niewmierzycka Magdalena z Charkowa	1 5
Mioduszewski Stanisław z Ługańskiej fabryki	1 5	Nirsztajn Stanisław	1 4
Mirkulewicz Stanisław z Kozienic	1 4	Nowak Edmund z Petersburga	1 4
Mirowski st. Szkoły Budow.	1 4	Nowakowski dr. fil. nauczyciel Szkoły Techn. w Lublinie	1 4
Mleczko Stanisław z Fürstenhofu	1 zlr. 6	Nowakowski Adam	1 4
Młocki Zygmunt	1 4	Nowakowski Franciszek	1 4
Mochajski Konstanty ze Staszowa	1 4	Nowakowski Hipolit	1 4
Moczyński Konstanty ze Świacka	1 5	Nowakowski Józef st.	1 4
Moczarski Ludwik	1 4	Nowakowski	1 4
Modzelewski Ludwik z Chmielówka	1 5	Nowakowski Wład.	1 4
Modzelewski Stanisław z Sosnowca	1 4	Nowicki z Białej Cerkwi	1 4
		Nowicki inżynier	1 4
		Nowicki B. z Odessy	1 5

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Nowicki Franciszek z Ekaterynosławia	1 5	Perl Józef	1 4
Nowicki Maksymilian z Irkucka	1 5	Perłowski Michał z Wapniarki	2 10
Nowiński Aleksander	1 4	Perskiewicz J. dr. z Mohylewa	1 5
Nowiński Teodor	1 4	Petelak dr. z Przedborza	1 5
Nussbaum dr.	1 4	Pfeiffer Aleksander	1 15
Obertyński Aleksander z Poczopinie	1 5	Pfeiffer Bracia czyteln. fabryczna	1 10
Obąpalski Emanuel st. z Rygi	1 4	Pfeiffer Mieczysław	1 10
Obreński st. Inst. technologicznego	1 4	Pfeiffer Stanisław	1 4
Oczykowski z Łowicza	1 4	Pfeiffer Stan. st. jr.	1 15
Oderfeld Adam z Częstochowy	1 4	Pfeiffer Władysław	1 4
Odlaniecki-Poczobut Antoni z Petersburga	1 4	Piasecki Edward z Irkucka	1 5
Odynie Antoni	1 4	Piechowska Stanisława z Nadroża	1 4
Ohryzko Jozafat z Irkucka	1 5	Piechowski Michał z Petersburga	1 4
Ojczyński Apoloniusz z Opatowa	1 4	Pieczynis S. nauczyciel	1 4
Okorski Franciszek z Lublina	1 4	Pienkowski Walenty	1 4
Okulicz Zofia ze Stok	1 5	Pleszko Stanisław z Kijowa	1 4
Olewiński Cyprian naucz. z Charkowa	1 5	Pietkiewicz z Wilna	1 4
Oleński Edward	1 4	Pietrulewicz Gabryel dr. z Nowgorodu	1 5
Olgiati Józef	1 4	Pilawski Stanisław dr. z Siedlec	1 4
Olszakowski st. Szkoły Budown.	1 4	Piltz Erazm z Petersburga	1 10
Olszamowski Bolesław z Petersburga	1 5	Pilsudski z Petersburga	1 5
Olszewski Eugeniusz	1 4	Piotrowicz st. Akad. sztuk pięknych	1 4
Olszewski Franciszek dr. z Markowa	1 5	Piotrowski z Grodna	1 5
Olszowski S. st. z Rygi	1 5	Piotrowski A. z Tuły	1 5
Oltuszewski dr	1 4	Piotrowski Bolesław z Nowgorodu	1 5
Onufrowicz Adam uczeń Akad. Techn. z Krakowa	1 zlr. 6	Piotrowski S.	1 4
Onufrowicz Bronisław członek sądu okręgowego z Samary	1 5	Piramowicz Marcelli	1 4
Orda Wacław z Moskwy	1 5	Planet księgarnia	1 4
Orłowski	1 4	Plater de Broel Aleksander	1 4
Orłowski Grajan z Brzezin	1 5	Plaskowski dr.	1 4
Orłowski Piotr z Petersburga	1 4	Plewinski H. rejent	1 4
Orzechowski Julian z Buszy	1 5	Poczobut Józef z Czyreja	1 5
Oskierko Alfons z Petersburga	1 4	Podbielski Roman z Helenowa	1 4
Osmański Władysław z Rożdałowa	1 5	Podciechowski A. dr. z Warty	1 5
Ostaszewski Ed. st. z Rygi	1 4	Podmostki St. z Omska	1 5
Ostolski Tadeusz st. z Rygi	1 4	Podowski Edmund z Leonowa	1 5
Ostromęcki	1 4	Pogorzelski Józef z Sandomierza	1 4
Ostrowski	1 4	Poklewska-Koziele Marya z Tylicy	1 5
Ostrowski Feliks z Irkucka	1 5	Pol Konstanty technolog z Gołty	1 5
Paciewicz księg. z Piotrkowa	3 12	Polak Ludwig księg.	1 4
Paciorkowski stud.	1 4	Polak Salomon	1 4
Pajewski Bolesław	1 4	Polezyński Józef adw.	1 4
Palmirski	1 4	Poleski Franciszek z Kijowa	1 4
Papieski Jan	1 4	Polkowski z Ozorkowa	1 4
Paprocki Teodor	1 4	Polkowski Ignacy z Jamburga	1 4
Paschalis Józef	1 4	Pollack Aleksander	1 4
Pastuszewski	1 4	Poloński Józef z Irkucka	1 5
Paszkowski Maciej	1 4	Polzeniusz Ferdynand	1 4
Paszkowski Mikołaj dr. z Kuźniecka	1 5	Półjanowski Bolesław z Brzezin	1 5
Pawlikowski Franciszek z Irkucka	1 5	Półkobyński z Nowoczerkaska	1 4
Pawłowicz Aleksander	1 4	Półkobyński z Nowoczerkaska	1 4
Pawłowski A. z Petersburga	1 5	Poniatowski Franciszek	1 4
Pawłowski Bolesław z Teleszówki	1 5	Popiel Bronisław	1 4
Peel z Sieradza	1 4	Popielawski dr. ze Złoczewa	1 4
Pelilina Marya	1 4	Popławski Bartłomiej z Petersburga	1 5
Penkala Julian stud. Politech. z Rygi	1 5	Porajski Feliks	1 4
Penkala Wład. stud. Politech. z Rygi	1 5	Porezyński Jan	1 4
Peretz Alfons	1 4	Postawka z Nowomińska	1 4
Perkahl dr.	1 4	Potemkowski Hieronim adw. z Humania	1 5
Perkowski	1 4	Potemkowski Józef z Humania	1 5
		Potocka Marya z Wisznopola	1 5
		Potocki Józef	2 8
		Potworowski stud. Instytutu technol.	1 4

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Poznańska J.	1 5	Ronthaler Janina	1 4
Poznański Ludwik	1 4	Rościszewski Romuald z Siedlec	1 4
Poznański Maks.	1 4	Rosen st. Inst. technol.	1 4
Pozner Matylda	1 4	Rosenbaum Salwian	1 4
Požerski dr. z Woroneża	1 5	Rosenblum Emilia	1 4
Pracujący w cukrowni z Buhajówki	1 25	Rosenblum Herman z Ciechanowa	1 4
Prewał Stanisław z Kijowa	1 5	Rosenblum Mikołaj z Ciechanowa	1 4
Pronaszk	1 4	Rosenblum Wolf z Ciechanowa	1 4
Protasiewicz urzędnik z Łomży	1 4	Rosenblum Zofia z Ciechanowa	1 4
Pryfke Przemysław	1 4	Rosenfeld	1 4
Pryfke Przemysław z Kalenia	1 5	Rosengarten Michał z Petersburga	1 5 50
Pryliński Bronisław z Brzezin	1 5	Rosenöhl Jadwiga ze Starokonstantyn.	1 4
Przeczowski E. st. z Rygi	1 4	Rosenthal Jakób dr.	1 4
Przetaczyński Lucjan z Kuzkurysek	1 5	Rosnowski Demetriusz dr.	1 4
Przyborowska Dyoniza z Kam. Podolsk.	1 5	Roszkowski Bernard	1 4
Przybyłowicz Józef	1 4	Rothlewi Adam	1 4
Przydborski z Tyflisu	1 5	Rotwand Stanisław	1 10
Przytuński Mikołaj z Sokółówki	1 5	Rowicki Fran. dr. ze Starego-Krymu	1 5
Przysiecki Dyonizy z Irkucka	1 5	Rozmanit st. Inst. technol.	1 4
Przysiecki Jan z Rygi	1 10	Różycki z Mikstala	1 5
Przyszykowski F. st. z Rygi	1 5	Różycki Eugeniusz z Ekaterynburga	1 4
Psarski Władysław chemik z cukrowni		Ruback Bolesław z Krakowa	1 złr. 6.67
Ludwinów	1 4	Rudkiewicz Ludwik	1 4
Puchalski Józef z Łomży	1 4	Rudnicki B. inżynier z Osugu	1 5
Pudłowski Zygmunt	1 4	Rudnicki Bolesław z Irkucka	1 5
Puliński Feliks z Brzezin	1 5	Rudnicki Fr. z Bratskiego (gubernia	
Pyrowicz Stan. adw. z Plocka	1 5	irkucka)	1 5
R. K.	1 25	Rudnicki Władysław inżynier	1 4
Rabezyński Karol z Siedlec	1 4	Rudomina Eug.	1 4
Rabek	1 4	Rudzki z Petersburga	1 4
Raciborski z Radziwiłłszek	1 5	Ruseh Roman	1 4
Raczyńska Zofia	1 4	Rusiecki Stanisław z Dublan	1 złr. 6
Raczyński Mściśław z Irkucka	1 5	Ruszkowski Antoni z Irkucka	1 5
Rabinersohn Izaak	1 4	Rutkowski Jan	1 4
Radyński Józef	1 4	Rutski Tomasz z Czyrkonic	1 4
Rajkowski dr. z Ciechanowa	1 5	Ryb z Rypina	1 4
Rakowski U. z Kijowa	1 5	Ryb Eugeniusz z Petersburga	1 10
Rakimowicz Stefania z Unoszew	1 5	Rybezyński Franciszek z Irkucka	1 5
Rakuza-Suszczeński Józef z Petersb.	1 4	Rychłowski Tadeusz	1 4
Ramult Stef. ze Lwowa	1 5	Rychter księg. z Łomży	1 4
Rapacki Tadeusz st. z Rygi	1 4	Rykowski Teofil	1 4
Rayski Eugeniusz z Mokrun	1 5	Rymowicz Feliks dr. z Petersburga	1 5
Rawa Jan	1 4	Rymsza Antoni z Teodozyi	1 5
Raźniewski dr. z Sieradza	1 4	Ryndyk Jakób z Kijowa	1 5
Regulski Kazimierz z Wojsławie	1 5	Rzeczyński Stan. st. Politech. z Rygi	1 5
Reichel Józef lekarz z Terny	1 5	Rzętkowski Teodor z Jeziorka	1 4
Reicher Anna z Sosnowca	1 5	Rzeszotarski	1 4
Reicher Edward z Aleksandrowa pogr.	1 5	Rzeszotarska Amelja	1 4
Rejcher Maurycy	1 4	Rzeszotarskie Jadw. i Wanda z Wojnowa	1 4
Rejchman Aleksander	1 4	S. K.	1 4
Ręczlewski	1 4	Salinger Emil	1 4
Rittendorf Wład.	1 4	Salinger Jan	1 4
Rodzyn adw.	1 10	Salinger Paweł	1 4
Rogalewicz Dyonizy z Irkucka	1 5	Salska z Silnicy Wielkiej	1 4
Rogalski Zygmunt adw. z Piotrkowa	1 4	Samborski Felicyan dr. z Zawichostu	1 5
Rogiński Roman z Irkucka	1 5	Sawaszyński Władysław	1 4
Rogowska	1 4	Samisze stud. Uniwers. petersb.	1 4
Rogowski Daniel z Obodówki	1 4	Samosiewicz Ludwik	1 4
Rogowski Dominik	1 4	Sanocki Ludwik z Petersburga	1 4
Rogoziński Leon	1 4	Saski Wład. dr.	1 4
Rogójski I. cukiernik	1 4	Sawaczyński z Petersburga	1 5
Rokicki I. z Czerwonego Dworu	1 5	Sawicka J. z Szantwroszezyzny	1 5
Rolle Antoni J. z Kamieńca Podolskiego	1 5	Sawicka Marya z Mińska	3 12

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Sawicki Władysław z Irkucka	1 5	Stamirowski Kazimierz z Laboczyey	1 5
Sawicki dr. z Grajewa	1 5	Staniewicz Maryan z Nowej Doli	1 4.50
Sawicki A. dr. z Siedlec	1 5	Stanisławska Marya z Iliniec	1 5
Sawicki Karol z Petersburga	1 4	Stanisławski dr. z Kijowa	1 5
Sawicki Władysław	1 4	Stanisławski st. Inst. Technol.	1 4
Sagajło Daniel z Kijowa	1 4	Stankiewicz Józef z Suwałk	1 4
Scheller Oskart adw.	1 4	Stankiewicz Mikołaj z Nowozyrkowa	1 5
Senewald Gustaw księgarz	8 32	Stankowski dr. z Lublina	1 4
Senewald Wład.	1 4	Starkman Maurycy st. z Rygi	1 4
Serednicki Wł. z cukr. Borodeckiej	1 5	Starorypiński Bruno z Korabezejówki	1 5
Sewer z Dolegi	1 4	Stawnicki Stanisław z Petersburga	1 4
Sędzimir ze Ślubowa	1 5	Stecula Włodzimierz inż. z Włodawy	1 5
Shumpf Ludw.	1 4	Stern Henryk dr.	1 4
Siedlewski	1 4	Stempkowski Zafin z Odessy	1 5
Siemaszko Edward z Permu	1 5	Stępkowska	1 4
Siemaszko Jan z Irkucka	1 5	Stępkowski Feliks	1 4
Siemaszko Marya z Grodna	1 5	Stępkowski Wincenty	1 4
Siemieniczuk Jan	1 4	Stępkowski Jakób	1 4
Siemieszkiewicz Helena z Kijowa	1 4	Stolkowski Seweryn z Siedlec	1 4
Sieragowski dr.	1 4	Stopezyk z Łodzi	1 5
Sierakowski Teofil	1 4	Stowarzyszenie Subjektów handlowych	1 4
Sierżputowski Jan st. Instyt. inżynier.	1 5	Strachocki Bronisław	1 4
z Petersburga	1 5	Straszewicz Ludwik z Paryża	1 5
Sierżputowski Wojciech z Irkucka	1 5	Stroneczyński Urban z Nowgorodu	1 5
Silberberg Ludwik st. z Rygi	1 4	Strumiłło Władysław, inż. ze Śmily	1 5
Silberstein Stanisław z Łodzi	1 4	Strzelecki Edw. inż. z Tomaszowa-Raw.	1 5
Silnicki adw. z Radomia	1 5	Strzelecka Tekla z Niemierowa	1 5
Sipajło st. Uniwers. z Petersburga	1 4	Strzyżowski st. Inst. techn. z Petersb.	1 4
Skibniewski Bogumił z Dorpatu	1 5	Strzyżowski Antoni dr. z Piotrkowa	1 4
Skirgajło stud. Szkoły budown.	1 4	Studenci polscy Weterynaryjnego In-	1 6.20
Skirmunt Aleksander z Porzecca	1 5	stytutu z Charkowa	1 15
Skokowska Felicya	1 4	Studenci polscy Uniwers. z Charkowa	1 296
Skowroński Józef	1 4	Studenci warszawscy	1 5
Skupiewski Aleksander z Porzecca	1 5	Studencki z Petersburga	1 5
Skupiewski Stanisław dr. z Pińska	1 5	Stupin sędzia śledczy z Georgiewska	1 4
Skupiewski Zygmunt z Pińska	1 5	Suchodolski stud. Inst. technol.	1 4
Śliwowska Franciszka z Skordyjowa	1 5	Sulicka Marya	1 4
Ślizien Władysław z Bartnik	1 4	Suligowski dr. z Radomia	1 4
Ślizowski Albin z Olgopola	1 5	Sulimierski Czytelnia	1 4
Ślósarski Wiktor z Brzezin	1 5	Surzycki Tomasz	1 5
Smaczynski Adolf st. Uniwers. petersb.	1 4	Suszkiewicz Adolf z Irkucka	1 5
Smiarowski Mar.	1 4	Suszkiewicz Stefan z Irkucka	1 5
Smolak Jan	1 4	Suszyński inżynier z Aleksandrowska	1 4
Smoleczyński Stanisław z Czyżewa	1 4	Świacka	1 4
Smoleński Józef z Starej Sieniawy	1 5	Swida Kazimierz urzędnik z Kiele	1 5
Smolikowski Zygmunt	1 4	Święciecki Jan adw. z Plocka	1 4
Sobertin Józef z Podola	1 4	Święciecki Kazimierz	1 4
Sobolewski Edmund	1 4	Święciecki Ludwik	1 4
Sobolewski Julian	1 4	Święciecki	1 4
Sobolewski Michał ze Świacka	1 5	Świętochowski Ignacy	1 4
Socharski St.	1 4	Symchowicz Regina	1 5
Sokółski Aleksander z Irkucka	1 5	Symonowicza Eufemia z Wilna	1 4
Sokolnicki Tomasz z Wilna	1 5	Sypniewski Józef	1 4
Sokołowski A. z Homla	1 5	Szadkowski	1 4
Sokołowski Józef z Irkucka	1 5	Szafir B.	1 4
Sokołowski Leopold	1 4	Szafkowski Władysław z Jenisejska	1 105
Soliman z Rygi	1 4	Szałowski Franciszek	1 4
Sommer K.	1 5	Szaniawski Artur	1 4
Sopoćko st. Instytutu technolog.	1 4	Szczekowski Jan z Irkucka	1 5
Sosnowski z Łomży	1 4	Szczepkowski Ant. st.	1 4
Spasowicz Włodzimierz z Petersburga	1 25	Szczerbiński z Kola	1 4
Sporny Józef	1 4	Szczytt Kazimierz st. Inst. technol.	1 4
Szrednicki Scisław z Karwina	1 5	Szeliski Antoni	1 4

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Szenfeld	1 4	Torner	1 4
Szepeanowski Tom. adw. z Kiele	1 4	Tötwen Marya	1 4
Szepczyński Adolf	1 4	Towarzystwo Akademik. polaków z Halli	1 5
Szepe Karol z Zgierza	1 4	Towarzystwo Bratniej pomocy z Dublan	1złr.6
Szkoła Budowniczych p. Instyt. Technol.		Towarzystwo byłych uczniów Szkoły pol-	
Szlenker Karol	1 25	skiej w Paryżu	1złr.6.65
Szmideberg Maks	1 —	Traczynski z Rypina	1 5
Szmidecki Aleksander z Płocka	1 5	Trepka Kazimierz z Irkucka	1 5
Szmidel Zygmunt	1 4	Trentowski Zygmunt z Nieżyna	1 5
Szmydt Konstanty z Łuszczewka	1 5	Truskolaski Ludwik z Pobołowic	1 5
Szole Emil st. Polit. z Rygi	1 5	Trzaska Marya	1 4
Szole Teodor st. Politechn. z Rygi	1 5	Trzcieniecka Helena z Aleksandrowa	1 4
Szółowski Teodor z Brzezin	1 5	Trzeński Tadeusz dr. ze Starachowic	1 4
Szonert Józef z Łowicza	1 5	Trzeciński Stanisław z Dąbrowy	1złr.6
Szpilowski Gustaw dr. z Sokółki	1 5	Trzemeski Józef z Belmontu	1 5
Sztejner dr.	1 4	Trzeszczkowski Wacław z Nowogrodu	1 5
Szternberg Róża	1 4	Trzeszczkowski Ludwik	1 4
Szuch Władysław	1 4	Turobojski Władysław z Brzezin	1 5
Szuch W. z Pii	1 4	Turski Jan z Żytowa	1 5
Szumański Wiktor rejent z Łomży	1 4	Tutakiewicz Ignacy z Irkucka	1 5
Szumlański Witold	1 4	Tużnik Stanisław z Magnuszewa	1 4
Szumowicz Karol z Kleszczeli	1 5	Twardzicka Kazimiera	1 4
Szumowski	1 4	Twarowski Bolesław	1 4
Szwede Ludwik	1 10	Twarowski Jan	1 4
Szwojnicki Władysław z Janowa (gubr. kowieńskiej)	1 5	Twarowski Ludwik	1 4
Szwojnicki z Odessy	1 5	Twarowski Stefan z Irkucka	1 5
Szyff Józef adw.	1 4	Tyborowski z Rygi	1 4
Szymanowski Ludwik z Komorowa	1 4	Ukraińska Czesława ze Skwiry	1 5
Szymański z Grochowa	1 4	Uniwersytet Petersburski p. Inst. Tech.	
Szymański Edward st. Polit. z Rygi	1 5	Unschlicht B. z Dobrzelina	1 4
Szymoński księgarz z Lublina	1 4	Unruh	1 4
Szysło Józef z Petersburga	1 5	W. K.	1 4
T. U. B.	1 4	Waga	1 4
Tańkowski Teodor	1 4	Wagner Ed. st. z Rygi	1 4
Tamulewicz Jan z Irkucka	1 5	Walentynowicz st. Instytutu technol.	1 4
Tamulewiczówna	1 4	Walewski Władysław	1 4
Tankowski z Dubna	1 4	Walisz Aleksander st. Politechn. z Rygi	1 5
Tarasiewicz Sylwester z Irkucka	1 5	Walicki Feliks z Żytomierza	1 5
Taraszkiewicz Józef ze Stanicy Tyflisk.	1 5	Waniewicz Marya z Kiele	1 5
Taraszkiewicz Stanisław z Carycyna	1 5	Waniewski z Petersburga	1 5
Tarcałowski H.	1 4	Waryński Seweryn z Babina	1 10
Tarnowski Antoni z Brzezin	1 5	Wańkowicz stud. Instytutu technol.	1 4
Taube Karol baron	1 4	Warawski Ferdynand z Irkucka	1 5
Teleżyński Wład. z Petersburga	1 5	Wasilewski I.	1 4
Temler Aleksander	1 15	Wasilewski Teofil inżen. z Lubotina	1 5
Temler Jan	1 5	Wasilowski Ignacy z Kazimierzy Wielk.	1 5
Temler Józef	1 4	Wasiutyński st. z Rygi	1 4
Temler Ludwik	1 10	Wassercug Matylda	1 4
Teraszkiewicz st. Instytutu technol.	1 4	Weber Karol	1 4
Tetz dr. z Lublina	1 4	Wehr i Kuszewski z Białegostoku	1 5
Tittenbron Antoni z Dryszczowa	1 5	Wejnreb Z.	1 4
Tittenbron Stanisław z Dryszczowa	1 5	Weinstok Józef st. z Rygi	1 5
Tittenbron Zofia z Dryszczowa	1 5	Weleżyński Bronisław z Petersburga	1 4
Toek Ludwik z Łomży	1 4	Weleżyńskie Seweryna i Dyoniza	1 7
Toezyński Julian adw. z Siedlec	1 4	Weniaminów Euzebiusz	1 4
Tokarski Lucyan z Irkucka	1 5	Werner	1 4
Tołoczanow gubernator z Łomży	1 5	Werner Wilhelm z Dublan	1złr.6
Tołoczanow A. A. z Łomży	1 5	Wesołowski Antoni z Brzezin	1 5
Tolwiński z Petersburga	1 5	Wesołowski Filip dr. ze Skwiry	1 5
Pomasiewicz K. sędzia	1 4	Węclawowicz Wacław st. Pol. z Rygi	1 5
Tomaszewski z Szepietówki	1 4	Wędrzałowski pułkownik inż. z Kowna	1 5
Töplitz Bonawentura	1 4	Widacki Michał	1 4
		Wielopolski Al. st. z Rygi	1 4

Egz.	rs.	Egz.	rs.
Wielowiejski Adam adw. z Siedlec	1 4	Wszeborowski z Wyszkowa	1 5
Wiernik Herman z Częstochowy	1 4	Wydzga Stanisław	1 5
Wierzbicka Stanisława z Boguszye	1 4	Wyżykowski Ludwik z Suwałk	1 4
Wierzbicki Roman z Radomyśla	1 5	Wysocki Józef z Dublan	1złr.6
Wierzbicki nauczyciel z Łodzi	1 4	Wysokiński Henryk	1 4
Wierzbicki Karol z Radomyśla	1 5	Wyszyński	1 4
Wierzbowicz Józef z Kamionki	1 5	Wywiórski st. z Rygi	1 4
Wierzechlejski Alojzy st. z Rygi	1 5	X. st. z Rygi	1 4
Wiesiołowski Władysław	1 4	Zabawski Teofil z Irkucka	1 5
Więclawski Emeryk z Kijowa	1 5	Zabielski Karol z Wierzbnika	1 4
Wigurski Marek Marcell naucz. z Częst.	1 5	Zabokrzecki Julian	1 4
Wilamowski Karol st.	1 4	Zabokrzecki Jul.	1 4
Wilezyński Bolesław i Wanda	1 4	Zaborowski A. inżynier	1 4
Wilezyński	1 4	Zaborowski Henryk	1 4
Wilezyński Antoni	1 4	Zaborowski Władysław z Ostrogu	1 5
Wilezyński dr. z Gołateczyny	1 5	Zahorowski Wojciech adw. z Kiele	1 4
Wilezyński Wacław	1 4	Zahorski Adam z Irkucka	1 5
Winkler pastor z Wielunia	1 4	Zajęczkowski Józef	1 4
Wirpszy Grzegorz dr. z Samary	1 5	Zajdler	1 4
Wisłouch Paweł z Chódołewki	1 5	Zajkowski Franciszek	1 4
Wismont Marcell z Nowo-Mińska	1 4	Zakrzewski Adam z Odessy	1 4
Wiśniewski Władysław	1 4	Zakrzewski Józef st. Uniwers. petersb.	1 4
Wiszniewski Stanisław z Irkucka	1 5	Zakrzewski Michał z Głogowca	1 4
Wiszniewski Stanisław	1 4	Zalcman	1 4
Witanowski Michał z Łęczycy	1 4	Zaleski	1 4
Witkiewicz adw. z Pskowa	1 5	Zaleski Józef st. z Rygi	1 4
Witwicka Domicella z Białejceerki	1 5	Zaleski Piotr z Klonowa	1 4
Wodnicki August z Suwałk	1 4	Zaleski Tadeusz st. Politechn. z Rygi	1 5
Wohl Henryk z Irkucka	1 5	Zaleski Z. z Petersburga	1 4
Wójcicki Henryk	1 4	Zalewska Jadwiga z Gorzyczyny	1 4
Wojciechowski	2 8	Zalewski dr. ze Święcian	1 5
Wojciechowski Aleks. dr. z Ananiewa	1 5	Zalewski Józef z Kamieńca Podol.	1 4
Wojciechowski Teofil z Arandola	1 5	Zalewski dr. z Łęczycy	1 4
Wojenski Stanisław z Brzezin	1 5	Załuski Jan	1 4
Wojewódzki inżynier z Wysz.-Weołozka	1 5	Zaniewski Teofil	1 4
Wojno L.	1 4	Zapolski Downar lekarz z Lublina	1 5
Wojszycki Ignacy z Irkucka	1 5	Zarakowski Józef z Moryczówki	1 5
Wojtaniewicz dr. z Wilna	1 4	Zaremba Franciszek z Suwałk	1 4
Wolański Rajnold z Nowomoskowska	1 5	Zawadzka	1 4
Wolański Antoni z Irkucka	1 5	Zawadzki Józef księgarz z Wilna	5 20
Wolff Antoni	1 4	Zawalski, zakład fotograf. z Irkucka	1 5
Wolff B. M. z Petersburga	3 12	Zawidzki Piotr	1 4
Wollenberg Maksymilian	1 4	Zawiszewski	1 4
Wolska Marya z Żytomierza	1 5	Zbikowski Albin st. z Rygi	1 5
Wolski	1 4	Zborowski Samuel z Husaczówki	1 5
Wolski Bolesław z Permu	1 5	Zdanowski Jan z Irkucka	1 5
Wolski Felicyan z Iliniec	1 5	Zdziarski Antoni	1 5
Wolk Gustaw z Kurhanu (toh. g.)	1 5	Zdziechowski z Rakowa	1 10
Wolkowicz Maksymilian	1 4	Zeijdenbenthal	1 4
Wołodko stud. Szkoły budow.	4 16	Zembruski Feliks adwokat	1 4
Woroniecz Józef z Irkucka	1 5	Zieleniewski Piotr z Nagórek	1 5
Woreniecki st. z Rygi	1 4	Zieleniewski Emil ze Żmudzi	1 5
Wosiński Andrzej	1 4	Zieleńska Marya z Wasilewki	1 5
Woszczerowicz Konstanty z Irkucka	1 5	Zieleziński Henryk	1 4
Woźniacki Franciszek	1 5	Zieliński Wincenty z Jaltuskowa	1 5
Woźniński Jan st. z Rygi	1 4	Zieliński I. st. z Rygi	1 5
Wróbel Franciszek	1 4	Zieliński Józef z Sandomierza	1 4
Wróbel Józef	1 4	Zieliński Stanisław z Kijowa	1 4
Wróbel Władysław z Trzecin	1 5	Zielonka Helena z Radomyśla	1 5
Wróblewski Tadeusz z kółkiem Pola-		Ziemieński Adam z Żytomierza	2 10
ków z Jaltutorowska	1 5	Zienbowski księgarz z Łodzi	2 8
Wroński Stanisław	1 5	Zienkiewicz-Siekierz Raf. dr. z Rożyszc	1 5
Wrzeszcz Konrad z Kijowa	1 5	Ziółkowski	2 8

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Złowiecki Nestor z Łomży	1	4	Żukowski Witold z Mohilewa	1	5
Zubów Włodzimierz st. Uniw. petersb.	1	4	Żurkowski Aleksander	1	4
Zucker księgarz z Radomia	1	4	Żyłok Bolesław z Rowna	1	5
Zabiński Władysław	1	4			
Zachowska Amelja	1	4			
Zarnowski Jan z Petersburga	1	4			
Zegocka Henryka	1	4	Egzemplarze zamówionych	25	
Żółkowski Jan z Siedlec	1	4	Nadesłali bez otrzymania książki:		
Żołędziowski	1	4	Abramowski	rs. 1	
Zongołowicz M. z Radziwiłłszek	1	5	Giro Fryderyk	rs. 4	

UWAGA. Lista powyższa różni się od wykazu drukowanego w *Prawdzie* o tyle, że tam podawano nazwiska i tych, którzy nadesłali zaliczki lub zamówienia, tu zaś mieszczą się ci tylko, którzy złożyli przedpłatę całkowitą lub z naddatkami. Nadto sami abonenci wprowadzili pewne zmiany. Mimo usilnych starań naszych mogły się wkraść do spisu omyłki lub opuszczenia; o toż prosimy o pobłażliwość dla błędów, które wśród takiej masy nazwisk są nieuniknione. Sprawozdanie z wpływu, kosztów i czystego dochodu wydawnictwa zamieszczone będzie w *Prawdzie*.

DOŁĘGA

OPOWIADANIE

TEODORA TOMASZA JEŻA.

1882.

Nie wybieram w galerii bohaterów powieściowych nadzwyczajności, ani niepospolitości żadnej; ale też nie biorę na chybił-trafil. Bohaterem powiastki niniejszej jest człowiek pospolity, zwyczajny: jestem to ja, jesteś ty, czytelniku łaskawy; jest to szczególnie on — on, ten, co nie czytuje tego, co pisujemy, a nie czytuje bądź z zasady, bądź też dla tego, że czytanie stanowi sztukę dla niego, niestety! nieprzystępną. Ów on przeto nie jest geniuszem w tym lub w innym kierunku; urodził się jednak pod gwiazdą o tyle nie dobrą, że pospolitości swojej przeprowadzać przez drogę żywota nie może tak, jak przeprowadzali ją ojcie i praojcie nasi, dając jej „niechajno“ za przewodnika. Czasy się zmieniły.

— Trudno teraz na świecie...

— Trudno... A dla czego?

Odpowiedź na pytanie to stałaby się wykładem historyi, gdybyśmy gruntowną i dokładną uczynić ją chcieli. O, ileżby się do powiedzenia znalazło! Nie starczyłaby skóra wola. Myśląc atoli i rozmyślając nad odpowiedzią ową i nie spisując myśli a rozmyślań, ale w głowie je skupiając, przyjdziemy z łatwością

do wyniku, na który zgodzą się wszyscy.

— Dla czego?

— Dla braku przezorności...

Trudno teraz na świecie... „dla braku przezorności.“

Każdy punkt wychodni, służący ludziom do wyprowadzania rozumowań dotyczących się stanu rzeczy, w jakim się nam obracać przychodzi, do powyższego doprowadza rezultat.

Nieprzezorność, datująca się od czasów, w których się ani domyślać było można przyjscia na świat osobistości, mającej w opowiadaniu niniejszem rolę bohatera odegrać, doprowadziła do trudności, w jakiej się bohater nasz znalazł, skoro... zenić się zamierzył.

Nie masz dla człowieka pojedynczego kroku w życiu ważniejszego jak ożenienie. Jest to powzięcie kierunku, wejście na drogę, wytknięcie sobie celu, przyjęcie na siebie obowiązków, układających się w zadanie, którego rozwiązanie człowiek na barki swoje wraz z odpowiedzialnością całą bierze. A odpowiedzialność wielka. Ludzie z niej sobie sprawy nie zdają; gdyby jednak zdawali, przekonali się, iż należy ona

do rodzaju tego samego, co zadania państwowe.

O! tak.

Mówimy o rodzaju, nie zaś o rozmiarach.

Owóż bohater nasz, któremu na imię było Zoryan, na nazwisko Dołęga...

Na nazwisku zatrzymać się chwilę musimy. Jest to nazwisko — rzecz prosta — powieściowe; jako takie przeto mogłoby być innem — zależało to od nas: moglibyśmy bohatera naszego „Niedołęgą“ nazwać. Nazwalismy go atoli „Dołęgą“ nie bez racyi. Racya tkwi w istocie bohaterstwa jego, która niedołęgstwem ani była, ani jest. Bez przechwálki powtórzyć możemy słowa poety: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“ — zwłaszcza pod względem intelektualnym. Przeciwnie niedołęgństwu świadczą ludzie znakomici, którzy w ilości całę poważnej i w jakości zgół nie podrzędnej z łona narodu naszego wyszli. Nie miałem przeto prawa najmniejszego piętnować bohatera naszego nazwiskiem niewłaściwem. Dołęga był i Dołęgą się nazywał.

Owóż Dołęga nasz, gdy się żenić zamierzył, myślą wstecz poszedł i uczynił przegląd przeszłości własnej.

Liczył lat trzydzieści kilka, to znaczy, znajdował się w dobie dojrzałości męskiej zupełnej. Do punktu tego dostał się drogami ntartymi

wprawdzie, ale niekoniecznie prostymi. Po drogach tych, utartych a nie prostych, błakał się potrosze, a to dla tego zapewne, że zakreszenie sobie programu pozostawiał sobie na później. Rzecz tę odkładał, wciąż odkładał z dziś na jutro, myśląc, że na to pora jeszcze będzie. Postąpił sobie we względzie tym ostrożnie niby, nie naśladował bowiem tej mniejszości głów gorących i niecierpliwych, co chwytą się idei jakiejś z góry, nie wiedząc, ani skąd się wzięła, ani ku czemu podąża. Nasz Zoryan ustrzegł się nieostrożności tej, tak często dla ludzi młodych niebezpiecznej. O uszy jego obijały się hasła i formuły różne; pokazywano mu sztandary takie i inne; wzywano go, powoływano; słuchał, widział, lecz się uwlec nie dał; trzymał z większością, czekającą na próby, dowody i rezultaty, na poczekaniu zaś nie próżnując absolutnie. Działo się to nie wskutek wyrozumowania, ale — ot tak. Temperament bohatera naszego nie popychał go do czynu, nie sprawiał mu świerzbączki owej, skutkiem której ludzie mieszają się do spraw różnych, pomimo, a raczej właśnie dla tego, że głosy poważne wołają na nich, ażeby się do takich nie wtrącali. Nie te atoli głosy wpływ na niego wywierały. Powaga mu nie imponowała zgół. Przypuszczać należy, iż ulegał czemuś, niby lenistwu umysłowemu, przeszkadza-

jącemu zastanowić się chwilę i powziąć postanowienie. Czasu zresztą nie miał, dzieląc się pomiędzy naukę, którą brał ze strony formalnej, a rozrywki, które uważał jako należny dług. Pomiędzy naukę a rozrywki dzielił siebie; naukę zaś i rozrywki łączył w jedno i z połączenia tego wynikł niesłychany w upływie lat pośpiech — pośpiech taki, że się ani obejrzał, jak uniwersytet skończył i stosowanie teorii do praktyki rozpoczął.

Uniwersytet skończył.

Dawniejszemi czasy dyplom uniwersytecki nadawał człowiekowi akcent inny, aniżeli dziś. Uważał się on, jako patent na rozum. Był rzadkością. Człowiek, co się go dobił, stawał się białym krukiem, którego jako osobliwość pokazywano sobie i w mądrość jego wierzone na ślepo. Wiara cuda czyni. Działy się też cuda takie, że człek całę nie mądry za mądrego uchodził, dla tego tylko, że uniwersytet skończył. Czasy się jednak zmieniły. W miarę jak coraz to częściej pojawiać się poczęli tacy, co się dyplomem chwalić mogą, wiara słabła. Dotknięto się ich palcami niejako. Przekonano się, że ludzie oni jak inni wszyscy i że nagromadzone w głowach ich zapasy wiadomości są nie czem innem, jak narzędziami, których dopiero sposób użytkowania wartość człowiekowi nadaje. Jeden zużytkowuje je właści-

wie i dobrze; drugi je odlogiem pozostawia; inny obraca takowe na szkodę. Dzieje się toż samo z narzędziami wszelkimi innemi. Miecz w ręku obrońcy praw ludzkości bywa narzędziem wielce pożytecznem; miecz w ręku szaleńca nieobliczone krzywdy sprowadza; nierzadko zaś stanowi ozdobę fanfaronu, pobrzękującego nim po bruku beużytecznie; niekiedy znów służy do niczego.

Nasz Zoryan, ucząc się, nie zastanawiał się nad użytkiem, jaki ma z narzędzia czynić; po skończeniu nauk, skończeniu był rad — i tyle. W sile wieku młodzieńczego, w zapatrywaniu się na nauki zachował pogląd taki sam niemal, jaki weń wpajała matka, gdy mu po raz pierwszy abecadlnik w ręce dała: uważał je jako powinność towarzyską, podobną do tej, która nakazuje salony ozdobami obwieszać i posadzki w takich froterować. Głowę umeblował należycie i to go zadowalniało. Powinności zadość uczynił — powinności, którą odnosił do towarzystwa, do społeczeństwa, uważając przytem, że winien coś i samemu sobie.

— Szedłem dotychczas w jarzmie... teraz przeto...

Tyczyło się to postanowienia jakiegoś nieokreślonego. Zamiast postanowienia owego, powinienby był stanąć program; materiałów nie brakło; pozostawało jeno je uporządkować i sztandarem osłonić. To osta-

tnie jednak dokonaniu rzeczy narzucającej się na przeszkodzie stało. Sztandar? Zoryan do sztandarów w ogóle wstępu ani wrodzonego, ani wyrozumowanego nie żywił; uznawał je nawet; wiedział, że one to ludzkości w pochodzie postępowym przewodniczą; był przekonania tego, że i on, jako jednostka, w warunki odpowiednie zaopatrzona, coś znaczy, coś może i do czegoś zobowiązanym jest. Mimo to jednak, rzecz tę jeszcze na później odłożył.

— Niechajno...

Posądzić by go można o to, że się obawiał krytyk — gadaniny ludzkiej. Być może. Dosyć, że — kiedy nadchodził moment zdecydowania się na obranie drogi, takiej lub innej, nie zdecydował się. Chwycił się postanowienia nieokreślonego i poszedł tą drogą, którą idą ludzie, co mają dwa do użytkowania kapitały: zdrowie i majątek.

Zdrowie posiadał świetne i majątek znaczny. Obrócić je było można na pożytek sobie i drugim, bez nauki nawet, posilkując się zdrowym rozumem, który wielkie ludziom oddaje usługi. I w tym atoli względzie „niechajno“ w drogę weszło, spychając bohatera naszego na wydeptane przez wszelakiego rodzaju i kalibru marnotrawców szlaki. Pod pozorem kształcenia umysłu i maku, marnotrawił zdrowie i majątek po stolicach Europy, które zwiedzał zrazu

w rzeczy samej w celu kształcenia się, następnie jednak w celach innych. W jakich mianowicie? W tej właśnie chwili, kiedym powyższy znak zapytania na papierze nakreślił, widzę przez okno kosa, który się z gałęzi na gałęź przesiada. Kos czyni to bez celu innego, jak dla zadośćuczynienia potrzebie ruchu. Używa skrzydeł, w jakie go natura zaopatrzyła. Tak samo i bohater nasz. Skrzydeł używał; skrzydła wyrobiły mu więtość; ta zaś wprawiła go w ten stan, z którego powstała dawna francuskiej szlachty dewiza: *Noblesse oblige*. Dostał się do niewoli światowej — do jarzma istnego, w którym rozlicznych doznawał przymusów. Czasownik „muszę“ zapanał nad nim samowładnie. Musiał bywać, przyjmować, szastać się, rozrzucać, po nocach nie sypiać, we dnie się uwijać, truciznami się karmić, truciznami się poić, na próby bezsensowne wystawiać dowcip i rozum, słowem jednym, galernikiem został, i, jako taki, z wielkiem powodzeniem występował na salonach w Paryżu, we Wiedniu, w Londynie, w Berlinie nawet, gdzie polacy cieszą się nielaską szczególną. Mus to był dosyć w początkach znośny. Owiewały go uroki nowości. Niby w panoramie, przesuwają się przed oczami młodego człowieka postacie ludzkie płci obojga, krążące pędem. wirowym w pogoni za rozkoszą.

Przypatrywał się temu; od przypatrywania się zawrotu głowy dostał i porwać się dał. W uszach mu szumiało, w oczach migotało, w organizmie całym doznawał uczucia rozkładu niby, odbywającego się pod wpływem czynników narkotycznych, działających na krew i mózg. Pędził i on; i on wirował, posuwając się niby naprzód, w istocie rzeczy jednak cofając się, cofając ustawicznie ku temu stanowi kulfonizmu, w jaki zazwyczaj zbytecznicy wpadają. Powierzchnie nawet zmieniał się. Począł się wydłużać i zdobić w wypiekanice chorobliwe, świadectwo gorączki, której go ta cieplarnia nabawiała.

W cieplarniach tego rodzaju zdrowie jest złudzeniem. Ludzie, wegetujący w nich, nastrajają się sztucznie za pomocą rozlicznych sposobów empirycznych i rozstrajają się. Znow się nastrajają i znow rozstrajają. Powtarza się to z roku na rok i skutkuje, dzięki regularności, z jaką się ta operacja odbywa. O jednej i tejże samej porze wielki świat wyludnia stolice; rozjeżdża się po górach, po kąpielach, po wybrzeżach morskich; reparuje stargane w szarpaniu się z niezem siły; powraca i znow siły targa. Kończy się to zwykle smutnie pod względem tak fizycznym, jak moralnym. Człowiek słabnie i tumanieje. Kobiety na łeb na szyję w dewocję się rzucają; mężczyźni

bądź kobiety naśladują, bądź też urabiają się na niezdary, na starców niedołężnych, dożywających lat powtarzając sobie: *Si vieillesse pouvait*. Ze starców z kategorii tej niektórzy przesuwają się przed kratkami policyi poprawczej, pod zarzutem wykroczeń przeciwko obyczajom.

Bohater nasz na drogę tę wszedł i rezolutnie nią kroczył. Nie będziemy opowiadali rzeczy znanych i po tysiąc razy opisywanych. Nie przytrafiało mu się nic nadzwyczajnego. Awantury romansowe, miłostki, zakłady, pojedynki, wielkie wygrane, sławne przegrane, wytworne kolacje zapelniały mu czas w ten sposób, że krok każdy opłacał się częstką kapitału, każdy kasek u Vefou-ra zdrowiem. Pędził na złamanie karku na oślep; na drodze tej nie powstrzymywał go nikt i nikt by powstrzymać nie zdołał; Zoryan bowiem do tego śmiertelników należał gatunku, na który perswazyje wpływu nie wywierają. Inaczej na perswazyach by mu nie zbrakło było. Czyż nie posiadał spółziomków, krewnych, znajomych, spółobywateli, zwłaszcza zaś kolegów szkolnych, którzy uzdolnienie jego znali i na charakter liczyli! Polskie piśmiennictwo zresztą, polskie dziennikarstwo — czemuż jest innem, jeżeli nie wielką a ustawiczną perswazją, nawołującą czytelników do porządku! Rozmaitemi są tony, lecz sens nawo-

ływania jednaki. Ten ciągnie dyszkantem kościelnym, ów dmie w trąbę niby herold, inny odzywa się głosem pobudki, a wszyscy razem wzywają do bacności, do czuwania, do pracy.

Raz jeszcze powtarzamy, iż Zoryan nasz na wezwania te głuchym nie był. Nie zważał na nie tymczasowo, zamierzając w swoim czasie i w chwili właściwej zająć się kwestyą pracy, którą uznawał z punktu ogólnego i przywiązywał do niej znaczenie wielkie. Pod względem tym bez zarzutu był; uważał jeno, że do pracy się wziąć rok wcześniej lub rok później, jest to różnica tak mała, że w rezultacie ani się uczuć da.

Tymczasem rok po roku upływał, i moment ów nie nadchodził. Zoryan po pochyłości się toczył i byłby się na dno stoczył, gdyby nie zdarzenie pewne, małoważne samo przez się, które go do upamiętania przyprowadziło.

Znajdował się w podróży pomiędzy Berlinem a Poznaniem, podążając do Krakowa, z racji okazji jakiejś, interesującej *Almanach de Gota*. Zajmował miejsce w wagonie pierwszej klasy; ulokował się w kącie, zdaleka od dwóch dam, siedzących jedna naprzeciwko drugiej. Damy były mu nieznane — jedna niemłoda, poważna, druga lat dwudziestu paru. Okiem na nie rzucił, pledem kolana sobie osłonił, z torby podróżnej książkę

wyjął i gdy pociąg ruszył, w półdrzemkę się pogrążył. Towarzyski podróży nie odznaczały się niczem, coby na nie uwagę ściągało. Dam takich tysiące przed oczami się przesuwa.

Pociąg pomykał, zatrzymując się na stacjach dla zabierania podróżnych nowych. Do kompartymentu, zajmowanego przez Zoryana i dwie panie nie wsiadał nikt na kilku stacjach początkowych. Przed Frankfurtem jegomość jakiś usadowił się naprzeciwko Zoryana; we Frankfurcie wszedł oficer pruski w mundurze, w ostrogach, przy szabli, ogromnie miniaty.

Oficerstwo pruskie w czasach obecnych miniatością się odznacza. Około roku 1848 stanowiło to cechę rycerstwa austriackiego, któremu od czasu onego miny zrzadły; miniatostwo przeszła na prusaków wraz z koroną cesarską.

Takim właśnie był przybysz we Frankfurcie. Damy przy drzwiach wchodowych siedziały; on pomiędzy niemi przeszedł, jedną szablą potracił, drugiej o odzież ostrogą zaczępił, nie przeprosił, miejsce zajął, rozwałił się, nogę na nogę założył i poprawiwszy sobie na nosie *pince-nez* okiem na towarzyszków od niechcienia rzucił, towarzyszkom zaś przypatrywać się jał. Przypatrywanie się mieściło w sobie impertynencyi tyle, ile się w oczach ludzkich zmie-

ścić może. Damy broniły się patrzeniem w okna, co wyraźnie wojownika drażniło, albowiem się krzywił i marszczył, chrząkał i kręcił, wysuwając co chwila w stronę dam raz łokieć, znów nogi. Podróżnice usuwały się. Oficer szablę odwiązał i rzucił ją na siedzenie próżne naprzeciw, ale w sposób taki, iż się rękojeścią o kolano młodej damy oparła. Młoda dama kolano cofnęła; szabla na podłogę spadła. Oficer się rzucił, oręż pochwycił i, podnosząc takowy, ciągnął do góry szlak dolny ubrania młodej kobiety.

— Proszę pana. — odezwiała się dama niemłoda, tonem upomnienia, oburzeniem lekko nabrzmiałego.

Wyrazy wymówione były w języku polskim.

— Co?... — odparł oficer po niemiecku, tonem lekceważenia.

— Proszę pana o zachowanie się przyzwoite... — powtórzyła.

— W jakim to pani przemawiasz języku?...

Dama nie odrzekła.

— Ha?... — zapytał oficer, nastawiając się zaczępie.

— Ta pani prosi pana, ażebyś się zachował przyzwoicie... — przemówił Zoryan, którego wejście Prusaka z drzemki podróżnej rozbudziło.

— Panu co do tego!... — odparł tenże.

— Tłumaczę żądanie słuszne tej pani, która, jak się zdaje, nie zna zrozumiałego dla pana języka...

— Cóż to za język?...

— Polski...

— Cha, cha... — zaśmiał się prusak.

Domysliłem się, że losy pomiędzy Polaków mnie wtrąciły...

— Losy jednak nie upoważniły pana Polkom impertynencyj robić...

— Cóż upoważnia pana do czynienia mi uwag podobnych?... — zapytał oficer tonem wyzywającym.

Zapytanie to zadaniem było w chwili, kiedy pociąg bieg zwalniał w celu zatrzymania się na stacyi. Zatrzymał się i Zoryan, odpowiedział spokojnie i swobodnie:

— Obowiązek człowieka przyzwoitego karcenia nieprzyzwoitości...

— Podejrzynam o polskość i pana..

— Nie ukrywam się z tem...

— Ale — ciągnął oficer z przekąsem — nie chwalisz się.. Być Polakiem, to rzecz całkiem haniebna...

Zakipiał Zoryan wewnątrz, powściągnął się atoli, unikając burdy, której oficer szukać się zdawał. Nie był jednak mocen wytrzymać do końca. Prusak potrafił go z granic cierpliwości wyprowadzić, zajmując miejsce jednej z dam, gdy te z wagonu na chwilę wyszły i ustąpić nie chcąc, gdy powróciły. Było to miejsce damy niemłodej.

— Panie... — zwróciła się do niego z prośbą.

— Masz miejsce tam... — odparł, wskazując na fotel, który sam przed

chwilą zajmował, i dodał: — Polskie ścierki...

Wyraz ten ostatni stał się kroplą, która miarę przepełniła. Zaledwie Niemiec wymówił takowy, aliści znalazł się na drodze, z wagonu niby piłka przez Zoryana wyrzucony. Za kołnierz go ujął, wypchnął, drzwiczki zatrzasnął i przez okno ciskał należące do niego ruchomości, które się składały z mantelzaka, szabli i pikelhauby.

Trudno opisać strwożenie, jakiego doznały damy, gdy wypadek ten zaszedł. Stało się to atoli w momencie, gdy pociąg ruszał — tak, że zanim się Niemiec opamiętał, właściwie zaś zerwać i na nogi stanąć zdołał, bohater nasz i damy nieznajome znajdowali się już daleko. Wojownik na stacyi pozostał. Zoryan do dam się zwrócił.

— Przepraszam... — zaczął. — Niech mi panie to uniesienie się mimowolne wybaczyć raczą...

— Ah! panie... — odparła dama niemłoda głosem od wzruszenia drżącym. Co za smutny wypadek!...

— Przykry raczej... Impertynencya jegomości tego granice wszelkie przekraczała...

— Byle jeno nie wynikły ztąd następstwa jakieś...

— Jakież!... Wina przecież po stronie tego pana...

— Ale to Niemiec...

— Niemcy nie posiadają na impertynencyę przywileju...

— Nie posiadają?... — odrzekła dama tonem takim, jakby ją wyrazy te zdziwiły.

— To przykro — podchwyciła dama młoda — że awantura ta z naszego zaszła powodu...

— Nie przez panie wywołaną została...

— Tak... to prawda... Z tem wszystkim poczuwamy się do obowiązku przeprosić pana i... i... podziękować mu...

— Ja zaś nie poczuwam się do prawa przyjmowania przeprosin i podziękowań... Każdy na miejscu mojem, Niemiec nawet, postąpiłby sobie tak samo...

— Może nie... — odparła nieznajoma młoda.

— Ph... sposób legalny polegał na zanieśieniu skargi do konduktora, ale, kto wie — dodał z akcentem ironii w głosie — czy byłby to sposób tak skuteczny, jak ten, do którego się uciekłem...

— Ale, jak to się skończy, mój Boże!... — westchnęła dama niemłoda.

— Skończyło się już... Niemiec wyleciał niby z procy, potłuc się nieco musiał i zabawia się zapewne w zakładanie sobie kompresów z zimnej wody...

Powiedział to tonem żartu, najwłaściwszego gdy o uspokojenie zatrwożonych chodzi. Dama niemłoda jednak nie uspokoiła się. Odrzekła:

— Ah!... pan chyba Niemców nie znasz...

— Znam ich zdaleka...

— Nie wiesz przeto, jacy to oni dla nas...

— W przysłowie weszło: „Jest sprawiedliwość w Berlinie“...

— Dla Niemców, nie dla nas...

— Wszak to sprawa taka prosta...

— Prosta... może... nie wiem...

— Zdziwić się musiał Niemiec, gdy mu pociąg z przed nosa umknął... — zagadał Zoryan, usiłując rozmowę na tor żartobliwy sprowadzić.

Udało mu się to. Dama niemłoda zamilkła, młoda się odezwała; materya rozmowy zmieniła się; następnie się rozmowa urwała; pociąg pomykał wciąż dalej i dalej, zatrzymując się krótko na stacyach niektórych, aż się zatrzymał ostatecznie, a wzdłuż wagonów słyszeć się dało wołanie: *Posen!* Damy węzełki swoje na sprzączki pozapinały; Zoryan torbę do ręki wziął; drzwiczki wagonu otworzyły się i przed drzwiczkami pojawiło się żandarmów kilku w towarzystwie urzędnika policyi, trzymającego w ręku depezę telegraficzną.

Urzędnik się do konduktora z zapytaniem zwrócił:

— Tu?...

— Tu... — była odpowiedź.

Numer wagonu sprawdził i do środka wszedł.

— Popelnionem tu zostało przestępstwo przeciwko swobodzie jeżdżenia

drogą żelazną... — odezwał się z oczami w depezę utkwionemi.

— Tak... — odpowiedział Zoryan. — Oficer jakiś pozwał sobie impertynencyj względem podróżnych się dopuszczać...

— Porucznika armii jego królewskiej mości z wagonu wytrącono...

— Tak... — potwierdził Zoryan.

— Kto się występku tego dopuścił?...

— Ja...

— Nazwisko pańskie?...

Zoryan z zanadru kartę wydobyl i takową urzędnikowi podał.

— To dobrze... — rzekł tenże i zapytał, do dam się zwracając: — A nazwiska pań?...

— Te panie oficera z wagonu nie wyrzucały... — zauważył Zoryan.

— W występku udział wzięły...

— Najmniejszego...

— Tak oskarżenie brzmi...

— Brzmi więc fałszywie... Odpowiedzialność za czyn wyrzucenia oficera spada na mnie, tylko na mnie...

— To nie do mnie należy... Sąd rozstrzygnie... Do mnie należy przyaresztować państwa na moey rozkazu władzy sądowej, która sprawę rozpatrzy...

— Mnie?... i te panie?...

— Pana i te panie...

— Ależ panie te nie wiedzą nawet o co chodzi, nie rozumiejąc języka, jakim mam zaszczyt z panem rozmawiać...

— Na to, ażeby do aresztu pójść, bez zrozumienia języka obyć się można...

Zoryan poznał, że niema co w dy-
skusję się wdawać, zwrócił się więc
do dam i w krótkich wyrazach wy-
tłumaczył im, co zaszło.

— O Boże!... — jęknęła dama nie-
młoda.

— Niech mama spokojną będzie... —
odezwiała się młoda.

— Areszt... Co za hańba!... Nigdy
jeszcze w areszcie nie była...

— Dowieśmy się, jak wygląda... To
szczęście, żeśmy razem... we dwie...
Gorzejby było, gdyby wypadek ten
spotkał mnie samą, lub mamę samą...

— Nazwiska pań?... — wtrącił urzę-
dnik.

— Zapytuje, jak się panie nazywa-
cie... — wytłumaczył Zoryan.

— Zbuskie... — odpowiedziała dama
młoda. — Mamie na imię Aniela, mnie
Karolina...

Zoryan urzędnikowi nazwiska po-
dyktował; urzędnik ołówkiem zanoto-
wał; pozostawało uleść losowi, jaki
tych troje ludzi na gładkiej spotkał
drodze.

Podjazd dwórecy poznańskiego z po-
dróżnych się wypróżnił. Uwijała się
jeno służba kolejowa, gromadka któ-
rej stała nieopodal, przypatrując się
ciekawie zajściu, niezdarzającemu się
codziennie. Żandarmi, surowi i po-
ważni, czekali; urzędnik policyjny wy-
mówił sakramentalne:

— Ich bitte...

Była to inwitacja do kozy.

Zoryan spróbował pigułkę gorzką
osłodzić nie tyle sobie, co towarzys-
kom swoim. Więc urzędnika zapytał:

— Jesteśmy tedy aresztowani?..

— No... tak... — odpowiedział zapy-
tany.

— Gdzie?..

— Jakto gdzie?..

— Przestępstwo nasze, pań tych
zwłaszcza, nie jest takie, ażeby nie do-
puszczało aresztu domowego...

— To nie do mnie należy... Mam
rozkaz aresztować i koniec... rozkaz
spełnić muszę...

— Kaucję złożę... w dokumentach,
w pieniądzech...

— To nie do mnie należy... — po-
wtórzył urzędnik.

— Gdzież ów areszt?... — zapytał
Zoryan tonem rozdrażnienia zdradza-
jącym.

— W policyi.

— Można się będzie z dyrektorem
policyi rozmówić?..

— Jutro chyba...

Sprawa obrót w wysokim stopniu
drażliwy wzięła. Z aresztami Zoryan
nie do czynienia nie miał; z opowia-
dań atoli i opisów znał je o tyle, że nie
wyobrażał sobie, ażeby areszt poznań-
ski czynił zadość wymogom już nie
komfortu, ale przyzwoitości zwyczaj-
nej. Zaniepokoiło go to. Tę mu wszak-
że sprawiedliwość oddać należy, iż za-
niepokojenie tyczyło się osoby nie je-
go, lecz towarzyszek, które w sposób
tak dziwny los z nim zespolił. Areszt

swój uważałby za rzecz zabawną; lecz
areszt pań Zbuskich nie bawił go zgoła.

— O panie!... — odezwał się, gdy pod
 eskortą żandarmów ku fiakrom zmie-
rzali—otożem się paniom przysłużył!...

— Nie gorzej jak my panu... — od-
parła panna Karolina.

— Mądry polak po szkodzie... Mo-
głem Niemca inaczej do mileczenia zmu-
sić... Dopuściłem się niedorzeczności...
szaleństwa...

— Stało się... — panna Karolina na to.

Rozłączyli się dla przejazdu fiakra-
mi i złączenia się na nowo w policyi,
gdzie komisarz dyżurny zdjął z nich
protokół wstępny, sumaryczny i zam-
knąć kazał, osobno Zoryana, osobno
damy.

Bohater nasz, wielką jakiej dozna-
wał irytację hamował wobec komi-
sarza, prosząc go o względy dla pań.
Komisarz prośby jego wysłuchał
w mileczeniu, nie odmawiał, ani przy-
rzekał; dał policyantom rozkaz krótki,
i ci Zoryana odprowadzili do izby zao-
patrzonej w pryzę, w okna okrato-
wane, w cebrzyk legiendowy, w ścia-
ny nagie i w okienko we drzwiach.
Na przybitej do ściany podstawce go-
rzała lampka naftowa, więcej woni
aniżeli światła szerząca. Na pryzę,
na niezalecających się czystością po-
słaniach, leżało ludzi kilku.

— Więzienie formalne... — rzekł
Zoryan do siebie. — Zabawna awantu-
ra... Ale... te panie...

Te panie interesowały go żywo, ży-
wiej aniżeli spodziewać się mógł. Za-
pytał o nie policyanta, który, wpro-
wadziwszy go, do wyjścia się zabierał;
ten atoli ani nawet mruknięciem od-
powiedzieć mu nie raczył. Wyszedł,
drzwi za sobą zamknął; klucz w zamku
zazgrzytał. Zoryan pozostał w towa-
rzystwie spolwięźniów, chrząkających
i ciekawie na niego spoglądających.
Nie wiedział dobrze, co z osobą swoją
robić. Miał ochotę chodź; lecz do cho-
dzenia przestrzeni tak było mało, że
na ochocie poprzestać musiał. Stał,
ogładał się; do usiądzenia miejsca szu-
kał. Usiąść nie było gdzieindziej, jak
na krawędzi pryzę, u nóg tych co
takową zajmowali. Wahał się nad tem
co począć, rozmyślał, kiedy z leżących
jeden w te do niego przemówił słowa.

— Co tam medytujesz: kolego... Ot,
kładnij się i gnaty wyciągnij... Za sta-
nie ci nie zapłaci nikt...

— Dziękuję... — odrzekł Zoryan.

— Podziękowawszy... — odezwał się
inny tonem na wpół drwiącym. — Bez
ceremonii... Miejsce się znajdzie... Zsu-
niemy się i już... Koledzy koledze
świadczyć powinni...

Koleżeństwo to nie w smak bohate-
rowi naszemu szło, nie potrzebował
jednak czasu długiego, ażeby się prze-
konać, że się na coś przecie zdecydo-
wać należy. Zdecydował się usiąść.
Usiadł na krawędzi obok ściany, ło-
kcie na kolanach oparł i głowę po-
chylił. W pozycyi tej noc spędzić po-

stanowił i postanowienia dotrzymał, pomimo uwag, jakie towarzysze czynili, póki się nie pospali. Gdy się pospali, uwagi i zaczepki ich zastąpiło chrapanie i sapanie, brzące w atmosferze, która sięstawała coraz to gęstsza i cięższa. Zoryanowi głowa ciężyc poczęła, krzyże go bolały, powietrze, którem oddychał, dla zdrowego szkoldiwe, wpływ fatalny na niego wywierało; doznawał w piersiach duszności. Noc przesiedział, rozmyślając i rozmyślanie wyprowadzając z punktu pańowych, z którymi los sprzął go pod dachem aresztu policyjnego w Poznaniu.

Była to dla niego najpierwsza nad sobą zastanowienia się poważnego chwila. Skutkiem zbiegu okoliczności od niego niezależnych, wypadła ona tak, iż osobistość swoją łączył z osobistościami dwóch kobiet nieznajomych, obcych, a przecież nieobcych, zjednoczonych z nim wspólnością pewną, skutkiem której one i on jednokowemu uleż musiały losowi. Gdyby na miejscu ich znajdowały się Francuzki, Angielki, Włoszki, nie nastąpiłoby to, co nastąpiło. Ztąd poczuł do nich pociąg bratni, który, zrazu materialny surowy, następnie w sercu jego urabiał się, ogladzał, szlifował i ku jednej z nich szczególnie — ku młodszej oczewiście — zwracał. Młoda owapanna Karolina Zbuska — wydawać się mu poczęła i nieszpętną i pod względem moralnym obiecującą. Za obie-

cującą ją miał, sądząc o tem wedle — sam nie wiedział czego. Odzywała się tak mało! Głos jej atoli dzwonił tonem tak czystym, że ton ów, zdawało się, stanowił cechę jej ogólną, że panował w sercu i w głowie — że w kobiecie tej nieczystości nie było żadnej, nuty fałszywej ani cienia. Porównywał ją z niewiastami, z którymi miewał rozliczne światowe i bliższe stosunki, a wśród których jedne odznaczały się pięknoscią uderzającą, drugie brylowały dowcipem, inne celowały rozumem, inne znów jaśniały naksztalt gwiazd na niebie artyzmu; porównywał ją z niemi i nie umiał sobie na następujące odpowiedzieć zapytanie: dla czego tamte uwagi jego na sobie nie zatrzymywały, dla czego ona zatrzymała? — dla czego?... Budziło w nim to nieokreślone jakieś podejrzenie, które ze strony swojej prowadziło go do porównywania jej z sobą.

— Ona wygląda, jak czystości niepokalanej wecielenie; a ja?... Co?... Jak jej wydaje się ja?...

Zapytanie to stało się dla bohatera naszego utrapieniem prawdziwym i spowodowało rodzaj spowiedzi, dokonanej nad sumieniem własnem. Zajęło go to żywo. Czynił przegląd życia swego i zastanowił się szczególnie nad owem „niechajno“, dzięki któremu nakreślenie sobie programu odkładał z dnia na dzień, odkładał i tego się doczekał, że w sile wieku męzkiego pozostał bez celu, bez wytycznej — bez

sternu. Mało tego. Materiały, które mu do budowy programowej służyć miały, zapodziały się gdzieś — pogubił je i poznajdywać nie umiał. Zdziwiło go to. Pojąć nie mógł, jak to się stało.

Czoło dłonią od czasu do czasu pocierał i szukał — i szukał, rozpoczynając poszukiwanie od rozmaitych punktów drogi, którą za sobą pozostawił. Z punktów tych każdy nie wydawał się mu nader odległym. Działo się to wczora niby. A przecie... po nitce do kłębka dojść mu było trudno. Nitkę tę puszczał — chwytął inną. Czynił w pamięci przegląd kolegów, rówieśników swoich. Ten się na dostojnika wysokiego wykierował i — cóż? — jest sobie dostojnikiem wysokim, przesypującym wedle przepisów wynalezionny przez kogo innego proch, człek zresztą bardzo porządny, przywoity i akuratny. Ów z piasku biecze kręci — wiedzie mu się tak i owak, w ogólnym jednak bilansie zysków i strat, przewaga okazuje się po stronie zysków — płynie po wierzchu fali. Inny z miejsca kopnął się świetnie, zwrócił na siebie uwagę ogółu, uzyskał imię i imię to sprzedał, krocie za nie wziął, obecnie na krocich siedzi, zadowolony i poważany. Inny znów... — przypominał sobie Zoryan jednego, co się zламаł. Miał zamiary, pomysły, pragnienia — zasady; naprzód się rzucił i... zламаł się. Zaprzepaścił się.

Rzecz dziwna. Ten ostatni tylko wzbu-

„Zaprzepaścił się... tak.. — myślał o koledze — ale wolałbym zaprzepaścić się jak on, aniżeli figurować jak tamten...“

I dla czegoż to tak pomyślał? Dla tego, że mu się wydało, iż przypadkowo na drodze spotkana kobieta przelożyłaby tego zaprzepaszczonego nad innych.

Dla czegoż mu się tak wydało?

Powstrzymamy się na drodze domysłów i konjunktur. Puściwszy się nią, zajęlibyśmy mogli — ah! — jak daleko. Powiemy jeno, że zdaje się nam, iż dla bohatera naszego przyszedł moment psychiczny — ów moment zwrotowy, rozstrzygający, który przychodzi dla każdego, co przeciw wody płynąć próbuje. Moment ów przyszedł pod wpływem zdarzenia przypadkowego. Przypuszczać się godzi, iżby go było wywołało zdarzenie nie to, to inne — że, jakiegokolwiek okoliczności zewnętrzne zeszyłyby się z konieczności rzeczy z nastrojem wewnętrznym i sprowadziły upamiętanie się.

Na rozmyślanii upłynęła bohaterowi naszemu noc. Upłynęła szybko, acz niewygodnie. Krzyże go bolały, głowa mu ciążyła, w ustach mu wyschło. Gdy dzień zaświtał, towarzysze się pobudzili i wątek rozmyślań przerwali.

— A toś się nie kładł, kolego... — odezwał się jeden. — Głupstwo zrobił... Będiesz miał przez dzień cały piasek w oczach...

Inny zapytał:

— Cóżes to przeszkrobał?... Czyś nie kasyer bankowy?... A możeś w karteczki szczęścia próbował?...

— Topolityczny chyba... socyalista... zauważył jakiś surdutowy. — Na to wygląda wedle rąk... Socyalistę poznaję od razu...

— A to jak?...

— Jak!... Wedle rąk, powiadam... Patrzcie jeno...

Więźniowie na ręce Zoryana wejścia zwrócili, ten zaś co oznakę tę podniósł, takie objaśnienie dodał:

— Socjaliści, rzecz wiadoma, chcą, ażeby nikt nie pracował, a każdy pieńiądze miał...

— Dobrze znają... — wtrącił jeden.

— Sami więc nie pracują—kończył tamten — dla tego ich po rękach poznać łatwo...

Na słuchaniu takich i tym podobnych rozmów, upłynął Zoryanowi w więzieniu poranek. Obok tego stróż raz dwa zaglądał, raz dla wyniesienia cebryka, drugi raz dla przyniesienia strawy, dla jednych więziennej, dla innych zamówionej. Ci poprzestawali na polewce, owi pili kawę lub gorzalkę. Zoryan na czczo doczekał się godziny jedenastej, o której wezwany do biura został.

Wezwanie uradowało go. Myślał, że się skończy utrapienie jego. Omylił się jednak. Chodziło o uzupełnienie protokołu, jakoteż o postanowienie względem dalszego obrotu sprawy, która zaznaczoną została do sądów for-

malnych, jako występki nie tylko przeciwko przepisom obowiązującym na drogach żelaznych w monarchii pruskiej, ale oraz przeciwko szacunkowi, należnemu armii królewskiej. Przeciwno zarzutowi ostatniemu Zoryan zaprotestował. Protest jego atoli nie miał znaczenia najmniejszego. Urzędnik do protokołu takowy zapisał i poruszył kwestję niesłuchanie dla Zoryana w położeniu jego ważną — kwestję odpowiadania z więzienia, lub z wolnej stopy.

— Oczewiście, z wolnej stopy... — odpowiedział.

— Za poręką? czy za kaucją?...

— Za kaucją... A te panie?... — wnet zapytał.

— Pańskie współoskarżone?...

— Tak jest...

— Wezwane natychmiast do protokołu zostaną...

— Złożę kaucję i za nie...

Urzędnik oświadczenie to przyjął, wysokość kaucji oznaczył i na złożoną niezwłocznie przez Zoryana kwotę kwit wydał, a nawet tyle względności okazał, że pozwolił w izbie przyległej poczekać na załatwienie z paniami Zbuskimi formalności protokolarnej.

W pół godziny później nastąpiło spotkanie.

Zoryan od pierwszego ust otworzenia zaczął od przeprosin.

— Niechże bo pan nie przeprasza... odparła panna Karolina. Na kolejach

żelaznych zdarzają się wypadki różne, pociągi się spotykają, wykolejają, w przepaście wpadają; nas spotkało jeno pójście pod sąd...

— Ale za co?...

— Za to, żeśmy Polacy... W państwie pruskim to występki, które musimy nie winić, ani pan, ani też mama i ja...

— Pani to tak tłumaczy...

— Zdaje się, że tłumaczę trafnie... Przychodzimy na świat z grzechem pierworodnym i musimy odpowiadać za takowy, gdy się okazuje nadarzy...

— Odpokutowaliśmy zań ciężko... wtrąciła pani Zbuska — noc dzisiejsza pamiętną nam będzie...

Panie Zbuskie spędziły noc w więzieniu podobnem do tego, w jakim przesiedział Zoryan.

— Wynagrodzimy to sobie, mammo... — pocieszała ją córka. — Jedziemy do hotelu... Mamy rozkaz — zwróciła się do Zoryana — pozostawać w rozporządzeniu władzy sądowej i stawiać się na pierwsze jej wezwanie.

— Ten sam rozkaz tyczy się i osoby mojej...

Zoryan i panie Zbuskie do jednego zajęli hotelu, zajęli numera i wnet się na spoczynek udali. Nie zeszli się, aż wieczorem. Wieczór spędzili razem przy herbacie, na rozmowie, której treść snuła się około zaznaczonego przez pannę Karolinę „grzechu pierworodnego“.

— Grzechu nie do zmycia... — zauważył Zoryan.

— Całą Sprei wodą... — potwierdziła panna Karolina.

— Zmywają go wszakże niektórzy...

— Winszuję im, ale nie zazdroścę... Nie odważyłabym się na to... A pan?... zapytała.

— Nie odważyłbym się i ja... Protestuję jednak przeciwko temu, ażeby zbiegostwo tego rodzaju odwagą być miało...

— Bywają odwagi rodzaje rozmaite... przedewszystkiem zaś dzieli się ona na świadomą i nieświadomą... Sławną jest odwaga jańczarów tureckich, którzy rodziców własnych mordercami się stawiali... Któż im ją za złe bierze!...

Wywiązała się ztąd rozmowa o renegacji jawnej i maskowanej, która bohatera naszego zajęła żywiej, aniżeli rozmowy wszystkie, jakie mu się zdarzało po salonach z salonowemi pierwszej wielkości gwiazdami toczyć. Udział w niej i pani Zbuska wzięła. Pani i panna przedstawiły się mu, jako kobiety wykształcone, o poglądach jasnych i trafnych, mających na rozporządzenie swoje nie frazesy zapamiętane, lecz myśli i pojęcia przyswojone a więc własne. Poznał, że nie w nich na pokaz nie było. Sprawiało mu to zadowolenie niewysłowione — zadowolenie, jakiego doznaje człowiek, oddychając powietrzem gór alpejskich, lub Karpatów naszych. Tem bardziej go przeto uderzały opinie

przez pannę Karolinę wypowiedane, opinie, które—w takiej naprzykład jak renegacya materyi — były w istocie swojej surową żywota jego krytyką, dotykającą go osobiście w osobie trzeciej. Panna Karolina tak surową była dla tego zapewne, że nie wiedziała, iż ma do czynienia z człowiekiem, co pełnienie obowiązków obywatelskich na później odkładał. Zdań parę wygłosiła tak, że Zoryan powściągnąć się musiał, ażeby nie zawołać:

„Pani! ja to takim właśnie odstępcą jestem...”

Lecz się człowiek nie oskarża chętnie przed innymi. Ogromna ludzi większość nie oskarża się przed samymi sobą nawet—i wielce to na korzyść bohatera naszego przemawia, że do większości tej nie należał. Wniósł reżolucyjnie oskarżenie przed kratki umienia własnego i noc drugą na rozmyślanie spędził. Noc ta upłynęła mu inaczej, aniżeli w więzieniu. Nie oddychał atmosferą duszącą, nie miał za towarzyszy złodziei, niemniej przeto była ona poprzedniej ciągiem dalszym, drugim niby tomem jednego i tego samego dzieła. W drugim tym tomie zarysowywać się poczęło postanowienie wynagrodzenia szkody, jaka się stała. Postanowienie to wszakże nie przybrało form wyraźnych, zawsze z powodu braku materyałów, które—jakośmy wyżej rzekli — gdzieś się zapodziały i poodnajdywanie których przedstawiało trudności niemałe, tem

większe, że materyałów onych istota bohaterowi naszemu z pamięci wypadła. Nie wiedział już dokładnie, jakimi one były. Wiedział jeno, że je posiadał, że miał je w rozporządzeniu swoim i że nie zużytkował ich w momencie właściwym.

— Szkoda... szkoda... — powtarzał sobie. — Czyż strata ta jednak odzyskać się nie da!...

Nad ranem zasnął. W dniu następnym zająć się musiał procesem, którego notyfikacyę otrzymał i dla którego wyszukać należało adwokata—obrońcę. Nie poszło mu to z łatwością. Poznań był dla niego miastem nieznanym; nie miał się poradzić kogo i wskazówki znalazł u pań Zbuskich, które, acz także miasta nie znały, ze słyszenia atoli wiedziały o osobistościach kilku wybitniejszych. Wymienily więc osobistości tych nazwiska, z dodatkiem charakterystyki krótkiej, dotyczącej się obozu, do jakiego każda z nich należała.

— X. z obozu liberalnego, Y. z klerikalnego...

W oczach Zoryana różnica ta doniosłości nie miała. O cóż bowiem chodziło?—o obronę adwokata w sprawie, która ani klerikalną, ani liberalną nie była. Wyraz atoli „liberalizm“ przypomniawszy mu liberalizm przez nacjonal-liberałów niemieckich praktykowany, i dla tego udał się do klerikalów, zgłosił się do księdza, sprawę mu opowiedział i ten:

— Ano—rzekł — jest to przesławanie katolicyzmu w narodowości... Każdy, mości dobrodzieju, polak wystawionym jest na szykany ze strony Niemców protestantów, nie dla czego innego, jeno przez nienawiść do katolicyzmu.. Znajdujemy się w stanie *kulturkampf*... Pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem toczy się walka zawzięta, walka na śmierć lub życie, walka, z której ostatecznie z tryumfem wyjdziemy, która jednak z wielkimi jest połączona trudnościami... Polonizm za pokrywkę służy...

Bohater nasz, do wypowiedzenia w kwestyi tej zdania własnego nie przygotowany, nie mógł z księdzem dysputować, nie wiedział bowiem, że polityka berlińska w tym celu katolicyzm z polonizmem sprzęga, ażeby za pomocą pierwszego kompromitować drugi i w sposób ten wynaradawianie Polaków sobie ułatwiać. Jest to fortel polityczny białemi szyty niemi — manewr taki widoczny, że, gdyby nie interesa pewne, o których w opowiadaniu niniejszem rozwodzić się nie miejsce, widzianoby takowy zdaleka i zbliżka. Nasz Zoryan nie widział tego; pogląd księdza za dobrą przyjął monetę i za wskazówką jego wziął adwokata do obrony sprawy dla siebie i dla towarzyszek swoich.

Sprawa wytoczona została przed kratkami sądowemi formalnie. W trybunale wystąpiły strony obie: skarżąca w osobie oficera, oskarżona w oso-

bach pan Zbuskich i Zoryana. Odbył się badanie. Oficer przedstawiał siebie jako ofiarę nienawiści polaków do Niemców w ogóle i do prawowitej władzy w szczególności; opowiadał, jak to on się skromnie i przyzwoicie zachowywał, jak wyrzucony został, jak się potłukł i z jakim akcentem ciskaniem były przez okno jego mantelzak, jego szabla i jego pikielhauba.

— Widziałem złośliwy na ustach pana tego uśmiech, uśmiech, który powiadał: „Precz Prusakul!... precz pruski wojownikul!... precz obrońco monarchii pruskiej i ojczyzny niemieckiej!“...

Zoryan i panie przedstawili rzecz jak się w istocie miała.

Nastąpiło przesłuchiwanie świadków. Byli to urzędnicy i posługacze ze stacyi, na której zaszło zdarzenie. Ci zeznali jednogłośnie, co widzieli: wypadnięcie z wagonu oficera i wyrzucanie następnie efektów.

— Jakich?... — zapytał prezydent trybunału:

— Mantelzaka, szabli i pikielhauby... — brzmiała nieodmiennie odpowiedź.

— Czy się pan oficer potłukł?...

— Mocno... kulał... zimną wodą się okładał...

— Czy się uśmiechał ten pan...—zadawał zapytanie, na Zoryana wskazując.

Jedni uśmiech widzieli, drudzy nie widzieli — nie dostrzegli takowego

z powodu szybkiego oddalania się po-
ciągu. Jeden zeznał, że widział nie
uśmiech, ale groźne brwi zmarszczenie.

— Co, w mniemaniu świadka, u-
śmiech ów wyrażać mógł?...

Ten był tego zdania, że wyrażał
Heraus! ów — *Kerl*, inny *Schurke* i t. p.

— I do kogo się to stosowało?... —
badał prezydent.

— Stosowało się to do pana oficera,
nie do kogo innego...

Z porządku rzeczy prokurator głos
zabrał i, rozdzieliwszy oskarżenie na
dwie części, w pierwszej zaznaczył
i dowiódł kontrawencyi przeciwko re-
gulaminowi kolejowemu, kontrawen-
cyi wielkiej, bo połączonej z inten-
cją morderstwa, niedokonanego, nie-
zależnie od woli sprawcy wyrzucenia
oficera; w drugiej wyprowadził wzgar-
dę dla instytucji państwowych mo-
narchii pruskiej, okazaną czynem tro-
jakim: ustnie, faktycznie i mimicznie.

— W uśmiechu tym — powiadał —
w uśmiechu, na który i na znaczenie
którego świadków większość się zgadza,
ujawniła się cała do ojczyzny na-
szej nienawiść, nienawiść tem wy-
stępniejsza i tem karygodniejsza, iż
okazana przez ludzi obcych, wnoszą-
cych wśród poddanych jego królewskiej
mości zły przykład i zgorszenie. Wia-
domo, że wszystkie rozruchy, wszy-
stkie niepokoje, wszystkie ambarasy,
jaki rząd nasz z poddanymi swoimi
pochodzenia polskiego miewał, fomen-
towanymi były przez obcych, przez

obcych, przez przybyszów, przez — że
tego użyję wyrazu — awanturników.
Kto wie, azali delikwenci tu obecni
nie są emissaryuszami jakiego komi-
tetu rewolucyjnego, jakiego kółka
zbrodniczego, jakiego Lelewela, Mie-
rosławskiego, Czartoryskiego, Towie-
nieckiego.

Na tych opierając się podstawach,
zaządał kary surowej i przykładnej.

Obrońca wziął się do rzeczy bardzo
zręcznie, z tego wyszedłszy punktu,
że fakt każdy jest skutkiem, będącym
następstwem przyczyny pewnej. Ana-
lizował więc przyczynę, której istota
opierała się całkowicie na podaniach
stron i stwierdzała świadectwem psy-
chicznym. Rzecz rozechodziła się o to,
kto prawdę mówi: czy troje oskarżo-
nych, czy jeden skarżący. Jednogło-
sność ludzi trojga na ich stronę prze-
wagała szalę wiarogodności i na ich
korzyść rozstrzygała sprawę. Przyczy-
na wywołała następstwo dla oficera
przykre, ale przykreść ta byłaby go nie
spotkała, gdyby był powodu nie dał.

— W tem... w powodzie... waga ca-
ła; zwracam na to uwagę prześwie-
tnego sądu, ostrzegając go przed szko-
pulem, na jaki pan prokurator wpro-
wadzić chce sprawiedliwość, gdy mu
wskazuje czyn trojaki: ustny, fakty-
czny i mimiczny. Z trojakości tej po-
zostaje jeno sam fakt na karbie klien-
tów moich, fakt pożałowania godny,
lecz na pobłażliwość trybunału zasłu-
gujący, jako przygotowany i sprowa-

dzony przez skarżącego samego. Od-
pada występki ustny, odpada również
i występki mimiczny. Widzenie uśmie-
chu na obliczu człowieka znajdujące-
go się wewnątrz wagonu, jest rzeczą
więcej aniżeli problematyczną; przy-
puściwszy zaś, że się pan Dołęga uśmie-
chał, skądże wniosek, jakoby uśmiech
ten oznaczać miał nienawiść względem
państwa pruskiego? Jest to przypus-
zczenie dowolne, przypuszczenie, któ-
rego sąd uwzględniać nie może, równie
jak uwzględniać nie może przypus-
zczenia drugiego, z tamtego wysnute-
go, jakoby delikwenci wysłańcami
byli komitetów i kółek, które nie is-
tnieją, ludzi, z których ani jeden przy
życiu nie pozostaje. Nienawiść w spra-
wie tej nie odgrywa roli najmniejszej,
chyba taką jeno, że prześwie-
tny sąd może ją niemożliwą uczynić, wymie-
rzając sprawiedliwość przez uwolnie-
nie pań Buskich, które pana oficera
nie wytrącały, ubliżyć mu ustnie nie
mogły i uśmiechającymi się widziane-
mi nie były i pana Dołęgi, który był-
by się czynu wytrącenia nie dopuścił,
gdyby do takowego nie zmusiły go
impertynencye, przez skarżącego da-
mom wyrządzone.

Prokurator zaządał głosu w celu
dania repliki.

O! — zaczął tonem oratorskim. —
Dziękuję szanownemu obrońcy, że
sprowadził mnie na grunt, na którym
mi obracać się łatwo i wygodnie bę-
dzie. Odsyła on trybunał prześwie-
tny

do przyczyny faktu i wskazuje na wia-
rógodność stron. Wiarógodność?... Ktoż
na takową zasługuje?... czy polacy,
istoty podejrzone dla tego już samego,
że polakami są, czyli też Niemiec, ar-
mii pruskiej oficer, człowiek honoro-
wy?... Ich troje, on jeden. Ale, gdyby
ich było dziesięcioro, dwadzieścioro,
setka cała, to wiarógodność ich nie
przeważałaby wiarógodności Niemca
jednego. Wzywam zresztą prześwie-
tny sąd do popatrzenia na te dwie po-
stacie, na tego Niemca, z oblicza któ-
rego bije otwartość, dobroduszość,
szczerłość, serdeczność, prawdomów-
ność i honorowość, na tę twarz zdro-
wą, czerstwą, rumianą, w te oczy ja-
sne, spokojne i na tego polaka zawię-
dłego, żółtkłego w zazdrości do Niem-
ców, w nienawiści rządu pruskiego.
Dość ich obejrzyć i porównać — dowód
na obliczach wypisany. Po tej stronie
(ręką z gięstem oratorskim ku ofice-
rowi rzucił) prawda, szczerłość i otwar-
tość, po tej (na Zoryana wskazał)
fałsz, obluda, podstęp, intryga, chy-
trość, wiarołomstwo, nikiżemność,
przymioty wszystkie tej hydry, w ja-
skini ciemnej przebywającej, która
z takowej wylazi pelzką i Niemców
za nogi gryzie, tej hydry złości żółtej
i zawiści czarnej, co nam Kopernika
zazdrości, Fryderyka Wielkiego spo-
twarza i nogę podstawia, co się uśmie-
cha, gdy Niemca boli. Pan oficer za-
bolał z głębi duszy swojej szlachetnej,
gdy na twarzy tej przedwcześnie zwię-

dlej uśmiech ujrzał... Pora już, wielka pora—zawołał, do prezydenta mowę zwracając—hydrze tej leć zgnieść, zastosowując w wypadku tym do oskarżonych karę zbyt łagodną, jaką za występki podobne kodeks nasz wyznacza.

Adwokat prokuratorowi replikował.

— Gdybym—powiadał—chciał namiętności poruszać, powiedziałbym, że w oskarżeniu nuta kulturkampfu dzwoni. Ale nie chcę na to schodzić pole, nie powiem przeto, iż oskarżenie dla tego jest tak silnem, że się do katolika odnosi. Nie! nie dotknę struny tej, ale tylko pozwolę sobie w krótkich wyrazach zanalizować dowód, jaki pan prokurator zaczerpnął z wpatrywania się w oblicza skarżącego i oskarżonego. Wpatrujemy się w takowe. Cóż na czerwonym, krągłym i pulchnym obliczu pana oficera czytamy innego, jak, że dużo piwa wypija? coś innego czytamy w wielkich, wylupiastych oczach jego...

W miejscu tem prezydent przerwał adwokatowi mowę, czyniąc mu łagodnie i poważnie uwagę, że granice obrony godziwej przekracza. Adwokat protestował przeciwko ścieśnianiu swobody. Prezydent protestacyi nie uwzględnił, powołując się na bezstronność, która—zauważymy to sposobem nawiasowym—dozwoliła na twarzy Zoryana widzieć fałsz, obłudę, podstęp, intrygę, chytrość, wiarołomstwo, i nikczemność, a nie dozwoliła na twa-

rzy oficera widzieć oczów wylupiastych. Na podstawie bezstronności tej adwokat odstąpić musiał od mówienia o minie oficera i w ciągu dalszym repliki swojej zwrócił się do podniesionego przez prokuratora ze szczególnym naciskiem zabolienia oficerskiego w głębi duszy, na widok uśmiechu Zoryana.

— Zabolał—były adwokata słowa—temu nie przeczę, zabolął, nie w głębi duszy jednak, jak dostojny i uczony pan prokurator twierdzi, ale w udach, któremi usiadł na bruku kamiennym. Za zbyt mocne dotknięcie udami kamieni brukowych, sprawiło panu oficerowi ból, który mu uśmiech, gdyby takowy do widzenia był, widzieć przeszkodził. Ból ten w tych częściach ciała ludzkiego...

Tu znów prezydent mowę adwokatowi przerwał i adwokat, znów protestując, wystąpił z wnioskiem, domagającym się ekspertyzy lekarskiej, w celu zdefiniowania wpływu fizyologicznego bólu w udach na zmysł widzenia. Na wniosek ten sąd na ustęp się udał i, powróciwszy, ogłosił uchylene takowego. Adwokat ponownie głos zabrał, domagając się znów w konkluzji uwolnienia klientów od zarzutu.

Prokurator zrzekł się dupliki, trybunał ustąpił; zabawił na naradzie kwadrans z górą, powrócił i przez usta prezydenta wyrzekł wyrok, skazujący głównego oskarżonego, Zoryana Do-

łęę, na rok i tygodni sześć aresztu w fortecy za obrazę instytucyi państwowej, na zapłacenie nawiązki oficerowi, dotkniętemu obrazą na zdrowiu i honorze, na sześć tygodni aresztu policyjnego za kontrawencyę przeciwko przepisom na kolejach żelaznych, w końcu, po odsiedzeniu więzienia i aresztu, na wygnanie z granic monarchii pruskiej. Panie Zbuskie również skazanemi zostały, matka na tygodni trzy, córka na dni szesnaście aresztu za spółnictwo w występku, spółnictwo mitygowane okolicznościami łagodzącymi. Nadto strona oskarżona solidarnie zobowiązana została do opłacenia kosztów procesu.

— Ah! panie... — zawołała pani Zbuska, gdy, po wysiedzeniu w izbie sądowej godzin trzech, jak na kazaniu niemieckiem, z Zoryanem się zeszła—oto żeś się pan z powodu naszego naraził!..

— O panie!.. — dodała panna Karolina.

— Coż robić!.. — odpowiedział Zoryan.

— Zaniesiemy rekurs... — wtrącił adwokat.

— Czyż to co pomoże?..

— Hm?.. Sprawa się przeciągnie i wrazenie na opinii publicznej sprawi. Uważaliście państwo, jakim wszczął rzecz o strunie. Strunę tę naciągnę w instancyi drugiej i Windhorsta zacytuje. Walczymy, walczymy, moi państwo, nie bez widoków

tryumfu w przyszłości. Wy, tam u was, wyobrażenia o tém nie macie. A my tu walczymy z takim jak Bismarck mocarzem, któregośmy sprowadzili już na drogi, zmierzające ku traktowi do Kanossy. Zaniesiemy więc rekurs.

Zoryan jednak nie przystał na to. Apelować nie chciał, a to dla tego, że apelacya przewlekłaby sprawę i zatrzymała w Poznaniu panie Zbuskie na tygodni kilka. Przyczyny tej wszakże nie wyjaśnił, pomimo nalegań i dopytywań się adwokata i paru innych jeszcze osobistości, zajmujących w stronnictwie klerykalnem stanowisko wybitne. Przyczynę zachował dla siebie, składając się tém, że sądów ma już dosyć, woli więc wyrok jaki wypadł przyjąć, aniżeli wystawiać się powtórnie na widok publiczny.

Woli jego stało się zadość. Termin na zanieśienie rekursu upłynął i czas ten bohater nasz spędzał w towarzystwie swoich spółniczek winy, zwiedzając miasto, pomniki, zbiory, bywając na posiedzeniach publicznych towarzystw różnych, na odczytach i w teatrze, czyniąc wycieczki w okolice. Jeździli do Gniezna. Interesowało to bohatera naszego bardzo żywo, tak dla tego samego, że wszystko to w wysokim stopniu interesującym było, jako też dla towarzystwa, które się dla niego potrzebą stawać poczyniło. Potrzebował towarzystwa, nie pań obydwoh jednak, ale panny Karoliny,

a to dla czegoś, co się dokładnie wytłumaczyć nie da — dla miłości zapewne, ale nie dla owej pospolitej, która Herkulesa do kądzieli zasadziła a Menelausowi rogi przypawiła. Panna Karolina nie wyglądała ani na Omfalję, ani na Helenę; przystojną bardzo była, ale się urodą nie odznaczała. Wzrost średni, włosy płowe, oczy szafirowe, budowa postaci kształtna i szykowna, rysy twarzy regularne, w wyrazie oblicza, w układzie całym powaga: oto rysopis, który się stosował do niej, a który w kobietach powtarza się bez końca. Piękniejszych od niej jest wiele, brzydszych jeszcze więcej; takie zaś, jak ona, trafiają się rzadko z powodu uroku utajonego, który na jaw występował po rozpatrzeniu się w niej bliższem. Na bliższem poznaniu zyskiwała ogromnie. Odkrywało się w niej coś nakształt skarbow, w duszy złożonych a przez gieniusza dozorowanych i przystęp do takowych utrudniających, skarbow, mających spólnego coś z owemi bajecznościami, dla dostania których przez różne próby ciężkie przechodzić pierwaj trzeba było.

Skarby to owe Zoryanowi się przedstawiły i wywarły na niego pociąg magnetyczny. Przeczynał, że to co braknie jemu, znajduje się w tej kobiecie młodej, że przy jej spóldziałaniu, a raczej za jej sprawą, produkowałyby potrafił materiały, które się gdzieś, jak wiemy — pozapodziewały. Taką

była natura tej miłości, którąśmy zaznaczyli.

Panna Karolina potrzebna się mu stała.

Cóż atoli!

On, taki z damami wielkiego świata śmiały, nie śmiał jej powiedzieć tego, pomimo zbliżenia, jakie pomiędzy nim a nią nastąpiło. Nie śmiał. W obec niej doznawał czegoś, niby upokorzenia — uczuwał się zimnym, zmarnowanym człowiekiem, jakby w podlegszym aniżeli ona gatunku. Pozostawali z sobą na stopie dobrej znajomości, razem chodzili i jeździli, razem osobiowości starożytnego miasta zwiedzali i rozstali się. Termin wyszedł. — Zoryan rozpoczynać musiał odsiadanie kary długiej, na jaką skazany został; panie Zbuskie ze swojej strony do aresztu się meldować musiały. Wybiła godzina wyroczna.

— Przecież nie rozstajemy się na zawsze. — odezwał się Zoryan.

— Obowiązkiem jest naszym starać się czas więzienia osłodzić panu... — odrzekła panna Karolina.

— Obowiązkiem... — nawpół do siebie zawtórował Zoryan.

— O którym — odparła — powiedzieć nie umiem, czy jest słodki, czy smutny; w każdym razie o tyle miły, że się tyczy osoby pana...

— Czyby to być miał komplement?..

— Nie... Pozналиśmy się, zbliżyli... zbliżyli na gruncie...

— Wypadku... — podpowiedział.

— Znów panu zaprzeczyć muszę... Wypadku, zapewne, lecz zaszłego na gruncie *vae victis*... Samego więc wypadku za grunt brać nie można. Przedstawia się on jako następstwo kondycyi niewesołej, która nas na winowajców wykierowała i na cierpienia mnie z mamą mniejsze, pana ogromne naraziła... Spólne cierpienia, powiadają, zbliżają ludzi... bratają...

— Pozwala mi pani za brata się uważać?...

— Jam o to pana prosić chciała.

— I... — zaczął, zająknął się — i... szukać u niej... ucieczki... w razie potrzeby...

Panna Karolina na słowa te, których sens zagadkowości był pełen, rumieńcem spłonęła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć na to. Zmieszała się. Rychło jednak oprzytomniała — rękę wyciągnęła, dłoń do uścisku Zoryanowi podała i odrzekła:

— O panie!..

W tymże dniu panie Zbuskie zainstalowały się w areszcie, Zoryan zakładał do bram fortecznych, które się za nim na rok zamknęły, odłączając go na ten czas cały od świata i ludzi i stawiając w położeniu zupełnie nowem, jako nowość zrazu zajmującym, następnie jednak bardzo dokuczliwem. Dokuczał mu szczególnie rozkład czasu, sprawiający powtarzanie się ustawiczne jednego i tegoż samego w dniu każdym. O tejże samej godzinie wstawał i spać szedł, posiłek przyjmował

i na przechadzkę wyprowadzany bywał, też same twarze w tychże samych miejscach spotykał, też same wyrazy o tej-że samej dnia porze słyszał.

Tożsamość ta zabawną mu się zrazu wydała, z czasem atoli nudziła — nudziła z dniem każdym coraz to bardziej, aż nieznośną się stała. Od nudów bronił się czytaniem; dawano mu książki z biblioteki więziennaj, udzielano dzienniki i pisma czasowe, pozwalano listy pisywać i na takowe odpowiadać, pod warunkiem, ażeby korespondencya przechodziła przez cenzurę dozorcę. Warunek ten utrudniał stosunki listowe ogromnie, zacieśniając je jedynie do sfery interesów majątkowych i to o tyle, o ile w materji tej pisało się po niemiecku. Po niemiecku przeto z trudem niemałym porozumiał się Zoryan z plenipotentem swoim pisał do znajomych kilku i odpowiedzi nie otrzymał, pisać się zbierał do panny Karoliny i zebrać się nie mógł.

Na punkcie tym ostatnim zatrzymamy się chwilę.

To, że się do panny Karoliny pisać zbierał i zebrać się nie mógł „stanowiło dla niego ogromny w nudach więziennych resurs. Rozmyślał. Rozmyślanie w areszcie policyjnym poczęte oglądał, wykończył, i ponieważ mu o odszukanie materiałów chodziło, odszukał nie materiały wprawdzie poszczególne, lecz grunt onych, podstawę, ośnowę główną, niestety! w stanie

smutnym: zdrowie nadwątlone, majątek nadszarzany.

— Ha! gdybym dziś posiadał zdrowie i majątek w takim stanie, w jakim się znajdowały, kiedy uniwersytet skończył, wnetbym się do panny Karoliny zwrócił i powiedział jej: Zespolmy się i idźmy dalej, ja z tobą, ty ze mną, idźmy i podążajmy ku temu, ażbyśmy się pożyteczni stali;... siejmy... niech owoce się rodzą... Do niej z czem innem przystępować nie można... Ona taka...

Pod takiem to wrażeniem bohater nasz żenić się zamierzył. Wrażenie to opanowało go i trapiło. Uczuwał się winnym, bardzo winnym i, jak winowajca każdy, z sumienia nie obrany, o poprawie zamysłał, przechodząc kolejno od nadziei do rozpacz, od rozpacz do nadziei.

Raz wydawało mu się, że wszystko stracone, że jest ostatecznie zrujnowany i zmarnowany, znów, że straconego nie ma nic, że się jakoś odzyskać da, jeżeli nie wszystko w zupełności, to bodaj coś. „Coś“ odnosiło się przede wszystkim do zdrowia i fortuny. Nie zwłócząc przeto, przesłał plenipotentowi polecenie zaprowadzenia oszczędności w celu ratowania mienia; co się zaś zdrowia tyczy, z konieczności rzeczy staranie o takowe odłożyć musiał, aż karę odsiedzi. Chodziło jednak o coś jeszcze: o to mianowicie, cośmy jako program zaznaczyli. We względach tym, nie wiedział, co począć, nie

rozpatrzywszy się w świecie, w stosunkach, w okolicznościach — w tém co się zrobiło, co się robi, co robić należy. Musiał więc tymczasowo poprzestawać na chęciach dobrych, pozostawiając urzeczywistnienie takowych do momentu osiągnięcia języka.

Upłynął nareszcie rok. Wypuszczono Zoryana z więzienia fortecznego, wręczywszy mu kartę meldunkową do aresztu policyjnego. Przeniósł się z więzienia jednego do drugiego i w tém ostatniem uczuł się, jakby na wolność wypuszczonym został. Wolno mu było z krewnymi i ze znajomymi się widywać. Posłał wnet do adwokata, prosząc go w odwiedziny do siebie. Adwokat przyszedł.

— Co tam słysząc?..

— Waleczymy, panie... waleczymy... Bismarka na drogę do Kanossy ciągniemy. Opiéra się, ale pójdzie, o! pójdzie...

— Czy z tego korzyść jaka dla nas wyniknie?..

— O!... — zawołał adwokat. Korzyść olbrzymia! Tryumf kościoła katolickiego... Bismark w Kanossie, to znaczy przywrócenie władzy świeckiej ojca świętego...

— Cóż stąd dla nas?..

— Dla nas?... Czyż my nie katolicy?... Czyż pan... pan?... nie katolik?..

Prawdzie tej Zoryan zaprzeczyć nie mógł. Adwokat szeroko się rozwdził, rozpatrując rzecz ze stron różnych, opowiadając o stosunku stronniectw

w izbach i o tém, jak się Bismark, wycisnąwszy liberalów naksztalt cytryny i wyrzuciwszy cytryny tej skórki za okno, do katolików umizga.

— Uchodźmy go... uchodźmy... — konkludował.

— I ja bym też coś robić chciał...

— O! masz do roboty pole szerokie...

— No?...

— Zapisz się do bractwa kościelnego...

— A dalej?...

— Na mszy regularnie bywaj, kazań słuchaj, spowiadaj się we wigilię każdego święta uroczystego, ofiary składaj...

— A dalej?...

— Dzienniki klerykalne prenumeruj...

— A dalej?...

— To wszystko...

— Pragnąłbym czynności, ruchu, dla zdrowia bodaj...

— W razie takim, jedź do Lourdes, do źródła cudownego, które cię i na duszy i na ciele uleczy...

— To wszystko?... — zapytał Zoryan...

— Wszystko... Alboż tego mało!... Gdybyś był poddanym pruskim, wskazałbym ci parlament, do którego byś podążać mógł; obcokrajowcowi jednak wskazuję działanie, które ci ruch nada, zdrowie przywróci, sumienie zaspokoi i tą pewnością natchnie, że rękę

do roboty przykładasz, pomimo że na pozór sam nie robisz nic... Doktryna ta doskonale się nam w położeniu naszym nadaje, bo i do niczego nie zobowiązuje i od odpowiedzialności uwalnia i za pociechę służy...

— Doktor ją wyznajesz?...

— Phi... Ponieważ się nadaje, czemużbym wyznawać nie miał!... Wyznać i wyznawanie onej klientom moim wszystkim gorąco zalecam...

Adwokat tak się względem klienta swego uprzejmym i usłuznym okazał, iż sformował dla niego kółko znajomych, którzy go w areszcie odwiedzali. Czas upływał mu szybko i przyjemnie, byli to bowiem ludzie poważni, wykształceni i dowcipni. Obcowanie z nimi rozjaśniało przed oczami Zoryana horyzont, wskazując mu w perspektywie zajęcie, zajęcie — umysłowe, takie do którego zapalić się można, byle się onemu duszą całą oddać i w następstwa nie bardzo wglądać. To ostatecznie niepokoiło go nieco. Nie zdawało mu się, ażeby człowieka natura obdarzyła rozumem na to, ażeby nie wglądał w następstwa. Od czegoż rozum! Rozum powiada, że wszystko co istnieje, istnieje dla chwili nie obecnej, ale następnej — dla jutra — dla przyszłości: istnienie przeto czynności wszelakiej tejże samiej podlega regule. Robi się dla przyszłości, która też dla tego samego interesować robotnika powinna. Zapytanie „na co?“, ciśnie się do umysłu samo. *Cui bono?*

— Na co się przydać może ów Wielkopolanów zapal szczególnie w pehaniu Bismarka na drogę do Kanossy?...

Zapał ich nie przeszkadza bynajmniej przechodzeniu ziemi polskiej w ręce niemieckie i salwowaniu się Polaków za granicę. O uszy Zoryana obijały się narzekania, świadczące o jałowości kierunku politycznego, wynikającego ze sprzęgania interesu narodowego z interesem, z narodowością wspólnego nie mającym nic. Podejrzewał zapał o sztuczność, o to że odgrzewanym jest przy ogniu słomianym, ale podejrzenia swego sformułować nie umiał. Czuł jeno niesmak jakiś, który przypisywał temu, że się o stanie rzeczy w areszcie dowiadywał. Myślał, że atmosfera więzienna na pojęcia jego wpływ wywiera. Musiało to tak być, w rzeczy samej, do pewnego stopnia. Żał mu było, że się na swobodzie rozpatrywać i osłuchiwać nie mógł, na mocy bowiem wyroku obowiązany był, po odsiedzeniu aresztu, niezwłocznie za granicę posiadłości pruskich się wynosić.

Areszt odsiedział i o godzinie czwartej i pół, to jest o tej samej, o której rok i sześć tygodni temu do więzienia wszedł, dozorca drzwi mu otworzył a za drzwiami zabrał go żandarm, na kolój odprowadził, do wagonu z nim razem wszedł i na granicy monarchii pruskiej życzeniem szczęśliwej podróży go pożegnał.

Odetchnął bohater nasz z głębi pier-

si, jak oddychał Farys w pustyni arabistańskiej. Nie do Arabistanu jednak ujechał, z Prus wyjechawszy. Znalazł się na drodze, prowadzącej w okolice rodzinne; podążał ku nim; śpieszno mu było a to tem bardziej, że, jako jedną z najpierwszych powinności towarzyskich, założył sobie odwiedzenie towarzyszek losu, jakiego przed rokiem na gładkiej drodze spotkał. Wiedział gdzie panie te mieszkają; trakt główny przechodził mimo posiadłości ich; Zoryan założył był sobie pierwój pojechać do domu własnego i z domu dopiero wybrać się do pań Zbuskich z wizytą; ale, gdy się w pobliżu pomieszkania ich znalazł, zamiar zmienił, na stacyi się zatrzymał, konie pocztowe wziął i pojechał.

Jazda w bok drogi żelaznej trwała niespełna półgodziny. Bryczka pocztowa wtoczyła się na podwórze domu z gankiem i wystawą, przed gankiem się zatrzymała; Zoryan wyskoczył, drzwi otworzył i na progu powitany został okrzykiem radośnym:

— Paniel...

— Panil...

Rękę panny Karoliny do ust położył i uczuł serdeczne a ciepłe dłoni uściśnienie.

— Spodziewałam się pana... czekałam....

— Czekalaś pani?...

— Dniem liczyła i z obliczenia moment oglądania pana wypadł mi na dziś lub na jutro...

— Jam momentu tego z niecierpliwością wyglądał... — odezwał się Zoryan z pewnym lekkim w głosie drżeniem. Takem pragnął... ach! takem pragnął co najrychlej do pani się dostać!... Pani... — zaczął, ręki jej z dłoni swojej nie puszczając, w oczy pannie Karolinie patrząc i wyrazom akcent prosby nadając. Panno Karolino... Zналиśmy się z sobą krótko lecz wiele, i, na podstawie znajomości tej, pozwalam sobie.. ofiarować ci moje serce i moją rękę..

— Tak?...obcesowo?... odrzekła z uśmiechem.

— Do obcesowości tej przysposabiałem się przez rok i sześć tygodni, nie licząc dni dwóch w podróży oszczędzonych... Więc?...—zapytał.

Panna Karolina z cicha odkaszklała.

— Przyjmujesz ofiarę moją?

— Przyjmuję...—odrzekła.

— Ah!... zawołał, dłoń i wzrok do góry wznosząc. Zbawionym!.. Odnajdę z tobą, czego sam odszukać nie mogłem...

Wejście pani Zbuskiej przerwało scenę oświadczyń, która się zaimprovizowała sama przez się. Pani Zbuska, nie lając gościa, dowiedziała się, co zaszło i temu się tylko dziwiła, że się to odbyło tak nagle.

— Skorzystałem z pierwszego momentu sposobnego, z odwagi własnej, z natchnienia, ze światelka jakiegoś dobrej wróżby, która się w oczach

panny Karoliny pokazała...— tłumaczył Zoryan. Lękałem się, ażeby moment ten nie uciekł...

Pani Zbuska udzieliła młodej parce błogosławieństwa macierzyńskiego i—reszta następnie wywinęła się niaby z płatka. Zoryan na drugi dzień odjechał, w kilka dni później przyjechał, znów odjechał — znów przyjechał, aż nastąpił dzień ślubu. Zoryan Dołęga i panna Karolina Zbuska połączyli się węzłem małżeńskim.

Dobrze na tem wyszło jedno i drugie.

Zoryan dostał żonę i zdobył program, a zdobył takowy nie natychmiast po ślubie, nie w ten sposób, ażeby mu go żona podyktowała, ani nawet za pomocą narady i dyskusyi spólnej, ale prosto przez to, że pani Dołężyna sprowadziła w życie Zoryana równowagę — równowagę majątkową i równowagę moralną. Równowaga życiowa jest rzeczą ogromnie ważną, niezmiernie ważną; bez niej nie sposób kroczyć naprzód; jest ona warunkiem postępu; kto się zatacza, ten do mety nie dojdzie — to aksyomat. Za sprawą żony Zoryan — że się tak wyrazimy — punkt ciężkości znalazł: tu oszczędność zaprowadził, tam nakład właściwy zrobił, sprawy uporządkował, stosunki gospodarskie ułożył, długi spłacał, czynnym się stał a do stanu swego chorobliwego zastosował środki higieniczne, które cudownie skutkowały.

Wszystko to stanowiło preludium ni-
by do programu; program zaś urodził
się... w kolysee syna.

— Trzeba, żeby miał rozum... —
rzekł Zoryan, patrząc na nowonaro-
dzonego.

— Czy on sam? — zapytała matka.

— Jak to rozumiesz? — Zoryan na to.

— Mnie się zdaje, że rozum osa-
motniony, jak osamotnienie wszela-
kie, jeżeli daje powodzenie, to sztucz-
ne i niestale... Zespolecie wiedzy... —
zaczęła.

— Prawda! — podchwycił Zoryan,
uradowany niemal tak, jak się urado-

wał był czasu onego Archimedes, gdy
zadanie rozwiązał. Prawda!.. Zespo-
lenie wiedzy... jaką to potęgę wytwó-
rzyć może!.. Tak.. To cel... cel, do
którego prowadzi droga pracy nad
szerzeniem światła w narodzie...

„I przed narodem nieście oświaty kaganiec.“

— Dziękuję ci, Karolino...

— Za co?.. zapytała pani Dołężyna.

— Za co?.. za syna... — odparł to-
nem półzartu — za syna i — dodał,
żonę w rękę całując — za wskazanie
ojcu drogi... Jakże to dobrze, żeśmy
się na kolei spotkali!.. Jakąż mi ten
pruski oficer przysługę wyświadczył!..



105498

SPIS RZECZY.

Teodor Tomasz Jez przez <i>Piotra Chmielowskiego</i>	1
Wskazania polityczne przez <i>A. Świętochowskiego</i>	48
Notatka statystyczna przez <i>Filipa Sulimierskiego</i>	55
Indywidualizm w życiu społecznym przez <i>Karola Dunina</i>	65
Rojenia socjalistów polskich wobec nauki ich mistrza przez <i>Wła- dysława Wścieklicę</i>	85
Sprawa włosciańska i służebności przez <i>Franciszka Olszewskiego</i>	115
Próba charakterystyki szlachty polskiej przez <i>Jana Karłowicza</i>	142
Pierwsza karta historii religii przez <i>I. Radlińskiego</i>	163
Echa z epoki kamienną przez <i>Juljana Ochorowicza</i>	182
Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej przez <i>Władysława Smoleńskiego</i>	205
Śmielsze błyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej przez <i>Antoniego Gustawa Bema</i>	257
Wychowanie przeszłe i obecne przez <i>Adolfa Dygasińskiego</i>	281
Spór o nauki przyrodzone w szkole przez <i>Stanisława Kramsztyka</i>	303
O Słowianach we Włoszech przez <i>J. Baudouina de Courtenay</i>	325
Integratory przez <i>B. Abakanowicza</i>	345
O szybkości reakcyj chemicznych przez <i>J. J. Boguskiego</i>	353
O funkcyjach ciągłych dla których istnienie całek jest wątpliwem przez <i>W. Gosiewskiego</i>	366
Dobra pani. Nowela przez <i>E. Orzeszkową</i>	373
Pod lasem (wiersz) przez <i>M. Konopnicką</i>	404
Pauzaniusz obrazek dramatyczny przez <i>W. Okońskiego</i>	407
Nieprzejednani. Tkanka z dumań przed obrazem Ary-Scheffera „Kuszenie Chrystusa“ przez <i>Ludwika Straszewicza</i>	416
Lista abonentów Ogniska .	

Na końcu dzieła mieści się zakupiona z dochodu **Ogniska** powiastka
T. T. Jeza p. t. **Dołęga**.

130 15 20
230 30 40
290 40 80
330 110 60
350 185 70
390 250 30

700